



MIROSLAV ŽAMBOCH

BAKLY **TOM 2** W OBJĘCIACH
ŚMIERCI

MIROSLAV ŽAMBOCH

Urodził się na Morawach w 1972 r. w środku bardzo mroźnej zimy. Beskidy w tym czasie pełne były niedźwiedzi i wilków. Zapewne dlatego do dziś słyszy ich wycie.

Z wykształcenia fizyk. Uwielbia sporty ekstremalne, boks, judo i wbieganie na górskie szczyty, nie licząc wczesnych grzechów młodości, takich jak street fighting, speleologia i żeglarstwo. Inne zainteresowania: kobiety, wino i śpiew. Czech z krwi i kości.



Spis treści

Karta tytułowa

Rozdział 1. Na ścieżce mocy

Rozdział 2. Śniadanie na nabrzeżu

Rozdział 3. Intymne spotkanie

Rozdział 4. Motywacja

Rozdział 5. Ucieczka

Rozdział 6. Śniadanie w łóżku

Rozdział 7. Niedostatecznie martwy markiz

Rozdział 8. Zła wiadomość

Rozdział 9. Transcendencja

Rozdział 10. Profesjonalne z bogiem

Rozdział 11. Bez zmiłowania

Rozdział 12. Klan na tropie

Rozdział 13. Krwawa noc

Rozdział 14. Filozof w morzu

Rozdział 15. Postęp

Rozdział 16. Niestandardowa opieka

Rozdział 17. Profesjonalista

Rozdział 18. Dobrym słowem i toporem

Rozdział 19. Głód, głód, głód

Rozdział 20. Spotkanie rodzinne

Rozdział 21. Na łowach

Rozdział 22. W sypialni

Rozdział 23. Strach

Rozdział 24. Narodziny stratega

Rozdział 25. Przywódca z konieczności

Rozdział 26. Wspecjalizowany drapieżca

Rozdział 27. Z powrotem do światła

Rozdział 28. Świąteczny poranek

Rozdział 29. Z powrotem do światła 2

Rozdział 30. Na końcu drogi

Rozdział 31. Drobnie uprzejmości

Rozdział 32. Korzenie przeszłości

Rozdział 33. Obowiązki w szlafroku

Rozdział 34. Powrót do wielkości

Rozdział 35. Koszmary przeszłości

Rozdział 36. Poza krawędzią szaleństwa

Rozdział 37. Na tropie drapieżcy

Rozdział 38. Testowanie siły

Rozdział 39. Rozpaczliwe głosowanie

Rozdział 40. Przekroczyć własny cień

Rozdział 41. Walka w ciemności

Rozdział 42. Ucieleśnienie koszmarów

Rozdział 43. Droga ku śmierci

Rozdział 44. Zabijać aż do końca

Rozdział 45. Epilogi

Trylogia Bramy ze złota

Karta redakcyjna

Okładka

MIROSLAV ŽAMBOCH
BAKLY **TOM 2** **W OBJĘCIACH**
ŚMIERCI

przełożył
Konrad Bańkowski

fabryka słów®
Lublin – Warszawa

Rozdział 1

Na ścieżce mocy



Janicka paliły oczy, bolały plecy, a do tego był głodny. Wiedział, że nie powinien zaniedbywać śniadań. Choć kolacje wydawały się ważniejsze, również w trakcie pierwszego posiłku dnia mogły mieć miejsce istotne wydarzenia. Od czasu kiedy z pomocą Byvneta poradził sobie z Lavarotim, jego autorytet z pewnością się umocnił, niemniej uświadamiał sobie, że nie powinien zaniedbywać klanowej polityki. Jednak tym razem zwyczajnie nie zdołał się oderwać od przekładów starodawnych tekstów. Pośród zbioru ksiąg, świstków, najrozmaitszych dokumentów, które zakupił na wyprzedaży majątku wymarłego rodu Cermichaelów, odnalazł skarb. Był to zwitek pożółkłych papierów, niegdysiejszych rachunków, które ktoś później wykorzystał na własne notatki. Oryginalny tekst został wymazany, a wciąż widoczne pod światło linie i rzędy cyfr zostały zapisane nieco niechlujnie. Nierzadko ozdobione kleksami, uzupełnione szybkimi szkicami, czasem tylko jakieś nieczytelne szlaczki. Na pierwszy rzut oka wyglądało to niczym zapiski niezbyt skupionego i niekoniecznie zdolnego studenta. Janick początkowo chciał te świstki wrzucić do pudła z bezużytecznymi skrawkami, jednak w pewnym momencie uświadomił sobie, co tam zostało zanotowane. Były to zaledwie dwa akapity. Pierwszy napisany został klanowym językiem czarodziejów, drugi powszechnym, praktycznie tym samym, którym posługiwano się i obecnie na całym

kontynencie. Archaiczna składnia nie stanowiła dla Janicka najmniejszego problemu. Chodziło głównie o dość nieciekawe informacje: ile czego kupić, czasem jakieś dodatkowe wskazówki co do targowania się. Nie były to jednak wyłącznie artykuły życia codziennego, ale i dobra nieco bardziej egzotyczne. Suszone rośliny, narkotyki, substancje pozyskiwane z najrozmaitszych surowców, kamienie półszlachetne, minerały, chemikalia. O podobne artykuły dla siebie i dla klanu starał się w ostatnich latach i sam Janick. To podsunęło mu myśl, że ma do czynienia z zapiskami czarodzieja, możliwe, że wręcz klanowego mistrza, a być może nawet samego wielkiego mistrza.

Na skrawku, który zainteresował go najbardziej, dostrzegł w rogu zapisaną w powszechnym krótką uwagę: „Stary myśli, że każdy w klan-swaglishu nawija jak on sam. A ja to muszę przekładać!”. Obok narysowano kilkoma kreskami prostą szubienicę i zwisającą z niej postać. Wskazywała na nią strzałka, wcześniej musiał też być podpis, ale został wymazany. Janick zgadywał, że musiało to być imię powieszzonego. Notka podsunęła mu myśl, że drugi akapit mógł być przekładem pierwszego. Świadczył o tym i fakt, jak bardzo był podkreślony i poprawiany.

Pierwszą połowę nocy zajęło Janickowi upewnienie się w tym przeświadczeniu, drugą spędził na poszerzaniu swego słownictwa. Kilka godzin posunęło go w studiach dalej niż w przeszłości całe lata.

Dzięki temu, co miał teraz do dyspozycji – przeleciał wzrokiem porozkładane na biurku dokumenty – będzie mógł zrozumieć starodawne teksty lepiej niż ktokolwiek inny. Wszystko, czego dokonał do tej pory, wydawało się jedynie początkiem drogi. Prawdziwe sekrety magii dopiero teraz znalazły się na wyciąg nięcie ręki.

Panie– usłyszał w swojej głowie głos Byvneta. Skoncentrował się na nim i po chwili dostrzegł to, na co patrzył niepełnosprawny sługa. Obraz był czarno-biały, rozmazany i zdeformowany, ale i trochę inny, jakby Byvnet dostrzegał również rzeczy, których normalni ludzie nie widzieli. Janick miał świadomość tego, że swoją pozycję

wielkiego mistrza zdołał utrzymać wyłącznie dzięki niemu. I to właśnie od swego wiernego sługi rozpoczął plan umacniania lojalności. Na początek przydzielił mu kwatery i osobistego sługę Lavarotiego, tak aby zadbać o jego wygodę. Część obowiązków i uposażenie byłego mistrza rozdzielił między Klinsmana i, nie bez żalu, Buerpa. Nikim bardziej odpowiednim, niestety, nie dysponował. Otrząsnął się z rozważań o klanowej polityce i wrócił do Byvneta.

Tak, słyszę– odparł w myślach.

Przybysz, panie. Mężczyzna, z którym...

Wiem, kto przyszedł– Janick przerwał słudze, którego wzrokiem rozpoznał Grumana. *Przyprowadź go do pracowni. Najlepiej tak, żeby was nikt nie widział.*

Rozumiem, panie– otrzymał odpowiedź i kontakt się urwał.

To oznaczało, że do pewnego stopnia Byvnet mógł kontrolować ich sprzężenie. Janick nie zastanawiał się nad tym w tej chwili, nie było to aż tak interesujące. I bez tego miał się nad czym głowić, a czasu wystarczało mu, jedynie aby skoncentrować się na tych najważniejszych sprawach. Już samo rozstrzygnięcie, które z nich są najważniejsze, wydawało się trudne.

Na przykład ta młoda kobieta, którą spotkał na wyprzedazy. Było oczywiste, że na aukcji znajdą się osoby przynajmniej częściowo wrażliwe na magię lub magią się interesujące. Właśnie dlatego zabrał ze sobą jeden z artefaktów, taki, o którym miał komplet informacji. Była to elastyczna bransoleta z miki, którą zakładało się na lewy nadgarstek. Janick nie miał pojęcia, czemu akurat na lewy, ale doświadczenie nauczyło go przestrzegania zaleceń w najdrobniejszych szczegółach. Kiedy noszący bransoletę dotknął kogoś innego, artefakt rozpoznawał magiczny potencjał danej osoby. Informacja była przekazywana za pomocą uścisku, którego siła odpowiadała poziomowi magicznego talentu. Janick wciąż miał na nadgarstku ciemnoczerwoną pręgę i sińce. Niewiadome pozostawało jednak, czy owa kobieta była czarodziejką, czy dysponowała jedynie tak silnym potencjałem. Prawdę

powiedziawszy, Janick sam do końca nie wiedział, jak należy rozumieć termin „magiczny potencjał”. Był to jego własny przekład.

Chwilę później usłyszał charakterystyczne szuranie stóp Byvneta, który zapukał do drzwi, odczekał chwilę i wkroczył do pracowni w towarzystwie wysokiego, milczącego zabójcy.

– Siądźcie, proszę, obaj – powiedział Janick.

Sam rozsiadł się za biurkiem i zadzwonił po sekretarza. Wiedział, że Nolt będzie niezadowolony z powodu zadań, które, jak sam uważał, do niego nie należały. Janick miał to w nosie. Podejrzewał, że sekretarz przekazywał informacje Lavarotiemu, teraz pewnie komuś innemu. Zapewne Buer powi. Może należało się go pozbyć? Natychmiast przyszła mu do głowy trucizna, która doskonale by się do tego nadała. Niestety, zbyt wiele miał obecnie na głowie. Westchnął. Tymczasem musiał dać mu coś do roboty, tak aby tamten nie mógł szpiegować pod drzwiami. Skupił się na przybyszu.

– Cóż was do mnie sprowadza? – spytał.

Zabójca wydawał się jak zwykle nieobecny duchem. Miał w ogóle jakieś życie wewnętrzne czy została z niego już tylko kukła? Janick nie wiedział, ale za to przyszedł mu do głowy kolejny znakomity pomysł. Wojownicy kukły, o ileż byliby lepsi niż normalni. Posłuszni, pozbawieni strachu przed śmiercią. Może umiałby takich stworzyć, pozostawiłby im jedynie odrobinę samodzielnego myślenia, tak na wszelki wypadek...

– Wasze rozkazy – otrzymał odpowiedź.

Janickowi nie udało się ukryć zaskoczenia.

– Miałem być waszymi oczami i uszami, informować o wszystkim, co się dzieje niezwykłego.

Pojawił się Nolt z miną jeszcze bardziej skwaszoną niż zazwyczaj, ale na żadne protesty się nie odważył. Może i Janick nie u wszystkich jeszcze wyrobił sobie należyty respekt, ale Byvnet z całą pewnością tak. Janick nakazał sekretarzowi, aby przygotował herbatę, kawę i przyniósł jakąś małą przekąskę.

– Tylko tak na jednej nodze – rzucił jeszcze za nim.

Wiedział, że sekretarz na przekór nie będzie się spieszył. Ważniejsze jednak było, że nie będzie wystawał pod drzwiami,

próbując podsłuchiwać. Byvnet uniósł się ze swego fotela, otworzył Noltowi drzwi i czekał przy nich tak długo, aż tamten zniknął za kolejnymi, na drugim końcu korytarza. Janick już wiedział, jak się rozprawić z Noltem. Będzie na nim wypróbowywał niektóre z wolno działających trucizn, te, do których przygotowania trzeba użyć magii. I będzie przy tym skrzętnie notował obserwacje. Ten pomysł od razu poprawił mu humor.

– I cóż takiego niezwykłego się wydarzyło? – zapytał wreszcie po przerwie wystarczająco długiej, aby upewnić się, że nikt inny ich nie słucha.

Zabójca wskazał wzrokiem na Byvneta.

– On jest w porządku, to zaufany człowiek.

Gruman tego nie skomentował, zwrócił swą uwagę z powrotem na czarodzieja.

– Zniknęły bezpieczeństwa psy. Na ulicach nie ma już ani jednego.

Janick zdusił rozdrażnienie. Jego niecierpliwość była spowodowana tym, że chciał jak najszybciej wrócić do pracy nad nowymi hasłami w słowniku.

– I czemu uważacie, że jest to istotne?

Kolejna rzecz, która uświadomiła mu, jak bardzo się zmienił. Będzie się przysłuchiwał opiniom innych ludzi. O ile jakies mieli. Dzięki temu będzie mógł lepiej ich poznać, a co za tym idzie w razie potrzeby łatwiej ich zniszczyć. A przy tym zawsze może też pozyskać nowe pomysły, idee, które mogą się okazać zbieżne z jego zainteresowaniami.

– Bezpańskie psy to mądre zwierzęta, dla nich miasto to dżungla i potrzeba sprytu, aby móc w niej przeżyć. To JEST niezwykle, jeśli w ciągu kilku dni nagle wszystkie znikają. Tydzień temu na nabrzeżu walczyły o każdy odpadek, teraz nie ma ani jednego.

Janick skinął tylko głową, bo nie do końca wiedział, co powiedzieć.

– Macie może jeszcze coś dla mnie?

– Otrzymałem zadanie, aby informować o wszystkich niezwykłych wydarzeniach w mieście.

– To prawda – zgodził się Janick – i ja te wasze wysiłki bardzo sobie cenię.

Uświadomił sobie, że przydałby mu się taki osobisty strażnik jak ten zabójca. Lojalny, zdolny. Kto wie, może potrafiłby przyjść z pomocą, nawet gdyby w przyszłości Janickowi zdarzyło się znów stanąć twarzą w twarz z nocnym koszmarem, zabójcą z bagien.

– No więc macie dla mnie jeszcze coś? – Janick zdołał zadać pytanie bez cienia sarkazmu w głosie.

– Zniknęły też szczury wędrownie. A przynajmniej większość z nich.

– Wędrownie? – zdziwił się Janick. – Szczur to szczur.

– Są różne gatunki. Te zwykłe, domowe, są mniejsze, mają dłuższe ogony, zazwyczaj szukają suchych miejsc, a czasem nawet mieszkają na drzewach. Wędrownie są większe, ogony mają krótsze i nie wadzi im wilgoć. Rozmnażają się dużo szybciej niż te zwykłe.

Janick nie był przygotowany na wywód zoologiczny.

– A skąd wy to wszystko wiecie?

– Za dziecka chwyciałem i jedno, i drugie. Dobrze było coś wiedzieć o ich zwyczajach.

Janickowi wydało się, że głos zabójcy zabrzmiał bardziej beznamiętnie niż zwykle. Nie był kukłą, miał własne uczucia i przemyślenia, zdecydował czarodziej. I właśnie dlatego należało słuchać ludzi. Człowiek mógł się dowiedzieć czegoś więcej.

– A jak się zorientowaliście, że zniknęły? – wrócił do rozmowy.

– Tu, w Grafzaty, jest gorąco. Wszelkiego rodzaju zapasy są składowane w głębokich piwnicach, a te często łączą się z systemem kanalizacyjnym. W nim, oczywiście, żyją szczury. Wszystkie magazyny i składziki są, rzecz jasna, pozabezpieczone tak, aby szczury nie mogły się do nich dostać, ale one zawsze znajdą sposób. Wszyscy się z tym liczą. Jednak w ciągu ostatnich kilku dni nic takiego się nie działo.

– Wypytajecie szynkarzy o to, czy im szczury nie kradną zapasów? – nie mógł zrozumieć Janick.

– Zacząłem po tym, jak w pensjonacie, w którym się zatrzymałem, służący zapomniał na noc zamknąć kratę i przez noc nic nie

zniknęło. To mnie zaciekało. A to, czego się dowiedziałem, wydało mi się niezwykle, więc o tym donoszę.

Janick skinął z powagą. W jego głowie odezwał się dzwonek alarmowy. Jakby coś gdzieś przeoczył, jakby spoglądał na wskazówkę, ale jeszcze nie miał pojęcia, dokąd ma ona prowadzić.

– Rozumiem – odpowiedział z powagą. – Dostrzeżliście jeszcze coś niezwykłego?

– Nie – padła sucha odpowiedź i czarodziej zrozumiał, że więcej z Grumana dzisiaj nie wyciągnie.

Otworzył jedną z licznych szufladek swojego biurka.

– Oto zapłata za waszą służbę. – Podał zabójcy rulonik.

Kolejna rzecz, której się nauczył. Płacić tak, aby nikt nie widział ile. W ruloniku było dwadzieścia złotych. Zabójca przyjął pieniądze w milczeniu i schował je do kieszonki płaszcza. Janick zauważył, że ubiór miał wiele podobnych kieszonek, zamaskowanych nieznacznym prążkowanym wzorem. Nawet ten wzór widoczny był jedynie z bliska i tylko kiedy się człowiek na nim skupił.

– Znacie tę kobietę?

– Nie wiem, o jaką kobietę chodzi.

– Tę, którą spotkaliśmy na aukcji.

Janick zganił się w myślach za niewłaściwie zadane pytanie. Niepotrzebnie dał Grumanowi czas na zastanowienie. Tym razem nie miało to większego znaczenia, nie spodziewał się, żeby zabójca ją znał tak czy inaczej, jednak w przyszłości będzie musiał zwracać na tego typu rzeczy uwagę.

– Nie, nie znam – odparł zabójca bez zawahania.

– Moglibyście się dowiedzieć, kim jest?

– Oczywiście. Ale to zabierze trochę czasu, o ile nie chcecie, żebym miał wypytywać otwarcie.

– No tak, tak właśnie. Załatwcie to skrycie.

– Zgłoszę się, jak czegoś się dowiem.

Byvnet spojrzął ku drzwiom. Janick zareagował natychmiast.

– Wejść – rzucił.

I rzeczywiście, drzwi otworzyły się i do środka wkroczył sekretarz, który niósł tacę z kawą i herbatą. Starał się przy tym nie

wyglądać na zbyt wściekłego. Nie dali mu najmniejszej chwili na podsłuchiwanie pod drzwiami.

– No, tośmy się dogadali – zakończył spotkanie Janick. – Herbata tylko dla mnie, mój sługa – tu spojrzął na Byvneta – wyprowadzi gościa.

Rozdział 2

Śniadanie na nabrzeżu



Silniejszy powiew wiatru przyniósł ze sobą chłód. To Grumana zaskoczyło, przyzwyczał się do tego, że w Grafzaty były tylko dwa rodzaje pogody – upał i jeszcze większy upał. Przyglądał się falom zwieńczonym białymi grzywami, rozbijającym się o wystające z wody czarne czubki skał. Szyper coś krzyknął, Gruman wprawdzie nie zrozumiał, ale na wszelki wypadek się skulił. W samą porę, bo tuż nad głową przeleciał mu masywny bom. Łódź zmieniła kurs. Ustawili się dziobem do brzegu, twarz zabójcy opryskała świeża dawka morskiej wody. Przymrużył tylko oczy, starając się ignorować palącą skórę sól. Z uwagą śledził zbliżającą się linię brzegu. Lawirowali teraz między wystającymi z wody skałami i Gruman starał się odgadywać, gdzie wypadnie kolejny zwrot. Wciąż się mylił.

Po nocy ciężkiej pracy ramiona miał zmęczone, bolały go plecy, usta były wysuszone i spękane. W odróżnieniu od innych nie zabrał ze sobą bukłaka. Nikogo o wodę nie chciał prosić, ale też nikt mu swojej nie zaproponował. Cierpliwie czekał na polecenie, które miało nadejść lada chwila. Jak tylko znajdą się wewnątrz niewielkiej naturalnej przystani, będą musieli pokonać przeciwny prąd. Z tego powodu, tak jak i trzech innych mężczyzn, trzymał w pogotowiu długie wiosło.

O dziób rozbiła się ostatnia fala.

– Żagiel zrzuć, do wiosła, na moją komendę!

Gruman posłuchał, tak samo jak pozostali.

– I rraz! I rraz! I rraz!

Gruman poddał się rytmowi, dzięki ich wysiłkowi łódź zwolniła jedynie nieznacznie. Powoli zbliżała się teraz do pomostu, na którym czekał zgarbiony, siwowłosy starzec. Dość zwinnie chwycił rzuconą mu cumę i owinął ją wokół polera. Z drugą, z rufy, już sobie poradził jeden z rybaków. Nie skończyli jeszcze cumowania, a na pomoście już się tłoczyli handlarze.

– Co tam macie? Ile tego jest?

Gruman przysłuchiwał się targom pomiędzy jednym z kupców a szyprem, którego wspierał w negocjacjach sternik. Skrawek słonecznej tarczy wyrzwał zza horyzontu. Gruman był wdzięczny za każdy promyk.

Wysiadł z łodzi razem z resztą załogi i czekał, aż transakcje dobiegną końca. Nie trwały zbyt długo. Najlepsze ceny osiągały ryby najświeższe, czyli te, które jako pierwsze trafiały na targ. Kto pierwszy przybił do brzegu z dobrym ułowem, zarabiał najwięcej. Na wodach przystani zaczęły się pojawiać kolejne łodzie. Gruman wiedział, że ich załogi na tak dobry zarobek nie mogły liczyć. Błądził wzrokiem po brzegu w poszukiwaniu Corinne. Nie umówili się, ale zakładał, że ją tu spotka. Dostrzegł wreszcie kobietę w pobliżu mola.

– Chłopy, zapłata! – huknął szyper, kiedy ostatnia beczka z rybami zmieniła właściciela.

Gruman stanął na końcu kolejki i czekał, aż przyjdzie jego pora. Właściciel łodzi podał mu umówioną zapłatę, srebrniaka i trzy miedziaki.

– Jak będziesz zainteresowany, wypływamy pojutrze, wraz z odpływem. Mam miejsce, Josz ma wciąż poranioną rękę.

– Dam znać – wymamrotał Gruman, ścisnął w garści pieniądze i bez pożegnania ruszył na brzeg, ku Corinne.

Siadł obok na pachołku. Wiosną i jesienią, kiedy przeważał wiatr od stałego lądu, łodzie cumowały przy samym brzegu.

– Wyglądasz na zmęczonego – zauważyła.

– Jestem wyczerpany, zziębnięty, chce mi się jeść i pić i w butach mi chlupocze – odpowiedział poważnie. – Jakbym padł tu i teraz,

potnij mnie na kawałeczki i sprzedaj jako nasolone mięso. Dokładnie tak się czuję.

Zdławiła śmiech, z plecionej torby wydobyła zakorkowaną ceramiczną butelkę i mały porcelanowy kubeczek. Napełniła go i podała Grumanowi. Przyjął napitek z podziękowaniem, pociągnął łyk. Gorąca herbata z dodatkiem czegoś mocniejszego. Obserwował dobijające łodzie, szyprów targujących się z kupcami, zmęczonych rybaków udających się do domów albo okolicznych tawern.

– Dobrze to, dziękuję.

Siedzieli ramię w ramię, milcząc, za co był wdzięczny. Po kilkudziesięciu minutach ruch na nabrzeżu zamarł.

– Czemu rybacy nie sprzedają towaru sami? Gdyby go dowieźli na targ, dostaliby lepszą cenę.

– Tak już jest, taki zwyczaj. Gdybym tam stała i ja, dostałabym jako wdowa po rybaku parę kilo pośledniejszych ryb, które mogłabym ususzyć i sprzedać. Też taki zwyczaj. A może są po prostu zbyt wycieńczeni, żeby się jeszcze z tym trudzić – odparła po chwili.

Gruman skinął głową. Słońce grzało już całkiem przyzwoicie, nie musiał się koncentrować, aby nie trząść się z zimna.

– Gdzie jest Haak?

– Próbuje mnie zastąpić w pracy, ale wielkich szans mu nie daję. Musiałby nakupić ryb naprawdę tanio, żeby opłaciło mu się sprzedać nasolone i wysuszone. Próbuje gdzie indziej, na przystani przy Jędraskiej. Tam mnie tak dobrze nie znają. Większość tych tutaj – wskazała ręką dokoła – znała mojego męża, więc oferują mi ceny wyższe niż normalnie.

Gruman skinął głową. Kiedy ludzie wzajemnie sobie pomagali, zyskiwała na tym cała społeczność. Pomocna dłoń mogła przyjąć wiele rozmaitych form. Na przykład nieco wyższą zapłatę dla wdowy po rybaku, opiekującej się dzieckiem.

– Głodny jestem, kramy będą już pootwierane. Chodźmy coś zjeść.

– W domu coś się znajdzie – zaproponowała.

Wiedział, że chodziło o pieniądze.

– Chodź. – Wstał i wyciągnął do niej rękę.

Zatrzymali się przy pierwszym straganie z jedzeniem, przy którym można było usiąść. Wprawdzie jedynie na kilku pomalowanych palmowych pniakach, ale za to był stąd widok na morze, co sprawiało Grumanowi przyjemność. Morze wciąż miało dla niego powiew egzotyki, a przy tym inspirowało go do rozmyślań nad przyszłością.

Za dwie porcje śniadania i dzbanek kawy zapłacił siedem miedziaków. Drobne, które mu zostały z wypłaty, położył w zamyśleniu na talerzyk i wziął się do jedzenia. Najbardziej smakowały mu pikantne klopsiki. Sprzedawca twierdził, że są z wieprzowiny, ale dla Grumana było oczywiste, że zrobiono je z resztek ryb zmieszanych z mąką i tylko doprawionych wieprzowym smalcem. Nie miało to znaczenia. W ostrym sosie smakowały znakomicie.

– Dostałeś prowizję? Dunegi miał dziś dobry dzień. Wrócił jako pierwszy, w dodatku z dobrym połowem – spytała Corinne między łapczywymi kęsami.

Sprawiło mu radość, że kiedy już pogodziła się z jego rozrzutnością, w pełni rozkoszowała się zakupionym śniadaniem.

– Nie. Tylko tyle, na ile się umówiliśmy wcześniej.

Ostatni klopsik, jak zawsze, był najlepszy. Wciąż czekały na niego kawałki ryby i miska z ciemnobrązowym sosem, który pachniał frapująco. Gruman zastanawiał się, czy mu będzie smakować, czy nie.

– Powinien był dorzucić coś ekstra, mimo że byliście dogadani.

– Nie jestem stąd – przypomniał jej.

– Wszystko jedno. Odrobina życzliwości przynosi szczęście.

Uśmiechnął się. Ciekawe podejście do życia.

– Właściwie to czemu wyszedłeś w morze? Nie wyglądasz mi na kogoś, kto chce w ten sposób zarabiać na życie – zainteresowała się.

Dokończyli swoje porcje i Gruman zorientował się, że wciąż jest głodny. Odniósł opróżnione miski i wrócił z zupą dla dwojga, jak sugerował obrazek służący za listę dań. Poprosił o dodatkową porcję mięsa i makaronu, tak że łyżki stały teraz w misce na sztorc. Podał jedną Corinne, za drugą złapał sam. Za dokładkę śniadania zapłacił

kolejne trzy miedziaki. Z nocnej wypłaty zostało mu ich już tylko pięć.

– Miejscowi mężczyźni wypływają w morze od dziecka i znają je lepiej, niż ja zdołałbym się nauczyć i w pięć lat – zauważył.

– No, to prawda – zgodziła się. – Właśnie dlatego tak mnie zaskoczyło, że popłynąłeś.

Gruman uświadomił sobie, jak dobrze się czuje. Przestało mu być zimno, w żołądku grzała strawa, delectował się niespieszną konwersacją z Corinne, przy której nie musiał niczego udawać. Oboje mówili wprost, opisując świat tak, jak go postrzegali.

– Dunegi jest dobrym szyprem, nie? – zapytał.

– Owszem. Jednym z najlepszych – potwierdziła.

– W ludziach do załogi może pewnie przebierać.

– To prawda. Ci, którzy z nim pływają, zazwyczaj zarabiają lepiej niż inne załogi. Oczywiście, o ile nie są cudzoziemcami, którym nie przysługuje prowizja za wyjątkowo dobry połów. – Uśmiechnęła się i wyłuskała dorodną krewetkę wystającą z makaronu. Triumfalnie pokazała ją Grumanowi.

Jadła teraz powoli, dużo wolniej niż on.

– Na pokładzie był z nami taki młody chłopak. Niewielki, ale zwinny, włosy zaplecione w warkoczyk, piegowaty – opisał.

– Murdi. – Skinęła głową. – Znam go od małego, może mieć najwyżej siedemnaście lat. Od dziecka pływał z ojcem, teraz już sam. Chce się usamodzielnąć, wypatrzył sobie jakąś dziewczynę z miasta.

– Spodobał mi się. Inteligentny, z doświadczeniem, zna morze. Ile dostają rybacy, kiedy się najmują do czyjejs załogi?

Corinne popatrzyła na niego z namysłem.

– Zazwyczaj trzecią część zysku, po odliczeniu płacy regularnej załogi. Taka łódź jednak kosztuje strasznie dużo pieniędzy. I często trzeba czekać naprawdę długo, jeśli ma być na zamówienie.

Gruman skinął głową i odłożył łyżkę. Miska była pusta.

– Zaproponowałbym mu połowę. Zebrałby własną załogę i pracował dla mnie. Dla nas. – Popatrzył na Corinne. – Pieniądze na zakup łodzi mam.

– Ten ciężki tobołek, który schowałeś w piwnicy pod kamieniem w rogu?

Gruman uniósł oczy w udawanym zaskoczeniu.

– Nie miałem pojęcia, że ktoś mnie obserwował.

– To była skrytka mojego męża. Robiłam trochę porządków, pozbywałam się różnych staroci. Wcześniej tam tego nie było.

Gruman w pełni to rozumiał. Czasem trzeba pozbyć się pamiątek po przeszłości.

– Jest tam wystarczająco dużo pieniędzy, aby kupić łódź – powiedział tylko.

– Nie zagłędałam. – Wzruszyła ramionami. – A masz jeszcze jakieś inne plany? Na przykład dla mnie?

– Mam – powiedział z powagą. – Ty i Haak będziecie dostarczać na targ te ryby, które Murdi dla nas złowi. A jak już je sprzedacie, to usiądziemy, weźmiemy sobie coś dobrego do zjedzenia i będziemy spoglądać na morze. I sobie rozmawiać, jeśli będziemy mieli na to ochotę.

– A ty czym się będziesz zajmować?

– A ja będę tego wszystkiego doglądał – odparł z cieniem uśmiechu.

Doskonale rozumiał, że z początku będzie ciężko. Nikt nie lubi nowej konkurencji i z pewnością będzie musiał wytłumaczyć temu i owemu, żeby nie próbowali żadnych sztuczek. Z tym akurat problemów mieć nie powinien. Bardziej martwiło go, co wyniknie z jego ostatniej roboty dla klanu. Z tego, co wypuścili do podziemi miasta. O ile rzeczywiście coś tam wypuścili. Miał nadzieję, że jednak nie. Natychmiast otrząsnął się z tych myśli.

– Mam za to bardzo konkretny pomysł na to, co chciałbym zrobić teraz. – Spojrzał na nią.

Widział, jak drżą jej kąciki ust. Przybrała poważny wyraz twarzy i położyła mu rękę na ramieniu.

– Po nocy ciężkiej pracy na morzu? Zakładam, że chcesz się umyć, przebrać w coś suchego i odpocząć – zgadywała.

– Też.

Wstali i trzymając się za ręce, ruszyli w kierunku jej domu. Na drewnianym blacie połyskiwały brązem miedziaki, które zostały Grumanowi z jego wypłaty za połów.

Rozdział 3

Intymne spotkanie



Zuzanna stała w oknie i spoglądała na Valera, jak odchodzi w towarzystwie swoich ludzi. Czekał ich ciężki dzień, musieli zorganizować kolejną dostawę towarów, miejsce do ich składowania i później rozprowadzanie po kupcach. Wciąż nie udało im się nająć ludzi, na których mogliby zrzucić część obowiązków i zadań. Trzeba się będzie o to w miarę szybko zatroszczyć, uświadomiła sobie, inaczej zwyczajnie wszyscy się wykończą. Rzuciła za kapitanem jeszcze jedno spojrzenie. Kroczył energicznie, aż nazbyt szybko. Widziała, jak jego ludzie wymieniają ukradkowe spojrzenia. Można by rzec, że zazwyczaj spokojny i opanowany kapitan jest wzburzony, wściekły wręcz. Wiedziała dlaczego. Miała wrażenie, że otaczające ją ściany wciąż pobrzmiwają echami ich burzliwej debaty, którą niejednen nazwałby kłótnią.

Valer nie zgadzał się z jej pomysłem, aby złożyć wizytę markizowi Parleurowi. Przedstawił jej wszystkie informacje, jakie zdołał o nim zebrać. To jednak Zuzanny nie zraziło. Nie wszystko, co Valer powiedział, musiało być prawdą, ale nawet jeśli, to będzie przecież na siebie uważać. Nie przypuszczała też, aby markiz miał sobie na cokolwiek pozwolić w stosunku do szlachcianki, w biały dzień, w trakcie spotkania, na które ją pisemnie zaprosił.

Drzwi otwarły się i wkroczyła Katrin, niosąc tacę, a na niej herbatę i ciasteczka. Zastawa była dla dwojga, ciasteczka upiekł sam

Gewner. Zuzanny nie przestawało zadziwiać, że człowiek, który był tak nieprzyjemny w obejściu, potrafił tak wspaniale gotować.

Katrin wyglądała na zaskoczoną. Nie spodziewała się, że nie zastanie Valera. Zuzanna po raz kolejny uświadomiła sobie, że jej służebna ma do kapitana słabość. Może powinna mieć na nią oko. Katrin była atrakcyjna, niegłupia, potrafiła się o siebie zatroszczyć. I była od niej młodsza. To, że była służącą, niczego nie zmieniało. Na pewno nie dla Valera. Zresztą Zuzanna sama czuła się bardziej wagabundą niż szlachcianką. Tytuł był przecież tylko fasadą, przykrywką. Gdyby Katrin zdołała go uwieść... Valer nie był mężczyzną, który seks traktował jak zabawę. Katrin przyjrzała się jej badawczo i Zuzanna zrozumiała, że pozwoliła, aby emocje odmalowały się na jej twarzy.

– Zastanawiam się nad czymś. Obsłużę się sama, dziękuję.

Dziewczyna wyszła. Zuzanna naląła sobie filiżankę herbaty, zasiadła w fotelu i jeszcze raz przeanalizowała swoją dyskusję z kapitanem. Był taki moment, w którym Valer próbował jej powiedzieć coś od siebie, coś osobistego, ale zrezygnował. Szkoda. Podobał się jej. Z upływem czasu, im lepiej go poznawała, coraz bardziej. Gdyby tylko nie był wciąż taki sztywny, taki formalny. A z drugiej strony, jeśli nie będą się zachowywać profesjonalnie, szanse na powodzenie ich misji natychmiast zmaleją. Jednak zawsze być takim służbistą, aż do szpiku kości, to jakby w ogóle nie mieć życia. Ale czy ona sama miała jakieś życie prywatne? Takie rozmyślenia prowadziły donikąd. Początkowo chciała, aby to Valer odprowadził ją na spotkanie z Parleurem. Przy jego wysokim stopniu wojskowym byłoby to zgodne z etykietą. Jednak z uwagi na jego opinię o markizie nie było to możliwe. Gdyby mu powiedziała, że spotkanie ma się odbyć dzisiaj, pewnie zamknąłby ją w pokojach.

W tym tkwi sedno, zrozumiała. Był odpowiedzialny za jej osobiste bezpieczeństwo, ale już od samego początku wiedzieli przecież, że całe przedsięwzięcie jest ekstremalnie ryzykowne. Wystarczyło, żeby zechciał im się przyjrzeć cesarski wywiad wojskowy albo żeby nabrał co do nich podejrzeń jeden z miejscowych arystokratycznych rodów, który byłoby stać na najęcie klanu zabójców, i byłiby

szczęśliwi, gdyby udało im się ujść z życiem, nie mówiąc już o próbach zatarcia śladów. Z tym się przecież liczyli.

Niemniej w chwilach zagrożenia jej własnego bezpieczeństwa Valer reagował... nieadekwatnie. Jako profesjonalista powinien był po prostu rozważyć za i przeciw, ocenić, czy ryzyko warte jest zachodu. Tymczasem on po prostu wybuchł. Zaczęła się do siebie bezwiednie uśmiechać. Może jeszcze nie wszystko stracone. Może wystarczy go trochę... rozbudzić. Lub stworzyć sprzyjającą sytuację, właściwą atmosferę. Zorientowała się, że równo cześnie uśmiecha się i czerwieni. Jej wyobrażenia nabrały nieoczekiwanie konkretnych kształtów. Z powrotem do pracy, skarciła samą siebie.

Napiła się herbaty, na kolanach położyła sobie tacę z przyborami do pisania i sięgnęła po stos zeszytów, które zakupiła na wyprzedaży majątku Cermichaelów. Zdążyła je już raz pobieżnie przejrzeć, teraz chciała powypisywać z nich wybrane fragmenty.

Sądząc z tego, co przeczytała do tej pory, Grafza tza należała do nielicznych dużych miast, które w czasie Wielkiej Wojny nie zostały zrównane z ziemią. Być może była wręcz jedynym takim miastem. Poświadczały to i historie wybranych miejscowych możnych rodów, które rezydowały tu dłużej niż czterysta lat. Według księcia Wielka Wojna miała miejsce przed trzystu siedemdziesięcioma sześcioma laty, jednak Zuzanna zakładała, że mogło to być nawet o ćwierć stulecia wcześniej lub później. Zapiski, które miała przed sobą, zostały poczynione przez kogoś, kto ponad cztery wieki temu opiekował się ruchomym i nieruchomym majątkiem swego pana. Podczas wcześniejszej lektury nie dostrzegła nigdzie żadnych wskazówek, które pozwoliłyby na identyfikację rodu, ale miała nadzieję, że może coś jeszcze uda jej się na ten temat znaleźć. Zaciekawilo ją, że przez stosunkowo długi okres, jakieś dziesięć lat, autor zapisków mocno troszczył się o samowystarczalność majątku. Park przemienił w uprawne poletka, a na dachach budynków próbował uprawiać warzywa. Za mięso płacono w tym czasie złotem, a o ryby toczono wręcz boje. Zatopiła się w lekturze, wpisując interesujące fakty do tabelki i opatrując je dodatkowo własnym komentarzem.



Parleur sparował cięcie na korpus, pozwolił ostrzu zjechać odrobinę po klindze, tak aby zmusić przeciwnika do wykroku w przód, po czym całkiem się uchylił i uderzył go jelcem. Jego przeciwnik, znamienity szermierz, zasłonił się wprawdzie przed kontratakami, ale uderzenia głowicą się nie spodziewał. Parleur włożył w nie odrobinę więcej siły, niż to było konieczne, jednak nie na tyle, aby w sparringu wydało się to podejrzane.

– Poddaję się, panie, wygraliście – oznajmił Moonte Vraal, po czym odstąpił i zdjął z twarzy maskę.

– Proszę o wybaczenie – powiedział markiz – poniosło mnie. Chciałem przedostać się przez waszą obronę za wszelką cenę.

– No i udało się wam – odpowiedział chłodno Vraal.

Parleur przeczuwał, że nie przekona go swoją wymówką, ale było mu wszystko jedno.

– Musujące! – Pstryknął palcami na oczekującego z boku sługę.

Ten natychmiast podbiegł z tacą, na której miał naszykowane dwa kielichy. Napełnił je z oszronionej butelki. Parleur napił się łąpczywie. Niewiele było rzeczy równie przyjemnych, co kieliszek dobrze schłodzonego wina musującego chwilę po tym, jak pokonało się przeciwnika. Bardzo dobrego przeciwnika.

– Jesteście wyjątkowym szermierzem, panie – zauważył Vraal. – Nie brak wam talentu, a i trenujecie niemało. Do tego dzięki swojej budowie dysponujecie przyzwoitą siłą. Nawet ciężkim mieczem robicie z zaskakującą lekkością.

– To prawda, trenuję. Reszta to spadek po przodkach – odpowiedział Parleur z zadowoleniem.

Fizycznie był w bardzo dobrej formie. Chełpił się tym i częstokroć z tego korzystał. Po krótkiej pogawędce wymaganej konwenansami pozwolił szermierzowi się oddalić. Zdecydował, że następnym razem skrzywdzi go jeszcze bardziej. Ryzyko zawodowe. Zwłaszcza kiedy uczeń jest aż o tyle lepszy od mistrza. Uśmiechnął się do siebie.

Nie wątpił, że Vraal będzie chciał podwyższyć stawkę za treningi. Markiz nie miał nic przeciwko temu.

– Kąpiel, do niej jakaś lekka przekąska. Potem ubranie i kolacja dla gościa – wydał serię zwięzłych rozkazów. Jego personel był doskonale wyćwiczony. – Kiedy wszystko będzie przygotowane, a ja odziany, masz wolne aż do jutra do południa. I małą premię, jak zawsze. Przyślij mi Crufa i Hergego. Po kąpeli – dodał.

– Tak, panie, rozumiem – odparł sługa z kamiennym obliczem.

Mimo to markiz dostrzegł w jego oczach wyraźną radość. Każdy by się cieszył z nieoczekiwanego wolnego. A już tym bardziej jeśli towarzyszyły mu dodatkowe srebrniaki.

Dwie godziny później markiz pozwolił masażystce odejść, rozsiadł się w fotelu i wsłuchał w szemranie fontanny. Woda rozlewała się wokół podestu, na którym stał jego fotel i mały marmurowy stolik.

Po ćwiczeniach, kąpeli i masażu Parleur czuł się wybornie. Do drzwi zapukał sługa i po krótkiej pauzie wkroczył, niosąc na tacy kielich. Brodząc, podszedł do stolika, postawił na nim kielich i wrócił pod drzwi, gdzie stanął w oczekiwaniu na dalsze rozkazy. Markiz przez chwilę przyglądał się oszronionej powierzchni kielicha.

– Precz, nie będę cię już potrzebować – wygonił służącego.

Sługa oddalił się bez słowa, a jego miejsce zajęli Cruf z Hergem. Obaj równie wysocy, nabici, z szerokimi klatkami piersiowymi i brzuchami zdradzającymi, że wiedzie im się nad wyraz dobrze. Ich mięsiste twarze z wielkimi, czerwonymi nochalami miały w sobie coś świńskiego. Nosili się niczym wysoko postawiony personel należący do zamożnego rodu, ale ich prawdziwą naturę maskowało to jedynie w niewielkim stopniu. Parleur chwilę im się przyglądał. Bracia nie byli najbystrzejsi i mieli wiele przywar. Jednak Parleur cenił sobie ich nieliczne zalety. Znalazł ich lata temu, kiedy poszukiwał kogoś, na kim mógłby polegać. Na jakimś kompletnym zadupiu miejscowi kmiotkowie zamierzali właśnie tych dwóch powiesić. Parleur zaintrygowany zażądał, aby wyjaśniono mu sytuację. Okazało się, że ci dwaj, wtedy jeszcze przerośnięte wyrostki, uprowadzili do lasu jedną z miejscowych dziewczyn, tam ją zgwałcili i zabili. A ponoć i używali sobie dalej, już gdy

dziewczyna nie żyła. Kiedy zapytał miejscowych, jak doszli do tego, kto stał za zbrodnią, odpowiedzieli mu, że Cruf i Herge zawsze byli dziwni, więc kiedy dziewczyna zniknęła, każdy od razu wiedział, do których drzwi pukać.

Parleur zapłacił sute odszkodowanie rodzinie zamordowanej, po czym oznajmił, że winowajców zabierze ze sobą do miasta, aby mogli za swe czyny odpowiedzieć przed prawem. Nie miał pojęcia, czy wieśniacy uwierzyli, ale ważne było, że odjechał z bliźniakami. Z biegiem czasu poddał ich niejednej próbie i przekonał się, że inwestycja się opłacała. Niezbyt lotni, ale silni, bez skrupułów, lojalni. W pełni od niego zależni, bo wiedzieli, że w każdej chwili mógł ich oddać pod cesarski sąd. Jak również dlatego, że od czasu do czasu zapewniał im obiekty, na których mogli zaspokajać swoje zdeprawowane chucie. Wytresował ich jak dwa psy i jak dwa psy byli mu oddani.

– Hruspyr się nie pojawił? – zapytał.

Ten był trzecim z jego osobistej ochrony. Bardziej inteligentny i wyrafinowany, przeznaczony do delikatniejszych zadań. Również, tak jak Cruf i Herge, z zamiłowaniem, od których normalnym ludziom wywróciłby się żołądek. Tyle że Hruspyr czasem przejawiał aż nadmiar inicjatywy i nie zawsze czekał, aż to jego pan rzuci mu kość, którą mógłby się pobawić. Stwarzało to swoiste problemy, jednak Parleur właśnie kogoś takiego potrzebował, więc na drobne potknięcia przymykał oko. W ostatnim jednak czasie zaczynał odnosić wrażenie, że Hruspyr coraz mniej panuje nad swoimi popędami.

– Nie, panie. Ani żadne gadanie o ciele, co by morze wyrzuciło na brzeg – odpowiedział Herge.

– Trupy nie zawsze wypływają – zauważył Cruf.

Parleur skinął głową. To go akurat nie interesowało. Napił się wina i z niesmakiem skonstatował, że nie było już tak chłodne, jak by sobie tego życzył.

– Macie ją?

– Owszem, panie. Ciemnowłosa, z wielkimi cycami, cienka w pasie i z dobrym zadem. Taka, jakiej chcieliście – odparł Cruf.

Parleur miał nadzieję, że te gamonie nie przesadziły z „zadem”. Baronówna Münchauzen miała cudownie kobiece kształty i o jej wyglądzie poniżej pleców złego słowa nie można było powiedzieć. Parleur chciał, aby jego zabawka jak najbardziej przypominała baronównę. Wiedział, że rozmowa z nią bardzo go rozochoci i będzie potem musiał jakoś ukoić zmysły.

– Miejskowa?

Cruf z Hergem popatrzyli po sobie.

– Zależy, jak spojrzeć, panie. Miała się zara wydać za takiego jednego tu. No ale sama stąd nie jezd.

Parleur zdusił przekleństwo. Ci dwaj doprawdy nie nadawali się na myślicieli. Powiedział im, że nie może być miejscowa, to rozkaz spełnili, ale nie pomyśleli o tym, że zniknięcie narzeczonej wzbudzi tyle samo podejrzeń, co dziewczyny pochodzącej z Grafzaty. Z drugiej strony zniknięcie panny zawsze budzi plotki, a jak nie, to już on sam się o nie postara.

– Dobrze, niech będzie. Jak z nią skończę, będzie wasza.

Cruf i Herge skinęli głowami jak na komendę i znów popatrzyli po sobie.

– Tylko żeby nie wypłynęła, jasne?

– Się wie, panie. Tą ostatnią razą to był Hruspyr, nie my. Nam nigdy nie wypływają, my się na tym wyznajemy. Mamy na to taki myk...

– Starczy – przerwał im Parleur – nie interesuje mnie to. Sprawdźcie, czy nie kręci się tu jeszcze ktoś zbędny, większość służby dostała wolne. A potem czekajcie w pokoju wypoczynkowym, aż was zawołam.

Pokój wypoczynkowy znajdował się na pierwszym poziomie podziemia i wiodły z niego ukryte drzwi do najgłębszego poziomu.

– Jasne, panie, rozumiemy – potwierdzili i odeszli.

Parleur przez chwilę spoglądał za nimi sceptycznie. Odnosił wrażenie, że za bardzo się utuczyli. Będzie ich musiał częściej gonić do jakiejś roboty. Szybko jednak znów skupił się na tym, co go czekało, na spotkaniu z baronówną Münchauzen. Chciał się przekonać, cóż się kryje za tym ślicznym obliczem, kim kobieta jest

naprawdę. Przeczuwał, że będzie to interesujące. A potem przyjdzie czas i na zabawę, której tak długo sobie odmawiał. Szkoda, że tylko z zamienniczką.



Zuzanna krytycznie przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze, ale nawet pomimo przyrodzonego sceptycyzmu nie znalazła nic, co mogłaby skrytykować. Wyglądała przyzwoicie i elegancko, z pewnością nie wyzywająco, ale równocześnie... podobała się sobie.

– Bardzo wam, pani, w tym do twarzy – oceniła Katrin z nieskrywanym uznaniem.

– Dziękuję za pomoc – odpowiedziała Zuzanna.

Służebna dodała od siebie kilka rad, pomogła wszystko dobrać i skomponować w perfekcyjną całość.

– Gdyby was nie czekało spotkanie z markizem, zazdrościłabym wam.

– Przesadzasz – zbyła ją Zuzanna. – Zawołaj mi Monikę i Kurzera, proszę.

Katrin skinęła głową, dygnęła i wybiegła. Zuzanna uświadomiła sobie, że ukłony Katrin były o wiele powabniejsze, gdy obok znajdował się Valer.



Droga do rezydencji markiza Parleura okazała się trudniejsza, niż Zuzanna oczekiwała. Trafili akurat na szczyt ruchu na ulicach. Właściwie to było chyba gorzej niż zazwyczaj. Może jakieś miejscowe święto? W innych okolicznościach Zuzanna cieszyłaby się przejażdżką, jednak teraz rozmyślała nad spotkaniem z Parleurem. Bać się nie bała, ale miała nadzieję, że coś z tej wizyty wyniknie. Najbardziej chciałaby się dowiedzieć, czy markiz rzeczywiście ma Kamień Zimna, ale była też ciekawa, ile prawdy jest w rewelacjach

Valera. Nawet gdyby to była dziesiąta część, stanowiłoby to powód do obaw. Jednak co miałyby z tą wiedzą zrobić?

Zuzanna widziała już białą wieżę dominującą nad rezydencją rodu Parleur. Dzielnicy luksusowych posiadłości i pałaców wzmożony ruch jakoś się nie udzielił. Monika rozglądała się ciekawie, w tej części miasta jeszcze nigdy nie była. Ubrana była, jak się służącej godziło, w pastelowo niebieską sukienkę z dobrej tkaniny, która jednak w porównaniu z toaletą jej pani wydawała się wręcz nudna. Jeszcze chwila i lekki powóz, którym jechali, zaturkotał po bruku wzdłuż białego muru okalającego rezydencję. Biel nadawała mu pozorną lekkość, jednak Zuzanna zbyt była doświadczona, aby dać się zmylić. Rezydencja Parleurów została zaprojektowana jako budowla obronna. Wiedziała, iż to jeden ze starszych rodów, jednak żadnych szczegółów dotyczących ich historii nie znała. Błąd, który z czasem będzie musiała naprawić.

Dopiero teraz Kurzer zwolnił. Herb rodu Münchauenów na kolasce nie był zbyt okazały i rozpoznawalny jedynie z bliska. Zuzanna przypomniała sobie, że oznaczenia na powozie namalowano raptem poprzedniego wieczora. Mimo to straż przy bramie przepuściła ich praktycznie bez zatrzymywania. Zuzanna dostrzegła mniejszą furtę dla pieszych. Sama brama główna była masywna, solidna, zawieszona na brązowych zawiasach, wypolerowanych do błysku użytkowaniem.

Powoli wjechali na teren posiadłości, pod kołami zaskrzypiał biały piasek, którym wysypana była droga wijąca się przez park. Miejscowi szlachcice lubili chwalić się posiadaną ziemią i utrzymywaną na niej zielenią. Chwilę później kolaska zatrzymała się pod wejściem do pałacu. W promieniach zachodzącego słońca błyszczał bielą tak oślepiającą, że aż trudno było dostrzec detale fasady.

Nie spodziewała się tego, ale markiz czekał osobiście u podnóża schodów i nawet pomógł Zuzannie wysiąść z kolaski. Takiej wytworności po nim nie oczekiwała.

– Wasz człowiek może zatrzymać powóz tam, w cieniu cyprysu. Jest tam też obrok i woda dla konia – powiedział markiz po

formalnym powitaniu.

Zuzanna skinęła głową. Powinna była wziąć więcej ludzi, ale było już za późno. Parleur rzucił Monice krótkie spojrzenie, jednak nie skomentował jej obecności. Podał Zuzannie ramię i zaprowadził je po schodach do pałacu. Pod wysokim sklepieniem panował przyjemny chłód, który zapewniała woda tryskająca z marmurowej fontanny. Zuzanna ruszyła wprost ku niej, Parleur podążył za nią.

– Jest cudowna – zachwyciła się Zuzanna.

– I zasila ją jedno z najwydajniejszych źródeł na wyspie, to nie jest pospolita woda – odparł Parleur z dumą.

Markiz jedynie spojrzał na stojącego opodal sługę i ten natychmiast przybliżył się, niosąc na tacy dwa puste puchary. Parleur oba napełnił, jeden podał Zuzannie, z drugiego napił się sam.

– Posmakujcie. Jest wyjątkowa.

Zuzanna posłuchała i musiała się z nim zgodzić. Woda była czysta, chłodna, lekko słodkawa.

– Pozwólcie, że pochwalę się i innymi owocami wysiłków moich przodków – wskazał drzwi po przeciwnej stronie hallu – a także tym, co dodałem do nich ja sam.



Parleur oprowadzał Zuzannę zwyczajową trasą dla gości. Z zadowoleniem obserwował, że wszystko było przygotowane jak należy, nigdzie nie brakowało drobnych porcji smakołyków, na które składały się słodkości, owoce, karafy z wodą i z winem. Były to te WŁAŚCIWE smakołyki. Sam nie był pewien, w którym momencie zdecydował, aby nakazać służce z dwóch przygotowanych zestawów wybrać właśnie TEN. Może kiedy zorientował się, że baronówna przyjechała z tak niewielkim orszakiem? Przestał nad tym rozmyślać i skupił się na tym, aby jego wykład był tak interesujący i dowcipny, jak to sobie wyobrażał.

Zuzanna przysłuchiwała mu się z uwagą, czasem zadawała pytania, które zdradzały, że za piękną twarzą kryją się przenikliwe myśli. W odróżnieniu od większości kobiet, które pod nawałem jego elokwencji i czaru już zaczęłyby mu ulegać, jej wciąż nie był pewien.

– I to będzie wszystko, jeśli chodzi o wartą prezentacji część mojej rezydencji i historii rodu. Reszta to same nudy, przynajmniej na ile jestem w stanie ocenić. Mam nadzieję, że was, pani, nie umęczyłem. – Uśmiechnął się i nalał im obojgu białego, doskonale schłodzonego wina.

– Ależ nie, markizie, to wszystko było bardzo interesujące. Kiedy ktoś pochodzi z takich okolic jak moje, niezbyt często ma możliwość obcowania z tak znamienitą architekturą.

Widział, jak wzrokiem próbuje odnaleźć służącą, która jej towarzyszyła. Jeśli jej nieobecność w jakimkolwiek stopniu ją zaniepokoiła, nie dała tego po sobie poznać. Parleur doskonale wiedział, co się stało z dziewczyną.

– Ciekawią mnie jednak nie tylko okazałe części posiadłości, ale również te bardziej niepozorne, te, które pozwalają wam tak doskonale chłodzić wino – ciągnęła Zuzanna. – Obiecałeś, panie, że mi je pokażesz.

Parleur skinął głową. Zgadywał, jak może wyglądać pod ubraniem, obserwował, jak jedwab opina jej kształty i ociera się o gładką skórę. Wyobrażał sobie, jak będzie się poruszać pod smagnięciami bicia, więc z boleści, jak będzie gotowa spełnić każde jego życzenie, byle tylko zostawił ją w spokoju. Tyle że spełnić jego życzenia wcale nie było tak łatwo. Właściwie to wręcz niemożliwe. Wyobrażał sobie, jak tę aksamitną skórę zaczynają znaczyć pręgi, rany i krew. W tym momencie zrozumiał, że tak naprawdę już dawno powziął decyzję, że to robi. Że ją zabije. Podświadomie poczynił wszystkie niezbędne przygotowania i dopiero teraz w pełni tę świadomość do siebie dopuścił. Gdyby towarzyszył jej jakiś miejscowy szlachcic albo oddział ludzi, zapewne nie odważyłby się zaryzykować, ale tak? Nadarzyła się okazja i miał zamiar ją wykorzystać.

– Markizie?

Nieomal się przestraszył, że wszystko to, nad czym przemyślał, odbiło się na jego twarzy. Nie chciał jej zaniepokoić, wystraszyć. Jeszcze nie. Na to przyjdzie pora.

– Oczywiście. Z przyjemnością zaprezentuję wam piwnice. Może znajdziemy tam jakąś butelkę wina, którą warto byłoby własnoręcznie przynieść na górę i otworzyć. – Uśmiechnął się.

Miał na myśli konkretną markę i rocznik, ale na górę wyniesie ją sam, bo baronówna słonecznego światła już nie ujrzy.

– Tędy proszę. – Wskazał drogę. – Czeka nas drobna niewygodna, będziemy musieli zejść po schodach. Kazałem jednak pozapalać wszędzie lampy.

Dla pewności skontrolował jeszcze, czy nie pojawiła się służąca baronówny. Wyglądało jednak na to, że wystarczająco objadła się smakołyków zaprawionych sokiem z pejotlu, aby leżeć gdzieś pograżona w halucynacjach. Parleur przestał zawracać sobie nią głowę.

Podał dwornie ramię baronównie, aby jej pomóc zejść po schodach. Dotyk działał na niego elektryzująco, musiał się mocno koncentrować, aby kontrolować swe podniecenie. Nie mógł się doczekać, aż jej ciało zacznie się poddawać jego żądaniom, aż będzie wydana na jego łaskę i niełaskę, aż będzie mógł z nią zrobić, co mu się żywnie spodoba.

Na półpiętrze przed kolejnymi drzwiami na ozdobnym wieszaku czekała na nią wytworna futrzana peleryna. Pomógł jej się odziać. Połączenie futra i nagiego ciała zawsze go szalenie podniecało.

– Na dole będzie jeszcze chłodniej. Składy jedzenia i innych produktów ominiemy, pójdziemy prosto do piwnicy z winem.

Przemierzyli szeroki korytarz i minęli kolejne drzwi. Marmurowa posadzka lśniła od wilgoci, lampy płonęły równo, wzdłuż ścian ciągnęły się półki z winem.

– Tutaj składujemy czerwone wino.

– Nie czuję żadnego powiewu, ale powietrze jest świeże. – Baronówna rozglądała się z zaciekawieniem.

– Wentylacja jest niezwykle istotna, zwłaszcza w podziemiach – zgodził się Parleur.

Jak do tej pory nie dostrzegł w niej żadnych oznak niepokoju, jedynie ciekawość. W części przeznaczony do białego wina było rzeczywiście o wiele chłodniej.

– A za kolejnymi drzwiami jest ostatnie pomieszczenie, w nim trzymam to, co najcenniejsze.

Otworzył drzwi. Te były masywne wręcz, obite warstwami skóry. Tutaj też porozpalane były lampy. Musiał przyznać, że Cruf i Herge wykonali zadanie przyzwoicie. Normalny personel nie miał tu wstępu.

Uwagę baronówny natychmiast przykuła oszroniona rzeźba przedstawiająca nagą dziewczynę, stojąca pośrodku pomieszczenia. Wyglądała niczym z białego alabastru, jednak Parleur wiedział, iż w rzeczywistości wykonano ją z czarnego serpentynitu. Za zmianę koloru odpowiedzialna była warstwa lodu, który pokrywał rzeźbę. Dziewczyna trzymała w dłoni niewielki kamień o nieregularnym kształcie. To on był źródłem zimna. W drodze eksperymentów markiz odkrył, iż działa on najlepiej, jeśli styka się z innym kamieniem, a że nie chciał tak po prostu położyć go na posadzce, zamówił ową rzeźbę.

Obserwował, jak Zuzanna podchodzi do posągu, patrzył na jej poruszające się biodra, na szczupłą talię i długie nogi. Należała do niego, choć jeszcze o tym nie wiedziała. Było jedynie kwestią czasu, kiedy padnie przed nim na kolana i będzie błagać, aby móc wykonać każde jego polecenie. Nadchodził moment zaskoczenia. Ruszył za nią. Niczego nie planował, nigdy takich rzeczy nie planował, inspiracja chwilą zawsze działała najlepiej.

Trzasnąć ją w twarz na odlew, a potem za kudły, to będzie dobry początek, od razu zrozumie, kto tu jest panem.

Nie zdążył jej nawet dotknąć, bo Zuzanna błyskawicznie obróciła się i przedramieniem odbiła jego rękę. Tylko instynkt i wyćwiczony refleks uchroniły go przed potężnym uderzeniem w krtań. Zapomniał, że to przecież dzikuska z pogranicza, przemknęło mu przez myśl, że różnych rzeczy należało się po niej spodziewać.

Na rozmyślenia przyjdzie czas później. Płynnie przeszedł do postawy zapaśniczej. Nie miał czasu na gierki, chciał ją jak

najszybciej obezwładnić, jednak najlepiej tak, aby nie uszkodzić jej ślicznej twarzyczki, to jeszcze zdąży zrobić. Skoczył na nią, ale ona, zamiast rzucić się w tył, ruszyła na niego, jakby tylko na to czekała. Znow z łatwością odbiła jego wyprowadzone do ciosu ramię i zanim się zorientował, co się dzieje, to ona rąbnęła go łokciem. To go rozjuszyło. Już nie chodziło tylko o to, żeby ją unieruchomić, tu szło o to, żeby trzasnąć nią o ziemię, pokazać jej, że to nie zabawa, niech wie, kto tu, kurwa, rządzi.

Chciał ją złapać za szyję, ale ręka chwyciła powietrze. Nie mógł zrozumieć, jak mogła się poruszać tak szybko i tak zwinnie w takiej długiej sukni. Udało mu się wreszcie chwycić ją za ramię i przyciągnąć do siebie. Już jest jego.

Nagła eksplozja bólu sprawiła, że zamarł. Spojrzał w dół i zszokowany dostrzegł długie, wąskie ostrze wystające z jego boku. Gdyby nie trafiło na kość biodrową, pewnie przeszłoby na wskroś. Uniósł spojrzenie. Spokojnym ruchem wyciągnęła sztylet z jego ciała. Oczy miała zimne, beznamietne. Złapał się za bok, przycisnął rękę do rany. Bał się stracić zbyt wiele krwi. Ta śmierdząca dziwka dźgnęła go! Była uzbrojona!

– Pomocy! – zawołał.

Nawet krzyk sprawiał ból. Nigdy w życiu nie przypuszczał, że będzie potrzebować pomocy.

– Nie sądzę, markizie, żeby ktoś miał nas usłyszeć. Jesteśmy pod ziemią, a pomieszczenie, o ile dobrze zauważyłam, jest dźwiękoszczelne.

Kim była ta kurwa? Taka zimna? Wcale się nie bała!

– Na pomoc! Ratunku, do kurwy nędzy!

Cruf i Herge musieli go przecież słyszeć. Musieli!

Rana była głęboka, ale wąska. Czuł, że zaczyna otrząsać się z szoku. Między beczkami z winem tu i ówdzie kazał poukrywać broń. Na wszelki wypadek. Wystarczyło sięgnąć i będzie miał miecz. Otworzyły się drzwi, co na moment odwróciło jej uwagę. Wykorzystał tę chwilę i natychmiast do ręki wskoczył mu miecz ukryty między beczkami. Ciął szerokim, półokrągłym cięciem, w które włożył wszystkie pozostające mu jeszcze siły. Dostrzegł

tylko, jak się uchyliła w obrocie, który wbrew temu, czego oczekiwał, nie sprawił, że się od niego oddaliła, ale przeciwnie, znalazła się nagle znów tuż przy nim. Poczuł kolejną ranę, gdzieś od podbrzusza do wewnętrznej części uda. Cofając się, jego niedoszła ofiara z pchnięcia zrobiła cięcie, trysnęła krew. Wciąż jednak nie zdołała go wykończyć. Padł na posadzkę i resztkami sił zaczął pełznąć jak najdalej od niej, równocześnie rzucając spojrzenie ku drzwiom. Na samego siebie nie mógł już liczyć, nie miał na to sił. Na szczęście jego dwaj ochroniarze, specjaliści od najbrudniejszej roboty, już tu byli. Cruf z Hergem jej pokażą, tego był pewien.

Zbliżali się do niej bez pośpiechu. Obaj w przesywanych kurtkach, ciężkich butach, świadomi swej przewagi. Jeden z pałąką, drugi z tasakiem i małą kuszą. Dobrze uzbrojeni, jak mieli nakazane. Baronówna obserwowała ich badawczym spojrzeniem, wciąż się nie bała. Parleur nie mógł tego zrozumieć, ale nie robiło to w sumie różnicy. Może zdąży się przestraszyć.

– Uważajcie na nią, jest niebezpieczna – warknął.

Lodowata podłoga wysysała z niego ciepło.

– Celuj w nogi, chcę ją żywą.

– Tak, panie – odpowiedział Cruf i uniosł kuszę. Była naciągnięta.

Parleur z zadowoleniem przeniósł wzrok na Zuzannę. Ciekawe, co ta dziwka teraz robi, jak planuje poradzić sobie z bełtem. Zaśmiałyby się, gdyby tak strasznie nie bolało. Jeszcze się jej odwdzięczy. Za wszystko jej odpłaci.

Zuzanna stanęła bokiem do strzelca i uniosła lewą rękę, jakby chciała nią zatrzymać bełt. Coś mówiła, ale Parleur nie słyszał słów. Nagle płomienie lamp przygasły, Cruf jęknął, upuścił kuszę na ziemię i złapał się za serce. Zaraz potem skóra na całym jego ciele zaczęła się napinać, a oczy wyłazić z orbit, jakby zrobiło się im za ciasno. Rozległ się głośny trzask pękającej skóry, a na wierzch wyszły wciąż nabrzmiewające, ociekające krwią mięśnie. Nagle wszędzie było pełno krwi, a Cruf eksplodował fontanną czerwieni i szczątków. Herge gapił się na pozostałości po swym bracie z otwartymi ustami, jakby nie mógł zrozumieć, co się właśnie stało.

Parleur jednak rozumiał to aż nazbyt dobrze. Ta dziwka była czarodziejką!

– Zabij ją! – wychrypiał.

Zamiast tego Herge zacharczał, złapał się za pierś i cała rzecz się powtórzyła, mimo iż czarodziejka nie wypowiedziała tym razem ani słowa. Parleur nie czekał. Uniósł się, na ile zdołał, i skulony ruszył ku drzwiom do ostatniego pomieszczenia, do którego planował zwabić baronównę. Nie próbowała go gonić, w osłupieniu spoglądała na zwały krwawych ochłapów. Za markizem ciągnął się ślad czarnej krwi. Za dużo krwi. Za dużo niepokojąco ciemnej krwi, uświadomił sobie. Nie wyglądało to dobrze.

– Tego nie chciałam, już nie – usłyszał jeszcze, jak wyszeptała.

Nie rozumiał, o co chodzi, i nawet nie próbował. Sięgnął do klamki, bardziej zwałił się, niż wszedł do środka, i ostatkiem sił zamknął za sobą drzwi. Tutaj wszystko było przygotowane, jednak narzędziom tortur nie poświęcił najmniejszej uwagi. Wyciągnął się na tapicerowanej ławce i próbował zdecydować, co robić dalej. Jeśli będzie chciała go wykończyć, nie ma dla niego najmniejszej nadziei, to było jasne. U jego stóp rosła coraz większa czerwona kałuża. Spoglądał na nią i zastanawiał się, czy da się coś zrobić. Kałuża powiększała się bardzo szybko.



Zuzanna odetchnęła głęboko. Było jej niedobrze, chciała zamknąć oczy i nie robić absolutnie nic, ale wiedziała, że to niemożliwe. Było gorzej, niż zapamiętała. Drzwiom, za którymi zniknął Parleur, poświęciła jedynie przelotne spojrzenie. Wiedziała, że markiza czeka szybka śmierć. Jego druga rana była śmiertelna, zdołała mu przeciąć arterię w udzie. Teraz musiała odnaleźć Monikę i Kurzera.

Obeszła łukiem stos krwawego mięsa. Nie użyła tego zaklęcia po raz pierwszy, wiedziała, jak powinno zadziałać. Sprawiało, że części ciała zaczynały puchnąć. Na początek serce i szpik kostny. Kości zaczynały pękać, serce traciło zdolność kurczenia się, krew

występowała z żył. Początkowo były to zmiany mikroskopijne, niewidoczne gołym okiem. Z czasem jednak puchnięcie nasilało się, pękała czaszka, skóra, przerośnięte tkanki wydostawały się na zewnątrz. Spojrzała na stertę szczątków, które jeszcze niedawno były ludźmi. Jeśli ci dwaj zamknęli za sobą drzwi, będzie musiała wrócić i odszukać w niej klucz. Wiedziała, że w razie potrzeby zdoła to zrobić, ale wolałaby tego uniknąć.

Bez przeszkód dostała się na półpiętro, tu już było o wiele cieplej. Odwiesiła pelerynę na wieszak. Futro ze srebrnych lisów pokrywały plamy krwi. Musiała to być krew markiza, sama nie była ranna. Ruszyła pośpiesznie dalej, przypominając sobie drogę, którą przyprowadził ją Parleur. Nieobecność służby była jej na rękę. O ile, oczywiście, nie kręciły się tu kolejne bandziory jak ci dwaj na dole. Starła się o nich nie myśleć. Cienki sztylet bez jelca tkwił z powrotem w pochwie na udzie.

Monikę odnalazła, kiedy zaczynała już tracić nadzieję, w pierwszym salonie przed hallem z fontanną. Dziewczyna leżała na ziemi, ale nie była martwa. Trzęsa się i coś do siebie szeptała. Zuzanna przyklękła obok. Drzwi za jej plecami promieniowały niebezpieczeństwem.

– Wstawaj, musimy się stąd wynosić. – Usiłowała podnieść służącą.

Pomogło dopiero kilka siarczystych policzków.

– Niedobrze mi. Spróbowałam jakichś łakoci i wina, ale tylko troszeczkę. Naprawdę troszeczkę – mamrotała dziewczyna. – Skąd się tu wzięły te wszystkie sowy?

– Idziemy, idziemy – próbowała ją ruszyć Zuzanna.

Wreszcie Monika wstała. Na schodach uderzyło w nie przedwieczne słońce, z każdej strony prażył nagrany marmur. Zuzanna dobrze wiedziała, że tu już nie będą same. Parleur zapewnił sobie dyskrecję w pałacu, jednak w jego okolicy z pewnością będzie sporo ludzi. I rzeczywiście, chwilę potem dostrzegła dwóch pracujących opodal ogrodników. Baczenie spoglądała na budynki gospodarcze, baraki personelu, koszary.

– Musimy się zachowywać, jakby nic się nie stało, spróbuj chociaż utrzymać się na nogach – tłumaczyła Monice. – Musimy się dostać do powozu, może znajdziemy tam też Kurzera.

Nie była jednak tego taka pewna. Ruszyły w kierunku, w którym Parleur odesłał ich kolaskę. Ku ich zaskoczeniu odnalazły ją bez problemu, ale Kurzera Zuzanna nigdzie nie mogła dostrzec. Znalazła go dopiero po chwili, leżącego na plecach, z oczami utkwionymi w niebo. Kiedy zamachała ręką przed jego twarzą, maleńkie jak łebki od szpilek źrenice mężczyzny nawet nie drgnęły. Jeśli był czymś otumaniony, musiało to być coś mocniejszego niż to, czego Parleur użył na Monice. Albo spożył tego o wiele więcej.

– Musimy stąd natychmiast zniknąć, pomóż mi albo nie damy rady!

Na szczęście służąca zrozumiała. Wspólnymi siłami udało im się ułożyć Kurzera na podłodze powozu, tak aby nie rzucał się w oczy. Monika siadła z tyłu, Zuzanna wskoczyła na kozioł. Konia na szczęście nikt nie wyprzągł, wystarczyło odebrać mu worek z owsem i ruszył przed siebie.

Straż przy bramie nie robiła im trudności. Wartownicy zapamiętali powóz, ale nie zwrócili uwagi, kto powozi, a kto siedzi z tyłu. Minąwszy bramę, Zuzanna musiała zmobilizować wszystkie swoje siły, by nie trzasnąć z bicia i nie popędzić konia. Całe szczęście, że tego nie zrobiła, bo u wylotu ulicy zajechał im drogę inny powóz. Zanim zdążyła zareagować, tuż obok niej wyrósł jak spod ziemi Valer.

– To nasi ludzie. Przesiądź się, pani.

Nie protestowała.

– Monika musi dość do siebie, Kurzer chyba umiera – poinformowała go, wysiadając.

– Zajmę się nimi. W tej chwili przede wszystkim chodzi o wasze bezpieczeństwo.

Zuzanna wcisnęła się z trudem do wnętrza drugiego powozu, który wypełniony był po brzegi mieczami, tarczami i kuszami. Jej ludzie nie mogli przecież paradować ulicami w pełnym uzbrojeniu.

Do willi dotarli bez żadnych przeszkód. Zuzanna, dysponując porównaniem z pałacem Parleura, po raz kolejny uświadomiła sobie, jak ograniczone są ich środki. To jednak nie miało w tej chwili żadnego znaczenia. Musiała wziąć się w garść. Grubera, który pilnował jej osobiście, pozbyła się dopiero po trzykrotnym zapewnieniu, że nic jej nie jest. Kiedy go wreszcie przekonała, miała wrażenie, że przyjął to z ulgą, bo mógł wrócić do innych obowiązków.

Zuzanna odnalazła kuferek z suszonymi ziołami i innymi składnikami i zbiegła do kuchni. Zastała tam Gewnera, który tym swoim nieprzyjemnym głosem poganiał dwóch pomocników. Pobierał niebotyczne wynagrodzenie, obchodził się z innymi nad wyraz obcesowo, a mimo to była wdzięczna Valerowi, że nie pozwolił, aby go wyrzuciła.

Teraz go zignorowała. Wzięła jeden z mniejszych garnków, nalała do niego wody i postawiła na rozgrzaną blachę. Chciała przygotować silny środek wymiotny, ale o możliwie krótkim okresie działania. Potrzebowała więc nie tyle wywaru, co lekkiego naparu z lobelii i gurd liny. Gewner zaglądał jej przez ramię. Intruz w kuchni był mu nie w smak, ale zaprotestować się nie odważył.

– Wygląda to, jakby jakaś młódka chciała się pozbyć brzucha, na którym jej nie zależy.

Zuzanna nie zareagowała na jego uwagę. Obserwowała garnek, czekając, aż na jego dnie pojawią się pierwsze bąbelki, aby odstawić go z ognia.

– Możesz przygotować bulion z kury? – poprosiła.

– Bulion z kury to ja mam przygotowany do dzisiejszego menu! – zaprotestował.

Nie mogła zrozumieć, skąd w tym roztrzęsionym cielsku bierze się tak piskliwy głos.

– Rosół albo znów każę cię zamknąć. Tylko tym razem upewnię się, że w piwnicy nie ma zapasu piwa.

Dłużej nie protestował, choć widziała, że powstrzymywał się z trudem. Twoje szczęście, gburze. O mały włos, a wypowiedziałyby to na głos. Gdyby się tylko odezwał, dźgnęłaby go łyżką. W oko.

Woda zawrzała, Zuzanna zdjęła więc garnek z ognia i wsypała do środka suszone zioła. Gewner chwilę się jej przyglądał, po czym odszedł.

– Ten bulion poproszę jak najszybciej! – rzuciła za nim.

Jeśli Kurzer będzie jeszcze żył, kiedy go Valer dostarczy, dobrze będzie porządnie wypróżnić mu żołądek ze wszystkich trucizn i narkotyków, które spożył. Po takim zabiegu będzie musiał się z powrotem nawodnić i wzmocnić. Więcej zrobić nie mogła. Nie potrafiła. Przeklinała się za zbytnią pewność siebie, za to, że wypuściła się sama, czym naraziła na niebezpieczeństwo ludzi, którzy jej ufali.

W chwili kiedy wszystko było gotowe, usłyszała skrzypienie żwiru pod kołami powozu. Przybył Valer. Trzeba było brać się do pracy.



– Czy mam naszykować suknię? – zapytała Katrin.

Zuzanna szczelniej owinęła się szlafrokiem. Przez myśl by jej nie przeszło, że w tym mieście kiedykolwiek będzie jej tak zimno.

– Nie trzeba, padam ze zmęczenia. Napiję się tylko herbaty przed snem. Nie będę cię już potrzebowała.

– Dobrze, pani. Pomogę wam tylko.

W łazience było gorąco i zwierciadła zaparowały, jednak Zuzanna dostrzegła, jak służąca ukradkiem wącha jej włosy.

– W porządku, pani, już tak nie czuć.

Zuzanna skinęła głową. Ważniejsze było, że zarówno Kurzer, jak i Monika przeżyli. Tak truciznę, jak i jej wielogodzinną terapię.

– Dobranoc. I rzuć, proszę, rano okiem na Monikę, tak na wszelki wypadek.

– Oczywiście, pani. Zostanę przy niej całą noc.

Pożegnały się. Zuzanna zeszła na dół, do swoich pokoi. Miała nadzieję, że w samowarze wystarczy jeszcze żaru na przygotowanie herbaty. Najlepiej z melisy. Może też dodać kropelkę czegoś mocniejszego, na lepszy sen.

Wszystko było naszykowane, ktoś się o nią zatroszczył. Nalała sobie herbaty. W chwili kiedy unosiła filiżankę do ust, rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę wejść, kapitanie.

Tak jak zakładała, był to Valer. Tak jak i ona, wziął gorącą kąpiel. Włosy wciąż miał wilgotne, jedno ramię koszuli, gdzie się niedokładnie wytarł, nasiąknęło wodą.

– Napijcie się ze mną herbaty? – zaproponowała.

– Właściwie to z przyjemnością – przyznał. – Na nic nie miałem czasu, taki panował chaos, że nawet nie mieliśmy jak porozmawiać. Potrzebuję informacji, żebym wiedział, na co się mamy przygotować. Proszę wybaczyć, że po tak męczącym dniu nie daję wam udać się na spoczynek.

Wyglądał równocześnie na zakłopotanego i winnego. Zuzanna skinęła tylko głową. Cieszyło ją, że może go zobaczyć w innym wydaniu niż dowódca oddziału. I pedantyczny do bólu strażnik jej bezpieczeństwa.

– Najpierw opiszę po kolei, co zapamiętałam, a potem będziecie mogli zadać mi pytania. Tak będzie najłatwiej.

Skinął głową.

Napełniła jego filiżankę, napiła się sama i zaczęła opisywać wydarzenia od chwili, kiedy wkroczyła do pałacu Parleura.

– Wyglądacie... na roztrzęsioną – usłyszała i uświadomiła sobie, że Valer coś do niej mówi już od dłuższego czasu.

Rzeczywiście, wspomnienie wszystkich wydarzeń dnia nie wyszło jej na dobre. Cała aż się chwiała.

– Pewnie jestem – odpowiedziała z przepaszającym uśmiechem.

– To przez tę walkę? Markiz słynie ze swoich umiejętności szermierczych. To wręcz cud, żeś się, pani, wybroniła.

– Nie – pokręciła głową – nie docenił mnie. Pokonałam go. Zabiłam. Wykrwawił się tam, w tej swojej piwnicy. Jest martwy. I to nie pierwszy człowiek, którego zabiłam.

Valer milczał.

– Zapominacie, kto był moim nauczycielem.

Jej twarz dopowiedziała: i przez co w życiu przeszłam.

- Rzeczywiście, macie rację – przyznał ostrożnie.
- Kiedy pogasły światła? – zapytała nagle zaskoczona.

Lubiła, kiedy było jasno, tymczasem w pokoju paliły się tylko dwie grube świece. Nie wydawało jej się, żeby olej w lampach już się całkiem wypalił.

– To ja... Nie chciałem, żeby napastnicy mogli mieć dobrze oświetlony cel. Wiem, że lubicie mieć otwarte okna. Dobry łucznik jest w stanie trafić cel z dziewięćdziesięciu metrów. Gdyby gdzieś na dachu ustawili balistę, mogliby was sięgnąć i z większej odległości.

Zuzanna przytaknęła mechanicznie. Znów czuła nadchodzące dreszcze, chwyciła filiżankę obiema rękami.

– Czemu więc jesteście taka – Valer zastanawiał się chwilę nad odpowiednim określeniem – wyprowadzona z równowagi, skoro nie chodzi o Parleura?

Pytania kapitana dotykały sedna sprawy. Zuzanna uświadomiła sobie, że nie tyle trzęsą jej się ręce, ale że cała dygoce.

- To tamci dwaj.
- Ci, których zabiło zaklęcie?

Jeszcze nigdy nie słyszała, aby ktoś oprócz księcia mówił o magii tak swobodnie, tak nonszalancko wręcz.

- Owszem – zgodziła się – tyle że ja zaatakowałam tylko jednego.

Valer milczał. Poświęcał jej całą swoją uwagę. Uświadomiła sobie, że chce mu o tym powiedzieć, że chce o tym powiedzieć właśnie jemu.

– Jestem czarodziejką. Na ile to można ocenić, zdolną czarodziejką. Niestety, potrafię użyć tylko kilku zaklęć, ponieważ nauczenie się tego, wytworzenie właściwej struktury, ożywienie jej mocą i przeżycie tego wszystkiego bez pomocy kogoś doświadczonego jest niezwykle trudne.

Wiedziała, że nie mógł tego zrozumieć, choć zachowywał się, jakby rozumiał. Przede wszystkim jednak słuchał. Dla niej to było najważniejsze. Ścisnęła mocniej filiżankę, aby opanować drżenie rąk. Wiedziała, że musiał to zauważyć. Przez uchylone okno wdarł się powiew chłodniejszego powietrza.

– Tego diagramu... tego zaklęcia – poprawiła się – nauczyłam się z zapisków w dzienniku, który napisał ktoś, kto magię musiał rozumieć naprawdę dobrze, nazywał się Maxmilian[1]. Użyłam go już wcześniej, przeciwko cesarskim żołnierzom. Pamiętam, że na opaskach mieli stylizowaną głowę wilka. Wilka z nastroszoną grzywą.

– Emblemat Szarych Wilków, najlepsi z najlepszych – zareagował Valer. – Moi ludzie, ci, którzy są tu z nami, są równie dobrzy, może nawet odrobinę lepsi. Tylko że nas jest trzydziestu, Szarych Wilków są trzy setki. Krótko mówiąc, to najlepszy oddział, jaki można sobie wyobrazić.

Zuzanna pozwoliła sobie na lekki uśmiech.

– O ile nie bierzemy pod uwagę waszego ojca albo księcia. – Valer błędnie go odczytał.

Pokręciła głową.

– Kiedy słyszeliście o nich ostatnio?

– Dwa, trzy lata temu. – Zastanowił się chwilę. – Od tamtej pory jakby zapadli się pod ziemię. Trochę mnie to niepokoi, mogli otrzymać jakieś zadanie specjalne. Na przykład związane z nami – uściślił.

Zuzanna nabrała głęboko powietrza. Chyba jednak nie czuła się na siłach, aby o tym mówić.

– Jak już powiedziałam, walczyłam z nimi – powtórzyła z naciskiem.

– Z Szarymi Wilkami – upewnił się Valer.

– Owszem. Ja znam ich dobrze, chciałam tylko sprawdzić, czy wy wiecie, o kim mowa.

Ręce znów jej się trzęsły.

– Użyłam tego zaklęcia przeciwko oddziałowi, który szedł za mną poprzez Hermską Knieję.

– Oni was ścigali? – Valer wydawał się nie do końca pojmować to, co właśnie usłyszał.

– Jak sami powiedzieliście, kapitanie, to świetny oddział. Próbowalam się im wymknąć, ale nie zdołałam wystarczająco dobrze zatrzeć za sobą śladów. Nie udało mi się ich zgubić, więc

zaatakowałam zaklęciem. Jednego z nich. Przed drugim chciałam się obronić ostrzem, ale on również umarł. Dokładnie w ten sam sposób, co jego kompan. Potem się zorientowałam, że to samo spotkało dalszych dwóch z grupy, która za mną szła. A jeszcze później dowiedziałam się, że identycznie skończyło pozostałych dwustu dziewięćdziesięciu sześciu, rozumiecie?! – ostatnie słowo wykrzyczała roztrzęsiona. – Zabiłam trzystu ludzi i nawet nie wiem jak! Nie mogłam tego pojąć i w dalszym ciągu nie potrafię. Zaatakowałam tylko jednego, czemu więc zabiłam pozostałych dwustu dziewięćdziesięciu dziewięciu?

Trzęsła się cała. Spoglądała na Valera, ten spokojnie odwzajemniał spojrzenie. W jego oczach nie było strachu, nie było odrazy. Dostrzegła w nich za to... litość? Współczucie?

– Coś ich musiało łączyć, coś bardzo silnego – odpowiedział po chwili namysłu.

– To prawda, też mi to w końcu przyszło do głowy – odpowiedziała, próbując nad sobą zapanować. – Kiedy już odrzuciłam wszystkie pozostałe ewentualności.

Znów odetchnęła głęboko.

– To zaklęcie samo w sobie nie jest w najmniejszym stopniu wymagające. Do jego aktywowania wystarczy stosunkowo niewielka ilość wyzwolonej mocy, nie jest możliwe, aby ono samo mogło zabić tylu ludzi. Magia musi działać w jakiś inny sposób, niż nam się wydaje. – Pokręciła głową. – Rok mi zajęło, zanim ustaliłam, co się stało z ich rodzinami, ich bliskimi. Bałam się, że może też zmienili się w kupy okrwawionego mięsa.

– I?

Valer żadnego magicznego talentu nie posiadał, ale równocześnie nie bał się magii, inaczej niż większość ludzi. Analizował ją, rozmyślał nad nią. Traktował ją jako coś, z czym potencjalnie będzie musiał mieć do czynienia i umieć sobie poradzić.

– Nic im się nie stało. Ich rodzice, rodzeństwo, dzieci... Wszyscy byli cali i zdrowi, moje zaklęcie zostawiło ich w spokoju.

– Musiało wam ulżyć.

– Tak! – krzyknęła. – Zabiłabym się, gdybym magią zamordowała niewinne kobiety i dzieci! Co ich, do cholery, łączyło, że zaklęcie zadziało na wszystkich? A co łączyło tych dwóch bandziorów dzisiaj? Ja chciałam zabić tylko jednego! A co, jeśli zabiłam ich rodziny? Tu liczy się każdy najdrobniejszy niuans, w magii nie ma miejsca na pomyłki, a ja wciąż rozumiem tak niewiele!

Czuła, że znów przestaje nad sobą panować, że zaczynają ją wstrząsać dreszcze. Nocny koszmar, który ją prześladował, powrócił, tym razem w biały dzień. Nie zauważyła, kiedy Valer się poruszył, ale nagle poczuła, że ją obejmuje.

– Ćśś... Spokojnie. Ja wiem, co ich łączyło. Wiem, że nikogo nie skrzywdziłaś.

– Co?

Obejmował ją za ramiona, we włosach czuła powiew jego oddechu.

– Szare Wilki łączył *esprit de corps*, duch wspólnoty, jedności. Coś jak jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Dlatego są tak dobrzy. Podobnego ducha staram się wzbudzić i u moich ludzi.

Milczała i poddawała się jego bliskości. Dłonią gładził ją po szyi, czuła, jak z każdym dotykiem uchodzi z niej napięcie.

– A ci dwaj?

Zamyślił się. Na włosach poczuła dotyk jego ust.

– Tych dwóch łączyło bestialstwo, radość z zadawania cierpienia innym.

Jego dłoń zwolniła nagle, jakby właśnie uświadomił sobie, co robi.

– Kapitanie... – wyszeptała – będziesz żałować, jeśli...

Odpowiedział pocałunkiem, po czym przyciągnął ją bliżej.

1 Chodzi o dziennik czarodzieja Maxmilianiana, starszego brata arcy maga Tekuarda. Dziennik ów jest uważany za najlepszy tekst traktujący o nauce władania mocą i sam w sobie jest magicznym artefaktem. Więcej na ten temat w opowiadaniu „Długi sprint”.

Rozdział 4

Motywacja



Z ostatniego człowieka Rzecz pozyskała wiele nowych, użytecznych wzorów, które w dziwny sposób zaczynały jej się wydawać znajome, jakby je kiedyś znała. Dzięki nim zdołała też zrozumieć wiele innych rzeczy. Zorientowała się, że będzie potrzebowała ciała. Masywnego, dużego ciała, które zapewni jej siłę. Nie kierował nią już jedynie instynkt samozachowawczy, zaczynała odczuwać potrzeby wynikające z jej dotychczasowych doświadczeń, ale również i obawy dotyczące przyszłości, na którą chciała się przygotować.

W podziemiach nie pozostał ani jeden szczur, ani jeden pająk, nic żywego. Większość bezpańskich psów zginęła w ciągu kilku ostatnich nocy. Do tego jeszcze ludzie. Oprócz tego, którego znalazła w jego podziemnej kryjówce, i czarodzieja, który ją ciężko zranił, Rzecz dopadła kilku pijaków, parę ofiar ulicznych bójek i jednego starca, który w milczeniu czekał na śmierć w skalnym załomie na plaży. Wciąż jednak starała się za wszelką cenę utrzymać swoje istnienie w tajemnicy. Ludzie byli niebezpieczni.

Jedynym człowiekiem, który ją widział i zdołał uciec, był towarzysz czarodzieja. Wracając do tego wydarzenia, uświadomiła sobie, że pozwoliła mu ujść. To ją niepokoiło. Im więcej nabierała samoświadomości, tym bardziej ciekawiło ją, czym jest, czemu zachowuje się tak, a nie inaczej. Kopiowanie wzorów przyniosło korzyści, jakby samo w sobie było sensem jej egzystencji. Bez nich

ona sama nie miałaby celu i skończyłaby po prostu jako bezkształtna szarzielona materia bez intelektu czy świadomości. Skąd o tym wiedziała? Nie miała pojęcia. Jednak ponad nią, w mieście, mieszkało kilkaset tysięcy ludzi. Poznała stanowczo zbyt mało wzorów, aby mogła ich zrozumieć, aby mogła odgadnąć, jak bardzo są niebezpieczni. Była pewna, że z czasem znajdzie odpowiedź na swoje pytania, o niedostatek wzorów nie musiała się obawiać.

Wróciła do wspomnień. Czemu dała uciec drugiemu czarodziejowi? Był czarodziejem, teraz to sobie w pełni uświadamiała. Czemu go jednak nie wchłonęła, by móc skopiować jego wzory? Już sama myśl, że miałaby to zrobić, przejęła ją odrazą graniczącą z fizycznym bólem. Był dla niej trujący? Rzecz nie wiedziała i nie dysponowała wystarczającymi informacjami, aby zgadywać.

Słońce zaszło, a to oznaczało, że może się wypuścić na powierzchnię albo przynajmniej bliżej powierzchni. Żar i mocne światło nie działały na nią dobrze. Z doświadczenia wiedziała, że przynajmniej przez krótki czas jest w stanie znieść podwieczorne słońce, ale przytępiało jej zmysły i miała trudności z kopiowaniem co bardziej skomplikowanych wzorów. A przecież chodziło głównie o wzory. Im bardziej skomplikowane udawało jej się znaleźć, tym sama stawała się... bardziej inteligentna? Szukała właściwego określenia. Doskonalsza? Samą sobą? Słowa wyłowione z ludzkich myśli nie wystarczały, aby zdołała opisać, co czuła, czym się czuła. Bała się, że gdyby tego zaniechała, gdyby przestała wchłaniać i kopiować wzory, zaczęłaby zapominać i te, które już знаła. Była to bardzo niepokojąca perspektywa.

Zbyt długo pozostawała w jednym miejscu i rozmyślała. Musiała wchłonąć więcej materii, musiała rozbudować swoje ciało. Ruszyła przed siebie.

Gęsty, gruby na pół dłoni kobierzec posuwał się, falując na tysiącach rześkowatych nóżek, w kierunku nabrzeża. Rzecz przemieszczała się kilkoma równoległymi kanałami równocześnie, uważała jednak, aby nigdzie się całkowicie nie rozdzielić, aby wszystkie jej części były zawsze połączone przynajmniej jednym

włóknem. Nie chciała dopuścić do tego, aby jej świadomość się rozdzieliła. Nie chciała znów walczyć z samą sobą.

Obwód kobierca wieńczyły setki szczerzych oczu umieszczonych na długich wypustkach. Pośrodku chwiała się wybrzuszenie zwieńczone ludzką głową. Rysy twarzy zmieniały się płynnie i pokazywały podobizny wszystkich ludzi, których Rzecz do tej pory wchłonęła. Ciągłe powtarzała sobie wzory, których się nauczyła, dzięki temu nie musiała się martwić, że je zapomni. Dodatkowo ciągle kopiowanie i tworzenie złożonych wzorów pomagało jej we własnym rozwoju. Kiedy wyjdzie na powierzchnię przy nabrzeżu, z pewnością znajdzie kolejnego nosiciela wzorów, jakiegoś człowieka. Rzecz bezwiednie przyspieszyła, niosące ją nibynóżki wydłużyły się i wzmocniły. Kto wie, może trafi na człowieka mającego inne wzory niż wszystkie poprzednie, jak ten czarodziej? Takie wzory definiują czarodzieja, uświadomiła sobie nagle. Bardzo chciała kopiować wzory czarodziejów, których równocześnie z całych sił nienawidziła. Nie dostrzegała w tym sprzeczności, była to raczej zależność. Pochłaniając wzory, zabiła czarodzieja, a równo cześnie zachowała w sobie wszystko to, co było w nim najcenniejsze. Jej świadomość dokonała kolejnego skoku naprzód, zrozumiała z zadowoleniem.

Rzecz poczuła ruch powietrza. Zbliżała się do powierzchni, do wylotu kanałów na nabrzeżu. Rozległo się szczenie. Przerażony pies, który walczył z poczuciem obowiązku nakazującym mu trzymanie straży przy wózku z towarem, wbiegł do tunelu, ale w momencie kiedy poczuł nieznany zapach, zawarczał i rzucił się do ucieczki. Zbyt wolno. Tylne nogi oplotły mu długie wici, których z każdą chwilą robiło się coraz więcej. Rzecz wchłonęła wystarczająco wiele pajaków, by znać doskonale wzór pajęczyny. Pies zdążył jedynie zaskamleć i chwilę potem wchłonął go szarozielony kobierzec.

W ostatnim czasie psim wzorom Rzecz poświęcała jedynie część swojej uwagi. Wchłonęła ich całe mnóstwo, a różnice pomiędzy poszczególnymi osobnikami były zbyt małe, aby wzbudzać jej zainteresowanie. Tym razem jednak skupiła się na tym, aby

z wchłanianej psiej jaźni pozyskać jak najwięcej informacji. I oto one: obraz sześciu ludzi zgromadzonych wokół łodzi, z której wyciągali wielkie beczki. Przemysłowcy – nowe słowo pojawiło się w jej świadomości. Nie wiedziała dokładnie, co oznacza, ale na to przyjdzie jeszcze czas.

Teraz skupiła się na tej szóstce. Czy byli niebezpieczni? Już w psich wspomnieniach dostrzegła długie na pół metra składane noże, zatknięte za pasami. Musiała też uważać na ogień. Zdradziła go żółta poświata rozchodząca się z dwóch lamp. Zarówno z ogniem, jak i ze stalą Rzecz miała już pewne doświadczenia. Z postrzępionych psich emocji wnioskowała, że mężczyźni byli spięci, przygotowani na nieoczekiwany atak, skłonni się bronić. Odrzuciła pomysł, by zaatakować ich w formie kobierca, zalewem połączonych szczurów czy psów. Mogłaby przybrać formę człowieka. Ludzkie wzory знаła na tyle dobrze, że powinna dać radę. Materii miała wystarczająco dużo nawet i na dziesięć dorosłych ciał. To powinno wystarczyć aż nadto. Tyle że wspomnienie walki, którą w psiej formie musiała stoczyć sama ze sobą, wciąż sprawiało jej ból. Nie mogła sobie pozwolić na rozdzielenie świadomości, a już tym bardziej na dziesięć niezależnych części. Może jednak istniało wyjście?

Zbliżyła się do samego wylotu ścieku. Falujący perystaltycznie kobierzec zaczął się z przodu wybrzuszać, wytwarzając rosnącą wypustkę, która powoli uformowała się w kształt dorosłego człowieka. Twór z mokrym mlaśnięciem oderwał stopy od kobierca i wykonał krok w przód. Z resztą szarzielonej masy łączyło go kilka długich wici przypominających węzłowate korzenie. Rzecz stopniowo dodawała formie detali i złożoności, równocześnie przelewając w nią większą część swojej jaźni.

Stopniowo zyskiwała ludzki wzrok, węch, dotyk, poczucie własnego ciała. Również zdolność abstrakcyjnego myślenia, przewidywania, logicznego wnioskowania... otwierał się przed nią całkiem nowy świat. Zachowała przy tym doznania i zmysły prymitywniejszych stworzeń, które wciąż odczuwała resztą swego ciała. Po chwili wahania przerwała fizyczne połączenie i sprawdziła,

czy uda jej się zachować kontrolę wyłącznie na poziomie mentalnym. Zdziałało. Władanie prymitywniejszą częścią jej ciała było teraz nieco trudniejsze i działało z opóźnieniem, jednak była to cena warta poniesienia. Takimi detalami będzie się mogła zająć później.

Rzecz przyjrzała się swojej prawej ręce. Przedramię, nadgarstek i palce wydłużyły się, aż przybrały kształt nieforemnego kordelasa. Spróbowała potem powrócić do dłoni i palców, ale szło jej to z trudem, pozostała więc przy ostrzu. Jeszcze ostatni krok. Definitywnie oddzielić się od rodzimej masy i dzięki temu zyskać na niezależności ruchów i szybkości, by móc zaatakować poza swoim dotychczasowym dominium, na powierzchni.



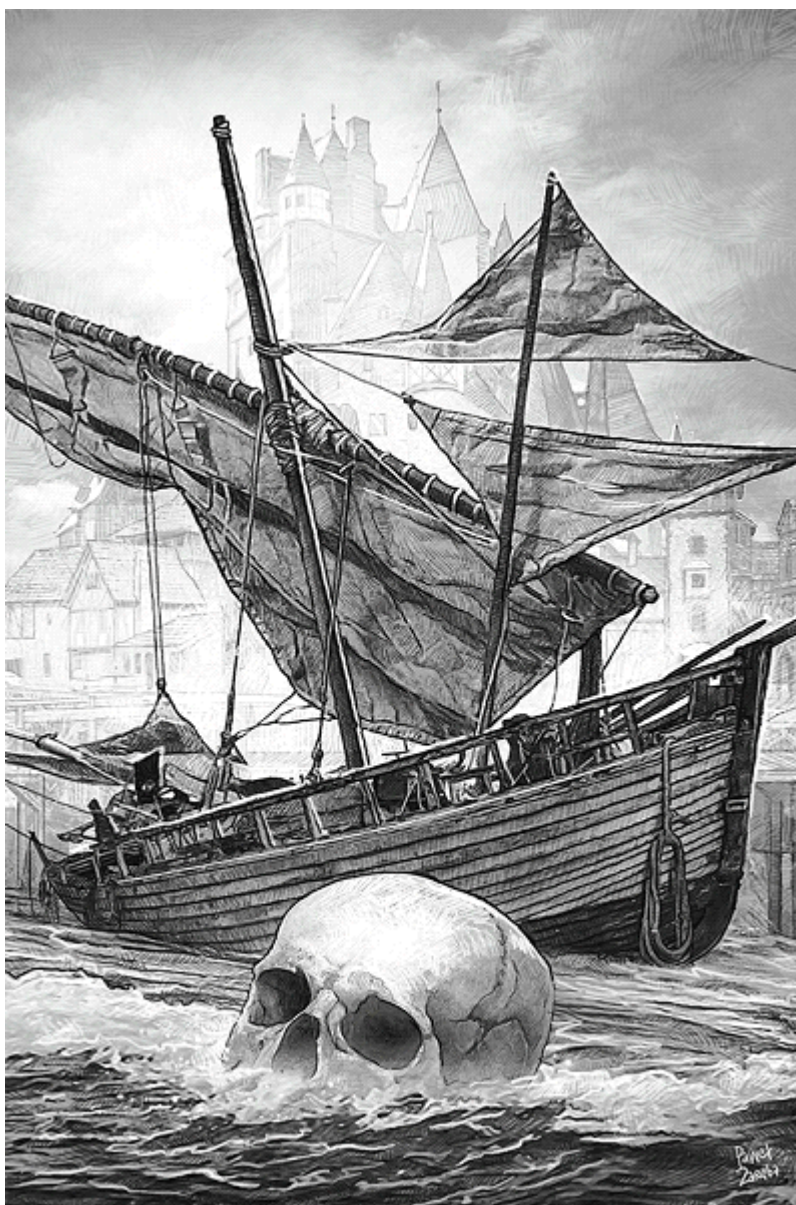
Kulgel z zadowoleniem przyglądał się pracy swoich ludzi. Nikt się nie odzywał, słyszał jedynie ich oddechy i skrzypienie piasku pod stopami, kiedy wytaczali ciężkie beczki z łodzi i odnosili je ku stojącym opodal dwóm wozom. W każdej beczce wyłożonej słomą gnieździło się sto butelek wybornego wina ze słynnych korczyjskich winnic. Miejscowe cło praktycznie podwoiłoby jego cenę. Dwanaście beczek, po sto butelek każda, to mu dawało sześćdziesiąt złotych zysku. Z tego dwadzieścia dla niego i po osiem dla każdego z chłopaków. Kulgel miał przeczucie, że jego interes wygląda perspektywicznie.

Z ciemności skrywającej górną część nabrzeża rozległ się chrobot. Kulgel sięgnął po nóż, wyćwiczonym ruchem wyszarpnął go zza pasa i obracając się, nieomal instynktownie, zanim jeszcze zdołał cokolwiek dostrzec, odbił opadające na niego ostrze. Odskoczył, palcem zwolnił blokadę i machnął ręką. Ostrze wyskoczyło, trzasnęła zapadka blokująca je w pozycji otwartej. Już widział przeciwnika, który na swoją zgubę po nieudanym ataku trzymał broń przy ciele. Kulgel zaatakował cięciem z dołu do góry, z zadowoleniem poczuł, jak ostry jak brzytwa nóż tnie mięso. Zrobił

krok w bok i ciął raz jeszcze, tym razem poziomo. Z doświadczenia wiedział, że rannemu trzewia powinny wylać się na ziemię. Nie spodziewał się, żeby tamten zdołał zaatakować w odwecie. A jednak taki atak nadszedł. Dewastujący, śmiertelny.



Rzecz stała na plaży w swej ludzkiej formie, wokół niej leżało sześć ciał. Trzy martwe, trzy umierające. Rzecz ledwo trzymała się na nogach. Mężczyźni byli lepiej przygotowani, szybsi, twardsi, niż się spodziewała. Z rozsianych po całym ciele ran, które odniosła, wyciekała zielona, śluzowata ciecz, która na powietrzu z sykiem ulegała rozkładowi. Ludzkie wzory kopiowała jedynie na tyle, aby wyglądały i poruszały się jak trzeba na zewnątrz, jednak w środku to właśnie zielona substancja tworzyła cały organizm, pozwalając mu funkcjonować. Jej utrata była poważnym zagrożeniem dla egzystencji.



Rzecz z całych sił próbowała zaleczyć jedno zranienie po drugim. Po skąpanym w księżycowej poświacie piasku pełzł w jej kierunku szarozielony wąż pozostałej, bardziej prymitywnej części. W powietrzu czuć było rosę, powiew wiatru przyniósł od morza strzępki gorzkiej piany. Rzecz zasklepiła kolejną ranę, ale czuła, że dłużej nie utrzyma się na nogach. Kolana się pod nią ugięły, zatoczyła się, ale w tej właśnie chwili poczuła dotyk pierwszych wici reszty jej kilkusetkilogramowego ciała. To ją wzmocniło w mgnieniu oka, pozostałe rany przestały jej zagrażać. Leczeniu poświęciła jedynie część swej uwagi, resztę skierowała na martwych

i umierających. Musi przeczytać ich wzory, zanim całkiem się rozpadną, rozplyną w chaosie śmierci.

Najbliższego z mężczyzn zaczął pokrywać falujący kobierzec. Jeden z przemytników, wciąż świadomy, widział to. Przerazenie pokonało ból i bezwład, z twarzą wykrzywioną szaleństwem uniósł się na rękach i próbował odpełznąć, pozostawiając za sobą na piasku ślad z własnych wyprutych trzewi.

Przed świtaniem, kiedy wschodni horyzont rozjaśniły pierwsze blade promienie, na plaży nie było żadnych ciał, jedynie fale lizały kadłub wyciągniętej na piasek łodzi. O jej burtę postukiwała turlana przybojem czaszka.

Rzecz zakończyła wchłanianie materii pozyskanej z ciał sześciu ludzi. Z centralnej części kobierca wystawała narośl w kształcie ludzkiej głowy. Nie była to dokładna kopia, rysy były jedynie z grubsza zaznaczone, okalała ją też sześcioro oczu. Nosy nie wyszły zupełnie, ale nie miało to w tej chwili większego znaczenia. W głowie, chronionej masywną kością czaszki, Rzecz umieściła większą część swego samoświadomego jestestwa. Oczy rozglądały się bacznie, by ostrzec ją o jakimkolwiek nadchodzącym niebezpieczeństwie, podobnie jak rozsiane nieregularnie po obwodzie kobierca setki szcurzych. Obraz z nich nie był tak złożony i dokładny jak z tych ludzkich, jednak reagowały szybciej na ruch i widziały lepiej w ciemności.

Rzecz najchętniej skupiłaby się teraz na skopiowaniu pozyskanych właśnie wzorów, które na razie zachowała jedynie jako swoiste odciski w matrycy. Każda chwila zwłoki kosztowała ją tracone powoli detale, jednak pozostawanie na powierzchni niosło zbyt wielkie ryzyko. Najszybciej jak tylko mogła ruszyła z powrotem do podziemi, do bezpiecznej, mrocznej wilgoci.

W przyszłości mogłaby użyć do ataku magii, tak jak to zrobił ten czarodziej, przyszło jej na myśl, kiedy znalazła się w półmroku kanałów. Zatrzymała się na chwilę, aby odnotować moment, w którym na horyzoncie pojawi się zgubne słońce, tak by w przyszłości wiedzieć dokładnie, ile ma czasu do dyspozycji.

Tak, użyje magii, jeśli będzie wiedzieć jak, wróciła do przerwanej myśli. Będzie musiała znaleźć na to sposób. Było to pragnienie, które odczuwała niczym palącą ranę, uczucie, które tłumilo wszystkie inne doznania. Potrzebowała więcej wzorów. Musiała też jak najszybciej przeczytać i skopiować te, które właśnie zdobyła. Potem będzie się mogła zemścić na czarodziejach. Owładnęła nią fala nienawiści tak silnej, że aż otaczające jej ciało szcurze oczy przygasły, a podtrzymujące je szypułki obwisły. Przemodne uczucie powoli ustąpiło, aż znów mogła jasno myśleć. Właśnie dowiedziała się o sobie nowej rzeczy – nienawidzi czarodziejów. Było to niczym jeden z fundamentów jej osobowości, jeden z powodów, dla których w ogóle istniała. Zabrała się do zaczytywania i kopiowania nowo pozyskanych wzorów. Niektóre detale tu i ówdzie zdążyły się pozacierać, ale to w niczym nie przeszkadzało. Skupiła się na tym, co pozostało. Będzie miała jeszcze mnóstwo okazji, aby zdobyć nowe. Tego była pewna.

Rozdział 5

Ucieczka



Janick czuł, jak wali mu serce. Znow przeleciał wzrokiem rękopis, który miał przed sobą. Sądząc po charakterze pisma, autorem był ten sam człowiek, którego zapiski już wcześniej odczytał. Tym razem tekst napisano w klanowej wersji swaglish. Zupełnie jakby piszący zdołał się go płynnie nauczyć. Ostatni akapit był podsumowaniem wydarzeń, które w powszechnej odmianie swaglish były opisane na kilku wcześniejszych stronach.

Stary nie żyje, tak jak i wszyscy wielcy mistrzowie. Pozostali będą próbować jeszcze raz. Kompletna głupota, wszyscy tu zdechniemy. Trzeba było uciekać, to się zupełnie wymknęło spod kontroli i nikt nie ma pojęcia, co zrobić.

Janick w pełni się zgadzał z dawnym studentem magii. Powinien stąd uchodzić jak najszybciej. Wszystko, co miało miejsce w ciągu ostatnich tygodni, miało ten sam przebieg, co wydarzenia sprzed czterystu lat, o których tyle się dowiedział z zakupionych zapisków.

Magiczny udar paraliżujący wszystkich ludzi obdarzonych czarodziejskim talentem, kanały oczyszczone ze szczurów, wędrownych czy jakichkolwiek, znikające psy i ciągły magiczny niepokój. Kolejnym etapem mieli być znikający ludzie. O tym, jak na razie, Janick nic nie wiedział, ale jeśli wierzyć autorowi zapisków, nawet w tej chwili było już stanowczo za późno, by tej cholery z podziemi nakopać do dupy.

Żałował, że ma do dyspozycji jedynie notatki człowieka z najniższej warstwy czarodziejskiej hierarchii, kogoś, kto sam niewiele wiedział o tym, co się działo, i potrafił jedynie opisać to, co widział, bez żadnej głębszej analizy. O istocie Akroove, którą sam kazał wpuścić do kanałów Grafzaty, o broni, którą tak niefrasobliwie wypuścił na wolność, nie dowiedział się praktycznie niczego nowego. Najwyżej tyle, że sami jej twórcy nie potrafili sobie z nią poradzić, zabijała ich jednego po drugim dokładnie tak samo jak wszystkich innych.

Musi uciekać. Jeszcze kilka lat temu zabrałyby w kieszeń garść drobniaków i ruszył przed siebie w nadziei, że zdoła się zgubić w szerokim świecie i jakoś na nowo urządzić. Dziś jednak nie chciał tracić wszystkiego, co z takim trudem zbudował i zgromadził. Potrzebował planu, nawet jeśli samo rozmyślanie na ten temat napełniało go przerażeniem.

Da nogę, oczywiście, ale urządzi to tak, aby wyglądało jak zaplanowana akcja, jakby kontynuował to, co tutaj, w Grafzaty, rozpoczął. Była to bardzo przebiegła, genialna wręcz myśl – ocenił sam siebie. Środki ma wystarczające, wciąż dysponował dziesiątkami tysięcy złotych z niebotycznej zapłaty, jaką otrzymał. Podszedł do okna i rozsunał zasłony. Noc nie dobiegła jeszcze połowy. Trzeba się było tak spieszyć? Przypomniał sobie, nad czym ślęczał przez ostatnich kilka godzin. Wiedział zbyt mało, by móc ocenić, ile zostało czasu. Koniec mógł być bliski, tuż-tuż. Jak trudno było zabić wielkiego mistrza klanu? W dawnych czasach, kiedy czarodzieje władali światem? Pewnie niełatwo.

W myślach przywołał Byvneta, aby stawił się w jego pracowni. Stary mężczyzna otworzył drzwi natychmiast, jakby czekał tuż za nimi.

Czekałem za drzwiami – potwierdził – czułem wasz niepokój, panie.

Janick zwięźle mu przedstawił, co ma zamiar uczynić.

Wy i ja tylko? – chciał się upewnić Byvnet.

I ktoś z tych najmłodszych na kuriera, żebym mógł przesyłać rozkazy. Może nawet dwóch, żebym nie musiał ciągle czekać na jego powrót. Klinsmanowi zostawię instrukcje na piśmie.

Rozumiem, panie. A co z sekretarzem?

Janick skinął głową. To było znaczące pytanie. Sekretarz aktywnie gromadził informacje, o czym się tylko dało, i nie było jasne, dla kogo pracuje. Dla jakiejś kliky wewnątrz klanu, dla siebie samego, czy może był wtyczką ich władcy i sponsora Varatchiego?

Sekretarz tutaj nie zostanie– zdecydował Janick.

Pojedzie z nami?– zaciekawiał się Byvnet.

Można by to ująć i tak– odparł Janick sucho.

Rozumiem, panie.



Trzy godziny później siedzieli we trzech na wieśniaczym wozie ciągniętym przez dwa ospałe siwki. Bagażu nie mieli prawie żadnego, oprócz odrobiny osobistego dobytku wieźli na wozie puste beczki i kosze, w których zazwyczaj dostarczano zapasy do klanowej spiżarni. Gdyby ktoś chciał się im przyjrzeć, wyglądałoby jak handlarze, którzy sprzedali swój towar na targu i wracają do domu. Jedynym istotnym ładunkiem były pieniądze. Mniej więcej połowę, w klejnotach, Janick miał w swojej walizie, reszta, w złocie, ukryta była w schowku w wozie. Mając pełną świadomość, jaką fortunę wiozą, Janick siedział jak na szpilkach. Gdyby ktokolwiek wiedział, ile wart jest ich ładunek, nie dałby za swoje życie obciętego miedziaka. Czy aby na pewno podjął właściwą decyzję? Gdyby chociaż mógł wziąć ze sobą milczącego zabójcę... Niestety, w tak krótkim czasie nie miał jak się z nim skontaktować.

Swoje paniczne myśli zostawił dla siebie. Przyglądał się, jak młodzieniec, którego imienia nie zdołał nawet zapamiętać, powozi. Byvnet siedział z tyłu. Zbliżał się świt.

– Brama będzie jeszcze zamknięta – zauważył młodzieniec.

Janick skinął tylko głową. Z miasta można się było wydostać jedynie wąską groblą łączącą wyspę ze stałym lądem. Podczas burz albo wyjątkowo wysokich przyływów Grafzatza zamieniała się

w wyspę. Wjazd na groblę na obu końcach kontrolowały oddziały uzbrojonej miejskiej straży i celnicy.

– Poczekamy. Otwierają o wschodzie – odpowiedział Janick.

Bardziej, aby młodzika uspokoić, niż doinformować. Wystarczyło, że on sam był śmiertelnie przerażony. Ludzie, od których zależało jego bezpieczeństwo, musieli funkcjonować sprawnie i bez wahania.

– A potem co będziemy robić? – padło kolejne pytanie.

– Dowiesz się we właściwym momencie. Będziemy postępować według klanowej procedury w tego typu przypadkach.

Młody mężczyzna skinął głową, zadowolony z odpowiedzi. Janickowi wydał się nagle spokojniejszy, nawet wozem kierował jakby mniej nerwowo. Mniej szarpał za lejce, mniej krzyczał na konie. Janick pozostawił go w tej nieświadomej iluzji. Zbliżyli się do kolejki wozów czekających na otwarcie bram. Czas to pieniądz, zgadywał, że niektórzy z handlarzy nocowali na wozach. Może się uda. Na pewno im się uda. Żeby tak jednak być już za miastem... A może za bardzo się spieszył? Może zwyczajnie spanikował? Gdzieś na dnie żołądka poczuł dziwne mrowienie. Nie, nie było to w żołądku, to było gdzieś niżej. Mrowienie zmieniło się w atak gorączki promieniującej z trzewi na całe ciało, w koniuszkach palców przechodzącej w palący ogień. Uczucie było nie do zniesienia, gdyby się nasiliło, straciłby chyba świadomość, jak podczas ataku magicznej burzy, która poraziła wszystkich członków klanu. To było coś bardzo podobnego. Po chwili bezwład, wyostrome zmysły i uczucie, na którego opisanie zwyczajnie nie znał słów, przeminęły, pozostał jedynie ból głowy. Ten magiczny udar był, na całe szczęście, o wiele słabszy niż poprzedni. Jednak nawet mimo tego Janick uświadomił sobie, że z trudem łapie oddech i cały się trzęsie. Spojrzał na młodzika na koźle. Był blady, głowę trzymał w dłoniach, z ust kapała mu ślina. Bywnet był wyczerpany, ale zdolny do akcji. Czy to jedynie przypadek, że towarzyszyli mu ludzie o jeszcze słabszym talencie magicznym niż jego własny? Zmiany w magicznym polu były tym bardziej niebezpieczne, im większym talentem magicznym człowiek dysponował, tego zdążył się już dowiedzieć, obserwując członków klanu. Czy zatem

wyjątkowo utalentowany czarodziej mógł stracić życie? Możliwe, o ile nie zdołałby się jakoś obronić. Być może wraz z nauką postępowała też odporność na podobne wydarzenia.

Janick zauważył, że nie byli już ostatni w kolejce oczekującej na wyjazd z miasta. Ustawiły się za nimi trzy inne wozy. To go cieszyło, bo dzięki temu lepiej wtapiali się w otoczenie. Atak magicznej niemocy rozproszył jego wątpliwości co do tego, czy nie umyka z miasta zbyt szybko. Najwyraźniej podjął właściwą decyzję. Zmiany w polu magicznym musiały mieć związek z tym, co wypuścił do kanałów Grafzaty, z bronią Akroove, którą przed czterystu laty testował tutaj klan Maleriat. Jego decyzja, by uciec – by zmienić punkt operacyjny, poprawił się w myślach – była właściwa.

Konie parsknęły niespokojnie. Młodzieniec, jakby do tego nawykły, chyżo zeskoczył z kozła i zawiesił im worki z obrokiem. Zapanował spokój.

Janick rozsiadł się wygodniej na ławce. Powoli wracała mu pewność siebie. Podjął właściwą decyzję, z oddali będzie obserwował rozwój wydarzeń w Grafzaty i równo cześnie kontynuował pracę nad przekładem starych tekstów. Potem się zobaczy.

Popatrzył na młodzika. Do dyspozycji miał raptem dwoje oczu i dwoje uszu, ale na początek dobre i to. Wodził wzrokiem po okolicy. Noc ustępowała, cienie bladły, detale nabierały wyrazistości. Kawalek przed nimi przy drodze siedział jakiś człowiek. Wyglądał na wymęczonego, co kilka chwil niecierpliwie kontrolował wzrokiem bramę, jakby nie mógł się doczekać, aż opuści miasto. Kogoś Janickowi przypominał, ale czarodziej nie zdołał rozszyfrować kogo. Odwrócił od niego wzrok, nie chciał zwracać na siebie niczyjej uwagi.



Vuki siedział na zwiniętym kocu, resztę swego dobytku miał w torbie leżącej pod ręką. Wiedział, że im szybciej zniknie

z Grafzaty, tym lepiej. O swoich planach, by najpierw zgromadzić odrobinę kapitału na nowy początek, już nawet nie wspominał. Spotkanie z magicznym demonem w podziemiach miasta było wystarczającą nauką. Wciąż nie mógł zrozumieć, jakim cudem jeszcze żyje. I wiedział, że nie przestanie go to dręczyć dopóty, dopóki się stąd nie wydostanie, z tego miasta dotkniętego starą magiczną klątwą. Spojrzał na rząd wozów czekających na otwarcie bram. Wśród nich na zwykłej furze dostrzegł samego wielkiego mistrza Janicka. Wyglądał dość mizernie i widać było, że tak samo jak i Vuki próbuje wydostać się z miasta.

Vukiemu było wszystko jedno. Kiedy indziej pewnie spróbowałby znaleźć sposób, aby tę informację jakoś wykorzystać, ale teraz chciał tylko wyjechać. Czemu przeżył? Nie miał pojęcia, nie potrafił znaleźć sensownego powodu, ale za żadne skarby nie chciałby swego szczęścia wystawiać na próbę po raz drugi. Cokolwiek wyganiało mistrza Janicka z miasta, nie interesowało go. Może uciekał z tego samego powodu? Może jego też zaatakowało w kanałach monstrum? Ta myśl rozbawiła Vukiego. Po raz pierwszy opuściło go poczucie totalnej niemocy, przeświadczenie, że cokolwiek uczyni, bestii czyhającej w podziemiach i tak nie umknie. Skoro uciekał sam wielki mistrz, może było to właściwe rozwiązanie. W końcu on powinien coś tam wiedzieć.

Dłużej się nad tym nie zastanawiał, bo pierwsze promienie słońca rozświetliły wieże miasta i straż zaczęła otwierać bramy. Na opóźnienia nie patrzono tu pobłażliwie i żaden z ludzi na służbie nie chciał zaczynać dnia od przekleństw rzuconych pod jego adresem.

Vuki wstał i powoli ruszył wzdłuż stojących wozów. Najchętniej pobiegłby ile sił w nogach, żeby być na zewnątrz jak najszybciej, ale wiedział, że byłby to błąd. Ściągnąłby na siebie uwagę, nie warto tak ryzykować. Zmusił się więc, by kroczyć niespiesznym tempem kogoś, kto jest gotów człapać tak cały dzień. Bez pośpiechu mijali jeden wóz za drugim, pozwalali prześlizgiwać się po sobie obojętnym spojrzeniem. Nikt się nim nie interesował. I bardzo dobrze. Nie odezwał się żaden okrzyk, by go pochwycić, spod ziemi nie wyłoniło

się żadne monstrum, sierżant u bramy jedynie machnął ręką, aby szedł dalej, i tak znalazł się na zewnątrz.

Vuki nabrał głęboko powietrza. Uciekł. Przeżył. Wiatr jeszcze nigdy nie smakował tak słodko, morze nie pachniało cudowniej. Nawet skrzeczenie mew brzmiało jak rajska muzyka.

W połowie grobli łączącej miasto ze stałym lądem poczuł nagły ból w kolanie. Kulał, ale szedł dalej. Niech tylko pokona te dwa, trzy kilometry, znajdzie jakiś tani zajazd, gdzie będzie się mógł zatrzymać, aż mu przejdzie. Po kilku kolejnych krokach zrobiło mu się ciężko na żołądku, jakby zjadł coś niedobrego. Trzymał się z boku, krocząc zwężającym się paskiem suchego lądu wzdłuż drogi. Przyływ jeszcze nie ustąpił, co chwila stopy zalewały mu fale. Czuł się tak paskudnie, że nawet nie próbował ich unikać, uparcie szedł tylko dalej. Uczucie ciężkości w żołądku i mdłości przeszły we wszechogarniającą słabość i rwanie w stawach. Ani chybi zatruł się kolacją, nie trzeba było tak oszczędzać na jedzeniu, ganił się w myślach. Żeby się chociaż przytulić gdzieś na poddaszu, aż się z tego wylize. Jeszcze kilka kroków, rytm serca zaczął mu wariować, przez chwilę tłukło mu się w piersi jak oszalałe, parę razy nieomal stanęło. Nie zdołał ustać, ostatkiem sił usiadł na kamieniu, zamiast paść bezwładnie na ziemię. Może zaraz mu się poprawi. Siedział, z trudem łapał powietrze i wsłuchiwał się w swoje serce, które z wysiłkiem walczyło o każde kolejne uderzenie.



Janick rozejrzał się po okolicy. Znów zaskoczyło go, jak wąskie i niepewne było połączenie miasta ze stałym lądem. W starych kronikach, które ostatnio częstokroć przeglądał, wspominało się, że po grobli wozy jeździły w trzech rzędach w każdą stronę. Nie rozumiał, jak to było możliwe, droga była tak wąska, że z trudem mieściły się na niej wozy jadące pojedynczo w przeciwnych kierunkach. A i to tylko dzięki temu, że w niektórych miejscach

poszerzono ją drewnianą konstrukcją osadzoną na wbitych w morskie dno dębowych palach.

Opodal dostrzegł mężczyznę, którego widział wcześniej, jak czekał na otwarcie miejskich bram. Siedział na kamieniu i wyglądał, jakby nie czuł się zbyt dobrze. Janickowi znów wydał się znajomy. Obejrzał się za nim i poczuł nagle przeszywający ból w szyi, jakby złapał go skurcz. Zdarzało mu się to wcześniej, zwłaszcza po długotrwałym ślęczeniu nad księgami, ból potrafił się utrzymywać przez kilka dni. Zebrało mu się na nudności, chciał się przechylić przez burzę i dostrzegł, że jego młody towarzysz nie prowadzi już wozu, ale siedzi bezwładnie na koźle. Po chwili zwałił się na deski, puścił przy tym lejce, ale konie posłusznie człapały dalej.

Janick próbował złapać oddech, skurcz mu to prawie uniemożliwiał.

– Potrzebuję pomocy – wychrypiał, ale spoglądając za siebie, zorientował się, że i Byvnet leży bez czucia na dnie wozu.

Co tu się, do cholery, dzieje? Ból głowy i niedobór tlenu mąciły mu myśli, czuł, że lada moment straci świadomość. Jeśli czegoś zaraz nie zrobi, jeśli nie wpadnie na jakiś pomysł, będzie martwy. Jakies zakłęcie?

– Do dupy z zaklęciem – wydusił, ale nawet nie usłyszał własnego głosu. Ból w uszach odebrał mu słuch. Złapał się za lewe ucho, na dłoni zostały mu ślady krwi. – Gówno! – zaklął znowu.

Sięgnął po lejce, udało mu się je chwycić za drugim razem. Powozić umiał, kiedyś to był jego chleb powszedni. Zjechał na bok, by nie tamować ruchu.

– Prrr! – krzyknął i zatrzymał konie.

Ciemniało mu przed oczami, ból nie narastał już i co chwila udawało mu się złapać oddech. Nie miał pojęcia, jak długo zdoła jeszcze wytrzymać. Mózg mógł mu pęknąć w każdej chwili. Był przekonany, że mózg mógł pęknąć. Musi zawrócić. Musi zawrócić! Z mroczkami przed oczyma, z krwią ciekącą z uszu wlaź na kozioł i zaczął zawracać wóz. Przez chwilę wydawało się, że go przewróci i wszyscy skończą w wodzie, ale w końcu jakoś mu się udało. Potem, nie bacząc na nic i nikogo, przepchnął się przez ciąg wozów

sunących tak w jedną, jak i w drugą stronę. Na przekleństwa i groźby pod swoim adresem zwyczajnie nie zwracał uwagi.

Z każdym pokonanym metrem wyrywał się z objęć śmierci. Wiedział to z całą pewnością, czuł, że był z nią dopiero co na wyciągnięcie ręki. Byvnet wydawał się powoli dochodzić do siebie, tylko młody wciąż leżał nieprzytomny. Ale martwy nie był, to Janick czuł wyraźnie.

Kątem oka dostrzegł mężczyznę siedzącego na kamieniu. Już wiedział, skąd go zna. Wybrał go jako ofiarę, która miała rozpocząć cały eksperyment z Akroove.

– Możesz się ruszać? – zapytał go.

Mężczyzna uniósł głowę, ale było jasne, że go nie widzi i nie rozpoznaje.

– Chyba tak, panie – otrzymał odpowiedź.

– Spróbuj wsiąść – zaoferował.

Ból szyi i głowy wciąż paraliżował. Vuki – nazywał się Vuki, przypomniał sobie Janick – zdołał się wdrapać na wóz. Wjazd do miasta obstawiony był innymi ludźmi niż wyjazd, dzięki czemu nikt nie zaczął się interesować, dlaczego wjeżdżają z powrotem jedynie parę chwil po opuszczeniu miasta.

Co dalej, panie? – usłyszał w myślach pytanie Byvneta.

Stary mężczyzna wydawał się dochodzić do siebie, podczas gdy Janick wciąż się czuł, jakby miał lada moment wyzionąć ducha.

Nadal jest wcześnie. Wrócimy, rozkazy, które zostawiłem na piśmie, zniszczę i będziemy działać dalej, jakby się nic nie stało – odpowiedział mu w myślach.

Coś się jednak stało. On, Byvnet, klanowy nowicjusz ani były klanowy sługa nie mogli opuścić miasta. Biorąc pod uwagę, że jedynym łączącym ich elementem był talent magiczny, nieważne, jak słaby, w tym właśnie musiał tkwić powód. Zwykli ludzie wydawali się opuszczać Grafzatzę bez najmniejszych problemów.

A co z sekretarzem?

Ożywiać martwych nie potrafię. Odszedł we śnie, nie wytrzymało mu serce. To będzie wyglądać jak naturalna śmierć.

Janick uświadomił sobie, że zaczyna myśleć w innych kategoriach. Śmierć jednego człowieka nie robiła na nim już żadnego wrażenia. A co do pozostałych spraw... musi się nad tym dobrze zastanowić. Jeśli czegoś nie wymyśli, umrze. Właśnie się o tym przekonał.

Rozdział 6

Śniadanie w łóżku



Valer obudził się. W jednej chwili jeszcze spał, w następnej był już całkiem przebudzony, w pełnej gotowości, nagle świadom kilku rzeczy naraz. Wieczorem kochali się z Zuzanną i teraz leżał obok w niej w łóżku, z ręką na jej udzie. A nawet jeszcze wyżej, uświadomił sobie. Sama Zuzanna nie spała. Nie wiedział, czemu tak sądzi, ale był o tym przekonany.

Przez zaciągnięte zasłony do pokoju przenikało słabe światło budzącego się dnia, poranek był tuż-tuż. Zdradzało to i powietrze. Chłodne, odświeżające, pozostały w nim jedynie nieznaczące ślady po upale i nagranych murach dnia poprzedniego.

Najchętniej przytuliłby się do Zuzanny, objął ją i jeszcze na chwilę zamknął oczy. Było wciąż wcześnie. Nie był jednak pewien, co czuła ona. Czy wykorzystał wczoraj jej stan, to, jak była roztrzęsiona, aby wskoczyć jej do łóżka? Bez wątpienia, przyznał przed samym sobą. Zdecydował, że spróbuje się w udawanym półśnie obrócić i w ten sposób wyswobodzić rękę z intymnej pozycji. Potem się zobaczy, co dalej, jak na ich wspólną noc zapatruje się Zuzanna.

Położyła swoją dłoń na jego przedramieniu, uniemożliwiając mu jakikolwiek dalszy ruch. Valer uświadomił sobie, że mimo swych wcześniejszych prób udawania, że śpi, uśmiecha się.

- Nie śpisz – stwierdził.
- Ty też nie.

Uwolnił się, napawając się jej bliskością. Przez kilka chwil nie myślał o niczym. O niczym innym poza tym, że znów ma na nią chęć.

– Obudziło mnie chyba to, że nie śpisz. Dzieje się coś? – Wrócił ze swoich marzeń na ziemię.

Światło w pokoju zmieniło się. Zgadywał, że promienie słońca sięgnęły kopuł najwyższych wież w mieście.

– Owszem – odpowiedziała. – Coś się zmieniło. Ma to związek z magią, z mocą, ale nic więcej nie jestem w stanie powiedzieć. Trochę to przypomina tę wcześniejszą magiczną burzę, ale jest mniej intensywne. Niemniej mam wrażenie, że jest przynajmniej równie istotne.

Czekał, co powie dalej. Kiedy chodziło o magię, nie mógł pomóc. Przysunął się, aby do niej przyłgnąć. Nie myślał już o seksie, brakowało mu po prostu bliskości.

– Jakby ilość przeszła w jakość? Może, sama nie wiem – rozmyślała na głos. – Tylu rzeczy wciąż jeszcze nie rozumiem.

– Ale fizycznie nic ci nie jest? Nie boli cię nic, nie czujesz się chora? – upewniał się.

Wciąż leżał na plecach, starając się nacieszyć chwilowym spokojem i poczuciem bliskości, zanim będzie musiał stawić czoła nowemu dniowi. Problemom, które w każdej chwili mogły sprowadzić na nią śmierć. O sobie nawet nie myślał.

– Zmiana w porównaniu z tą poprzednią była mniej gwałtowna. Do tego mam poczucie, jakbym i ja sama się czegoś nauczyła. To znaczy jak sobie radzić z podobnymi wzburzeniami magicznego pola. Jakbym się nauczyła w nich pływać, była w stanie się przysposobić. Nie wiem, jak to opisać.

Ścisnęła go za rękę. Budził się nowy dzień, ich błoga chwila dobiegała końca. Valer przekręcił się na bok, palcami przeczesał jej włosy. Pocałował ją w czoło, w powieki, leciutko w usta i w każdą z piersi.

– Zależy mi na tobie, jesteś taka piękna – powiedział.

Wyskoczył z łóżka. Wiedział, że na niego patrzy, że mu się przygląda. Kiedy się obrócił, przekonał się, że miał rację.

– Wydawało mi się, że chciałeś tu ze mną zostać trochę dłużej – rzekła, zjeżdżając wzrokiem w dół.

– Nagi mężczyzna nie może ukryć swoich pragnień. – Wzruszył ramionami, równocześnie próbując z całych sił nie podążyć za jej wzrokiem. – Jeśli jednak uda nam się przeżyć ten dzień, mam nadzieję, że będę miał szansę ukoić je wieczorem.

– Dobrze powiedziane. – Uśmiechnęła się nieznacznie, wciąż bacznie go obserwując.

– Coś nie w porządku?

– Wręcz przeciwnie. Próbuję pogodzić się z tym, że po prostu nie mogę mieć wszystkiego. – Zrobiła nadąsaną minę, ale kąci jej ust natychmiast zaczęły podrygiwać.

– Wieczorem, bez pośpiechu, całkowicie – odpowiedział Valer słuźbiście, co sprawiło, że zaczęła się głośno śmiać. Przyłączył się do niej. – Kawy? Herbaty? Coś do zjedzenia? – zaproponował.

– Wszystko – odpowiedziała – głodna jestem jak wilk.

Valer ruszył ku drzwiom sypialni.

– Jak Monika albo Katrin zobaczą cię bez ubrania, będę musiała czekać godzinami. Ale nie daruję ani tobie, ani im!

– Jest wcześnie i będę cichszy od cienia – odpowiedział.

– Czerwienisz się! – Wyciągnęła oskarżycielsko palec.

– Wcale nie! – obruszył się.

– Niech ci będzie. – Nie sprzeciwiała się dalej. Wstała z łóżka, podeszła do okna, rozsunęła zasłony i stała tak chwilę, wyglądając na zewnątrz.

Valer jeszcze przez moment się jej przyglądał, po czym wciągnął spodnie i wyszedł tak cicho, jak obiecał.



W kuchni krzątał się już jeden z pomocników Gewnera i Valer nie miał problemów ze zorganizowaniem śniadania. Kiedy wrócił do pokojów Zuzanny, niósł tacę, na której piętrzył się świeży chleb w towarzystwie pasztetu, plastrów pieczonej wieprzowiny

i pikantnego wieprzowego klopsa oraz miski z marynowanymi rybami. Do tego dzbany z kawą i gorącą wodą do zaparzenia herbaty. Zauważył, że w trakcie jego nieobecności Zuzanna nie ubrała się, zawięła jedynie w szlafrok.

– Myślałam, że w ramach zachowania dyscypliny będziesz chciał utrzymać w tajemnicy, że spędziliśmy razem noc – zauważyła, kiedy nalewał kawy. – Prędzej czy później zjawi się tu Katrin albo Monika.

Obserwowała go, jak dmucha na napój, jak go wacha i smakuje. Znała Rolanda już znacznie lepiej i wiedziała, że pod tą maską opanowania kłębią się uczucia. Wcześniej tego nie dostrzegала, Valer był, jak widać, doskonałym kłamcą. A może miał dwie twarze, jedną na zewnątrz i jedną do wewnątrz, przyszło jej do głowy.

– Postąpię tak, jak sama tego będziesz chciała.

Podsunał jej talerz i widelczyk, po czym usiadł i zaczął jeść.

– Też jestem głodny – zauważył.

Zuzanna skinęła głową i poszła w jego ślady.

– No i tak sobie myślę, że tego by mi się nie udało ukryć. Ktoś coś tam na pewno już zauważył, wcześniej czy później ktoś doda dwa do dwóch – kontynuował po kilku pierwszych łapczywych kęsach. – Polegamy na sobie, wszystko o sobie wiemy i znamy się na wskroś.

– Katrin tu była w nocy – wyjawiała mu Zuzanna. – Otworzyła drzwi, chciała zapytać, czy czegoś nie potrzebuję, a kiedy się zorientowała, że nie jestem sama, poszła sobie.

Valer przełknął, na chwilę się zamyślił, popił kawy.

– Zazwyczaj bywam dużo bardziej czujny i nie daję się tak podejść we śnie.

– Oczywiście – zgodziła się z nim Zuzanna i odgryzła kawałek chleba posmarowanego grubo pasztetem. – Nikt nie twierdzi, że spałeś – dodała niewinnym głosem – wręcz przeciwnie. Byłeś jednak bardzo zajęty i nadzwyczajnie wręcz skupiony na czym innym, więc pewnie stąd te problemy z czujnością.

– Już lepiej o nic nie będę pytać. – Valer popatrzył na nią. – Dobrze przynajmniej, że zdecydowałem właściwie. Tylko bym stracił okazję, żeby zjeść z tobą śniadanie.

– A co z twoimi ludźmi? – spytała Zuzanna.

– Będą mi zazdrościć, i tyle. Ich zdolności bojowych nijak to nie umniejszy.

– Wręcz przeciwnie – zasugerowała.

– Właśnie.

– Wybacz. – Nachyliła się i pocałowała go. – Podobalesz mi się od samego początku, od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłam. A im lepiej cię znam, tym bardziej. Równocześnie brałam cię za kogoś niemalże pozbawionego uczuć i zupełnie mnie zaskoczyło, że okazałeś się inny... zupełnie inny. To dlatego tak się z tobą droczyłam. Przepraszam.

Valer nie wiedział, co ma na to odpowiedzieć, wzruszył po prostu ramionami i dalej kroił na talerzu pieczeń na małe kawałeczki.

– Ani razu nie żałowałam tego, czego nie powiedziałem – odpowiedział w końcu i Zuzanna znowu się roześmiała.

– Weźmiemy się zaraz do roboty, ale najpierw się najedzmy, dobrze? – zaproponowała. – Nie chcę psuć tego śniadania. Tak dobrego nie jadłam już od dawna.

– Czyli że mogę wreszcie zacząć jeść? – Valer podsunął sobie połowę pokrojonej wieprzowiny.

– Zauważyłam, jak się powstrzymujesz.

Rozległo się pukanie i w drzwiach pojawiła się Katrin. Gdyby Valer nie był uprzedzony, że służąca wie o jego obecności, zapewne nie mógłby się nadziwić, jak neutralny wyraz twarzy udało jej się zachować.

– Monika czuje się dobrze? – zapytała ją Zuzanna.

– Owszem, pani.

– Przyjdź, jak wybiją siódmą. Wcześniej nie będę cię potrzebować i dziękuję za twoją opiekę.

Valer przez chwilę oceniał plaster kłopsa, po czym przekroił go na dwie idealne połówki.

– Weź wszystko, jak chcesz. – Zuzanna błędnie wytłumaczyła sobie jego wahanie.

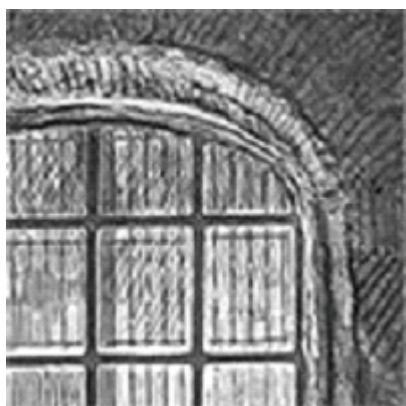
– Kiedy dokładnie Katrin tu zajrzała? – zapytał wreszcie z pełnymi ustami.

Zuzanna uśmiechnęła się zwycięsko.

– Wiedziałam, że będziesz chciał wiedzieć. Nie mogę sobie przypomnieć, to była taka długa noc, czyż nie?

Rozdział 7

Niedostatecznie martwy markiz



Parleur przyglądał się, jak felczer czyści i opatruje jego rany, podczas gdy sługa serwował mu drugi napój. W pierwszym było tyle opium, że zwałyby z nóg słonia. Parleur żuł przy tym liście koki oprószone trzcinowym cukrem, dzięki czemu zachował pełnię świadomości, a równo cześnie nie czuł nawet cienia bólu.

– Rana jest czysta. Straciliście, panie, mnóstwo krwi, ale nie aż tyle, ile się spodziewałem. Mieliście wiele szczęścia – mamrotał pod nosem stary mężczyzna. – Może to dlatego, że ostrze było naprawdę wąskie.

Parleur zdusił w sobie falę gniewu. Każdy, kto komentował jego ranę, równocześnie przypominał mu, że zwyciężyła go ta czarodziejska wywłoka z dziczy. O ile rzeczywiście była z dziczy. To się jeszcze okaże. Felczer wszak służył mu już długie lata, nie było sensu wyładowywać złości na nim. Lepszego nie znajdzie.

– Pewnie tak, to było bardzo wąskie ostrze – przytaknął.

– I zabiliście go? Tego zabójcę? – dopytywał mężczyzna, nacierając okolice rany maścią pachnącą aloesem i tymiankiem.

Parleur wiedział, że życie ocalił mu sproszkowany aktywny hematyt, który zatrzymywał krwawienie lepiej niż cokolwiek innego. Przez lata dowiedział się wielu rzeczy dotyczących dawnych czasów i był obdarzony zarówno wystarczającą inteligencją, jak

i trzosem, aby się właściwie zaopatrzyć. W używaniu proszku hematytowego miał wprawę, to dzięki niemu był w stanie utrzymywać swoje zabawki dłużej przy życiu. I dzięki innym rzeczom. Otrząsnął się z rozmyślań nad przyjemnościami, należało się skoncentrować na terażniejszości i tym, jak się rozprawić z tą dziewczką i jej ludźmi.

– Skończyłeś? – ponaglił felczera.

– Oczywiście, panie, macie niezwykle silną naturę. Większość ludzi cieszyłaby się, gdyby po prostu udało im się takie rany przeżyć, a i wtedy wymagaliby wielu tygodni rekonwalescencji. A wy wydajecie się być w niemożliwie wręcz dobrej kondycji.

Parleur tego nie skomentował. Pomógł mu hematyt i ukryte w jadeicie zakłęcie. Nie pamiętał dokładnie, jak się uratował w podziemiach. Ocknął się z pustym pudełkiem po proszku hematytowym w ręce. Na szczęście, zanim całkiem zapadł w nieświadomość, posypał nim te wszystkie miejsca, które tego wymagały. Potem, kiedy odzyskał przytomność, natarł starannie rany zaklętym jadeitem. To bolało, piekielnie bolało. Ta dziewczka mu za to zapłaci. Z nawiązką.

– Na odchodnym zawołajcie mi tu Karemeita – przykazał.

Felczer swoim pytaniem, czy zabił napastnika, porządnie go rozwścieczył. Rany bolały markiza mimo spożytych narkotyków. Może by mu ulżyło, gdyby wyładował na medyku choć część swojej złości, ale zakładał, że wkrótce znów będzie potrzebował jego usług. Nawet jeśli nie dla siebie, to dla swoich ludzi. Żołdacy byli drodzy, taniej ich było leczyć, niż zastępować nowymi.

Jak tylko wydostał się z podziemi i udało mu się złapać pierwszego, wciąż jeszcze nie do końca przetrzeźwiałego sługę wracającego po dniu wolnym, natychmiast wysłał go jako umyślnego z wiadomością do pałacu gubernatora. Wiedział, że za tę przysługę będzie musiał się później szczerze odwdzięczyć, czekały go też nieuniknione kłopotliwe wyjaśnienia. Była to jednak cena warta zapłacenia.

Słońce straciło już swą poranną łagodność i płonęło teraz na niebie niczym rozpalona mosiężna kula próbująca swym żarem

usmażyć każdego, kto nie zdoła się ukryć przed jej bezlitosnymi promieniami. Niestety, markizowi wciąż brakowało większości personelu. Jego ludzie byli przyzwyczajeni do tego, że po niezaplanowanych dniach wolnych nie muszą się spieszyć z powrotem.

W korytarzu rozbrzmiały kroki, Parleur poczuł ulgę. Wreszcie mógł wziąć kontrolę nad sytuacją we własne ręce, bez konieczności zdawania się na... cudzą pomoc.

Karemeit był nieco otyłym zbójem o zbyt grubej skórze, by przebierać w ofertach. Był jednak przebiegły, możliwe, że wcale nie głupi, i nie miał żadnych skrupułów. Parleur płacił mu sową pensję i wybronił go z kilku rozmaitych grzeszków, które mogłyby go wysłać do więzienia. Głównie chodziło o wzięte siłą kobiety i uciszonych na dobre mężów. Karemeit doskonale to rozumiał i był markizowi bezgranicznie oddany.

– Wyglądacie paskudnie, szefie. Jakby wam ktoś krwi upuścił.

Ale zachowywać się nie nauczył, westchnął z rezygnacją Parleur.

– Czeka nas wojna handlowa? – kontynuował żołdak.

Nawet więcej niż przebiegły, skorygował swoją ocenę markiz. Karemeit z czasem się uczył.

– Owszem. Oczekuję ataku za jakieś dwa, trzy dni, kiedy się zorientują, że nic innego im nie zostaje. Chcę wszystkich twoich ludzi na straży, w pełnej gotowości. Natychmiast.

Karemeit podrapał się w czoło.

– Rozumiem, szefie. A jest jakakolwiek szansa na kontratak? Zawsze to więcej zabawy, niż tak siedzieć i czekać.

Parleur wiedział, że tak naprawdę chodzi mu o plądrowanie, o złoto, które przy takich okazjach trafiało po cichu do żołdackich kieszeni.

– Z pewnością. Ale nie od razu. Najpierw musimy odeprzeć atak.

– Ilu ich będzie? Jak są dobrzy? O ile macie jakieś informacje, szefie.

Parleur w myślach podsumował, co wiedział o siłach baronówny.

– Są dwie możliwości. Profesjonalni zabójcy najwyższej jakości albo trzydziestu do pięćdziesięciu dobrze wyszkolonych ludzi.

Karemeit zachmurzył się.

– To nie jest zbyt precyzyjna informacja, szefie. Jeśli to może być w każdej chwili, będę potrzebował więcej ludzi. Najmę jakieś posiłki, nie będę wystawiał na rzeź moich najlepszych ludzi.

Parleur nie miał złudzeń. Każdy sposób na zwiększenie ich szans był dobry. Dlatego nie protestował, skinął jedynie głową. W wyniku zażytych leków, magii i substancji stymulujących nie czuł się najlepiej. Potrzebował pięćdziesięciu uzbrojonych chłopów, żeby miał mu kto osłaniać plecy. Potrzebował czasu na zastanowienie, na zaplanowanie, jak się rozprawi z tą dziwką. Byłoby idealnie, gdyby zdołał ją znów zwabić do podziemi, i to tak, aby nikt o tym nie wiedział. Tam by jej definitywnie pokazał, kto tu jest panem. Na to jednak trzeba będzie poczekać.

Rozdział 8

Zła wiadomość



Obudziłem się w swojej norze, przez drzwi nade mną przeświecały promienie światła padające na ścianę z grubo ciosanych kamieni. Już otwierając oczy, wiedziałem, że czeka mnie paskudny dzień. Bijatyki z wczoraj i przedwczoraj nie pobudziły mnie, nie zwróciły mi barw i zapachów świata wokół mnie, okazały się po prostu niewystarczające.

Byłem jak palacz opium, który musi zwiększać dawkę, aby w ogóle odczuwać jego działanie. Ilu ludzi zabiłem w ostatnich dniach? Niemało. No i co? Nie miałem pojęcia. Czekają mnie jeszcze kiedyś lepsze dni? Może sam się musiałem o nie postarać. A może po prostu zostać tutaj, dalej leżeć na podłodze nagrzanej temperaturą mojego własnego ciała... jeszcze jeden, dwa, trzy dni i już nic by mnie stąd nie ruszyło. Nie wiedziałem, skąd się wzięła ta myśl, ale podobała mi się.

Przyglądałem się sklepieniu nad głową. Kamienie klinowały się wzajemnie i w ten sposób wydawały się dźwigać całą wagę domu. To mi się podobało, tak samo jak wyrzuczenia, gdzie siła nacisku wydawała się przekraczać wytrzymałość materiału. Skupiłem się i nagle uświadomiłem sobie, że błędzę tak wzrokiem po kamieniach od kilku dobrych godzin. Przez drzwi do piwnicy wdzierał się żar rozpalonego dnia.

Nie chciało mi się leżeć na górę, między ludzi, którzy mnie nie interesowali i na których mi nie zależało. Z jedynym wyjątkiem,

którym była Zuzanna. Obracałem tę myśl z każdej strony, przyglądałem się jej niczym jubiler drogiemu kamieniowi, zanim go zacznie szlifować. Myśl była prawdziwa, autentyczna, nie był to jakiś fantom wytworzony przez moją podświadomość na własny użytek. Na Zuzannie mi zależało, chciałem jej pomóc. To właśnie dzięki niej dostałem się aż tak daleko, aż tutaj. Ale wstać, zacząć się poruszać było tak strasznie ciężko. Już sama myśl o tym, jak idę w górę po schodach, jak opuszczam spokój piwnicy, sprawiała mi fizyczny ból. Może miały z tym coś wspólnego te zmiany pola, których ni w ząb nie rozumiałem.

Podniosłem się i ten katatoniczny paraliż po prostu po mnie spłynął. Miałem swój cel, swoje zadanie. Poinformować Zuzannę i Valera o tym, czego się dowiedziałem, pomóc jej przeżyć, pomóc jej w dalszej pracy. Potem znaleźć szefa szefów zbierających haracz w mieście, niech zaprowadzi mnie wyżej. O ile sam nie okaże się moim celem. A jak się z tym wszystkim uporam, zobaczy się, co dalej. Może położę się w pustej piwnicy i... usnę.

Jasno zdefiniowany cel mi pomógł. Wyszedłem z piwnicy na podwórzec domu. Świat wokół mnie pozbawiony był kolorów, a palące słońce postrzegałem jedynie jako blady krążek. Tyle chociaż, że jego ciepło na szczęście wciąż odczuwałem tak samo. Powietrze paliło w płucach, jakby to był gryzący dym. Wiedziałem, że czeka mnie naprawdę paskudny dzień. I to, co najgorsze, dla mnie jest dość dobre. Jeść ani pić mi się nie chciało, ale zdawałem sobie sprawę, że byłoby rozsądnie porządnie się najeść. Zatrzymałem się u ulicznego sprzedawcy, wskazałem na piekącego się na rożnie kuraka. Kiedy tamten krzątał się przy moim zamówieniu, widziałem go częściowo jako człowieka, a częściowo jako zbiór linii i punktów, którymi przepływa siła życiowa. Zwizualizowane cele ataku zmieniały się, w miarę jak się poruszał i odsłaniał najłatwiejsze do zadania ciosu w danej pozycji części ciała. Było to tak strasznie kuszące... jednym ruchem przerwać te linie, zabić człowieka.

Coś do mnie mówił, przy płaceniu coś do mnie powiedział. Musiałem się mocno skoncentrować, żeby znów dostrzec w nim człowieka, a nie jedynie zbiór linii życia. Miałem sobie wybrać sos,

doszło wreszcie do mnie z opóźnieniem. Wskazał mi wszystkie do wyboru, przy czym sam spojrział we wskazywanym kierunku. Kręgosłup i tętnica szyjna jarzyły się, przyciągając moją uwagę.

– Ostry – poprosiłem.

Sprzedawca skinął głową i za chwilę, stojąc oparty o ścianę, pochłaniałem pieczone kurczę z placka zwiniętego w kształt miseczki. Mięso smakowało jak mielony krzemienisty pył, ostrego sosu nie czułem w ogóle. Ludzie chodzili mi przed nosem, ale zlewali się jedynie w płataninę struktur, tylko od czasu do czasu udawało mi się znów widzieć ich jako ludzi. Wiedziałem, jak się w tę płataninę zanurzyć, tak aby za sobą pozostawić jedynie... doskonały ład. Może trochę mi się polepszy, jeśli się napiję. U innego sprzedawcy strzeliłem sobie dwie kwarty piwa. Świat pozostał taki sam, nic się nie zmieniło. Ale do tego zaczynałem się już powoli przyzwyczajać. Miałem swój cel. Potem się zobaczy.



Do willi, którą Zuzanna wybrała na swoją siedzibę, dotarłem okrężną drogą, upewniając się wielokrotnie, że nikt mnie nie śledzi. Strażnik przy bramie wpuścił mnie bez słowa, ale rzucił mi spojrzenie dłuższe niż zwykle, jakby coś mu się we mnie nie podobało. Byłem skłonny się z nim zgodzić, mnie w sobie samym nic się nie podobało. Kolejny strażnik też mnie przepuścił, jakbym należał do jego rodziny. Wielki błąd, miałem chęć urwać mu za to łeb.

Zuzannę z Valerem i innymi jeszcze ludźmi zastałem nad rozłożoną na stole mapą. Valer obrócił się w moją stronę, instynktownie wyczuł, że coś ze mną nie w porządku, że przynoszę ze sobą niebezpieczeństwo. Podobnie pozostali trzej mężczyźni. Przynajmniej ci byli coś warci.

– Tato, cieszę się, że cię widzę.

Czegoś takiego się nie spodziewałem. To było warte oddychania gorącą lawą parę dni dłużej. Jeśli i Zuzanna dostrzegła, że ze mną

coś nie w porządku, nie dała tego po sobie poznać. Objęła mnie i chwilę po prostu tak trzymała. Chciałem jej pomóc, opiekować się nią, tak bardzo tego chciałem, tak bardzo mi na niej zależało. Jedyne, czego chciałem, to żeby wyszła z tego wszystkiego obronną ręką, żeby mogła gdzieś zacząć wszystko od nowa, z dala od śmierci. Będę oddychał lawą dopóty, dopóki wciąż mogę zrobić cokolwiek, by jej w tym pomóc. To postanowienie sprawiło mi ból.

Valer wziął ze stołu kubek, napełnił go kawą i bez pytania mi podał. Przyjrzałem się, nad czym tak rozprawiali. Był to plan szlacheckiej posiadłości tu, w Grafza tzy. Po okolicznych ulicach rozpoznałem, do kogo należy. Dzięki mojemu ciągłemu szwendaniu się po mieście znałem je jak własną kieszeń.

– Co wam takiego zrobił markiz Parleur, że chcecie złupić mu magazyny? – zapytałem ich.

– Nie chcemy go okraść – odparł sucho Valer – ale zabić.

Napiłem się kawy. Gdyby mi nalał roztopionego asfaltu, nie odczułbym różnicy. Czekałem, aż Zuzanna skończy opowiadać mi całą historię.

– Myślałam, że go zabiłam. Ale niestety nie.

– Parleur jest tutejszy, należy do najwyższej postawionych i najbogatszych szlachciców. Oskarżyć go o napaść czy o cokolwiek innego byłoby zupełnie bez sensu, tylko by się nam zaśmiał w twarz. Nie możemy też zakładać, że będzie siedział z założonymi rękami. Dopóki Zuzanna pozostanie tutaj jako baronówna Münchauen, będzie przez cały czas zagrożona. Zgaduję, że zacznie najpierw kopać doły pod działalnością handlową, oczerniać imię Zuzanny. Może zacznie szerzyć plotki, że jest czarodziejką. Albo zacznie z nami wojnę ekonomiczną, będzie bojkotować nasze towary. Dysponuje większymi środkami, ma o wiele szersze wpływy – podsumował sytuację Valer.

Spojrzałem na Zuzannę.

– Wiem. Szkoda, że go nie zabiłam, ale tamci dwaj wyprowadzili mnie z równowagi, nie skontrolowałam, czy żyje.

Pokręciłem głową.

– Całe szczęście, że wyszłaś stamtąd cała – powiedziałem tylko. – Całkowicie się zgadzam – zwróciłem się do Valera. – Dodatkową możliwością jest również atak na nas.

Przynajmniej ja bym tak zrobił.

– Zastanawiałem się nad tym. Coś takiego oznaczałoby dla niego zbyteczne ryzyko. Może się nas pozbyć łatwiejszymi sposobami.

Valer miał tu rację.

– Jest w tym wszystkim jeszcze jedna rzecz – przypomniałem. – Ten burdel, który przetrząsnąłem. Tam też byli nastawieni na zaspokajanie niezwykle zboczonych żądź.

– Myślicie, że to nie przypadek? – zapytał zaskoczony Valer.

– Nie wierzę w takie przypadki. To wszystko musi się ze sobą jakoś łączyć. Zakładam, że w ten burdel jest... był jakoś zamieszany Parleur. A to by oznaczało, że ma koneksje na absolutnie najwyższym szczeblu. Tylko ktoś niezwykle potężny byłby w stanie zatrzeć ślady tak dokładnie i za cenę życia kilku ludzi.

Czemu, to już była inna kwestia. Potencjalnych odpowiedzi istniało zbyt wiele, by się w tej chwili nad nimi zastanawiać. Valer przyglądał mi się. Miałem wrażenie, że on już się zdecydował.

– Zabicie go będzie najlepszym wyjściem – skonstatowałem.

Spojrzałem na Zuzannę. Valer również, i wyglądał przy tym na zaskoczonego, jakby się spodziewał, że zaprotestuje. Ja nie. Tylko skinęła poważnie głową. Znałem ją. Życzyła sobie, abyśmy zabili markiza, aby był martwy.

Skupiłem się na mapie rezydencji. Widniało na niej masę dodatkowych informacji, odręcznych notatek i zapisków. Niektóre z nich wciąż jeszcze połyskiwały mokrym atramentem, tak były świeże. Zgadywałem, że od momentu, kiedy dowiedzieli się, iż Parleur przeżył, ludzie Valera pracowali właśnie nad tym.

– Posiadłość jest zbudowana jak miejska twierdza, właściciel mieszka w jej centrum. – Wskazałem palcem. – We wnętrzu komfortowego domu, ze wszystkimi wygodami, którego już tak dobrze bronić się nie da. Wszelka ochrona skoncentrowana jest na granicach posiadłości, nawet pozostałe budynki gospodarcze, baraki,

warsztaty, magazyny rozmieszczone są w możliwie jak największym oddaleniu od pałacu, aby nie psuły właścicielowi widoku.

– Tak się w wielkich miastach budowało dawniej – przytaknął Valer. – W dzisiejszych czasach grunty w takich miastach jak Grafzatza, Saxpolis czy inne metropolie są na to zbyt drogie, nawet dla najbogatszych. Skąd wy to wszystko wiecie? – spytał mnie.

Wzruszyłem ramionami. To nie było istotne.

– Frontalny atak, cicha akcja skrytobójców czy jeden asasyn? – przeszedłem do konkretów.

– Nad tym się właśnie zastanawiamy – wyjaśnił Valer.

Zuzanna spojrzała na niego, ale się nie odezwała.

– Staram się zebrać jak najwięcej danych, tak abym mógł wybrać ten najwłaściwszy wariant.

Pochyliłem się nad mapą wraz z pozostałymi. Planowanie, jak kogoś zabić, pomagało mi przeżyć. Pomagało zdusić pałacy żar w piersiach, zapomnieć o nierealnych barwach świata, którego nie potrafiłem już postrzegać normalnie. Miałem nadzieję, że przyjdzie szybko. To zabijanie.

– Mamy szansę, o ile Parleur wciąż czuje się bezpieczny – ocenił na koniec po długiej dyskusji Valer. – Jeden asasyn, jeden członek eskorty. Naszym celem jest wyeliminowanie Parleura za wszelką cenę.

Valer był tu dowódcą i nikt się nie sprzeciwiał jego ostatecznej decyzji. Zuzanna też się nie odzywała, mimo to było dla niej oczywiste, co oznaczają słowa kapitana. Jeden człowiek spróbuje się dostać na teren nieprzyjaciela i za wszelką cenę zabić markiza. To, czy mu się uda wrócić, nie było już tak istotne. Drugi człowiek był potrzebny na miejscu, aby przekazać wieści o rezultacie.

– Najlepiej byłoby nie czekać. Im prędzej, tym większą mamy szansę – powiedziałem.

To była prawda, ale w rzeczywistości chodziło mi o mnie samego. Nie wyobrażałem sobie, jak mógłbym siedzieć i czekać choć jeden dzień.

– Kto będzie tym farciarzem? – Rozejrzałem się po zebranych.

Wszyscy wyczekująco patrzyli na swojego dowódcę, ale ja już znałem jego decyzję.

– Ja – zabrzmiała odpowiedź Valera. – W tych sprawach jestem najlepszy, mam największe szanse na sukces.

Był o dziesięć, może piętnaście lat starszy od swoich żołnierzy, ufał w swoje umiejętności. To, jak patrzyli na niego ludzie, świadczyło o tym, że nie bezpodstawnie. Przez twarz Zuzanny przebiegł skurcz rozpacz, ale bardzo szybko się opamiętała. Ona i on? Właściwie to czemu nie? Dobry wybór, na ile byłem w stanie to ocenić.

– To ja pójdę jako zabezpieczenie. Jeśli coś pójdzie nie tak, Zuzanna przynajmniej straci tylko jednego członka swojej obstawy – zaproponowałem.

Valer gapił się na mnie z niedowierzaniem.

– Ale ja dowodzę – przypomniał.

– Oczywiście – nie spierałem się. – I cel jest jasny, zabić Parleura.

Przyszedł kolejny człowiek, jakiś rudzielec, który na pierwszy rzut oka wyglądał, jakby nie potrafił zliczyć do pięciu. Kiedy mnie zobaczył, chciał mówić ze swoimi kamratami na osobności. Valer poinstruował go jednak, aby się mną nie przejmował.

– Mam kolejne informacje o ogrodzie, granicach posesji i wielkości czworaków – oznajmił i wskazał na zwitek notatek, które ze sobą przyniósł.

Valer skierował go ku stołowi i rozłożonej na nim mapie, po czym dał mu w garść kawałek węgla.

– Nanieś.

Valer ufał swoim ludziom i miał do tego dobre powody, oceniłem, przyglądając się, jak rudzielec pieczołowicie i bez zawahania uzupełnia mapę o mnóstwo nowych detali. W większości z pamięci, jedynie sporadycznie zerkając do karteluszków z notatkami.

– Zajmiemy się planowaniem szczegółów akcji, to cię pewnie nie będzie interesować – zwrócił się Valer do Zuzanny.

Ta chwilę się nad jego słowami zastanawiała.

– Ja się wam pewnie do niczego nie przydam?

– Nie. – Pokręcił głową.

– Zjrzyj do mnie, jak będziesz mieć chwilę. Ale jeszcze przed akcją – dodała z nieco większym naciskiem. – Proszę.

Zuzannie na nim zależało. Bardzo. Tyle nawet ja zdołałem dostrzec. Jak tylko zamknęły się za nią drzwi, Valer zwrócił się do rudzielca:

– Co jeszcze chciałeś powiedzieć?

Musieli się naprawdę doskonale znać. Sam nie dostrzegłem niczego, co wskazywałoby, że chłopak chce poinformować swego dowódcę o czymś jeszcze. Młodzieniec przerwał notowanie na mapie.

– Parleur szykuje się na wojnę, dotarły do niego posiłki, wysłał też kurierów na ląd. Z tego, co wyniuchałem, ma tam jeszcze więcej ludzi.

To były złe wieści. Nasze szanse na sukces wyraźnie zmalowały. Mieliśmy nadzieję, że nas zlekceważy, ale myliliśmy się. Szykował się na nas.

– Zmienia to cokolwiek w naszych planach? – zapytałem.

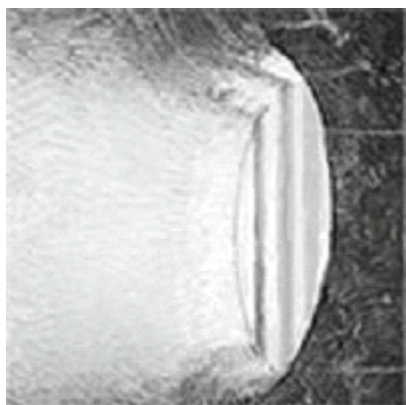
Jeśli tak, to może wybrałbym się w odwiedziny do markiza sam. Chciał skrzywdzić Zuzannę. Nie byłbym zadowolony, gdyby miał przeżyć jeszcze parę kolejnych dni. Godzin.

– Nie – odpowiedział zdecydowanym tonem Valer. – Jego przygotowania dowodzą, że bierze Zuzannę na poważnie, będzie chciał wyrównać z nią rachunki. Musimy go zabić, i to jak najszybciej, zanim zdąży się całkiem pozbierać.

Nie użył słowa „wycelminować”, jak to mieli w zwyczaju mądrze ze sztabu księcia. „Zabić” było właściwym słowem. Dorwać go i rozerwać krtań, przebić na wylot serce, skrócić kark, zmiażdżyć pierś, każda z tych opcji brzmiała właściwie. Albo po prostu utłuc go gołymi rękoma. Co to za różnica, od czego konkretnie zejdzie.

Rozdział 9

Transcendencja



Rzecz leżała w najgłębszej niezatopionej części systemu kanalizacyjnego miasta. Wilgoć z napływającego tu początkowo gorącego powietrza z zewnątrz kondensowała się na kamiennym sklepieniu kanału i cicho skapywała w dół. Tak głęboko pod ziemię nie przedostawał się żaden, najdrobniejszy nawet promień światła, jednak nie panowały tu całkowite ciemności. Rzecz nie lubiła ciemności. Już nie. Dzięki niewielkiej modyfikacji wzoru jej szczerze oczy nie tylko odbijały światło, ale same jarzyły się zielonkawym blaskiem. Nie lubiła też słonej wody. Słodka jej nie szkodziła, ale rozpuszczona w niej sól już tak. Gdyby nie ona, skryłaby się jeszcze głębiej, na niższym poziomie, o którym wiedziała, że istnieje.

Potrzebowała zdystansować się od świata na górze, od ludzi i pozostałych stworów, które mogły nieść ze sobą zagrożenie. W ciągu ostatnich kilku dni czuła silną potrzebę pożerania, wchłaniania, przez co starała się pochwycić każdą ofiarę, która jej się nawinęła. Zachowywała przy tym maksymalną ostrożność, aby nie zwrócić niczyjej uwagi. Teraz widziała, jak rozważny był to krok, bo pomimo że bardzo się rozrastała, czuła się słabo, niepewnie i nawet kopiowanie najprostszych wzorów przychodziło jej z trudnością.

Setki szmaragdowych oczu nagle zgasły. Rzeczą, setkami kilogramów masy rozpostartymi na dnie kanału, przebiegały

dreszcze niczym fale po wzburzonym morzu. Mimowolnie, bez udziału świadomości zaczęła formować setki szcurzych i dziesiątki psych i ludzkich głów. Ich usta otwierały się w wyrazie niemej agonii. To bolało tak strasznie, aż nieomal się zatraciła, jeszcze trochę i jej jaźń rozpadłaby się zupełnie.

Wreszcie wszystko to przeminęło, głowy wchłonęły się z powrotem do jej ciała i Rzeczą poczuła, że coś się zmieniło, że dokonała się jakaś transformacja i znów wkroczyła na wyższy poziom. Nie była już Rzeczą. Była Glenem Hagnarim, wielkim mistrzem klanu Maleriat. Wspomnienia i myśli, które nagle do niej napłynęły, pochodziły nie wiadomo skąd, nie do końca miały sens. Kim jest wielki mistrz? Musiała wiedzieć więcej. Zwróciła uwagę ku wzorom, które wciąż w głębi swego jestestwa na wpół świadomie kopiowała, i spróbowała się skupić na ich analizie, dogłębnym zrozumieniu. Wielki mistrz, czarodziej, człowiek, którego mogła zabić, ale wahała się tak długo, aż zdołał umknąć.

Wielki mistrz Glen Hagnari. Była wielkim mistrzem? Rozstrzygnięcie tej kwestii wydawało jej się niezwykle istotne. Miała z nim z całą pewnością wiele wspólnego, ale równocześnie z jakiejś głębokiej części jej świadomości wynurzało się przeświadczenie, że był to ktoś (o ile faktycznie był KIMS), kto skończył marnie. Bardzo kiepsko. Tak bardzo kiepsko, że aż śmierć i nadchodzący z nią zanik wszelkiego istnienia wydawały się znaczącą poprawą sytuacji. Rzeczy nie udało się określić, skąd to wszystko wie, jednak ostatecznie zdecydowała, że samej siebie nie będzie z nim utożsamiać, że postara się wprawdzie wyciągnąć wszystkie możliwe informacje na jego temat, ale nie będzie się uważać za Glena Hagnariego. Nawet jeśli w jakimś stopniu od niego pochodziła. Ta myśl przyszła znikąd, Rzeczą nie wiedziała, czy tak było naprawdę...

Wróciła do tego, co jej wychodziło najlepiej, co dawało jej ukojenie – do kopiowania wzorów. Wytworzyć którykolwiek z rodzajów robactwa, jakie napotkała w podziemiach, potrafiła w mgnieniu oka. Tak samo było z gryzoniami i psami. Była też w stanie poszczególne wzory ze sobą mieszać, uzupełniać. Po kanałach nagle rozbiegły się dziesiątki szcurków z pajęczymi

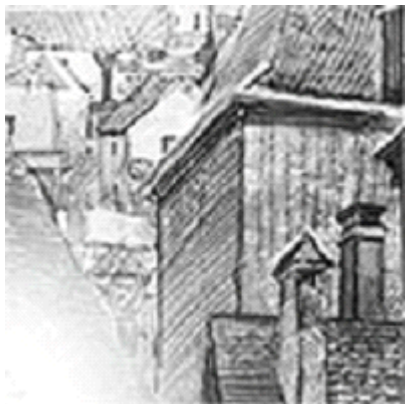
oczami, zdeformowanych psów z ośmioma łapami i ogonami skorpionów. Nie zawsze stworzenia funkcjonowały tak, jak to sobie wyobrażała. Dziwaczne hybrydy często padały na ziemię, nieporadnie wierzgając kończynami, lub w ogóle nie były zdolne do jakiegokolwiek ruchu. To jednak nie miało żadnego znaczenia. Musiała się uczyć, poznać wzory w najdrobniejszych szczegółach, tak aby móc jak najgłębiej wniknąć w strukturę, zasady działania. Musi znaleźć kolejne obiekty do kopiowania, do analizy. Stało się to teraz jej podstawowym celem, najpilniejszą potrzebą, której nawet nie próbowała się opierać.

Wewnętrzny zmysł czasu odpowiedział jej, że słońce powinno lada moment zniknąć z nieboskłonu. Przełała swoje główne ja do cetnarowego bloku masy swego ciała i oddzieliła go od głównej części. Nie traciła z nim jednak kontaktu na niższym, podświadomym poziomie. Z głównej części wytworzyła płaski tułów poruszający się na ośmiu pałkowatych nogach, głowę uzupełniła o dwie pary zuwaczek. Dodatkowo z fragmentu swego ciała wytworzyła gromadę drapieżnych krocionogów i szczurów, aby wykorzystać je jako zwiadowców.

W tej wieloosobowej formie ruszyła w stronę peryferii. W ciągu minionych tygodni zdążyła zdobyć dobrą orientację w skomplikowanej sieci podziemi. Wiedziała, że na ich skraju, blisko wybrzeża, znajduje się mnóstwo skrytek, w których przechowywano skradzione dobra. Tam znajdzie obiekty do kopiowania i budulec do zwiększenia masy ciała. Mimochodem wykonała kolejny mentalny przeskok. Masa miała bezpośredni związek z jej zdolnością rozumowania, uczenia się i kopiowania. Szczegółów nie była jeszcze pewna, ale było jasne, że taki związek istnieje. Im będzie większa, tym więcej skomplikowanych wzorów będzie mogła przyswoić i skopiować. To ją cieszyło.

Rozdział 10

Profesjonalne z bogiem



Gruman czekał na zewnątrz jadłodajni, pod słomianym zadaszeniem ogródka dla klientów. Miskę po zupie z kluskami i tackę po smażonej rybie w słodko-kwaśnym sosie niemalże wylizał do czysta. Ulica tonęła w wieczornym półmroku, ruch powoli zaczynał się znów wzmaczać po tym, jak upał wreszcie zelżał, choć brakło mu porannej energii. Ludzie po prostu kończyli zajęcia, które rozpoczęli jeszcze przed sjestą. Gruman siedział oparty plecami o drewniane przepierzenie oddzielające jadłodajnię od wyszynku. Były to dwa niezależne interesy, które ze sobą nie konkurowały, raczej czerpały korzyści z bliskiego sąsiedztwa. Nawet przepierzenie miało zainstalowane drzwi, którymi goście czy to z jedzeniem, czy z napitkiem mogli swobodnie przechodzić z jednego przybytku do drugiego wedle własnych potrzeb.

Gruman w pełni doceniał korzyści płynące z tego sąsiedztwa, w ostatnim czasie mocno się interesował specyfiką reguł sprzedaży żywności w Grafzaty. Licencja na sprzedaż towarów bezalkoholowych, czyli herbaty, kawy, najrozmaitszych lemoniad i fajek, które nie wiedzieć czemu należały do tej samej kategorii, kosztowała dziesięć złotych rocznie. Licencja na sprzedaż napojów zarówno bezalkoholowych, jak i alkoholowych kosztowała dwadzieścia cztery złote, a pełna licencja na świadczenie wszelkich możliwych usług gastronomicznych wynosiła trzydzieści osiem.

Najdroższa była licencja na prowadzenie przybytku z miejscami noclegowymi – siedemdziesiąt dwa złote. Ci tutaj dwaj właściciele, którzy się wspólnie umówili, mogli zaoszczędzić na opłatach, podczas gdy nawzajem napędzali sobie klientów. Gruman wcześniej nie zwracałby sobie takimi kwestiami głowy, ale to się zmieniło, kiedy postanowił, że chce tu, w Grafzaty, osiąść na stałe. Najpierw jednak musiał załatwić sprawę Keshuy.

W ciągu ostatnich kilku dni nabrał dobrego wyobrażenia o tym, jak wygląda rozkład dnia jego byłego partnera. Zabójca poświęcał większość czasu na obserwację siedziby baronówny Münchauzen. Miał do tego celu wybrane trzy różne miejsca, jednak najczęściej korzystał z kryjówki na strychu wieżyczki pobliskiego domu. Było to rzeczywiście niezłe miejsce do obserwacji, jednak Gruman znalazł jeszcze lepsze i wygodniejsze, w pokoju na poddaszu pensjonatu stojącego przy skrzyżowaniu tuż obok posiadłości baronówny. Tyle że ten pokój trzeba było wynająć, a Gruman już dawno się zorientował, iż jego młodszy partner bardzo niechętnie rozstaje się z pieniędzmi. Przynajmniej kiedy chodziło o wydatki związane z pracą. Po godzinach spędzonych na gorącym poddaszu zabójca przychodził schłodzić gardło właśnie tutaj. Gruman już go dostrzegał, jak się zbliża. W jasnych spodniach, białej koszuli z szerokimi rękawami i wyłożonym kołnierzem wyglądał na sługę z lepszego domu.

Gruman obserwował go spokojnie ze swojego miejsca. Jego były partner wkroczył w głęboki cień pobliskiego domu i tę chwilę wykorzystał na szybką zmianę wyglądu. Podwinął rękawy, rozpiął koszulę i zawinął do wewnątrz kołnierz, na głowę nałożył rzemieślniczą czapkę z szerokim daszkiem z tyłu, który miał za zadanie ochronę karku przed słońcem. Keshua równocześnie zmienił krok, nie szedł już tak energicznie, wyglądał raczej na kogoś zmęczonego, na kogoś, kto właśnie spędził cały dzień, pracując w pocie czoła. Jest dobry, naprawdę dobry, ocenił go w duchu Gruman. Może będzie go musiał zabić. Znienacka, bez ostrzeżenia, tak jak go wyćwiczono, tak jak to wielokrotnie w życiu zrobił. Z drugiej jednak strony nie chciał swego nowego życia z Corinne

i Haakiem zaczynać od mordowania. Może da radę się z nim dogadać. Może. Choć w to jednak wątpił. Mimo wszystko nie chciał Keshuy zabijać, chyba że będzie to absolutnie konieczne. Czy może nie chciał w ogóle próbować, bo się bał, że okaże się na to za stary?

Gruman przestał rozmyślać nad swoimi motywami, skupił się na chwili obecnej. Wciąż nie wiedział, jak to z Keshuą rozegrać. Jednym rozwiązaniem mogło być po prostu zniknięcie bez śladu tak, aby klan nie miał pojęcia, co się stało. Plusem byłoby to, że nie mieliby żadnych informacji, ale minusem z kolei, że z pewnością wysłaliby kogoś, aby to sprawdzić. Z tym Gruman jeszcze mógłby sobie poradzić, sam się tym kiedyś zajmował, jednak nie w sytuacji, kiedy miałyby przy sobie Corinne i Haaka. Musiałby to tak zorganizować, aby ślad się urwał gdzie indziej, nie w Grafzaty. To by jednak wymagało czasu i przygotowań, a nie chciał zostawiać Corinne samej zbyt długo. Drugą opcją było dać klanowi jak najmniejsze powody, żeby go ścigali. Parę razy zdarzyło się już tak, że ktoś zdecydował się po prostu odejść, spalił za sobą mosty i zniknął. Czasem zostawiali takich w spokoju, czasem wysyłali kogoś, kto miał za zadanie przynajmniej się rozejrzeć, czy nie zdoła dezertera wywęszyć i zlikwidować. Bywało jednak i tak, że klan poruszył niebo i ziemię, aby takiego delikwenta odnaleźć i za wszelką cenę uciszyć. Zależało, kto to był, na jakim etapie swej kariery zdecydował się odejść, jak wiele wiedział. Czasem też i od tego, w jakiej sytuacji znajdował się w danym momencie sam klan. Gruman zastanowił się, do której kategorii mógł należeć on sam. Nie miał pewności, nie umiał ocenić, czy w przebiegu swojej kariery dowiedział się rzeczy, które byłyby dla jego klanu aż tak istotne.

Przesunął się i odkleił od ściany tak, aby były partner mógł go dostrzec. Keshua rzeczywiście zauważył go natychmiast i przysiadł się ze swoim jedzeniem. Gruman przywitał go skinieniem głowy, wstał i z przyległego wyszynku przyniósł dwa piwa. Keshua napił się z wyraźną ulgą. Obaj milczeli przez chwilę.

– Coś nowego? – spytał w końcu Gruman.

Tak naprawdę nie był ciekaw, wciąż się zastanawiał, jak postąpić dalej w swojej sprawie.

– Ciągłe jeszcze biegasz na posyłki temu łachmycie, który się uważa za czarodzieja? – rzucił Keshua zamiast odpowiedzi.

– Tak – potwierdził Gruman.

A zatem partner też go obserwował. Gruman się z tym liczył i swoją robotę dla Janicka ukrywał tylko powierzchownie. Chciał, aby Keshua miał się czym zadowolić, ponieważ za żadną cenę nie chciał go naprowadzić na ślad Corinne i jej syna. Keshua mógłby ich użyć przeciwko niemu, mógłby ich nawet skrzywdzić. Gruman nie miał żadnych złudzeń co do byłego partnera.

– Przekazałem do klanu, że odnalazłem Koniasza – oznajmił Keshua pomiędzy kęsami.

Gruman uniósł wzrok, udając zainteresowanie, po czym napił się piwa. Już raz na ten temat z Keshuą dyskutowali. Sam był przekonany, iż kapitan z obstawy baronówny Münchauen Koniaszem nie jest, ale Keshua o tym wiedział. Interesująca była jednak informacja, którą Keshua ujawnił mimochodem. Pomimo iż młodszy, a w ich dwuosobowym zespole podwładny, najwyraźniej dysponował bezpośrednim kanałem kontaktowym z klanem. To wiele mówiło i tylko umacniało Grumana w jego postanowieniu. Może nie był znowu aż tak istotny, może nie będzie tak trudno po prostu zniknąć.

– Dostałem przyzwolenie na akcję – oznajmił Keshua z zadowoleniem – a ty masz mi zapewnić wsparcie.

Klanowi bardziej się opłacało Koniasza zabić, niż go obserwować. To Grumana zaskoczyło, ale nie skomentował tego. Wzruszył jedynie ramionami.

– Nazwa klanowego rachunku w Banku Imperialnym, do którego mam dostęp, to Nóż, hasło to Kasama – powiedział cicho, tak aby słyszał go tylko towarzysz.

Dostęp do tego konta zyskał już jakiś czas temu, podczas śledzenia działalności pewnego kupca w Fenidongu, i od tamtej pory mógł z niego korzystać na wypadek jakichś nieoczekiwanych wydatków związanych z akcją. Oryginalnie było na nim dwieście złotych, ale nie miał pojęcia, ile zostało i czy ktokolwiek się tym zajmował.

– Cały twój majątek przypadnie – zareagował Ke shua, który błyskawicznie zrozumiał, że Gruman planuje odejść, zniknąć z klanu i z widoku. – Tak samo emerytura. Dużo ci chyba nie zostało, co?

To też była prawda. Jeszcze siedem lat służby i do śmierci miałyby zapewnioną godziwą emeryturę, która gwarantowała spokojną starość. Tyle że z każdym rokiem szanse na przeżycie pozostałych lat malały, a i co do klanu nie miał złudzeń. Był coraz bardziej spychany na margines i prędzej czy później zostałby poświęcony w jakiejś akcji. Znów tylko wzruszył ramionami.

– Czyli mam rozumieć, że na twoją pomoc nie mogę liczyć – kontynuował młodszy zabójca.

Gruman pokręcił tylko głową.

– Lepiej, żebyś się zaszyl gdzieś daleko. Klan może po ciebie przyjść.

Keshua wyglądał, jakby mu się ta myśl całkiem podobała.

– Mogliby posłać ciebie, nawet jeśli to nie jest twoja specjalizacja. W końcu wiesz o mnie więcej niż ktokolwiek inny – zgodził się Gruman.

Jego były partner bacznie mu się teraz przyglądał, przybrawszy zagadkowy wyraz twarzy.

– Nie będzie łatwo mnie znaleźć. Jestem byłym łowcą głów i wszystko mam obmyślane.

Keshua nie zdołał ukryć zaskoczenia. Tego o Grumanie nie wiedział.

– I pieniądze na boku – dodał z odcieniem zawiści w głosie.

Gruman skrzywił usta w udawanym uśmiechu, wstał, przeszedł przez drzwi w przepierzeniu i na najbliższym skrzyżowaniu znikł swojemu byłemu partnerowi z oczu. Nie zamierzał uciekać z Grafzaty. Popatrzy sobie, jak Keshui pójdzie z tym jego atakiem na kapitana Valera. Jeśli mu się uda, jak najszybciej opuści miasto. Ale może mu się nie uda. To może oznaczać, że będzie martwy, ranny albo będzie musiał uciekać przed prawem.

Gruman uskoczył przed dwójką tragarzy, za ich plecami błyskawicznie skręcił w ciasną uliczkę i wcisnął się w drzwi

drugiego domu od jej wylotu. Pozwolił sobie na odrobinę nadziei. Wyglądało na to, że jego szanse na rozerwanie więzi z przeszłością są lepsze, niż mu się początkowo wydawało. A jeśli Keshua okaże się nierozsądny i będzie chciał go śledzić, zabije go tu i teraz. Miejsce było dobre, w ukryciu, bez świadków. Wydobył nóż, ukrył jego ostrze pod przedramieniem i stał tak niczym zmęczony człowiek, który nie bardzo wie, co ma ze sobą począć.

Jego były partner nie pojawił się. Wyglądało na to, że bardziej zależało mu na jedzeniu i pić. To Grumanowi odpowiadało. Okrężną drogą i upewniając się, że nikt go nie obserwuje, ruszył w stronę dzielnicy rybackiej. Jak się dowie więcej o rybołówstwie, kupi łódź. Ale pewnie nie tutaj, prędzej na łądzie. Tam wszystko było tańsze. Myśl o inwestowaniu w zajazd porzucił. Tego typu interes wymagał zbyt dużego kontaktu z ludźmi, a tych miał już serdecznie dosyć.

Rozdział 11

Bez zmiłowania



Wszystkie latarnie były pozapalane, ale wieczorny ruch nie osiągnął jeszcze swego szczytu. Szliśmy z Valerem ramię w ramię. W ręce trzymałem pleciony worek, w którym niosłem hełm. Gdybym go miał na sobie, wyglądałbym jeszcze bardziej podejrzanie niż zwykle. Valer zarzucił na ramiona długi jeździecki płaszcz, w którym musiało mu być cholernie gorąco. Oprócz zbroi ukrywał pod nim krótki refleksyjny łuk i kołczan ze strzałami. Z tym nawet tu, w Grafzaty, gdzie większość ludzi chodziła uzbrojona, przykuwałyby uwagę. Osobiście nie wierzyłem, żeby udało nam się załatwić sprawę na odległość, ale Valer wciąż miał nadzieję, że nadarzy się taka sposobność. Gdyby, powiedzmy, nasz cel pojawił się w otwartym oknie, zaoszczędziłby nam masę trudu. Oczywiście, o ile udałoby nam się dostać na teren posiadłości. Wiedziałem, że Valer rozważał użycie balisty, którą jego ludzie zorganizowali diabli wiedzą skąd. Niestety, okna rezydencji były poza skutecznym zasięgiem nawet tej zabawki.

Szliśmy energicznie, ale bez pośpiechu. Gdy przechodziliśmy na zmianę węższymi i szerszymi ulicami, owiewało nas to gorętsze, to nieco chłodniejsze powietrze. Wokół bardziej wyczuwałem, niż dostrzegałem czy słyszałem naszą niewidoczną obstawę. Nie wiedziałem, ilu ludzi Valera nam towarzyszy, ale zgadywałem, że mogło ich być pięciu czy sześciu. Gdybym się skoncentrował, pewnie

zdołałbym ich wypatrzeć, poruszające się wokół nas centra energii, jaśniejące blaskiem ośrodki woli, myśli. Nie próbowałem jednak, wolałem się nacieszyć tym, że moje nienaturalne postrzeganie świata ustąpiło, a zmysły wydawały się funkcjonować zwyczajnie. Sprawiała to zapewne zbliżająca się walka. Ta perspektywa przywracała mnie bliżej świata ludzi, bliżej normalności. Na ile mogłem się do niej przybliżyć, bo sam przecież nie byłem normalny w najmniejszym stopniu. Jakby ktoś obciągnął ludzką skórą coś monstrualnego, nadprzyrodzonego, niosącego zgubę. Nie wiedziałem, co to było, co kryło się w głębinie. Ale nie miało to znaczenia, jedyne, co się liczyło, to śmierć markiza, tak by Zuzanna miała o jednego wroga mniej. Aczkolwiek nie byłbym zachwycony, gdyby jednak Valerowi albo jednemu z jego ludzi udało się tego dokonać na odległość, przyznawałem w duchu.

Tymczasem znaleźliśmy się w luksusowej dzielnicy, w której znajdowała się posiadłość markiza. Ulice zamieniły się w bulwary z niewielkimi placykami, na których paliły się gęsto rozstawione olejowe latarnie. Powietrze stało się chłodniejsze. Nieznacznie.

Naprzeciwko nas pojawił się samotny przechodzień. Na robotnika było już zbyt późno, w okolicy nie było też żadnych restauracji, jedynie rezydencje. Z kolei na powrót z ekskluzywnego przyjęcia było stanowczo zbyt wcześnie.

– Gdybym oczekiwał na atak, rozesłałbym po okolicy paru ludzi, aby mnie mogli ostrzec – rzekłem półgębkiem.

Wybrałem już sobie dogodny ciemny kąt, gdzie mógłbym gościa uciszyć. Permanentnie, oczywiście.

– Parleur wciąż ma jeszcze mało ludzi, czeka na posiłki, nie będzie nikogo wysyłał na zewnątrz – odpowiedział Valer. – Tylko ściągniemy na siebie uwagę.

Dałem tamtemu odejść, ale nie bez narastającego poczucia niepokoju. Kilka kroków i jedno skrzyżowanie dalej przed naszymi oczami otworzył się widok na mur okalający dobra Parleura. Twierdza z prawdziwego zdarzenia to nie była, nawet patrząc z daleka, ale jak na warunki miejskie, mur był więcej niż przyzwoity. Cztery i pół metra wysokości, zbudowany z równo ciosanych,

doskonale spasowanych kamiennych bloków. O znalezieniu szczelin dających podporę do wspinaczki nie było nawet co marzyć. W regularnych odstępach rozmieszczono strażnicze wieżyczki, które wydały mi się kiepskim pomysłem. Siedzący na nich ludzie nie mieli zbyt wielkich szans, aby przyjść sobie z pomocą.

Valer skręcił w ulicę biegnącą równolegle, żebyśmy zeszli z oczu potencjalnym strażnikom obserwującym okolicę. Natychmiast z cienia wyszedł nam naprzeciw mężczyzna. Zaczynałem ich rozpoznawać po tym, jak się poruszali. Elastyczni, śmigli i pomimo że wciąż tak młodzi, niezwykle doświadczeni ludzie.

– Wieżyczki na narożnikach są obsadzone, z pozostałych co trzecia. W ciągu wieczora do środka dotarło jeszcze sześciu ludzi. Według mojej oceny: najęci spośród miejscowych zbirów – oznajmił mężczyzna.

Kyryzi. Nazywał się Kyryzi, przypomniało mi się. Valer skinął głową z zadowoleniem.

– Wciąż ma mało ludzi, strażnicy są co trzydzieści pięć, czterdzieści metrów od siebie. Dostaniemy się do środka niepostrzeżenie. Najlepiej będzie przez mur po przeciwnej stronie od głównego wejścia, tam park jest najgęstszy.

– Potrzebujemy jeszcze jednego człowieka, żebym mógł się do środka dostać i ja – zauważyłem.

Jeśli chodziło o Valera, wystarczyło, żeby stanął mi na ramionach i odbił się z nich, ale ze mną już nikomu nie poszłoby tak łatwo. Potrzebowałem przynajmniej dwóch ludzi, na których mógłbym się wdrapać.

– Będziemy tam – odpowiedział cicho mężczyzna i rozpląnął się w mroku.

Zaczęliśmy z Valerem obchodzić całą posiadłość najkrótszą możliwą trasą, którą mogliśmy pokonać ukryci przed wzrokiem strażników.

– Obsadzić tak duży obwód tak niewielką liczbą ludzi to błąd. Powinien się był skoncentrować na pałacu – mruknąłem.

– Boi się – zauważył Valer.

Niewystarczająco. Niewystarczająco, pomyślałem, ale na głos nie rzekłem nic. Parleur próbował skrzywdzić Zuzannę, chciał ją torturować i zabić. Wielki błąd. Drugim, jeszcze większym, było to, że wciąż żył.

– Dobrze by było, jakbyśmy sobie o czymś niezobowiązująco pogadali – zaproponował Valer – żebyśmy wyglądali naturalnie. Na przykład jak dwóch przyjaciół, co to opuścili restaurację i szukają kolejnej.

Przyszło mi do głowy, że ja przecież nie mam przyjaciół.

– Masz co do Zuzanny poważne plany? – spytałem.

Stał w pół kroku. Wiedziałem, że się na mnie gapi.

– To mi nie wygląda na temat do niezobowiązującej pogawędki – udało mu się wreszcie wydusić. Ruszył dalej.

Wolnym krokiem zmierzaliśmy ku murowi obronnemu. Coś było nie tak.

– Jeśli tak, to lepiej nie daj się dzisiaj zabić, bardzo by ją to zasmuciło – doradziłem mu.

– Każda z wieżyczek jest obsadzona, tu się do środka nie dostaniemy. W każdym razie nie niezauważeni – powiedział cicho Valer.

To było to, co mi nie pasowało. Wokół było znacznie więcej ludzi, niż to sugerowały nasze informacje. Człowieka, który wyszedł nam na spotkanie z ukrycia, zarejestrowałem, dopiero kiedy był tuż przy nas. Chłopcy Valera byli naprawdę dobrzy.

– Panie, markiz ma wewnątrz więcej ludzi, niż zakładaliśmy. Musieli się tam dostać ukryci na wozach z zaopatrzeniem – poinformował nas.

– Chce nas wciągnąć w zasadzkę? Przypuszcza, że będziemy chcieli go zaatakować? – zastanawiałem się.

– Albo sam przygotowuje się do ataku na nas i nie chce, abyśmy wiedzieli, jakie siły ma do dyspozycji – odpowiedział Valer.

Którakolwiek z tych opcji wchodziła w grę, naszej sytuacji to nie polepszało.

– Przejdźmy się dalej, wokół muru, nie mamy nic do stracenia – zaproponowałem. – Może się przy okazji zorientujemy, co to za

jedni.

Valer kiwnął głową, wyczuwałem jego niezadowolenie i niepokój. Jego plan opierał się na dywersyjnej akcji jednego zamachowca, na pełny atak większą siłą po prostu nie miał wystarczająco dużo ludzi.

– Ile wozów przybyło w ciągu dnia? – zapytałem.

– Dwa – dostałem zwięzłą odpowiedź.

– W każdym najwyżej sześciu chłopa, do tego tych sześciu, o których już wiemy – rozmyślałem na głos. – Skoro przy tym obsadzone są wszystkie strażnice, w samym pałacu nie ma tak wielu ludzi.

– Wciąż za dużo – skostatował Valer.

Domy stały tu z dala od siebie, a nie tak upchnięte jak w innych częściach miasta, i było wyraźnie chłodniej. Musiałem się rozgrzać. Wsadziłem na głowę hełm. Kościane ozebrowanie umocowane w środku objęło moją czaszkę. Uczucie było stosunkowo nieprzyjemne, ale dzięki temu nie potrzebowałem skórzanego paska pod brodą, który ograniczał ruchy. Valer mi się przyjrzał, ale nie skomentował.

– Poczekamy do świtania i zobaczymy, czy strażnicy gdzieś nie posną – powiedział. – To nie profesjonaliści, tylko najęta zbieranina.

Dotarliśmy do głównej bramy. Na niewielkim placu przed nią płonęła podwójna uliczna latarnia, dzięki której już z daleka dostrzegłem furte dla pieszych. Nie ma potrzeby otwierać całej wielkiej bramy za każdym razem, kiedy pan posiadłości posyła sługę do miasta za swoimi zachciankami. Po obu stronach na stanowiskach trwali dwaj strażnicy. Światło odbijające się od ich wypolerowanych hełmów zdradzało, że się nam przyglądają. Czemu nie? Ciekawość jest w pełni naturalna i uzasadniona.

Przeszliśmy z Valerem na drugą stronę ulicy i trzymaliśmy się teraz pod samym murem, ja o niewielki krok z przodu. Jeden ze strażników o mało co nie spadł, tak się wychylał, żeby nie stracić nas z oczu.

– Niczego nowego się tu nie dowiemy. Po co tak łązić i tylko ściągać na siebie uwagę? – spytał półgłosem niezadowolony Valer.

Nie miałem już czasu, żeby mu wyjaśnić. Sam jeszcze przed momentem nie wiedziałem, co chcę zrobić.

W chwili kiedy znalazłem się na wysokości furty, obróciłem się nagle na pięcie, zaparłem dobrze na lewej nodze i wkładając w to całą siłę popartą masą mojego ciała, kopnąłem prawą w drzwi. Zamek, oczywiście, był solidny i wytrzymał uderzenie, jednak nie każdy inwestuje tyle samo w zawiasy. Trzasnęło drewno, zabrzączał metal i drzwi poleciały w ciemność. Ja tuż za nimi.

Za bramą panował głębszy mrok niż na ulicy, rozproszony jedynie światłem ognia płonącego w przenośnym koszu z brązu. Zaskoczony strażnik uniósł ku mnie wzrok z osłupiałym wyrazem twarzy, który już na niej pozostał. Jego kompan orientował się szybciej. Wyciągnąłem skramsaksy, zbiłem jego ostrze i ciąłem rękę, która je trzymała. Drugie, równoczesne cięcie wyprowadziłem na jego szyję. Valer był już przy mnie, łuk w ręce, strzała na cięciwie. Strażnik po lewej zwałił się na ziemię, o mgnienie oka później ten sam los spotkał tego po prawej. Jego musiał mieć na sumieniu Kyryzi albo jeden z jego kumpli. Obrotne chłopaki. Niestety, mimo naszych najlepszych chęci tu i ówdzie zaczęły się rozlegać zaalarmowane pokrzykiwania. Czasem rzeczy po prostu nie układają się człowiekowi po jego myśli.

Ruszyłem szybkim krokiem ku głównemu wejściu do pałacu. Nie biegłem, bo chciałem dać sobie choć chwilę na możliwie najlepszy ogląd sytuacji. Nie zwracałem sobie głowy podążaniem ścieżką, ta kluczyła niepotrzebnie. Pół dnia studiowania mapy dało mi całkiem niezłą orientację w terenie. Tuż za sobą wyczuwałem Valera i jeszcze kogoś.

Spoza ściany krzewów wyskoczył człowiek. Na moment się zawahał, widocznie nie spodziewał się, że zobaczy nas aż trzech. Za nim pojawił się kolejny. Wpadłem na tego pierwszego, przetrąciłem mu rękę, poderwałem go z ziemi i cisnąłem w tego drugiego, który instynktownie cofnął ramię z mieczem, żeby nie skrzywdzić kompana. Sieknąłem go ostrzem przez twarz, kopniakiem posłałem na ziemię. Zaczynałem się nieźle bawić.



Valer przyglądał się, jak dwaj mężczyźni padli na ziemię, zanim zdążyli zaatakować. Bakly, nie zwalniając, jakby zupełnie przypadkowym kopnięciem rozerwał jednemu z leżących podeszwą krtań, po czym ruszył dalej w kierunku wejścia do pałacu. Instynkt i wieloletnie doświadczenie powstrzymywały Valera przed odrzuceniem łuku i zdaniem się na miecz. Kyryzi spojrzał na niego pytająco i wskazał wzrokiem na łuk, który trzymał w ręce. Valer pokręcił nieznacznie głową. Sytuacja była wyjątkowa, jeszcze nigdy nie spotkał się z kimś takim jak Bakly. Wyglądało jednak na to, że zabijanie z bliska mogli pozostawić na jakiś czas jemu, koncentrując się na eliminowaniu zagrożeń na dystans. Kyryzi zrozumiał i założył strzałę na cięciwę.

Ciemny park wokół nich coraz bardziej ożywał, w miarę jak zbliżali się do pałacu. Odgłosom kroków towarzyszyły krzyki i przekleństwa.

– Tam są! Tam!

Kyryzi już się obracał, równocześnie napinając łuk. Valer z minimalnym opóźnieniem poszedł w jego ślady. Świsnęły dwie strzały i dwa ciała zwały się martwe na ziemię. Trzeci z napastników nawet się nie zawahał, zaatakował cięciem w rękę, ale Valera już tam nie było, był nisko przy ziemi, parując cięcie łukiem. Ostrze tamtego minęło go o włos, kolejnego ataku wyprowadzić nie zdołał. Padł na ziemię z czaszką przestreloną na wskroś. Kyryzi był tak blisko, że nie musiał nawet mierzyć.

Valer stał już na nogach, przez ten czas Bakly wyskoczył o kilka kroków przed nich, przez jego trzymane nisko ramię przelatywało właśnie ciało. Blask rozświetlonych okien pałacu na chwilę poczerwieniał od tryskającej na wszystkie strony krwi z rozerwanego karku. Kolejny przeciwnik właśnie padał na ziemię, z jego twarzy pozostała jedynie miazga.

Valer z Kyryzim szybko pokonali dzielący ich od Bakly'ego dystans, dostrzegli kolejnych przeciwników zbliżających się z obu

stron. Dwóch z jednej, trzech z drugiej, ocenił Valer. Nie musiał z Kyryzim ustalać, kto się weźmie za kogo, to wynikało z ich ustawienia. Już miał napięty łuk, kiedy dostrzegł poruszenie w krzakach kawalek dalej. Strzelił w tamtym kierunku bez zastanowienia, bełt z kuszy skrzesał iskry na żwirze tuż pod ich nogami. Strzelec skończył na ziemi, obejmując strzałę sterczącą mu z brzucha.

– Idzie do głównego wejścia! Strzelcy, do głównego wejścia! – krzyczał ktoś.

Valer uświadomił sobie, że nie zostało im zbyt wiele czasu. Usłyszał kroki za plecami, obaj z Kyryzim obrócili się i szyjąc z łuków, przerzedzili i spowolnili depczącą im po piętach pogoń.

Więcej strzał nie miał, więc odrzucił bezużyteczny łuk, obrócił się i pobiegł za Baklym, który znów wysforował się do przodu. Valer widział, jak tamten skramsaksem odbija miecz przeciwnika i powala go uderzeniem ramienia, nieomal równocześnie parując cięcie kolejnego, by prawie natychmiast wbić mu własne ostrze w brzuch. Zabijanie przychodziło mu z nieludzką wręcz łatwością. Jakby jego przeciwnicy szli do niego dobrowolnie i pozwalali się masakrować, nie próbując nawet się bronić. Valer jednak wiedział, że to nieprawda. Musiała to być kombinacja nadludzkiej szybkości, brutalnej siły, doskonałego wyczucia i zimnej krwi kogoś, kto sam był gotowy na śmierć. To wszystko razem nie mogło jednak wystarczyć, Valer nie miał co do tego złudzeń. Cała ta akcja wydawała się skazana na niepowodzenie. Kyryzi dopadł tego powalonego przez Bakly'ego, który znów stanął na nogi i chciał się przyłączyć do walki. Pierwsze stopnie szerokich schodów lśniły przed nimi w świetle lamp niczym polerowane srebro.

Może przy odrobinie szczęścia dostaniemy się chociaż do środka, przeleciało Valerowi przez myśl.

Zdobione dwuskrzydłowe drzwi otworzyły się i na zewnątrz wybiegli ludzie w ciężkich zbrojach i z tar czami.

– Formuj linię, trzymaj pozycję! – zabrzmiał rozkaz.

Cesarska ciężka piechota. Markiz musiał być w niezwykle dobrych układach z gubernatorem. Ci żołnierze zapewne dotarli tutaj wtedy,

kiedy Valer z Zuzanną byli przekonani, że Parleur jest martwy, zanim jeszcze zaczęli obserwować jego posiadłość. No to koniec. Może udałoby się zgubić ich w parku, gdyby zawrócili teraz, w tej chwili... Może.

Bakly najwyraźniej miał inne pomysły, bo zamiast obrócić się na pięcie, tylko przyspieszył. W rękach nie trzymał już skramsaksów, ale bojowe młoty. Valer nie miał pojęcia, skąd je wytrzasnął, ale nie było teraz czasu się nad tym zastanawiać.

W górę po schodach Bakly nie tyle wbiegł, co nieomal pofrunął – zgarbiony, rozjuszony byk gotów zmieść ze swojej drogi wszystko i wszystkich. Valer i Kyryzi dołączyli po obu jego stronach, przed nimi mur tarcz. Żołnierz, którego Bakly już, już miał zaatakować, instynktownie się skulił, Bakly zmienił zdanie i zaatakował jego sąsiada. Uderzył młotem w górny róg tarczy, odbijając ją na bok. W obronnej ścianie pojawił się wyłom, w który Bakly natychmiast wskoczył, robiąc młotami na lewo i prawo. Jednorodna zapora ochronna poszła w rozsypkę, Valer, z mieczem w jednej ręce i sztyletem w drugiej, nie czekał na zaproszenie. Pchnięcie w pachwinę, uderzenie tarczą w hełm, stal zadzwoniła o stal, ostrze zjechało mu po ramieniu, ale zbroja uchroniła przed zranieniem. Wpadł na przeciwnika, tamten zachwiał się i próbując odzyskać równowagę, obrócił się na tyle, że Valer zdołał pchnąć go w plecy.

Rozkazy, rżenie, krzyki. Pierwsza linia obrony zmieniła się w przerażoną, skotłowaną ciżbę. Valer nie był już w stanie zorientować się w szerszej sytuacji, starał się tylko nie stracić z oczu Bakly'ego, który wirował w tłumie przeciwników niczym krwawe tornado. Szaleństwo nagle przeminęło, Valer znów słyszał własny oddech, chrapliwy, ciężki, łapczywy. Otarł z twarzy krew. Na schodach na własnych nogach stali tylko oni trzej. W twarzy Bakly'ego, czarnej od krwi, świeciły białe oczy. Na jednym z młotów, zahaczona o oczodół, wisiała ludzka głowa.

– Idziemy – zakomenderował Bakly.

Valer rzucił okiem na park za ich plecami. Ilu ludzi ścigało tu z punktów strażniczych? Ilu jeszcze czekało wewnątrz? Na granicy światła pojawił się cień z kuszą. Uniósł ją do ramienia, po czym padł

bezgłośnie na ziemię. Za nim poruszył się inny cień, błysnęło krótkie ostrze. Część własnych ludzi osłaniała ich tyły. To była bardzo dobra wiadomość.

Bakly z Kyryzim znikali w drzwiach i Valer nie czekał dłużej, tylko podążył za nimi. Przestronnym hallem, oświetlonym licznymi lampami, zbiegali się do nich uzbrojeni ludzie. Bakly wystrzelił naprzeciw, chciał w nich uderzyć, zanim zdążą się zorganizować. Ktoś coś krzyczał, ale Valer nie rozumiał co. Spojrzeli po sobie z Kyryzim i obaj skoczyli za Bakłym, aby kryć jego flanki. Nigdy w życiu nie przyszłoby im do głowy, że trzech ludzi może stoczyć walkę z takim ogromem przeciwników. Głuche stuknięcie, to ludzka głowa spadła z młota, który natychmiast zdruzgotał hełm i roztrzaskał kolejną. Valer sparował nieczyste pchnięcie, doskoczył na krótszy dystans, zamarkował cios mieczem i dźgnął sztyletem w pachwinę. Potem natychmiast ciął w biodro mężczyznę, który próbował się cofnąć przed atakiem Bakly'ego.



Obrońcy szybko się zorientowali, że w rozproszeniu nie mają żadnych szans. Próbowali ich otoczyć, ale bezskutecznie. Bakly natychmiast rozbijał wszelkie skupiska, a Valer z Kyryzim wykańczali tych, którzy próbowali przed nim uskakiwać.

Krótką przerwą, jęki rannych, syczenie gorącego oleju z lamp, rozlanego na zimnym marmurze. Ostatni dwaj wciąż stojący ludzie Parleura rozglądali się po hallu. Kałuże krwi, nieruchome ciała, ranni nieporadnie próbujący odczołgać się jak najdalej. Spojrzeli po sobie i bez słowa, jak jeden mąż rzucili się do wyjścia.

– Będzie gdzieś na górze, ukryty za ostatnią linią swoich ludzi – tyle Valer zdołał z siebie wydobyć, kiedy wreszcie złapał oddech. – Albo na dole – dodał.

Bakly pokręcił głową.

– Na górze. Nie chce, żeby ktokolwiek wiedział o tym, co jest na dole.

Ruszył przez hall do przeciwległego wyjścia, za którym według planów miały się znajdować główne schody pałacu. Valer zauważył, że Bakly zostawia na posadzce lepkie, krwawe ślady. Obejrzał się za siebie. Podobny trop podążał za nim i za Kyryzim.

Na szerokich schodach, zdobionych po obu stronach marmurowymi rzeźbami mitycznych zwierząt, natknęli się na kolejnych ludzi z mieczami w gotowości.

Powinni byli ściągnąć tu łuczników albo paru chłopca z kuszami, pomyślał Valer. Obrońcy najwidoczniej nie zdawali sobie sprawy, jak rozległe są wnętrza pałacu, i teraz płacili za to cenę.

Spoza jednej z rzeźb wychynął mężczyzna, który spróbował zaatakować Valera od tyłu. Ten zareagował, jakby właśnie czegoś takiego się spodziewał. W obrocie zasłonił się sztyletem, który nie odbił cięcia całkowicie, ale wystarczył, aby zmienić jego kurs. O resztę zatroszczyła się kolczuga pod płaszczem. Valer kontynuował obrót i wykorzystując zyskany dzięki temu pęd, drugą ręką ciał tamtego mieczem w bok. Wystarczyło, aby przeciwnik przystanął. Valer wykorzystał tę chwilę, aby pchnąć go sztyletem w podbrzusze. To wyeliminowało go z dalszej walki na dobre.

Na Bakly'ego ruszyło w zwartym szyku trzech ludzi. Kyryzi ustawił się tak, aby osłaniać jego lewą stronę. Bakly, choć wydawało się to niemożliwe, jeszcze bardziej przyspieszył, jakby nie mógł się doczekać walki. W ostatniej chwili skłonił się, zasłoną, która była bardziej atakiem niż obroną, odbił ostrze miecza, drugim ramieniem złapał przeciwnika wpół i cisnął nim w stronę poręczy. Tamten nie zdołał się jej chwycić, przeleciał na drugą stronę i runął na marmurową posadzkę na dole. Kyryzi zaatakował człowieka po lewej, fintą sprowokował go do kontrataku, a kiedy tamten wychylił się odrobinę za daleko do przodu, wykorzystał swoją pozycję, aby

ciąć go po nogach. Trzeci z obrońców na próżno próbował się zasłonić przed nadludzkim uderzeniem, skonał z młotem wbitym głęboko w pierś. Bakly jednym szarpnięciem wyswobodził broń w akompaniamencie trzasku łamanych żeber.

Valer spojrział na schody za nimi. Już nie były białe. Krew ciekła nimi w dół, tworząc na stopniach niewielkie kałuże.

– Parleur będzie w salonie na drugim piętrze. To jego ulubiony, a na samej górze byłoby mu za gorąco – zauważył Kyryzi, dobijając mężczyznę u swoich stóp.

Valer skinął głową, próbując uspokoić oddech. Ilu jeszcze ludzi zostało markizowi? Nie mogło być zbyt wielu, biorąc pod uwagę rzeźnię, jaką do tej pory urządzili. Zupełnie jakby i jemu, i Kyryziem udzieliła się ta łatwość, z którą zabijał Bakly. Możliwe, że pomagał im w tym strach rozsiewany przez wielkiego mężczyznę. Valer nie miał pojęcia. Jedno było jednak jasne – musieli dokończyć to, co zaczęli.

– Idziemy – zawołał i spojrział na Bakly’ego.

Odpowiedział mu tylko grymas zadowolenia.

– Co zrobimy, jeśli będą tam strzelcy? – zapytał Kyryzi, kiedy wspinali się po schodach.

– Gdyby w ogóle brał to pod uwagę, rozstawiłby ich tutaj. Parleur nie będzie chciał, żeby ostatnią linię obrony stanowiły strzały – odpowiedział mu między ciężkimi wdechami Valer.

Zbliżali się do salonu. Bakly nie musiał wskazywać drogi, wszyscy dokładnie przestudiowali plan pałacu. Drzwi były dwuskrzydłowe, sięgające niemal sufitu, wykonane z ciemnego drewna, zdobione wymyślnymi motywami. Klamka wyglądała na złotą. Na korytarzu nikt nie trzymał straży.

Będą zamknięte, co do tego Valer był pewien.

Bakly łokciem nacisnął na klamkę, zaparł się barkiem o drzwi, ale te otworzyły się gładko same. Pod przeciwległą ścianą na stojącym na podwyższeniu, wyglądającym niczym tron fotelu siedział markiz Parleur w pełnej zbroi. Drogę do niego blokowali ciężkozbrojni z dwuręcznymi mieczami. Kolejne zaskoczenie. Sądząc po emblematach na pancerzach, należeli do elitarnej cesarskiej

jednostki, do Wilków. Takimi siłami dysponował jedynie ród Saxmundsenów, w wyjątkowych sytuacjach, kiedy stało to w zgodzie z interesami imperium, żołnierzy tych oddelegowywano do dyspozycji najwyższej postawionych gubernatorów. Koneksje Parleura wydawały się sięgać na sam szczyt.

– Po co dał się wcisnąć w tę zbroję? – zastanawiał się Valer.

Był przecież ranny, tym trudniej byłoby mu walczyć. A co do wojowników, którzy go chronili, Valer wolałby nie mieć z nimi nic wspólnego. Nie zawahałby się stanąć twarzą w twarz z każdym z nich osobno, teraz jednak mieli przewagę liczebną. Na ich korzyść przemawiał też fakt, że Valer, Bakly i Kyryzi mieli za sobą morderczą walkę.

Bakly ruszył i Valer miał wrażenie, że młoty w jego rękach będą skuteczną bronią przeciw długim mieczom i zbrojom płytowym. Bez cienia strachu i zawahania poszli z Kyryzim za nim.

Bakly kroczył z rękami zwisającymi wzdłuż ciała, ociekające krwią młoty zostawiały za nim dwie krwawe linie. Krok po kroku, spokojny i rozluźniony, jakby czekającej nań stalowej zapory nawet nie dostrzegał, nie był jej świadom. Mężczyźni w zbrojach popatrzyli po sobie. Już był blisko, nieomal w zasięgu ich długich, śmiercionośnych ostrzy. Trzeci z lewej nie wytrzymał i zaatakował płynnym, niezwykle szybkim cięciem na głowę. Bakly nie parował, błyskawicznie uniknął ataku, skulił się i podciął tamtemu nogi. Mężczyzna stracił równowagę i Bakly trafił go idealnie w odsłonięty fragment między hełmem i ochronnym kołnierzem. Błyskawicznym doskokiem dostał się między pozostałych, co pozbawiło ich przewagi wynikającej z dalekiego zasięgu ich dwuręcznej broni. Valer nie zawahał się i, jak to już robił wielokrotnie wcześniej, rzucił się w powstałą lukę.

Jakiś czas później, nie wiedział, czy mgnienie oka, minuty, a może całą wieczność, klęczał oparty o własny miecz. Po twarzy ciekła mu krew. Jego własna, ale nie było jej aż tyle, aby miało to niepokoić. Żebra miał poharatane, jeden naramiennik kompletnie rozerwany, ale ręka pod nim funkcjonowała. Na razie.

Kyryzi siedział na stopniach podestu, z mieczem na udach, jedną ręką bezwładnie zwieszoną wzdłuż ciała, głową na piersi. Całą twarz pokrywała mu krew, ale wyglądało na to, że wciąż żyje. Ramiona unosiły się w rytm przyspieszonych oddechów. Może mieć poranioną pierś, może nawet płuca, przeszło Valerowi przez myśl. Wokół nich na posadzce leżeli cesarscy żołnierze. Poranieni, umierający i martwi.

Bakly wspinał się właśnie po stopniach do tronu, nieco się przy tym zataczając. Markiz już stał, w ręce trzymał miecz, ale Valer nie musiał mu się nawet przyglądać, aby widzieć, jak bardzo jest przerażony. Parleur zaatakował, Bakly się zasłonił, ale dopiero w ostatniej chwili, jakby i jemu zaczynało brakować sił. Parleur uderzył z całej mocy, potem jeszcze raz i jeszcze raz, jakby mógł cokolwiek wskórać. Spróbował znowu i znowu, rąbiąc mieczem jak cepem. Tego na dłuższą metę nie mogła wytrzymać żadna stal, choćby i najszlachetniejsza. Przy kolejnym uderzeniu Bakly drugim młotem zwyczajnie złamał miecz, a samego markiza posłał na ziemię. Chwilę mu się przyglądał, po czym oparł młot na odsłoniętej szyi Parleura, tuż pod brodą. Zrobiło się cicho. Jeśli gdziekolwiek jeszcze w pałacu trwały jakieś walki, tu nie było ich słychać.

– Chciałeś zabić moją córkę – powiedział Bakly.

Nie był to jakiś donośny, dudniący głos, jakim lubią przemawiać ludzie władzy, uświadomił sobie Valer. Każde słowo wypowiedziane było czysto, starannie. Co zdejmowało strachem, to fakt, że w głosie tym nie kryły się żadne emocje. A przecież Bakly musiał coś czuć. No właśnie, musiał?

– Nie chciałeś jej zabić jako wroga, przeciwnika w boju. Mieczem, sznurem, czymkolwiek, co służy do zabijania – kontynuował. – Gdyby tak to wyglądało, sam bym cię zabił tu i teraz.

Zimny, bezosobowy, metaliczny wręcz dźwięk tych słów budził przerażenie nawet w Valerze. Może przez to, że sam był wyczerpany, poobijany, zraniony. Nie chcąc się dłużej koncentrować na Baklym, uniósł się z trudem i poszedł zobaczyć, co może zrobić dla Kyryziego.

– Chciałeś ją skrzywdzić. Uwięzić i męczyć, zniszczyć jej własne ja, a potem ciało i dopiero po tym wszystkim ją zabić.

Bakly odsunął młot od ciała markiza i nachylił się do niego. Parleur błyskawicznie sięgnął do pasa po sztylet, ale wskórał tylko tyle, że leżał teraz z ręką przygwożdżoną nogą Bakly’ego.

Valer oczekiwał odgłosu trzaskających kostek palców, ale nic takiego się nie stało. Skoncentrował się na ranie Kyryziego. Spod poszarpanej lamelkowej kurty wyciekało więcej krwi, niż ktokolwiek mógł sobie pozwolić, jeśli chciał przeżyć. Valer porozcinał rzemienie ściągające szytą na miarę kurtkę ze słoniowej skóry, wyswobodził z niej Kyryziego całkowicie i odsłonił wielką ranę w piersi, z której wystawały potrzaskane żebra. Z nimi nie był w stanie nic zrobić, ale mógł przynajmniej spróbować powstrzymać krwawienie.

To właśnie utrata krwi najczęściej była przyczyną śmierci na polu walki. Valer sięgnął do pasa i wyswobodził mieszek z aktywnym proszkiem hematytowym. Nie było co oszczędzać, zużył wszystko, co miał. Był to magiczny lek, trudny do zdobycia, wart po tysiącokroć swojej wagi w złocie. Nie obchodziło go to. Nie interesowała go też zasada działania, ważne było, że Kyryzi przestał krwawić, a jego chrapliwy oddech nieco się uspokoił. Valer ostrożnie opatrzył ranę, mając nadzieję, że nie narobi w ten sposób więcej szkód niż pożytku.

W chwili kiedy skończył, Bakly właśnie skrępował Parleurowi ręce i przywiązał mu je z przodu do pasa.

– Pogawędzę sobie z nim na dole, w katakumbach, tam gdzie chciał zamęczyć Zuzannę. Tam gdzie zaciągnął i zamęczył inne kobiety – oznajmił wciąż tym samym metalicznym tonem.

– Mamy zdobyć od niego informacje – przypomniał mu ostrożnie Valer.

Bakly pokręcił tylko głową.

– Nie będę go torturować. Nie będę go torturować dla księcia – uściślił.

Chwycił częściowo unieruchomionego Parleura za powróż pętający nogi i zaczął go ciągnąć jak jakąś rzecz, na której mu nie zależy, a musi ją jedynie przetransportować z jednego miejsca

w drugie. Valer obserwował, jak markiz próbuje utrzymać w powietrzu głowę, aby nie uderzać nią o stopnie podestu. W pancerzu było to zbyt trudne i w połowie drogi albo się poddał, albo omdlał i jego hełm zadzwonił głośno o marmur. Nie pozostawało już nic więcej do roboty. Valer objął Kyryziego, ostrożnie pomógł mu się podnieść. Powoli ruszyli w ślad za Bakłym.



Zeszliśmy o jedno piętro, z wąskich drzwi wtopionych w zdobienia ściany wynurzyło się przerażone oblicze. Służka.

– Zamknij się w środku i nie waż się wyjść aż do rana – poradziłem jej. – Ty i wszyscy pozostali, jeśli chcecie żyć.

Zniknęła, jakby jej tam w ogóle nigdy nie było. Za plecami słyszałem człapanie Valera i jego poranionego kompana. Okazali się zaskakująco twardzi.

– Jeśli chcecie utrzymać w tajemnicy, co się tutaj stało, i zachować wasze incognito, rozsądnie byłoby wszystkich pozostałych też pozabijać – zauważyłem, obracając się ku nim.

– To nie wchodzi w rachubę – odpowiedział Valer.

Wzruszyłem ramionami. Jego wybór. Parleur jęknął. Wyglądał wciąż na wystarczająco żywego, ale ciągnięcie po schodach najwyraźniej nie przypadło do gustu jego plecom i głowie.

Olej, który rozlał się z lamp na dole, już się dopalił, światła przygasły, martwe ciała zmieniły się w ciemne, bezkształtne worki, pozbawione detali. Jedynie zapach natychmiast zdradzał, co tu się wydarzyło.

– Zamknę się z markizem na dole, nie wiem, jak długo tu zostanę. Wy się lepiej ulotnijcie. Albo do was wrócę, albo nie – powiedziałem.

Valer chwilę się nad moimi słowami zastanowił, po czym skinął głową i ruszył ze swoim kompanem do wyjścia z pałacu.



Parę chwil później znalazłem się z markizem sam na sam w najskrytszej części jego przytulnych podziemi. Przywiązałem go do jednej z ław, ostrzem pozbawiłem odzienia i zostawiłem go tak, żeby doszedł do siebie. Bijatyka z jego ludźmi zdołała przywrócić mnie do normalnego świata, znów widziałem i postrzegałem go jak dawniej, jak normalni ludzie. Krawędzie, płaszczyzny, kolory, zapachy. Nie czułem też tej żądzы, by niszczyć, zabijać, przerywać linie energii, linie życia, w których pulsowała krew. To było takie uczucie, jak kiedy pijak osuszy butelkę gorzałki i wie, że na razie mu wystarczy, że jest zadowolony. Prędzej czy później pragnienie jednak wróci. To sam dobrze znałem. Pragnienie, by się zapomnieć, pragnienie zabijania. Jednak teraz postrzegałem świat jasno, bez zniekształceń, byłem w stanie myśleć i to się liczyło.

Zapaliłem więcej lamp, żeby mieć lepszy widok na podziemną kryjówkę. Dopiero dzięki temu zdałem sobie sprawę z rozmiaru sali. Jedna jej część urządzona była niczym elegancki salonik. Fotele, kanapa, zdobiony stół karciany, nawet bar, z którego wybrałem sobie butelkę z czymś bursztynowym. Napełniłem szklanę z rżniętego kryształu. Wódka owocowa, mocna, ale łagodna w smaku. Na moje podniebienie aż nadto wykwił na. Osuszyłem naczynie i rozglądałem się dalej. Drugą połowę sali zajmowały najróżniejsze ławki, wyciągi, koło wroty do rozciągania i masa innych urządzeń do zadawania bólu. Wszystkie były wykonane z niezwykłym kunsztem. Drewno polerowane, lakowane, żelazne okucia, finezyjnie zdobione. Tu i ówdzie dostrzegałem plamy krwi. Jedna z ławek, umożliwiająca zawieszenie ofiary poziomo w powietrzu, wyglądała na całkiem nową, pachniała świeżością, jakby dopiero co ją wykonano. Jak Parleur to wszystko zamawiał? Albo w częściach, albo przez całą sieć pośredników, inaczej przecież nie utrzymałby tego w tajemnicy.

Wróciłem do części „mieszkalnej”. Dopiero teraz zauważyłem żelazne obręcze przymocowane do ścian. Zlewały się ze zdobieniami, dlatego w pierwszej chwili ich nie dostrzegłem. Widać Parleur nie chciał, aby psuły wrażenia estetyczne. Wyglądało na to,

że swoje ofiary przyprowadzał również tutaj, zapewne kiedy się chciał chwilę zrelaksować.

Przejrzałem pobieżnie zawartość szafek i skrzyni. Oprócz zwykłych przedmiotów, których obecności w podobnym przybytku można się było spodziewać, znalazłem odzież ochronną, woskowane worki jutowe, mnóstwo powrozów, pęt, knebli, butelki z oliwą, kaganki, a na koniec wielką misę z polerowanego brązu, pełną noży o różnorodnych ostrzach. W odległych stronach noży takich używano do niezwykle wyrafinowanych, a równo cześnie brutalnych egzekucji. Nazywano to Śmiercią Tysiąca Ostrzy. Każdy nóż miał swoje specjalne przeznaczenie. Do amputacji, wycinania organów wewnętrznych, obdzierania ze skóry, cięcia ścięgien, mięśni albo po prostu do zadawania bólu.

W kolejnych skrzyniach znalazłem masę środków leczniczych. Oprócz tradycyjnych w oczy rzucał się proszek hematytowy oraz specjalna maść, gojąca najgorsze nawet rany. Najlepszej jakości, co poznałem po zapachu, jak i po tym, że w półmroku nieznacznie świeciła. Znalazłem też zupełną nowość, o której Zuzanna wspomniała mi, jeszcze zanim wyruszyliśmy do Grafza trzy – mieszanek wodnego szkła i aktywnego angelitu. Pomagała przy gojeniu głębokich ran, jakimś sposobem sprawiając, że rozcięte mięso dosłownie zrastało się z powrotem. Używając tych środków, Parleur mógł przedłużać kaźnie niemalże do woli.

Cisnąłem misą o stół, aż brąz i noże zadzwoniły, markiz się skulił. Ocknął się. Nalałem sobie jeszcze jednego, połową chlusnąłem mu w twarz. Zamrugął, zaparskał i dopiero otworzył oczy.

– Ty jesteś naprawdę zdrowo, bezapelacyjnie pokrzywionym bydlakiem – powiedziałem.

– Nigdy byś tego nie zrozumiał – odparsknął z wyższością.

Nagi, spętany, ale wciąż się wywyższał. Albo oczekiwał pomocy z zewnątrz, albo arogancja przyćmiła mu umysł.

– A niby czemu nie miałbym zrozumieć dręczenia ludzi? – zapytałem.

Nie interesowało mnie, co odpowie, chciałem jedynie, żeby zaczął gadać.

– No właśnie, niczego nie rozumiesz. Ból jest tylko narzędziem, by je sobie podporządkować, by im pokazać, kto jest ich panem, złamać je.

– I zabić? – odpowiedziałem.

– To jest ostatni etap, kiedy już naprawdę nie mają do zaoferowania nic więcej niż śmierć. I wierz mi, mnóstwo mnie o nią błagało. – Wyglądało na to, że mimo swego położenia pogрузzył się we wspomnianiu.

Był zwyrodnialcem, zboczeńcem, zdeprawowanym monstrem, różniącym się od normalnych ludzi jeszcze bardziej niż ja. Stworzeniem, które nie powinno było znaleźć się wśród żywych.

Chwilę przebierałem w zawartości misy. Rzuciłem też okiem na pozostałe narzędzia tortur, jednak wróciłem do noży.

– Jestem tutaj dlatego, że chciałeś skrzywdzić moją córkę – przypomniałem mu. – Dodatkowo ktoś, komu pomagam, poprosił mnie, abym rozwiązał dla niego parę problemów, zdobył trochę informacji.

– Nic ze mnie nie wyciągniesz, ja o bólu wiem wszystko! – zaśmiał się.

Miałem do czynienia z szaleńcem, co do tego nie mogło być żadnych wątpliwości. Jego szaleństwo szło jednak o wiele dalej, niż początkowo przypuszczałem. O bólu zaś z całą pewnością nie wiedział wszystkiego, skoro przez całe swoje dotychczasowe życie stał tylko po jednej jego stronie.

– Nie będę cię męczyć po to, żeby czegokolwiek się od ciebie dowiedzieć – wyjaśniłem mu.

Nigdy tego nie robiłem i z pewnością nie zamierzałem zaczynać teraz, pod sam koniec swojej drogi przez życie. Parleur bacznie mi się przyglądał. Jeśli mu ulżyło, nie dał tego po sobie poznać.

– Nic z tego, co byś mi mógł zdradzić, w zasadzie mnie nie interesuje.

Nie wiedział, dokąd zmierzam, i zaczynał odrobinę tracić pewność siebie.

– Zamierzam wyrządzić ci krzywdę zwyczajnie dlatego, że mogę. Dlatego, że chciałeś skrzywdzić moją córkę.

Teraz patrzył na mnie wytrzeszczonymi oczami.

– Dodatkowo nie wydaje mi się to fair, nie żeby w życiu cokolwiek było fair, ale mniejsza o to... Nie wydaje mi się fair, żebyś miał się pożegnać z życiem zbyt łatwo. – Wskazałem na narzędzia tortur z tyłu sali.

Przysunąłem sobie misę z nożami i wyciągnąłem jeden, który wyglądał jak głęboka łyżka zwieńczona ząbkami. Krawędzie były naostrzone, w przeciwieństwie do ząbków, które były starannie przytępione.

– Wiesz, do czego służy ten?

Wbrew swojej woli spojrział i pokręcił głową. Postarał się o zestaw Śmierci Tysiąca Ostrzy, taki, jakimi kiedyś dokonywano egzekucji na dworach wielkich szlachciców na południu, ale nawet nie wiedział, jak się nimi posługiwać. A może nie chciał wiedzieć.

– Ten nóż – uniosłem łyżkę – służy do wydłubywania oka z oczodołu. Mistrzowie fachu potrafią wyjąć gałkę oczną bez naruszania nerwu tak, aby można ją było obrócić i dać delikwentowi na siebie popatrzeć bez użycia zwierciadła.

Szarpnął się w swoich więzach. Nie spętałem go aż tak dobrze, jak myślałem. Gdzieś wcześniej widziałem klamry do mocowania poszczególnych części ciała. Odnalazłem je i przyzwocię go unieruchomiłem. Głowę umieściłem mu w specjalnie zaprojektowanym imadle, ale nie dociskałem zbyt mocno, aby wciąż mógł mnie słyszeć.

– Nieźle masz to wszystko zaaranżowane – przyznałem.

– Zmyślasz, tego nikt nie jest w stanie dokonać, sam próbowałem! – krzyczał, pryskając naokoło śliną. – Większość ludzi prędzej sama dałaby się zabić, niżby miała komuś innemu urznąć rękę – rechotał. – Sam to przerabiałem!

Wzruszyłem ramionami. Ludzie są dziwni, co poradzić.

Chwyciłem nóż do wydłubywania oczu. Parleur zaczął bełkotać. Przeklinał mnie i zaklinał, obiecywał oddać mi cały swój majątek. Przymierzałem się, jak najlepiej chwycić za rękojeść. Nie nawykłem do takich noży. Markiz rozwrzeszczał się jeszcze głośniejsze, ale

wiedziałem, że ta jego krypta jest doskonale odizolowana od reszty pałacu. Sam się o to postarał.

Nabrałem przeświadczenia, że trzymam nóż właściwie, kiedy ten bydlak zacisnął nagle oczy.

– Przecież to ci w niczym nie pomoże – skonstatowałem i zabrałem się do roboty.

Po paru minutach krytycznie mu się przyjrzałem.

– No, nie jestem mistrzem w tym fachu – musiałem przyznać. Przyjrzałem się temu, co mi zostało na łyżkowatym nożu, i odrzuciłem to w ciemność. Oślepienie Parleura w niczym by mi się nie przysłużyło.

Nalałem sobie coś do picia i poczekałem, aż Parleurowi zabraknie sił na dalsze krzyki. Nic mu bezpośrednio nie zagrażało, człowiek może spokojnie przeżyć bez jednego oka. Kiedy się wreszcie trochę uspokoił, sięgnąłem do miski po kolejny nóż. Był przeznaczony do przebijania serca. Odłożyłem go, może jeszcze przyjdzie na to czas.

Parleur zaczynał się na nowo drzeć za każdym razem, kiedy mu wyjaśniałem, do czego służy dane ostrze. W przerwach, które mu dawałem, żeby się uspokoił, próbował mnie przekupić informacjami, złotem, sekretami magicznymi, obietnicami. Próbował wciąż i wciąż pomimo tego, iż cierpliwie mu przypominałem, że żadna z tych rzeczy mnie nie interesuje, że torturuję go wyłącznie dla własnej zachcianki.

Po jakimś czasie Parleur krwawił mocniej, niż to było wskazane. No co poradzić, nie jestem szkolonym katem. Posypałem mu rany proszkiem hematytowym, poczekałem, aż mu się polepszy, i chwyciłem za kolejny nóż. Na ostrzu było napisane „nos”. Ten wciąż jeszcze wystawał mu z twarzy. Przeczytałem Parleurowi, co go czeka, ale on nie zareagował. Jego świadomość dotarła do kresu swych możliwości.



– Nos – przeczytałem raz jeszcze i odrzuciłem użyte narzędzie.

Parleur wciąż żył, ale nie przypominał za bardzo człowieka. Zmienił się w pokrwawiony tułów poruszający się jedynie w rytm wdechów i wydechów. Wraz z nimi słychać było świszczenie i bulgotanie wydobywające się z dodatkowych otworów w jego ciele. Nie udawał obłądu, faktycznie postradał zmysły. Pozostało jedynie posłać go na drugą stronę.

Z szafki wyjąłem miękki ręcznik z delikatnej wełny, wytarłem weń okrwawione ręce najdokładniej, jak się dało, i ruszyłem w kierunku skrytego w półmroku miejsca, w które markiz popatrzył, kiedy spytałem go o trofea. Sukinsyny jego pokroju zazwyczaj je trzymają.

W ciemności, związaną łańcuchami wkućtymi w ścianę, znalazłem zakneblowaną młodą dziewczynę z opaską na oczach. Była podobna do Zuzanny. Zdjąłem jej opaskę, potem knebel.

– Będiesz krzyczeć? – spytałem.

– Nie. – Pokręciła głową. – Wszystko słyszałam. Dostał, na co zasłużył, bydlak.

Oczy miała wielkie, przerażone. Przeszła przez chwile grozy, strachu, oczekiwania na tortury i śmierć. Ale zniosła je, pozostała świadoma i poczytalna.

– Uwolnię cię. Staraj się nie rozglądać, tylko od razu uciekaj. Nikt cię nie będzie zatrzymywać, rozumiesz?

Pokiwała głową.

– I poważnie mówię, nie rozglądaj się. Nie musisz wszystkiego widzieć.

– Nie będę. Zniknę stąd najszybciej, jak będę mogła – potwierdziła.

Markiz, a raczej to, co z niego pozostało, nie stanowił najprzyjemniejszego widoku. Ten jeden koszmar mogła sobie odpuścić. Klucze do oków szczęśliwie wisiały na haku zaraz obok. Wyswobodziłem ją i już jej nie było.

Trofea, przypomniałem sobie, czego szukałem w ciemnym kącie. Znalazłem drzwi do szafy wbudowanej w ścianę krypty. Nie były zamaskowane, ale i tak łatwo je było przeoczyć. Zwłaszcza jeśli człowiek się ich tutaj nie spodziewał. Otworzyłem je.

Na drucianych stelażach wisiały spreparowane skóry zdjęte z twarzy, każda z zachowanym kosmykiem włosów. Dziesiątki, może nawet setki. Zamknąłem szafę, posypałem wciąż jeszcze żyjący kawał drgającego mięsa proszkiem hematytowym i wyszedłem po schodach z podziemi. Zastanawiałem się, czy przez to, co właśnie zrobiłem, czuję się gorzej. W żadnym wypadku. A lepiej? Nie byłem pewien. Zresztą co to za różnica.

Rozdział 12

Klan na tropie



Janick był na nogach ponad siedemdziesiąt dwie godziny. Napił się kawy z solidnym dodatkiem substancji pobudzających. Zaczynała mieć w jego ustach słodkawy posmak, oznaka tego, że był bliski przedawkowania i za parę godzin nie będzie mógł już na sobie polegać. Wciąż jednak pozostawało mu trochę czasu, i to tego najbardziej produktywnego, kiedy podświadomość najlepiej współpracowała z pamięcią i logicznym rozumowaniem.

Z niezadowoleniem popatrzył na zgromadzonych w jadalni ludzi, pochylonych nad porozkładanymi wszędzie kartkami. Niektórzy wyszukiwali i zaznaczali teksty zawierające kluczowe słowa, inni te teksty katalogowali, ostatnia zaś grupa, wybrana spośród najzdolniejszych, pracowała nad rozszerzaniem słownika, którym sam Janick w ostatnich dniach zajmował się szczególnie intensywnie. Klinsman, instruowany przez Byvneta, z którym Janick pozostawał w kontakcie na odległość, donosił mu z kolei na biurko wybrane teksty przeznaczone do bardziej drobiazgowego przekładu. Cały proces był wielokrotnie szybszy, niż kiedy Janick ślęczał nad odcyfrowywaniem starodawnych czarodziejskich zapisków całkiem sam. A wszystko dzięki temu, że w trakcie swoich wielu letnich studiów stworzył słownik i spisał, na ile zdołał, przynajmniej podstawy gramatyczne dawnego języka.

Niedogodnością z drugiej strony było to, że każdy z zaangażowanych mógłby teraz rozwijać znajomość klanowej wersji swaglish, który oryginalnie miał być sekretem Janicka, jego tajną bronią, narzędziem do umocnienia pozycji w klanie. Zdusił jednak niezadowolenie. To był problem, nad którym będzie można zastanowić się później, kiedy zdoła się wydostać z Grafzaty, którą ktoś przed stuleciami zamienił w więzienie dla każdego, kto przejawiał jakiegokolwiek oznaki magicznego talentu. Drugą opcją było zniszczenie Akroove w podziemiach miasta. Odkryte i przekładane obecnie teksty koncentrowały się właśnie na tym zagadnieniu. Były to w większości rozmaite notatki, nie tyle uporządkowane wpisy w elegancko oprawionych dziennikach, co szybkie zapiski na skrawkach papieru czy pergaminu, nierzadko służących oryginalnie do innego celu. Jakby ich autorzy nie mieli już czasu, warunków i środków, aczkolwiek wciąż jeszcze starali się wszystko dokumentować. Janick skoncentrował się na leżącym przed nim umorusanym skrawku pergaminu.

„Arqil, dzień pięćdziesiąty trzeci” – stało w nagłówku. Arqil – to imię napotkał już wcześniej w niektórych dokumentach. Z zebranych informacji wnioskował, iż był to człowiek zwykły działać samodzielnie, do tego najwyraźniej czarodziej, sądząc po tym, że należał do klanu. Na wielu zapiskach nie było żadnej daty, zwłaszcza na tych z okresu, w którym sytuacja wydawała się już całkiem beznadziejna, widniało tylko oznaczenie dnia.

Używanego przez czarodziejów kalendarza Janick nie potrafił rozgryźć. Miesiące wydawały się mieć różną liczbę dni, jakby odnosiły się do czegoś innego niż tylko dzielenie roku na równomierne okresy. Oznaczanie numeryczne zaś w ogóle nie miało sensu. Musiało mieć jakiś związek z Akroove, Janick jednak nigdzie nie znalazł żadnych wskazówek co do tego, z czym miałyby być związany dzień pierwszy. Wrócił do leżącego przed nim tekstu.

Akroove zlokalizowano dokładnie tam, gdzie się spodziewaliśmy (Ezuewel i jego ludzie są martwi). Zasada przesilenia nie zadziałała całkiem tak, jak planowaliśmy, Akroove użyło odpowiedniej przeciwstruktury i zdołało umknąć. Gert z Kaawem martwi. Trzeba

było próbować użyć jej wcześniej, zanim zabiło Ezuewela i jego ludzi. Byli bardzo zdolni, będzie nam ich brakowało. Odpowiedź Akroove na atak przypominała jako żywo magiczną falę Gerta. Uczy się, nie ma co do tego wątpliwości. Czemu jednak nie użyło ofensywnego zaklęcia Ezuewela, które lepiej by pasowało? Nie nauczyło się go? Zapomniało?

Możliwe, że właśnie na to wpadł, możliwe, że wie, do czego odnosi się dziwaczne datowanie dni.

– Klinsman, potrzebuję wszystkich zapisków, które mają w nagłówku albo zaczynają się od porządkowego numeru dnia – zażądał Janick i przyglądał się, jak jego podwładny bierze się do roboty.

Wszyscy pracowali sumiennie, nikt nie marudził, nikt nawet nie tracił czasu na pogawędki. Mimo iż Janick nie wprowadził ich we wszystkie szczegóły, magiczna burza, którą wszyscy odczuli na własnej skórze, niezwykłość zadania, jakie im powierzono, oraz bardzo widoczne napięcie Janicka sprawiały, że wszyscy zdawali sobie sprawę z powagi sytuacji. Ci co mądrzejsi pojmowali też, że sprawy nie mają się najlepiej, jeśli dano im bezpośredni dostęp do dokumentów, o których istnieniu w innych okolicznościach nawet nie zostaliby poinformowani.

Janick znów się upewnił, że jego baczne oko nie ma wpływu na efektywność pracy zespołu, i wrócił do uważnego studiowania wcześniej wybranych tekstów. Dzięki substancjom pobudzającym, które zażył, sens słów, całych zdań, a nawet niektórych idiomów stawał się łatwiejszy do uchwycenia. Wiedział, że nie potrwa to zbyt długo, że najdalej za kilka chwil będzie musiał odpocząć, ale tymczasem starał się wykorzystać każdą minutę, jaka mu pozostawała.

– Mistrzu, tu macie wszystko. – Klinsman pojawił się koło biurka.

Janick zdusił atak wściekłości, nie znosił, kiedy ktoś go wrywał z translatorskiego transu.

– Dziękuję – odpowiedział i wziął od młodego czarodzieja plik dokumentów.

W obliczu niebezpieczeństwa czy nie, nie chciał zaniedbywać wewnętrznej polityki. Wierzył, że uda mu się z tego jakoś wyjść,

należało wciąż mieć na uwadze przyszłość klanu i własną w nim pozycję. Cokolwiek miało się teraz wydarzyć, był przekonany, że zdoła ją utrzymać, by dalej móc studiować magię.

Zanurzył się w papierach. Jego przeczucie, że gdzieś już widział zarówno datę, jak i oznaczenie porządkowe dnia, potwierdziło się. Jeden z dokumentów był oznaczony jako pochodzący z trzydziestego piątego lipie-lipca, podczas gdy w tekście było również napisane, iż chodzi o dzień dwudziesty piąty. Połapanie się w staro dawnym kalendarzu czarodziejów zostawił na inną okazję, teraz przeleciał tylko tekst wzrokiem i dzięki swej wzmocnionej uwadze i świadomości udało mu się odcyfrować fragment, który wcześniej pozostawał dla niego niezrozumiały. Numer porządkowy rzeczywiście oznaczał dzień od rozpoczęcia eksperymentu. Skupił się na treści:

Pierwszy problem, A. nie zachowuje się zgodnie z oczekiwaniami, zaatakowało Arqila. Atak słaby, bez następstw. Sugestia – zakończyć eksperyment? Przedstawię na zgromadzeniu.

Znów ten Arqil. Litery rozmyły się w czarne plamki, które powoli się ze sobą zlewały. Pozornie łatwy przekład jednej strony zabrał mu całe godziny, zaczynały się halucynacje. Musiał odpocząć, nie mógł tego odkładać ani chwili dłużej.

Wcisnął pod pachę swój notatnik. Najchętniej pozabierałby swoim ludziom wszystkie te papiery i zamknął je na klucz, ale nie mógł, ważniejsze było to, aby się dowiedzieć jak najwięcej, jak najszybciej. Popatrzył na Klinsmana.

– Muszę odpocząć. Kontynuujcie, a jak wrócę, przejrzę znaleźiska i zaznajomię wszystkich z tym, co nam grozi.

Miał nadzieję, że nie zorientują się sami. Dla niego było już jasne lub prawie jasne, co tu się wydarzyło przed czterystu laty. Tyle że on miał do dyspozycji wszystkie zebrane dotąd informacje, pozostali – jedynie okrawki. Miał nadzieję, że kolejne teksty tylko jego teorie potwierdzą. A może kompletnie wywrócą je do góry nogami? Nie był pewien.

Spojrzał na Byvneta, aby ten odprowadził go do apartamentu. Zamiast swego sługi zobaczył olbrzymią, wielo barwną żabę stojącą

na zadnich nogach. Była trochę podobna do tych, które służyły mu do pozyskiwania toksyn i innych substancji. Halucynacje, halucynacje, przekonywał sam siebie. Żaba podeszła do niego i razem ruszyli poprzez labirynt katakumb do podziemnej jaskini. Bez żaby nigdy nie odnalazłby drogi. Kiedy zanurzał się w sadzawce pełnej zielonej wody, wydało mu się zastanawiające, że dziwaczna okolica nijak go nie niepokoi. Nie wiedział czemu, ale był zbyt wycieńczony, aby się nad tym zastanawiać.

Rozdział 13

Krwawa noc



Vincent Basky podał Zuzannie igłę z nawleczoną nicią. Oboje mieli ręce pokryte krwią aż do łokci. W głównym salonie willi na parterze, wprost na podłodze lub na zaimprovizowanych łózkach, leżeli ranni. Składane ławy przeniesione z jadalni, pokryte przesiąkniętymi krwią prześcieradłami, służyły za stoły operacyjne.

Zuzanna uniosła na niego pytający wzrok. Był felczerem oddziału, a jego doświadczenie i umiejętności stały na wyższym poziomie niż jakiegokolwiek lekarza, z którym miała w życiu do czynienia. Włączając w to chirurgów.

– Masz, pani, drobniejsze ręce i jesteś dokładniejsza. Rana jest zbyt blisko serca, nie dałbym z tym rady – odpowiedział na jej nieme pytanie.

Nie była to wymówka, jedynie rzeczowe stwierdzenie faktu.

– Dobrze. – Skinęła głową.

Tej nocy zaszyla już więcej ran, niż była w stanie spamiętać. Stojąca obok Monika skontrolowała ilość oleju w lampie i pokiwała głową. Była blada, ale skupiona, gotowa kontynuować. Katrin początkowo też próbowała pomagać, ale zwyczajnie zemdląła, kiedy wyswobodziła rannego Kurzera ze zbroi i wypadły na nią jego wnętrzności. Teraz parzyła we wrzątku wszelkie dodatkowe tkaniny, które mogły nadać się na opatrunki.

Zuzanna pochyliła się nad otwartą klatką piersiową. Tkanki posypane proszkiem hematytowym nie krwawiły już; kiedy przyjrzała się swoim innym zmysłem, mogła dostrzec działanie magii. Nie wiedziała dokładnie, w jaki sposób moc w tym przypadku działała, wystarczyło, że działała.

– Lupę – poprosiła Zuzanna.

Jej drugi asystent, zwalisty Gruber, zareagował błyskawicznie. Jego rany były jedynie powierzchowne, pomagał przy stołach operacyjnych od pierwszych chwil po powrocie. Zuzanna i Basky uważali, aby nie dotykać niczego poza narzędziami chirurgicznymi. Monika, nie czekając na polecenie, przysunęła się ze światłem.

Zuzanna przez chwilę przyglądała się ranie. Coś, być może złamane żebro, być może ostrze, odrobinę pokiereszowało osierdzie, jednak samo serce pomału, bo pomału, ale wciąż biło. Tutaj nie mogła i, na szczęście, nie musiała nic robić. Groźniejsze było to, iż doszło do naruszenia jednej z arterii. Wydało jej się, że w miejscu uszkodzenia widzi powiększającą się kropelkę krwi. Po chwili nabrała pewności – krwi w ranie przybywało. Życie tego człowieka wisiało na włosku. Jeśli Zuzanna czegoś nie wymyśli, i to stosunkowo szybko, nie będzie dla niego nadziei. Z kawałka przerwanej żyły, którą już wcześniej z Baskym pozszywali, wycięła małą łatkę. Palcami pomacała dno miseczki z leczniczą emulsją, miała nadzieję, że cokolwiek tam zostało. Posmarowała skrawek żyły i uszkodzoną arterię, po czym przyłożyła łatkę do rany. Więcej nie była w stanie zrobić. Basky pomógł jej naprostować żebra, jako że wymagało to odrobinę więcej siły, po czym Zuzanna zaczęła zamykać ranę. Kiedy skończyła, ranny wyglądał bardziej na martwego niż żywego.

– Jak umrzesz, to się wścieknę – powiedziała, kiedy został odniesiony w spokojne miejsce.

Ta jedna noc kompletnie wyczerpała ich zgromadzone z trudem i za niewyobrażalną cenę zapasy środków leczniczych.

– Straciliśmy tylko Cavina – oznajmił Basky. – Pozostali mają szansę się wylizać. Co do Eveka – głową wskazał mężczyznę, którego właśnie zoperowała – nie odważyłbym się zgadywać.

Zuzanna pokiwała głową. Cavina nie poznała. Bełt z kuszy zmienił jego twarz i większą część mózgu w czerwono-szarą miazgę.

Nawet pomimo zaciągniętych zasłon było widać, że na dworze świta. Spojrzała na swoje ręce, ubroczone w krwi, zbolące, wyczerpane. Miała wrażenie, jakby wręcz do niej nie należały. Nagle uświadomiła sobie, że na opatrzenie ran wciąż czeka jeden z żołnierzy – Valer. Na jego własny kategoryczny rozkaz miała się nim zająć dopiero po opatrzeniu wszystkich innych.

Zwróciła się ku niemu. Siedział w kącie na krześle, blady, skulony, jakby w każdej chwili miał się zwalić na podłogę.

– Roland! – krzyknęła i rzuciła się ku mężczyźnie.

Valer drgnął i spojrzał na nią zaskoczony.

– Co się dzieje? Usnąłem?

Poczuła wszechogarniającą ulgę, a równocześnie zauważyła rozbawione twarze tych, którzy byli przytomni i zarejestrowali, co się właśnie stało.

– Wydarzyło się coś zabawnego? – warknęła na Grubera, który szczerzył się najbardziej.

– Nie wiedziałem, że pan kapitan ma na imię Roland – odpowiedział z miną niewiniątka.

– Nie znacie imienia swojego dowódcy?

– Dla nas to po prostu kapitan, madame – odparł Gruber z udawaną powagą.

– Albo kapitan Valer – dodał nie mniej rozbawiony Basky.

– Możemy wam jeszcze zdradzić jego przezwisko, ale nie przy nim – dobiegło ją z jednego z łóżek pod ścianą.

– A ty siedź cicho! Nie po to cię zszywałam! Na każdego z was zużyłam medykamentów za grube tysiące – ofuknęła go, ale złość zaczynała już z niej uchodzić. – Wasza kolej, panie kapitanie, wszyscy zostali już wedle waszego rozkazu opatrzeni.

– Oczywiście, madame – usłyszała odpowiedź.

Patrzyła, jak Valer się rozbiera. Powoli i nieporadnie, jakby była to czynność na granicy jego fizycznych możliwości. Ruszyła, żeby mu pomóc. Dzięki przeskoleniu otrzymanemu od ojca na zbrojach знаła się lepiej niż niejeden żołnierz i już dawno zauważyła, że

wyposażenie oddziału Valera jest najlepsze z najlepszych. Zapewniało maksymalną możliwą ochronę przy minimalnym ograniczeniu mobilności. A do tego wszystko było dyskretne, dające się łatwo ukryć pod normalnym ubraniem. Kiedy przez ostatnie kilka godzin wyłuskiwała poranionych mężczyzn z ich odzienia, spodziewała się ciał pokiereszowanych i pociętych nieomal na kawałki, tymczasem w większości przypadków znajdowała stłuczenia oraz sińce w miejscach, gdzie zbroja zdołała zatrzymać ostrze. Z kolei tam, gdzie broń przeciwnika dokonała szkód, rany były płytsze, mniej groźne, niż można się było tego spodziewać.

Zbroja Valera różniła się od pozostałych, ale w tej chwili Zuzanna się nad tym nie głowiła. Czekwała, aż będzie mogła ocenić, jak ciężkie są jego rany. Obawiała się tego, obawiała się, że będą poważne, że ujawni się jakiś groźny krwotok, który go tak bardzo osłabił. Jego śmiertelna bladość przejmowała ją strachem.

– Odsłońcie okna – poprosiła, podczas kiedy Monika z lampą podeszła bliżej.

Zuzanna zaczęła delikatnie badać Valera, koncentrując się na karku, ramionach i plecach. Praktycznie każdy skrawek jego ciała był poznaczony. Siniaki, otłuczenia, otarcia, poparzenia nawet, niewielkie rany. Na szczęście jednak nic nie wyglądało zbyt poważnie.

– Spodnie – rozkazała.

Tym razem nikt się nie roześmiał. Gdyby ktoś się odważył, wygoniłaby wszystkich za drzwi. Nogi wyglądały na mniej pokaleczone, ale rany były głębsze, poważniejsze. Na szczęście nie zagrażały życiu, o ile zostaną należycie opatrzone.

– Na stół, kapitanie.

Valer na nią popatrzył i widać było, że próbuje się wyprostować.

– Czy mam kogoś zawołać do pomocy?

Valer dźwignął się na nogi, ale natychmiast chwycił się oparcia krzesła.

– Chyba tak.

Opatrzyła go najlepiej, jak się dało. Z magicznych środków zostało już jedynie parę gramów hematytowego proszku, ale na szczęście

dla Valera wystarczyło. Na koniec krytycznym okiem oceniła swe dzieło. Kapitan był obandażowany do tego stopnia, że mógłby uchodzić za mumię. Biel bandaży była po oczach w świetle poranka.

– Możesz zgasić – oznajmiła Monice, wskazując na lampę. – A wy, kapitanie, jesteście mniej więcej połatani, tylko na skraju wyczerpania. Dlatego zalecam, abyście w najbliższych dniach bardziej się oszczędzali – oznajmiła nakazującym tonem pielęgniarki.

Valer nic nie odpowiedział, Basky z Gruberem rzucili się ku niemu zaniepokojeni.

– Śpi – uspokoiła ich.

Albo to, albo stracił przytomność. Kiedy go opatrywała, zauważyła, jak bardzo powolny, mozolny wręcz był jego puls, z jak wielkim trudem oddychał. Tego im jednak nie powiedziała. Nie wiedziała, jaka jest przyczyna, co przejmowało ją strachem. Mógł doznać jakichś obrażeń wewnętrznych, wstrząśnienia mózgu... Mogła go stracić, a przecież miała go dla siebie od tak niedawna.

– Przenieście go... – zawahała się.

Zdawała sobie sprawę z tego, że i tak wszyscy już o nich wiedzą. A nawet jeśli nie, miała to w nosie.

– Do mojego łóżka – dokończyła.

Nikt się nie zaśmiał, nikt nie skomentował.

– Tak jest, madame – przytaknął Gruber – tylko znajdziemy coś, na czym możemy go przenieść. Może wprost na tym stole.

– Kto go zastępuje?

– Cuvinan. Porucznik Cuvinan.

Popatrzyła na Basky'ego.

– Przekażcie mu w takim razie, że przejmuje dowodzenie. Jeśli będzie się działo coś istotnego, niech mnie natychmiast poinformuje, będę w swoich pokojach.

Mężczyźni ruszyli, aby wypełnić rozkazy.

– A co z kucharzem? – zapytał jeszcze Gruber.

Zdawali sobie sprawę z tego, że sprzedaje informacje kilku szlacheckim rodom w Grafzaty.

– Niech Cuvinan zadecyduje. Tylko niech mu najpierw każe przygotować menu na cały dzień, z uwzględnieniem tego, że mamy masę rannych.

To powiedziawszy, ruszyła na górę, do swoich komnat. Dotarła do sypialni w momencie, kiedy Gruber i paru innych ludzi układali kapitana na jej łożu. Asystowała im Katrin, która wymieniła jedwabną pościel na zgrzebniejszą, ale wygodniejszą dla rannego. Oczyszczyła też nocny stolik ze szklanych i kryształowych buteleczek i słoiczków z kosmetykami i w ogóle starała się zrobić wszystko, aby damska sypialnia wyszła z żołnierskiej wizyty bez szwanku. Zuzanna zupełnie się tym nie przejmowała.

– Jak już wszyscy pozostali będą obsłużeni, przynieś mi śniadanie – poleciła, zanim Katrin zniknęła z pozostałymi.

Przysunęła fotel do łóżka, zatopiła się w nim i wzięła Rolanda za rękę. Puls wciąż miał słaby, ale przynajmniej nie wydawał się już tak lodowaty w dotyku. Poczowała ulgę. Kiedy odchodził z jej ojcem, bała się, że nigdy więcej go nie ujrzy. Teraz zaczynała sobie pozwalać na odrobinę nadziei.



Obudziła się późnym popołudniem, śniadanie już dawno zostało odniesione i zastąpił je podwieczorek. Katrin nie dawała sobie nic wytłumaczyć i uparcie serwowała jej herbatę, mimo iż Zuzanna wielokrotnie prosiła ją o kawę. Według Katrin dobrze urodzone damy do podwieczorku piły wyłącznie herbatę. Kawa o tej porze dnia gościła się jedynie niższym stanom. Wraz z podwieczorkiem Zuzanna znalazła karteczkę z krótkim raportem. Widniał na niej monogram Basky'ego.

Ranni dochodzą do siebie szybciej, niż się spodziewałem. Wszystko w porządku, tylko Kyryzi jest wciąż śmiertelnie wyczerpany, ale mam nadzieję, że i jemu się poprawi.

Roland jeszcze spał. Wzięła go za rękę. Puls był wciąż powolny i nie całkiem regularny, ale miała wrażenie, że nieco się poprawił.

Już w lepszym humorze napełniła sobie filiżankę. Mimo iż była to jedynie herbata, smakowała całkiem nieźle. Właściwie to była wyśmienita, poprawiła się w myślach Zuzanna. Przed sobą samą nie musiała udawać szlachcianki. Zbyt często musiała się zadowalać samą wodą. A jeśli była przy tym czysta, źródłana, zakrawało to niemal na luksus.

Z filiżanką w ręce powędrowała wzrokiem znów ku Rolandowi. Podobał się jej. Uważała go za jednego z najpiękniejszych mężczyzn, jakich w życiu spotkała. Zakręciła filiżanką i przez chwilę przyglądała się wirującej powierzchni herbaty. Jej wyobrażenie o męskim pięknie znacznie odbiegało od normy, to musiała przyznać. Jednak pociągało ją w nim również wiele innych rzeczy. Uśmiechnęła się nieznacznie sama do siebie. Teraz, we śnie, nie wyglądał na tak zasadniczego i surowego, choć nie miała złudzeń. Roland Valer był twardym człowiekiem. Jednym z najlepszych oficerów księcia, żołnierzem, zabójcą... A przecież kryła się w nim również łaskawość. Zuzanna spotkała mnóstwo niebezpiecznych mężczyzn i żaden z nich nie miał w sobie tego, co odnalazła w Rolandzie. A do tego seks z nim...

– Czemu się tak uśmiechasz?

Złękła się i miała nadzieję, że się przy tym nie zaczerwieniła.

– Ranni dochodzą do siebie, to chyba warte uśmiechu, czyż nie?

Leżał tak samo jak jeszcze przed chwilą, jedynie szeroko otworzył oczy. Twarz pokrywał mu nieznaczny cień zarostu.

– To z pewnością, ale to był taki szczególny uśmiech.

– Nie zaprzeczam.

Valer uniósł się na łokciach.

– Czuję się, jakby mnie ktoś przemielił w żarnach. Ciało słucha mnie niechętnie i na pół gwizdka.

Nalała herbaty do drugiej filiżanki. Nad czymś chwilę pomyślała, po czym upiła z niej połowę i podała naczynie Valerowi.

– Zgaduję, że chce ci się pić. Pomóc ci?

– Z tym sam sobie poradzę. – Przybrał niezadowolony wyraz twarzy.

Podawała mu filiżankę i przyglądała się, jak ostrożnie wyciąga rękę, jak trzyma naczynie, unosi do ust. Trzęsała mu się dłoń i widać było, że tylko dzięki największemu wysiłkowi udało mu się nic nie rozlać.

– Dolewkę? – spytała.

Valer popatrzył na nią badawczo.

– Myślałaś, że rozleję.

– Owszem – nie zaprotestowała. – Chcesz jeszcze?

– Chciałbym się napić, ale wolałbym jakiś większy kubek.

Zuzanna zadzwoniła po Katrin.

– Dla kapitana menu dla ciężko rannych i do picia, co sobie zażyczy.

– Od kiedy mi wybierasz, co mam jeść? – Rzucił jej świdrujące spojrzenie.

Katrin zadrgały kąciki ust, ale na więcej sobie nie pozwoliła. Obróciła się i zniknęła za drzwiami.

– Od momentu, kiedy cię przynieśli do mojego łóżka, aż do momentu, kiedy uznam cię za uzdrowionego.

– W porządku, ustalone. – Wzruszył ramionami. – Pieskie żarcie to niewielka cena za znalezienie się w twoim łóżku.

Za drzwiami rozległo się ciche parsknięcie.

– Podśluchiwała. – Valer był wyraźnie zaskoczony.

– A co ty myślałaś? Takiej konwersacji żadna by sobie nie odpuściła.

Nachyliła się, chcąc go pocałować, ale był szybszy. Złapał ją i przyciągnął do siebie.

– Mówiłeś, że ciało słucha cię niechętnie, ale wygląda na to, że masz więcej sił, niż przypuszczałam – powiedziała Zuzanna, kiedy ją puścił. O wiele za szybko, jak na jej gust.

Valer pokręcił głową.

– Musiałem wykorzystać sytuację. A co, gdybyś nie dała się uwieść? – Na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu.

Jedynie cień, wciąż brakowało mu sił, tak jak się spodziewała. Na schodach rozległ się odgłos kroków i chwilę później w drzwiach pojawiła się Katrin z posiłkiem na tacy, tuż za nią Cuvinan i Basky.

Pomiędzy rosołem z kury, gotowaną rybą w lekkostrawnym sosie i dzbanem piwa Valer wysłuchał sprawozdania od podwładnych. Nie przerywał, o nic nie dopytywał, jedynie cierpliwie słuchał. Wieści brzmiały nader pozytywnie. Śledztwo w sprawie zniszczenia majątku Parleurów gubernator rozpoczął dopiero po południu, kiedy rozniosło się po mieście, że w posiadłości nikogo nie ma i trwa plądrowanie. Służby i personelu, ma się rozumieć, już dawno nie dało się uświadczyc.

– Zakładam, że to właśnie służba wyniosła pieniądze i wszystkie drogocenne przedmioty, które da się łatwo spieniężyć – podsumował raport Cuvinan.

– Wydawali mi się zbyt przerażeni, żeby mieć do tego głowę – zauważył Valer i pociągnął piwa.

Trzymał kufel obiema rękami i za każdym razem pozwalał sobie jedynie na niewielki łyceczek, jakby się bał, że nie zdoła utrzymać naczynia zbyt długo.

– Mogli wziąć przykład z pierwszych przygodnych rabusiów – odparł sucho Cuvinan.

– Pewnie tak właśnie było – zakończył temat Valer. – A co z Gewnerem?

– Jak tylko skończył z gotowaniem, poszedł przekazać informacje swoim pozostałym pracodawcom. Oczywiście z ogonem. Upewniliśmy się, że umieścił raporty w tych samych skrzynkach kontaktowych, co zwykle, i zamieniliśmy wszystkie na spreparowane przez nas. A ze względu na to, że na jakiś czas będzie musiał przestawić się na gotowanie większej ilości ściśle określonych dań, odpałem mu małą premię.

– Dobra robota – ocenił Valer.

– Panowie, koniec audiencji – Zuzanna weszła im w słowo. – Wszystko, co najważniejsze, już omówiliście, kapitan musi odpocząć.

Valer popatrzył na nią, ale bez złości czy rozdrażnienia, wyglądał wręcz na wdzięcznego. Zanim jeszcze zamknęły się za nimi drzwi, już spał. Zuzanna przykryła go i sprawdziła, czy oddycha normalnie, po czym zabrała tacę i poszła sprawdzić, jak się mają pozostali ranni. Wszyscy wydawali się dochodzić do siebie w zaskakującym

tempie. Kombinacja magicznych i tradycyjnych środków leczniczych przynosiła znakomite rezultaty. Jedynie Kyryzi wciąż pozostawał w śpiączce, ale nawet jego rany zaczynały się już goić.

Rozdział 14

Filozof w morzu



Pałac Parleura opuściłem już o świcie, niezauważony przez nikogo. Bramy dla służby nawet nie próbowałem zamykać, wykopnąłem ją naprawdę od serca. Bez zwłoki opuściłem dzielnicę luksusową i ruszyłem na poszukiwanie otwartej jadalni, gdzie mógłbym dobrze zjeść i się napić. Po raz pierwszy od dłuższego czasu czułem wyraźny głód i pragnienie i nie było to szczególnie nieprzyjemne. Kilka ulic dalej zauważyłem, że sporadyczni pierwsi przechodnie poświęcają mi dużo więcej uwagi, niż mi to odpowiadało. Nie byłem pewien dlaczego. Stanowczo wolałbym nie rzucać się nadmiernie w oczy. Aż nagle przypomniało mi się, jak złapałem swoje odbicie w jednym ze zwierciadeł jeszcze w posiadłości markiza. Prawdopodobnie niepokoiła ich krew i wszystko pozostałe, czym byłem oblepiony. Musiałem się umyć i wyczyścić ubranie.

Stałem na jednym ze skrzyżowań. Jacyś ludzie niosący wodę wyszli wprost na mnie, rzucili cebry na ziemię i z krzykiem uciekli. Robiło się już widno i poważnie wątpiłem, czy wpuszcziliby mnie do łaźni bez zadawania pytań. Ruszyłem nad morze, starając się tam dotrzeć, zanim się całkiem rozwidni. Znalazłem miejsce, gdzie między skałami dało się dojść do skrawków piaszczystej plaży. Nawet stąd wyruszali w morze na mniejszych łodziach rybacy, co można było poznać po przykutych do skał metalowych obręczach,

służących do cumowania. Teraz było pusto, wszyscy już wypłynęli w połów.

Siadłem na linii piasku i wody, gdzieś za moimi plecami musiało właśnie wyjść słońce, grzbiety fal w oddali nabrały złocistego blasku. Morze było chłodne, nie chciało mi się do niego wchodzić. Zamiast tego pozwalałem, aby fale i przypyływ powoli wybierały spode mnie piasek. Chwilę później woda sięgała mi już do pasa, a co poniektóre fale opryskiwały twarz słonymi kropelkami. Nie było to przyjemne, ale nie zależało mi. Mało na czym mi w ogóle zależy.

Zastanawiałem się, na ile udało mi się zrealizować to, z czym tutaj przybyłem. Pomogłem Zuzannie, to na pewno. Z tym czułem się dobrze. Do tego zdobyłem masę informacji, które spodobają się księciu. To była zapewne dobra wiadomość, choć mnie samemu nie sprawiała żadnej przyjemności. Może pomogą też i Zuzannie. Przeżyć. Z pewnością, może... Może. Wszystko jedno, ile się będę starał. Dopóki pozostaje na terytorium wroga, dopóki bierze udział w tej nierównej walce, moja pomoc nie może przecież wystarczyć. Czeka ją śmierć.

Wszyscy z pierwszej linii poumierają, oprócz mnie. Bo mnie nie zależy.

Cienie powoli się skracają, czułem, jak słońce zaczyna mi ogrzewać czubek głowy. Uświadomiłem sobie, że przecież wieczorem miałem na głowie hełm. Kiedy go straciłem, nie miałem pojęcia. Woda sięgała mi już do piersi, ale tymczasem wygładziły się fale.

Wyczułem, że ktoś się zbliża, zanim jeszcze usłyszałem kroki czy dostrzegłem cień. Stał mi za plecami, ciepłko z mojej głowy znikło.

– Co tu robisz? – zapytał.

Stary, schrypnięty głos kogoś, kto rano nie ma nic innego do roboty, niż włóczyć się po plaży.

– Zabierasz mi słońce, spadaj – zażądałem.

Bo cię zabiję, dodałem w myśli całkiem serio. Przesunął się, znów poczułem słoneczny żar. Żar, jedna z ostatnich rzeczy, którą

odczuwam, kiedy to nadchodzi, kiedy świat się SPŁASZCZA, ROZMYWA...

– Co tu robisz?

No co za menda. Natarczywy, wynurzyło mi się z pamięci. Natarczywa menda. Jak go zwał, tak go zwał. Ważne, że mi słońce odsłonił.

– Obmywam się.

– Z czego? Ze złych uczynków? – zarechotał.

– Nie – odpowiedziałem – z krwi.

Ze złych uczynków nie można się było oczyścić. Co najwyżej z krwi. Ale i tak mi na tym nie zależało. Już wiedziałem, co teraz uczynię, i zrobiło mi się z tego powodu przyjemnie.

– Żartowniś z ciebie, co nie?

– Wcale.

Jeszcze nikt mnie w życiu nie wziął za żartownisia. Zaczynał mi naprawdę grać na nerwach.

– Ale wygadany to ty nie jesteś.

– Nie jestem.

Chwilę się zastanawiałem, co mi przyjdzie łatwiej. Powiedzieć parę słów czy go po prostu zatłuc. Dzieliło mnie od tego może jedno zdanie, nie więcej.

– Jeszcze jedno słowo i cię zabiję.

Nabrał powietrza i ta chwilowo zaspokojona część mnie, nasycona krwią i zabijaniem, drgnęła. Jak ktoś, kto po sutym obiedzie zdecydował właśnie, że znajdzie jeszcze miejsce na mały deser. Widocznie wyczuł, że pozostanie tutaj może nie być dla niego najzdrowsze, i wreszcie zostawił mnie w spokoju.

Wróciłem do swoich myśli. Jak tu wszystko pokończę, posprawdzam wszystkie sidła, które zastawiłem, aby złapać trop Goruku, a potem odejdę na Pustynię Gutawską. Lubię ciepło, żar słońca, a na Gutawskiej jest tak gorąco, że trupy nie rozkładają się, tylko wysychają na mumie. Już raz ją przemierzyłem, ale są tam takie miejsca, z których nawet ja nie zdołałbym się wydostać. Wiatr odsłania tam kości pradawnych jaszczurów, które niegdyś rządziły tym światem, nic żywego nie zdoła wytrzymać w pobliżu.

To postanowienie napełniło mnie spokojem i zadowoleniem. Dziś miałem dobry dzień. W odróżnieniu od mnóstwa innych.

Słońce paliło, zbliżało się do zenitu. Jeśli nie oczyściło mnie kilkugodzinne moczenie w morskiej wodzie, to nic mnie nie domyje. Wstałem i poszedłem odszukać człowieka, który ściągał pieniądze od zbieraczy haraczu, a którego imię tak chętnie zdradził mi Elest Vyet.

Rozdział 15

Postęp



Rzecz, dawniej wielki mistrz klanu Maleriat Glen Hagnari, wróciła do swojego ulubionego miejsca, koncentrując większą część swej masy w wysoko sklepionej sali o ścianach z palonej cegły. Schodziło się tu wiele kanałów burzowych odprowadzających wodę z centralnej części miasta. Rzecz traktowała ten centralny punkt jako coś na kształt swojej siedziby. Częściowo dlatego, iż miała tu wystarczająco dużo miejsca, aby przybrać najbardziej odpowiadającą jej formę, a częściowo dlatego, że coś ją tutaj przyciągało. Było to bardzo łagodne przyciąganie, poczucie, jakby to miejsce było znajome, ale nie poświęcała temu zbyt wiele uwagi. Tak naprawdę wolałaby spędzać czas gdzieś głębiej, na jeszcze niższym poziomie kanalizacji, ale był on obecnie zalany wodą.

Główną część swego jestestwa, w której przechowywała te najcenniejsze, najbardziej złożone wzory, skoncentrowała w samym środku wolnej przestrzeni w dwumetrową kolumnę przypominającą nieco topniejącą świecę. Reszta jej ciała spływała do grubego kobierca, który potem rozpościerał się dalej, aż do wylotów zbiegających się tu tuneli. Kobierzec nieustannie pulsował wyłaniającymi się zeń kształtami szczurzych, psich i owadzich ciał. Im dalej od centrum, tym kobierzec stawał się cieńszy, aż do krawędzi, gdzie przechodził w błonę, na której powierzchni chwiały się wystające szczurze oczy i nosy. Błonę przecinała płatanina żyłek,

którymi Rzecz odprowadzała wchłoniętą materię z peryferii do swego centrum. Jej masa przekraczała już tysiąc kilogramów, jednak zdawała sobie sprawę z tego, że przed bezpośrednim, odpowiednio przeprowadzonym atakiem wciąż nie potrafiłaby się obronić. Im była większa, tym więcej pojmowała i tym lepiej rozumiała niebezpieczeństwa, jakie mogły jej grozić.

Glen Hagnari był czarodziejem, wielkim mistrzem. Potrafiła odróżnić czarodziejów od normalnych ludzi podczas ich dekompozycji i absorpcji, SMAKOWALI inaczej, zawierali w sobie więcej wzorów, które silnie Rzecz przyciągały. Na razie jednak nie zdołała się jeszcze z nimi zaznajomić dostatecznie, nie potrafiła ich dobrze zrozumieć ani kopiować.

Gdzieś na granicy obszaru, który uznawała za swoje terytorium, zarejestrowała ruch. Nie skupiała się na tym, który ze zmysłów ją ostrzegł, po prostu wysłała w tamtym kierunku trzy własne szczury. Pomimo iż były większe i inteligentniejsze od normalnych, w pełni respektowały jej zwierzchność. Wzór poddańczości wypożyczyła od psów, po czym wszczepiła go szczurom, które napełniła przeświadczeniem, że jest wielokrotnie potężniejsza i silniejsza niż one same. Od czasu kiedy zetknęła się z ludzkimi wzorami i zaczęła je w miarę dobrze rozumieć, podporządkowanie prostszych wzorów nie sprawiało jej żadnych trudności. Potrzebowała jednak znacznie więcej ludzkich wzorów, ludzie w trakcie ich pozyskiwania umierali zbyt szybko. Dodatkowo zaczynała mieć nieprzyjemne wrażenie, że jeśli tych bardziej złożonych wzorów od czasu do czasu nie przeczyta na nowo, ich detale zaczynają się rozmywać i nie potrafi ich potem równie dobrze replikować. Być może problem dałoby się rozstrzygnąć poprzez nieprzerwane kopiowanie. Odłożyła ten pomysł na później i skupiła się na realnym świecie wokół.

Jej zwiadowcy odkryli grupę dzikich szczurów. Rzecz to zaskoczyło, nie spodziewała się, że w kanałach pozostało jeszcze cokolwiek żywego. Chyba że ona sama była żywa. Chyba tak. Raczej tak, zdecydowała.

Wzrok i węch jej szczurów przekazały Rzeczy informacje o zdobyczy. *Zagońcie je tutaj*– przykazała im. Zwiększona masa ciała

niosła ze sobą jeszcze jedną korzyść – zdolność wyczuwania i wchłaniania tej części otaczającego ją świata, którą Glen Hagnari nazywał mocą. Słowo nic Rzeczy nie mówiło, jednak sama zdolność sprawiała jej wyraźną przyjemność i dodatkowo ją odżywiała. Musi się dalej rozwijać, musi znów przejść na wyższy poziom świadomości, jak to już kilkakrotnie miało miejsce. I kiedy ten moment nadejdzie, a wiedziała, że prędzej czy później tak się stanie, przestanie się ukrywać i wreszcie rozprawi się z czarodziejami. Ta myśl była bardzo wyrazista, Rzecz widziała ją wręcz przed sobą jako rzeźbę z jaśniejącego kryształu.

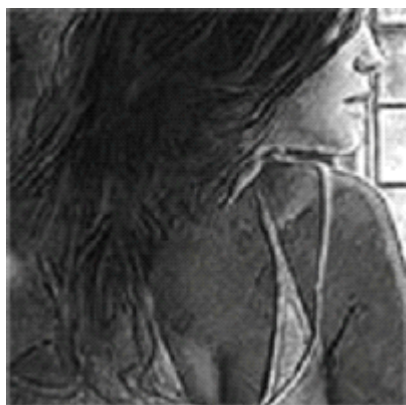
Czarodzieje... Nienawidziła ich. Rozprawi się z nimi, z całą pewnością.

Grupa piszczących szczurów wybiegła z jednego z kanałów. Powierzchnia kobierca uniosła się i błyskawicznie je pochłonęła. To były prościutkie wzory, jednak ich czytanie i kopiowanie w dalszym ciągu sprawiała jej przyjemność.

Rzecz ruszyła przed siebie. Potrzebowała więcej żywych istot do kopiowania, więcej wzorów, więcej przyjemności. Więcej ciała, więcej mocy.

Rozdział 16

Niestandardowa opieka



Łazienka Zuzanny, jak to było w zwyczaju wśród wyższych sfer w Grafzaty, należała do najbardziej luksusowych pomieszczeń w posiadłości. Tylko najbogatsza szlachta i wyjątkowo majątni kupcy mogli sobie pozwolić na doskonale wypolerowany marmur i granit w całej posiadłości, jednak na salonach kąpielowych i prywatnych łaźniach nie oszczędzał nikt, a wiele rodów wręcz się na ich poczet zadłużyło. Valer, widząc wystrój, pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Już pralnia w suterenie, w której my się myjemy, wydawała mi się zbyt luksusowa, ale to tutaj stoi na równi z pałacem Parleura.

Słyszając imię markiza, Zuzanna zacisnęła usta, ale nie powiedziała nic. Valer przekroczył ostrożnie marmurowy próg, dokuśtykał do mahoniowego, lakowanego fotelika i zaczął się mozolnie wyplątywać z opatrunków. Zuzanna w tym czasie rozpałała dwie olejowe lampy, których złoty blask dopełnił białe światło bijące z zatkniętego w sufit kwarcu.

– To zakłęcie? – Valer wskazał ku górze, po czym siadł i zaczął odwijać bandaż z nogi.

– Jesteś jedynym człowiekiem, który mówi o zaklęciach, jakby to było coś normalnego, mimo iż nie jesteś czarodziejem – zauważyła Zuzanna. Oparła się o ścianę i przyglądała, jak walczy z opatrunkiem.

– Przywykłem – odpowiedział.

– To nie zakłęcie, tylko ogromny kryształ, który wystaje ponad dach i stamtąd sprowadza światło.

– Sprytne. Musiało sporo kosztować – zauważył Valer.

Z ulgą podniósł się wreszcie i rozejrzał dokoła. Dość skromna bielizna zakrywała jedynie tyle ciała, ile było naprawdę niezbędne. Zuzanna zauważyła, że wyglądał jeszcze gorzej, niż kiedy go opatrywała. Oparzenia, otłuczenia i rany sprawiały, że ciało mieniło mu się kilkoma różnymi kolorami. Właściwie to miała problem ze znalezieniem skrawka, który miałby swoją normalną, przyrodzoną barwę.

– Sztylet możesz położyć tam – wskazała – łatwo sięgniesz spod prysznica.

– Teraz to ty mnie zaskakujesz. Skąd wiesz, czego szukam?

– Zapominasz, kto jest moim ojcem – przypomniała.

A i poznałam już paru takich, co też nigdy nie rozstawali się z bronią, dodała w myśli. Niektórzy z nich byli martwi, z innymi się pożegnała.

– Z jednego kurka leci ciepła woda, z drugiego zimna. To już musisz sobie sam wymieszać. Tylko się nie poparz, ta ciepła jest aż za gorąca. To też nie jest zakłęcie, na dachu jest pomalowany na czarno zbiornik, wodę nagrzewa słońce.

– Niebywałe – wymamrotał Valer.

Odłożył sztylet do wnęki w marmurowej ścianie i zatrzymał się.

– Mam się rozebrać przed tobą? – Spojrzał na Zuzannę.

Gdyby go nie znała, mogłaby nawet w tę wstydlivość uwierzyć.

– Tamtej nocy nie wydawałeś się taki nieśmiały – zauważyła.

Nie wyglądało na to, aby jej uwaga go uspokoiła. Wręcz przeciwnie.

– Ja już paru mężczyzn nago widziałam – przypomniała. – Traktuj to po prostu jako kontrolę lekarską. Chcę ocenić wyniki swojej pracy i sprawdzić, czy czegoś nie ominęłam.

– Niech będzie. – Wzruszył zrezygnowany ramionami i po chwili siłowania pożegnał się z bielizną.

– Ominęłam – zauważyła z niezadowoleniem. Po wewnętrznej stronie uda, praktycznie w pachwinie, widniała paskudna szrama, której wcześniej nie zauważyła.

– Zadowolona? – Popatrzył na nią.

– Nie chciałam, żeby twoi ludzie zobaczyli, że nie masz się czym chwalić, dlatego nie chciałam cię całkiem przed nimi obnażyć.

– O ile dobrze sobie przypominam, nie składałaś skarg. – Uśmiechnął się do niej półgębkiem. – Musiałem wręcz tłumić twoje krzyki.

Powiedział to z tak poważnym wyrazem twarzy, że nieomal się roześmiała. Przyglądała się, jak ostrożnie odkręca wodę, wchodzi pod strumień i zaczyna się myć.

– A ta frywolna pogawędka to część twojej terapii? – zabulgotał spod prysznic.

– Nie. Możesz to uznać za zapłatę za zapaskudzone łóżko – odpowiedziała. – Ciekawa jestem, czy wystarczy zmienić pościel, czy będę musiała wszystko wyrzucić.

Znowu dobiegło ją bulgotanie. Wydało jej się, że próbował zwalić winę na tego, kto go opatrywał. Wyszła z ubrania i bielizny i sama weszła pod prysznic.

– Daj mi tę gąbkę. Będziesz się tak mył całe lata, a i tak dalej będziesz uświniony.

Posłuchał. Nie spieszyła się, pozwalała, aby woda dobrze zmieszała się z wonnym mydłem, po czym delikatnie i metodycznie czyściła każdy skrawek jego ciała. Valer milczał, ale czuła, jak pod jej dotykiem napięte mięśnie przynajmniej częściowo się rozluźniają.

– Gotowe – powiedziała wreszcie.

– Nie lubię być nikomu nic dłużny – powiedział, po czym wziął od niej mydło.

– Ja jeszcze używałam gąbki – przypomniała mu po chwili.

– Nie potrzebuję jej.

Przymknęła oczy. Czuła, jak stopniowo ubywa ciepłej wody, aż została tylko letnia. Wyszli spod prysznic, Valer sięgnął po szlafroki.

– Nie, jeszcze nie. Jesteś dobrze rozgrzany, połóż się na ławie. – Wskazała i sięgnęła po olejek do masażu.

Znów posłuchał bez dowcipkowania. W jego ruchach wciąż dostrzegła zmęczenie. Pracowała nad jego napiętymi mięśniami tak długo, aż się upewniła, że wreszcie się rozluźniają. Światło spływające z krzemienia zaczynało powoli przygasać, nadciągał wieczór.

– Obróć się na plecy – nakazała mu.

Spał, zanim skończyła.

– W sumie mogłabym się poczuć urażona. Wielu mężczyzn bardzo by sobie ceniło, gdybym poświęciła im tyle uwagi – powiedziała do siebie rozbawiona.

Wskoczyła na ławę i przyklękła obok niego. Brzuch, nawet po gorącym prysznicu, wciąż miał jak kamień. Oddychał płytko, przypuszczała, że powodem są pogruchothane żebra. Nagle poczuła na sobie jego dłonie.

– Długo już nie śpisz?

Uśmiechnął się bez słowa i posunął ręce nieco wyżej.

– Złapałeś mnie w nieco delikatnej pozycji. Która mi się bardzo podoba – dodała z zalotnym uśmiechem.

Masaż rozgrzał i ją, czuła, jakby cała stała się samym ciepłem. Wzrok Valera powędrował w górę, spotkał się z jej oczami.

– Niedługo. Przebudziłem się w raju, ale niestety, nie będę w stanie tego wykorzystać. Ledwo się mogę podnieść, nie mówiąc o czymkolwiek innym.

Zuzanna uśmiechnęła się.

– Powiedziałabym, że to zależy nie tylko od ciebie.



Dużo później siedzieli oboje na otomanie. Zuzanna opierała się plecami o pierś Valera, we włosach czuła jego oddech. W jednej ręce trzymała kieliszek lekkiego, białego wina, drugą położyła Rolandowi na udzie. Mrok rozświetlała jedynie samotna świeczka. Zuzanna

czuła się... bezpiecznie. Po raz pierwszy od bardzo dawna, odkąd ruszyła we własną drogę.

– Myślałam, że już nie wrócisz, że cię więcej nie zobaczę – powiedziała w ciemność.

– Czemu?

– Ludzie, którzy wyruszają gdziekolwiek z moim ojcem, rzadko kiedy wracają.

Valer się nad tym zastanowił. Nie był zaskoczony.

– Bakly, twój ojciec... – zaczął, ale urwał, nie wiedząc, jak kontynuować. – Wszystko to wspominam jak jakiś sen, koszmar... Właściwie to nawet nie pojmuję, co ja tam widziałem. W jednej chwili miał te dwa starodawnie wyglądające miecze, w następnej bojowe młoty, jeszcze w następnej znów coś innego. Mogło mi się coś zwidzieć? Wtedy mnie to nawet nie zastanowiło, nie było na to czasu.

– Nie. To, co widziałeś, było prawdziwe. Mój ojciec jest czarodziejem – odpowiedziała Zuzanna i odchyliła głowę do tyłu tak, aby dotykać Valera jak największą powierzchnią ciała. – Z potężnym talentem do manipulowania mocą, jednak sam się przed sobą do tego nie przyznaje i przez całe życie używa jej tylko podświadomie, instynktownie.

Valer naciągnął na nich cienki koc. Nawet teraz, kiedy grzało go ciepło jej ciała, wstrząsały nim dreszcze.

– Tam, mam na myśli w pałacu Parleura... jeszcze nigdy nie walczyłem w taki sposób. – Znów zamilkł, szukając właściwych słów. – Przeżyłem mnóstwo potyczek, paskudnych bijatyk, w których skończyło mizernie wielu zacnych ludzi. Ale to było coś zupełnie innego. O wiele, wiele bardziej szalonego. Nie mieliśmy prawa tego przeżyć. Jakbym nagle stał się silniejszy, szybszy, dokładniejszy, lepiej przygotowany. Jakbym nagle stał się lepszym szermierzem, lepszym zapaśnikiem, lepszym wojownikiem w każdym aspekcie. Jakbym dał się ponieść potężnej fali. Myślisz, że to przez tę magię?

Zuzanna pokręciła głową. Czuła jego rękę na swoim brzuchu, dotyk jego twarzy na swojej szyi i uświadomiła sobie, że sama się do siebie uśmiecha.

– Nie wydaje mi się – odpowiedziała po długiej przerwie na jego pytanie. – Według mnie daliście się po prostu ponieść przykładowi. Kiedy ludzie zobaczą, że coś jest możliwe, że czegoś można dokonać, po prostu to robią. A wyście zobaczyli, jak łatwo jest...

– ...jak łatwo jest zabijać. Przebić te warstwy stali i tkanek, więc próbowaliśmy naśladować w tym twojego ojca – dokończył za nią cicho. – Być jak on.

Próbował pozbyć się wspomnień z ataku na pałac, ale wciąż nie był w stanie, spływały na niego lawiną splątanych, przemieszanych obrazów.

– Obaj z Kyryzim byliście na granicy swoich fizycznych możliwości, być może nawet przesunęliście ją.

Valer skinął głową. Wziął z jej ręki kieliszek z winem, upił łyk.

– Pewnie tak właśnie było – zgodził się. – Wciąż się czuję osłabiony, nie w formie. No ale za to trafiła mi się mocno niestandardowa opieka. – Ukąsił ją lekko w szyję. – Bo nie powiesz chyba, że to wszystko była jedynie część kuracji?

– Jeśli tak – uśmiechnęła się i wzięła z powrotem kieliszek – to jesteście mi, żołnierzu, dłużni. Solidnie.

– Kyryzi – zreflektował się Valer. – Nim nikt się tak nie opiekuje. Musimy sprawdzić, w jakim jest stanie.

– Przed południem do niego zajrzałam. Przygotowałam mu wywar wzmacniający. A i odnoszę wrażenie, że dostała mu się kuracja wcale nie gorsza niż twoja. – Uśmiechnęła się.

– Jak to? – Valer nie zrozumiał.

– Nie śledzisz chyba prywatnego życia swoich podwładnych, co?

– Nie. A czemu?

– Może powinienes. To są łakome kąski dla wielu różnych kobiet. A Kyryzi bardzo się podoba Monice.

– Łakome kąski, powiadasz. – Zamyślił się na chwilę. – Jak przeżyją, to może i masz rację.

Poczuła, jak Valer zapada w sen, zanim jeszcze osunęło się z niej jego ramię. Wstała, przykryła go dodatkowym kocem i sama ułożyła się obok, dotykając go jedną ręką. Przed zaśnięciem rozmyślała

chwile o tym, jak istotny wydawał się ich seks. Miała wrażenie, że dopiero po tym zaczęły Rolandowi nareszcie wracać siły.

Rozdział 17

Profesjonalista



Keshua wstał i zaczął się przeciągać. Już sam fakt, że pozwolił sobie na to, aby mu ścierpły mięśnie, wskazywał, iż podświadomie zdecydował już, że dziś nie zaatakuje. Ostatnia dogodna okazja, którą niestety, przepuścił, nadarzyła się dwa dni temu. Od tamtej pory w siedzibie baronówny Münchauzen ciągle działo się coś, co zakłócało normalny rytm dnia. Tymczasem jemu potrzebna była poprzednia ustalona rutyna. Jednak przed dwoma dniami wciąż jeszcze nie był gotów, wciąż nie dysponował wszystkimi niezbędnymi informacjami. Zdusił w sobie poczucie niezadowolenia. W takich akcjach wybranie właściwego momentu było absolutnie kluczowe. Niepotrzebny pośpiech stanowiłby wielki błąd.

Skontrolował wzrokiem rozłożony ekwipunek. Linka z ludzkich włosów zakończona kotwiczką, stalowe kolce do wspinaczki zakładane na buty, mały łuk refleksyjny i pięć strzał, miecz, nóż w pochwie. Do tego rzeczy mniej już typowe: olejowa lampa górnicza i kasetka ze składnikami chemicznymi. Mimo iż nie było to konieczne, jutro przygotuje truciznę na nowo. Ostrożnie skontrolował ostrze noża. Ciemna warstwa pokrywająca je do dwóch trzecich długości była wyraźnie widoczna. Starł ją na sucho, potem jeszcze raz wodą z manierki, aż wreszcie na koniec opalił ostrze nad płomieniem lampy, tak aby nie pozostał na nim żaden ślad substancji organicznych.

Wszystkie przedmioty ułożył na derce, którą pieczołowicie zrolował, zawiązał oba końce i ukrył między krokwiemi. Było to lepsze rozwiązanie, niż nosić wszystko ze sobą przez cały czas. Pomimo długich dni oczekiwania nadal nie zamierzał zmieniać swego początkowego planu. Najpierw zabije baronównę, brutalnie, tak aby jak najmocniej wstrząsnąć Koniaszem. W tym celu przygotował szczególnie zjadłą truciznę. Początkowo za podstawę służyła mu substancja z wnętrzości najeżki. Była to toksyna stopniowo paralizująca mięśnie, sprawiająca, że człowiek dusił się, będąc wciąż w pełni świadomym. Jednak w przypadku tego konkretnego zadania jej działanie było zbyt szybkie. Dlatego tym razem użył substancji pozyskanej ze specyficznego gatunku małży występujących w tych samych rejonach, co najeżka. Do niej dodał specyfik wspomagający, do pewnego stopnia, oddychanie. Chodziło o przedłużenie agonii, choć śmierć była nieunikniona. Na tę truciznę nie istniało żadne antidotum. W efekcie jednak ofiara umierała godzinami, w pełni świadoma, zdolna opisywać, co się z nią działo. Gdyby trafiła się taka możliwość, Keshua miał w zanadrzu jeszcze jeden trik – chciał natrzeć twarz baronówny maścią przygotowaną z soku z drzewa *mancheneel*, najbardziej trującego drzewa na świecie. Samo zaśnięcie pod jego koroną oznaczało śmierć. Maść wywoływała natychmiast pęcherze i powodowała ból, jakby skórę palono żywym ogniem. Długotrwała, pełna cierpienia agonია osoby, którą Koniasz miał za zadanie się opiekować, musi wyprowadzić go z równowagi, obnażyć słabość.

Keshua skontrolował, czy zrolowanej derki nie widać pod żadnym kątem, i opuścił poddasze. Zszedł po schodach i wtopił się w uliczny tłum. Kiedy przechodząc przez targ, mijał kram rzeźnika, jeszcze raz nieznacznym ruchem otarł ostrze noża o wiszący kawał wędzonego mięsa. Nigdy nie wiadomo, coś tam jeszcze mogło zostać.

Rozdział 18

Dobrym słowem i toporem



Buddy Doughy, według Vyeta ten, który wybierał z banku haracz zebrany przez zbirów klanu, mieszkał w dzielnicy zamożnych kupców i rzemieślników. Wystarczyło popatrzeć na masywny mur i rozmiar jego posiadłości, aby uświadomić sobie dwie rzeczy: Doughy jest gościem przy kasie, ale nie chce, aby było o tym wiadomo.

Jego imię nie brzmiało dla mnie całkowicie obco. Mówiło się o nim jako o człowieku, który prowadził interesy na samych obrzeżach prawa, ale równocześnie sumiennie płacił wszystkie podatki. Co miało sens, jeśli zależało mu na świętym spokoju. Od nielegalnych interesów trzymał się z daleka.

Brama wyglądała zwyczajnie, z porządnymi dębowymi dech zaimpregnowanych olejem i okutych czarnym żelazem. Żadnych zbytecznych ozdób, ot, spełniała swój cel.

Dzienny gorąc już dawno mnie osuszył, pozostała jedynie sól w fałdach ubrania. Stałem w cieniu arkady na najbliższym skrzyżowaniu, skąd miałem dobry widok na bramę. Tuż obok na ścianie wisiał plakat zapraszający na nadchodzącą walkę w arenie. Olbrzymi goryl pochylał się nad małym, tłustym facecikiem. To pewnie miałem być ja. Rzuciłem okiem na tekst ogłoszenia. *Wyjątkowa walka! Imperialny czempion w Grafzaty! Otwarte zakłady!*

Gapienie się na ulicę było jedynie odrobinę ciekawsze niż na plakat. W upale mało kto szwendał się po dworze. Wreszcie pojawił się ktoś zmierzający do Doughy'ego. Stał pod bramą i załomotał kołatką. Bez wielkiej zwłoki otworzył mu łysy gość opalony na brązowo, w kaftanie narzuconym na gołe ciało. Na przedramionach miał skórzane, nabijane ćwiekami ochraniacze, za pasem popularny navajo. Sądząc po długości noża, musiał cierpieć z powodu rozmiaru siurka. Bez słowa usunął się na bok i wpuścił tamtego do środka.

Kolejnym przybyszem był wysuszony słońcem chudzielec z wózkiem ciągniętym przez osła i załadowanym narzędziami, które sugerowały, że mógł tu dbać o ogród. Potem przez dłuższy czas nie działo się nic. Ulica promieniowała żarem, ludzie pochowali się, gdzie tylko mogli znaleźć choć trochę cienia. Stałem tak, żeby nie rzucać się w oczy, ale żeby padało na mnie słońce. Nie byłem głodny, jednak czułem, że niedługo będę musiał coś zjeść i się napić.

Gdy minęła sjesta, z bramy wyłoniły się dwie starsze kobiety, z wyglądu służące wynajmowane do zajmowania się obejściem. Obie wyglądały na zadowolone, minęły mnie zatopione w pogawędce, która nie miała nic wspólnego z Doughym. Złapałem tylko utyskiwania o starym, który znów siedzi w domu, nie wychodzi w morze i przepija zaoszczędzone pieniądze.

Nadchodził wieczór, a z nim wzmożony ruch, jednak tutaj pojawiło się jedynie parę osób przemykających za swoimi sprawami. Podskoczyłem do kramu nieopodał, który zauważyłem wcześniej, kiedy tu szedłem przed południem, i zamówiłem potrójną porcję kielbas z krewetek i wieprzowiny, do tego kubaś ostrego sosu i solidny miech piwa. Wróciłem na swoje stanowisko. Pożywiałem się i dalej obserwowałem okolicę.

Jedzenie wciąż miało smak, sos przyjemnie palił w gębie, a piwo było zimne. Dobry dzień trwał. Nie żeby to robiło jakąś wielką różnicę.

Wieczorem przybyło odwiedzających, w większości wyglądali na związanych z morzem. Właściciele małych łodzi rybackich, przekupnie, kupcy, grubsze ryby i małe płotki, na ile byłem w stanie ocenić. Zauważyłem, że handluje z przyzwoitszymi ludźmi niż jego

własny personel. Zbir musiał być dobrze poinstruowany. Nieco później pojawił się alfons w towarzystwie dwóch dziewczyn. Wyglądały dość nerwowo i ubrane były raczej jak ktoś, kto pracuje w polu, a nie w sypialni. Nówki.

Zastanawiałem się, jak najłatwiej dostać się do środka. Musiałem z Doughym pogadać i przypuszczałem, że gdybym mu najpierw zredukował liczbę personelu, mogłoby to wpłynąć negatywnie na atmosferę. Może później, jeśli znów pojawi się ta moja żądza, może później będę tego potrzebował. Ten moment jednak jeszcze nie nadszedł.

Tuż przed zachodem słońca pod bramą pojawił się wóz z ładunkiem nakrytym plandeką. Zeskoczył z niego żwawy tłuścioszek w czystych, jasnych spodniach przepasanych zafajdanym fartuchem. Koszulę i kapelusz też miał jasne, jak ktoś, kto spędza dużo czasu na słońcu i stara się jak najlepiej przed nim ochronić. Otworzył mu znajomy osiłek, który ocierał sobie usta, jakby się właśnie czegoś napił. Czemu nie, na wieczór przyjemnie było coś chlusnąć.

– Zapasy. Przywiozłem najlepsze mięso i zieleninę, jaką dostaniecie w Grafzaty – wyrecytował grubasek niczym litanie, którą powtarzał po kilkadziesiąt razy każdego dnia.

– Gdzie mi z tymi szkapami – zatrzymał go osiłek. – Ostatnim razem dostały sraki i musiałem po nich sprzątać.

– Mam to sam wszystko tachać aż do kuchni? – zajęczał grubasek. Przez chwilę się kłócili, ale osiłek był nieubłagany.

– Dobra, kogoś se najmę – zamamrotał sprzedawca – a wydatek doliczę do ceny.

– Do dupy sobie dolicz – poradził mu osiłek.

Na to sprzedawca już nie zareagował. Zawrócił wóz i ruszył w stronę nabrzeża, gdzie łatwo mógł znaleźć kogoś chętnego zarobić parę groszy. Wyszedłem spod arkady.

– Panie! – krzyknąłem za nim. – Słyszałem, coście mówili. Za pięć miedziaków wam to wszystko zaniosę, gdzie trzeba.

– Prr! – Zatrzymał wóz i przyjrzał mi się. – Trzy.

– Cztery. Sporo tego.

– Ale z życiem. Jak wrócę późno do domu, stara znowu będzie zrzedzić.

– Oczywiście, panie – potaknałem.

Wróciliśmy pod bramę. Osilek rzucił mi niepewne spojrzenie, ale nie powiedział nic. Nosilem pleciony kosz za koszem i składałem je pod drzwiami dla służby, gdzie im się krytycznie przyglądał zachmurzony gość w umorusanym fartuchu. Za pas miał zatknięty wielki nóż w wyświechtanej skórzanej pochwie. Mógł to być kucharz, ale nie zakładałbym się. Mój chwilowy pracodawca tymczasem przesunął się z osiłkiem bliżej willi i o czymś tam rozprawiali.

– Skończyłem – oświadczyłem po odłożeniu na ziemię ostatniego kosza wypełnionego zapieczętowanymi amforami. – Moja kasa. – Wyciągnąłem rękę.

– Jakbym wiedział, że tak szybko ci pójdzie, w życiu bym ci tyle nie zapłacił. Za łatwo zarobione pieniądze – marudził grubas, ale umówioną kwotę dał.

Ruszyłem do bramy, ale na kilka metrów przed nią dałem krok w lewo i schowałem się za krzew rododendronu. Tamci dwaj jeszcze chwilę pogadali, po czym kupiec odjechał, a osilek zamknął bramę. Sprawy potrafią iść łatwo, kiedy człowiekowi przestaje zależeć. Oczekałem jeszcze chwilę, przygotowując się na to, że będę musiał osiłka po cichu uziemić, ale nie było takiej potrzeby, bo znikł we wnętrzu willi. Widać na zewnątrz już mu się sprzykrzyło.

Rozległy teren wokół willi ozdabiała liczne krzewy i starannie przystrzyżone drzewa. Dzięki gęstej roślinności było tu nieco chłodniej niż na ulicy. Pewnie właśnie o to chodziło. Willa była parterowa, z fałszywym pierwszym piętrem, które miało jedynie zaciemniać część mieszkalną. Nie miałem stąd najlepszego widoku na główne wejście i nie miałem pojęcia, czy ktoś przypadkiem nie stoi na straży w oknie. Ruszyłem wzdłuż zewnętrznego muru aż do miejsca, skąd mogłem dostać się pod ścianę domu jak najszybciej. W każdej chwili oczekiwałem, że rozlegną się alarmujące krzyki, ale nic takiego się nie stało. Przemykając przyklejony do ściany, dotarłem do głównych drzwi. Stały otworem, nikt ich nie pilnował.

Korytarz był szeroki. Dwóch ludzi obok siebie z wyciągniętymi na boki ramionami ledwo dotykałoby ścian. Na jego drugim końcu znajdowały się podwójne drzwi, prawie tak szerokie jak sam korytarz. Słyszałem dźwięk rozmów, gdzieś za ścianą serwowano jedzenie, brzęczały sztucce i zastawa.

Nie było sensu się zatrzymywać, ruszyłem za swoim celem. Spodziewałem się go znaleźć gdzieś za przeciwległymi drzwiami. Na końcu korytarza o mało nie zderzyłem się z człowiekiem niosącym stos papierów pod pachą. Spieszył się, prawie biegł. Zatrzymał się i popatrzył na mnie zdziwiony.

– A ty co za jeden? – zapytał.

– Bakly. Mam wiadomości dla pana Doughy’ego. Z przystani – dodałem. – Jestem tu zamiast Kredeta, nie bardzo wiem, gdzie iść. Za tymi drzwiami? – Wskazałem przed siebie.

Mężczyzna skinął głową i stracił mną zainteresowanie. Wszystko szło nieoczekiwanie łatwo. Spodziewałem się, że w każdej chwili sprawy znów się skomplikują. Zawsze tak było, tego mnie nauczyło doświadczenie. Na co zresztą zaczynałem się nawet cieszyć.

Otworzyłem drzwi i wszedłem do dużego pomieszczenia, które z jednej strony przechodziło w atrium willi. Przedemną na olbrzymim fotelu, wyglądającym niczym wyrzeźbiony z pnia prastarego drzewa, siedział ogromnej postury człowiek, który rozmawiał właśnie z alfonsiem. Dyskusja była na tyle żywiołowa, że nawet mnie nie zauważyli. Alfonsowi nie podobała się cena za dziewczyny, argumentował, że nie pokrywała jego własnych nakładów.

Oprócz fotela i wielkiego stołu nie było tu praktycznie żadnych innych sprzętów. Pomieszczenie zdobiły jedynie kamienie rozmieszczone na podłodze, fontanna szemrząca wodą i kolekcja broni porozwieszanej na ścianach. Oszczepy, kopie, maczugi, wielkie skórzane tarcze. Wyglądało to jak oręż dzikusów z puszczy. Wyjątek stanowił topór z ostrzem sięgającym rękojeści z jednej strony i spłaszczonym obuchem z drugiej. Kiedyś miał i grot, ale z tego został jedynie ułomek. Broń dla dużych chłopców, którzy potrafili się

z nią obchodzić. Sięgnąłem po topór i ruszyłem ku rozmawiającym. Wreszcie mnie zauważyli.

– Czego tu, do cholery, chcesz? – huknął na mnie olbrzym w fotelu.

– Spadaj, tu się rozmawia o interesach – warknął alfons.

Topór wydawał się doskonale wyważony. Zakręciłem nim i rąbnąłem sutenera styliskiem w brzuch. Zaskoczony wypuścił powietrze, skłonił się do przodu i zarobił kolejny cios w tył głowy. Poleciał na ziemię i tam już został, skulony. Spojrzałem na Doughy’ego, który przez cały ten czas bacznie mi się przypatrywał, ale nawet przy tym nie drgnął.

– Umiesz się obchodzić z tą siekierką.

– Pierzesz brudne pieniądze, chcę wiedzieć dla kogo – przeszedłem od razu do sedna.

Patrzył na mnie, jakby nie rozumiał.

– Regularnie wybierasz pieniądze ze skrytek w Pierwszym Imperialnym i posyłasz je dalej – kontynuowałem. – Chcę wiedzieć, dla kogo pracujesz.

Zaczął się śmiać, jakbym powiedział coś naprawdę dowcipnego. Zazwyczaj ludzie nie śmieją się z tego, co mówię.

– Będę pytał tak długo, aż mi odpowiesz – dodałem, żeby miał jasność co do moich intencji.

– Musiało cię to kosztować trochę zachodu, żeby dostać się aż do mnie – dał radę wreszcie powiedzieć, kiedy już się wyrechotał.

Miał co do tego rację. Zatrząsałem całym półświatkiem, pozabijałem mnóstwo ludzi, innych puściłem wolno. Nic z tego mu jednak nie wyjawilem, wzruszyłem tylko ramionami.

Doughy jednym ruchem ręki zdarł z siebie spodnie. Tyle że to nie były spodnie, ale coś na kształt powłóczystej spódnicy. Odsłonił mi widok na swoje nogi i fotel, w którym siedział.

Nie siedział w fotelu, on był fotelem. Jego ciało od pasa w dół przemieniało się w zdrewniałą, sękowatą tkankę rozrastającą się we wszystkich kierunkach. Jediną niezmienną jeszcze częścią pozostawał oklapły penis. Doughy zakrył się z powrotem.

– Możesz pytać, ile chcesz, jak chcesz – zaśmiał się znowu – ale i tak nic ze mnie nie wyciągniesz. A wiesz dlaczego?

Nie wiedziałem, więc się nie odzywałem.

– To jest przesrana choroba, zaraziłem się nią lata temu na Wyspach Zachodnich. Stopniowo przemienia twoje ciało w drewno, albo przynajmniej coś, co drewno przypomina.

Popukał w węzłowaty korzeń, który mógł być kiedyś jego nogą. Zabrzmiało to jak pukanie w drewno.

– Najgorsze jest to, że ta choroba cię nie zabija, jedynie przemienia. Na koniec zostaje z ciebie tylko pień, ale ty wciąż widzisz, czujesz, myślisz. Stopniowo stajesz się drzewem i dopiero po dziesiątkach lat tracisz wreszcie zmysły, rozmywasz się w nim kompletnie.

Słuchałem z toporem opartym na podłodze.

– Już dawno by się to ze mną stało, ale ktoś ma na to świństwo lek. Wyleczyć się tego nie da, ale można spowolnić postęp. Niestety, ja tego leku nie mam. A wierz mi, starałem się go zdobyć wszelkimi możliwymi sposobami.

Słuchałem i zaczynałem rozumieć sytuację.

– Właśnie dla kogoś, kto ten lek ma, pracuję. A gdyby się dowiedział, że go zdradziłem, już więcej nic bym od niego nie dostał. Co mi nie jest na rękę, kapujesz?

Znów zarechotał i pokręcił rozbawiony głową. To brzmiało sensownie, kapowałem.

– Czujesz coś w tym w ogóle? – spytałem.

– Nic a nic.

Poderwałem topór i ciąłem w jeden z korzeniastych węzłów. Rzeczywiście, jakbym rąbał drewno. Twarde, niczym dąb czy heban. Doughy'emu nawet brew nie drgnęła.

– A reszta ciała?

Rozwarł dłoń, drugą chwycił za środkowy palec i bez namysłu, szybkim ruchem i z głośnym trzaśnięciem złamał go w stawie.

– Nie czuję prawie nic. – Wzruszył ramionami. – A przy tym wszystko mi się szybko goi, co akurat jest zaletą. Nic ze mnie nie wydobędziesz.

Wierzyłem mu. Trop, którym tak mozolnie podążałem, wiódł donikąd, kończył się tu i teraz, na tym człowieku, który powoli

przemieniał się w drzewo. Widziałem, że wciąż dobrze się bawi.

– No to ja sobie pójdę w takim razie. – Przechyliłem głowę.

– A ty myślisz, że ja ci dam tak po prostu odejść? – zatrzymał mnie. – Pakujesz się tu nieproszony, bijesz mojego dostawcę dziewczyn, kaleczysz mnie moim własnym toporem i ja mam cię ot tak puścić wolno?

Powoli się nakręcał, może brakło mu rozrywek.

– Nic wielkiego się przecież nie stało. Małe nieporozumienie zawsze da się jakoś wyjaśnić – powiedziałem ugodowo.

– Stało się, stało. – Uśmiechnął się paskudnie. – Mam całkiem dobrze wyszkolony personel. Chcę zobaczyć, jak ci pójdzie machanie tym toporem.



Nabrał powietrza, żeby zawołać swoich ludzi, więc ciąłem go bez rozmachu, od podłogi ku górze. Cięcie było nieudane, trafiłem w tułów. Szarpnął się, ale krzyknąć już nie krzyknął. Za drugim razem trafiłem lepiej. Głowa odskoczyła od ciała i zastukała na podłodze. Zabrzmiało to prawie identycznie jak dojrzały orzech kokosowy, kiedy upadnie na kamienie. Usta poruszały się, jakby coś jeszcze chciał mi powiedzieć. Skłoniłem się, żeby lepiej słyszeć. Jego oczy baczenie mnie śledziły.

– Ty sukinsynu – wyartykułował bezgłośnie.

Życie wyciekało z niego o wiele wolniej, niż powinno. Miałem nadzieję, że powie coś interesującego, że czegoś się od niego dowiem, ale do samego końca jedynie mnie przeklinał. Wreszcie jego oczy całkiem znieruchomiały i definitywnie umarł. Trąciłem go na próbę ostrzem topora. Choroba zmieniła go w niesamowitym stopniu. Nawet tkanki w górnej części jego ciała nie przypominały normalnego mięsa.

Tymczasem alfons doszedł do siebie i rzucił się do ucieczki. Cisnąłem za nim toporem. Nie jestem dobry w rzucaniu, ale musiało się do mnie uśmiechnąć szczęście. Ostrze wbiło mu się w czaszkę, z rozpędu zrobił jeszcze parę kroków, aż walnął głową w drzwi.

Nie miałem tu czego szukać. Trop się urywał. Wyszedłem z powrotem na korytarz i starannie zamknąłem za sobą drzwi. Nagle stanąłem twarzą w twarz z jakimś długowłosym jegomościem niosącym na tacy coś do picia.

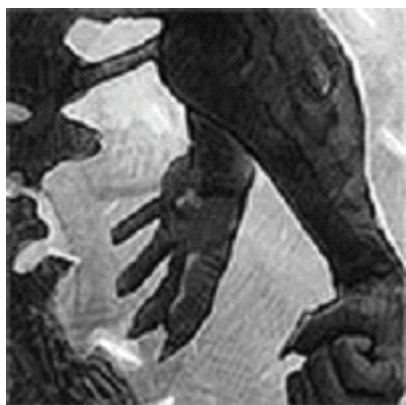
– Szef chce, żeby ktoś natychmiast posprzątał. Jest tam w tej chwili niezły burdel – huknąłem na niego, zanim zdołał się opamiętać. – Ale na jednej nodze, bo się wkurzy – dodałem, kiedy tamten nie mógł się zdecydować, jak zareagować.

– Już, już, lecę po sprzęt – wymamrotał, podał mi tacę i gdzieś poleciał.

Na ulicę wyszedłem bez najmniejszych trudności, co mnie nieomal wkurzyło. Chciałem sobie poprawić humor po tym, jak ciężka praca z ostatnich tygodni poszła na marne. Wyglądało na to, że Krwawego Goruku tak łatwo nie wywęszę. Wracąłem do punktu wyjścia.

Rozdział 19

Głód, głód, głód



Rzecz przyczała się na granicy cienia i obserwowała świat zalany słonecznym światłem. Nieprzyjacielski świat, który drażnił ją tym, że był jej zabroniony. Na razie. A przy tym pełny wzorów czekających na przeczytanie i skopiowanie. Z wylotu ścieku miała widok jedynie na niewielki skrawek skalistego brzegu. Chwilę jej zajęło, zanim przystosowała wzrok w zadowalający sposób. Szczurze oczy w ogóle się do tego nie nadawały, psie dawały jej obraz, w którym trudno się było zorientować, a ludzkich wciąż jeszcze nie potrafiła skopiować wystarczająco dobrze.

Pomimo iż niczego żywego nie widziała bezpośrednio, wyczuwała, że niedaleko poruszają się ludzie. Psi i szczurzy węch zmieszane razem oraz kilka innych zmysłów zapożyczonych od zamieszkujących kanały insektów zapewniały jej złożony i kompleksowy obraz okolicy. Wiatr trochę przekłamywał odległości i kierunki, ale to nie stanowiło problemu.

Ludzi po okolicy kręciło się sporo. Najsilniej wyczuwała osłabionego długotrwałą chorobą starca. Był przeżarty rakiem i przesiąknięty alkoholem, graniczyło z cudem, że wciąż mógł funkcjonować. W tej chwili się nie poruszał, tkwił w jednym miejscu, najprawdopodobniej odsypiając kaca. Rzecz zdołała nawet rozpoznać rodzaje alkoholi, które w ciągu ostatnich kilku godzin skonsumował. On sam jednak pozostawał poza jej zasięgiem. Nie

była pewna, jak długo jej szczury czy psy wytrzymałyby w słonecznym świetle ani czy zdołałaby utrzymać nad nimi mentalną kontrolę.

Gdyby którykolwiek z ludzi kręcących się po okolicy zdecydował się wejść do wylotu kanału, sprawa byłaby o wiele łatwiejsza. Pragnienie kopiowania wzorów zmieniło się w głód, już od wielu dni nie przyswoiła nowego, nie odświeżyła sobie żadnego z wcześniej poznanych. Zaczynała wręcz cierpieć i miała wrażenie, że również jej ciało straciło część swojej masy.

Wyobraziła sobie, jak śpiący pijak budzi się, że budzi go chęć, by schować się przed narastającym żarem do zacienionego, suchego wylotu kanału. Skacowany mężczyzna poruszył się. Rzecz spróbowała wzmocnić swoją wizję zalewem pozytywnych emocji. Omamiony mężczyzna wstał ze swojego legowiska pomiędzy skałami, które chroniły go przed wiatrem i porannym słońcem, i ruszył kawałek dalej, aby opróżnić pęcherz. Z jego punktu widzenia był to jedyny powód, by obudzić się przed wieczorem. Jedyny poza pragnieniem. Przypadek chciał, że znalazł się w ten sposób bliżej ciemnego wylotu kanału.

Rzecz wyczuła, jak nasila się smród niemytego tygodniami ciała, potu, przetrawionej gorzałki. Poczwała ogarniającą ją falę podniecenia. Wpłynęła na niego, przywołała go własną wolą, aby to on do niej przyszedł! Brzegi jej ciała ożyły frenetycznie pulsującymi czułkami i żuwaczkami najrozmaitszych rodzajów.

W pół drogi do kanału mężczyzna nagle stanął i niepewnie obejrzał się za siebie. Nie pojmował, czemu aż tak bardzo oddalił się od miejsca, w którym spał. Z przekleństwem na ustach załatwił swoją potrzebę, po czym zataczając się, ruszył z powrotem. Jeszcze chwilę sobie odpocznie, a potem pójdzie poszukać czegoś do picia i do zjedzenia.

Żuwaczki wgryzły się w oczne szypułki, Rzecz zawyła w środku z bólu i wściekłości. Przez kilka długich chwil walczyła o przejęcie z powrotem kontroli nad rozszalałymi częściami swojego ciała. Kolejny dzień głodowania, kolejny dzień, kiedy nie będzie mogła zaspokoić swoich żądz i pragnień. Nie mogła sobie na to pozwolić.

W nocy wyruszy na łów. Musiała się wzmocnić, nawet za cenę tego, że może zostać odkryta.

Rozdział 20

Spotkanie rodzinne



Bakly wszedł do pomieszczenia, które służyło im za główny sztab, i Valer poczuł, że zrobiło się nagle jakby ciaśniej, że braknie powietrza i trudniej jest oddychać. Obserwował, jak wielki mężczyzna niedbałymi gestami odpowiada na pozdrowienia zebranych, po czym siada na krześle najbardziej oddalonym od stołu, jakby w ogóle nie chciał się tu znajdować. Płynność i precyzja jego ruchów wydawały się stać w sprzeczności ze zwalistą budową ciała. W trakcie żadnego z ich sporadycznych spotkań Valer nie próbował odgadywać psychicznego stanu Bakly'ego, jednak w tym momencie ojciec Zuzanny wydawał się bardziej ponury niż zazwyczaj. Mimo to Valer nie miał poczucia zagrożenia, tego wrażenia, że tamten w każdej chwili może w niekontrolowany sposób wybuchnąć, jak to zdarzało się w przeszłości.

Rozsiedli się wokół stołu. Zuzanna przyszła ostatnia, objęła ojca, pocałowała go i siadła obok niego. Przez krótką chwilę Valer miał wrażenie, że Bakly znów wygląda jak człowiek, prawie normalnie, ale było to odczucie krótkie i ulotne.

Kapitan poczekał, aż wszyscy naleją sobie kawy. Zawsze dobry sposób, żeby zacząć. Dodatkowa chwila na uporządkowanie myśli, skupienie się. Każdy jedynie siorbnął, kawa była prawie wrząca, dopiero co zdjęta z ognia. Wszyscy wyglądali na zmęczonych, ale już nie na skrajnie wyczerpanych. To była znacząca poprawa.

– Przedwczoraj wyeliminowaliśmy zagrożenie, jakim był markiz Parleur – zaczął Valer. – Parleur jest definitywnie martwy. – Spojrzał na Bakly’ego.

– Jest martwy – otrzymał potwierdzenie.

– Według raportów, które dotąd zgromadziliśmy, wszystko wskazuje na to, że nikt nas nie łączy z atakiem na pałac.

Mężczyźni słuchali w milczeniu. Nie wszyscy dysponowali kompletnymi informacjami na ten temat, teraz próbowali poskładać sobie w myślach to, co wiedzieli, w jeden spójny obraz. Valer zastanawiał się chwilę, na ile powinien ich wtajemniczyć w szczegóły powodów, dla których zmuszeni byli Parleura zlikwidować.

– W ostatnich tygodniach Parleur zbierał informacje o baronównie Münchauen – spojrzał na Zuzannę – dlatego postanowiliśmy się do niego dostać i zorientować, ile się zdołał dowiedzieć i czy z kimkolwiek się tą wiedzą podzielił. Udało się nam? – Znów popatrzył na Bakly’ego.

Ten w dwóch łykach opróżnił swój kubek z kawą. Valer mógłby się założyć, że Bakly poparzył sobie usta, ale zachowywał się jak gdyby nigdy nic.

– Parleur interesował się baronówną jedynie w kontekście jej znajomości i koneksji w wyższych kręgach – zaczął Bakly beznamiętnym tonem. – Chciał mieć pewność, że nikt nie będzie o nią wypytywał, gdyby nagle znikła.

Valer obserwował wyraz twarzy Zuzanny, ale ona zachowywała się, jakby jej ta historia nie dotyczyła.

– W podziemiach miał wybudowany kompleks do torturowania porwanych kobiet. Tam zaspokajał swoje zdeprawowane żądze. W mieście natknąłem się na burdel. Specjalizowano się tam w zaspokajaniu chuci, które były niewiele mniej zboczone niż te Parleura. Znalazłem w nim część przystosowaną do więzienia kilku osób przez dłuższy okres. Nie wydawało mi się to przypadkowe.

Valer słuchał teraz z uwagą. Zajęty swoimi sprawami, tym tropom nie poświęcał wcześniej zbytnej uwagi.

– Wyjawił mi – kontynuował Bakly – jak to wszystko było powiązane.

Valer poczuł, jak groza mrozi mu kark i tył głowy. To WYJAWIŁ MI miało swoiście ostateczne brzmienie, niczym dźwięk zasuwanej wieka krypty.

– Burdel był dla Parleura przyzwoitym źródłem zarobku, a przy tym prowadzenie tego interesu sprawiało mu swego rodzaju przyjemność. Mógł dzięki temu szerzyć swoje chore fascynacje.

– Czemu się na to zdecydował? Nie ryzykował, że zwróci na siebie uwagę? – spytała Zuzanna.

Bakly powoli skinął głową.

– Oczywiście, wiązało się z tym ryzyko. Jednak on zaaranżował wszystko tak, aby nic go z burdelem nie łączyło. Do tego stopnia, że do zatarcia śladów zaangażował klan zabójców.

– O ile to rzeczywiście był on – dodał Valer.

Parleur nie wydał mu się kimś, kto dysponowałby wystarczającymi środkami, aby móc sobie zapewnić usługi klanu asasynów. Z drugiej strony mógłby się dogadać z kilkoma zabójcami chcącymi zarobić na boku, bez udziału klanu.

– To mogła być fucha – myśli Bakly’ego wydawały się podążać tym samym tropem – ale to z całą pewnością byli asasyni. Oni są twardsi niż stara wołowina, człowiek musi się nad nimi bardziej namęczyć, zanim ich zatłucze.

Niektórzy z obecnych rzucili mu dziwne spojrzenia z ukosa. Mało kto opisywałby umiejętności klanowych zabójców w taki właśnie sposób.

– Parleur wyjawił mi również, dlaczego w ogóle zabrał się za prowadzenie burdelu, pomimo że go nawet nie pytał. – Bakly wzruszył ramionami.

Valer nadstawił ucha. Wiedział, że będzie to informacja istotna, bo Bakly mówił niechętnie i gdyby nie było ku temu ważkiego powodu, w ogóle by o tym nie wspominał.

– Markiz, jeszcze jako nastoletni chłopak, podczas jednej z wizyt w Saxpolis nie utrzymał swoich morderczych popędów na wodzy i zabił pewną dziewczynę. Na jego nieszczęście nie była to jakaś tam

służebna, ale córka szlachcica. Ktoś niezwykle wysoko postawiony, Parleur sam nie wiedział kto, ale z bezpośredniego otoczenia cesarza, sprawę załatwił i uratował skórę młodemu markizowi. A półtora roku temu posłaniec doręczył Parleurowi od tej osoby prośbę o przysługę.

– Kto to był?

– Parleur nie wiedział. Prośba jednak zawierała przypomnienie długu wdzięczności z wystarczającą ilością szczegółów, żeby markiz nie miał wątpliwości co do tego, od kogo ona pochodzi.

– Może trzeba było spytać bardziej stanowczo – rzucił jeden z obecnych.

Bakly popatrzył na niego z powagą.

– Wierz mi, Parleur powiedział mi wszystko. Nawet rzeczy, których wiedzieć nie chciałem.

Te słowa zawisły na chwilę w powietrzu.

– Człowiek, o którego chodzi, chciał, aby markiz postarał mu się o dziewięć zdrowych, młodych dziewczyn. Dziewic. Chciał, aby nauczył je posłuszeństwa. Miał je też utrzymywać w dobrej formie fizycznej i karmić według specjalnie przygotowanej diety.

Valer zauważył, że Zuzanna wyraźnie się zainteresowała.

– Właśnie po to Parleur wybudował ten burdel. To była przykrywka całej akcji. Pewnego dnia znów zjawił się posłaniec i zażądał, aby personel przygotował zapasy jedzenia i wszelkich innych artykułów i opuścił burdel. Po paru dniach tajemniczy przybysz wyjechał, a markiz dostał kolejne zadanie: miał się opiekować powierzonymi jego pieczy młodymi kobietami aż do czasu tuż przed porodem. Wtedy nieznajomy przybysz zjawił się znowu.

– I co się potem stało? – spytał Kurzer.

– Ludzie markiza pozbyli się ciał dziewczyn i interes kręcił się dalej, jak gdyby nigdy nic. Parleur powiedział, że nie zatrzymał go dla pieniędzy, po prostu go to bawiło.

– A co z dziećmi? – spytała Zuzanna.

Bakly spojrział na nią z powagą.

– Naprawdę chcesz to usłyszeć?

Valer czuł, że sam wolałby nie wiedzieć.

– Owszem, to może być istotne.

– Parleur twierdził, że znaleźli dowody kanibalizmu. Strasznie się przy tym śmiał, bawiło go, że ktoś się okazał jeszcze większym potworem niż on sam.

W pokoju zapanowała ciężka cisza.

– No a co z tego wynika dla nas? – spróbował rozładować atmosferę Gruber.

– Żeśmy dobrze zrobili, pozbywając się markiza i jego ludzi – zabrzmiała czyjaś odpowiedź. – Trzeba było cały ten pałac wypalić do gruntu.

Valer w duchu się z tym zgadzał.

– Nasze działania skrzyżowały się z poczynaniami markiza, aczkolwiek ten problem już rozwiązaliśmy, w związku z czym bezpośrednio niebezpieczeństwo nam z tej strony nie grozi. Będziemy się przyglądać, czy przypadkiem poszukiwania nie zaczynają się koncentrować na nas.

To oznaczało dalsze wprowadzanie baronówny Münch auzen do miejscowej śmietanki towarzyskiej i umacnianie ich pozycji handlowej, co do tej pory wychodziło im znakomicie.

– Żadnych dalszych specjalnych rozkazów nie mam, wszyscy wracają do swoich regularnych zadań – zakończył zebranie Valer.

Ludzie rozeszli się zadowoleni. Powrót do normalnego harmonogramu przyniósł wszystkim ulgę.

W pokoju pozostali jedynie Valer, Zuzanna i Bakly. Zuzanna wyglądała, jakby nad czymś rozmyślała, Bakly siedział z rękami opartymi na udach i wzrokiem utkwionym przed siebie, jakby kompletnie nieobecny. Zuzanna rozmyślała o nocnych koszmarach, których dzięki obecności Rolanda zdołała się przez ostatnich kilka nocy pozbyć, o wykrzywionym uśmiechu zboczonego markiza, o jego sługusach ginących od zaklęcia, którego sama nie rozumiała. O wszystkim, o czym się właśnie nasłuchiwała. Była tym tak bardzo zmęczona. Do tego czuła się jakoś tak... dziwnie. Inaczej. Jej myśli popłynęły w innym kierunku. Z Valerem kochali się pierwszy raz kilka dni temu. Nie była z żadnym innym mężczyzną już naprawdę

długo, miesiące... nie, lata, poprawiła się. Znała swoje ciało i gdyby od ich wspólnej nocy minęło nieco więcej czasu, pomyślałaby, że może być w ciąży. Piersi, które zawsze wydawały jej się zbyt duże, sprawiały wrażenie większych i bardziej wrażliwych niż normalnie. Do tego jej i tak wyczulony węch stał się jeszcze ostrzejszy. Może to przez to, w której fazie cyklu teraz była. Tak, to musiało być to. Tylu młodym dziewczynom radziła, uspokajała, a kiedy nie było innego wyjścia, pomagała. Teraz sama niepotrzebnie popadała w panikę? Nie w panikę, ale miała po prostu obawy, poprawiła się. Gdyby miała mieć z Valerem dziecko, nie przeszkadzałoby jej to. Zatrzymała się chwilę nad tą myślą. Czemu nie? Byłaby przecież w stanie zaopiekować się dzieckiem choćby sama.

– To jest moje ostatnie zlecenie dla księcia – powiedziała nagle i rozejrzała się, jakby ją samą te słowa zaskoczyły. – Już nie chcę zabijać, nie chcę, żeby wokół mnie i przeze mnie zabijano. Chcę gdzieś osiąść, w jakimś spokojnym miejscu.

Valer stęzał. Czyżby miał coś wspólnego z tą decyzją? A nawet jeśli, przecież to była mądra, właściwa decyzja. Bakly obrócił się do swojej córki, uniósł jej dłoń, pocałował, zamknął w swoich i tak przez kilka chwil trzymał. Ten gest dziwacznie kontrastował z jego psychopatyczną wręcz brutalnością.

– Wrócisz do księstwa? – spytał ją.

– Tak.

To było chyba jedyne miejsce, gdzie nikt jej nie ścigał, nikt jej nie szukał.

– Dobry wybór – ocenił Bakly. – Kiedy?

– Jak tu skończymy. Wyjadę w odwiedziny w strony rodzinne i już tu nie wrócę.

Bakly spojrział na Valera, jakby oczekiwał, że będzie protestować, ale ten tylko skinął głową.

– Zgadzam się. Bardzo rozsądna decyzja – potwierdził.

Miał nadzieję, że Zuzanna powie mu później na ten temat coś więcej. Dopił swoją teraz już letnią kawę, spojrział na Zuzannę, która pokręciła głową. Bakly natomiast nadstawił swój kubek.

– Mam jeszcze jedną sprawę – odezwał się Bakly, kiedy opróżnił naczynie.

Oboje spojrzeli na niego pytająco.

– Za dwa dni czeka mnie pojedynek na arenie.

– Widziałem plakaty – potwierdził Valer. – To jest w tej chwili główny temat rozmów na mieście. Na targu, w knajpach, między służbą. Ciężko trafić na konwersację traktującą o czymkolwiek innym.

– To dobrze – pokiwał głową Bakly. – Postawiłem na siebie sześć tysięcy, dołożę jeszcze trzy z konta, które mam do dyspozycji. Chcę, żebyście na mnie postawili dalsze pięć do dziesięciu tysięcy. Ile tylko możecie bez zbytniego ryzyka dla waszej operacji. Im bliżej samej walki, tym lepiej.

– Chcesz zniszczyć arenę? – zapytała Zuzanna.

Bakly pokiwał głową.

– Nic nie rozumiem – przyznał się Valer.

– Tata w poprzedniej walce upuścił im trochę krwi i podpuścił arenę, żeby zaaranżowali mu kolejną, zgadza się? – Zuzanna spojrzała na ojca.

Ten znów tylko skinął głową.

– I oni teraz zainwestowali masę pieniędzy, żeby móc pokryć wcześniejszą stratę – kontynuowała.

– Ściągnęli cesarskiego mistrza, o którym chodzą pogłoski, że nie jest całkiem człowiekiem. Arena w Krachtiburgu nie chciała go wręcz dopuścić do walki – włączył się Valer, który postarał się o dodatkowe informacje na temat przeciwnika Bakly'ego.

– Ale go w końcu dopuścili. – Bakly wzruszył ramionami.

– Ktoś zabił głównego selekcjonera, który nie chciał pozwolić Gookowi walczyć. Znalaziono go porozrywanego na kawałki, wszystkie kości pomiażdżone, jakby dorwał go górski tygrys, a potem rozdeptał słoń – dopełnił Valer.

– To prawda, załatwili go bez użycia broni – potwierdził Bakly. – Ale trzeba przyznać, że wypowiadał się o pochodzeniu Gooka bardzo obraźliwie. Twierdził, że jego matka była tępym gorylem,

a ojciec troglodytą. Selekcjoner powinien być bezstronny i trzymać dystans, nie powinien atakować zapaśników personalnie.

– Myślisz, że to Gook Nerzeezi go zabił? – spytał zaskoczony Valer.
– Myślałem, że to tylko pomówienia.

– Myślę.

– I nie przeszkadza ci to?

Valer popatrzył na Zuzannę i odniósł nieprzyjemne wrażenie, że jest ich rozmową rozbawiona.

– Nie. Nie powinien nazywać jego matki tępą – zamknął temat Bakly. – To ile możecie postawić?

Valer spojrzał znów na Zuzannę. Jaki był w tym sens? Przeciw tej nieludzkiej bestii Bakly nie miał przecież szans.

– Osiem tysięcy – powiedziała – i wciąż nam zostanie rezerwa na niespodziewane wydatki. Poza tym zaczynamy wreszcie zarabiać na naszym handlu.

– To powinno wystarczyć, zwłaszcza jeśli postawicie tuż przed samą walką. Tylko pamiętajcie, żeby to zrobić przez bank.

– Oczywiście, tato, nie urodziłam się wczoraj.

Bakly wstał i bez pożegnania wyszedł. Valer potrzebował dłuższej chwili, aby się otrząsnąć. Zaczynał rozumieć, że tamci dwoje wiedzą o zapaśniczych arenach i związanym z nimi biznesie więcej niż ktokolwiek inny.

– Nie ma szans. Walki z Nerzeezim zwyczajnie nie może przeżyć – powiedział wreszcie, całkiem z siebie dumny, że zdołał przy tym zachować spokój.

– Przeszkadza ci, że postawimy pieniądze na jego wygraną?

– Nie – odpowiedział po zastanowieniu. – Przeszkadza mi, że nie wiem, co to za sobą pociągnie. Oraz że nie przejmujesz się możliwą śmiercią własnego ojca.

Zuzanna uśmiechnęła się.

– Napiłabym się herbaty. Albo jeszcze lepiej wina, jeśli masz chwilę.

Valer przytaknął i bez przywoływania Moniki czy Katrin sam zbiegł do kuchni, gdzie odebrał Gewnerowi jedną z jego zachomikowanych butelek. Nie zawracał sobie głowy kieliszkami, na

górze przyniósł dwie szklanki. Nalał Zuzannie i sobie. Ona usiadła na kanapie, on przyciągnął krzesło. Siadł tak blisko, że ich kolana niemal się stykały.

– Pierwszy raz to zrobił, ten cały numer z areną, jeszcze jak mama żyła. – Zuzanna uśmiechnęła się do wspomnienia. Wzrok utkwiała przy tym w szklance z winem. – Mieszkaliśmy na pogórzcu, wystarczająco daleko od miasta i okolicznych wsi, żeby ludzie zostawili nas w spokoju, ale równocześnie na tyle blisko, abyśmy mogli od czasu do czasu kupić, co nam było potrzebne. Jednego razu przyjechał do nas miejscowy radny miejski, taki z ambicjami i zakusami na szlachecki tytuł. Chciał naszą ziemię, która była zapisana na moją matkę. Jak moi rodzice weszli w jej posiadanie, tego nie wiem. Byłam jeszcze mała, ale pamiętam wszystko do dziś. Przyjechał, złożył ofertę, może nawet całkiem godziwą. Mama zostawiła to tacie, a on tylko stał i milczał. Potem tamten zaczął grozić, a tata milczał. Radny odjechał, wykrzykując, że jeszcze się z nami policzy. Należała do niego największa w okolicy arena z cesarską licencją. Tata zgłosił się jako zapaśnik i oznajmił, że pokona z rzędu dziesięciu najlepszych zawodników, jakich zdołają przeciwko niemu wystawić.

Valer przyglądał się jej uśmiechniętej twarzy. Nagle wydawała się jakby młodsza, delikatniejsza.

– I wygrał – skonstatował.

– Owszem, a przy tym sprowokował tego radnego, aby zainwestował w walkę więcej, niż w rzeczywistości mógł sobie pozwolić. Arena zbankrutowała, a wraz z nią jej właściciel. Więcej już o nim nie słyszeliśmy.

Valer rozmyślał chwilę nad tym, jak niezwykle musiało być dzieciństwo Zuzanny. Dlatego patrzyła na świat zupełnie inaczej niż inne kobiety, z którymi miał do czynienia. Do tego była czarodziejką i wyrosła w towarzystwie Bakly'ego.

– I naprawdę nie boisz się, że przegra? Że Nerzeezi go zabije?

Spojrzała na niego z powagą.

– Nie boję się. Bo w to nie wierzę. A nawet gdyby tak się stało, potrafisz sobie wyobrazić lepszy dla niego koniec? On go sam szuka.

Już dawno to zauważyłam i za każdym razem, kiedy się z nim żegnam, liczę się z tym, że więcej już go nie zobaczę. I nie masz racji, zależy mi na nim.

Napiła się wina. Valer opróżnił swoją szklanekę i dolał im obojgu.

– Czasem zapominam, kim w rzeczywistości jesteś – powiedział i napił się raz jeszcze.

Przez chwilę wyglądała, jakby chciała coś na to odpowiedzieć, ale się rozmyśliła.

Rozdział 21

Na łowach



Rzecz skontrolowała okolice. Księżyc świecił przyćmionym blaskiem. Od oceanu ciągnął świeży powiew, w ciemności słychać było fale rozbijające się o skalisty brzeg.

W trakcie swej wyprawy z katakumb na powierzchnię nauczyła się kilku nowych rzeczy. Poruszanie się w formie niezorganizowanej masy było powolne i niebezpieczne. Pomimo iż panowała ciemność, ciepły wiatr powoli ją wysuszał. W rezultacie traciła zarówno na mobilności, jak i na zdolności kontrolowania swego ciała. Gdyby wyschła całkowicie, zdegradowałoby ją to do jednej z jej wcześniejszych, prymitywnych form.

Kolejną sprawą, z którą musiała się liczyć, było to, iż jej odizolowane części, na przykład w formie niezależnych szczurów, nie działały równie sprawnie co poprzednio. Kiedy trafiły na psa, nie przejawiały tej samej bojowości, jak kiedy kontrolowała je bezpośrednio. Do tego nie potrafiły regenerować się równie szybko. Naprawami i gojeniem musiała zarządzać sama, swym centralnym jestestwem. Już kilkukrotnie zastanawiała się nad utworzeniem podrzędnych jednostek obdarzonych częstkami jej głównej świadomości, jednak wspomnienie sytuacji, w której musiała walczyć sama ze sobą, skutecznie ją od tego pomysłu odwodziło. Niewygoda każdego oddzielonego intelektu było to, że prędzej czy

później chciał się usamodzielnic i wypowiadał jej posłuszeństwo, aby to on mógł się stać tym głównym, tym jedynym.

Rzecz stłumiła w sobie poirytowanie. Była jedna, sama, najważniejsza. Nikt inny.

Dotarła do chatyny postawionej z resztek kadłubów starych łodzi rybackich. Przez szpary ze środka sączyło się światło, dobiegał ją smród taniego łożu i odgłosy zabawy. Była to nielegalna speluna dla rybaków i przemytników, postawiona tanio i bez wysiłku w miejscu, gdzie podczas sztormu i wysokich przypływów morskie fale lizały jej ściany. Serwowano tu nieoclony, najtańszy alkohol najgorszej jakości, omawiano i uzgadniano szemrane interesy. Rzecz nie miała pojęcia, skąd to wszystko wie, musiała znaleźć skrawki pasujących informacji u swych rozmaitych ofiar.

Początkowo chciała otoczyć budynek, jednak porzuciła ten pomysł, kiedy zorientowała się, że musiałaby dać się zmoczyć słonej wodzie, która sprawiała jej ból. Nie potrafiła się przed nią obronić, nawet kiedy próbowała wytworzyć warstwę grubej skóry albo chityny.

Czekała w ciemności, jej oczy i pozostałe zmysły były wyteżone, skupione na otoczeniu. W knajpie znajdowało się siedmiu, ośmiu mężczyzn, był także ogień. Rzecz nie chciała ryzykować otwartego ataku, jednak rozpaczliwie wręcz potrzebowała ukoić swoje pragnienie nowych wzorów i masy, nasycić głód i odzyskać pełną kontrolę nad swym ciałem. Zastanawiała się, jak powinna postąpić, kiedy nagle otworzyły się drzwi i stanął w nich zataczający się mężczyzna. Odszedł kilka kroków na bok i zaczął opróżniać przepełniony pęcherz.

– Nie lej, kurwa, pod wiatr – Rzecz usłyszała, jak mamrocze do siebie pod nosem. Po chwili obrócił się na pięcie i wszedł do środka.

To była właśnie możliwość zminimalizowania ryzyka, uświadomiła sobie Rzecz. Wystarczy odrobina cierpliwości. Zaczęła transformować się w podobiznę człowieka z nożem, który ją poprzednio poranił. Szło jej dość ciężko, pomimo że już wcześniej próbowała tego w podziemiach. Tym razem nie chodziło jednak o przybliżoną podobiznę, która pozwalała jej na władanie częścią

własnego ciała z użyciem ludzkiej anatomii. Trochę pozmieniała. Nowo wytworzone ciało było silniejsze, masywniejsze, jednak bez przesady. Rzecz nauczyła się już, że kilkudziesięciokilogramowe szczury nie działają tak, jak się tego po nich spodziewała.

Wreszcie była zadowolona. Składanemu nożowi, w który uzbrojony był wzór, nie poświęcała zbyt wiele uwagi, zresztą nie знаła zbyt dobrze jego schematu. Wykształciła jedynie prostą broń, w połowie ostra klinga, w drugiej rękojeść z mieszaniny drewna, brązu i kości. To powinno wystarczyć, uznała.

Ustawiła się z boku, tak aby nie padało na nią ani światło z wewnątrz, ani morską wodą z rozbijających się fal. Rozstawiła wokół na czatach szeroki krąg szczurów, żeby nie dać się zaskoczyć. Zewnętrzny świat wciąż był dla niej zbyt wielki, praktycznie w ogóle go nie znała.

Księżyc zdążył się przesunąć o znaczny kawałek, zanim ze speluny wychynął kolejny gość. Ruszył jednak w innym kierunku niż poprzedni, co w pierwszej chwili napęliło Rzecz strachem. Nie była przygotowana do podążania za celem. Na szczęście zrobił jedynie parę kroków i najszybciej jak mógł oddał się zaspokajaniu swojej fizjo logicznej potrzeby. Rzecz ruszyła za nim. Skrzypienie piasku pod swoimi stopami odbierała szczurzymi uszami niczym dudnienie górskich lawin.

– Psiakrwio, ty tu czego? – zdziwił się mężczyzna i kopnął szczura, który zbyt blisko do niego zbliżył.

Rzecz poczuła, że ta część już się jej nie przyda. Kopniak przetrącił szczurowi kark. Będzie tylko musiała pamiętać, aby z powrotem wchłonąć jego ciało, szkoda tracić niepotrzebnie masę. Tymczasem stanęła tuż za mężczyzną, z nożem skierowanym w dół, po lewej stronie.

– A ty czego tu chcesz? Tyle masz plaży, żeby się odlać, czego na mnie włączysz? – Mężczyzna obrócił się ku niej.

Rzecz cięła od dołu ku górze. Odruchowo próbował zasłonić się ręką, ale nic mu to nie pomogło. Ostrze, nie zwalniając, zatoczyło ciasny łuk i cięło znów, tym razem w kark.

– Pomocy! – zdołał jedynie wycharzczyć mężczyzna i padł na kolana.

Rzecz powstrzymała się przed zadaniem trzeciego ciosu. Wzory najlepiej było czytać z jeszcze żyjących organizmów, po śmierci bardzo szybko rozpływały się w nicłość. Wszystkie szczury zbiegły się z powrotem ku niej, zlały z nią, by zwiększyć masę jej głównego ciała. Rzecz, ignorując fizyczne ograniczenia ludzkiego organizmu, urosła, wydłużyła się i zaczęła pochylać nad konającym człowiekiem, by wreszcie na niego spaść i pokryć rozlewającym się po piasku bezkształtem.

Kiedy skończyła pobieżne kopiowanie, musiała stłumić w sobie chęć, by natychmiast wziąć się do szczegółowego zaczytywania. W tej chwili ważniejsza była możliwość pochwylenia kolejnych wzorów, których tak pragnęła, możliwość zwiększenia swej masy. Znów uformowała się w podobiznę człowieka z nożem, tym razem poszło jej to o wiele łatwiej. Uświadomiła sobie, że przez ostatnich kilkadziesiąt minut zapamiętała się w pochłanianiu swej zdobyczy do tego stopnia, że przestała zwracać uwagę na okolicę. To nie miało prawa się powtórzyć.

Wróciła na swoje stanowisko pod speluną, rozmyślając, jak usprawnić cały proces, i czekając na kolejną ofiarę.



Wróciła do kanałów nad ranem. Cięższa o kilkaset kilogramów przetworzonej materii, bogatsza o cztery kompleksowe, skomplikowane wzory. Wiedziała, że w czasie pomiędzy ich pochwyleniem a dokładnym przeczytaniem utraci wiele detali, jednak nawet pomimo tego wciąż pozostawało jej do kopiowania rozkosznie wiele. Kiedy wyruszy na łowy następnym razem, pójdzie jej o wiele łatwiej. Wiedziała, że w wyniku dzisiejszej wyprawy nauczy się wielu nowych rzeczy. Żałowała tylko, że żadna z jej ofiar nie była czarodziejem. To poznała natychmiast. Czarodzieje musieli zapewne chadzać gdzie indziej.

Rozdział 22

W sypialni



Zabójca zakończył ostatnie przygotowania. Skontrolował broń i ekwipunek. Na ostrze noża naniesiona była świeża warstwa trucizny, kotwiczka starannie zaczerniona, z grotami owiniętymi cienkim sznurkiem, aby nie dzwoniły o kamień, krótki miecz w idealnym stanie.

Ubrany był w spodnie i luźną koszulę z ciemnoczerwonego jedwabiu, zamiast skórzanego pasa jedwabna szarfa, na nogach mokasyny na miękkiej podeszwie, w których mógł wyczuć nierówności podłoża. Jedwabna kominiarka z wąskim wycięciem na oczy leżała obok niego na podłodze.

Siedział przy oknie na poddaszu i obserwował posiadłość baronówny. Jej pokoje znajdowały się na pierwszym piętrze, co w przypadku wystawnej willi próbującej uchodzić za pałac oznaczało ładne sześć metrów nad ziemią. Początkowo tak dobrego widoku nie miał, jednak w toku przygotowań zdołał w stojącym na przeszkodzie cedrze powycinać nierzucające się w oczy prześwity.

Oddychał powoli, pozwalając krwi krążyć normalnym tempem, w regularnych odstępach napinał i rozluźniał mięśnie, aby były rozgrzane i gotowe.

Na zewnątrz szarzało. Keshua bezwiednie śledził ruch na posesji. Na pierwszy rzut oka patrole wydawały się nie mieć żadnego ustalonego porządku, jednak Ke shua spędził na ich obserwacji wystarczająco dużo czasu, aby dostrzec zamierzony rytm

i porządek. System był skomplikowany i obmyślony tak, aby wydawał się chaotyczny i przypadkowy, ale Keshua był w tego typu sprawach specjalistą i wiedział, że bez starannego planu nikt nie potrafi zapewnić stałej ochrony tak dużego terenu. Wystarczyło być cierpliwym i znaleźć klucz. Musiał jednak przyznać, że Koniasz i jego ludzie byli niezwykle przezorni. To go tylko utwierdziło w przekonaniu, że skonstruował właściwy plan – najpierw zaatakować cel łatwiejszy po to, aby móc się dostać do celu głównego.

Baronówna zajmowała trzy pokoje. Sypialnię, pomieszczenie, które Keshua na własny użytek nazwał buduar, i pracownię, gdzie przyjmowała większość gości. Niektórych wpuszczała też czasem do buduaru. Więcej wybadać nie zdołał ze względu na odległość i zasłony. Najwięcej informacji udało mu się zdobyć właśnie wieczorami, w trakcie zapalania świec.

Ulicą przeszli latarnicy. Lampa stojąca naprzeciw alei wytyczającej granicę posiadłości baronówny migiała niepewnie i dymiła, jakby knot miał w każdej chwili zgasnąć. Keshua przygotował go własnoręcznie i przekupił za dwa srebrne latarnika, aby go zamontował właśnie tam. Migotliwe światło miało sprawić, że czujkom będzie trudniej zwrócić uwagę na przypadkowy ruch. Dwóm kolejnym latarniom na najbliższych skrzyżowaniach brakowało większości oleju. To kosztowało Keshuę kolejne dwa srebrniki. Latarnik o nic nie pytał, tylko zgarnął pieniądze i skinął głową. Najwyraźniej musiał być nawykły do podobnych zamówień, złodziei i włamywaczy w mieście nie brakowało. Latarnicy wszędzie byli mizernie opłacani, Keshua dobrze o tym wiedział.

Wieczór przeszedł w noc, po ulicach wciąż chodziło sporo ludzi, jednak o tej porze kręcili się za rozrywką, nie za pracą. Mury promieniowały ciepłem, nie był to już jednak obezwładniający żar jak za dnia. Keshua czekał dalej, opanowany, rejestrując wszystkie dostępne informacje i podświadomie odkładając te istotne na później.

Na parterze domu na prawo od jego punktu obserwacyjnego ktoś z cichym przekleństwem otworzył skrzypiące okno. Na terenie

posiadłości baronówny na bocznej drodze dojazdowej stał pusty powóz, pewnie odprowadzą go do wozowni jutro rano. Zaczął wiać lekki wiatr, zabójca słyszał szelest liści na drzewach. Z zadowoleniem zauważył, że w ciągu ostatnich kilku dni ruch na posesji wrócił do normalnego rytmu. Żadnej mobilizacji, ludzi spieszących na zewnątrz albo wracających z powrotem. Keshua dodał dwa do dwóch i był prawie pewien, że to musiało mieć związek z niedawnym splądrowaniem pałacu markiza Parleura. Ponieważ informacja ta nie miała wpływu na jego plany, zachował ją dla siebie. Istotny był jedynie jego własny atak. A jeśli ludzie baronówny okażą się poranieni i wymęczeni, tym lepiej dla niego.

Latarnia po jego lewej stronie zaczęła przygasać, Keshua zgadywał, że do północy nie zostało już wiele czasu. Nie spieszył się, wciąż czekał. Jego akcja była zaplanowana niemalże co do sekundy, był w tym mistrzem.

Ruszył, zanim latarnia zgasła. Czuł, że to ten właściwy moment, bliżej rana wiatr mógł całkiem ucichnąć, co nie było mu na rękę. Podniósł przygotowaną tyczkę i skierował się do wyjścia. Poruszał się ostrożnie, wzdłuż belek, na których leżały deski podłogi, aby uniknąć skrzypnięć. W całkowitych ciemnościach pewnie zszedł na parter, pamiętając, by omijać stopnie, które hałasowały. Udało mu się nie obudzić żadnego z pozostałych mieszkańców, na ich własne szczęście. Nie zamierzał pozostawiać przy życiu potencjalnych świadków. Drzwi wiodące na ulicę były, jak co noc, zamknięte jedynie na skobel.

Wyjrzał na zewnątrz. Uliczna latarnia dawała w tej chwili tak niewiele światła, że ściany domu bardziej wyczuwał, niż dostrzegał. Przebiegł przez ulicę. Oparł tyczkę o mur, drugi jej koniec zablokował w szczelinie między kamieniami bruku. Oparł się o nią, tkwiła w miejscu solidnie. Stał na niej lewą nogą i jednym płynnym ruchem wybił się ku górze. Za górną krawędź muru zdołał chwycić jedynie opuszkami palców, ale to wystarczyło. Chwilę później leżał już na jego szczycie na brzuchu, starając się jak najlepiej zlać z otoczeniem.

Willę widział jedynie jako ciemniejszy obrys na tle nieba, budynek był bryłą jednolitej ciemności. W dół Keshua opuścił się o wiele wolniej, niż się wspiał. Na trawę zeskoczył tak miękko, że sam nie usłyszał żadnego dźwięku. Mógł trafić na przygotowane na nieproszonych gości sidła, ale nigdy nie dostrzegł, aby ludzie Koniasza je rozstawiali, więc się ich nie spodziewał. Oczywiście, mogli być i na tyle przewidujący, aby montować je po zmroku.

Ostrożnie ruszył przed siebie, korygując kierunek według willi i kęp krzewów na swojej drodze, odległość mierzył krokami. Wiatr wciąż szeleścił, ale owadów praktycznie nie było już słychać. Keshua posuwał się do przodu powoli, uważając, aby samemu nie robić najmniejszego hałasu. Wybrane wcześniej drzewo minął raptem o pół kroku. Wystarczyło wyciągnąć rękę, aby je znaleźć. Z zadowoleniem zauważył, że serce bije mu spokojnie, jedynie odrobinę szybciej niż w kompletnym spoczynku. U podnóża masywnego pnia dał sobie chwilę na to, aby uspokoić się zupełnie.

Na nogi założył kolce do wspinaczki. Palce miał na tyle silne, że bez problemu mógł chwycić się nierówności, jakie zapewniła mu kora wielkiej pinii. Rozgałęzienie, do którego zamierzał się dostać, znajdowało się mniej więcej dwukrotnie wyżej niż okno sypialni baronówny. Sięgnął do góry i szeroko rozstawionymi ramionami objął pień, po czym najpewniej jak mógł wbił w korę kolce. Nie miał w nich czucia, a sam pień był zbyt szeroki, aby Keshua mógł polegać jedynie na sile swoich ramion. No trudno, nie było sensu długo się nad tym zastanawiać. Wszelkie ryzyko zdążył przeanalizować wcześniej. W połowie drogi stopy mu się omsknęły i kolce zdołał wbić z powrotem dopiero o pół metra niżej. Zapłacił za to pokrwawioną twarzą i zdartymi opuszkami palców.

Kiedy dostał się do rozgałęzienia, jego spokój ulotnił się bez śladu. Oddychał urywanie, po szyi ściekał mu pot. Wszędzie indziej wchłonął go jedwab. Keshua rozsiadł się na konarze i dał sobie chwilę na uspokojenie. Wszystko szło według planu, nie było potrzeby się denerwować. Poranione palce bolały go i miał wrażenie, że utracił w nich częściowo czucie. Nie chciał, aby ból go rozpraszał. Sięgnął do rękawa i wydobył małą kulkę

kukurydzianego papieru. Zawierała coś, co przygotował właśnie na tego typu okoliczności. Mówiąc krótko, narkotyk. Zastanowił się chwilę. Jak to narkotyk, miał swoje wady i zalety. Oczywiście, mógł mu pomóc, jednak nadawał się jedynie na krótkotrwałe akcje. Za jego użycie Keshua będzie musiał później zapłacić. Ale to już później.

Połknął zawiniątko i czekał, aż ból całkiem ustąpi. Dodatkowo wyostrzyły mu się węch i słuch. Niestety, ten specyfik nie wspomagał widzenia w ciemności. Co prawda Keshua dysponował i takim, jednak jego skutki uboczne przyniosłyby więcej niedogodności niż pożytku.

Zmęczenie minęło jak ręką odjął. Z worka na plecach Keshua wydobył kotwiczkę uwiązaną do linki splecionej z ludzkich włosów. Nadchodził czas najbardziej ryzykownej części planu, której nie dało się w żaden sposób obejść. Każda akcja zależała od tych kilku chwil, które decydowały o sukcesie lub porażce.

Starannie nawinięte zwoje wziął w lewą rękę, kotwiczkę z półmetrowym zapasem linki w prawą. Zakręcił nią i przy piątym obrocie wypuścił w powietrze. Skraj dachu Keshua bardziej wyczuwał, niż widział, ale to nie był problem. Nie robił tego po raz pierwszy, wręcz przeciwnie.

Kotwiczka opadła na dach z niegłośnym grzechotem. Keshua stężał, nasłuchując. Konstrukcję dachu omówił w szczegółach i z pomocą dwóch butelek gorzałki z cieślą, który kiedyś pracował przy jego naprawie. Mężczyzna zaklinał się, że wykonał porządną robotę, dach miał być na tyle solidny, że zniósłby uderzenie huraganu.

Keshua odetchnął głęboko. Odgłos utonął wśród szumu liści i dźwięków patroli przechodzących poniżej. Zabójca powoli ściągnął linkę, aż poczuł, że kotwiczka się dobrze zahaczyła. Zakładał, że o krawędź solidnej kamiennej rynny biegnącej wokół dachu.

Powodzenie kolejnego etapu zależało od tego, aby linka pozostawała przez cały czas napięta i dobrze umocowana, tak żeby mógł się po niej dostać do okna sypialni baronówny. O ile dobrze wybrał kierunek, ale tego w tej chwili nie miał jak zweryfikować. Zawiązał sznur wokół wybranej w trakcie wcześniejszych wypraw

gałęzi. Zawiesił się na nim na próbę i zadowolony z efektu, zaczął powoli przesuwać się w stronę budynku. Jeśli udało mu się to, co zamierzał, powinien się dostać na gzyms wiodący do sypialni baronówny. Chwilę później zaczął wyczuwać bliskość ściany domu, która najcichsze nawet odgłosy nocy odbijała ledwie dosłyszalnym echem. Jeszcze kawałek i plecami dotknął muru. Chwilę wisiał jedynie na nogach, podczas gdy rękoma badał okolicę. Odrobine w lewo namacał szeroki gzyms, na którym mógł bez problemu przycupnąć. Ci, którzy mogli sobie na to pozwolić, stawiali ściany z jak najgrubszego kamienia, aby zapewniały jak najlepszą ochronę przed słonecznym żarem. Na tej willi nikt nie oszczędzał, ściany zewnętrzne miały dobry metr grubości, czemu odpowiadał również okazały gzyms.

Keshua wyciągnął kawałek cienkiego sznurka i uwiązał go do linki, z której wciąż jeszcze zwisał. Kiedy się z niej spuści, mogła skończyć się w górze, poza jego zasięgiem. Dzięki sznurkowi będzie ją mógł ściągnąć z powrotem w dół. Udało się. Dwa razy na próbę wyszukał koniec sznurka. Obrócił się następnie do okna, próbując dojrzeć cokolwiek wewnątrz. W kompletnych ciemnościach niemal nic nie widział. Okno było wystarczająco wysokie, aby przed nim stanąć, on jednak pozostawał przykucnięty. Wiedział, że na górze znajduje się lufcik, teraz, w nocy, otwarty, ale był on zbyt mały, aby się przezeń dostać do środka. Już wcześniej odwiedził miejscowego stolarza, aby dowiedzieć się, jak wygląda konstrukcja ram. Mimo iż dla najbogatszych klientów wyrabiane były z najwyższej jakości drewna, zazwyczaj tekowego, po kilkuletnim działaniu słońca i upału wszystkie się nieco kurczyły. Tworzące się w ten sposób szpary uszczelniano, naklejając warstwę miękkiej tkaniny. Zabójca namacał szparę pomiędzy oknem a ramą, drugą ręką wyciągnął zza pasa brzytwę. Była zaostrzona do grubości papieru. Keshua wcisnął ostrze pomiędzy ramę a framugę i przez chwilę szukał nim haczyka. Poczul opór – znalazł go. Gdyby siedział zbyt ciasno, aby go ruszyć, nic by na to nie mógł poradzić. Na szczęście poczul, jak haczyk powoli ustępuje.

Delikatnie pchnął okno, które uchyliło się z cichuteńkim szelestem. Keshua schował brzytwę i przez chwilę czekał. Z wewnątrz nie słyszał żadnych dźwięków, pomieszczenie mogło być puste. Wiedział, że nie było, wyczułby to. Baronówna spała wewnątrz, zdradzały mu to rozliczne detale, ledwie wyczuwalne na granicy percepcji. Oparł się dłonią o parapet i najciszej jak potrafił wślizgnął się do środka.

Posuwał się do przodu drobnymi kroczkami, jedna ręka wyciągnięta do przodu, aby móc namacać ewentualne przeszkody, w drugiej nóż gotowy do ataku. Nóż z zatrutym ostrzem, przypomniał sobie. Musiał być ekstremalnie ostrożny. Oddychał głęboko i powoli, tak aby szum powietrza w nosie i płucach go nie ogłuszał. Namacał chłodne drewno, sądząc po zdobieniach, krzesło. Łóżko powinno być bardziej na prawo, zgadywał.

Dokładnie z tego kierunku dobiegł go szelest pościeli. Keshua stęzał w pół kroku, ze stopą wciąż kilka centymetrów nad podłogą. Cisza. Ktoś przekręcił się we śnie. Dźwięk mu pomógł, zdradził mu, że zmierza we właściwym kierunku, że ma już cel w zasięgu.

Kolejny ostrożny krok.

Poczuł ciepło, ktoś był blisko, uświadomił sobie, ale dopiero lecąc już na podłogę. Nie zdążył nawet zareagować. Padając, pchnął nożem w kierunku, w którym wyczuwał bliskość przeciwnika, w coś trafił. Zanim zdążył wyswobodzić nóż, ktoś silny i ciężki zamknął go w uścisku. To nie mogła być kobieta. Poczuł umięśnione ramię na własnej ręce, pięty wbijające mu się w pachwiny. W ostatniej chwili cofnął rękę z nożem, co uchroniło go przed dźwignią, pozostawał jednak nadal w uścisku. Udało mu się skulić i nieco obrócić, obaj uderzyli w jakiś mebel. Keshua kurczowo trzymał nóż i za wszelką cenę starał się go nie upuścić. Mógłby się sam nim skaleczyć. Drugą rękę zdołał wcisnąć między siebie a ciało przeciwnika, spróbował sięgnąć do jego krtani. Znów się przetoczyli, tym razem w drugą stronę. Przeciwnikowi udało się pochwycić jego nogę, groziło mu, że zostanie całkowicie unieruchomiony. Keshua zdołał namacać szyję napastnika, ale w na wpół uwięzionej ręce zwyczajnie nie miał dość siły. Tamten pomógł sobie kolanem i zahaczył go pod łydką, uścisk

wzmocnił się. Keshua uświadomił sobie, że ma jedynie parę chwil, jego przeciwnik był znakomitym zapaśnikiem. Zbierając w sobie wszystkie siły, sięgnął jeszcze raz do gardła, ale zanim zdołał ścisnąć, mężczyzna błyskawicznie zareagował i się wyrwał. Minimalnie jednak rozluźnił przy tym uścisk. Znow się kilkakrotnie przeturlali, przewracając krzesło i stół, przy jednym z uderzeń Keshua stracił nóż. Zdołał zebrać się w sobie i wyswobodzić z uścisku. Błyskawicznie znow poleciał na ziemię, kiedy tamten chwycił go za nogę. Padając, zabójca zrobił fikołka w tył, dzięki czemu zwiększył dzielący ich dystans, stawał na nogi już z mieczem w ręku.

Zasyczała lampa i światło zagnało ciemność do odległych kątów.

Keshua zorientował się, że stawiał mu czoła kapitan Valer, czyli Koniasz. Był nagi, w rękach nie miał żadnej broni. Przy lampie stała baronówna Münchauzen w prześwitującej nocnej koszuli do pół uda.

Są kochankami, uzmysłowił sobie Keshua. Z tym się nie liczył. Błąd. Powinien się był zainteresować również informacjami personalnymi. Może zdoła jeszcze to wykorzystać przeciw Koniaszowi. Nie wiedział, gdzie podział się nóż, ale przynajmniej miał teraz w ręku miecz. To mu dawało przewagę. No i może zranił Koniasza, pamiętał, że na początku walki ostrze zdołało czegoś sięgnąć.

Skoncentrował się na tu i teraz. Zgadywał, że ma do dyspozycji najwyżej kilka sekund, zanim ci dwoje się opamiętają i zaczną wołać o pomoc. W ręce baronówny nagle pojawił się sztylet. Musiała go mieć gdzieś pod ręką, na nocnym stoliku albo wręcz w łóżku. Wystarczyło mu jedno spojrzenie, aby się zorientować, że nie trzyma go po raz pierwszy, wręcz przeciwnie.

Przesunęła się bardziej w lewo, aby znalazł się między nią a jej kochankiem. Może to rzeczywiście nie był Koniasz, przeszło mu przez głowę, wszyscy opisywali go jako chudego, niezwykle żylastego człowieka. Ten tutaj miał ciało atlety, zapaśnika. Baronówna nieznacznie skrzyła rękę, w której trzymała broń, ostrze celowało teraz w dół. Valer przesunął przednią nogę

o szerokość stopy, aby zyskać stabilniejszą pozycję, nieznacznie się pochylił.

Oni nie zamierzali wołać o pomoc, oni chcieli go zabić, zorientował się Keshua zaskoczony. Valer chwycił z ziemi kołdrę, Keshua zrozumiał, że to w nią trafił jego nóż przy pierwszym ataku. Jego przeciwnik znów planował jej użyć, tym razem przeciw mieczowi.

Oboje poruszali się niczym zsynchronizowani, baronówna, przechodząc koło parawanu, chwyciła za przewieszoną przezeń suknię. Keshua doskonale wiedział, co będzie chciała z nią zrobić. Zarzuci ją na niego, wtedy zaatakuje Valer. Ci dwoje byli bardzo wprawni i zachowywali się jak doskonale zgrany zespół. Nawet gdyby zdołał ich pokonać, nie rozprawi się z nimi szybko, a jego szanse na ucieczkę malały z każdą chwilą. Oszacował odległość od okna, nabrał w płuca powietrza, lewą ręką zerwał z paska woreczek wypełniony proszkiem z egzotycznej trującej rośliny i ścisnął go, aby pękł. Kopniakiem posłał w kierunku Valera krzesło, cisnął garść proszku między siebie i przeciwników i rzucił się do okna.

– Stój, nie oddychaj! – usłyszał za sobą żeński głos.

– Alarm, napastnik w domu! – zawtórował mu męski.

Keshua pociągnął za sznurek, przyciągając do siebie linkę, i równocześnie wyskoczył do góry. Zdołał ją pochwycić, choć mało się nie puścił. Linka i kotwiczka wytrzymały. Z zapartym tchem, używając tylko rąk, dostał się po linie do rozgałęzienia pinii. W dół nie tyle zszedł, co praktycznie spadł i puścił się sprintem do muru, słysząc już za sobą odgłosy pogoni. Nie było czasu na wspinaczkę, wybił się tak wysoko, że zdołał chwycić krawędź. W mgnieniu oka był na górze. Przebiegł przez ulicę i wpadł w okno na parterze, o którym pamiętał, że jest otwarte. Zanim ktokolwiek zdążył się rozbudzić, był już na strychu, skąd uciekł po dachach. Zdyszany zatrzymał się, dopiero kiedy odbiegł na odległość, którą uznał za wystarczającą. Ręce miał poharatane i poparzone od obłądnego pokonywania przeszkód, na twarzy nie wiedzieć skąd siniec. Kolana, łokcie i wiele innych stawów pulsowały bólem po zapasach i szaleńczej ucieczce. Ale nożem się nie drasnął, tego był pewien, bo

czuły już zaczynający się paraliż. A może nie? Może wciąż brała górę krążąca mu w żyłach adrenalina? Nie wiedział, czekał.



Odziany tylko w spodnie i koszulę Valer w milczeniu wysłuchiwał raportu swoich ludzi. Ani na terenie posesji, ani w najbliższej okolicy nikogo nie udało im się znaleźć. Kyryzi z Gruberem dokładnie przeszukali sypialnię.

Owinięta jedynie szlafrokiem Zuzanna uświadomiła sobie, że zostawili z Valerem łóżko tak, jak z niego wyskoczyli. Z filiżanką kawy, o którą poprosiła Monikę, podniosła się i ukryła swoją bieliznę pod poduszką. Potem przyglądała się, jak Kyryzi wspina się na parapet i bada drogę, którą zabójca dostał się do środka. Instruował kogoś na dole, aby się przyjrzał konkretnemu drzewu. Gruber badawczo zlustrował ciemną plamę na kołdrze, którą Valer zasłonił się przed atakiem, potem jeszcze uważniej przestudiował sam nóż.

Zuzanna usiadła, w miarę jak spadał jej poziom adrenaliny, czuła się coraz bardziej zmęczona i zaczynał ją przepełniać niepokój. Nie potrafiła tego dokładnie opisać, ale przypominał jej w pewien sposób ten wstrząs, który ją tutaj, w Grafzaty, na jakiś czas obezwładnił. I jego późniejsze nawroty. Musiało to mieć coś wspólnego z mocą tutaj, w mieście. Zmieniało się magiczne tło, przyszło jej do głowy. Może właśnie to tak na nią niekorzystnie wpływało.

Badanie śladów zostawiła mężczyznom, powiedziała im wszystko, co wiedziała, i nie czuła dalszej potrzeby, aby brać w tym udział. Własny spokój ją zaskakiwał. Po ataku mordercy powinna być wstrząśnięta, zdenerwowana. Tymczasem jedyne, co czuła poza zmęczeniem, to niezadowolenie z tego, że nie udało im się go zabić. To ją wręcz wyprowadzało z równowagi, bardziej niż sam atak. Znała to uczucie. Wyobcowanie, chłodna kalkulacja niebezpieczeństwa, odwety i kontrataki bez żadnych skrupułów.

Przychodziło zawsze po dniach czy tygodniach walk, ucieczek i intryg. A przecież tutaj czuła się bezpieczna. Czy może jednak nie?

Pracownia stopniowo się wyludniała, została już tylko ona, Valer, Kyryzi i Gruber. Ci dwaj ostatni mieli zająć się śledztwem w sprawie ataku. Był jeszcze Basky, który uparł się, że chce się upewnić, czy wszystko z nimi w porządku. Nie sprzeczała się, ze względu na truciznę rozumiała go.

Początkowo Valer skupił się na postawieniu ludzi w stan natychmiastowej gotowości, na wypadek gdyby willa miała zostać zaatakowana. Tak się jednak nie stało i wraz z nadchodzącym rankiem było to coraz mniej prawdopodobne.

– To był atak pojedynczego napastnika, zabójcy, asesyna specjalisty – podsumował wszystkie zebrane informacje Gruber.

– Zatruty nóż, sprzęt, długotrwałe planowanie. Gość, który potrafi rozplynać się w powietrzu, będzie teraz uważał, żeby się przez dłuższy czas nie wychylić. Zgadywałbym, że się gdzieś natychmiast zadekuje. Nie potrafilibyście przypadkiem go opisać? – spytał, spoglądając na swego przełożonego i Zuzannę.

Valer pokręcił tylko głową.

– Kombinezon, maska, wycięcie na oczy. Wytrenowany zabójca, do ostatniej chwili próbujący wypełnić swe zadanie – opisał.

– Którym było...? – spytała Zuzanna.

– Zabić ciebie – odparł wprost Valer.

– To nie ma sensu. Czemu ktokolwiek chciałby zabić baronównę Münchauen? – nie zgodziła się z nim.

– Z powodu handlu? A może rozpoznał cię ktoś z przeszłości? – zgadywał.

– Nie wydaje mi się. – Wzruszyła ramionami.

Rozmowa utknęła w martwym punkcie.

– Panowie, jeśli nie macie dla mnie nic więcej, sugeruję, abyśmy na tym zakończyli – dała im do zrozumienia, że chce zostać sama.

Basky skinął głową, Gruber z Kyryzim zasalutowali, Valer się podniósł.

– Jak teraz sobie pójdiesz, będziesz tego strasznie żałować – ostrzegła go, kiedy tamci trzej zniknęli za drzwiami.

– Nawet mi to przez myśl nie przeszło. Tylko za nimi zamknę i skontroluję okna.

– Kłamczuch. – Obdarzyła go zmęczonym uśmiechem. – Nie chcę wracać do sypialni. Jutro każę ją uporządkować i poprzestawiać meble. Dotrzymasz mi towarzystwa do rana?

Zamiast odpowiedzi Valer przyniósł z sypialni pościel i zaimprovizował jej łóżko na kanapie. Sam wyciągnął się na dwóch zsuniętych fotelach.

– Zgasić światło? – spytał, ale ona już spała.

Sam zasnąć nie zdołał. Czuwał po cichu w ciemnościach i rozmyślał nad tym, jak przyspieszyć jej plan wyjazdu z Grafzaty. Ich plan.

Rozdział 23

Strach



Gruman wrócił do domu późnym popołudniem, wysuszony na wiór albo i jeszcze bardziej. Przez cały dzień nic nie jadł, ale głodu na razie nie odczuwał. Usiadł na krześle, ściągnął z siebie koszulę i pozwolił, aby chłodne powietrze owiało go z żaru dnia. Corinne postawiła przed nim dzban wody z piwnicy. Gruman wypił dwie trzecie, a resztę

wylał sobie na głowę.

– Podczas sjesty na dwór wychodzą tylko szaleńcy i ci, którzy chcą umrzeć na przegrzanie mózgu – powiedziała Corinne.

– Rzeczywiście, dziś zrozumiałem, że to powiedzenie należy brać dosłownie – zgodził się. – Ale chciałem obejść jak najwięcej, żeby wypracować sobie pełny obraz.

Przyglądał się jej, jak przynosi kolejny dzban z wodą. Podobało mu się, jak się porusza, jak trzyma naczynie. Cała mu się podobała.

– Obraz czego? – zjawił się jak spod ziemi Haak.

Corinne chciała go ofuknąć, żeby nie wtrącał się do rozmowy, ale Gruman ją powstrzymał.

– Niech posłucha. Im więcej będzie wiedział, tym będzie ostrożniejszy. Mogę dostać coś do zjedzenia?

Corinne przytaknęła i poszła do kuchni. Gruman przysłuchiwał się jej krokom, szcękaniu naczyń. Z ulgą rozsiadł się wygodniej na krześle. Jakaż to przyjemność mieć kogoś, kto jest skłonny wyświadczać mu drobne łaskawości, równie przyjemnie było mieć

kogoś, komu sam mógł wyświadczać drobne łaskawości. Zamknął oczy i otworzył je, dopiero kiedy usłyszał stuknięcie kamionkowej miski o drewno. Oprócz jedzenia – faszerowanych placków – na stole postawiła jeszcze dwie szklanki, do których nalała piwa.

– A dla mnie? – zapytał urażony Haak.

– Jak będziesz miał męską robotę, dostaniesz męski napitek – usłyszał odpowiedź, na co Gruman nieznacznie się uśmiechnął.

– Czym na to zasłużyłem?

– Niczym. Miałam dobry dzień, zarobiłam więcej, niż oczekiwałam.

Gruman zatrzymał dla siebie uwagę o tym, że pieniędzy mieli dość, ale postanowił, że musi tę kwestię rozwiązać później. Nie wiedział jeszcze jak, ale jakoś sobie z tym poradzi. Oboje się napili.

– Obszedłem dziś praktycznie całe nabrzeże. Rozmawiałem z żebrakami, tymi, co śpią pod gwiazdami, wypytywałem właścicieli najgorszych możliwych spelun, gadałem z rybakami. Wszyscy mówią to samo: w ostatnim czasie znikają ludzie.

Napił się jeszcze.

– Może znów walczą ze sobą gangi? – zasugerowała Corinne. – Zawsze wtedy znika sporo ludzi, których potem wyrzuca morze.

Gruman pokręcił głową.

– Pytałem i o to, ale nikt na ten temat nic nie słyszał. Nikt nikomu nic nie kradnie, nie ma żadnych awantur, żadnych trupów. Zwyczajnie jest cisza i spokój i tylko znikają ludzie. W ciągu ostatnich kilku dni naliczyłem dziewiętnastu.

Zrobił znaczącą przerwę.

– To sporo – powiedziała Corinne, wypuszczając głośno powietrze.

– Zaginęli czterej żebracy – zaczął wyliczać Gruman – cały personel nielegalnej gospody, kilku gości, którzy przepadli w drodze powrotnej z wyszynku. I jeden chłopak, który wieczorem uciekł z domu przed laniem i rano już nikt nie zdołał go odnaleźć. – Spojrzał znacząco na Haaka.

Ten pogładził matkę po ręku.

– Mama mnie nie bije – zachnął się.

– To wiem. Po prostu nie szwendaj się po ulicach po zmroku, choć wiem, że jesteś już duży. Przez parę dni. I unikaj ciemnych kątów.

Haak milczał.

– Parę dni – powtórzył Gruman – słowo.

Podali sobie ręce.

– Przeszedłem się po miejscach, gdzie ci ludzie się zawieruszyli – kontynuował Gruman. – Za każdym razem znajdowały się niedaleko wylotów kanalizacji. I to tych dużych kanałów, co to wyglądają jak tunele.

Zastanawiał się, czy w ogóle zwróciłby na to uwagę, gdyby nie wiedział, że czarodzieje wpuścili COŚ do kanalizacji. I to COŚ zaczęło właśnie pożerać ludzi. Na głos nie powiedział nic.

– Trzymaj się z dala i od kanałów, dobra?

Haak z powagą skinął głową. Strach, że w kanałach pod miastem coś się skrywa, towarzyszył mu od małego, powracał do niego w koszmarach. Teraz, potwierdzony słowami i ostrzeżeniem dorosłego, zmienił się w przerażenie.

Gruman bez pośpiechu popijał piwo i słuchał, jak Corinne opowiada o swoim dniu. Haak stracił zainteresowanie rozmową i pobiegł się bawić.

– Nikt ci się nie naprzykrzał? W sprawie Durgeza? – zapytał, kiedy zostali sami. – Nikt o mnie nie wypytywał?

– Durgez już dawno został zapomniany – odpowiedziała Corinne. – Takich jak on każdy zapomina z ulgą. No a ty oczywiście stałeś się przedmiotem wielu plotek. – Przybrała rozbawiony wyraz twarzy. – Baby wypytyują, gdzie cię znalazłam. Podobno wyglądasz całkiem przyzwoicie.

– A ty co im mówisz?

– Że jesteś rybakiem, który stracił swoją łódź.

– Przecież nie jestem rybakiem, od razu po mnie widać.

– To prawda, ale jako odpowiedź wystarczy.

Gruman tylko pokiwał głową. Corinne dołała mu bez pytania.

– Spróbuję dowiedzieć się o tych znikających ludziach czegoś więcej od tych, którzy mogą coś na ten temat wiedzieć – pomyślał na głos.

Początkowo nie chciał się już z Janickiem i jego ludźmi spotykać, ale teraz zmienił zdanie. Informacja o tym, ilu ludzi zniknęło, mogła być dla czarodzieja istotna. A przy okazji może sam się czegoś dowie.

– Czemu? – spytała Corinne wprost.

– To może być coś niebezpiecznego.

– Dla nas? Nawet jeśli będziemy uważać na kanały? – Spojrzała na niego podejrzliwie.

– Ty w to nie do końca wierzysz, co?

– Wierzę w morderców, w bójki między rybakami, które mogą się nieszczęśliwie skończyć, w przepychanki między gangami. Ale nie w potwora skrywającego się w kanałach.

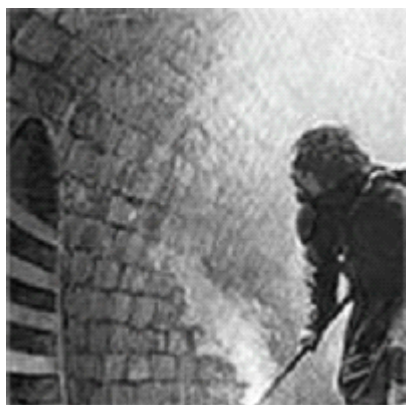
– To dobrze. – Gruman pogładził ją po ręce.



Rano wstał wcześniej, jeszcze przed świtaniem. Wymknął się z łóżka. Powietrze było przyjemnie chłodne, Co rinne jedynie się poruszyła. Cienka kołdra zsunęła się i odsłoniła jej piersi. Chwilę się jej przyglądał i musiał zwalczyć w sobie chęć, aby wrócić do łóżka, wtulić się w nią i poczekać, aż sama się przebudzi. Sama albo z jego niewielką pomocą. Nakrył ją pod szyję, naciągnął spodnie i, wciąż bosy, zbiegł do piwnicy, gdzie znajdował się zapas wody. Złapał dwa trzydziestolitrowe cebrzyki, nosidło, buty założył dopiero na ulicy i ruszył do miejskiej studni. Świat nie zapełnił się jeszcze kolorami. Niebo, ściany i ulica pod jego stopami miały rozmaite odcienie szarości. Mimo tak wczesnej pory nie był pierwszy, musiał ustawić się w kolejce. Ta szła szybko, napełnił oba wiadra i ruszył z powrotem. Powoli nabierał wprawy w tym, jak chodzić, aby nie rozlewać. W piwnicy rozlał wodę do mniejszych, kamionkowych naczyń. Napił się, skończył się ubierać i ruszył na spotkanie z czarodziejem. Nie było sensu go odkładać.

Rozdział 24

Narodziny stratega



Janick nie mógł uwierzyć, że zamierza zstąpić do podziemi, aby zniszczyć istotę, którą sam przed kilkoma tygodniami tam wpuścił. Nie widział jednak żadnej innej możliwości. Z Grafzaty uciec nie mógł, podobnie jak i nikt inny, kto przejawiał choć odrobinę magicznego talentu. Postarało się o to *exploiddum*– nie potrafił właściwie przełożyć tego słowa, ale przypuszczał, że oznaczało z grubsza „zabezpieczenie”. W starych zapiskach pojawiało się kilkukrotnie. Janick nie umiał sobie nawet wyobrazić struktury zaklęcia o tak szerokim zasięgu terytorialnym, ale to akurat nie było w tej chwili istotne. Co było ważne, to to, iż nawet po kilku stuleciach uwięziło go w Grafzaty.

Było gorąco. Otarł z czoła pot. Czy to, na co się porywał, było rozsądne? Oczywiście, że nie, ale nic innego mu nie pozostawało.

Nie musiał się skupiać na drodze, jego milczący przewodnik wiódł go pewnie do miejsca, które wcześniej ukazał mu na mapie. Uskoczyli przed lektyką, którą niosła czwórka rozebranych do pasa mężczyzn. Pot lał się z nich strumieniami. Powinni byli sami kazać się na miejsce zanieść, przyszło mu do głowy. Trochę to jednak do niego nie pasowało, a i zabójca pewnie by się nie zgodził. Zresztą teraz i tak było wszystko jedno. Przechodzili właśnie przez placyk Bluta, byli prawie na miejscu.

Widział już przejście wiodące do zaułka pomiędzy dwoma rzędami domów. Znajdowało się tam wejście do szybu prowadzącego w dół, do kanalizacji. Wiedzieli o nim z planów sporządzonych wcześniej przez jego ludzi, jak i ze starych map, które udało mu się pozyskać. Idealne, by dostać się do podziemi. Na normalnej ulicy wzbudzałiby zainteresowanie, ktoś mógłby zacząć zadawać niewygodne pytania. Dodatkowo wejście, które wybrali, miało do siebie i to, że znajdowało się niedaleko centrum systemu kanalizacyjnego.

– Jesteśmy wcześnie, poczekajmy na pozostałych w gospodzie. – Wskazał na stoły pod słomianym zadaszeniem.

Milczący zabójca skinął tylko głową. Pojawił się dwa dni wcześniej z niepokojącą informacją o znikających ludziach. To było kolejnym fragmentem w układance Janicka. Nieprzyjemnym, ale istotnym fragmentem, który utwierdził go w tym, co podejrzewał. Ku zdziwieniu czarodzieja zabójca zgodził się towarzyszyć mu w dzisiejszej wyprawie. Najwyraźniej nawet nie przeczuwał, jak jest niebezpieczna.

Janick usiadł i zamówił dla nich obu po piwie. W starych tekstach powtarzało się kilkakrotnie, że zaatakowali zbyt późno, że Akroove zdołało urosnąć w siłę. W jednej z ostatnich notatek piszący zauważył, że atakując stopniowo, dali istocie możliwość rozwijania się, uczenia. Janickowi wydawało się to absurdalne, ale na wszelki wypadek postanowił ruszyć z pełnymi siłami, jakie miał do dyspozycji. To oznaczało siedmiu ludzi, z których każdy lepiej lub gorzej władał jednym, dwoma użytecznymi zaklęciami. Do tego garść artefaktów – aktywnych kryształów zawierających strukturę konwertującą magiczną energię w falę żaru. Po tych tak naprawdę Janick obiecywał sobie więcej niż po magicznych zdolnościach własnych czarodziejów.

Z nagłym zainteresowaniem spojrzął na dziecko stojące przy ścianie. Był to pięcio-, sześciolatek chłopiec, uwagę czarodzieja przykuła zaś jego nienaturalna sztywność. Chłopiec intensywnie się w coś wpatrywał. Janick podążył za jego spojrzeniem i zorientował się, że chłopak obserwuje wylot kanału. Czarodziej popatrzył

uważniej i dostrzegł, że otwarta kratka leży o kilka kroków obok. Jakby ktoś coś naprawiał, jednak w okolicy nie widać było żadnych robotników.

Chłopiec wykonał pierwszy niepewny krok w kierunku kanału, Janick bacznie go obserwował. Widział, jak w dziecięcej twarzy miesza się strach i ciekawość, jakby chłopczyk nie mógł się zdecydować, czy chce, czy nie chce iść dalej. Kolejny krok. Janick wstrzymał oddech. Tego malca coś przyciągało do kanału, coś nim owładnęło i próbowało go nakłonić, aby wszedł do podziemi. Nie mógł to być przypadek. Wyglądało na to, że ich przeciwnik pozyskał nowe zdolności. A zapiski dawnych czarodziejów były jednak prawdziwsze, niż Janickowi się początkowo wydawało.

Chłopiec był już w pół drogi, przerwy między pojedynczymi krokami stawały się coraz krótsze. Janickowi wydało się jasne, że dziecko przegrało, że cudza wola nad nim zwyciężyła.

Gruman nagle wstał, w kilku różnych krokach podszedł do chłopaka, poklepał go po ramieniu, do ręki wcisnął parę drobniaków i kazał mu uciekać. Następnie podszedł do kratki, podniósł ją i zamknął wlot do kanału. Potem bez słowa siadł i dopił swoje piwo.

Janick oczekiwał wyrzutów o to, że sam się nie ruszył, ale zabójca milczał. Tymczasem dotarła pierwsza grupa czarodziejów. Wiódł ich Klinsman. Odnalazł wzrokiem Janicka, po czym zatrzymał się opodal ze swoimi ludźmi i zaczął z nimi dyskutować. Czekali na jeszcze trzech kolejnych, tych miał przyprowadzić Buerpo. Wszyscy naraz nie mogli przybyć, żeby w tak dużej grupie nie przyciągać niepotrzebnej uwagi. Buerpo znów zaczynał snuć przeciw niemu intrygi, ale w obecnej sytuacji Janickowi tego typu problemy wydawały się nader błahe. Wszystko było nader błahe w porównaniu ze śmiercią w kanałach.

Znów próbował wymyślić jakiś sposób na to, aby sam nie musiał schodzić pod ziemię. Zdołał przekonać swoich ludzi, że jedynym sposobem na przeżycie jest zniszczenie istoty w kanałach. Wystarczyło pokazać im wybrane fragmenty przełożonych tekstów i dać się zorientować, że nie są w stanie opuścić miasta. Jeden wręcz przypłacił życiem próbę wyjazdu z Grafzatty. Janick zgadywał, że

nie wytrzymało serce. Wreszcie zdołał ich nieco pokrzepić i tym, że pomiędzy co gorliwszych ochotników rozdzielił artefakty, talizmany ochronne i wszystko inne z klanowego składziku, co potencjalnie mogło im pomóc. Jednak nie znalazł sposobu, jak się samemu z tego wszystkiego wymigać. Był przecież przywódcą, więc oczekiwali, że będzie ich wiódł. On jednak nie spodziewał się, że ta rzecz okaże się być tak blisko. Wyobrażał sobie raczej długie oczekiwanie w podziemiach, a potem może... potem nie wyobrażał sobie nic. Hipnotyczny trans chłopca, który nieomal sam wszedł w czającą się w ciemnościach paszczę, przeraził Janicka bardziej, niż sobie w pierwszej chwili uświadamiał.



– Jesteśmy chyba już wszyscy. – Zabójca wskazał na kolejną grupkę czarodziejów.

Ci ciągnęli ze sobą wózek załadowany narzędziami i przyozdobiony znakiem z miejskim godłem. Nosili pobrudzone robocze ubrania, jakby przyszli prosto z jednej roboty na drugą. Był to pomysł Grumana, który chciał, żeby ich kamuflaż był jak najbardziej przekonujący.

– Idziemy – zakomenderował Janick z udawaną werwą. Sam najchętniej wziąłby nogi za pas, jednak wiedział, że nie może. Był przywódcą klanu. Swojego klanu.

Rozstawili się na placyku pomiędzy rzędami domów, postawili wózek obok pokrywy wjazdu i umieścili znak tak, aby był dobrze widoczny. Zanim zdążyli otworzyć wjazd, pojawił się przy nich zasuszony staruszek.

– Kontrola kanałów, sprawdzamy, czy wszystko w porządku – wypalił do niego Klinsman, zanim tamten zdążył o cokolwiek zapytać. – Nie szwendajcie się tu. Żebyście mi potem nie biadolili, jak ze środka wypadnie parę szczurów i was pogryzą.

Staruszek chwilę przyglądał się Klinsmanowi wzrokiem bez wyrazu, ale wreszcie obrócił się na pięcie i odszedł.

– Otwierajcie – zakomenderował Janick, mając nadzieję, że odmówią, że roześmieją mu się w twarz.

Przecież musieli widzieć, jak strasznie się bał, jak bardzo nie chciał schodzić na dół. Wziął mapę i udawał, że ją studiuje. Dwaj ludzie posłusznie unieśli pokrywę hakami i odłożyli na bok. Była większa i dużo cięższa niż kratki zamykające wyloty kanałów na ulicach.

Otworzył się przed nimi widok na rząd drewnianych stopni w dół, owionął ich wilgotny smród rozkładu. Klinsman zapalił jedną z przygotowanych pochodni i poświecił do wewnątrz. Dno wydawało się Janickowi nieziemsko oddalone. Co ma zrobić, żeby nie musieć tam schodzić?

– Spuście w dół lampę. Pierwszy pójdzie Klinsman, za nim pozostali. Szyb znajduje się na skrzyżowaniu dwóch głównych kanałów. Należą do tych największych, ponad dwa metry – recytował zapamiętane z mapy detale.

Ta rzecz była tak blisko! Według asasyna zabiła ponad dwadzieścia osób, on sam był świadkiem jej hipnotycznej mocy. Przecież tam nie zejdzie!

Głośno kontynuował jednak pewnym, rozkazującym tonem:

– Ścieki powinny płynąć dnem kanału, nawet się nie ubrudzimy. Na dole posuwajcie się o dwa kroki, żeby zrobić miejsce kolejnym, ale nie dalej! Nie możemy stracić ze sobą kontaktu. Potem druga grupa, rozstawiajcie się tak, aby zawsze przynajmniej dwóch ludzi miało baczenie na każdy z tuneli. Ja ostatni. Ty będziesz pilnować na górze – wybrał jednego z czarodziejów.

Nazywał się Kasvik i był prawą ręką Lavarotiego. Teraz dołączył do kliku Buerpa. Jakże chętnie zamieniłby się z nim miejscami, ale przecież nie mógł. Jego ludzie najpierw spuścili do szybu lampę, po czym posłusznie zaczęli schodzić. Janick uświadomił sobie, że trzęsą mu się ręce. Ukrył je jak najgłębiej w rękawach.

– Jestem na dole, schodźcie – odezwał się przytłumiony głos Klinsmana.

Janick miał wrażenie, że ta rzecz w podziemiach go widzi, że doskonale wie, gdzie się znajduje, i tylko czeka, aż sam wejdzie jej

prosto w szpony.

– Buerpo, możecie schodzić! Dalsza czwórka! – dudnił z dołu Klinsman.

Janickowi wydawało się, że coś słyszy, że czuje smród niehumanoidalnego stworzenia, ale pozostali zachowywali się normalnie. Jeszcze jeden i przyjdzie jego kolej. Popatrzył na zabójcę. Nie miał nad nim żadnej władzy, gdyby ten wypowiedział posłuszeństwo, czarodziej nie miałby nic do powiedzenia. Tamten jednak podszedł bliżej wy lotu szybu, najwyraźniej sam zamierzał zejść do podziemi.

– Szczur! Ale wielki! – krzyknął ktoś.

– Idzie na mnie!

Rozległ się bolesny krzyk.

– Z kopa mu! – radził inny.

– Pomóżcie!

– Coś widzę, ale nie wiem, co to!

Janick niepewnie postąpił w stronę szybu, jakby zamierzał zejść na dół, ale strach mu na to nie pozwolił. Na szczęście ubiegł go Gruman, który bardziej po stopniach zjechał, niż zbiegł.

– Co to jest, do cholery?

Janicka ogłuszyło jadowite syczenie i uderzyła go fala gorąca, równocześnie ktoś potwornie zawył. Zakłęcie żaru, zorientował się Janick. Kolejna eksplozja gorąca.

– Pomocy... – wrzask zgąsł, jakby krzyczącemu zabrakło powietrza w płucach.

O świadomość Janicka otarło się coś wielkiego, coś głodnego. Poczł przemożną chęć, by zejść, wskoczyć wręcz do szybu. Idzie po niego. Spanikował, pchnął czarodzieja, który miał zostać na czatach na powierzchni, i strącił go do kanału. Sekundę później zaciągnął pokrywę, zamykając wylot szybu. Rozglądał się w panice wokoło. Nikogo nie dostrzegł. Co dalej? Piasek! Wieźli ze sobą worki piasku, żeby wyglądać na robotników! Janick narzucił parę solidnych łopat na właz, na koniec zaparkował na nim i wózek.

Ile mieli tego piachu? Sto kilo? Dwieście? Cokolwiek to było tam, na dole, już się do niego nie dostanie.

Wreszcie trochę się uspokoił. Uświadomił sobie, że dyszy jak po długim biegu. Znow się rozejrzył. Staruszek gdzieś sobie poszedł, wokół nie było nikogo, z dołu dobiegały go jedynie stłumione odgłosy. Wszystko było w porządku. W porządku? Cóż on takiego właśnie uczynił? Zaczął się trząść, nie mógł się opanować. Zostawił swoich ludzi na pastwę tej rzeczy na dole! Nie, uratował życie, naszła go lepsza odpowiedź. Nikt z tamtych nie przeżyje, tego był pewien. Może jednak zdołają tę rzecz chociaż zranić, albo nawet zabić. A nawet gdyby któryś z nich dał radę wrócić, będzie się tym martwić później. Wszystko było lepsze, niż być tam, na dole.

Wciąż miał poczucie, że rzecz w podziemiach jest gdzieś blisko, że o nim wie. Z pewnością będzie najlepiej, jak się stąd oddali i zastanowi, co dalej.

Na niepewnych nogach wrócił do gospody, w której kilkadziesiąt minut wcześniej siedział z zabójcą. Wydawało mu się, że minęły wieki, że to było życie kogoś innego. Zamówił piwo i dwa kieliszki miejscowej orzechówki, pamiętał, że klanowi czarodzieje wypowiadali się o niej z uznaniem. Jak tylko kelner postawił przed nim kieliszki, Janick wychylił jeden z nich. Musiał się opamiętać, uspokoić, zacząć myśleć na chłodno. Drugi kieliszek zostawił nietknięty.

Siedział, wpatrywał się przed siebie i rozmyślał. Fakt, że nie było go w podziemiach z innymi, nie osłabił ich wartości bojowej. Sam przed sobą musiał przecież przyznać, że jego magiczne zdolności są minimalne. Jego siłę stanowiła wiedza. Zwyczajnie nie potrafiłby im pomóc. A i tym, że zamknął drogę odwrotu, zainspirował ich do tego, aby dali z siebie wszystko, aby nie rozpraszała ich myśl o ucieczce.

Janick musiał docenić przenikliwość swojej decyzji. Nie podjął jej w wyniku starannego planowania, aż do tego stopnia się nie oszukiwał, ale w wyniku zbiegu okoliczności zachował się niczym genialny dowódca. Bezwzględny, ale genialny. Możliwe, że swoich ludzi poświęcił, ale w słusznej sprawie, dla ocalenia klanu. I siebie samego, ma się rozumieć, też. Ci na dole oczywiście nie potrafiliby

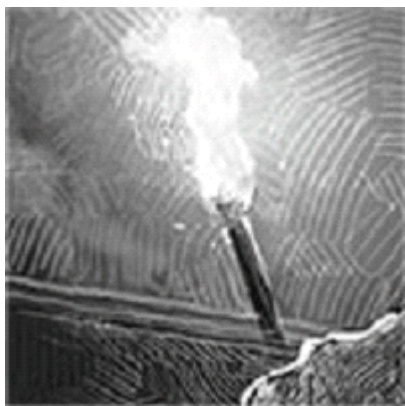
tego pojąć, ale – jak już wcześniej myślał – nad tym problemem będzie się głowić, jeśli się pojawi.

Rozejrzył się. Świat nagle wydał mu się o wiele przyjemniejszym miejscem niż jeszcze rano. Wtedy przyszła mu do głowy kolejna myśl. Oczywiście Klinsmana było szkoda, wychowywał go sobie na wcale zacnego zastępcę, ale wszyscy pozostali należeli do jego przeciwników. Buerpo był z nich wszystkich najbardziej pewny siebie, otwarcie mu przeciwny. Teraz się go pozbył.

Janick zastanawiał się, czy tego wszystkiego przypadkiem podświadomie nie zaplanował. Pewnie nie, jeśli już, to może tą najmniejszą, najgłębszą częścią podświadomości. Z pewnością jednak był lepszy, niż sam o sobie myślał. Musi bardziej w siebie wierzyć.

Rozdział 25

Przywódca z konieczności



Spokój! Spokój! Poszło sobie! – krzyknął Gruman, po czym trzasnął na odlew mężczyznę, który w wyciągniętej ręce trzymał oprawiony w srebro czerwony kamień i nerwowo machał nim na wszystkie strony.

Gruman zgadywał, że to właśnie ten kamień albo jemu podobny był odpowiedzialny za to, że jeden z kanałów buchał teraz żarem.

– Wszyscy do mnie! Musimy się trzymać razem!

Podniósł z ziemi upuszczoną pochodnię. Powietrze szybko się po wcześniejszych eksplozjach oczyszczało. I całe szczęście, inaczej by się podusili. I tak większość z nich wciąż zanosila się kaszlem.

– Tutaj! Wszyscy tutaj! – dołączył do niego mężczyzna, którego Janick nazywał Klinsmanem.

– Co się dzieje? Co się stało? – dopytywali dwaj stojący w tunelu, z którego nie mieli widoku na resztę.

– Spokój! Spokój! Pochodnie w górę, musimy widzieć jak najwięcej!

– Kasvik spadł. – Jeden z mężczyzn wskazał na ciało leżące u ich stóp.

Spadając, czarodziej skręcił sobie kark.

– Nie wydaje mi się – nie zgodził się z nim Gruman – już raczej szef go zepchnął i zamknął wyjście z szybu.

– Czemu miałyby to zrobić? – spytał zdezorientowany Klinsman.

Gruman rozejrzał się wokoło. Syczące cicho pochodnie stanowiły w tej chwili jedyne źródło światła, ściany ożyły pełgającymi nerwowo cieniami. W powietrzu wciąż czuć było żar i swąd spalenizny. Smród spalonego mięsa i jeszcze czegoś, co przyprawiało ich o mdłości. Oczy zabójcy napotkały wzrok Klinsmana. Ten jako jedyne wyglądał na takiego, który potrafił rozsądnie myśleć.

– Nie wiem, ale jak się stąd wydostaniemy, możesz go zapytać. – Wzruszył ramionami. – Kogo brakuje?

– Kasvik jest martwy, Buerpo i Puk gdzieś zniknęli – podsumował po chwili Klinsman.

Skontrolował swoich ludzi i zaczął ich uspokajać. Grumanowi bardzo to odpowiadało. Gdyby ktokolwiek spanikował, mógłby ich wszystkich pozabijać jakimś diabelskim zaklęciem. Podszedł do wciąż jeszcze bijącego gorącym tunelem i pozwolił sobie na dwa ostrożne kroki do przodu. Na granicy widzialności dostrzegł na ziemi zwęglone ciało. Została tylko głowa i tułów, kończyny znikły kompletnie. Gruman doskonale wiedział, ile trzeba trudu, aby spalić ludzkie ciało. Broń czarodziejów była zaiste potężna. Przywołał gestem Klinsmana i wskazał mu swoje znalezisko.

– Wszystkie wasze chłopaki mają takie zabawki? – spytał konwersacyjnym tonem.

Czarodziej skinął głową.

– No to ich tu przyprowadź i pokaż im, co się stanie, jak nie będą się z nimi ostrożnie obchodzić. To by nas mogło wszystkich usmażyć.

Klinsman obrócił się w jego stronę. Twarz znaczyło mu oparzenie, drgał lewy kącik oka.

– Jak zachowujesz taki spokój? Ja sam ledwo się powstrzymuję, żeby nie postradać zmysłów ze strachu – wyszeptał.

– Chcesz żyć? – spytał Gruman całkiem poważnie.

– Tak.

– No to się pilnuj, żeby ich nie postradać. To jest przepis na pewną śmierć.

– Ja to czuję! Jest tu gdzieś niedaleko i chce, żebym do niego poszedł! – łamiącym się głosem oznajmił jeden z czarodziejów.

Gruman zastanowił się chwilę. Po tym, co zobaczył na powierzchni, co przytrafiło się temu chłopcu, wcale go to nie zaskoczyło. Była to niemniej komplikacja, z którą się wcześniej nie liczył i którą musiał jakoś rozwiązać, a nie wiedział jak. Skoncentrował się znów na towarzyszących mu ludziach. W tej chwili stanowili główny problem. Blade, przerażone twarze wyglądające na niego z ciemności. Skupili się wszyscy razem, jakby ich to mogło przed czymkolwiek uratować.

– Ktoś jeszcze ma podobne sensacje? – zapytał.

Niepewne kręcenie głowami, odpowiedzi półgłosem. Najlepszym rozwiązaniem wydawało się rozbicie człowieka, który był w stanie wyczuć obecność ich przeciwnika, ale tym samym był podatny na jego hipnotyczny wpływ. Tym jednak tylko by wystraszył jeszcze bardziej pozostałych.

Gruman wiedział, że nie ma czasu na długie zastanawianie się. Beczynność u przestraszonych ludzi powodowała jedynie pogłębianie się strachu i paraliż.

– Kto zna kanały najlepiej?

– To pewnie będę ja. Kopiowałem wiele starych map, sporo mi z tego zostało w pamięci – zgłosił się mężczyzna z bródką, któremu światło pochodni nadawało wygląd starego kozła.

– Świetnie. My dwaj pójdziemy przodem, za nami ktoś, kto będzie miał przygotowany ten wasz magiczny kamień. Pozostali niech je schowają. Ostatni idziesz ty – zwrócił się do Klinsmana. – A gościa z kamulcem wybierzcie roztropnie. Pochodnie będziemy mieli zapalone tylko trzy. Dwie z przodu, jedną z tyłu. Dacie radę zapalić te pozostałe, jeśli będzie potrzeba?

– Z łatwością – otrzymał odpowiedź nieco pewniej brzmiącym głosem.

Zawsze to coś, pomyślał.

Ruszył przed siebie z pochodnią w lewej i mieczem w prawej ręce.

– Jeśli się orientujesz, gdzie jesteśmy, spróbuj mi opisywać, co nas czeka – rzucił do czarodzieja tuż za nim.

– Wiem, gdzie jesteśmy – potwierdził kozia bródka. – Dwieście metrów prostego korytarza pod placem Palmowym, kilka

pomniejszych kanałów z domów wokół placu, potem skrzyżowanie – wyrecytował pewnie.

Gruman czuł, jak powoli zmieniają się nastroje idących za nim ludzi, jak stopniowo ustępuje panika. Zaczynali wierzyć, że może im się udać. Była to nadzieja, której on sam nie podzielał.

Rozdział 26

Wyspecjalizowany drapieżca



Rzecz nie mogła opanować podniecenia, które mieszało się z bólem od otrzymanych ran. Wybuch magicznego ognia spalił piątą część jej ciała. W swej podstawowej formie jej szarozielona substancja była bardzo podatna na wszelkiego rodzaju uszkodzenia. Jednak z drugiej strony znów pochwyciła czarodzieja! I tym razem zdołała wyodrębnić i zrozumieć o wiele więcej istotnych szczegółów niż za pierwszym razem. Czytanie i natychmiastowe kopiowanie nowych wzorów było nieomal... orgazmiczne. W szaleńczym tempie starała się skopiować schematy i równocześnie próbowała przeanalizować je najgłębiej, jak tylko się dało. Wciąż jednak czegoś jej brakowało, Rzecz miała wrażenie, że ciągle umyka jej coś istotnego, tym bardziej że wraz ze śmiercią wchłanianego człowieka detale zaczynały się natychmiast rozpląwać.

Potrzebowała więcej wzorów ludzi z talentem do władania mocą, pragnęła ich. Jednak już i to, co zdobyła do tej pory, odmieniło ją. Czuła, jak zwiększyła się szybkość jej reakcji, szybkość kopiowania, zdolność metamorfozy własnego ciała. Nagle mogła dużo efektywniej korzystać z otaczającej ją mocy. Zdawało się to wszystko niezależne od jej woli, spowodowane strukturami, które przeczytała i które odcisnęły na niej piętno. Przekroczyła kolejny próg w swoim rozwoju, dostała się na wyższy poziom.

To, co ją w tej chwili najbardziej spowalniało, co ją rozpraszało i ograniczało nowo nabyte zdolności, to ból promieniujący z poparzeń. Najprostszym i najszybszym rozwiązaniem byłoby po prostu odrzucenie poranionej, bezwładnej masy. Wolniejszym, bardziej skomplikowanym – próba regeneracji. Wciąż się wahała. Była w pełni świadoma tego, że oprócz wchłaniania i poznawania nowych wzorów za szybkość, z jaką się uczyła, odpowiadała również masa jej ciała. Jednak jeśli będzie się wahać zbyt długo, zdobycz zdoła jej umknąć. Wciąż wyczuwała obecność i ruch człowieka, z którym nawiązała kontakt i którym próbowała zawładnąć. Jak dotąd bezskutecznie.

Rozpoczęła bolesny proces dzielenia siebie, rozrywania spojeń i mentalnej wspólnoty. Sprawiało jej to równie nieznośny ból co magiczny ogień, a przy tym było o wiele, wiele gorsze, bo cierpienie zadawała sobie sama. Walczyła z obezwładniającymi falami chaosu przetaczającymi się przez jej jaźń na równi z kurczącym się w konwulsyjnych spazmach ciałem.

Pojawiające się i nieomal natychmiast wchłaniane z powrotem szczurze łby otwierały pyski w bezgłośnym pisku agonii. W jednej chwili cała pokryła się włosowatymi nibynóżkami, które niczym opętane atakowały się nawzajem.

W końcu jednak kryzys przeminął i Rzecz zdołała oddzielić od siebie kilkaset kilogramów spalonej, bezużytecznej materii.

Nagle znów mogła myśleć klarownie i już wiedziała, co musi zrobić, aby jak najlepiej wykorzystać sytuację. Przyjęła formę olbrzymiej, kilkusetkilogramowej stonogi zwieńczonej wybrzuszoną się z ciała ludzką głową i puściła się na swych licznych nogach w głąb tunelu. Mimo zmian wprowadzonych do oryginalnego wzoru stawonoga nie poruszała się tak szybko, jak by sobie tego życzyła. Chciała jednak możliwie jak najlepiej skoncentrować masę swego ciała, aby móc zminimalizować potencjalne szkody wyrządzone magicznym atakiem. W jakiej formie zaatakuje później, to będzie zależało od okoliczności.

Rozdział 27

Z powrotem do światła



Coś tam świeci – zauważył czarodziej wiodący ich kanałami i zatrzymał się.

Nazywał się Kasprak, a jego znajomość systemu kanalizacyjnego okazała się nieoceniona. Bez niego, nawet ze swoim doskonałym zmysłem orientacyjnym, Gruman już dawno by się pogubił. Z rozpędu wpadł na niego ktoś z idących z tyłu. Zabójca tego nie skomentował. Czarodzieje wciąż byli przerażeni, i tak cud, że trzymali się razem. Podążył wzrokiem za ręką Kaspraka.

– Rzeczywiście – potwierdził bez entuzjazmu.

Nie było to światło dnia i był pewien, że nie oznaczało nic dobrego. Sam koncentrował się na najbliższej okolicy, dlatego dwa jaśniejące czerwono w oddali punkciki umknęły jego uwadze.

– Gdzieś tam przed nami powinny być wyloty pomniejszych kanałów – zastanawiał się na głos Kasprak.

Trzymali się prawego brzegu tunelu, którego dnem powoli płynęła gęstawa ciecz. Smród kanalizacji nie był jednak ich największym zmartwieniem.

– Idziemy – zarządził Gruman. – Pochodnie nie wystarczą na wieczność.

Kasprak posłuchał. Zabójca trzymał teraz swój miecz bliżej ciała, podczas kiedy rękę z pochodnią wyciągnął na bok, aby jej światło jak najmniej go oślepiało.

– Kiedy będziemy mijać wyłoty mniejszych tuneli, bądźcie w pogotowiu – powiedział spokojnie. – Alferi – zwrócił się do czarodzieja, który wyczuwał obecność ich przeciwnika – jest blisko?

– Nie wiem. Chyba nie – padła po chwili wahania odpowiedź.

Gruman nie był pewien, czy może mu wierzyć. A jeśli ta rzecz zdołała nim zawładnąć, jak tym chłopcem na powierzchni? Mogłaby użyć go, aby zwabić ich wszystkich w pułapkę. Nie miał jednak pomysłu, co z tym zrobić.

Czerwone punkciki zbliżały się stopniowo.

Gruman rozpoznał zarys ogromnego szczura. Jeszcze nigdy nie widział szczura tych rozmiarów, nie znał też żadnych zwierząt, którym świeciłyby się oczy. Szczury zazwyczaj przed ludźmi uciekały. Zabójca precyzyjnie przycisnął się koło Kaspraka i wysforował do przodu. Gryzoń nadal nie uciekał, jedynie patrzył swymi nieziemskimi oczami. Gruman na mgnienie zwolnił dla zmylenia przeciwnika, po czym wypadł do przodu i błyskawicznym pchnięciem przebił zwierzę na wskroś. Ostrze weszło w otwartą paszczę i wyszło tyłem głowy, w dolnej części czaszki.

– Dziwny ten szczur – skonstatował.

Chciał przysunąć do siebie truchło klingą, aby móc je lepiej obejrzeć w świetle pochodni, ale zanim zdążył to zrobić, sierść straciła barwę i wchłonęła się w ciało, które z kolei zaczęło tracić swój kształt. Chwilę później przed Grumanem leżał jedynie kawał nieokreślonej szarzielonej materii o konsystencji miękkiego mchu.

– To nie był szczur – zauważył ktoś dość oczywistą rzecz – ale można to było zabić.

Kasprak zbliżył do materii pochodnię. Próbowała uniknąć ognia, przelewała się galaretowato, niczym olbrzymia ameba, zbijając się w kształt ślimaka, aż wreszcie płomień dokonały swego i został przed nimi jedynie kawałek zwęglonego truchła, które stuknięte czubkiem miecza, rozsypało się niczym wypalony węgielek.

– Za ogniem to to nie przepada – mruknął Gruman. – Te wasze wybuchowe kamienie mogą się jeszcze okazać pomocne.



Rzecz, przyczajona o trzy skrzyżowania od głównego kanału, analizowała otrzymaną właśnie bolesną lekcję. Tego się nie spodziewała. Chciała sobie tę grupę obejrzeć z bliska, ale nie przeczuwała, że mężczyzna na przedzie będzie tak dobrze przygotowany i tak agresywny. Dotychczasowe doświadczenie podpowiadało, że szczury, które stanowiły jej oczy i uszy, wzbudzały w ludziach strach i obrzydzenie. Tym razem to nie zadziało. Znów straciła kawałek siebie. Niewielki, ale bolało to bardziej, niż była skłonna przyzwolić. Zaczęła formować szczurzych wojowników. Po ranach, które otrzymała, i na szybko na nic bardziej skomplikowanego nie było jej stać. Ale ulepszeni wojownicy na tę wystraszoną gromadkę z pewnością wystarczą, co do tego nie miała wątpliwości.



– Jest gdzieś blisko, czuję to. Kusi mnie, chce, żebym za nim poszedł – odezwał się nagle Alferi.

Gruman zaniepokojony przystanął i obrócił się do idącej za nim grupy.

– Dasz radę? Jakby to było zbyt ciężkie do zniesienia, możemy ci pomóc.

Gruman zatrzymał dla siebie myśl, że najlepszą metodą pomocy byłoby w tej sytuacji spętanie. Nie chciał czarodzieja dodatkowo stresować.

– Jeśli się temu poddasz, umrzesz. To chyba rozumiesz, nie?

– Jasne, wiem – wyszeptał Alferi. – Wytrzymam, tyle że się boję. Czemu akurat ja?

Gruman wymienił długie spojrzenie z Klinsmanem. Czarodziej skinął głową. Rozumiał, co trzeba będzie zrobić, gdyby Alferi zaczął się zachowywać niepokojąco.

– To jest blisko, gdzieś tam – wskazał Alferi.

W niepewnym świetle pochodni wyglądał na wyczerpanego, jakby w podziemiach spędził już dziesiątki godzin. Oczy miał sino podkrążone.

Jedna z pochodni zgasła nagle, ciemność zgęstniała, przybliżyła się. Równocześnie w panującym w kanałach smrodzie pojawił się odrębny, ostry, nadprzyrodzony odór, którego wcześniej nie wyczuwali.

– Ile mamy pochodni w rezerwie? – zapytał Gruman.

Naliczył cztery. Nie tak najgorzej. Czarodzieje umieli je wyrabiać. Płonęły długo i równym płomieniem.

– Zapalmy kolejną. Potrzebujemy więcej światła.

Poczuł za plecami falę ulgi wśród czarodziejów.

– Co jest tam po prawej? – zwrócił się do Kaspraka.

– Równoległy główny ściek. Ale to nie jest taki sam tunel jak nasz. Tutaj się do nas akurat zbliża, ale potem odbija mocno na zachód. Są co prawda kanały przelewowe, które je łączą, ale dość wąskie. Nie chciałbym się w takim znaleźć.

Gruman skinął głową. Potem uświadomił sobie, że Kasprak mógł tego gestu nie widzieć.

– Rozumiem – potwierdził.

Dla nich mogły być wąskie, ale coś innego mogłoby się w nich zmieścić wcale swobodnie. Znów zachował tę myśl dla siebie.

– Idziemy.

Ruszyli dalej, posuwając się gęsiego po prawej stronie tunelu. Gruman słyszał, jak coraz więcej osób zaczyna oddychać ustami, smród stawał się nie do zniesienia. On trzymał swoje mocno zamknięte, wydawało mu się to bezpieczniejsze. Tym razem chmurę czerwonych punkcików daleko przed nimi dostrzegł jako pierwszy. Po obu stronach kanału.

– Szczury boją się ognia, jasne? – przypomniał. – Solidnym kopnięciem możecie im przetrącić kark, a jak nie, po prostu je depczcie. Najważniejsze to nie panikować! Klinsman do Kaspraka, trzymajcie prawy brzeg, ja wezmę lewy! Nie wolno ich przepuścić!

Gruman przeskoczył na drugą stronę niemalże w chwili, kiedy chaos czerwonych oczu ich dosięgał.

– Zeżrą nas! – wrzasnął ktoś.

– Spokój! Mamy ogień! – Gruman starał się go przekrzyczeć.

Już je widział, ogromne szczury napierające do przodu niepewnym, kolebiącym się krokiem. Były zwyczajnie zbyt wielkie, aby móc poruszać się normalnie. Przez ściek przeskoczył jeden z czarodziejów i stanął ramię w ramię z Grumanem. Nie miał w ręku żadnej broni, jedynie coś do siebie pod nosem mamrotał. Pewnie w ten sposób próbował przemóc strach.

Tymczasem pseudoszczury znalazły się już całkiem blisko. Ich oczy były blaskiem na tyle silnym, że cała okolica skąpana była w nieziemskiej czerwonej poświacie. Mamroczący czarodziej rozłożył nagle ręce w dzikim geście i cztery gryzonie w pierwszym rzędzie eksplodowały w obłoku krwi. Drugi rząd, który zakłęcie sięgnęło jedynie częściowo, skończył z pourywanymi łapami. Pozostałe zwierzęta napierały jednak dalej. Wolniej, ale nieustępliwie.

– O krok do nich, pochodnie nisko przy ziemi! – krzyknął komendę Gruman. – Ostrza trzymać w pogotowiu!

– Zeżrą nas! – skamlał ktoś.

Mamroczący czarodziej znów dziwacznie zagestykułował i pochodnie rozgorzały silniejszym płomieniem. Gruman przygotował się na atak masy ciał, ale się rozczarował. Szczury gwałtownie zahamowały przed ognistą barierą, która wyrosła im nagle przed nosami, po czym skwapliwie zawróciły i rzuciły się do ucieczki.



W pierwszej chwili Rzecz zawrzała wściekłością. Nie zdawała sobie sprawy, że wytworzyła szczury z psychiką wystarczająco złożoną, aby zawierała strach przed ogniem. Potem jednak zorientowała się, że jeden z czarodziejów znalazł się w kanałach

sam. Nie zdołał opanować paniki, rzucił się do ucieczki, jak najdalej od widocznego niebezpieczeństwa, z powrotem w kanały. Odczuwała jego pełny potknięć, chaotyczny bieg, uderzenia o ściany. Nie miał ognia, był sam. Należał do niej.



Verek zatrzymał się, dalej biec już nie mógł. Nie miał pojęcia, jak długo uciekał. Tylko szczęśliwym trafem nie rozbił sobie głowy ani nie skręcił karku. Teraz jednak zbyt był wyczerpany, aby biec dalej.

Może ma za pasem pochodnię, na pewno jakąś ma. Obmacywał się gorączkowo, ale żadnej nie znalazł. Musiał ją zgubić. Jeśli zawróci, na pewno ją znajdzie, uspokajał się, choć w głębi ducha wiedział, że może mu się nie udać. Potrzebuje światła, inaczej zwariuje. Czuł, jak nadchodzi kolejny atak paniki. Spokojnie, wystarczy, że znajdzie jakiś szyb wiodący na powierzchnię. Będzie mógł stamtąd zacząć wołać o pomoc. Prędzej czy później ktoś go usłyszy i mu pomoże. To się na pewno uda, uspokajał się. Chwilę potem dostrzegł światło, które zaczęło się przybliżać, aż z ciemności wyłoniło się jego źródło.

Przed Verekiem pojawił się olbrzymi szczur. Nieziemsko wielki i nieforemny. Za nim drugi. Czarodziej zrobił niepewny krok w tył, poczuł, że stopy grzęzną mu w czymś lepkiem. Spojrzał pod nogi. Więził go gęsty, szlamisty kobierzec. Verek pokonał przerażenie, jeszcze nigdy w życiu nie uczynił nic, co sprawiłoby mu tyle trudu, ale zamiast stać w miejscu i skamlać ze strachu, obrócił się do ucieczki... by stanąć naprzeciwko ludzkiego tułowia, w którym tkwiły dziesiątki jarzących się oczu. Z groteskowego kadłubka wyrastał podłużny, żylasty twór grubości męskiego uda. Verek podążył wzrokiem za wyrostkiem i w ostatniej chwili dostrzegł, jak rozdziela się on u góry w płaty wyglądające niczym kielichowaty kwiat olbrzymiej rośliny. Mięsożernej rośliny, przemknęło mu przez głowę, zanim kielich go wchłonął. Czarodziej zaczął się szaleńczo szamotać, jednak na próżno. Lepka materia krępowała jego ruchy,

które robiły się coraz słabsze, aż skończył uwięziony niczym mucha w bursztynie. Z tą różnicą, że wciąż mógł oddychać. W więzącym go kokonie wytworzył się kanał zapewniający mu dopływ powietrza.

Rzecz ekstatycznie wręcz wiwatowała. Miała kolejnego czarodzieja! Nauczyła się na swoich poprzednich doświadczeniach i zdołała pochwycić żywego! Mogła go przeczytać o wiele dokładniej niż poprzednich. Skupiła się na tym, co było istotne, kluczowe dla jej przeżycia. Zaczęła czytać, analizować i równocześnie kopiować. To właśnie tego tak bardzo pragnęła!



Czytanie żywego, nieuszkodzonego obiektu było o wiele bardziej drobiazgowo niż cokolwiek innego, ale równocześnie był to proces destrukcyjny, niszczący jego osobowość, jego ciało, niwelujący go jako istotę ludzką. Rzecz na nic z tego nie zwracała uwagi. W chwili, kiedy zaczęła sięgać prawdziwej głębi, kiedy jej podniecenie sięgało nieomal zenitu, zdobycz zmarła. W pierwszej chwili Rzecz była na siebie wściekła, i to do tego stopnia, że jej poszczególne części znów zaczęły się na siebie rzucać, ale szybko się opamiętała. Następnym razem będzie ostrożniejsza, następnym razem jej źródło wzorów wytrzyma dłużej. Pozostałe wzory przeczytała szybko, wręcz brutalnie, zanim zdążyły się rozplątać, i natychmiast zaczęła je kopiować, aby jak najmniej z nich uronić. Kopiowanie było ważne, coraz wyraźniej zdawała sobie z tego sprawę.



Tymczasem reszta jej zdobyczy zdążyła się przemieścić w kierunku nabrzeża. Rzecz знаła już rozkład kanałów doskonale i bezustannie utrzymywała w swej świadomości ich wiernie odzwierciedlony plan. Było dla niej jasne, dokąd zmierzają ludzie. Uzmysłowała sobie przy tym, że pominęli kilka możliwości, aby skrócić sobie drogę. Ich błędy brała za dowód na własną wyższość. Stawała się inteligentniejsza, lepsza, niebezpieczniejsza od swoich nieprzyjaciół.

Znów uformowała się w olbrzymią stonogę zwieńczoną ludzką głową i znowu uświadomiła sobie, jak bardzo ją ta forma ogranicza. Musiała znaleźć inną, szybszą, taką, która równocześnie pozwoli jej zachować dostateczną koncentrację materii i, co za tym idzie, jaźni w jej szczytowej formie.



Mężczyźni brnęli przez ciemność w coraz gorszych nastrojach. Utrata towarzysza mocno nadszarpięła morale. Gruman zdawał sobie z tego sprawę, ale nie znalazł jeszcze sposobu, jak podnieść ich na duchu.

Drogę oświetlali sobie już tylko dwoma pochodniami, ponieważ jedną z zapasowych stracili razem z zaginionym. Zatrzymywali się pod każdym włazem albo kratką, przez które przedostawało się na dół choć odrobinę światła. Na początku próbowali wołać o pomoc, ale kiedy po kilkudziesięciu minutach skończyli z ochrypłymi gardłami, dali sobie spokój. Gruman zakładał, że to wina głębokości, na jakiej się znajdowali. Wszystkie włazy wydawały się być bardzo wysoko nad ich głowami. Stopni, po których mogliby się wspiąć, tutaj zwyczajnie nie było. Wstęp do kanalizacji miał być ograniczony jedynie do wybranych miejsc i utrudniony dla zwykłych ludzi, aby powstrzymać ich przed wykorzystywaniem podziemi do niewłaściwych celów. Na peryferiach jednak, gdzie siłą rzeczy kanały biegły tuż pod powierzchnią, były regularnie używane do ukrywania kradzionych lub przemycanych towarów. Tam będą mogli wydostać się na powierzchnię, albo przynajmniej ktoś usłyszy ich wołanie. Albo w ogóle wyjdą na zewnątrz jednym z wylotów bliżej morza. Czekala ich jednak wciąż daleka droga.

– Idziemy – krzyknął Gruman po chwili spędzonej w kręgu padającego z góry światła. – Odpoczęliśmy i wystarczy.

Powrót do nieprzeniknionej ciemności kanałów był niczym zstępowanie do grobu w nadziei, że jakoś uda się z niego wydostać.

– Alferi, czujesz coś? – spytał Gruman.

Pochodnie nieśli już tylko Kasprak i Klinsman. On sam zdawał się na swój słuch, instynkt, miecz i nóż.

– Nie, nic. Musi być daleko – odpowiedział Alferi sucho.

Gruman uświadomił sobie, że tamten nie odzywał się od chwili, kiedy im oznajmił, że Verek umarł, że TO go dorwało. Jak czuł się z tym Alferi?

Szli dalej poprzez ciemność, która się przed nimi otwierała, by dwa kroki za nimi znów się zamknąć, jakby znajdowali się

wewnątrz bestii, która ich połknęła, i teraz szukali drogi na zewnątrz.

– Kasprak, co przed nami?

– Przeszliśmy pod wschodnim targowiskiem, powinniśmy być w pół drogi do peryferii. Przynajmniej tak myślę. Kawałek przed nami powinno być skrzyżowanie głównych tuneli. Duże pomieszczenie służące do tego, aby w porze monsunów spływające z wodą większe kawałki drewna miały się gdzie zgromadzić, zamiast zatykać kanały. Tam będziemy musieli odbić w prawo, ku nabrzeżu.

Zdolność Kaspraka do orientowania się w ciemnym podziemnym labiryncie według map, których przecież ze sobą nie miał, była fenomenalna.

– Jakbym miał łeb jak ty, nie musiałbym zarabiać z mieczem w łapie – mruknął Gruman z uznaniem.

Kasprak jak do tej pory nie pomylił drogi ani razu. Co więcej, nawet odległości, które jedynie szacował, wydawał się odgadywać bezbłędnie.

– No widzisz, a jednak obaj teraz brodzimy w podziemiach w gównie. Ja tam mieczem robić nie umiem, ale i mój łeb za bardzo mi się nie przydał.

Ktoś z tyłu się zaśmiał, może i dlatego, że gówien, w których brodzili, wyraźnie przybyło.

– Minęliśmy wylot małego kanału.

– Małego, ale wydajnego. Jeszcze dwa takie i będziemy brodzić po pas – dodał ktoś.

– Po pas w gównach, to już nas chyba nic gorszego nie czeka, co?

Trzech mężczyzn roześmiało się równocześnie. Gruman miał nadzieję, że jednak do tego nie dojdzie i że nie będą musieli brodzić po pas w fekaliach, niemniej nastroje trochę się polepszyły, co samo w sobie było dobrym znakiem. Nigdy by mu przez myśl nie przeszło, że większa ilość gówna może poprawić komuś humor i podnieść morale. Nie są tacy źli, pomyślał. Równocześnie wciąż nie przestawał kontrolować okolicy, przysłuchiwać się podziemnej ciszy, przerywanej chlupotem ich kroków i innymi dźwiękami, których nie mógł zidentyfikować. Do tego wciąż myślał o Alferim.

– Alferi, czujesz coś? – zwrócił się do niego.

– Nie. Uczucie znikło.

Gruman zdusił w sobie chęć, by się obrócić i spojrzeć czarodziejowi prosto w oczy. Zamiast tego kontynuował marsz.

– Na skrzyżowaniu kanałów zrobimy sobie małą przerwę. Przyda się nam wszystkim – powiedział, żeby zachęcić ich do jeszcze odrobiny wysiłku.

Ciemność wysysała z niego siły podobnie jak palące słońce na powierzchni, jednak o wielokroć szybciej. Nikt oprócz niego nie zdawał sobie sprawy z tego, czemu stawiali czoła. A przecież nawet on miał na ten temat jedynie mgliste pojęcie.

Bez żadnych nieprzyjemnych niespodzianek dotarli do skrzyżowania kanałów, które opisał wcześniej Kasprak. Gruman uświadomił sobie, że przez cały czas narastało w nim napięcie, przeczucie czegoś złego, morderczego, czegoś, co może na nich opaść w każdej chwili.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział z udawaną beztroską, ale obrócił się przygotowany stawić czoła potencjalnemu zagrożeniu.

Instykt go nie zmylił. Alferi, z oczami rozszerzonymi szaleństwem, dzierżył w ręce czerwony, oprawiony w srebro kamień, gotów go zaatakować. Gruman widział, jak usta czarodzieja poruszają się, wypowiadając formułę aktywującą zaklęcie. Mimo iż sam nie wierzył w swoje szanse, rzucił się ku niemu błyskawicznym wypadem.

Alferi nie dokończył inkantacji. Jego usta skamieniały, stężał, po czym zwałił się na ziemię niczym marionetka, której poprzecinano sznurki. Zza jego pleców wynurzył się Klinsman, pochodnia w jednej, okrwawiony sztylet w drugiej ręce. Pozostali czarodzieje patrzyli na swojego przywódcę w szoku.

Gruman wstał i otarł ostrze swego miecza. On również dosięgnął celu.

– Po czym to poznałeś? – spytał, aby każdy zrozumiał, co ma na myśli.

Klinsman przez chwilę wpatrywał się w ostrze swojej broni, w migoczącym świetle pochodni wyglądała jak pokryta niezwykle

delikatną czarną koronką.

– Krótco po tym, kiedy nam powiedział, że to zabiło Vereka, zmienił się. A właściwie zmienił się sposób, w jaki się poruszał. Już się nie garbił, nie potykał, przestał się bać.

– To raczej nie wystarczy, żeby dźgać kogoś w plecy – zauważył jeden z czarodziejów.

Klinsman na niego spojrzał.

– Masz rację. Dlatego przez cały czas czekałem, aż wyciągnie ten kamień i spróbuje go użyć przeciwko jednemu z nas. Na przykład przeciw...

– Gruman. Nazywam się Gruman – zareagował zabójca.

– ...przeciw Grumanowi. Bez niego nasze szanse na wydostanie się stąd byłyby o wiele mniejsze.

Już dawno bylibyście martwi, pomyślał Gruman, ale zachował to dla siebie. Klinsman podszedł do martwego czarodzieja i z jego zaciśniętych palców wydobył aktywny kamień.

– Gotów do użycia, widzicie? – Pokazał pozostałym.

To wystarczyło, aby rozwiać ich wątpliwości.

– Znowu jest nas o jednego mniej.

Poczucie beznadziei Grumana przybrało na sile. Równocześnie jednak uświadomił sobie, że to nie jest właściwa pora, że to nie powód, aby tracić wiarę. W końcu pozbyli się najsłabszego ogniwa, tego, który im zagrażał. Fatalizm był kolejną formą ataku ich nieprzyjaciela, Gruman sam nigdy w ten sposób nie myślał, nigdy tak nie reagował w obliczu problemów.

– Zapalcie wszystkie pochodnie, uwaga na wyloty tuneli! – krzyknął. – Gotujcie się na atak!

– To tam jest, idzie po nas! – krzyknął ktoś.

– Nie! Nie atakuj, to Verek!

Gruman uświadomił sobie, że ich przeciwnik przypuścił równoczesny atak z wielu stron. W tunelu, którego pilnował on sam, dostrzegwał w migotliwym blasku pochodni poruszające się kształty.

– Musimy się stąd ruszyć – krzyknął do Klinsmana – żebyśmy mogli bronić tylko dwóch stron! Do tunelu!

To, że Alferi zaatakował właśnie w tym miejscu, to też nie był przypadek.

– Który jest właściwy? – zwrócił się do Kaspraka.

Ten, zamiast odpowiedzieć, wskazał na prawo, równo cześnie mamrocząc coś pod nosem ze wzrokiem wbitym w trzymany w rękę kamień. Ten był inny niż te czerwone, oprawione w srebro.

– Nie zabijaj go, to Verek! – krzyknął jeden z czarodziejów i rzucił się na swego kompana, aby go powstrzymać.

– Możesz to oczyścić? – rzucił Gruman do Klinsmana, który skinął jedynie głową i chwilę później zamienił wybrany przez Kaspraka tunel w ogniste piekło. – Idź przodem! Wycofujemy się, za Klinsmanem! – krzyknął jeszcze i sam ruszył do tyłu, by stawić czoła nadchodzącym nieprzyjaciołom.

Było łatwo ich rozpoznać, bo wszyscy wyglądali jak kopie Vereka uzbrojone w długie noże navajo. Gruman miał wcześniej okazję dobrze sobie obejrzeć miejscową ulubioną broń i poznać jej wady. Do tego sam sprawnie posługiwał się mieczem. Pierwszemu Verekowi przebił brzuch i bardziej, aby zachować płynność ruchów, niż z konieczności ciął go jeszcze w obojczyk. Przeszedł od razu do drugiego, który napierał na niego z bocznego korytarza, i odrąbał mu rękę w nadgarstku oraz połowę twarzy. Trzeci Verek niepewnie się cofał, jednak Gruman szybkim spojrzeniem za siebie zarejestrował, że poprzedni dwaj wciąż nie są martwi i mimo swych ran próbują się podnieść. Co im się udało. Ten ustępujący próbował im zrobić miejsce, aby mogli zaatakować od tyłu.

Kolejny atak Grumana był brutalny. Pozwolił, aby nóż zjechał aż do gardy jego miecza, dopiero wtedy odtrącił go na bok, wycelował ostrze w twarz Vereka i pchnął. Stał weszła w oko i chrupnęła o kość tyłu czaszki. Gruman błyskawicznie wyswobodził ostrze i zaczął bezlitośnie masakrować trzy poruszające się nieporadnie ciała, aż zaczęły rozpływać się w bezkształtną szarozieloną masę. Z obu stron jednak zbliżali się dalsi nieprzyjaciele, kolejni Verekowie.

Eksplozja magicznego żaru przemknęła obok niego, gwałtowny podmuch zdusił pochodnie. Zabójca skulił się. W ciemności zginął. W ciemności nie mają szans. Jedna z pochodni porzuconych pod

ścianą z ociąganiem, ale jednak zapłonęła na nowo. Gruman znów był w stanie oddychać. Kopnął zataczającą się, oślizgłą postać w żar w głębi tunelu i rozejrzał się. Dostrzegł dwóch osmalonych czarodziejów, wyglądało na to, że odpalili zaklęcie nieco bliżej, niż należało. Dobrą wiadomością było to, że żaden z nich nie wyglądał jak Verek. Gruman nie miał do nich pretensji o nieudolność, wspólnym odpaleniem zaklęcia oczyścili równocześnie dwa tunele i ocalili ich przed atakiem przeważających sił przeciwnika.



Rzecz znów odczuwała pomieszanie wrażeń, doprowadzających ją niemal do szaleństwa. Ból, ból nie do zniesienia, który był wynikiem ognistego zaklęcia, wzmocniony poczuciem niepowetowanej straty. Znów straciła znaczącą część swojej masy, została jej co najwyżej połowa tego, czym dysponowała, wyruszając na polowanie na czarodziejów.

Z drugiej strony unosiła ją ekstaza z pozyskania nowych wzorów. Pochwyciła dwóch ludzi, obaj, unieruchomieni w śluzowym więzieniu, żyli jeszcze i czytała ich teraz pieczołowicie warstwa za warstwą. To było jak otwarcie kolejnych drzwi, kolejne rozszerzenie zdolności. Czowała, że jedynie krok dzieli ją od władania mocą tak, jak potrafili tego dokazać ci ludzie. Kiedy przeczyta wszystkie wzory, kiedy dostatecznie ich skopiuje i więcej się dzięki temu nauczy, zawładnie magią i... Przestała rozmyślać o przyszłości i skoncentrowała się na teraźniejszości. W podziemiach wciąż znajdowali się ludzie obdarzeni magicznym talentem, których za wszelką cenę musiała pochwycić. Może zadadzą jej kolejne rany, może straci dalszą część swego ciała, ale pozyskanie nowych wzorów było tego warte. Czowała, że jej zdolność samoorganizacji stała teraz na wyższym poziomie, nie chciała się znów transformować do formy prymitywnego czerwia. Zastanawiała się nad innymi możliwościami.



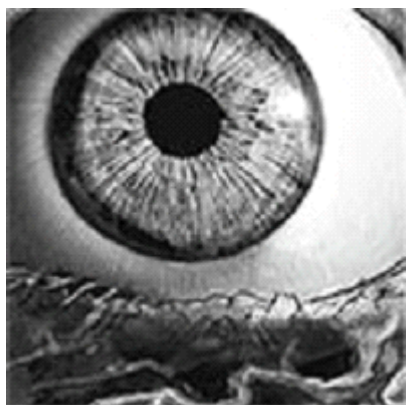
Gruman zgasił swoją pochodnię w chwili, kiedy dostrzegł przed sobą światła Klinsmana i Kaspraka. Wraz z dwójką, którą ocalił, szybko ich dogonili. Pozostało ich już jedynie pięciu. Klinsman z Kasprakiem stali u wejścia do tunelu łączącego się z głównym kanałem. Wylot miał około metra przekroju.

– Co się dzieje? Dlaczego nie idziemy dalej? – spytał Gruman.

– Zgubiłem się. Nie wiem, gdzie się znajdujemy – odpowiedział poważnie Kasprak.

Rozdział 28

Świąteczny poranek



Obudziłem się w swojej piwnicy. A może coś mnie obudziło. Zmiana w osnowie rzeczywistości. Może kiedy indziej wpędziłaby mnie w niepokój, sprawiła, że straciłbym smak, węch, że znów przestałbym postrzegać ludzi jako ludzi, a zamiast tego widziałbym ich jako płątaniny linii, węzłów mocy, ale nie dziś. Dziś był mój dzień. Dziś czekała mnie walka na arenie z Gookiem Nerzeezim. Mój dzień.

Usiadłem. Miejsce, w którym leżałem na podłodze, znaczył wyraźny obrys. Wszechobecny kurz znikł, jakby go ktoś pieczołowicie zmiotł maleńką miotełką. Spałem na kamiennej posadzce jedynie w przepasce biodrowej, starannie złożone ubranie leżało obok. Na nim oba skramsaksy i pas. Resztę uzbrojenia trzymałem w pokoju, za którego wynajem wciąż jeszcze płaciłem. Nie czułem się brudny, nie czułem potrzeby się myć, ale przyzwyczajenie jest drugą naturą. Dawno temu, kiedy zapasy na arenie były dla mnie najłatwiejszym sposobem zarabiania pieniędzy, każdy taki dzień zaczynałem od tego, że się porządnie wyszorowałem.

Na dworze, na dziedzińcu nikogo nie było. Położyłem swoje rzeczy na ławeczce, ze studni wyciągnąłem wiadro wody, które wylałem sobie na głowę, po czym zacząłem się szorować ryżową szczotą. Potem znów polałem się wodą. Stałem w słońcu

i czekałem, aż obeschnę. Z cienia obserwowała mnie starowinka, którą już raz tu spotkałem.

– Idzie od ciebie strach, chłopcze.

„Chłopcze”. Popatrzyłem na twarz poznaczoną zmarszczkami do tego stopnia, że nie dało się na niej dostrzec normalnych ludzkich rysów, na kościstą sylwetkę, z której zwisała stara, wypłowiała suknia. Dla niej akurat mogłem wyglądać na chłopca.

– Całe życie, proszę pani. Przez całe życie idzie ode mnie strach.

– Może – nie sprzeciwiła się – a jeszcze mi wyglądasz na zadowolonego. Może nie szczęśliwego, ale zadowolonego – mówiła powoli, dobierając właściwe słowa.

Przyglądałem się, jak woda na moim ciele zbiera się w krople, te stają się coraz mniejsze, aż wreszcie znikają. Miała rację. Czułem zadowolenie.

– Jakbyś dotarł do kresu drogi, osiągnął cel – dodała jeszcze.

To pasowało. Wciągnąłem na siebie ubranie, miecze zawiesiłem u pasa, schowane pod płaszczem.

– Niech ci się darzy, chłopcze.

Zatrzymałem się na chwilę, próbując określić, co by dla mnie miało oznaczać powodzenie. Nie byłem pewien.

– Dziękuję, pani również.

Zamierzałem na siebie postawić i porządnie się najeść. Walka miała się odbyć pod wieczór, więc czas na porządny posiłek był właśnie teraz, nie później. Doskonale się składało, że czułem autentyczny głód i nie musiałem jeść tylko z powinności.

Zamówiłem sobie wielką pieczoną rybę, dwie porcje kiełbas wieprzowo-krewetkowych, pikantny kuskus z kawałkami kurczaka, a wszystko zapiłem trzema dzbankami piwa. Wieczorem, kiedy przyjdzie pora, znów będę czuł niewielki głód, a w żołądku nic mi nie będzie ciążyć. Będę doskonale przygotowany do zapasów.

Obszedłem parę budek bukmacherskich. Tych małych, niezależnych, których właściciele pracowali sami dla siebie, jak i tych większych, pracujących bezpośrednio dla areny. Te zazwyczaj oferowały gorsze kursy, ale wygrane były gwarantowane kapitałem areny. Musiałyby zbankrutować, aby stały się niewypłacalne.

Przyjrzałem się kursom, te najwyższe stawiały na moją porażkę sześć do jednego, najniższe cztery do jednego. Potem następowały zakłady o pierwszą krew, o to, kiedy padnę na ziemię po raz pierwszy, czy mnie zabije uderzenie w głowę, czy w tułów, czy mi wyrwą na arenie flaki. Zwyczajne, standardowe zakłady na walkę, o której się mówiło, że ma trwać do ostatecznego końca.

Chwilę zastanawiałem się nad tym, czy w ogóle coś postawić. Mój pierwotny plan opierał się na tym, że mam wygrać, ale teraz przestawało mi na tym zależeć. Jednak czemu zmieniać plany w ostatniej chwili... W Pierwszym Imperialnym podjąłem czek na okaziciela na trzy tysiące złotych, a w jednym z bukmacherskich kantorów umówiłem spotkanie około południa. Na pytanie facecika za ladą o to, jak duży będzie zakład i na kogo, odpowiedziałem, że będzie to musiał wyjaśnić z moim panem, który mi się z takich spraw nie zwierza. Zadowolony nie był, ale o nic więcej nie pytał i spotkanie potwierdził. Potem już tylko siadłem na skalnym nabrzeżu, patrzyłem w morze i czekałem.

Gdzieś w podziemiach miasta coś się działo, odbierałem to jako fale wstrząsów wywracających mi wnętrzości, łupanie w głowie. Coś tam rosło. Nie interesowało mnie to, nie dotyczyło mnie i było mi wszystko jedno. Wystarczyło skupić się na linii horyzontu, migotaniu słonecznych odbłasków na powierzchni morza i wszystko miało z powolnym biegiem czasu. Dzisiaj miałem swój dzień.

Rozdział 29

Z powrotem do światła 2



Gruman miał wrażenie, jakby tkwili w podziemiach całe wieki. Pomału i ostrożnie bładzili labiryntem ścieków, kilkakrotnie Kasprak wybierał tunel, którym musieli przejść pochyleni, a raz wręcz na czworakach. Aby światła wystarczyło jak najdłużej, zdali się teraz tylko na jedną pochodnię. Każdy, z Grumanem włącznie, wielokrotnie potykał się i upadał i z biegiem czasu wszyscy zamienili się w smrodliwe figury oblepione zawartością ścieków. Po każdej takiej niedobrowolnej kąpieli Gruman pieczołowicie wycierał ręce i rękojeść miecza.

– Gdzieś tutaj powinien być mały boczny kanał wiodący z północnej dzielnicy rybackiej. Natrafili na granitowy masyw, dlatego poprowadzili go tutaj, a nie prosto do morza – poinformował ich Kasprak i rozejrzał się wokoło. – O ile się dobrze zorientowałem – dodał już ciszej.

Była to już jego kolejna próba, aby odnaleźć się w kanalizacyjnym labiryncie. Klinsman przy świetle pochodni zaczął badać okoliczne ściany, pozostali pomagali. Gruman wbijał wzrok w ciemność po obu stronach. Dostrzegł bladziutki blask. Szyb kanalizacyjny wiodący w górę. Ten poprzedni, który minęli, już mu się nie wydawał tak głęboki jak poprzednie. Może był czas znów spróbować zawołać o pomoc.

Od ataku pod postacią Vereka rzecz zostawiła ich w spokoju i Gruman obawiał się, że ta przerwa nie potrwa zbyt długo. Możliwe, że teraz gdzieś w głębi trawiła swoją zdobycz czy co tam z nią robiła.

– Tu jest, wiem, gdzie jesteśmy! – zawołał Kasprak.

Kanał był wysoki na trzy czwarte metra, przejście nim było możliwe wyłącznie na czworaka.

– Chyba nie chcesz iść właśnie tędy, co? – upewnił się Gruman.

To mu nie wyglądało na dobry pomysł.



Rzecz dokończyła czytanie ostatniej cennej zdobyczy. Czują, że wstąpiła na kolejny szczebel rozwoju, jeszcze trochę i będzie mogła sama świadomie manipulować mocą i używać jej również do innych celów niż przemiany i władanie swoim ciałem. Szacowała, że musi pochwyć jeszcze dwóch żywych czarodziejów i zrozumieć ich wzory na tyle dobrze, aby mogła je sama drobiazgowo odtworzyć i z nich skorzystać. Wzory potrzebne do manipulacji mocą były nieporównywalnie bardziej skomplikowane niż wszystko pozostałe.

Sięgnęła do swoich przedłużonych zmysłów rozpostartych po podziemiach i z zaskoczeniem zorientowała się, że czarodzieje wciąż znajdują się w tunelach. Najwyraźniej pobłądzili. Miała oto szansę pochwyć kolejną zdobycz, i to z łatwością, bez konieczności opuszczania bezpiecznych kanałów. Przybrała formę w części przypominającą przemytnika z nożem, którego zabiła jakiś czas temu, częściowo jednego z czarodziejów i częściowo mężczyzny wiodącego grupkę w podziemiach. Tego wprawdzie nie szczytała, ale dzięki zwiększonym zdolnościom wystarczyło, że obiekt widziała, aby móc spróbować go zewnątrz odwzorować. Do dokładniejszych kopii musiała znać wysokość, grubość kości, całą wewnętrzną strukturę ciała. Kiedy po prostu proporcjonalnie zwiększyła wzory z Vereka, które znała doskonale, uzyskała niezgrabną postać zdolną najwyżej z trudem opanować funkcjami własnego ciała. Rzecz potrzebowała jak największego ciała, aby móc

w nim skoncentrować jak najwięcej swej wysoko zorganizowanej materii, jądro swego ja, i dzięki temu sprawować kontrolę nad resztą ciała. Po chwili eksperymentowania była wreszcie zadowolona. Ciało ponaddwumetrowego mężczyzny reagowało dokładnie tak, jak chciała, i zapewniało jej wystarczającą ochronę.

Otoczyła się kopiami czarodziejów. Części jej osobowości przelane do samodzielnych ciał zaczęły natychmiast walczyć o niezależność, ale była na to przygotowana. Jej własna świadomość była o wielokroć lepiej zorganizowana niż poprzednio, dzięki czemu potrafiła zachować stabilną kontrolę nad prostszymi, peryferyjnymi bytami.

Początkowo musiała pełznąć, jako że kanał wiodący najkrótszą drogą ku ofiarom był bardzo ciasny, ale nie przeszkadzało jej to. W razie potrzeby wciąż mogła zmienić swoją formę, przecisnąć się i przez te najmniejsze przesmyki. Jednak z drugiej strony za przyjęcie prymitywniejszej formy musiałaby zapłacić utratą złożoności, a to w tej chwili było niepożądane. Dlatego wołała ścierpieć niewygodę.

Zauważyła, że jeden z towarzyszących jej tworów zaczął się zmieniać na własną rękę i przypomina Grumana o wiele bardziej, niż kiedy go sama uformowała. Uczyli się od niej, i to bardzo szybko. Uświadomiła sobie, że bycie odłamkiem jej obecnej świadomości jest o wiele lepszą pozycją startową niż ta, w której była ona sama, kiedy zaczynała z poziomu najprymitywniejszego robactwa. Cięła go z tyłu mieczem z siłą, która naruszyła jego wewnętrzną spójność do tego stopnia, że nie zdołał utrzymać swej formy i zaczął rozplýwać się w substancję podstawową. Rzecz go wchłonięła i zaraz wytworzyła kolejnego pomocnika, odrobinę prostszego niż poprzednik.

Musiała się spieszyć, jej zdobycz zbliżała się do granicy podziemi, skąd mogła się już łatwo wydostać na powierzchnię.



Gruman podświadomie przyspieszał kroku. W miarę jak według Kaspraka zbliżali się do wylotu kanału wiodącego na powierzchnię, rosło w nim przeświadczenie, że muszą się spieszyć, że pozostaje im coraz mniej czasu.

– To jest blisko, czuję to – powiedział nagle jeden z czarodziejów.

– Musimy się dostać na powierzchnię, jeszcze tylko kawałek – nalegał Kasprak. – Jeszcze jedno skrzyżowanie.

– Zapalcie ostatnią pochodnię, żebyśmy lepiej widzieli – przykazał Gruman.

– Przejdziemy jeszcze przez jedno skrzyżowanie, na wprost, a potem dalej prosto i jesteśmy na nabrzeżu – kontynuował Kasprak.

Otoczająca ich ciemność jakby nagle przesiąkła stęchlizną, ruszyli przed siebie truchtem. Gruman w duchu zaklinał czarodzieja, żeby tym razem miał rację, żeby się nie mylił.

– Są za nami! – krzyknął czarodziej, który wcześniej wyczuł tę rzecz.

Gruman obrócił się. W blasku pochodni widział kilka zbliżających się postaci, dwaj czarodzieje już trzymali w swych dłoniach przygotowane kamienie i zaklęciami budzili je do życia. Wydawało się to zbyt skuteczne, z pewnością tamci nie mogli ich dogonić, prawdziwe niebezpieczeństwo czyhało gdzie indziej, był tego pewien.

– Nie! Musimy uciekać! Chcą nas spowolnić, chcą, żebyśmy zużyli wszystkie zaklęcia! – krzyknął, ale za późno. Tunel za nimi zamienił się w ogniste piekło. – Uciekajmy! Do przodu! – krzyczał Gruman.

Klinsman i Kasprak posłuchali, biegli razem z nim tunelem. Pochodnie migotały, pod stopami chlupotała im gęsta zawiesina ścieku. Wreszcie ciemność przed nimi zaczęła się widocznie rozjaśniać.

Powinniśmy dać radę, pozwolił sobie na cień nadziei Gruman. Słyszał, jak dogania go jeden z czarodziejów, który został w tyle. Dzięki światłu dostrzegł postaci blokujące im drogę ku ocaleniu.

– Macie jeszcze te ogniste kamienie? – wychrypiał zabójca pomiędzy ciężkimi oddechami.

Klinsman pokręcił tylko głową.

– To się przebijemy stałą. Da się to zabić – warknął Gruman.

Pięć sylwetek znajdowało się już na granicy światła pochodni, dostrzegali niedokładnie odwzorowane ludzkie rysy, w które ich twórca nie włożył zbyt wiele trudu. Za nimi czaiło się coś wielkiego. Przywódca, Gruman nie miał wątpliwości. Żałował, że nie ma kuszy albo łuku.

– Poczekajcie – zatrzymał ich Kasprak. Cały się zgarbił, jakby szykował się do skoku, po czym wyrzucił przed siebie rękę, zaciskając ją w pięść. Zabrzmiało to jak trzaśnięcie pioruna, a pierwsza z postaci rozsypała się w pył. Kasprak wycofał się, a jego miejsce zajął kolejny czarodziej. Gruman rzucił się pod ścianę. Czarodzieje zużyli swoje ogniste kamienie, ale wciąż jeszcze mieli w zanadrzu pewne sztuczki. Jeśli magia mogła im pomóc, Gruman był za.

Drugi mężczyzna skupił się, szykując się do rzucenia zaklęcia, kanałem przetoczył się kolejny grzmot i on sam zamienił się w chmurę pyłu. Coś poszło nie tak. A zatem lepiej na magii nie polegać, trzeba to rozegrać z bliska. Gruman nie wiedział, czy czarodzieje za nim idą, ale było mu wszystko jedno. Jedyna szansa, by przeżyć, to przebić się przez nieprzyjaciela.

Toporni mężczyźni uzbrojeni w noże navajo nie byli dla niego wymagającymi przeciwnikami, ale spowalniało go to, jak niechętnie umierali. Musiał im zadawać po wielokroć śmiertelne rany, aby wreszcie zginęli. W końcu i Klinsman z pozostałymi przyłączyli się do walki za jego plecami. Wystarczyło, aby posłał przeciwnika na ziemię i przez niego przeszedł, a reszta ich małej grupki postarała się już, aby zmienić go w kupę zielonej gliniastej materii. Gruman parł do przodu. Zasłony, po których następował grad szybkich kontrataków. Wiedział, że goni ich czas, że muszą się przebić jak najszybciej. Za plecami czuł śmierć.

Oddychał z trudem, oczy co chwila zachodziły mu mgłą, serce waliło w szaleńczym tempie, pulsująca krew próbowała oczyścić mięśnie ze zmęczenia i pozwolić mu kontynuować nieustający bój o przeżycie. Musiał walczyć dalej, przebić się przez ożywionych magią przeciwników, wydostać z podziemi, pod otwarte niebo.

Wreszcie dostał się do wielkiego mężczyzny czekającego z tyłu. Był o głowę wyższy od Grumana, uzbrojony w miecz, a jego twarz do pewnego stopnia przypominała zabójcy jego własną. Nie tracił jednak czasu, by zastanawiać się nad podobieństwem, wyprowadził cięcie na ramię, przygotowany, aby poprawić pchnięciem. Zasłona przeciwnika była bezbłędna i Gruman nagle sam musiał się bronić unikiem i atakiem na korpus. Pomógł sobie przy tym sztyletem i drugi raz już nie zlekceważył wroga. Udało mu się zranić go w udo, ale w przeciwieństwie do człowieka nijak go to nie spowolniło.

Miecze znów się spotkały, zwały. Gruman się zniżył, odwiódł mordercze ostrze przeciwnika ponad swoją głowę na bok, wbił mu klingę noża w brzuch i pchnął ku górze. Prawie równocześnie zainkasował potężne uderzenie lewą ręką, niczym młotem, i puścił rękojeść noża. Cofnął się, poprawił chwyt na mieczu i złapał go oburącz, chcąc wykorzystać dezorientację i spowolnienie przeciwnika. Błyskawiczną kombinacją ciosów zaatakował na ramię, biodro i brzuch. Dwukrotnie udało mu się pokonać obronę, równocześnie sam poczuł ostry ból w ramieniu. A ten bydlak dalej nie zdychał.

Grumanowi zaczynało brakować sił, wiedział, że walcząc w tak morderczym tempie i z taką siłą, za kilka chwil się podda. Zamarkowany atak, idealne odbicie z kontratakami, ryzykownie pozwolił ostrzu przeciwnika świsnąć tuż obok, ale zyskał dzięki temu przestrzeń, by znów pchnąć w brzuch, z którego wciąż wyciekał szaro zielony śluz. Zaatakował, jednak w ostatniej chwili cel zasłoniło ramię, które zdołał zranić, ale które odbiło jego ostrze na bok. Spiął się z całych sił i najmocniej jak tylko potrafił docisnął miecz, aby choć tę kończynę złamać, uszkodzić, obezwładnić.

Tego jakby już było dla jego przeciwnika zbyt wiele. Rzucił się w przerwę między Grumanem a ścianą, powalił na ziemię jednego z czarodziejów i umknął w ciemność.

Gruman rozejrzał się wycieńczony. Stracił miecz, który utknął w ramieniu uciekającego wroga. Zabójca dostrzegł Klinsmana i innego czarodzieja na ziemi, nikogo więcej już z nimi nie było.

Schylił się, aby pomóc leżącemu, ale dostrzegł, że to próżny wysiłek. Z piersi tamtego sterczał nóż.

– Idziemy na dwór, nie zostanę tu ni sekundy dłużej – wycharczał Klinsman.

Gruman popatrzył w ciemność za plecami. Przeszyło go poczucie winy, ale wiedział, że nikomu z tych, którzy zostali z tyłu, nie mógł pomóc. Byli martwi. O ile mieli szczęście.

Pokonali ostatnich kilkadziesiąt metrów dzielących ich od światła i otwartego nieba nad głową. Wylot kanału dosięgał tutaj powierzchni wody, w czasie przyływu tunel musiał być częściowo zatopiony.

– Mamy szczęście – powiedział Gruman, siadając ciężko i opierając się o kamień. Morska woda obmywała jego uwalane fekaliami i szybko się rozpadającym zielonym śluzem buty.

– My dwaj owszem – potwierdził Klinsman. Siadł prosto w wodę, oparł głowę na dłoniach. Czuł, jak tył czaszki ogrzewają mu gorące promienie słońca.

Rozdział 30

Na końcu drogi



Siedziałem w szatni, sprawdzałem zbroję, choć wiedziałem, że jest w porządku, i powoli się odziewałem. Broń będzie określona zasadami areny, ale zbroja zawsze była wyborem zawodnika. Nie wymyśliłem tu nic nowego, zadowolilem się starą zbroją folgową, którą sam kiedyś wykułem, zapinaną przesywanicą z szalinową podszewką i koszulą z grubo tkanego szalinowego płótna. Były to kilkusetletnie artefakty, które książę wygrzebał gdzieś dawno temu i zdołał mnie przekonać, abym z nich skorzystał. Zauważyłem, że Valer miał kompletną zbroję wykonaną z kilku warstw tego materiału. Zapewne w ostatnim czasie ładne parę razy dobrze na tym wyszedł. Gdyby ją zaoferował właściwym ludziom, sprzedałby ją za pół hrabstwa. Może nawet całe.

Pancerz uzupełniłem długą kolczą koszulą nad kolana i chwilę przyglądałem się swoim starym skórzanym butom z okutymi noskami i piętami. Niedawno dałem je do podzelowania i szewc zaśpiewał za to niebotyczną sumę. Po tym, jak nie zgodziłem się mu ich sprzedać. Wyglądało, że jeszcze trochę wytrzymają.

Poprzez wyschnięte deski sufitu i niereperowany latami dach do środka wpadały promienie słońca, krojące półmrok niczym cienkie ostrza. W powietrzu unosił się zapach potu i strachu, którym przesiąknięte były nieheblowane deski ścian i podłogi. Szeroka drewniana ławka była w wielu miejscach poznaczona czerwonymi

plamami. Przynosili tu z areny poranionych i umierających zawodników, aby felczer mógł szybko ocenić, co z nimi dalej począć. Ciemniejsze plamy były nowsze, te jaśniejsze, ledwo dostrzegalne – wcześniejsze.

Założyłem naramienniki i sprawdziłem, czy rzemienie są dobrze dociągnięte. Gdzieś za mną grzmiała publiczność. Na widowni panował ścisk. Najwyraźniej wieści rozniosły się po całym mieście, a szaleństwo zakładów zrobiło swoje. Moja walka miała być wydarzeniem sezonu, niektórzy nawet przebąkiwali o wydarzeniu dziesięciolecia. Miałem już kilka takich na koncie, nawet ich nie pamiętałem.

Ostatnia kontrola, przysiad, krok w bok, przeciągnąć się. Wszystko pasowało, trzymało jak powinno. Byłem gotów. Siadłem i z rękoma na udach czekałem, aż po mnie przyjdą. Wsłuchiwałem się w leniwe uderzenia swojego serca, śledziłem muchy krążące pomiędzy drobinkami kurzu, błyszczącymi w powietrzu w słonecznych promieniach. Mój dzień.

Z szumu wyłoniły się kroki, to nadchodził szef areny w asyście zbrojmistrza i dwóch siłaczy uzbrojonych w zawieszane u pasa obuchy. Szedł sprawdzić, czy jestem gotów, i zaznajomić mnie z zasadami walki. Jakby to robiło różnicę. Przez ścianę z metalowej siatki widziałem, jak nadchodzą. O dziwo, zapukali, ale potem weszli, nie czekając na zaproszenie.

– Gotów?

Był to Suchelec, mój stary znajomy, z którym ustalałem walki i zakłady. Dla niego ten dzień też był ważny, pewnie nie chciał, aby ktoś inny mu cokolwiek spartolił. Kiedy w grę wchodziły takie sumy pieniędzy, lepiej było wszystkiego dopilnować samemu.

W czerwonym płaszczu do ziemi, z ceremonialnym berłem wyglądał dokładnie tak, jak publika lubiła najbardziej. Niczym władca posyłający ludzi na śmierć. On nikogo na śmierć nie posyłał, wszyscy ją sobie wybieramy sami.

– Gotów? – powtórzył.

Jak widać, milczałem zbyt długo.

– Ta – odpowiedziałem.

– Już myślałem, że się nie pojawisz. Nie skorzystałeś z jedynej okazji na trening, żeby się zapoznać z areną.

To by mu dopiero było na rękę, gdybym porzucił zakład, który postawiłem sam na siebie i który przeszedłby na arenę.

– Postawiłem na siebie – przypomniałem mu – a do tego miałem trochę roboty i inne sprawy.

– Skontroluj go – poinstruował zbrojmistrza.

Będą mnie kontrolować jeszcze raz, na arenie, ale to już bardziej pod publiczność. Główne przeszukanie, czy nie mam gdzieś poukrywanej broni, miało mieć miejsce tu i teraz.

Posłusznie wstałem i rozłożyłem ręce, zbrojmistrz z wprawą zabrał się do roboty. Gdzieś nad nami zahuczała publiczność, słyszałem, jak oceniają zawodników. Byli wspaniałomyślni, bo dziś czekała ich krwawa zabawa. Rozgrzewali się.

– Jest w porządku. Żadnych trucizn, oślepiającego proszku, żadnych ukrytych ostrz – podsumował zbrojmistrz.

– Przed godziną ktoś postawił na ciebie przez pośrednika bardzo wysoko – zagaił Suchelec. – Nie wiesz czasem nic na ten temat?

– Tylko tyle, że mądrze postawił – odpowiedziałem.

Przyglądał mi się, jakby nad czymś rozmyślał, ale nie powiedział nic.

– Mamy jeszcze parę chwil, trwa właśnie przedwalka – zmienił temat. – Nie napijesz się wina na przepłukanie gardła?

Jeden z siłaczy wyczarował skądś bukłak z winem, jego kompan dwa puchary, jeden podał Suchelcowi. Bardzo użyteczne te osiłki.

– Pewnie, chętnie – zgodziłem się.

Ten z bukłakiem napełnił oba puchary i podał mi jeden. Przyglądałem się, jak Suchelec pije, po czym poszedłem w jego ślady. Wino smakowało jak to wino. Może odrobinę za słodkie, jak takie, co to się je robi z daktyli zamiast z winogron. Smakowałem je chwilę w ustach, po czym pociągnąłem drugi łyk.

– Słyszałem o takich przypadkach, kiedy zawodnikowi podali przed walką wino wzmocnione opium albo innymi narkotykami – zauważyłem. – Wiecie, jaka za to groziła kara?

– Dalej grozi. Biczowanie u pala przed publicznością – odpowiedział sucho szef areny. – Przecież pijemy z tego samego mieszka, a ja na pewno nie piszę się na podtrucie opium ani niczym innym.

– Jasne – powiedziałem, przyglądając się, jak w moim winie rozpuszcza się cieniutka, nieomal niewidoczna warstewka jakiejś ciemnej substancji. Musieli nią posmarować wewnątrz pucharu.

Wlałem w siebie resztę zawartości.

– Teraz zostawcie mnie w spokoju, chcę się skoncentrować – powiedziałem.

Szef areny ze zbrojmistrzem popatrzyli po sobie. Byli w zmowie. Nie żeby to robiło różnicę. Odeszli, zamykając za sobą drzwi do boksu. Otworzą je, dopiero jak przyjdzie mój czas.

Zostałem sam. Słuchałem huczenia tłumu i próbowałem pochwycić w nim rytm, melodię. Prawie mi się to udało, kiedy znów usłyszałem kroki. Mój czas nadszedł. Zorientowałem się, że nie mam hełmu, straciłem go gdzieś podczas wizyty u Parleura. Nie szkodzi. Kto pozwala walić się po łbie, zasługuje na wczesną śmierć.



Słońce chyliło się ku zachodowi, ale wciąż jeszcze przyjemnie grzało. Na wpół oczekiwałem, że będę je miał naprzeciw siebie, aby mnie oślepiało, ale arena była zorientowana w taki sposób, aby obu zawodnikom zapewnić takie same warunki. Gdyby nagle zaczęli mieszać w dawno ustalonym porządku, tylko by ściągnęli na siebie podejrzzenia. Co pewnie i tak by nikomu nie przeszkadzało, bo tysiące ludzi zgromadzonych na widowni przywitały mnie szyderczym buczeniem. W ciągu ostatnich kilku dni prowizorycznie powiększono widownię o dobrych dziesięć kolejnych rzędów. Czemu nie, interes musi się kręcić.

Wydało mi się, że słońce się do mnie uśmiecha. Stałem w swoim kręgu, na lewo od szefa areny i towarzyszących mu mięśniaków. Plecy chroniło mu czterech osiłków, wszyscy

w błyszczących pancerzach, w hełmach z krzyżowymi wizorami. Już lepszy żaden hełm niż taki, człowiek jest w nim na wpół ślepy.

Szef areny mnie przedstawił. Na to, jak mało o mnie wiedział, nagadał się, aż miło. Ale przychylności publiki mi tym nie zapewnił, było widać, na kogo wszyscy stawiali. Pytanie brzmiało, czy postawili dość.

Wreszcie ze swojego korytarza wyszedł Gook Nerzeezi. Upłynęło sporo czasu, odkąd go widziałem na arenie, teraz wydał mi się jeszcze bardziej monstrualny. Głowa tonąca w masie szerokiego trapezu, masywny tułów, zwaliste, nieproporcjonalnie krótkie nogi i węzłowate ręce, jedynie z grubsza przypominające ludzkie kończyny. Wyglądały raczej jak pnie drzew obdarzone własnym życiem. Nie musiał się mocno schylać, żeby podnieść rzeczy z ziemi. Kość obłej brody jak murowana, rozplaszczony nos jak u zwierzęcia, oczy mocno schowane pod masywnymi łukami brwiowymi. Chronił go pancerz z pięciu dobrze spasowanych stalowych płyt, ramiona ukryte zostały pod naramiennikami, wszystko umożliwiała poruszanie się z łatwością. Kolczugę miał krótszą niż moja.

Jego prezentacja trwała o wiele dłużej niż moja. Suchelec przerywał ją starannie dobranymi pauzami, które publiczność posłusznie wypełniała szaleńczymi owacjami.

Jak dla mnie, mogłoby to trwać i całe wieki. Słoneczko grzało, piasek areny delikatnie promieniował jego żarem, hałas tłumu powoli zamieniał się w przyjemną melodię.



– Wojownicy, pozdrówcie się! – zabrzmiał rozkaz.

Posłusznie ruszyłem do miejsca, w którym mieliśmy się z Gookiem spotkać. On już tam na mnie czekał, ja nie byłem nawet w połowie drogi. Tłum huczał gniewnie. Z góry poleciały nawet jakieś odpadki, ale mieli za daleko, nie sięgnęły mnie. W dalszym ciągu się nie spieszyłem. Chciałem się nacieszyć moim dniem.

Wreszcie stanąłem przed Nerzeezim. Przywykłem do tego, że wielu ludzi jest ode mnie wyższych, ale zazwyczaj nie są przy tym ciężsi i potężniej zbudowani. Właściwie to się w ogóle nie zdarzało. Nerzeezi przewyższał mnie o dwie głowy, i to pomimo że stał przygarbiony, jakby nie mógł całkowicie się wyprostować. Może nawet o trzy. Z bliska masywna budowa jego ciała wręcz szokowała. Ćwierć tony mięśni, ścięgien i kości.

– Pozdrówcie się – powtórzył szef areny ze swojego miejsca przez tubę głosową, aby usłyszeli go i ci najdalej siedzący. Wokół nas krążył jego asystent z podobną tubą.

– Rozmażę ci nos po mordzie, a potem rozbiję tę mordę – zadudnił Gook.

Głos miał tak głęboki, że miałem problemy ze zrozumieniem go. Asystent poprzez swoją tubę powtórzył jego słowa publice, która wybuchła niezrozumiałą radością, jakby powiedział coś dowcipnego. Teraz była moja kolej, ale nic mi nie przyszło do głowy. Jak zawsze zresztą.

– Połamie ci nogi, ręce, podepczę ci żebra – kontynuował Gook, kiedy na nic się nie zdobyłem.

Kolejna erupcja szaleństwa. Nie rozumiałem, po co ta cała gadanina. Chciało mi się spać, cały ten rechot publiczności dobiegał mnie z oddali niczym jakaś kołysanka.

– A na koniec rozłupię ci kości i powysysam z nich szpik, zanim jeszcze zdechniesz – rzucił mi prosto w twarz.

Straszną miał fiksację na punkcie łamania i roztrzaskiwania kości. Trudno było nie przypomnieć sobie losu szefa głównej cesarskiej areny.

– Będiesz tak tylko klepać gębą czy weźmiesz się wreszcie do roboty? – odpowiedziałem, czym zasłużyłem sobie na burzę przekleństw ze strony publiczności.

To już nie brzmiało jak kołysanka. Szkoda.

Jeden z sędziów wydobył złotą monetę. Nowiuteńką, lśniącą niczym samo słońce.

– Twarz czy miecze?

Wybrałem rewers i, o dziwo, padło na moje. Mogłem wybrać stronę areny, a co za tym idzie zestaw zgromadzonych broni. Na każdym końcu umieszczony był wybór siecznych, kłutych i innych narzędzi do zabijania. Zakładałem, że tutaj żadnego oszukaństwa nie było, wybór zależał od losowego rzutu monetą.

– Tarcza i młot! – zabrzmiał wybór szefa areny.

Z tarczą i młotem to była zawsze niezła przepychanka. Siła liczyła się bardziej niż cokolwiek innego, arena znów starała się zapewnić sobie zwycięstwo. Obróciłem się i ruszyłem ku swojemu zestawowi. Niektóre egzemplarze jak dla mnie nadawały się co najwyżej do powieszenia gdzieś na ścianie jako ozdoby albo rekwizyty do przedstawienia dla olbrzymów. Wybrałem sobie podłużną tarczę z podpórką na przedramię i młot z płaskim bijakiem, ostrym grotem i ostrzem jak topór. Najwięcej obiecywałem sobie po bijaku, przy odrobinie szczęścia może zdołałbym pogruchotać pancerne płyty na piersi Gooka, a co za tym idzie i żebra.

Zabrzmiał gong, czas na przygotowania minął.



Obróciłem się i powoli ruszyłem ku linii dzielącej arenę na pół. Szedłem wolno, nie było się dokąd spieszyć. Zdawałem sobie sprawę z tego, że za moim ociąganiem mogło stać opium, ale w niczym mi to nie przeszkadzało. Z opium miałem już swoje doświadczenia[2] i to teraz nawet się nie zbliżało.

Gook czekał na linii, nie wykorzystał mojej powolności, aby mnie zagonić do końca areny. W rękę trzymał młot, który uważałem za rekwizyt teatralny, nawet jeśli wykonany był z przyzwoitej stali przez znajomego swój fach kowala.

Chwilę wokół siebie tańcowaliśmy i biorąc pod uwagę, jak miał te słupowate nogi krzywe, poruszał się na nich całkiem zwinnie. Wreszcie przestało go to bawić i zaatakował jak zawodowiec, tarczą na tarczę. Chciał sobie otworzyć wystarczającą przestrzeń do uderzenia młotem. Wiedziałem, że tego spróbuje, i wiedziałem, jak

ja sam na to zareaguję, ale był szybszy i silniejszy, niż się spodziewałem, jego napór okazał się nieziemsko brutalny. Oparłem mu się z trudem, koniuszek jego młota roztrzaskał zasłonę mojej tarczy.

– To nie było złe. – Uśmiechnął się do mnie z góry i błyskawicznie znów zaatakował, praktycznie równocześnie młotem i tarczą.

Znów dokładnie tego po nim oczekiwałem, ale siła uderzenia mnie zaskoczyła. Obuch młota musiał ważyć ze dwadzieścia kilo. Ze spoconym czołem zdołałem zwiększyć odległość między nami, żeby się trochę otrząsnąć. Gook był szybki, a ja na nic raptownego nie miałem ochoty.

Opium.

Ale i bez niego nic by mi się nie chciało.

Znów dostrzegłem obuch młota rozmazany w błyskawicznym ataku, jego śmiercionośność zwielokrotniona zamachem nieczłowiecko długich i silnych ramion. Moja powolność mnie tutaj zabije, nie zdołam uniknąć trafienia. Puściłem młot, złapałem ręką za przedramię z tarczą i zainkasowałem uderzenie. Jego młot nie miał ostrza, jedynie płaski bijak. Trafił tarczę w jej nadwyrężony środek, przedramię, ramię, obojczyk i całe moje ciało wybuchło bólem z zaabsorbowanego uderzenia. Nagle znalazłem się w powietrzu, Gook na chwilę zniknął gdzieś pode mną, po czym padłem na plecy w piach i tak już zostałem, sparaliżowany bólem, na bezdechu.

Straciłem ostrość widzenia, niczym przez mgłę widziałem Gooka, jak z uniesionymi rękami ogłasza swoje zwycięstwo. Wciąż jeszcze nie mogłem złapać oddechu, ale czułem, że się uśmiecham.

I to, co najgorsze, jest dla mnie całkiem dobre.

Z Gookiem zapowiadała się długa i bolesna przeprawa. Byłoby oznaką słabości z mojej strony, gdybym ją sobie złagodził narkotykowym hajem.

Tłum skandował szaleńczo. Bój był wprawdzie krótki, ale spektakularny, a oni wszyscy wygrali swoje zakłady. Gook skończył zwycięski taniec i ruszył ku mnie, żeby zakończyć walkę. Tarczą nie zawracał sobie głowy, zdał się jedynie na młot. Był o dwa kroki ode mnie, wykładana brązem rękojeść jego broni łagodnie połyskiwała

w słonecznych promieniach. W chwili kiedy stanął na lewej nodze, cisnąłem w nią nisko przy ziemi moją tarczą, jak dziecko puszczające kamieniami kaczki na wodzie. Trafiłem w kolano, które miałem nadzieję strzaskać, ale Gook zawył tylko i uniósł broń. Rzuciłem się ku niemu o mgnienie oka za tarczą, ramieniem trafiłem go tuż nad kolana, prawą ręką chwyciłem obie jego nogi i posłałem go na ziemię.

Wiedziałem, że za chwilę powyłamuję mu stawy w taki sposób, że nawet jeśli przeżyje, do końca życia pozostanie kaleką.

Nie potrafił się bić na ziemi, i to ani trochę, ale był ode mnie silniejszy. Dużo silniejszy, a jego anatomia różniła się od ludzkiej jeszcze bardziej, niż to na pierwszy rzut oka wyglądało. Na chwilę zdołałem mu założyć podwójnego nelsona, ale nie zdołałem pokonać oporu niehumanicznych mięśni jego szyi. Sięgnął po mnie tymi swoimi długimi łapskami i tylko z najwyższym wysiłkiem udało mi się nie pozwolić, żeby mi urwał głowę.



Oddzieliliśmy się od siebie i obaj skoczyliśmy na nogi. Ja, ponieważ cieszyłem się, że wciąż jeszcze żyję, on, bo nie miał ochoty walczyć na ziemi. Ciężko oddychałem, nawet to krótkie zwarcie kosztowało mnie masę energii, pod wpływem adrenaliny i pulsującej szaleńczo krwi opium pozostało jedynie odległym wspomnieniem. Patrzyliśmy na siebie. Wyglądało na to, że bez stali nie mam przeciwko niemu najmniejszych szans. Uśmiechnąłem się, co go zaskoczyło.

– Miecz dwuręczny! – krzyknął Suchelec.

Pojedynek na zweihänderzy zazwyczaj zamieniał się w walkę w pozycji stojącej. Tu Gook miał przewagę wynikającą z jego konstrukcji fizycznej, arena starała się jak mogła, aby zapewnić sobie zwycięstwo.

Stał bliżej mojego zestawu broni. Obrócił się i zwyczajnie ruszył tam. Czemu nie, nie było sensu się wyklócać. Ruszyłem ku jego

ścianie i zgodnie z przykazem wybrałem dwuręczny miecz. Wisiał tam jeszcze jeden, dłuższy, masywniejszy, cięższy. Teraz już wiedziałem, że nie była to ozdoba na ścianę. Z ostrzem spoczywającym na ramieniu obróciłem się i czekałem. Nigdzie mi się nie spieszyło. Słońce ogrzewało mnie teraz z drugiej strony, powinniśmy się zamieniać miejscami regularnie. On, oczywiście, wybrał sobie ten większy i tak trochę ze złością zaczął maszerować w moją stronę. Wielkim miłośnikiem spacerów nie był, to wydawało się oczywiste.



Trzymał broń agresywnie, w gotowości i prosto z marszu zaatakował ukośnym cięciem na ramię. Zakryłem się, on spróbował pchnięcia, które odbiłem na bok, ale zatrzymać go nie zdołałem, z nieoczekiwaną zwinnością sprzedał mi kopniaka tą swoją pokrzywioną girą. W jaja mnie nie trafił, jedynie w podbrzusze, ale i to wystarczyło. Nie zdołałem utrzymać równowagi, zdecydowałem się rzucić w tył i przetoczyć przez ramię, co mnie uchroniło przed cięciem na głowę. Bez podnoszenia się ciąłem od ziemi w górę, czym wreszcie zdołałem go zatrzymać. Uderzenie w kolano musiał wciąż czuć.

Powoli się podniosłem. Dał mi na to czas, w grymasie, który zapewne uważał za uśmiech, odsłaniając swoje olbrzymie zęby. Tych kłów mogła mu pozazdrościć większość lwów.

Oddychałem głęboko i próbowałem dostosować się do jego tempa. Nie rozumiałem, jak ktoś mógł być tak szybki z tak wielką bronią. Właściwie to nie rozumiałem, jak ktokolwiek może być tak szybki. Oprócz mnie. Walczyliśmy długimi mieczami jak normalni ludzie jedno ręcznymi.



Tym razem ja rzuciłem się do ataku. Stal trafiła na stal, chwilę się siłowaliśmy, jego ostrze otarło mi się o pancerz na ramieniu, wyprowadziłem cięcie w bok, które jednak nie wyrządziło mu najmniejszej szkody. Atak na biodro kryłem twardą kontrą, poczułem, jak ostrze mojego miecza protestuje.

Jego żelastwo było o wiele masywniejsze, wytrzyma więcej – musiałem sobie ciągle przypominać. Uśmiechnął się paskudnie i zaatakował, jakby co najwyżej ćwiczył. Zdobyłem się na kontratak pchnięciem, prawie się udało, ale uskoczył. W odpowiedzi znów rąbnął mnie tak mocno i szybko, że przeszedł przez moją zastawę. Na szczęście pancerz wytrzymał. Cofnąłem się o dwa kroki, ale Gook nie dawał mi ani chwili wytchnienia, wykorzystując długość swoich łąpsk i samej broni, dalej trzymał mnie w defensywie. Kolejne ataki, bronilem się ledwo, ledwo, a i to z użyciem wszystkich moich sił. Niektóre z jego trafień odczułem solidnie, było tylko kwestią czasu, kiedy się do mnie dostanie.

Zaatakował długim cięciem na moje ostrze, potem poprawił w przewidywalny sposób, ale znów zbyt silnie oraz zbyt szybko, abym zdołał uskoczyć. Musiałem przyjąć i znów mój miecz zaprotestował. Długo nie wytrzyma tak brutalnego traktowania.

W walce na dystans był lepszy, w zwarciu mógł mnie zmiażdżyć. Gdybym nie był sobą, być może zacząłbym się bać.

I to najgorsze jest dla mnie całkiem dobre.

Skuliłem się i zwolniłem blok. Jego miecz ześlizgnął się po moim, obróciłem swoje ostrze w ręce i zanim zdążył zareagować, rąbnąłem go głowicą pod szczękę. Wytrąciłem go z rytmu, płazem miecza zdołałem trzepnąć go w przedramię i zbić je do dołu, dzięki czemu zyskałem przestrzeń do ataku.

Miał się zatoczyć do tyłu, ale zamiast tego zwyczajnie puścił broń i szcudrze potraktował mnie łokciem. Krew zalała mi jedno oko, natychmiast zrobiłem krok w tył. On w tym czasie zdążył się pozbierać i wyprowadził atak na moją głowę. W ostatniej chwili zdołałem się zasłonić, mój miecz powstrzymał uderzenie, ale sam już więcej znieść nie zdołał. Nie wahałem się ani pół sekundy, dopadłem do Gooka i ułamaną klingą pchnąłem od dołu w jego kark.

Chwyciłem drugą ręką za krawędź jego pancerza, aby się podciągnąć, aby zwiększyć siłę mojego ataku, aby się upewnić, że moja broń sięgnie jego gardła.

Zahaczyłem o wycięcie pancerza. Uderzenie obiema rękami niczym kafarem posłało mnie na ziemię. Gdybym próbował się zasłonić, połamałby mi ręce, a tak jedynie cisnął mnie na piach. Przy ciosie jego rękawica otarła się o moją twarz, krew zalała mi drugie oko. Odstąpił, aby skoczyć na mnie obiema nogami i impetem swej masy wdeptać w ziemię jak robaka. Przetoczyłem się i sięgnąwszy ręką na ślepo, zdołałem go podciąć. Usłyszałem, jak padając na ziemię, zaklął. Błyskawicznie na niego skoczyłem i już, już miałem w zasięgu jego łokieć, kiedy jakimś cudem zdołał wcisnąć między nas te swoje pokurczone kulasy i z siłą nosorożca posłał mnie w powietrze.

Jakby mnie ktoś wystrzelił z katapuły. Zdeformowane stalowe płyty wbiły mi się przez przeszywanicę w ciało. Wypuściłem powietrze, napiąłem wszystkie mięśnie i chwilę potem ziemia kopnęła mnie równie twardo jak przed chwilą on.

Otarłem oczy. Znow się do mnie zbliżał, tym razem powoli, trochę go jednak zdołałem pacnąć. Tyle że ja miałem problem, próbując się podnieść. W zasadzie byłem zadowolony. Cholernie zadowolony. Czego więcej mógłbym sobie życzyć?

Wstałem. Jakoś nagle znow wszystko działało. Gook wyglądał na zdziwionego.

– Gdybyś się tak do tego zabrał od samego początku, miałeś szansę zwyciężyć. Miałeś szansę mnie zabić. Teraz już nie – powiedziałem zupełnie na poważnie.

Wciąż mógł tego dokonać. Wciąż mógł mnie zabić. Wydobyłem mały nożyk z krótkim, ale ostrzejszym niż brzytwa ostrzem i zacząłem przecinać rzemienie pogruhotanej zbroi. Bardziej mi przeszkadzała, niż pomagała. Zbrojmistrz nóż przeoczył. Zawsze coś przeoczą.

Wokół nas grzmiał żądny krwi tłum, ale odgłos dobiegał mnie jedynie z daleka, był bez znaczenia.

– A czemu nie miałbym cię zabić? – nie rozumiał.

– Bo cię na to nie stać – odpowiedziałem.

Szef areny coś na nas zaszczekał, ale nie zwracaliśmy na niego uwagi. Pancierz upadł w piach, porwane i pocięte płyty zaskrzypiały.

– A ty jak chcesz mnie pokonać? – pytał z mieszaniną ciekawości i zaskoczenia, niczym dziecko, które właśnie dowiedziało się o czymś, czego nie jest w stanie zrozumieć.

– Gołymi rękami – odpowiedziałem spokojnie.

Przybrał taki wyraz twarzy, jakby właśnie usłyszał najlepszy dowcip w swoim życiu. Pierwszy krok wykonaliśmy równocześnie.



Było to, jakby mnie ostrzeliwali z machin obłączniczych. Każda zasłona sprawiała mi ból, każde uderzenie, które mnie choćby musnęło, zdzierało skórę. Miało mnie to osłabić, zdeprymować, ale ja się tylko cieszyłem, korzystałem ze swojego dnia. Gook był naprawdę znakomity. Bez broni jeszcze lepszy niż z bronią.

Zamortyzowałem jego lewy hak zasłoną, podbiłem mu łokieć, skróciłem dystans, czym zredukowałem trochę energii uderzenia w żebra, i sam zasypałem go gradem ciosów, który z każdego normalnego człowieka wytrząsnąłby żywot. On jednak nie był normalnym człowiekiem, jedynie nieco go spowolniłem.

Znów zdołał zwiększyć dystans. Lewego haka uniknąłem, przed prostym się zasłoniłem, prawy hak był niewyobrażalnie szybki. Skuliłem się za własnym ramieniem i poleciałem w piach.

Wystartował do mnie, świadomy zyskanej przewagi, chętny zakończyć sprawę tu i teraz. Zbyt chętny. Cisnąłem mu piaskiem w oczy, co go wytrąciło z rytmu, sam stanąłem na nogi, podciąłem go i jeszcze w locie trafiłem piętą w twarz. Nagle ten jego świński ryj zrobił się jeszcze bardziej płaski.

W odpowiedzi trafił mnie w żebra, które do tej pory udawało mi się całkiem dobrze chronić. Sięgnął mnie tymi swoimi długimi łapskami.

Nagle to on był na górze, a ja leżałem na ziemi i za wszelką cenę starałem się uniknąć jego śmiercionośnych kopnięć. Udawało mi się ze zmiennym powodzeniem. Czulem, jak żebra puszczają, jak protestują stawy. Trafił mnie w głowę, zrobiło mi się ciemno przed oczami. Koniec był blisko. Ślepym trafem zdołałem pochwycić jego stopę i szarpnięciem obróciłem ją o sto osiemdziesiąt stopni. Kostki nie zdołałem mu złamać, ale przynajmniej posłałem go na ziemię.

Z powrotem na nogach stanęliśmy równocześnie, zasypał mnie gradem ciosów, które powoli wyduszały ze mnie życie. Mógł tego dokonać, znów zaczynałem w to wierzyć.

Jeśli miałem wytrzymać jeszcze choć chwilę, musiałem się dostać bliżej, pozbawić go przewagi, jaką zyskiwał z silnych zamachów swoimi długimi łapskami, ale równo cześnie nie dać się zgnieść jak dojrzały melon.

Prawie mi się udało znowu go podciąć, chwilę się zawahał, dzięki czemu dopadłem do niego i sam zacząłem go okładać lawiną krótkich ciosów. Włożyłem w nie wszystko, co mi jeszcze pozostało, ale to nie wystarczyło. Ustał i w odpowiedzi przyszykował się do kończącego sprawę uderzenia z góry. Było mi wszystko jedno, czy chce mi roztrzaskać czaszkę, czy tylko zgruchotać ramię i obojczyk, docisnąłem się do niego, skuliłem i z całej siły łupnąłem go w lędźwie. To pozbawiło jego cios odrobiny początkowej siły. Równocześnie łokieć prawej ręki wcisnąłem mu pod ramię, ustawiłem się do niego bokiem, sięgnąłem drugą ręką, chwyciłem mocno za sierść na karku i pchnąłem w dół, przez moje biodro. Jego uderzenie trafiło mnie, mimo że osłabione, oberwało mi ucho, ale w tej samej chwili leciał już w powietrzu. Zanim padł, zdołałem pochwycić go za prawą dłoń, błyskawicznie ją obróciłem, pociągnąłem w przeciwnym kierunku, niż poruszała się reszta jego ciała, i w chwili kiedy padał na ziemię, złamałem mu rękę w łokciu o własne kolano.

Spiął się w sobie, żeby stawić mi opór, ale poraził go ból spowodowany złamaniem.

– Nie dałeś rady, przegrałeś – powiedziałem i sam nie byłem do końca pewien, czy czuję radość, czy rozczarowanie.

Patrzył na mnie. W oczach skrytych pod masywnymi brwiami rodziło się szaleństwo i zrozumiałem, że jeszcze chwila i go nie okiełznam, nawet gdybym mu tę rękę urwał. Widziałem, jak budzi się do życia niepowstrzymany berserker.

– Nie pomogło ci nawet to, że kazałeś szefowi areny mnie otruć – wysyczałem pogardliwie.

– Nic takiego nie zrobiłem! – zahuczał, płomienie szaleństwa przygasły.

Chwilę się nad jego słowami zastanowiłem.

Mężczyźni krzyczeli, kobiety zawodziły, trybuny falowały niczym gigantyczny żywy kobierzec.

– Wierzę ci – powiedziałem poważnie. – Poddajesz się?

– Przegrałem – przyznał. Podniósł lewą rękę na znak poddania, po czym trzykrotnie uderzył nią o piasek areny. Puściłem go i powoli odstąpiłem o krok. Utrzymanie się na nogach było nagle tak strasznie trudne, niemalże niemożliwe.

Szef areny w towarzystwie swojej świty stał opodal i przyglądał mi się, jakby nie wierzył własnym oczom. Tłumy szalały, skandowały, co ciekawe, nie z niechęcią, ale w ekstazie. Było nie było, zaspokoiliśmy z Gookiem ich żądzę krwi i cierpienia.

– Podał się – powiedziałem. – Ogłosicie mnie zwycięzcą?

Widzowie stanęli na nogi, zaczęli klaskać. Każdy z nich utracił mniejszą lub większą część swego majątku, ponieważ wszyscy byli pewni wygranej Gooka, co się, na ich nieszczęście, nie stało. Ale zabawa była tego warta.

Suchelec jeszcze chwilę się wahał, ale wreszcie wskazał na mnie swym berłem i ogłosił moje zwycięstwo. Przyglądałem się, jak ci najbogatsi, szlachcice i co zamożniejsi kupcy, opuszczają zniesmaczeni swoje miejsca. Nawet wicehrabia Tralger w otoczeniu towarzystwa z naj ekskluzywniejszej łoży wyszedł przed oficjalnym zakończeniem walki i ceremonią ogłoszenia zwycięzcy. Odchodził w pośpiechu, powiedziałbym wręcz, że był wściekły.

Ustałem na nogach i podczas końcowej ceremonii, po czym dowlokłem się do swojej szatni. W ustach czułem krew, świat widziałem obramowany świetlistą otoczką, przy każdym oddechu

czułem, jak w płuca kłują mnie połamane żebra. Na wpół oczekiwałem, że w każdej chwili może pojawić się najęty przez arenę zabójca, aby mnie wykończyć, ale nie stało się tak. Leżałem na ławce, walczyłem o każdy oddech i czekałem, żeby zobaczyć, czy umrę, czy jednak będę żyć dalej. Pojedynek z Gookiem odebrał mi więcej sił, niż w sobie miałem, jeszcze nigdy w życiu nie spotkało mnie nic podobnego. Wdech i wydech... czasem miałem wrażenie, że sam siebie obserwuję gdzieś z góry, spod sufitu.

Po chwili, która równie dobrze mogła być i godziną, gdzieś od strony kantorka Suchelca odezwało się krótkie, basowe dudnienie, potem wściekły wrzask, potem trochę krzyków, aż wreszcie zapanowała cisza.

Leżałem na ławce, wdychałem zapach potu, strachu, krwi i śmierci, którym były przesiąknięte ściany i ławki, i walczyłem o każdy oddech, o każdą odrobinę powietrza w płucach. Nie wydawało mi się, aby mi się poprawiało, wręcz przeciwnie, jakby żywot się ode mnie oddalał. Znałem kilku zapaśników, którzy wprawdzie zwyciężyli na arenie, ale kilka godzin później umarli w ciszy i nikt na pierwszy rzut oka nie umiał powiedzieć na co. Może nie zabijały mnie skutki walki na samej granicy moich fizycznych możliwości, albo wręcz o krok za nią. Możliwe, że za moje powolne umieranie odpowiadały zmiany świata wokół mnie. Z natężeniem większym niż kiedykolwiek wcześniej wyczuwałem, jak ten świat się zmienia, obracają się ogromne koła czegoś, na co nie miałem nazwy, a czego przez całe swoje życie starałem się nie zauważać.

Drzwi się otworzyły i stanął w nich Gook Nerzeezi. Jedną rękę miał zawieszoną na temblaku, w drugiej trzymał dwie głowy. Trzymał je palcami wetkniętymi w oczodoły, z szyi zwisały długie nitki skrzepniętej krwi.

– To była dobra walka – zadudnił. – Ja jej nie chciałem brukać, to oni.

Rzucił na ziemię głowy Suchelca i zbrojmistrza, odbiły się od siebie niczym dwie kule bilardowe i zatrzymały. Gook wzruszył ramionami, zamknął drzwi i tyle go widzieli. Wydawało się, że jest w o niebo lepszej kondycji niż ja.

Zdawałem sobie sprawę, że ciężko by mi przyszło wyjaśnić komukolwiek, że to nie ja zabiłem tych dwóch. Usiadłem. Zakłuło mnie gdzieś niebezpiecznie blisko serca, splunąłem różową śliną. Musiały się odezwać moje pogruchotane żebra albo którekolwiek z pozostałych licznych zranień. Było ich przecież wystarczająco dużo, aby posłać normalnego chłopca na cmentarz.

Wstałem. Możliwe, że padnę trupem, zanim dojdę do mojej piwnicy. Czemu nie? Człapałem wąskimi korytarzami i czekałem, aż ktoś mnie zatrzyma i zabije albo sam z siebie zwalę się na podłogę. Nic takiego się nie stało. Ale bolało to jak sto diabłów.

I to najgorsze jest dla mnie całkiem dobre.

2 Patrz opowiadanie „Do szpiku kości” w zbiorze „Czas żyć, czas zabijać”.

Rozdział 31

Drobne uprzejmości



Gruman wrócił z targu i położył tobolek z kupionymi ubraniami na stoliku obok łóżka. Starego ubrania, przesiąkniętego błotem, ściekiem i śmierdzącym śluzem, musieli się pozbyć. Corinne podeszła do niego, objęła go i razem przyglądali się rannemu.

Wyglądał o wiele lepiej, niż kiedy Gruman go przyniósł. Z początku zabójca obawiał się, że do jednej z licznych ran Klinsmana dostało się świństwo ze ścieków i zabije go gangrena, ale tak się nie stało. Może pomogło mu wyczerpanie w morskiej wodzie, kiedy początkowo próbował się pozbyć tego najgorszego, śmierdzącego brudu z podziemi, ale jeszcze bardziej na pewno przyczyniła się do tego Corinne i jej cierpliwa praca z przegotowaną wodą, gąbką i maścią dezynfekcyjną, najlepszą, jaką dało się kupić.

– Usiądź. – Gruman przysunął jej plecione krzeselko. – Przyniosę nam kawy i coś do zjedzenia.

W taki upał nikomu nie chciało się rozpalać ognia w domu, ale na targu udało mu się kupić trzy porcje smażonego ryżowego makaronu z warzywami, orzeszkami i suszonymi krewetkami. I dwie kawy w trzciniowych, powoskowanych kubkach. Luksus, na który Corinne z Haakiem normalnie nie mogliby sobie pozwolić. Ostatnie dwa dni spędziła jednak, głównie opiekując się rannym, i Gruman nie chciał, aby oboje z tego powodu ucierpieli.

Położył na stoliku jedzenie i kawę, z drugiego pomieszczenia przyniósł sobie krzesło i siadł tuż obok Corinne. Jedli w milczeniu. Przyglądał się, jak zwinnie nabiera makaron pałeczkami i wkłada go do ust.

– Przepraszam, że cię w to wciągnąłem, że przyniosłem go tutaj – powiedział.

W dziennym świetle przyćmionym zaciągniętymi zasłonami jej włosy miały barwę miedzi.

– Dlaczego? – Spojrzała na niego zaskoczona. – A gdzie indziej miałbyś go zanieść? Nie mogłeś go przecież tam zostawić!

Gruman przez chwilę zastanawiał się nad jej słowami. Przebył z czarodziejem podziemia, z całej grupy zostali jedynie oni dwaj. Nie był z nim nijak związany, wręcz przeciwnie. Wspólny bój jednak ich zbliżył. Kiedyś, wcześniej, kalkulowałyby na chłodno, co mu się bardziej opłaca – zostawić czarodzieja na pastwę losu czy się nim zaopiekować. Teraz już nie. Chciał pomóc i bez zastanawiania się, co mu to da. Tak na dobrą sprawę, zrobiłby to, nawet gdyby oznaczało to dla niego kłopoty. Coś się w nim zmieniło, ale Gruman nie potrafił powiedzieć co.

– Masz rację – zgodził się – niemniej przepraszam i tak. Gdzie jest Haak? Ostrzegłaś go?

– Ostrzegłam, ale przypuszczam, że najlepszym ostrzeżeniem dla niego jesteś ty sam i on. – Wskazała na Klinsmana, który poruszył się we śnie. – Do kanałów się nawet nie zbliża. Dostał propozycję od starego Kaudego, żeby mu pomóc z rozwózką towaru, stara się zarobić trochę pieniędzy.

Gruman skinął głową. Odnosił wrażenie, że stwór z podziemi już za chwilę zagrozi całemu miastu, ale nie chciał Corinne dodatkowo denerwować.

– Powiesz mi coś więcej? O tym, co się stało i czemu tam właściwie poszedłeś? – spytała go, kiedy skończyli jeść.

Gruman pozbierał puste miseczki jedną w drugą, zakręcił resztką zimnej kawy w kubku i napił się. Nie wiedział, ile powinien jej wyjawić, jak bardzo niebezpieczna jest ta tajemnica. Z drugiej

jednak strony przyniósł Klinsmana do jej domu i skoro mieli dzielić ze sobą życie, musiał jej coś powiedzieć. Powinien coś powiedzieć.

– To byli czarodzieje. On też jest czarodziejem, mimo że wygląda normalnie – powiedział i od razu usłyszał, jak głupio to zabrzmiało.

Dobrze wiedział, że wciąż istnieją sposoby użycia magii, stare artefakty z przeszłości. Dla większości ludzi były to jedynie straszne opowieści. Corinne słuchała cierpliwie.

– Tutaj, w mieście, czasem wykonywałem dla ich klanu zlecenia – kontynuował – a właściwie dla ich szefa. A ten dowiedział się, że w podziemiach miasta skrywa się coś, co może być niebezpieczne. I postanowił wraz ze swoimi ludźmi to zlikwidować.

Fakt, że Janick na koniec uciekł, zamknął ich w podziemiach i postanowił zostawić tej rzeczy na pożarcie, Gruman pominął. Już i tak ta cała historia wydawała się mocno naciągana.

– A ty musiałeś tam iść? Prawie wszyscyście tam zginęli.

– Nie musiałem – odpowiedział zgodnie z prawdą – ale chciałem.

Napił się kawy, doskonale świadom tego, jak bacznie Corinne mu się przygląda. A może i musiałem, pomyślał, ale na głos tego nie powiedział.

– Bardzo dobra – rzekł zamiast tego. – Zimna smakuje równie dobrze co gorąca.

Była warta ceny, jaką za nią zapłacił, co go zaskoczyło.

– Jeżeli jest tam coś niebezpiecznego, chciałem zobaczyć, co to takiego i czy to może nieść jakieś zagrożenie dla ciebie i Haaka – dodał, zanim zdążyła o cokolwiek zapytać.

To, że sam był współodpowiedzialny za wypuszczenie tej istoty do podziemi, też zachował dla siebie. Nikt mu tego wprost nie powiedział, ale przecież sam potrafił dodać dwa do dwóch. Tajne zadanie, które powierzono jemu i Keshui z zachowaniem najostrożniejszych środków bezpieczeństwa, wypuszczenie czegoś do kanalizacji, trupy, które zniknęły.

– I czego się dowiedziałeś? – dociekała dalej.

Gruman cieszył się, że nie musiał skłamać. Nie mówił jej wszystkiego, ale nie kłamał.

– Że powinniśmy stąd jak najszybciej uciekać. Ta rzecz w podziemiach... – Nabrał powietrza, przygotowując się, żeby opisać zabójcę z kanałów jak najlepiej, ale zabrakło mu słów. – Ta rzecz w podziemiach jest zła, niebezpieczna. Wydaje mi się, że niedługo znajdzie sposób, jak zagrozić każdemu człowiekowi w mieście. Jak nas zabić.

– To jest bardzo właściwy osąd – powiedział cicho Klinsman.

Gruman i Corinne spojrzeli na niego zaskoczeni, zabójca z dłonią tuż przy rękojeści noża. Nie wyglądało jednak na to, aby Klinsman stanowił dla kogokolwiek zagrożenie. Możliwe, że przysłuchiwał im się od jakiegoś czasu, ale do niczego innego nie byłby zdolny.

– Mogę dostać trochę wody? – poprosił czarodziej.

Corinne wstała i po chwili wróciła z wielką szklanicą. Klinsman chwycił naczynie obiema rękami, oparł sobie o pierś i pił, aż woda pociekła mu po brodzie. Wypił do dna i oddał szklanę.

– To wszystko już się kiedyś stało – zaczął powoli – mniej więcej przed czterystu laty. Klan Maleriat postanowił w ówczesnej Grafzaty przetestować najpotężniejszą broń, jaką ktokolwiek kiedykolwiek stworzył. Skończyło się tak, że w mieście nie pozostała ani jedna żywa dusza. Zginęli wszyscy, włącznie z ludźmi, którzy broń ożywili.

– Ożywili? Jak można ożywić broń? – nie rozumiała Corinne.

Klinsman wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Kiepski ze mnie czarodziej, mój magiczny talent nie jest zbyt silny. Ale to byli magowie z dawnych czasów, potężniejsi, niż potrafimy sobie wyobrazić, dysponujący wiedzą, którą już dawno zapomniano.

W jego głosie brzmiał nabożny niemal zachwyt. Oraz strach.

– Powinniśmy odejść jak najszybciej – Gruman zwrócił się do Corinne.

Ta tylko pokręciła głową.

– Przecież nie opuszczę miejsca, w którym mam dom, z powodu jakiejś historyjki o czymś, co mogło się wydarzyć prawie pół wieku temu! Skąd o tym wiecie? – zwróciła się do Klinsmana.

– Ze starych dzienników i notatek, które przełożyliśmy.

– Nikt nie będzie opuszczał swojego domu z powodu kilkusetletnich ksiąg. – Popatrzyła na Grumana wyzywająco.

Ten tylko skinął głową. Rozumiał ją. Nie było jej z nimi głęboko w kanałach, nie widziała na własne oczy rzeczy, których rozum nie potrafił pojąć. Wielu ludzi postradałoby od tego zmysły, on sam nie potrafił znaleźć słów, aby to opisać.

– Będziemy musieli być ostrożni – powiedział tylko.

A jeśli to wyjdzie na powierzchnię, jeśli zaczniesz zabijać ludzi na ulicach, uciekniemy, choćbym cię musiał związać, pomyślał. I choćbyś mnie potem miała znienawidzić, bo za życie twoje i Haaka warto zapłacić każdą cenę. Coś z jego myśli musiało się odmalować na twarzy, bo Corinne nabrała najpierw powietrza, a zaraz potem je wypuściła, jakby zrozumiała, że żadna dyskusja ani kłótnia do niczego nie doprowadzą.

– Jestem głodny. Mógłbym dostać coś do zjedzenia? – zmienił temat Klinsman.

– Wywar. Mam dla ciebie przygotowany wywar – odpowiedziała Corinne.

Przygotowała go w nocy, kiedy Gruman nie wiedział jeszcze, czy Klinsman w ogóle będzie go potrzebował. Chwilę później zabójca przyglądał się czarodziejowi, jak ten ostrożnie się posila, a sam kręcił w kubku ostatkiem kawy.

– Jakie masz dalej plany? – zapytał. – Mam na myśli, jak już dojdiesz do siebie.

– Odnajdę wielkiego mistrza i go zabiję – odpowiedział czarodziej z przekonaniem. – Poświęcił nas, porzucił na pastwę tej rzeczy.

Gruman zastanawiał się chwilę nad jego słowami. Klinsman z pewnością miał rację, wielki mistrz ich poświęcił. Pozostawało pytanie, czy w obecnej chwili zemsta komukolwiek by pomogła.

– Ale spróbowaliśmy dokonać tego, po cośmy się do podziemi wybrali. Staraliśmy się tę rzecz zniszczyć.

– Tak, bo chcieliśmy przeżyć – zauważył czarodziej. – I nie udało się nam – dodał.

– Nie będzie łatwo go zabić, na zewnątrz prawie nie wychodzi, a jeśli już, to tylko w obstawie – przypomniał Gruman. – Jest bardzo

ostrożny, ale kto wie, może ci się poszczęści. Jednak czemu po prostu nie rzucić tego wszystkiego, nie zmienić klimatu i nie zostawić tego miejsca o sto dni drogi za sobą? Machnąć ręką na zemstę i zabijanie, z tego nigdy nic dobrego nie wynika. – Gruman wzruszył ramionami. – Oczywiście, twój wybór.

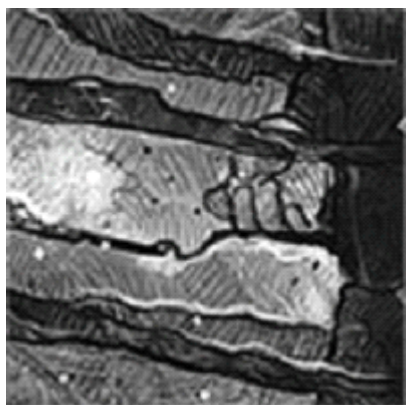
Było widać, że czarodziej coś rozważa.

– Nie mogę wyjechać – zdecydował się wyjawic. – Ludzie z magicznym talentem są w tym mieście uwięzieni, nie są w stanie opuścić jego granic. Myślę, że to jest jakoś związane z tym eksperymentem sprzed kilkuset lat. Myślę, że to jakieś zabezpieczenie, na wypadek gdyby to się wymknęło spod kontroli.

Gruman popatrzył na czarodzieja w milczeniu. Duchy przeszłości ożywały i wyciągały ku niemu swe zatrute szpony poprzez stulecia. Zaczynał odnosić wrażenie, że przeżycie nie będzie łatwą sprawą.

Rozdział 32

Korzenie przeszłości



Rzeczą miotało jednocześnie mnóstwo sprzecznych emocji. Zadowolenie z sukcesu, ekstaza ze wstąpienia na nowy poziom zdolności, respekt dla tych właśnie zdolności, które równocześnie ostrożnie testowała, wszystko to pomieszane z wściekłością wynikającą z tego, czego się dowiedziała.

Grupa czarodziejów, z którymi stoczyła w kanałach śmiertelny bój, zadała jej ciężkie rany. Te spowodowały, że poniosła znaczące straty wśród swoich podrzędnych części. Uszkodzenia i utratę masy ciała rekompensowała samymi czarodziejami, jednak nie było ich wystarczająco wielu i musiała dosycić się biedakami, których zdołała pochwycić w co mroczniejszych zakamarkach miasta. W trakcie łowów ryzykowała, ale uświadomiła sobie, że musi się rozrosnąć za wszelką cenę, o ile chciała zachować to wszystko, co właśnie zyskała. Nie kopiowała już wzoru za wzorem, potrafiła teraz przeprowadzać w myślach równoległe dziesiątki procesów kopiowania, syntezy, modyfikacji wzorów składowanych w pamięci, jak również tworzenia kolejnych, najrozmaitszych form. I wciąż potrzebowała więcej.

Swoje coraz bardziej złożone i masywne ja skoncentrowała do centralnej kolumny zwieńczonej na samym czubku trzema ludzkimi twarzami, co zapewniało jej pole widzenia w pełnym okręgu. U podstawy kolumna zaczynała się roztopiać niczym воск

z płonącej świecy i jej materia rozpływała się do kanałów po kilkaset metrów w każdą stronę. Wewnętrzne prądy przynosiły potem wszelki użyteczny budulec z powrotem do centralnego słupa. Spokój, stateczność Rzecz przerażały. Jej egzystencja zasadzała się na nieustającym ruchu, na ciągłych przemianach.

W okolicy kręciły się też dalsze, już samodzielne części jej ciała. Rzecz używała ich do nieustannego kopiowania co prostszych, bardziej prymitywnych wzorów. Część jej świadomości bezustannie je kontrolowała i upewniała się, że nie mają do dyspozycji nic bardziej skomplikowanego niż wzory szczurów i psów. Wciąż doskonale pamiętała, jak ciężki i wyniszczający był bój z samą sobą.

Wszystko to, równoległe, szybsze i dokładniejsze kopiowanie nawet tych najbardziej złożonych wzorów, skokowy przyrost własnej samoświadomości, zdolność władania ciałem na odległość i coraz lepsze panowanie nad otaczającą ją mocą, sprawiało, że wciąż się rozwijała, rosła w siłę.

Jednak w trakcie walki z czarodziejami poczyniła obserwację, która ją niepokoiła. Niektórzy z nich zaatakowali ją zaklęciami. Starymi zaklęciami zakonserwowanymi w aktywnych kamieniach albo prymitywnymi zaklęciami ożywionymi mocą skoncentrowaną przez samych czarodziejów. Zaraz po magicznym ataku potrafiła odzwierciedlić strukturę zaklęcia, ożywić je i powtórzyć atak, jednak już chwilę potem zdolność tę utraciła. To sprawiło, że straciła mnóstwo okazji do skutecznego fizycznego ataku, a sama otrzymała kilka dotkliwych ran w czasie, kiedy wciąż zbyt mocno koncentrowała się na próbach powtórzenia zaklęcia. Nawet teraz, o wiele potężniejsza, lepiej skoncentrowana, lepiej zorganizowana niż wtedy, podczas walki, nie potrafiła przypomnieć sobie struktury zaklęcia. Nie pozostał z niej nawet blady cień.

Możliwe, że gdyby zaczęła kopiować diagram czaru w momencie, kiedy go pozna, i gdyby nieustannie ten proces w myśli powtarzała, udało by się jej go zapamiętać i użyć później. Zaczynała jednak podejrzewać, że to nie będzie takie proste, że w samą jej istotę wbudowane jest jakieś zabezpieczenie, które będzie maksymalnie

utrudniać używanie magii do czegokolwiek innego niż utrzymywanie się przy życiu i transformacja.

Pozwalając, aby wszystkie procesy kopiowania trwały dalej w jej podświadomości, skupiła się na wspomnieniach z poprzedniego życia, kiedy jeszcze była wielkim mistrzem klanu Maleriat – Glenem Hagnarim. Niewyraźne cienie przeszłości pozwoliły jej uświadomić sobie mnóstwo rzeczy.

Już wiedziała, dlaczego przed kilkoma tygodniami pozwoliła uciec małemu, niezdarnemu czarodziejowi, pomimo iż miała go w swojej mocy. Sama myśl, że miałyby go połknąć i wchłonąć jego wzory, przejęła ją tak wielką odrazą, że ryzykowała postradanie zmysłów, utratę siebie samej. Ci, którzy ją stworzyli, zdrajcy i wrogowie Glena Hagnariego, wpisali w jej konstrukcję zakaz zabijania członków własnego klanu. Ten mały pokurcz był magicznie i przez pokrewieństwo jakoś związany z klanem Maleriat. On będzie pierwszy na jej liście.

Wspominała dalej.

Nie przeszkadzało jej, w co ją zmienili. Stała się w końcu bytem o wiele doskonalszym niż cokolwiek, z czym się kiedykolwiek zetknęła, a do tego widziała przed sobą dalsze drogi rozwoju. Mogłaby im być wręcz wdzięczna. Nagle jednak wyraźnie dostrzegła rysę, wadę w swej najbardziej fundamentalnej konstrukcji. Te bydlaki wprost w jej jądrze umieścili bezpiecznik, ograniczenie, które nie pozwalało jej zawładnąć mocą tak, jak potrzebowała, jak tego pożałała. Uczynili z niej kalekę.

Nienawidziła ich za to, nagle nienawidziła wszystkich czarodziejów, którzy potrafili dokonywać tego, czego ona tak bardzo pożałała. A równocześnie nie mogła zabijać tych, którzy jej to zrobili. Rzecz nie miała poczucia humoru, jednak teraz poczuła coś na kształt rozbawienia. Jej twórcy starali się stworzyć broń uczącą się i rosnącą na ciałach i duszach tych, których zabiła, wchłonęła. Wymierzoną we wszystkich czarodziejów – oprócz nich samych. To im się udało aż nazbyt dobrze. Rzecz czuła, że w jakimś momencie w ciągu ostatnich kilku tygodni udało jej się pokonać tę barierę. Teraz już małego czarodzieja związanego z klanem Maleriat

połknęłyby bez wahania. Wierzyła, że z czasem uda jej się również pokonać tę rysę w konstrukcji, która powstrzymywała ją przed używaniem mocy, że zdoła nią zawładnąć jak nikt inny. Wyczuwała ponad sobą mnóstwo ludzi, dziesiątki, setki tysięcy, którzy zapewnią jej dostateczną ilość materii do dalszego rozwoju.

Nienawidziła czarodziejów, pragnęła ich zabijać. By zaspokoić tę żądzę, musiała zabijać i się rozrastać, powiększać swą masę, mentalną siłę, musiała wchłaniać więcej mocy. Do tego, aby mogła zabijać, musiała zabijać. Pożądała zabijania.

Doskonale.

Rozdział 33

Obowiązki w szlafroku



O tym, że jest w łóżku sama, wiedziała, zanim jeszcze otworzyła oczy, pomimo iż nie umiała określić, kiedy Roland wstał. Przez ostatnich kilka dni spała jak kłoda, wszystkie jej nawyki i instynkty zdecydowały się zdradzić ją równocześnie.

Wyciągnęła rękę, aby się upewnić, sprawdzić, czy się nie pomyliła. Krótki przebłysk nadziei zgasł, zanim jeszcze zdołała ją wziąć na poważnie. Poduszka i prześcieradło były zimne. W następnej chwili zastanawiała się, czy powinna pobiec do łazienki zwymiotować, ale natychmiast się rozmyśliła. Wystarczyło, że usiadła w łóżku, a zatrzymał ją palący ból nadwrażliwych piersi. Przez chwilę się uspokajała, wreszcie przeszły i nudności. Potem wróciły zawroty głowy. Być może odpowiadały za nie ciągłe zmiany w magicznym tle, niosące ze sobą poczucie niepewności, niestałości. To poczucie nasilało się, ale wciąż nie mogło się równać magicznej burzy sprzed kilku tygodni. Zuzanna skoncentrowała się, aby się lepiej przystosować, aby spróbować popłynąć z prądem. Inaczej nie potrafiła tego opisać. Odrobinę się jej polepszyło, na razie tyle wystarczy. Miała w tej chwili większe zmartwienia niż magia. Na przykład kolejną falę nudności. Może po prostu muszę się wyrzygać, pomyślała chmurnie.

– Madame, czy wszystko w porządku? – Katrin stała w drzwiach, jakby dopiero weszła.

Zuzanna z wysiłkiem przybrała surowy wyraz twarzy.

– Pukałam – służka próbowała się usprawiedliwić, ale na jej twarzy malowało się zaciekawienie.

Zuzanna wiedziała, że dziewczyny ze wsi są na tego typu rzeczy wyczulone i zatajenie przed nimi ciąży będzie równie trudne, co uspokojenie żrebaka, kiedy poczuje klacz. O tym, że ona i Valer są kochankami, wiedzieli już wszyscy w ich niewielkiej grupie, nie chciała jednak, aby ktokolwiek dowiedział się o ciąży. Stałaby się przez to o wiele bardziej wrażliwa na ataki. I ona, i Roland. Nie przypuszczała, że Katrin chciałaby to jakoś sama wykorzystać, ale kręciło się wokół nich wystarczająco wielu nieprzyjaciół, którzy tylko czekali na taką informację.

– Jestem głodna. Jajka na boczku, chleb od tego piekarza, którego znalazłaś wczoraj, i kawa. Mocna kawa.

Na samą myśl o kawie wywracał jej się żołądek, ale zdołała się opanować. Pozory ponad wszystko.

– I nie ociągaj się, czuję się, jakbym nie jadła cały dzień.

– Tak jest, pani. Pędzę. – Katrin nie zdołała powstrzymać cichego chichotu, zanim zniknęła za drzwiami. Głód Zuzanny tłumaczyła sobie jako skutek namiętnej nocy.

Baronówna nasłuchiwała, aż się upewniła, że służąca naprawdę odeszła. Dopiero wtedy wykaraskała się z łóżka, stanęła przed lustrem, zrzuciła nocną koszulę i zaczęła się sobie krytycznie przyglądać. Straciła trochę na wadze, wokół oczu miała zmarszczki, których sobie nie przypominała, brzuch bardziej płaski niż wcześniej. Ale piersi były pełniejsze. Sięgnęła do podbrzusza. Nic nie czuła, ale nie miała wątpliwości, w jej łonie rosło dziecko. Jej i Rolanda. To był ten główny problem do rozwiązania. Muszę więcej jeść, postanowiła. Pierwszy krok do tego, aby wszystko skończyło się dobrze.

– Madame! – zabrzmiało równocześnie z trzaśnięciem drzwi, które otworzyły się jedynie o ułamek sekundy wcześniej.

Zuzanna się obróciła i dostrzegła Grubera wypełniającego swą sylwetką ościeżnicę nieomal tak ciasno jak korek tkwiący w butelce.

– Wybaczcie – zareagował na jej nagość i obrócił się.

Nie tak szybko, jak by oczekiwała od kogoś zawstydzonego. A powinien się przecież zawstydzić, widząc nagą kobietę, z którą był w związku jego dowódca.

– Sprawa niecierpiąca zwłoki. Kapitan prosi, pani, abys natychmiast przysłała na poddasze.

Na poddaszu znajdował się jeden z punktów obserwacyjnych. Zuzanna sięgnęła po szlafrok wiszący obok zwierciadła. Ubierała się powoli i ostrożnie, aby nie urazić bolesnych brodawek, równocześnie obserwowała, jak Gruber wciąż patrzy w jednym kierunku, odwrócony od niej. Spodziewała się raczej, że będzie próbował zerkać w jej stronę. Potem sobie uświadomiła, że przygląda jej się w lustrze. Nie patrzył na nią jednak tak, jak by oczekiwała po mężczyźnie. Inaczej, choć nie potrafiła określić jak.

– Franku? – zwróciła się do niego po imieniu.

– Tak, madame?

– Ty wolisz mężczyzn niż kobiety, prawda?

Przestał spoglądać na jej odbicie w zwierciadle i obrócił się do Zuzanny. Na jego szeroką, szorstką, poznaczoną bliznami twarz wypełził ostrożny uśmiech.

– Lubię malować – odpowiedział. – I lubię podziwiać wszystko, co piękne.

– Jak będziemy mieli więcej czasu, poproszę cię o portret. Mój portret – uściśliła.

O ile wyjdziemy z tego cało, dodała w duchu. Uświadomiła sobie, że mimo szlafroka wciąż ukazuje więcej, niżby chciała. Owinęła się szczelniej. Już wiedziała, kto był autorem szkicu, który jakiś czas temu znalazła po spotkaniu.

– Będę zaszczycony – odparł.

Czemu bała się, że mogliby nie wyjść z tego cało? Wszystko szło przecież najlepiej, jak tylko mogło. Czy może nie? Przestała nad tym rozmyślać i ruszyła ku drzwiom.

– Macie jakieś wieści o Bakłym? – spytała jeszcze.

Gruber pokręcił głową.

– Nadal się nie pojawił. Skontrolowaliśmy pensjonat, który nam wskazał jako miejsce kontaktowe, ale tam go już od jakiegoś czasu

nie było. Zdobyliśmy drugi adres, dokąd się przeprowadził, ale tam też go od dawna nie widzieli.

Zuzanna skinęła głową i sięgnęła do klamki.

– Madame, jedną chwilę, proszę – zatrzymał ją. – Mam swoje rozkazy, pójdę pierwszy.

Uklonił się nieznacznie, obrócił w miejscu i na korytarz wkroczył z ręką na głowni miecza.



Gruber został pod schodami, a na poddaszu czekał na nią Kyryzi. Sądząc po nagromadzonych przedmiotach, małym krzeselku, dużym dzbanku z kawą i odstawionej na bok misce z przykrywką, spędził tu już nieco czasu. Szyba lukarny została niedawno wymieniona, szkło było najwyższej jakości. Teraz okno było otwarte.

– Kapitan już tu był i chciał, abyś na tego człowieka spojrzała sama, pani.

Poddasze było ciasne, musiała przekroczyć jedną z belek konstrukcyjnych. Widziała, jak Kyryzi na nią patrzy, jak czeka, żeby zobaczyć, ile odkrytej skóry uda mu się przy tym dojrzeć. Oparła się o belkę jedną ręką, wybiła w górę i przeskoczyła przez nią obiema nogami równocześnie.

– Potrafisz się, pani, poruszać – rzekł z uznaniem. – Proszę się, możliwe, że będziemy musieli chwilę poczekać – zaproponował jej swoje miejsce, a sam przyklęknął obok.

– Na co mam patrzeć? – zapytała, kiedy zorientowała się, że z okna otwiera jej się widok na ulicę przed głównym wejściem do posiadłości baronówny Münchauen. Nie potrafiła myśleć o willi jak o własnej.

– Na człowieka, który się tam szwenda od rana – odpowiedział Kyryzi.

– Kolejny asasyn? – spytała.

– Wy się ani trochę nie boicie – skonstatował Kyryzi z zaskoczeniem.

Zuzannę z kolei zdziwiła jego uwaga.

– A czemu miałabym? Gdyby tamten nie uciekł, zabilibyśmy go. Może sama bym go zabiła. – Wzruszyła ramionami.

– Na moment zapomniałem, kto jest waszym ojcem, madame. Proszę o wybaczenie.

– Nie ma takiej potrzeby. Następnym razem mniej się na mnie gap, a krzesło oferuj z równą gotowością i żadne przeprosiny nie będą konieczne. To kim on jest, skoro nie jest to węszący wokół nas zabójca? – wróciła do początkowego tematu rozmowy.

– Może się pojawić w każdej chwili. Trochę połązi w tę i nazad, a potem znowu znika, jakby nie mógł się na coś zdecydować.

– A czemu to ja mam mu się przyjrzeć?

– Bo to nie jest typ, z którym my – wskazał palcem na siebie i Zuzanna zrozumiała, że ma na myśli wszystkich wojskowych – byśmy się normalnie stykali. Tylko Gruber twierdzi, że mu kogoś przypomina. A że Gruber wam najczęściej towarzyszy, może widzieliście go gdzieś wspólnie.

– Rozumiem – odparła, choć nie była przekonana, czy to ma jakikolwiek sens.

Rozsiadła się wygodnie i czekała, wyglądając na zewnątrz. Po ulicy kręciło się mnóstwo ludzi, aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak ruchliwym miastem jest Grafzatza. Nie była przekonana, czy będzie umiała kogokolwiek rozpoznać. A już zwłaszcza na odległość.

– To on. – Kyryzi wskazał mężczyznę, który pojawił się na rogu.

Był owinięty w płaszcz, który był na niego zbyt wielki i w którym nie potrafił się poruszać, na głowę miał nasadzoną rybacką czapkę. Nosił ją tak, że widać było, iż nie jest do niej nawykły. Szedł nierównomiernym tempem, to szybciej, to wolniej. Co chwila przystawał i spoglądał w kierunku willi. Niezdecydowanie biło od niego na odległość.

– Nie wygląda na zabójcę – zauważyła.

– Dlategośmy go jeszcze nie zlikwidowali – odpowiedział Kyryzi. – Ale z pewnością się nami interesuje.

Zuzanna skinęła głową.

– Powinniśmy się dowiedzieć, co planuje.

– Kiedy przejdzie całą ulicę, zniknie za rogiem, ale za jakiś czas znów się pojawi. Zrobił to tak już ładnie parę razy.

Zuzannie zaczynało się robić gorąco, szlafrok był zbyt ciepły. Najchętniej by go rozchyliła, ale w tej sytuacji nie mogła.

– Gdybyś, pani, chciała mu się przyjrzeć z bliska, możemy się przesunąć do bramy. Tylko będę musiał zwołać posiłki, według rozkazów na zewnątrz mamy was chronić przynajmniej we czterech.

– Będziemy na naszym terenie, nie na zewnątrz – zaprotestowała bezwiednie. Nie zależało jej na towarzystwie kolejnych trzech ludzi.

– Już wiem, kto to jest – powiedziała nagle.

Kyryzi spojrzał na nią zaskoczony.

– To on na wyprzedaży majątku Cermichaelów kupił większość rzeczy, które miały jakiś związek z magią, i praktycznie wszystkie co cenniejsze dokumenty. To czarodziej.

– O w dupę... – zaklął Kyryzi.

Jego wcześniejsza pewność siebie ulotniła się bez śladu.

– I co teraz?

Zuzanna pozwoliła sobie na lekki uśmiech.

– Zorientujmy się, co chce zrobić. Będziemy go śledzić. Z czarodziejami mam bogate doświadczenia, zazwyczaj nie są aż tak niebezpieczni, jak się o nich mówi.

– Bardzo dobrze, madame. – Kyryzi skinął głową. Wyglądał na spokojniejszego.

– I chcę mu się przyjrzeć z bliska. Prosto z ulicy, albo przynajmniej od bramy, jak sugerowałeś.

– Nie jestem przekonany, czy kapitan by na to pozwolił, skoro to czarodziej.

Wstała z krzesła i zrobiła dwa kroki w tył, gdzie mogła się wyprostować.

– Powiedziałam, że chcę na niego popatrzeć z bliska. Nie rozumiecie czegoś, żołnierzu?

Widać po nim było, że wolałby być w tej chwili zupełnie gdzieś indziej.

– Jestem porucznikiem, madame. Kapitan zmieni moje życie w piekło.

Zuzanna nic nie powiedziała, przyglądała mu się tylko.

– Rozumiem, madame. – Do Kyryziego dotarło, że istnieją różne rodzaje piekła. – Przejdziemy pod bramę, zgodnie z twoim, pani, rozkazem, ale proszę o chwilę. Nie mogę was ochraniać sam. Za nieusłuchanie rozkazu... – nie dokończył zdania.

– Oczywiście, poruczniku – zgodziła się.

Rozdział 34

Powrót do wielkości



Vuki czuł się jak zaszczute zwierzę i swój skromny przybytek opuszczał niechętnie i tylko kiedy było to już naprawdę konieczne. Poruszał się przy tym przykurczony, od ściany do ściany, bezustannie rozglądając się na wszystkie strony. Nawet ostre linie cienia wzbudzały w nim niepokój. Zagrożenie, które po raz pierwszy pojawiło się dwa dni temu, od dwunastu godzin odczuwał bezustannie. Mrok wznoszący się od potylicy, gęstniejący, oplatający, mrozący do tego stopnia, że co rusz Vukiego przechodziły dreszcze.

Na wciąż narastające poczucie zagrożenia, wzmocnione powtarzającymi się atakami słabości, reagował jak zwierzę – uciec nie mógł, więc próbował stać się jak najmniej widoczny, jak najbardziej niedostrzegalny, pomijalny. Niestety, w niczym to nie pomagało. Coś, co się ukrywało w mieście, pod miastem, wiedziało o nim i go poszukiwało. Nie miał pojęcia, czy dalsze ukrywanie się zadziała, ale żadnego innego sposobu, jak TEMU umknąć, zwyczajnie nie miał. Dziś jednak wydarzyła się rzecz, która mocno go wystraszyła. Zorientował się, że stoi z ręką na klamce i dokądś się wybiera. Nie miał pojęcia dokąd, wiedział jedynie, że mroząca ciemność wznosząca się gdzieś poza granicą jego postrzegania zniknęła, a zastąpiło ją coś ciepłego, miłego, kuszącego. Wiedział też, gdzie to coś MIŁE, KUSZĄCE, TAK BARDZO POCIĄGAJĄCE znaleźć –

w systemie kanalizacyjnym miasta. Wystarczyło odszukać jakiś dogodny wjazd do kanałów albo jeden z wylotów przy nabrzeżu i...

Co miało nastąpić po i, nie wiedział i było to coś, co go wystraszyło jeszcze bardziej. I to właśnie strach pomógł mu się opamiętać. Na jakiś czas, co do tego nie miał złudzeń. Zamknął starannie drzwi i usiadł z powrotem na krześle, przerażony tym, co chciał właśnie uczynić. Po chwili znów wisiała nad nim ciemna chmura groźby, jeszcze silniejszej, bardziej namacalnej niż poprzednio. Vuki wyczuwał w niej wściekłość tak intensywną, że się zwyczajnie posikał. I tak to było lepsze niż omamienie pozbawiające go woli. Na szczęście miał na zmianę i bieliznę, i spodnie. To pomogło. Rozmyślał rozpaczliwie i uparcie, jak ocalić życie.

Myślał i myślał, aż otrzeźwił go ból. Nie siedział już na krześle w swoim małym pokoiku, kroczył ulicą i właśnie o mały włos potrafiłby go wóz załadowany owocami granatu. Zignorował przekleństwa woźnicy, uskoczył z drogi. Na czole perliły się krople potu, jednak po szyi przebiegał mu mróz. Vuki pojął, że jeszcze trochę, a całkowicie straci nad sobą władzę. Przepętniony samozaparciem przekroczył granicę cienia pod arkadą i oparł się o ścianę.

Przez większą część swego życia Vuki był ofiarą innych, ale chciał przeżyć. Musiał coś wymyślić, musiał znaleźć jakiś trik, jakiś sposób, jak się TEMU wymknąć. W tym był przecieź dobry. W szukaniu sztuczek umożliwiających przeżycie.

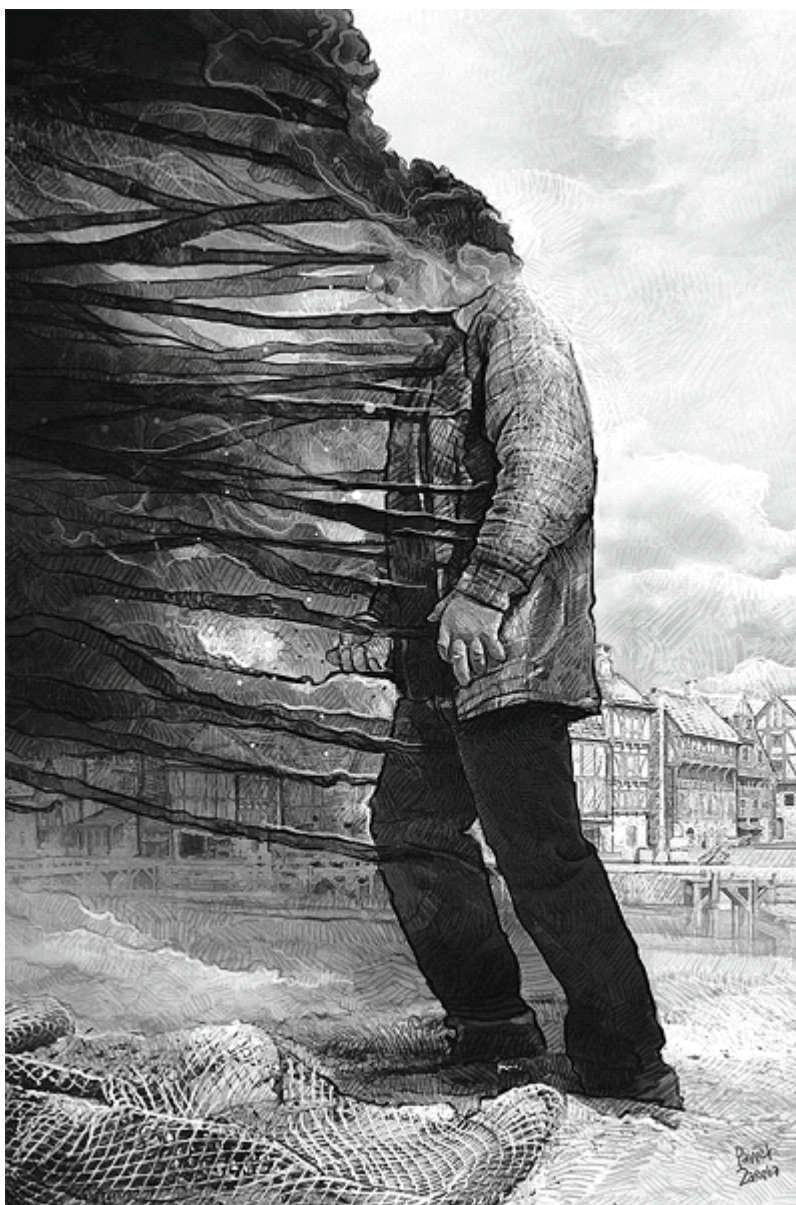


Rzecz stłumiła atak wściekłości, już myślała, że go ma, że ma tego potomka klanu Maleriat, którego przy pierwszym spotkaniu puściła wolno. Tym razem wydawało jej się, że zdołała go definitywnie omamić. Jednak znów zerwał pieczołowicie wypracowaną psychiczną więź. Szczęśliwym dla niego przypadkiem, ale jednak.

Musiała się zająć innymi sprawami, jego czas jeszcze przyjdzie.

Wróciła do rzeczywistości i rozejrzała się dokoła swymi ulubionymi trzema parami ludzkich oczu, kontrolując, czy wszystko jest w porządku. Podziemna przestrzeń pulsowała życiem. Z masy szarzielonego śluzu bezustannie tworzyły się i znikwały formy insektów, zwierząt i ludzi najróżniejszych rozmiarów i rozmaitych stopni podobieństwa. Pojawiały się i transformowały, jedne powoli, inne tak szybko, że ludzkie oko miałoby problemy z ich zarejestrowaniem. Inne procesy kopiowania wzorów Rzecz prowadziła wewnętrznie, zdradzały je jedynie pulsujące fale biegnące między centralnym słupem a peryferyjnymi częściami.

Całkowita masa Rzeczy wynosiła już kilka ton, co umożliwiało jej wpływ na okoliczną moc, naginanie jej do własnego użytku, wykorzystywanie do przemian siebie samej. Transformacja wiodła do transcendencji, przejścia na wyższy poziom świadomości. Rzecz przeszła już kilka etapów, poczynając od uświadomienia sobie swojego istnienia. A właściwie to nie, poprawiła się w myślach, poczynając od powrotu z nicości. I planowała te przemiany kontynuować.



Rozesłała swoje samodzielne oczy i uszy, aby rozejrzały się za łatwiejszą zdobyczą niż słaby czarodziej na powierzchni, który tak ją rozczarował. Teraz, w środku dnia, było to utrudnione, ale mogła poczekać, wybrać dogodny moment. Stała się drapieżcą polującym z zasadzki.



Mężczyźni wracali wymęczeni, z mizernym połowem i w jeszcze gorszych humorach. Pozostali na morzu o pół dnia dłużej, niż planowali, a i to nie przyniosło rezultatów. Słońce już dawno zapadło za horyzont, powierzchnia wody szybko traciła swą niebieską barwę na rzecz nieprzeniknionej czerni. Kil otarł się o piach, z rozpędu sunęli jeszcze chwilę do przodu, wreszcie najmłodszy z załogi zeskoczył do wody i zaczął ciągnąć łódź do brzegu. Pozostali dołączyli do niego po krótkiej chwili. Na plaży wyciągnęli z łodzi swą zdobycz, jedyną beczkę z niewielkimi śledzikami, które oprawili i zasolili jeszcze na morzu. To było za mało, aby zwróciły się koszty wyprawy, nie mówiąc już o wypłacie.

Najmłodszy z załogi obrócił się do reszty plecami i z otępiąłym wyrazem twarzy ruszył przed siebie. Zanim uczynił kilka kroków, dołączyli do niego pozostali, zostawiając łódź i beczkę. Szli w milczeniu, jeden za drugim. Nie zastanawiali się, dokąd ani dlaczego, byli po prostu śmiertelnie zmęczeni i wiedzieli, że kiedy dojdą na miejsce, będzie im tam lepiej. Ten najmłodszy dotarł do wylotu starego kanału, ciemniejszego niż nocne niebo. Zawahał się na moment, jakby nie miał ochoty wchodzić pod ziemię, potem jednak zrobił niepewny krok i zniknął w tunelu. Pozostali bez chwili wahania poszli w jego ślady.



Rzecz chwiała się z rozkoszy, mając tyle wzorów do analizy i kopiowania. Skupiła się w pierwszej kolejności na czytaniu i nauce z tuzina ludzkich ciał i jaźni – obsady łodzi rybackiej, dwóch mężczyzn odsypiających kaca w piwnicy połączonej z podziemiami i chorej kobiety, której świadomość była osłabiona i która nie zdołała się oprzeć kuszeniu.

Rzecz zachłystywała się nawąłem informacji, czytała nowe wzory, błyskawicznie zaczynała je kopiować, wchłaniała i transformowała materię. Fala zmiany wstrząsała jej ciałem bez względu na to, czy była to główna jego część, czy podrzędne odcinki rozmieszczone

daleko w podziemiach. Rzecz nagle przypomniała sobie czas, kiedy nie tworzyło jej kilka ton niezorganizowanej materii, ale kilkadziesiąt, może nawet kilkaset ton, kiedy wypełniała całe podziemia, wypływała z nich, zajmowała piwnice domów, całe domy nawet i połykała mieszkańców miasta całymi dziesiątkami. Nie bronili się przed nią, jedynie bezwładnie czekali na swój los, ponieważ nie byli w stanie oprzeć się władowaniu jej potężnej woli. Oprócz czarodziejów. Ci z nią walczyli, ci wiedzieli, z czym mają do czynienia.

Ze wspomnieniem wielkości i siły przyszły przebłyski pojedynków w wąskich tunelach, kiedy płonęła, kurczyła się w agonii, traciła połączenie ciała, ale z drugiej strony zabijała i wchłaniała ciała i myśli czarodziejów. Wtedy w krótkich chwilach, zanim detale struktury pochłonął chaos, mogła władać mocą tak jak wcześniej, jak w czasach, kiedy była wielkim mistrzem klanu. To oni za tym stali! Zdrajcy z własnych szeregów! Nie miała im za złe, że ją zamienili w Rzecz, nienawidziła ich za to, że pozbawili ją tego najcenniejszego, zdolności manipulowania mocą!

Tuzin ciał został wchłonięty za jednym zamachem, Rzecz przekroczyła kolejny próg rozwoju. Z otchłani zapomnienia wyłowiła więcej wspomnień. Przypomniała sobie płonące miasto, ostatnią grupkę ludzi zgromadzoną, by stawić jej słabnący opór, armię ustawioną dokładnie według jej myśli i ostateczny atak, kiedy wszyscy poddali się wyczerpani, niezdolni unieść broni, użyć przeciw niej zaklęć. Pochłonęła wszystkich, nasyciła się wzorami tych najtwardszych, najzdolniejszych spośród swoich przeciwników. A co było dalej? Co ją powstrzymało przed zawładnięciem całym światem? Wiedziała, że z czasem sobie przypomni i drugi raz nie popełni tych samych błędów.

Swój dalszy rozwój postanowiła uświetnić drobnym aktem zemsty. Małego czarodzieja, potomka tych, którzy ją przed setkami lat zdradzili, definitywnie zniszczy. Jeśli dobrze się teraz na nim skupi, nie pomoże mu nic, żadne szczęśliwe przypadki.



Vuki wiedział, że nadchodzi coś złego, czarna chmura powróciła, masywna, nieomal namacalna. Instynktownie przyłgnął do ściany, niczym zwierzę zagonione w kąt. Nic więcej się nie wydarzyło i zaczął powoli przywykać, tak jak wcześniej. Nagle chmura znikła bez śladu, jakby jej nigdy nie było. Vuki wiedział, że jedyne, co musi zrobić, to zejść w dół, do podziemi, miał nawet przed oczami dokładną trasę. Nie było w tym nic skomplikowanego, za kilkadziesiąt minut mógł być na miejscu.

Wystarczyło tylko pozbyć się pęt. Obie ręce miał związane łańcuchem przerzuconym przez krokiew w pokoiku na poddaszu. Prosty kluczyk do spinającej ogniwa kłódki leżał na parapecie okna, poza jego zasięgiem. Mógł za to z łatwością sięgnąć po dzban z wodą, dwa bochenki chleba i kawałek suszonego mięsa. Jedzenie i picie na tydzień, może trochę dłużej.

Nie miał pojęcia, czemu się tak spętał, a tym samym utrudnił sobie drogę do miejsca, w które za wszelką cenę musiał się dostać, ale to było bez znaczenia. W kieszeni miał schowany mały składany nóż. Zastanawiał się chwilę, co będzie łatwiejsze, amputować sobie rękę czy przeciąć krokiew. Ręka byłaby łatwiejsza, ale nie był przekonany, czy potem zdołałby dojść na miejsce. A to było najważniejsze. Siadł na podłodze i odszczypał pierwszą drzazgę. Potem drugą. Pracował uporczywie i cierpliwie, świadom czasu, jaki miał do dyspozycji.

Rozdział 35

Koszmary przeszłości



Zuzanna odsunęła od siebie plik papierów, które poprzedniego wieczora przekazał strażnikowi przy bramie nieznajomy mężczyzna. Tomas Kurzer uciął sobie z nim przyjacielską pogawędkę i doszedł do wniosku, że zwój przekazał mu ten sam człowiek, który cały poprzedni dzień chodził po ulicy przed willą. Za doręczenie papierów dał posłańcowi sztukę srebra i obiecał drugą po, jednak kiedy Kurzer z doręczycielem poszli na umówione miejsce, nieznajomy się nie pojawił. Zuzanna zgadywała, że to właśnie nad przekazaniem tych dokumentów rozmyślał przez cały poprzedni dzień kupiec zbiorów Cermichaelów i w końcu zdecydował się skorzystać z pośrednika.

Na pliku dokumentów znajdowała się instrukcja, aby papiery dostarczono baroniównie Münchauzen. Zanim Zuzanna dostała dokumenty do ręki, Valer przejrzał wszystkie jeden po drugim. Nie przeoczył najmniejszego skrawka. Dopiero wtedy pozwolił je doręczyć.

Były tam odpisy starych dokumentów w języku swaglish, ich przekłady i kilka kluczowych oryginałów dla weryfikacji. Odpis i przekład pochodziły od dwóch różnych osób. Zuzanna na lekturze zbioru strawiła cały poprzedni dzień i większą część nocy.

– Co o tym myślicie, madame? – spytał ją Valer.

Siedzieli w towarzystwie wszystkich poruczników, dowódców poszczególnych plutonów. Valer teksty już znał, całą noc czytał je równocześnie z Zuzanną, zdążyli się też na ten temat pokłócić.

Podsunęła papiery Cuvinanowi wraz z kilkoma skrawkami oryginałów.

– Tekst, to znaczy przekład, jest napisany przez jedną osobę, choć to tak nie wygląda z powodu zmieniającego się charakteru pisma.

Valer przysłuchiwał się jej bacznie, na równi z resztą ludzi. W nocy tak daleko w swych wnioskach nie doszedł, koncentrował się raczej na treści notatek. Cuvinan uważnie przyjrzał się jednemu z dokumentów.

– Zmiana charakteru pisma jest według mnie spowodowana substancjami, które piszący zażywał w trakcie pracy.

– A zatem są to kompletne bzdury – zauważył z wyraźną nutą nadziei Valer.

– Tego nie powiedziałam. – Zuzanna pokręciła głową. – Na jego ocenę mogły mieć wpływ narkotyki, które zażył, jednak według mnie brał je właśnie po to, aby uzyskać klarowniejszy obraz, aby dostrzec powiązania, które inaczej mogły mu umknąć. Właśnie dlatego, abyśmy mogli ocenić dokładność jego przekładów, dodał nam trochę starych oryginałów.

Uniosła poźółkły skrawek papieru, aby wszyscy mogli go zobaczyć.

– Nie znam języka swaglish, jedynie kilka podstawowych zwrotów, garść terminów. Dodatkowo tę klanową wersję widzę po raz pierwszy, jednak na podstawie tego, co wiem, mogę ocenić, że odpis odpowiada oryginałowi, a przekład odpisowi.

Valer skinął głową, jakby na znak, że wprawdzie konkluzja mu się nie podoba, ale nie zamierza się sprzeczać.

– Aczkolwiek to, co nam przedstawiono jako oryginały, to przecież mogą być falsyfikaty, próba manipulacji. – Rozejrzał się po swoich oficerach.

– Te oryginalne dokumenty są bardzo stare – odezwał się Cuvinan.
– To jest znakomitej jakości papier, ale jego krawędzie utraciły ostrość, rozmiękły, w niektórych miejscach się rozwarstwiają. Papier

tak dobrej jakości potrzebuje na to mnóstwo czasu, powiedziałbym: kilkaset lat. O ile leży gdzieś w dobrych warunkach, jak na przykład biblioteka.

W ręku trzymał jeden z dokumentów i oglądał go pod światło.

– Popatrzcie, użyto go wielokrotnie. Pierwsza warstwa tekstu została usunięta, musiał to być jakiś łatwy do wytarcia inkaust. Na tym ktoś spisał jakieś rachunki, a kiedy nie były już potrzebne, drugą stronę ktoś wykorzystał na własne notatki.

Wszyscy przyglądali się temu, co pokazywał porucznik.

– Z kolei ten dokument był użyty tylko raz. Spisany tą samą ręką, po obu stronach w tym samym czasie – wybrał inny przykład.

Cuvinan puścił papiery w obieg, aby każdy mógł się im przyjrzeć z bliska. Zuzanna obróciła się do Valera i czekała, co ten powie. To była jedna z tych rzeczy, o które w nocy się pokłócili. Mężczyźni wokół stołu przyglądali się papierom i nad nimi dyskutowali.

– A zatem nie myślisz, że te stare teksty to jakiś nonsens, że ktoś pieczołowicie przetłumaczył jakieś kilkusetletnie pierdoły – powiedział wreszcie cicho. – Ani że ktoś próbuje nas nabrać.

– Nie, nie myślę – odparła. – Powiedziałabym raczej, że ktoś spędził mnóstwo czasu i włożył ogrom pracy w zgromadzenie tych wszystkich materiałów i ich zorganizowanie. Sam zdecydowanie wierzy w ich autentyczność i teraz ze wszystkich sił stara się przekonać nas.

Uwaga zebranych skoncentrowała się na Zuzannie.

– Z tego, co tu wyczytałam, wynika, że przed czterystu laty, może wcześniej, tutaj, w Grafzaty, ówczesny klan Maleriat przetestował niesamowicie niebezpieczną i potężną magiczną broń. Została stworzona do zabijania czarodziejów, ale siłą do tego czerpała ze śmierci zwykłych ludzi. Coś jednak poszło nie tak, broń wymknęła się spod kontroli i obróciła przeciw wszystkim, włącznie ze swoimi twórcami.

Cisza stała się nieomal namacalna, to, co Zuzanna powiedziała, wydawało się zbyt trudne do zaakceptowania.

– Ale jak broń może kogoś zaatakować? Miecz sam z siebie nikogo przecież nie zatnie – zaprotestował Humpry.

Był to jeden z ludzi, którzy dotarli do miasta w drugiej, późniejszej grupie. Zuzanna wiedziała o nim jedynie tyle, że potrafi doskonale obchodzić się z końmi. Pewnego dnia rano dostrzegła go, jak karmi i głaska uliczne koty. Zazwyczaj wydawał się twardy i pewny siebie, teraz jednak wyglądał na zdezorientowanego i równocześnie złego. W pełni go rozumiała. Jej samej nie podobało się ani trochę to, czego się dowiedziała.

– Nie twierdzę, że wszystko rozumiem – zwróciła się wprost do niego. – Z przekładu wynika, że chodziło o eksperyment, próbę nowej broni. Jej twórcy mieli się na baczności i zachowali wszelkie środki bezpieczeństwa, aby nic ich nie zaskoczyło.

– No to im się raczej nie udało – wszedł jej w słowo Cuvinan. – Coś ich jednak zaskoczyło.

– Owszem. Wszyscy zginęli – odpowiedziała.

Znów zrobiło się cicho, słychać było jedynie brzęczenie muchy odbijającej się od szyby w oknie.

– Żadna broń przecież nie może zniszczyć całego miasta, pozabijać tysiący ludzi! – nie wytrzymał Kurzer. – To jest jakiś nonsens.

Zuzanna rozumiała ich wszystkich. Obraz przeszłości, który się przed nimi malował, przepełniał grozą, wymykał się wszelkiemu rozsądkowi i najprostszym sposobem poradzenia sobie z nim było po prostu wyparcie.

– Znacie historię trzech nieustraszonych, którzy aby uratować wioskę, postawili się zaborczemu baronowi i jego wojsku? – spytała, spoglądając przy tym na Rolanda.

Całą noc się z nią kłócił. Tak samo jak w tej chwili niektórzy z jego ludzi, uznał przekład za bajanie, kompletny nonsens, który miał za zadanie ich skołować, zmanipulować, zmusić do ucieczki albo popełnienia błędów. Nie wiedziała, czy zdołała go przekonać. Był uparty, tak samo jak ona. Możliwe, że nawet bardziej.

– Owszem. To taka bajka dla dzieci, żeby wierzyły, że czasem dobro może zwyciężyć nad złem – odpowiedział niezadowolony Humpry.

– Początkowo to nie była bajka – odpowiedziała Zuzanna. – Chodzi tu o jedną z opowieści, które zachowały się z okresu przed Wielką Wojną. I nie chodziło w niej o wioskę, ale o wolne miasto górnicze, w którym wydobywano złoto. Jeden z tamtejszych władców zdecydował, że przejmie miasto i położy łapę na jego bogactwach. Mieszkańcy dowiedzieli się o jego planie i za cenę rocznego urobku zdołali opłacić pomoc klanu czarodziejów. Był to jeden z mniejszych klanów, jakich wtedy istniały dziesiątki. Według kronik zjawilo się trzech czarodziejów. W tekście, który ja czytałam, określono ich jako magów bojowych. Ci trzej wyruszyli naprzeciw armii zmobilizowanej do przejęcia miasta. Naprzeciw jeździe, ciężkiej piechocie. Naprzeciw pięciu tysiącom doskonale wyszkolonych wojowników. Wszyscy zostali na polach pod miastem, do domu nie wrócił ani jeden.

– Zawsze ktoś przeżyje – burknął Cuvinan.

– Nie – pokręciła głową Zuzanna. – Relacja wyraźnie wspomina, że nie przeżył nikt. Była to lekcja, ostrzeżenie dla innych.

Rozejrzała się po zachmurzonych, niedowierzających twarzach.

– Chciałam tylko powiedzieć, że w przeszłości walczono broniami, których dziś nie znamy. I mamy na to wiarygodne świadectwa, na przykład w tej opowieści. A zatem wierzę, że może istnieć broń zdolna pozabijać mieszkańców wielkiego miasta, broń, która wymknęła się spod kontroli swych twórców i ich zniszczyła. I wierzę, że to się może powtórzyć.

Cisza się przedłużała.

– Dla nas wynika z tego jedna rzecz – odezwał się wreszcie Valer. – Będziemy bardzo ostrożnie obserwować sytuację i w chwili, gdyby się okazało, że te teksty nie lżą – wskazał na stos papierów na stole – zwijamy się stąd i będziemy śledzić, co się dzieje dalej. Spróbujemy się też dowiedzieć, czemu ten nieznajomy przekazał nam informacje. Czemu uznał, że nas, a zwłaszcza baronównę, dokumenty zainteresują i że je zrozumie. Co o nas wie?

Zuzanna zrozumiała, że to uwiera Valera bardziej niż historia z magiczną bronią. Pozostali mężczyźni wokół stołu wydawali się spokojniejsi, z powrotem na znajomym terytorium. Valer skupił ich

uwagę na kwestiach, w których mieli doświadczenie, z którymi potrafili sobie poradzić. Zbrojna walka, intrygi, plany w planach, to potrafili zrozumieć. Magia i związane z nią tajemnice należały do innego świata.

Odezwało się pukanie do drzwi i do środka wszedł Gruber. Niepewnie popatrzył na Zuzannę i Valera, jakby nie wiedział, do kogo się zwrócić.

– Madame – zdecydował się wreszcie – dwaj ludzie proszą o audiencję. Chcą z wami mówić.

– Co to za jedni? – spytała. – Powiedzieli o czym?

Valer chmurnym spojrzeniem śledził Grubera, który jednak na niewypowiedzianą pretensję nie zareagował.

– Jeden jest niebezpieczny. Stara się wyglądać jak zwykły tragarz z doków, ale ja takich poznam na odległość. Drugi... – Gruber wzruszył ramionami – takich jest na kopy. Nie jestem w stanie stwierdzić, co to za jeden. W ostatnim czasie sporo przeszedł, tyle po nim widać wyraźnie. Chcą mówić o przesyłce, którą wam niedawno doręczono.

Sytuacja komplikowała się z każdą chwilą.

– Przyprawadźcie ich – zdecydował Valer. – Wy, madame, poczekacie w swoich pokojach, aż ich skontrolujemy i upewnimy się, że nie są niebezpieczni – zwrócił się do Zuzanny.

Zastanawiała się, czy Valer zdaje sobie sprawę z tego, że w obecności swoich ludzi raz zwraca się do niej nieformalnie, a raz formalnie. Chyba nie, zgadywała.

– Chcę być pierwszą, która z nimi porozmawia. Tylko tak zdołam sobie stworzyć wyraźny obraz. Jak zapewnicie mi bezpieczeństwo, to już wasza sprawa – odpowiedziała chłodno na jego wcześniejszy surowy ton.

Valer nabrał powietrza, gotów się nie zgodzić, jednak zastanowił się nad jej słowami i wreszcie skinął głową.

– W porządku, zrobimy, jak sobie życzycie. Panowie – obrócił się do swoich podwładnych – pełna gotowość, ostrzeżcie swoich ludzi. Tych dwóch pilnuj, aż dostaniesz ode mnie rozkaz ich

przyprować – zwrócił się tym razem do Grubera. – Jak czeęokolwiek spróbują, zabij ich.

– Rozkaz, panie.



Szybko przystosowali sztab na potrzeby audiencji. Stoły z mapami odsunęli pod ścianę, obok tylnego wyjścia przygotowali krzesło dla Zuzanny, przed nim postawili ciężkie biurko, jako przeszkodę. Po jej prawej stronie stanął Humpry, po lewej Kyryzi, pod ścianami czekali pozostali porucznicy. Wszyscy uzbrojeni, z dłońmi na rękojeściach mieczy. Valer przeszukał obu mężczyzn przed wejściem do środka. Wysoki miał przy sobie krótki miecz, który nosił ukryty pod płaszczem, w bucie dwa noże do rzucania. Valer starannie sobie te bronie obejrzał. Miecz wyglądał zwyczajnie, był pozbawiony jakichkolwiek ozdób, o dobrej jakości, wielokrotnie przeszlifowanej klindze, która mimo to nosiła wyraźne ślady wielokrotnego użytku. Na Valera oko był aż za bardzo zaostżony. Z kolei te noże... Z czymś takim nie każdy potrafił się obchodzić. Kapitan miał chęć rozebrać tego gościa do nagusieńka, na pewno przybysz ukrywał jeszcze jakieś niespodzianki. W końcu jednak z tego pomysłu zrezygnował. Zuzanna chciała mówić z tym człowiekiem jak najszybciej, do tego było ich przecież więcej, i to sami najlepsi ludzie. Ponadto gdyby tamten chciał Zuzannę zabić, z pewnością nie próbowałby tego dokonać w tak głupi sposób. Drugi z mężczyzn miał przy sobie jedynie zwykły składany nóż. Valer odłożył ich broń na bok, na stół.

Od chwili kiedy się pojawili i zgłosili do straży przy bramie, nie odezwali się ani słowem. Valer znów bacznie im się przyjrzał. Nie wyglądali na wystraszonych, zdenerwowanych. Jakby te uczucia zostawili daleko za sobą, jakby nie mieli już dla nich miejsca.

– Idziemy – zwrócił się do Grubera. – Ja po lewej, ty po prawej.

Wielki mężczyzna skinął głową. Weszli do środka, straż za nimi z bronią w gotowości.

Wyższy z przybyszy rozejrzał się. Każdemu z obecnych poświęcił krótkie spojrzenie, wreszcie całą swą uwagę skupił na Zuzannie. Valer znalazł ten wzrok, mężczyzna szacował zagrożenia, szukał niebezpieczeństw. Musiało być dla niego oczywiste, że jeśli cokolwiek spróbuje, żywy stąd nie wyjdzie.

Drugi z gości potencjalnymi zagrożeniami wydawał się nie zawracać sobie głowy. Wyglądał na spokojnego i opanowanego.

– Dzień dobry, panowie – przerwała ciszę Zuzanna. – Chcielibście mówić z baronówną Münchauzen, to ja. W czym mogę wam pomóc?

Valer zacisnął usta, nie wydało mu się to dobrym sposobem pozyskania informacji. Było już jednak zbyt późno, niestety, nie umówili się co do tego wcześniej.

Obaj mężczyźni się pokłonili.

– Nazywam się Joel Klinsman – przedstawił się ten mniejszy. – Byłem członkiem klanu Rumelkowego – wyjawiał bez ogródek.

Valer stłumił w sobie chęć, aby spytać go wprost, czemu chciał się widzieć właśnie z Zuzanną.

– Ja jestem Gruman – powiedział wyższy z dwójki.

Zuzanna uśmiechnęła się, jakby to jej wystarczyło.

– Jak mogę wam pomóc? – powtórzyła pytanie.

– W podziemiach miasta żyje coś, co musimy zabić – rzucił Klinsman wprost.

Valer zdusił przekleństwo. Widział, jak jego porucznicy patrzą po sobie znacząco, sam nie spuszczał oczu z przybyszy. Możliwe, że wszystko to było niezwykle złożoną grą, mającą ich przekonać, że w podziemiach miasta rzeczywiście kryje się jakieś monstrum.

– To bardzo interesujące, panowie – odpowiedziała Zuzanna spokojnie. – A czemu przychodzicie z tym właśnie do mnie?

– Dlatego, że otrzymaliście pakunek od Janicka, wielkiego mistrza klanu Rumelkowego – odpowiedział Gruman. – My wiemy, co w tym pakunku było, śledziliśmy go przez kilka ostatnich dni.

Valer zacisnął usta. Wszystko się strasznie komplikowało. Cieszył się, że ogłosił gotowość bojową i że są przygotowani na potencjalny atak.

– A czemu chcecie to zabić? – zadała kolejne pytanie Zuzanna.

– Ponieważ to jest w stanie zniszczyć cały świat – odpowiedział Klinsman.

Valer potrafił odgadnąć, kiedy ludzie kłamali. Mężczyzna stojący przed nim mówił prawdę, albo przynajmniej wierzył, że to, co mówi, jest prawdą.

– A wy? – Zuzanna zwróciła się do Grumana.

– Ja tę rzecz pomogłem wypuścić do podziemi i chciałbym to naprawić.

To będzie dłuższa rozmowa, osądził Valer.

– Proponuję, abyśmy to omówili przy śniadaniu – odparła Zuzanna. – Niewiele ostatniej nocy spałam i zaczynam być naprawdę głodna.

Po nieprzespanej nocy poranne nudności się nie pojawiły, miała wrażenie, że byłaby w stanie zjeść całego kuraka. Właściwie to chętnie by właśnie zjadła pieczoną kurę. I mandarynki. A do tego kubek mocnej kawy.

– Macie coś przeciwko temu, kapitanie? – zwróciła się do Valera. – Z punktu widzenia bezpieczeństwa?

Valer wiedział, że pyta go na poważnie. Naprawdę chciała przedyskutować z gośćmi kwestię magicznej istoty, czy też broni – sam nie wiedział, jak TO nazwać – przy jedzeniu.

– O ile pan Gruman zda CAŁĄ broń, jaką przy sobie ma, to nie mam nic przeciwko temu – odpowiedział. – Kiedy będziecie odchodzić, osobiście wam wszystko zwrócę – dodał, spoglądając na wysokiego mężczyznę.

Gruman skinął głową, sięgnął do kołnierza i ze zręcznością magika wy dobył z niego cienki nóż, a z klamry pasa krótki sztylet.

– Nic więcej nie mam – oznajmił.

– Dziękuję – powiedział Valer, odbierając broń.

Ten człowiek był wytrenowanym zabójcą, co do tego nie było wątpliwości.

Valer w głowie już opracowywał, jak urządzić jadalnię i których ludzi wybrać, aby im towarzyszyli.

Rozdział 36

Poza krawędzią szaleństwa



Obudziłem się w swojej piwnicy. Nie pamiętałem, jak się tu dostałem, ostatnie wspomnienie dotyczyło dwóch głów toczących się po ziemi. Usiadłem. Kiedy położyłem dłoń na podłodze, poczułem, jak jest rozgrzana nienaturalnym żarem mojego ciała. A do tego czysta, jakby ją ktoś zamiótł i wyszorował. Jedynie w kątach cisnął się kurz. Nabrałem głęboko powietrza. Bólu z połamanymi żeber nie czułem. Żadnej krwi w ustach, widziałem zupełnie normalnie. Normalnie, o ile nie brałem pod uwagę chwiejących się linii przecinających wszystko, na co spojrzałem. A i oddychałem normalnie na tyle, na ile normalne było to, iż każdy oddech smakował, jakby do płuc ktoś pompował mi płynny asfalt. Z pęknięcia w ścianie wyszedł szarozielony szczur, który w rzeczywistości nie był szczurem, ale czymś zupełnie innym. Chwilę mnie obserwował. Odpłaciłem mu spojrzeniem za spojrzenie. Potem znikł w ciemnościach. Kiedy indziej może i by mnie zaciekawił, tym razem miałem to gdzieś.

Doświadczenie mówiło mi, że powinienem się najeść i napić, bo nie wiedziałem, jak długo już tu leżę. Rozmyślałem nad tym, ale nie potrafiłem znaleźć powodu, aby to zrobić. Na schodach usłyszałem kroki. Nie szły na górę jak kroki innych mieszkańców, ale w dół, do piwnicy. To była moja piwnica, zapłaciłem za nią. Tyle jeszcze pamiętałem.

Otworzyły się drzwi i ukazał się w nich gość ze złodziejską lampką. Za nim stał ktoś jeszcze. Widziałem, jak krąży w nich krew, którą pulsuje ich żywotna siła, jak napinają się i uwalniają mięśnie, poruszają stawy. A kiedy chciałem, widziałem przez nich na wskroś, w ciemność za nimi. Na zewnątrz trwała noc, uświadomiłem sobie. Nie wiedziałem, jakim cudem w ciemnej piwnicy mogłem w ogóle widzieć, ale nie zastanawiałem się nad tym.

– No pięknie, kurwa, a nie mówiłeś, że piwnica miała być nieużywana?

Po schodach schodziła kolejna żyjąca struktura. Nie zdołałem rozeznaczyć jej fizycznej formy, jedynie w tym, co się za nią skrywało. W ciągu dnia nie byłoby inaczej.

– Co tam jest?

– Goły chłop. Nieuzbrojony. Chyba jakiś wariat.

Czekałem i walczyłem z żądzą, aby sięgnąć do tego systemu kości, ścięgien, mięśni, prądów krwi i żywotnej siły i rozbić je, raz na zawsze zatrzymać. Miałem wrażenie, że jeśli raz zacznę, nie będę mógł przestać.

– Pozbądź się go. Mamy prawie pół tony towaru i żadnego innego miejsca, żeby go zrzucić.

Mężczyzna był nagle martwy, nawet nie zdawałem sobie sprawy z tego, co właściwie zrobiłem.

– Lugi? Co się stało? Załatwiłeś go już?

Dalej czekałem w ciemności.

Po chwili rozbiłem kolejną złożoną układankę. Było to takie łatwe.

– Chłopaki? Co tam na dole robicie?

Odpowiedziała mu tylko cisza.

Trzeci z nich już nie zszedł, rozległ się odgłos oddalających się kroków. Tych dwóch w mojej piwnicy nie chciałem, ani uwagi, jaką przyciągałby pozostawiony przed wejściem towar. Zniosłem wszystko na dół, po czym powiększyłem szczelinę w ścianie, wepchnąłem ciała w pustą przestrzeń za nią, a dziurę zasklepiłem kamieniami najlepiej jak potrafiłem. Może będą trochę śmierdzieć, ale z asfaltem w płucach raczej się tym nie przejmowałem.

Towar stanowiły zapasy najlepszej jakości szynki i kilka beczek wina. Spróbowałem szynki, ale było to jak łykanie żywicy. Albo gorsze. Napilem się wina. Jakbym pił płynny ołów. Jedyne, na co miałem chęć, to wyjść na górę i rozbijać ludzkie układanki. Nie chciałem jednak tego robić, ponadto wydawało mi się to zbyt łatwe.

Nie było sensu pozostawać przy życiu. Położyłem się z powrotem na podłodze, w to samo miejsce, na którym leżałem poprzednio. Jeśli wystarczająco długo nie będę jadł i pił, umrę i ja. Może. Taką miałem nadzieję.

Gdzieś obok biegały szczury, które tak naprawdę nie były szczurami, ale to nie miało ze mną nic wspólnego. Zamknąłem oczy. Wystarczyło poczekać.

Rozdział 37

Na tropie drapieżcy



Valer szedł tuż za Grumanem, czasem przeciskali się uliczkami tak ciasnymi, że grubszy człowiek miałby trudności.

– Nie wiedziałem, że w tym mieście zamiast ulic mają wąwozy – warknął Valer pod nosem.

– Jeszcze kawałek i będziemy mieli świetny widok na targowisko i przylegającą plażę. Gdybyśmy szli inną drogą, zwracalibyśmy na

siebie uwagę – zauważył Gruman.

– Rozumiem – odpowiedział Valer głosem pasującym raczej do przekleństwa niż wyrażenia zgody.

Ich nowy sprzymierzeniec bardzo mu się nie podobał. Ten człowiek był zwyczajnie zbyt niebezpieczny, zbyt tajemniczy, a do tego Valer nie wiedział, wobec kogo Gruman jest lojalny. Nie wierzył też w powody, dla których zabójca rzekomo się do nich przyłączył.

– Co my tam będziemy robić? – warknął niezadowolony kapitan.

Słońce chyliło się ku zachodowi i ta część półwyspu tonęła w coraz bardziej wydłużających się cieniach. Wiatr od morza chłodził promieniujące nagromadzonym za dnia ciepłem mury i samą ziemię. Valer uświadomił sobie, że właściwie mogłoby mu się zrobić zimno.

– Co będziemy robić? – powtórzył swoje pytanie, kiedy dotarli do pozostałości starego muru, niegdyś okalającego posesję. Z domu pozostały jedynie fundamenty, a ogród opanowały dzikie sukulentki. Gruman położył się pod rozgałęzionym krzewem, rosnącym tuż

przed wyłomem w murze. Rozciągał się stąd doskonały widok na okolicę.

– Obserwować. Baronówna życzyła sobie, abyśmy się zorientowali, jak się manifestuje ta rzecz z podziemi, i właśnie tutaj możemy mieć ku temu sposobność. Przynajmniej jeśli jest coś w tym, co gadają na mieście.

Valer nie silił się na odpowiedź, zamiast tego dokładnie przyjrzał się okolicy. Tę część nabrzeża zimą smagały silne wiatry, a podczas sztormów zalewały wysokie fale. Świadczyły o tym kamienie wypchnięte w górę plaży w zaskakującej odległości od linii wody. Być może to właśnie morze zniszczyło dom za ich plecami.

– Na co właściwie czekamy? – zapytał Valer i oparł się o ścianę. Gruman zajął podobną pozycję po drugiej stronie otworu.

Szum morza mieszał się z szelestem piasku niesionego wiatrem.

– Widzisz to kamienne zejście? – Gruman wskazał na część nabrzeża nieco na lewo od ich pozycji. – Znajduje się tam wylot kanalizacji. W czasie przypływu jest pod wodą, w czasie odpływu można tam wejść suchą stopą.

Valer widział zejście, które tamten miał na myśli, ale wylotu kanału nie dostrzegał. Zlewał się z okolicą.

– Tędy wydostałeś się na powierzchnię?

Zabójca pokręcił głową.

– Nie, to było gdzie indziej. Kanały wychodzą do morza w miarę równomiernie wzdłuż całej linii brzegowej. Wybrałem to miejsce, ponieważ tutaj w ostatnim czasie znikają ludzie. Cała załoga rybacka. Ich łódź znaleziono wyciągniętą na brzeg, ale po ludziach nie było ani śladu. Czasem zniknie jakiś pijaczyna. Ludzie zaczynają szeptać, że dzieje się tu coś dziwnego.

Obaj mężczyźni czekali. Dziennego światła stopniowo ubywało, plażę powoli opuszczali ostatni maruderzy – zbieracze małży i wodorostów. Valer musiał przyznać, że Gruman potrafi czekać. Nie wykonywał żadnych zbędnych ruchów, zlał się z otoczeniem, a równocześnie pozostawał przez cały czas w gotowości. Jakby robił to już wiele razy. Jak i ja sam, pomyślał.

– Jeśli ta rzecz w podziemiach jest aż tak niebezpieczna, czemu zostałeś? – zagaił.

Wiatr nasilił się, rzucając o mur całe kłęby wyschniętego zielska. Gałęzie krzewu za ich plecami zaczęły trzeszczeć, podmuchy były piaskiem po twarzach.

– Mówiłem już, ja tę rzecz do podziemi wypuściłem – przypomniał Gruman.

– To jednak nie oznacza, że nie możesz odejść.

Valer miał wrażenie, że oprócz wiatru i piasku słyszy coś jeszcze, ale nie był pewien, czy słowo „słyszy” było tu właściwe. Jakby to było coś wewnątrz, w nim samym. Kiedy spróbował się na tym skupić, zniknęło. Nagle wiedział dokładnie, gdzie znajduje się wylot kanału. Spojrzał we właściwym kierunku i dojrzał go, ze wszystkimi szczegółami, jakby sam tam już kiedyś był. Wyobrażał sobie, jak tunele biegną dalej, jak się rozgałęziają, krzyżują. Nie, nie wyobrażał sobie, on to dokładnie wiedział. Przesząpił z nogi na nogę i uświadomił sobie, że ma chęć zajrzeć do tunelu, wejść dalej, prosto w ciemność.

– Czujesz to, prawda? – odgadł Gruman.

– Owszem – przyznał z niechęcią Valer.

Mógł próbować okłamywać sam siebie, że to nieprawda, że to tylko takie chwilowe poczucie, ale wiedział, że to nie pomoże. W podziemiach naprawdę coś się skrywało i próbowało go przyciągnąć.

– Wabi mnie do siebie. Ciebie nie?

– Już próbowało w podziemiach, ale bez skutku. Więcej nie próbuje. Myślę, że mnie zapamiętało. Wyczuwam jednak, kiedy jest aktywne, kiedy się o mnie... otrze. Myślę, że mnie w jakiś sposób widzi.

Valer skinął głową i w milczeniu zastanawiał się nad własnymi odczuciami. W podziemiach coś się skrywało, coś niebezpiecznego, i swoją wolą próbowało go przyciągnąć, podobnie jak potrafiły tego dokonać niektóre wielkie węże ze swoimi ofiarami. Nie wierzył, aby cokolwiek mogło złamać jego wolę. Kiedy poznał przyczynę i zidentyfikował źródło, uczucie rozplynęło się. Poczucie przymusu

zmieniło się w drobny, dający się łatwo zignorować niepokój. Niemniej łowca z podziemi był niebezpieczny dla każdego, kto by się dostał do jego domeny. To było oczywiste. Możliwe, że był nawet niebezpieczny dla ludzi na powierzchni, dla tych, którzy o nim nie wiedzieli.

– Myślę, że na każdego oddziałuje to trochę inaczej – zastanawiał się Gruman. – Możliwe, że silniej na czarodziejów. Ale, jak mówię, na każdego inaczej.

– Jeszcze jeden powód, żeby stąd jak najszybciej zniknąć – zauważył Valer.

W trakcie ich rozmowy zaczęło się ściemniać, morze poczerniało, a na niebie pozostały już tylko ostatnie odcienie szarości. Mężczyznę na plaży obaj dostrzegli równo cześnie. Widzieli tylko jego sylwetkę, sądząc po tym, jak się poruszał, był to starzec. Szedł brzegiem morza, jedynie odrobinę ponad linią przyboju, omijając sterty wodorostów i śmiecia wyrzuconego przez morze. Gruman z Valerem wychylili się przez otwór w murze i zgodnie go obserwowali. Mężczyzna albo ich nie zauważał, albo nie był nimi zainteresowany. Po chwili skręcił ostro w bok i Valer wiedział doskonale, dokąd tamten zmierza.

– Panie? – zawołał za nim kapitan. – Halo, panie?

Starzec z wahaniem zatrzymał się i obrócił ku niemu. Valer dostrzegł teraz jego długie, siwe włosy targane wiatrem.

– Dokąd to zmierzacie?

– Tamże – wskazał starzec – do podziemi.

– A czemu? Czego tam szukacie?

– Wydało mi się to dobrym pomysłem. Czemu nie miałbym iść do podziemi? – padła odpowiedź.

Mężczyzna obrócił się i znów ruszył przed siebie.

– Tam może być niebezpiecznie! – rzucił za nim Valer, próbując go zatrzymać, ale tamten nie reagował.

Valer wahał się chwilę, starzec szybko zniknął w gęstniejącym mroku. Wreszcie kapitan podjął decyzję i wyskoczył, aby go zatrzymać.

Starzec zdążył rozpląnąć się w ciemności i Valer dostrzegł go dopiero przed samym wejściem do tunelu. Mężczyzna bez wahania wkroczył do kanału i zniknął. Valer miał wrażenie, że usłyszał słaby krzyk, ale mogło mu się jedynie wydawać.

Stał raptem o kilka metrów od ciemnej plamy z dłonią na rękojeści miecza i oddychał głęboko. To, czego był właśnie świadkiem, wystraszyło go i wzburzyło. Ludzie to przecież nie głupie szczury czy jakieś lemingi, żeby tak bezwolnie iść na śmierć!

Nadszedł Gruman i stanął tuż obok.

– Cieszę się, że mogłeś to sam zobaczyć – powiedział.

– Wolałbym tego nie widzieć – odparł Valer, wciąż uważnie wpatrując się w ciemność.

Zapadający mrok zaczynał go niepokoić. Za żadną cenę nie chciał dać się zaskoczyć temu, co skrywało się w podziemiach jedynie o kilka kroków od nich.

– Wracam do sztabu. Baronówna musi się o tym jak najszybciej dowiedzieć.

– Ja zjawię się rano – powiedział zabójca.

– Idziesz do tej swojej przyjaciółki?

Zaskrzypiał piasek, kiedy Gruman przestąpił z nogi na nogę.

– Kazałeś mnie śledzić? Nikogo nie zauważyłem.

– Było ich czterech i są dobrzy – przyznał Valer. – To z jej powodu nie chcesz odejść?

– Owszem – potwierdził Gruman.

– Powinieneś ją przekonać, że czas się stąd wynosić – zasugerował Valer.

– Może muszę spróbować – nie spierał się Gruman. – A ty myślisz, że przed tą rzeczą gdziekolwiek będzie bezpiecznie? Że się sama z siebie gdzieś zatrzyma?

– Wtedy się zatrzymała – powiedział Valer, ale nawet jego samego ta odpowiedź nie zadowoliła.

Jak do tej pory nie zastanawiał się nad tym. Monstrum w podziemiach mogło zagrozić mieszkańcom Grafzaty i nikomu innemu. Czy się mylił?

– Zobaczymy się jutro – powiedział Gruman i zniknął w ciemności.

Rozdział 38

Testowanie siły



Rzecz czuła, że zbliża się do kolejnej bariery, której przekroczenie umożliwi wzniesienie się na wyższy stopień złożoności. Już teraz umiała czytać i kopiować wiele wzorów równocześnie, przy czym nie dało się tego porównać z prymitywnym czytaniem, jakie miała do dyspozycji na początku swojej egzystencji. Niemalże żałowała, że przeczytała tyleż ciekawych wzorów tym prostackim, brutalnym wręcz sposobem, który pozbawił ją olbrzymiej ilości detali, subtelnych szczegółów. To właśnie one teraz wydawały jej się najbardziej kluczowe.

Możliwe, że gdyby potrafiła przeczytać czarodziejów, z którymi stoczyła walkę, z dokładnością, do jakiej była zdolna w tej chwili, mogłaby znaleźć sposób, jak naprawić ten defekt we własnym ja, i umiałaby manipulować mocą tak samo, jak robili to czarodzieje. Może.

Ludzi w mieście nad sobą postrzegała jako mieszaninę poruszających się punktów o różnej barwie i natężeniu. Niektóre przechodziły w plamy różnych rozmiarów, jeszcze inne ją odpychały, ponieważ instynktownie wyczuwała promieniującą z nich groźbę, choć równocześnie przyciągały ją jako źródło wzorów, dalszego poznania i transformacji.

Jedno ze światła ją złościło, doprowadzało do wściekłości, czasami aż na granicę szaleństwa, które wszelkimi siłami starała się

opanować. Był to czarodziejski potomek klanu Maleriat. Odpowiadał na jej zew, wyczuwała to, a mimo to wciąż nie przychodził, jakimś niewyjaśnionym sposobem opierał się jej woli. Zdawała sobie sprawę z tego, że poświęca mu stanowczo zbyt wiele uwagi, że powinna się raczej skoncentrować na ilości i jakości innych wzorów, a nie tylko na tym jednym, ale nie potrafiła się powstrzymać. Za pośrednictwem tego czarodzieja chciała się zemścić na jego przodkach z dawnej przeszłości. Co więcej, może to w nim właśnie skrywała się informacja, jak sobie poradzić z defektem, który w niej umieścili, którym ją dawno temu naznaczyli, upośledzili. Do tego bała się, że potomek klanu Maleriat będzie umiał ją unicestwić.



Vuki znów poczuł tę potrzebę, żądzę wręcz, aby udać się w ciemne głębiny, gdzie wreszcie znajdzie spokój, gdzie spełni się wszystko to, o czym śni. Nawet jeśli sam nie wiedział, co by to miało być. Owładnięty naporem monstrualnego intelektu, stracił władzę nad własnym ciałem, jedynie ostatni okrawek świadomości obserwował niczym z zewnątrz, jak zamiast odszczypywać zadra po zadrze z krokwi, Vuki tłucze w nią zapamiętałe pokrwawionymi rękoma, szarpie za łańcuchy i niepotrzebnie marnuje energię. Rzecz w ciemnościach była niezwykle silna, to już wiedział od dawna. Ale ona nie wiedziała wszystkiego o nim. Im bardziej na niego naciskała, tym bardziej było to nieskuteczne. Był wyczerpany, krwawił z zadrapań i głębszych ran, które sam sobie zadał, ale wciąż był spętany własnymi okowami, jeszcze miał co jeść i pić. W krótkich chwilach, kiedy wracały do niego przebłyski świadomości, przypominał sobie, że pomimo tego wszystkiego, przez co przeszedł, chce przeżyć. Nie chce umrzeć, nie chce być pożarty przez rzecz w ciemnościach.



Gruman czuł się nieprzyjemnie wyprowadzony z równo wagi. Mężczyzna, który pozornie dobrowolnie udał się do kanałów, gdzie to coś go pożarło, wstrząsnął nim bardziej, niż dał po sobie poznać, bardziej, niż w pierwszej chwili sam sobie uświadamiał. Małemu chłopcu przed kilkoma dniami pomógł bez wahania, tym razem tego nie zrobił. Może dlatego, że dziś to nie było dziecko. A może i na niego monstrum zdołało wpłynąć? Nie wiedział.

Było jednak oczywiste, że potwór w podziemiach rósł w siłę i z czasem będzie mógł z łatwością wpływać nawet na dorosłych ludzi. Bez większego powodzenia spróbował tego dziś na dowódcy oddziału baronówny, który bez trudu mu się oparł. Jednak co będzie, kiedy ta rzecz stanie się silniejsza?

Z przyzwyczajenia nie wracał do domu Corinne najprostszą trasą, ale naokoło, aby niepotrzebnie nie zwrócić uwagi Keshuy czy jeszcze kogoś innego.

Dziś zawędrował o wiele dalej niż zwykle, mogły za to odpowiadać nieprzyjemne myśli, w których wciąż powracał do potwora w podziemiach. I do boju stoczonego w kanałach. Czy nie przeoczył czegoś istotnego, co w przyszłości mogłoby się okazać użyteczne?

Uświadomił sobie, że do domu dotrze bardzo późno. Nie chciał nikogo obudzić, gdy będzie przygotowywał sobie jedzenie. Wystarczyło wyjść z tych najciemniejszych uliczek do nieco lepiej oświetlonych, gdzie wciąż było całkiem gwaro i gdzie jadłodajnie były jeszcze otwarte.

Kierunek wybrał przypadkowo, wystarczyło iść za światłem i hałasem. Otworzył drzwi i po pięciu stopniach w dół przywitał go półmrok, mdlący, słodkawy dym z fajek, klaskanie kart o stoły i gwar pijackich rozmów. Zbiegiem okoliczności wybrał naprawdę kiepską spelunę, pijacką dziurę skrzyżowaną z szulernią. Tu na przyzwoite jedzenie nie było co liczyć. W chwili kiedy się obrócił, aby wyjść z powrotem na ulicę, drzwi otworzył kolejny gość. Już na samym progu zatoczył się w sposób zdradzający, że jest dobrze wstawiony, i wpadł do środka. Gruman zdusił przekleństwo i zszedł aż na sam

dół schodów, które były zbyt ciasne, aby przepuścić pijanego. Na przepychanki nie miał ochoty. Chciał jak najszybciej wrócić na ulicę, to miejsce wybitnie mu się nie podobało, a wręcz z jakiegoś powodu go odpychało.

Barman otworzył drzwiczki i wyszedł z baru. Poruszał się niezgrabnie, jakby sam solidnie się uraczył tym, co serwował gościom. Gruman zgadywał, że mógł to być tytoń z dodatkami, sądząc po zapachu, paliło się tu i opium.

Barman zataczał się wciąż bliżej i bliżej, dwóch z graczy wstało od stołu, większość pozostałych patrzyła w jednym kierunku – na zabójcę.

Coś tu śmierdziało. Coś tu paskudnie śmierdziało. Barman rozłożył ręce, jakby chciał kogoś objąć, jego ostatni krok był krótszy, zupełnie jakby szykował się do skoku. Gruman kopnął bez ostrzeżenia, trafił go piętą pod brodę, posłał do tyłu. Mężczyzna w żaden sposób się nie bronił, padł na ziemię i się nie ruszał. Tymczasem Gruman miał już naprzeciw siebie ciemny mur tłoczących się sylwetek, niektóre z nich dzierżyły w rękach noże najróżniejszych kształtów i rozmiarów. Gruman spojrzał szybko w tył. Pijak za jego plecami wydawał się o wiele przytomniejszy niż cała reszta gości speluny razem wzięta, w ręku trzymał długi nóż navajo. Drzwi były zamknięte.

Stało za tym wszystkim monstrum w podziemiach, Gruman był tego pewien. Mężczyźni wokół niego zaatakują równocześnie, idealnie zgrani, tak samo jak poprzednio jego przeciwnicy w kanałach. Miał bardzo mało czasu, nie mógł pozwolić, aby go zadusili masą swoich ciał, a równocześnie było już za późno na wywalczenie sobie drogi na zewnątrz. Dobył krótkiego miecza, podciął pierwszego mężczyznę przed sobą, schylił się, unikając ciosu z prawej, ciął po udzie jednego i pchnął mieczem kolejnego przeciwnika, równocześnie powalając go na ziemię. Zapora z trzech ciał na chwilę spowolniła resztę, trochę im zajęło, zanim poradzili sobie z nagłą zmianą sytuacji. Gruman się nie wahał. Zyskał potrzebny mu czas. Wbiegł po schodach, cięcie nożem z łatwością sparował i wykorzystując to, iż stoi niżej, złapał swojego

przeciwnika, przerzucił go ponad sobą i cisnął w dół, wprost na najszybszego z goniących. W następnej chwili był już przy drzwiach, naciskając klamkę. Wydostał się na zewnątrz, zanim ktokolwiek mógł mu znowu zagrozić.

Przeszedł dwa skrzyżowania, znalazł kątek w głębokim cieniu i chwilę stał, kontrolując oddech. Powoli, głęboko, jak najciszej. Mało brakowało, a już by tam został. Wystarczyłoby, żeby zareagował o ułamek sekundy później, wystarczyłoby, że nie ostrzegłby go instynkt, że barman zdołałby go pochwycić. Nie miał wątpliwości, iż tamten mógłby go przytrzymać wystarczająco długo, aby dopadli go pozostali. Od ich poprzedniego spotkania monstrum nauczyło się kontrolować ludzi jeszcze lepiej. Na razie byli to ludzie pod wpływem alkoholu i narkotyków, ale i to wystarczyło. I wyglądało na to, że rosło w siłę bardzo szybko.



Rzecz wbrew wynikowi walki przepełniała poczucie triumfu. Nauczyła się czegoś nowego. Jej znajomość wzorów zaczynała przynosić skutki, pozwoliła jej przejąć kontrolę nad wzorami żywych obiektów. Teraz już nic nie stało na przeszkodzie, aby zwiększyła swą masę, o ile tylko potrzebowała. Wtedy przyjdzie przełom, zwrot. Dwaj kolejni ludzie zeszli do podziemi i nawet bez bezpośredniego udziału jej świadomości samobieżne, peryferyjne części pochwyciły ich, zaczęły analizować i kopiować. W kopiowaniu była siła; przestać kopiować, zaprzestać przetwarzania, uczenia się oznaczało umrzeć. Ta myśl, a może wspomnienie, pojawiła się skądś głębiej, skądś, gdzie do tej pory nie miała dostępu. Rzecz nie próbowała jej powstrzymać, była to prawda – w kopiowaniu kryła się siła i rozkosz.

Rozdział 39

Rozpaczliwe głosowanie



Valer gniewnie nabrał powietrza. Salon oświetlały trzy olejowe lampy oraz dwa trójramienne świeczniki z drogimi woskowymi świecami, ustawione przed zwierciadłami. A mimo to miał wrażenie, jakby ciemność z zewnątrz na niego napierała. A może nie z zewnątrz, może gdzieś z dołu.

– To tylko kolejny powód, aby stąd jak najszybciej wyjechać, nie ma co zbytecznie ryzykować – rzekł najspokojniej, jak tylko zdołał.

Już wcześniej czuł, że może nie utrzymać temperamentu na wodzy, dlatego w pierwszej kolejności chciał sprawę omówić w wąskim kręgu z Zuzanną i Grumanem. Jego obecności nie dało się uniknąć, ponieważ to on przyniósł najświeższe informacje. Informacje potwierdzające, że postanowienie Valera było tym właściwym.

Kapitan napił się słabej letniej herbaty. Nie dlatego, że czuł pragnienie, ale raczej aby się uspokoić. I w miastach lepiej było pić wodę przegotowaną niż prosto ze studni, starał się do tego zachęcać i swoich ludzi. Napój smakował gorzko. Może znowu nie był aż tak słaby, ale to w niczym kapitanowi nie przeszkadzało. Nie zanosił się na to, żeby miał się wcześniej położyć spać. Popatrzył poprzez stół na Grumana. Najlepiej by było, gdyby wysoki mężczyzna postanowił wrócić na poddasze, gdzie umieścili jego przyjaciółkę z synem, jednak on wciąż pozostawał tutaj, powoli jadł i przysłuchiwał się,

jak Valer i Zuzanna się kłócą. Kapitan powstrzymał ciężkie westchnienie i odstawił kubek. Nie mógł zabójcy odesłać, tamten wiedział o potworze z podziemi więcej niż ktokolwiek inny. Dobrze, że z nimi został.

– Dostaliśmy następny przekład materiałów od Janicka – przypomniała Zuzanna.

Mówiła pomału, cicho, jakby się namyślała nad każdym słowem. I nie chciała zbędnych sprzeczek. Valer odetchnął głęboko. On też nie chciał się kłócić. A może?

– Dokończył przekład materiałów, które udało mu się zdobyć.

– Ale czemu nam je przekazał? On jedynie podąża za własnymi celami, jeśli damy się mu zmanipulować, zapłacimy za to. Krwią! – Valerowi udało się nie wybuchnąć, jednak przy ostatnim słowie niewiele brako wało.

Bał się. Dosłownie trząśł się ze strachu. O Zuzannę.

– Oczywiście, że chodzi mu o własne cele – nie sprzeciwiała się Zuzanna.

Valer przyglądał się jej, czekając, czy będzie kontynuowała myśl. Nie chciał, aby spotkało ją cokolwiek złego. Chciał, by żyła, by nie zginęła w tym olbrzymim mieście, które powoli zmieniało się w nocny koszmar. Najlepiej by było, gdyby żyła z nim, ale szanse na to stawały się coraz mniejsze. Z tym jednak mógł sobie poradzić.

Gruman dokończył swoją monstrualną porcję i bez skrupulów nałożył na talerz resztki z kolacji – pasztet na zimno i kilka plastrów mięsnej rolady. Ćma, która przypałętała się nie wiadomo skąd, skończyła z głośnym trzepotem w wiecznie nienasyconym płomieniu świecy.

– Chce przeżyć. Chce przeżyć za każdą cenę i robi wszystko, aby to osiągnąć – przyłączył się do dyskusji po długiej przerwie Gruman. – Nie widziałem, aby używał magii, możliwe, że tego po prostu nie potrafi, ale jest bezwzględny, pozbawiony wszelkiej moralności, potrafi doskonale manipulować ludźmi i jest całkiem niegłupi. Przekazuje wam informacje, abyście pozbyli się potwora z podziemi i w ten sposób uratowali jego skórę.

Valerowi analiza Grumana całkiem się podobała, zgadzała się z jego własną oceną. Wysoki zabójca nie był tępy, wręcz przeciwnie.

Kapitan badawczo spojrział na Zuzannę. Było teraz ich dwóch przeciw niej. Powstrzymał się od komentarza, chciał dać wybrzmieć słowom Grumana. We dwóch może zdołają ją przekonać.

– Zgadzam się z wami, doszłam do tych samych wniosków – odpowiedziała ku jego zaskoczeniu.

– Więc czas jak najszybciej się stąd oddalić, zwłaszcza ty – powiedział Valer miękko. Gruman już i tak odgadł, że łączy ich coś więcej niż profesjonalna relacja.

Może uda mu się ją przekonać. Poczul cień nadziei, oddychało mu się teraz trochę lepiej.

– Zapominasz o jednym – powiedziała, kładąc rękę na jego dłoni.

Zauważył, że i ona zwróciła się do niego nieformalnie, jakby byli w pomieszczeniu sami. To go zmroziło. Skończył się czas konwenansów? Czemu? Nasuwała się jedna logiczna odpowiedź – w ogóle skończył im się czas.

– O czym?

– Że nikt obdarzony magicznym talentem nie może opuścić miasta, czyż nie tak? – Popatrzyła na Grumana.

Przerwało jej pukanie do drzwi. Weszła Katrin z dzbankami z kawą i herbatą.

Valer nigdy nie próbował radzić sobie ze stresem za pomocą alkoholu, ale czuł, że solidna lufa albo kilka, może wręcz butelka czegoś mocniejszego mogłaby mu pomóc. Pomogłaby przytępić mróz splezający od potylicy w dół ciała.

– Dziękuję, moja miła – powiedziała Zuzanna z miłym uśmiechem, kiedy dziewczyna ich obsłużyła. – Mam jeszcze jedną prośbę.

Katrin stanęła i pokłoniła się.

– Tak, pani?

– Weź ze sobą jednego z ludzi trzymających wartę i skontrolujcie wszystkich śpiących. Gdyby wam się wydało, że ktoś ma nocne koszmary, obudźcie go. Niech kucharz przygotuje coś do jedzenia, może wręcz szybkie śniadanie. Nie trzeba nic więcej kupować, niech

skorzysta z tego, co mamy w spiżarni. Kapitan ci powie, kogo masz ze sobą wziąć. – Spojrzała na Valera.

– Kyryzi, jest dowódcą warty – odpowiedział Valer. – Hasło: noc. Niech przekaże komendę zastępcy i idzie z tobą.

Doskonale rozumiał, dlaczego Zuzanna chciała skontrolować śpiących. We śnie wszyscy byli bardziej podatni na psychiczną presję potwora z podziemi.

– Czemu nie wysłałaś po prostu kogoś z naszych ludzi, czemu ma ich doglądać i Katrin? – zapytał, kiedy służąca zniknęła za drzwiami.

– Kobiety są na pewne rzeczy bardziej wyczułone. Poza tym chcę, żeby miała coś do roboty, wygląda na wystraszoną. Zajęcie to najlepsze lekarstwo na strach.

Valer skinął głową. To była prawda, którą musiał przyswoić każdy dowódca. Znów sobie uświadomił, jak bardzo mu na niej zależy, jak bardzo chciał, aby uszła stąd bez uszczerbku na zdrowiu. Bez względu na to, jak to się skończy dla niego. Miał swoje zobowiązania.

– A czemu wybrałaś akurat Kyryziego? – odpłaciła się pytaniem.

Chwilę się nad tym zastanawiał.

– Wziąłem sobie do serca, co mi powiedziałaś wcześniej, że powinienem się zainteresować życiem prywatnym moich ludzi – odpowiedział.

Popatrzył na Grumana. Wysoki mężczyzna popijał kawę i na twarzy miał równie beznamiętny wyraz, co przez cały wieczór. Masa wcześniej istotnych spraw przestaje mieć teraz znaczenie, pomyślał Valer.

Wszyscy umrą.

– Kochają się, przyszło mi do głowy, że z nim będzie jej przyjemniej. Nie jest to zgodne z regulaminem, zwykle rodzą się z tego problemy... – Valer wzruszył ramionami i zamilkł.

Te problemy się nie pojawią, nie będzie na nie czasu.

– Czemu nikt z magicznym talentem nie może stąd uciec? – wrócił do poprzedniego pytania.

– Nie wiem – wzruszył ramionami Gruman – ale to prawda. Śledziłem wielkiego mistrza klanu, kiedy w towarzystwie dwóch

innych ludzi próbował uciec. Bez problemu wyjechali przez miejską bramę, ale im dalej od miasta, tym gorzej wyglądali. Jakby coś zaczęło ich zatruwać. W pewnej chwili wyglądało nawet na to, że mogą umrzeć, ale zawrócili i znów wszystko było w porządku. Później próbowali prysnąć i inni członkowie klanu i skończyli tak samo. Jednego wręcz widziałem, jak umarł.

Valer zacisnął usta i przyglądał się, jak Zuzanna miesza uważnie swoją czarną kawę, potem upija łyk. Nic nie stoi na przeszkodzie, aby to przetestowali. Ostrożnie, tylko na próbę. Może to nie będzie dotyczyć Zuzanny, może ona zdoła wyjechać.

Ona sama milczała zamyślona.

– Ty coś na ten temat wiesz – skonstatował.

Nie odpowiedziała, spojrzała tylko na niego pytająco. Trochę już ją znał.

– Gruman ma rację, ale ty na ten temat wiesz coś więcej. Domyślasz się, jak tę barierę pokonać – spróbował.

Widział, jak nabrała powietrza, by odpowiedzieć, ale znów zaczęła się nad czymś zastanawiać.

– Owszem, wiem – przyznała wreszcie. – Zdołałam już przeczytać wszystko. – Wskazała papiery, które dostali od Janicka. – Całe miasto zamknięte jest w diagramie wielkopowierzchniowego zakłęcia. Aktywny diagram zamyka w sobie wszystkie elementy rezonujące z mocą. Każda próba przekroczenia granic diagramu skutkuje zniszczeniem elementu. A właściwie przemianą w element nierezonujący z mocą. Niestety, u ludzi oznacza to śmierć. Dopóki zakłęcie jest aktywne, jego granica jest praktycznie nieprzekraczalna.

Zakłęcie jest aktywne od stuleci czy przebudziło się dopiero niedawno? – zastanawiał się Valer. Jednak w tej chwili nie było to najważniejsze.

– A jak można je zlikwidować? To zakłęcie? – zapytał.

Był pewien, że Zuzanna wie i to. Na każdą broń jest przecież jakiś sposób.

– Wystarczy przerwać linie magicznego diagramu. Wystarczy wiedzieć, gdzie się znajdują, przerwać je i zakłęcie straci moc.

Oczywiście znajdują się one na zewnątrz pola działania zaklęcia, w przeciwnym razie ci zamknięci wewnątrz mogliby to sami uczynić.

Valer chwilę się nad tym zastanawiał.

– Ty wiesz, gdzie one są.

Milczała.

– Ja albo którykolwiek z moich ludzi możemy przekroczyć granice miasta, przerwać tę linię i będziesz mogła stąd uciec – znalezienie rozwiązania zajęło mu tylko parę chwil.

– Nie chciałam się kłócić – wzruszyła ramionami ze smutnym uśmiechem – ani kłamać.

– To jest prywatna rozmowa, możesz nas zostawić samych? – Valer zwrócił się do Grumana.

– Nie – pokręcił głową tamten. – Jeśli mam się wam przydać, chcę wiedzieć wszystko. Oczywiście, o ile wam na mojej pomocy zależy.

Valer nie był zadowolony, ale po krótkim wahaniu skinął głową. Gruman był w podziemiach osobiście i walczył z tą rzeczą, jego doświadczenia nie dało się przecenić.

– Nie rozumiem cię. – Obrócił się do Zuzanny. – Czemu chciałabyś tu zostać?

Wykonali wszystkie zadania, osiągnęli założone cele. Mogłaby wyjechać, odczekać, aż sytuacja się uspokoi, potem wrócić i kontynuować jako baronówna. Potwór w podziemiach nie był jej problemem, nie dotyczył też jego. Wystarczyło wyjechać. Księstwo leżało tak daleko stąd, że nawet gdyby w Grafzaty coś się stało, na nich nie będzie to miało wpływu. A nawet gdyby przy ucieczce uszkodzili magiczne więzienie trzymające monstrum w mieście, nic przecież nie żyje wiecznie. Wcześniej czy później nawet potwory zdychają. Czemu Zuzanna miałaby ryzykować własne życie za obcych ludzi? Nie było warto.

– Jakież nowe wieści o Bakłym? – zmieniła temat.

Valer pamiętał, co powiedziała o swoim ojcu. Że ma swego rodzaju doświadczenia z magią i że przynajmniej teoretycznie umiałby się z nią obchodzić. W odróżnieniu od Zuzanny sam go za

czarodzieja nie uważał. Mimo to Bakly mógłby im przecież sporo pomóc. Gdyby tylko zechciał.

– Nie pojawił się i nigdzie na niego nie wpadliśmy. Jednak ostatnio sprawdzaliśmy już tylko pobieżnie. Jest nas niewielu, nie mamy czasu za nim węszyć. A teraz będziemy go mieć jeszcze mniej.

Valer przypuszczał, że Bakly otrzymał podczas walki rany, które go później zabiły, ale nie uważał za stosowne o tym wspominać. Zuzanna skinęła głową na znak, że rozumie. Valerowi wydało się, że w sprawach związanych z ojcem okazuje bardzo niewiele emocji, ale z drugiej strony wiedział, że go kocha. To była jednak najmniej istotna kwestia w porównaniu z pozostałymi problemami, z jakimi się teraz borykali.

– Czemu chcesz tu zostać? – przypomniał swoje ostatnie pytanie.

Skinęła głową, ale jej twarz przybrała dziwny wyraz, którego nie potrafił odczytać. A może podświadomie nie chciał.

– Na ostatnich stronach, które dostaliśmy od wielkiego mistrza, jest opisane, jak to wszystko się skończyło. Koniec tej całej sytuacji, eksperymentu, jak go nazwał jeden z autorów zapisków.

Mówiła cicho, ale pewnie i wyraźnie.

Musi się tam kryć klucz do zwycięstwa, do porażki monstrum z podziemi, natychmiast przyszło Valerowi do głowy. A jeśli się okaże, że wielki mistrz ten klucz chowa dla siebie albo spróbuje ich szantażować, znajdzie tego człowieka, choćby się zapadł pod ziemię, i wszystko z niego wyciągnie. Za wszelką cenę.

Zuzanna spojrzała na niego, wciąż z tym samym dziwnym wyrazem twarzy.

– Czarodzieje tego tworu nie pokonali, zginęli wszyscy, próbując. W rezultacie ta rzecz zabiła ich i wszystkich mieszkańców miasta. Mężczyzn, kobiety, dzieci. Kilkaset tysięcy osób.

Czarodzieje mogli uciec, mogli zniszczyć magiczne więzienie, które sami stworzyli, ale tego nie zrobili. Woleli wszyscy umrzeć. I czemu nie uciekli zwykli ludzie? Potwór z podziemi im na to nie pozwolił? Mógł zyskać aż taką moc?

Czuł się, jakby próbował nabierać wodę sitem. Im więcej myślał, im dłużej się zastanawiał, tym bardziej tracił kontrolę nad sytuacją,

tym bardziej rosła w nim świadomość, że nie zdoła uchronić Zuzanny.

– Czy wiesz, dlaczego od ponad dziesięciu lat pomagam ludziom z magicznym talentem uciekać z ziem imperium i jego sojuszników? Za pustynię, do księstwa? – zapytała, jakby Grumana w ogóle z nimi nie było.

To oznaczało, że nawet tajemnice nie miały już znaczenia.

Aż do tej chwili Valer myślał, że znał odpowiedź na to pytanie, że Zuzanna pracuje dla księcia z tego samego powodu co on, ale teraz nagle nie był taki pewien.

– Nie dlatego, że chcę pomagać księciu, ale dlatego, że chcę pomagać im. W cesarstwie wykorzystają ich w najgorszy możliwy sposób, złamią ich, zniewolą. Torturami, szantażem, wszelkimi sposobami. Tymczasem w księstwie sami mogą wybierać, jak i czy w ogóle będą korzystać ze swego talentu. Pomagam ludziom, księciu w drugiej kolejności, bo tak się składa, że jest nam po drodze.

Valer skinął głową. Jego szanse, nadzieje na to, aby uchronić Zuzannę przed niebezpieczeństwem, topniały jak kwietniowy śnieg w pełnym słońcu.

– Musimy śledzić Janicka, nie możemy mu pozwolić, aby chcąc ratować swoją skórę, naruszył magiczną barierę i wypuścił tę rzecz w świat – potwierdziła jego najgorsze obawy.

Nie mógł jej ochronić przed nią samą.

– Skoro nam tę informację przekazał, oznacza to, że albo nie wie, jak tego dokonać, albo nie dysponuje wystarczającymi środkami. Na razie. I my musimy się postarać o to, aby nawet nie spróbował.

Valer się z nią zgadzał. Janick nie był typem gotowym poświęcić się dla innych.

– Musimy powstrzymać monstrum w podziemiach za wszelką cenę. Za wszelką – wyszeptała Zuzanna i z nieobecny wyrazem twarzy położyła rękę na swoim brzuchu. – Nie możemy pozwolić, żeby umarło ćwierć miliona mężczyzn, kobiet i dzieci.

– Nie, nie możemy – zgodził się Valer, który zapominając o Grumanie, wstał, podszedł do Zuzanny i ją objął.

Zabójca obserwował ich w milczeniu. Valer z twarzą zanurzoną w burzę jej włosów spojrział w okno. Noc dobiegała końca.

– Obudzę ludzi – powiedział wreszcie cicho. – Zaczniemy się przygotowywać do ataku, im wcześniej, tym lepiej. To świństwo w podziemiach rośnie w siłę.

Puścił Zuzannę, narzucił jej na ramiona szal, jakby ten mógł ją ogrzać zamiast niego.

– Nasze możliwości i plan ataku omówimy przy śniadaniu – zwrócił się do Grumana. – Musimy porozmawiać o tym, z czym właściwie będziemy walczyć, czego możemy oczekiwać.

O ile to wiemy, przyszło mu do głowy, ale zachował to dla siebie. Nie było sensu siać dodatkowych wątpliwości.

Rozdział 40

Przekroczyć własny cień



Rzecz była już większa niż wieloryb. Ważyła więcej niż dwa. Wypełniała system kanalizacyjny miasta w swych najróżniejszych formach, od tej najprostszej – niezorganizowanej, śluzowatej materii, po tę najbardziej złożoną – wysoce zorganizowane jądro, tworzące samo sedno jej świadomego ja. Już nie musiała utrzymywać fizycznego kontaktu ze wszystkimi swoimi częściami, już się nie bała wytwarzania słabszych, samodzielnych intelektów. Nawet bez koncentrowania się na nich mogła nieprzerwanie ich pilnować i sterować dalszym rozwojem. A przy tym nieustannie kopiowała wzory. Te, z którymi zaznajomiła się już dawno, i te najnowsze, które do stale rosnącego zbioru dodała dopiero co. I właśnie w tym tkwił jej główny problem.

Musiała kopiować nieustannie, w niekończących się cyklach, wciąż od nowa. A do tego konieczny był nieprzerwany przyływ nowych wzorów. Nie musiał to być zalew, ale bez nowych informacji, bez nowych obrazów do kopiowania zaczynała tracić samą siebie. Z początku jedynie nieznacznie, ginęły nieistotne detale, ale proces stopniowo przyspieszał i potencjalnie mogłaby utracić tę najwyższą, najlepiej rozwiniętą część swego ja. Nie wiedziała, czy było to zamierzenie jej twórców, czy coś im zwyczajnie nie wyszło.



Właściwie to mógł być nawet jej własny błąd, który uczyniła jeszcze w swej poprzedniej inkarnacji, zanim stała się tą RZECZĄ, kiedy jeszcze była wielkim mistrzem klanu Maleriat. Chciała użyć ciał i dusz swych podwładnych, aby stworzyć z nich doskonałą broń przeciw czarodziejom. Narzędzie zniszczenia zyskujące moc w trakcie pochłaniania normalnych ludzi i tych obdarzonych talentem do manipulowania mocą. Ci biedacy próbowali swego wielkiego mistrza powstrzymać, stopili go w magicznej kuźni i stworzyli ją. Rzecz poczuła powrót fali wściekłości, która nią owładnęła przed czterystu laty, kiedy umarła jako Glen Hagnari.

Teraz jednak patrzyła na to inaczej. Było to najlepsze, co mogło ją spotkać, od zawładnięcia światem dzieliło ją tak niewiele.

Była pewna, że kiedy wydobędzie więcej wspomnień Hagnariego, dowie się, co musi zmienić, aby nie potrzebowała do egzystencji stałego przyływu nowych informacji, nowych wzorów. Wtedy będzie mogła władać magią tak jak wcześniej Glen Hagnari, jak to potrafili czarodzieje.

Porzuciła myśli o przeszłości i skoncentrowała się na teraźniejszości. Każdą częścią swego wielotonowego ciała wchłaniała moc i używała jej do własnego rozwoju, myślenia, transformacji. Już potrafiła zawładnąć ludzkim umysłem. Wciąż w specyficznych okolicznościach, ale pozostawało jedynie kwestią czasu, kiedy rozwinię tę zdolność na tyle, aby móc omamić każdego. Z tego, co wiedziała, jej poprzednie ja, to sprzed czterystu lat, tę zdolność zyskało o wiele później. To oznaczało, że jej poprzednie ja było słabsze, późniejsze. I właśnie dlatego zostało uwięzione w mieście, gdzie nie pozostał nikt żywy, zaczęło głodować, tracić siebie, znikać, aż wreszcie zanikło zupełnie. A raczej prawie zupełnie, inaczej przecież z magicznej esencji, przez stulecia schowanej w pancernej skrzyni, nie zrodziłaby się ona sama.

Rzecz z zadowoleniem obserwowała, jak jej pamięć poprawia się i rozwija. Przypominały jej się rzeczy, których sama nie była świadkiem, a widział je jej poprzednik, prekursor. To jej pomoże przeżyć i się zemścić.

Zawładnie swoją żądzą nowych wzorów, zmniejszy liczbę wchłanianych nosicieli informacji na tyle, aby nie zacząć się tracić. Tego jej poprzednik nie zdołał uczynić, połykał wzory tysiącami. Ona jednak potrzebowała czasu, aby znaleźć sposób, jak się wydostać z więzienia, które przygotowali jej twórcy w obawie przed tym, co sami stworzyli.

Wszystko było teraz łatwiejsze niż dla jej poprzednika. Przez czterysta lat świat zmienił się nie do poznania. Tego już zdążyła się dowiedzieć z pochwyconych wzorów. Był prostszy, zamieszkiwało go mniej ludzi, a ich wiedza i zdolności nie umywały się do tych posiadanych przez przodków. To, że przebudzili Rzecz właśnie

w specjalnie dla niej przygotowanym więzieniu, było raczej zbiegiem okoliczności niż świadomym działaniem. A Rzecz wiedziała już, jak się wydostać na zewnątrz, jak zyskać dla siebie cały świat napełniony niezliczoną ilością wzorów. Wystarczyło jedynie ulepszyć zdolności władania umysłami i nakazać niewolnikom, aby wykonali jedno zadanie – zniszczyli mury jej więzienia. Oczywiście, jak już się dowie, gdzie te mury się znajdują. A o ile zaspokoi się dziesiątką, maksymalnie setką nowych wzorów dziennie, będzie miała na to wystarczająco dużo czasu. Dopiero potem zaatakuje wszystkich pozostałych. Najpierw czarodziejów, potem normalnych ludzi.

Rzecz wyobraziła sobie przyszłość, setka ludzi w mieście poruszyła się we śnie, po chwili wstała i zrobiła kilka kroków w ciemności swych sypialni. Za moment jak jeden mąż obudzili się, zdezorientowani, i wrócili do łóżek. Nie więcej niż dziesięć dziennie. Może dwadzieścia. Albo lepiej trzydzieści, postanowiła Rzecz. Musiała oszczędzać, aby ćwierć miliona obywateli, których miała do dyspozycji, wystarczyło i na wypadek, gdyby jej plany wymagały więcej czasu, niż zakładała.

Rozdział 41

Walka w ciemności



Gruber był na nogach od świtania i jego przebranie tragarza przestawało już wyglądać jak przebranie. Był brudny, zakurzony, włosy miał zlepione potem, lewą skroń otartą po potyczce z ludźmi pilnującymi magazynu, którzy okazali się odporni na słowną argumentację. Wynikiem dziesięciu godzin ciężkiej pracy był załadunek pięciu wozów, które teraz rozjeżdżały się, każdy w inny punkt miasta. Miejsca wybrał Klinsman po naradzie z Valerem.

– Ruszcie się, chłopaki, z tym swoim towarem – odezwało się z przodu.

Gruber stłumił przekleństwo i pospieszył wzdłuż wozu. Na koźle siedział Bovnet, a ten mistrzem dyplomacji stanowczo nie był. Przy okazji skontrolował załadowane na wóz stulitrowe kamionkowe słoje. Nic nigdzie nie ciekło. Całe szczęście.

– Co się dzieje? – spytał w chwili, kiedy Bovnet zeskakiwał z kozła.

– Te parchy chcą przejechać ulicą przed nami, a sądząc po tym, co wiozą, i tym tam, rozebrany dachu, zablokują ją całą.

Gruberowi wystarczyło jedno spojrzenie, żeby stwierdzić, iż Bovnet ma rację. Dwa wozy załadowane były krokwiemi i innymi materiałami do naprawy dachu. Woźnica jednego z nich wyraźnie nie znał się na swej robocie, z pomocą trzech innych ludzi próbował nieudolnie cofnąć wóz ze skrzyżowania w boczną ulicę. Gdyby nie

bloko wał im drogi zwalisty, groźnie wyglądający szef grupy cieśli, być może zdołaliby się obok wozu z drewnem przecisnąć.

– To co, chłopaki? Dajcie nam przejechać. Miniemy was w try miga, nic to was nie opóźni – próbował załatwić sprawę Gruber.

Z całej siły chciał się opanować, czasu im ubywało. W duchu przeglądał szybko mapę miasta. Najkrótsza droga wiodła uliczkami zbyt wąskimi, aby zaryzykować przeciskanie się z wielkim wozem. Co więcej, bruk był na nich gorszy, a on za wszelką cenę nie zamierzał pozwolić, żeby ich ładunkiem za bardzo trzęsło.

Zwalisty cieśla paskudnie się uśmiechnął.

– Byliśmy tu pierwsi, będziecie musieli poczekać – odpowiedział spokojnie. – Dość długo, aż wszystko rozładujemy.

Za plecami cieśli zaczęli się zbierać jego ludzie. Gruber naliczył pięciu i wszyscy wyglądali na takich, których dyskusja sześciu na dwóch mocno rozweseli.

– Postawię wam piwo – Gruber postanowił dać im jeszcze jedną szansę.

– Przecież mówię wyraźnie, poczekacie, aż się rozładujemy, albo jedźcie sobie inną drogą. – Zwalisty cieśla zbliżył się do Grubera, nieomal dotykając go wydatnym brzuszyskiem.

Gruber popatrzył na Bovneta i wzruszył ramionami. Czasami po dobroci zwyczajnie się nie da. Obrócił się znów do cieśli i uśmiechnął po przyjacielsku.

– Na rzadko się zesraj – poradził mu.

W odpowiedzi tamten zamachnął się energicznie, dokładnie tak, jak Gruber oczekiwał. Schylił się, kopnął grubasa z boku w goleń, stojącego za nim sięgnął krótkim hakiem pod żebro. Tamten bez tchu zwalił się na ziemię, gdzie dołączył do kolejnych dwóch, którymi zdążył już się zająć Bovnet. Bez ostrzy, bez krwi, a przynajmniej bez zbyt wielkiej ilości krwi, w tym można było na Bovnecie polegać.

Gruber obrócił się z powrotem do szefa cieśli. Tamten, parskając niczym zraniony byk, próbował wstać. Gruber kopnięciem podciął mu nogi i gruby mężczyzna z głośnym pacnięciem zwalił się znowu na ziemię.

Gruber skontrolował okolicę. Przed wzrokiem ludzi po drugiej stronie chroniły ich wozy, kilku przygodnych przechodniów dostrzegło bijatykę, ale tylko przyspieszyli kroku.

– Spróbuj się podnieść jeszcze raz i strącę ci łeb kopniakiem, jasne? – warknął do grubasa.

Tamten ryknął i z wysiłkiem uniósł się na rękę. Gruber swoją groźbę częściowo spełnił, cieśla skończył na ziemi z zakrwawioną twarzą i roztrzaskanym nosem. Trzymał głowę w dłoniach i o dalszej bijatyce nie myślał.

– My przejedziemy bokiem, a wy będziecie pilnować własnych nosów albo skończycie jak wasz szef – oznajmił Gruber dwójce, która nie przyłączyła się do bijatyki.

Było widać, że się do niej nie rwali. Milczeli niepewnie.

– Chcę usłyszeć odpowiedź, migiem.

– Tak, panie. Przejedzicie bokiem, a my będziemy pilnować własnych nosów – potwierdzili.

– Doskonale postanowienie. Jedziemy – zwrócił się do Bovneta.

Rzucił jeszcze okiem na grubasa, ale ten stękał tylko i pojękiwał. Bovnet wskoczył na kozioł, potrząsnął lejczami i wielkie koła ruszyły po bruku.

Na miejsce dotarli w ostatniej chwili. Cuvinan czekał już na nich ze swoją grupą, z wozem pełnym glinianych słoików i tablicą miejską oznajmającą rozpoczęcie ważnych prac. Bovnet ustawił wóz tak, aby jak najmniej ludzi mogło dostrzec, co będą robić. Teraz musieli jak najszybciej dostarczyć ładunek we właściwe miejsce.



Zuzanna szła z Valerem, Kyryzim i Grumanem. Do męskiego przebrania może i nawykła już od dawna, ale nie do kolczugi pod odzieniem. Wydawała się sobie niezgrabna i napuchnięta, ale Valer nie zamierzał w tym temacie negocjować, a że zdawała sobie sprawę z tego, iż miał rację, nie sprzeczała się. Starał się ją chronić za każdą cenę, nie mogła go przecież o to winić.

Szli różnym tempem, ale nie za szybko, aby nie ściągać na siebie uwagi. Wszystkie cztery grupy miały się spotkać w dokładnie tym samym momencie. Nie wiedzieli, na ile monstrum w podziemiach może ich śledzić, co o nich wie, a czego się domyśla. Valer i Kyryzi nieśli w płóciennych torbach po trzy pochodnie każdy, ale Zuzanna miała nadzieję, że nie będą ich potrzebować. W kieszeni namacała krzemień osadzony w żelaznym diademie. Jasne światło aktywnego kryształu powinno im zapewnić choć minimalną przewagę.

Było jej gorąco, swędziała skóra pod zaplecionymi w warkocz włosami, ukrytymi pod kapeluszem. Musiała walczyć z chęcią, aby ściągnąć kapelusz i się podrapać. Zamiast tego szła dalej równym krokiem, jak pozostali.

Pod ich nogami zaczął zgrzytać na kamieniach piach, po chwili bruk przeszedł w kocie łby, a u wylotu ulicy dostrzegli morze i linię horyzontu. Do nabrzeża pozostało im jedynie kilka minut. Zuzanna uświadomiła sobie, że wątpliwości, jakie czuła od dłuższego czasu, zniknęły. I swędzenie głowy. Podjęła właściwą decyzję. Gdyby powiedziała Valerowi, że oczekuje jego dziecka, wszystko byłoby o wiele trudniejsze. A ona tę rzecz musi powstrzymać za wszelką cenę. Lepiej niż ktokolwiek inny zdawała sobie sprawę z tego, co będzie oznaczała ich porażka. Wiedzieli o magii tak niewiele, a mimo to poszukiwali artefaktów i wprawiali w ruch rzeczy, o których naturze nie wiedzieli nic. Byli niczym dzieci bawiące się ogniem. I jeśli coś pójdzie nie tak, stawką może być zniszczenie świata. Właściwie to już coś poszło nie tak i od zniszczenia świata dzieliło ich naprawdę niewiele. Tyle że nikt nie zdawał sobie z tego sprawy. Nikt oprócz niej.

– Humpry jest na miejscu, Kurzera widzę, jak się zbliża – wyrwał ją z zamyślenia Valer.

– Basky też już jest – wskazał Kyryzi.

Zgrali się wyśmienicie. Ich cztery małe grupki zeszły się przed wylotem jednego z trzech centralnych kanałów nieomal równocześnie. Nadeszła pora na drugą część planu.



– No to jedziemy! – zawołał Gruber.

Bovnet otworzył właz do kanalizacji i Cuvinan ze swoimi ludźmi najszybciej jak tylko potrafili zaczęli wrzucać do środka kamionkowe słoje, jeden za drugim. Nie zawracali sobie głowy ich otwieraniem, postarało się o to twarde lądowanie na dnie. Jako ostatni Gruber z Bovnetem rzucili w dół słoje, który owinięto ochronną warstwą płótna. Z tym obchodzili się o wiele ostrożniej. Jego zawartość miała zapłonąć w kontakcie z powietrzem. Gdyby się tak nie stało, mieli przygotowane pochodnie, na razie jeszcze nie zapalone. Nikt nie chciał ryzykować zabaw z ogniem w pobliżu tego, co mieli na wozach.

Przez chwilę nic się nie działo.

– Ja bym radził nie zaglądać – pokręcił głową Gruber na mgnienie oka przed tym, jak z otworu wystrzelił kilkumetrowy słup ognia. Towarzyszyła mu ogłuszająca eksplozja.

Mieszanka żywicy, nafty, siarki i saletry zrobiła swoje.

– Spadamy. – Gruber pchnął lekko Bovneta.

Wybuch w oczywisty sposób przyciągnął uwagę lokalnej ludności. Zostawili wozy tam, gdzie stały, i jak najszybciej ruszyli do najbliższego skrzyżowania. Tam pozbyli się swoich roboczych łańców i ruszyli dalej, do kolejnego zadania. Cuvinan z ludźmi potruczali nad morze, aby dołączyć do głównej grupy uderzeniowej, Gruber z Bovnetem odbili w drugą stronę.

W ciągu ostatnich dwóch dni na bazie planów systemu kanalizacyjnego Klinsmana wybrali dom i wynajęli w nim piwnicę. Piwnica łączyła się z jednym z kanałów odpływowych i w tej chwili wypełniona była po sklepienie najlepszej jakości olejem, jaki zdołali dostać w tak krótkim czasie. Mieli nadzieję, że do dokarmiania podziemnego pożaru się nada. Pytanie brzmiało, na jak długo. I na ile go wspomogą magiczne ogniste kamienie, które zapewniła baronówna. W ich planach było mnóstwo gdybania, ale nic na to nie mogli poradzić.



Weszli do ciemnego tunelu, Gruman pierwszy, zaraz za nim Valer i Zuzanna, która nie dała się przekonać, że byłaby bezpieczniejsza z tyłu. Była czarodziejką, mogła im pomóc, powtarzał sobie Valer, aby przed samym sobą usprawiedliwić ryzyko, na jakie ją wystawiał. Ponadto to był jej plan, nawet jeśli myślał o nim jak o własnym. Już samo światło z jej klejnotu bardzo im pomagało.

– Cały czas prosto, dopiero na trzecim skrzyżowaniu skręcimy w prawo – powtórzył z tyłu Klinsman.

Czarodziej dopiero w ostatniej chwili zdecydował się pójść z nimi. Było widać, że jest śmiertelnie wystraszony, że za żadną cenę nie chce schodzić po raz drugi do podziemi, dlatego jego decyzja całkowicie Valera zaskoczyła. Spytał go o to, po czym natychmiast pożałował, że to zrobił. Klinsman tak jak Zuzanna wierzył, że monstrum w podziemiach stanowi śmiertelne niebezpieczeństwo dla wszystkich ludzi w mieście i że jeśli go nie zniszczą, i tak wszyscy zginą.

Rozległo się dudniące tąpnięcie, zaraz po nim jeszcze jedno. To wybuchy, zorientował się Valer. Do kanałów mieli wejść już po nich, trochę się pospieszyli.

– Wszyscy na ziemię! Twarzą w dół! – krzyknął.

Zanim sam padł tak, jak przykazał innym, spojrzeniem w tył skontrolował, czy Zuzanna go posłuchała. Nad nimi przetoczyła się fala huczącego, gorącego powietrza, niosącego ze sobą grad fragmentów śluzowatej materii, śmierdzącego spalenizną i czymś jeszcze – obcym, drażniącym.



Rzecz wpadła w furję. Eksplozja bardzo nieprzyjemnie ją zaskoczyła, wywołany nią pożar sprawiał znaczący ból. Nie było to

nic krytycznego, w przeszłości, przed czterystu laty, poradziła sobie z gorszymi atakami, przeprowadzonymi ze znacznie większą siłą. Była jednak zaskoczona, nie spodziewała się, że ktokolwiek mógłby się jej przeciwstawić tak szybko i w tak zorganizowany sposób.

Najpierw musiała rozprawić się z ogniem. Nie odczuwała już przed nim tak panicznego strachu jak na początku swej egzystencji.

Rzuciła się na płomienie, aby je ugasić masą swojej prymitywnej, nieorganizowanej materii, która dawała się łatwo zreprodukować. Robiła tak wiele razy wcześniej. Fala prostej, podstawowej materii uniosła się, aby opaść na szalejące płomienie i je zadusić. Już w pierwszej sekundzie Rzecz pożałowała. Ten płomień był o wiele gorętszy niż cokolwiek, z czym się do tej pory zetknęła. Przynajmniej w obecnej inkarnacji, poprawiła się, kiedy powróciły do niej kolejne odległe wspomnienia. Ugaszenie ognia własnym ciałem kosztowałoby ją zbyt wiele strat, musiała znaleźć inne rozwiązanie. Równocześnie zarejestrowała, że do jej podziemi wtargnęła grupka ludzi. Dostrzegała różnobarwne i różnokształtne plamy ich jaźni, kolejnych informacji dostarczały jej przedłużone zmysły. Najchętniej sama by na nich ruszyła, ale musiała się zająć ważniejszymi sprawami. Ogień wciąż nie gasł, przybierał wręcz na sile. Z intruzami rozprawią się jej słudzy.



Gruman dostrzegł ruch w ciemności niewielki kawałek przed nimi. Klejnot baronówny zapewniał o wiele więcej światła niż pochodnie, z czego bardzo się cieszył. O jakieś dziesięć metrów dalej rozpoznał ludzką sylwetkę, oczy odbijały światło niczym kocie. Jeśli tamten widział równie dobrze jak kot, miał w ciemnościach przewagę. Gruman pomyślał, że z pewnością będą ich czekać kolejne takie niespodzianki. Nie zwalniał jednak, nie było sensu tracić czasu na próżne rozmyślanie. Szybkość była jednym z niewielu ich atutów.

– Pamiętajcie, nie tak łatwo ich powalić, nie umierają, nawet kiedy jesteście przekonani, że powinni. Musicie im zadać poważne rany, żeby zaczęli się zmieniać w ten zasrany śluz – przypomniał im raz jeszcze. – Na szczęście są słabsi w obronie.

Zbliżyli się, dostrzegali coraz więcej detali. Przeciwnik nieprzyjemnie przypominał Grumanowi jego samego, ale jedynie w grubszych zarysach, jakby był to szkic artysty, który dopiero szykuje się do pracy.

Gruman przestał się zastanawiać nad tym, z czym właściwie wojuje. Przeciwnik był uzbrojony w długi miecz, mniej wygodny w tunelu. Gruman swoją znacznie krótszą klingą zablokował wypad, odbił długie ostrze pod ścianę i zyskał przestrzeń do ataku sztyletem. Wbił go w podbrzusze i z całej siły pruł nim ciało ku górze, dopóki ostrze nie zatrzymało się na kości mostka. W pierwszej chwili z rany wylały się wnętrzności, jednak szybko zamieniły się one w szarozielony śluz. Gruman nie kusił losu i mieczem ciął jeszcze w gardło. W rezultacie cała postać natychmiast się rozpląnęła.

Zabójca parł do przodu, dostrzegłszy w zasięgu kolejnego przeciwnika. Szybkość. Planując całą akcję, opierali się na szybkości. W pełni się z tym zgadzał.

W ostatniej chwili obrócił głowę w bok, dzięki czemu fontanna krwi szybko zmieniającej się w śluz zboczyła mu skroń i bok twarzy, zamiast oślepić. Pozbawiony głowy przeciwnik padł do tyłu i rozpląnął się. Czwartym, doliczył się Gruman, starając się oddychać tak, aby jak najszybciej odzyskać siły. Przed sobą, na granicy rzucanego przez kryształ światła, dostrzegał kolejne sylwetki.

– Cofnij się, oszczędzaj siły! – usłyszał za sobą krzyk Valera.

Kapitan miał rację. Po czterech pojedynkach Gruman był zdyszany i wyczerpany, gnał do przodu jedynie na fali adrenaliny, podczas gdy jego przeciwnicy byli zawsze wypoczęci. Przesunął się pod ścianę, aby zrobić miejsce Valerowi. Dał się jeszcze minąć Kyryziem, Zuzannie i dwóm dalszym ludziom, zanim znów wmieszał się między idących. Uświadomił sobie, że powietrze jest

gorące i ciężko się oddycha. Wyglądało na to, że ogień wciąż płonie w podziemiach.

– Zbliżamy się do skrzyżowania, duża przestrzeń! – krzyknął Klinsman.

– Ustaw się na samym końcu – poradził Grumanowi jeden z żołnierzy.

Wyglądał, jakby obawiał się, że nie dostanie szansy dopchać się do czoła i wziąć udziału w walce.

– Spokojnie – odpowiedział mu Gruman między oddechami. – A co, jak nas otoczą i napadną od tyłu?

– Rozumiem. – Tamten skinął głową, obrócił się do ludzi za plecami i coś powiedział. Gruman nie usłyszał co. Z przodu znów zadźwięczała stal.



Valer stał naprzeciw mężczyzny z krótkim mieczem i sztyletem. Gdyby nie wiedział, że Gruman właśnie się cofnął, byłby przekonany, że to właśnie on. Jednak nie był tak dobry jak milczący zabójca, padł na ziemię po dwóch głębokich cięciach przez brzuch.

Tuż za nim czekał kolejny przeciwnik. Valer odbił ostrze w bok, pchnięciem ramieniem pozbawił tamtego równowagi i mocnym kopnięciem w kolano posłał na ziemię. Nie zatrzymując się ani na chwilę, pchnął mieczem w szyję, przebijając tchawicę i aortę. Tryskająca krew prawie natychmiast zamieniła się w śluz. Kolejny przeciwnik czekał o kilka kroków dalej.

Szybkość.

– Do tyłu! Do tyłu! Cofaj się! – do świadomości Valera przedarły się krzyki kilku osób. Uświadomił sobie, że od stóp do głów pokryty jest śmierdzącą materią i właśnie pokonał kolejnego przeciwnika. Kapitan odstąpił w bok, pod ścianę, na czoło wysunął się Kyryzi.

– Tutaj tunel się zwęża. Metr, najwyżej półtora – krzyczał z tyłu Klinsman.

Valer z trudem łapał oddech, musiał opierać się ręką o ścianę, aby po wyczerpującym boju móc utrzymać to samo tempo marszu, co pozostali. Ilu ich dostał? Czterech? Pięciu? Nie był pewien. Od tyłu widział, jak Zuzanna próbuje jak najlepiej oświetlić przestrzeń przed nimi. I zupełnie przy tym nie dba o własne bezpieczeństwo. Zbyt był jednak wyczerpany, aby jej cokolwiek powiedzieć. Poza tym jemu samemu jej światło też pomogło w walce. Przestał nad tym rozmyślać, chciał teraz jak najszybciej odzyskać siły. Miał wrażenie, że ich prze ciwnik jeszcze nie wyłożył na stół wszystkich swoich kart.



Rzecz ugasiła wreszcie pożary, a przynajmniej dwa z trzech. Udało jej się tego dokonać dużo łatwiejszym sposobem, który przyszedł do niej w kolejnych wspomnieniach. Zamiast zadusić ogień własnym ciałem, zdołała odciąć dostęp powietrza. Z trzecim jej się nie powiodło, ponieważ ogień miał dostęp świeżego powietrza z miejsca, do którego nie mogła się dostać, a dodatkowo jej nieprzyjaciele wciąż dodawali mu paliwa. Sytuacja nie była już jednak krytyczna i ogień jej nie zagrażał, był co najwyżej nieprzyjemny. Dzięki temu mogła skoncentrować się na innych niebezpieczeństwach.

Grupa atakujących, która z zaskakującą szybkością zdawała się kierować ku głównej siedzibie Rzeczy, stanowiła w tej chwili zagrożenie numer jeden. Likwidowali jej wojowników z szybkością i łatwością, które wydawały się zwyczajnie niemożliwe, czym zadawali jej odczuwalne straty. Sądząc po zapachu, jaki wokół siebie rozsiewali, część z nich była odpowiedzialna za atak ogniem. Nie mogła pozostawić obrony jedynie swoim na wpół świadomym, niewolniczym częściom. Musiała się sama zbliżyć, musiała sama przyjrzeć się temu, jak przeciwnicy to robili, nawet jeśli wystawiała się na ryzyko. Ryzykowała jednak już wcześniej i wiedziała, że jeśli chce przeżyć, czasem zwyczajnie nie da się tego uniknąć.

Zaczęła się przygotowywać do akcji. Nie mogła się jedynie bronić, musiała zaatakować. To było kolejne doświadczenie, jakie zyskała przed stuleciami. Skontrolowała swój stan. W wyniku ataków ogniem i stalą straciła kilkaset kilogramów masy. Nie stanowiło to jeszcze odczuwalnego ubytku, ale nie mogła sobie pozwolić na to, aby spaść poniżej pewnego poziomu. Równocześnie uświadamiała sobie, że dalszych strat uniknąć nie zdoła. Jej przeciwnicy byli zbyt sprawni, aby sobie z nimi poradziła, jedynie stawiając opór. Rzecz wiedziała, jak ten problem rozwiązać. Będzie musiała zrezygnować ze swego postanowienia, aby ograniczyć równoczesne pochłanianie wzorów i materii. Sytuacja tego wymagała.

Dziesiątki, setki osób przestały śnić, odpoczywać i równocześnie wyruszyły, aby jak najkrótszą drogą dostać się do podziemi. Niektórych z nich Rzecz wysłała przeciwnikom na tyły. Nie oczekiwała po tym żadnych cudów, ale nie zaszkodzi, jeśli zdoła rozproszyć ich uwagę.



Valer rozplątał brzuch, zasłonił się przed ciosem, który już nie nadszedł, i krótkim pchnięciem wbił ostrze pod brodę, aż zatrzymało się na kości czaszki. W następnej sekundzie ciało przeciwnika rozpląnęło się na boki szarozielonym śluzem. Za nim czekał następny. Ten był szybszy. Pierwsza finta Valerowi nie wyszła, musiał ustąpić, klingi zadźwięczały o siebie w szybkiej wymianie. Obaj równocześnie znaleźli się w obrocie, ale Valer był o włos szybszy, pchnął przeciwnika w lędźwie. Bardziej z nawyku, niż gdyby rzeczywiście oczekiwał kontrataku, przygotował zasłonę. W samą porę, morderczy cios ledwie zdołał zbić. Nie całkowicie, ale rana, którą ucierpiał, była lekka, najwyżej draśnięcie.

Pchnięciem dokończył dzieła i zamienił przeciwnika w śluz.

– Wycofuję się! – krzyknął w tył i przepuścił przed siebie następnego w kolejce.

Był to Herbert, którego poznał po kłębiących się blond włosach wychodzących spod skórzanego hełmu, na pierwszy rzut oka wyglądającego jak zwyczajna czapka. Potem poczekał, aż miną go kolejni, i przyłączył się do reszty, dopiero kiedy zobaczył Kyryziego.

– Prawie mnie dostał. Twoją fintą. Gdybym jej nie znał, byłoby już po mnie.

Mógł to być przypadek, ale Valer w przypadki nie wierzył.

– Są za nami! Jacyś ludzie! – krzyknął żołnierz pilnujący tyłów.

– Pamiętajcie, to potrafi kontrolować ludzi! – zareagował natychmiast Gruman. – O mało mnie nie zabili, nie dajcie się zaskoczyć!

Odgłosy walki, które dobiegły z tyłu, świadczyły o tym, że miał rację.

– Humpry! Niech ktoś z twoich zapali pochodnię! Basky! Ty i twoi ludzie osłaniajcie nas!

W chaosie białego światła, mroku i dymu z rozpalanych pochodni Valer przyglądał się, jak spełniane są jego rozkazy. Zamęt walki nasilał się, ale jego ludzie byli dobrzy. Jeszcze lepsi, niż oczekiwał, zdołali odeprzeć atak z tyłu i zewrzeć własne szyki.

Znów skierował uwagę do przodu, akurat w chwili, w której młody Kiran umarł z ostrzem wbitym w bok, pod uniesionym ramieniem. Dostała go ulubiona sekwencja Valera, odbicie miecza mieczem i natychmiastowy kontratak sztyletem. To już nie mógł być przypadek. Najpierw on sam o mały włos nie poległ od najlepszej techniki Kyryziego, a teraz Kiran zginął od jego własnej ulubionej kombinacji.

– Uczą się! Te łachudry się od nas uczą! Uważajcie na nich! – krzyknął. – Jakbyśmy walczyli sami przeciw sobie!

Najchętniej sam by im stawił czoła, ale nie była to jego kolej.

Dźwięczenie stali nie ustawało, ale najgorsze były głosy ludzi umierających z tyłu. Ginęli przerażająco łatwo, Valer doskonale rozumiał, że ta śmierć miała ich jedynie rozproszyć, wyprowadzić z równowagi. Musiał maksymalnie stwardnieć, przestać myśleć o tym, że na jego rozkaz umierały dziesiątki bezbronnych cywili. Przeciw czemu tak właściwie walczyli? Jaka siła była zdolna gnać na

pewną śmierć dziesiątki ludzi? Kiedy spróbuje użyć swej przerażającej mocy przeciw nim bezpośrednio? Czemu jeszcze tego nie uczyniła? Nie znał odpowiedzi na żadne z tych pytań i co więcej, nawet gdyby je znał, w tej chwili nic by mu z nich nie przyszło.

Chaos światła i mroku, smród ścieku przemieszany z odorem śmierci, jęki, krzyki, przerywane oddechy. Znow nadeszła kolej Valera. Już od pierwszej chwili, widząc, jak jego przeciwnik się porusza, wiedział, że stoi naprzeciw czegoś o wiele bardziej niebezpiecznego niż do tej pory. Wbrew swemu nawykowi, aby jak najszybciej skrócić dystans i wykorzystać przewagę fizyczną, trzymał się na odległość, jego ataki były zaczepne, prowokujące, nie szły na ciało, najwyżej na przedramię przeciwnika. Dzięki temu miał czas złożyć się do zasłony przed potężnym cięciem. Pozwolił, aby zsunęło się po jego klindze, i sam błyskawicznie, bez chwili zwłoki, kontratakował, wbijając przeciwnikowi sztylet w skroń. Nie zatrzymując się, mieczem ciął przez gardło, starając się spowodować jak największe uszkodzenie ciała. Nie wiedział, od kogo jego przeciwnik nauczył się tego ciosu, może od Grumana, ale nie miał czasu się nad tym zastanawiać, przeciw niemu szedł już kolejny. Valer jak przez mgłę uświadomił sobie, że powoli wpada w podobny trans, w jakim się znalazł, walcząc ramię w ramię z Bakłym w pałacu markiza Parleura.

Wreszcie musieli go odciągnąć, bo nie zamierzał się wycofać. Przez długie chwile łapał z trudem oddech, starając się powrócić znad granicy śmierci, tak go intensywna walka wyczerpała. Ilu ich dostał? Nie miał pojęcia, ale żołnierz, który go podtrzymywał, patrzył na niego, jakby zobaczył zjawę.

– Byliście niczym demon, kapitanie – dobiegło Valera.

Skinął tylko głową.

Demon czy nie, czasu im ubywało. Musieli coś wymyślić, inaczej dużo dalej nie zajdą.



Rzecz uświadomiła sobie, że z tak niebezpieczną grupą przeciwników jeszcze nigdy się nie zetknęła. Zabijali jej podrzędne byty z niezwykłą łatwością i gdyby sama nie włączyła się w walkę, szybko dostaliby się do jej głównej istoty. Na szczęście teraz mogła już analizować wzory poprzez obserwację, nawet jeśli te pozyskane fizycznym wchłanianiem były dokładniejsze, bardziej szczegółowe oraz, co najważniejsze, sprawiały jej rozkosz.

Pomiędzy sobą a grupą atakujących utrzymywała pięciu wojowników, równocześnie najrozmaitszymi rodzajami oczu, jakie tylko potrafiła wytworzyć, obserwowała walkę i uczyła się. Najwięcej informacji dostarczały jej oczne bulwy wielkości mandarynek poruszające się po ścianach i sklepieniu tunelu na ślimakowatych ciałach.

Za każdym razem, kiedy zdołała zaobserwować nowy wzór ciosu, finty, kombinacji, przekazywała go z powrotem do swej centralnej świadomości, analizowała go, kopiowała i kiedy w pełni go zrozumiała, przesyłała dalej do swoich żołnierzy.

Nieprzyjaciele zniszczyli już ponad stu jej wojowników, pozbawiając ją kolejnych ton masy ciała. Jednak ich postęp stawał się wolniejszy i pierwsi z nich zaczęli również umierać. Dodatkowo od tyłu napadli ich ludzie przywołani jej zewem. Zwycięstwo było jedynie kwestią czasu. Rzecz uspokoiła się i skoncentrowała na obserwacji, aby się nauczyć jak najwięcej, zanim dojdzie do fizycznego pochłonięcia. Wzory kopiowane z żyjących nosicieli wydawały jej się nieco inne niż te z pochłoniętych.

Na czoło grupy dostał się teraz wojownik, którego nazywali Kyryzim. Rzecz na krótką chwilę połączyła się cienkim włókniem z pierwszym wojownikiem ze swojego zastępu i zasilila go zestawem nowych wzorów, które pozyskała z poprzedniego pojedynku.

Jednak Kyryzi nagle zmienił taktykę, rzucił się szybko do przodu, w trakcie wypadu jedynie się zasłaniał, nie atakował. Zanim zapłacił za swoją spolegliwość życiem, uskoczył w bok, odbił się od ściany i w mgnieniu oka znalazł się za plecami pierwszego przeciwnika, atakując drugiego tuż za nim. W tego pierwszego z kolei uderzył

następny z napastników. Tego jej wojownik nie oczekiwał, ona sama zresztą też nie.

W kilka chwil obaj jej wojownicy zamienili się w gęsty śluz. Napastnicy swój trik natychmiast powtórzyli raz jeszcze i Rzec uświadomiła sobie, że od spotkania z morderczą stalą dzieli ją tylko ostatni z obrońców. A ona sama do walki przygotowana nie była. Znajdowała się w formie maksymalnie dostosowanej do obserwacji, wchłaniania i przetwarzania informacji, w której była niemalże bezbronna. Jak najszybciej przetransformowała część siebie w kolejnego wojownika, równocześnie ściągając jak najwięcej z okolicznej niezorganizowanej materii. Wchłaniała ją w siebie, przetwarzała i szykowała się w ten sposób na nadchodzący atak. Zdawała sobie jednak sprawę z tego, że jeśli z równym powodzeniem zaatakują raz jeszcze, dostaną się wprost do niej. I poczuła strach.



– Dostrzegłam to, jest tuż przed nami! – usłyszał Valer za swoimi plecami Zuzannę. – To, z czym walczymy, co wysyła przeciw nam swoich wojowników!

Powinniśmy spróbować się przebić? – przebiegło Valerowi przez myśl. Słyszał swój własny przerywany oddech, w ustach czuł śluz z pokonanego właśnie przeciwnika, jedną ręką otarł oczy. To by oznaczało, że Humpry musiałby sam, bez wsparcia partnera, dostać się za plecy jeszcze jednego wroga. Ryzyko było zbyt wielkie. Już nabierał powietrza, aby wydać rozkaz i samemu włączyć się znów w bój, kiedy z tyłu dobiegł głos Klinsmana. Plany podziemi miał nakreślone na długim paśmie papieru, zwiniętym w dwie rolki nasadzone na drewniane kołki. Przewijał je, w miarę jak się posuwali korytarzem, i dzięki temu przez cały czas był doskonale zorientowany, gdzie się znajdują.

– Kawałek przed nami jest wielkie skrzyżowanie, mogą tam na nas napaść z obu stron!

Jedno takie skrzyżowanie już przeszli i kosztowało ich to życie dwóch ludzi. Gdyby nieprzyjaciel napadł na nich, kiedy byliby rozproszeni, mógłby się z łatwością dostać między nich i byłby to koniec.

– Zewrzeć szyk, na dwa kroki od siebie!

Humpry i Gruman wykończyli swoich ostatnich przeciwników i zatrzymali się, pozwalając, aby pozostali ich dogonili. Odgłosy walki ucichły i przez jakiś czas od ścian tunelu odbijały się echem jedynie ich ciężkie oddechy i mlaszczące odgłosy kroków niewidocznych stworów ukrytych poza granicą mroku. Nieprzyjemnie blisko. Okrąg światła rzucany przez klejnot Zuzanny kołysał się nieznacznie.

Ich ostrożność przyciągnęła, niczym magnes, monstrualny obiekt przed nimi. Valer i ze swojej pozycji za plecami pierwszego rzędu ludzi dostrzegł groteskową sylwetę otoczoną girlandami oczu, czulek i paszczek najrozmaitszych rodzajów i rozmiarów. To musiał być on, ich nieprzyjaciel. Mogli to zniszczyć, mieli to w zasięgu. W blasku klejnotu dostrzegł też kolejne wyloty tuneli o parę kroków przed nimi. Musieli się przebić, musieli dostać się do samego jądra, serca tego plugastwa, inaczej umrą, niczego nie osiągnąwszy. To, że monstrum czekało właśnie tutaj, z pewnością nie było przypadkiem, jednak będą musieli spróbować się przebić i tak, najszybciej, jak się da. Szkoda, że nie mieli tarcz. Wiedział, że zapłacą za to kolejnymi ofiarami, ale nie było rady.



Rzecz wiedziała, że może teraz ostatecznie skończyć z napastnikami. Gdyby kontynuowali swój szaleńczy atak, mogliby jej zagrozić, ale oni się zawahali, zmarnowali swoją szansę.

Odwołała omamionych ludzi, umierali tak łatwo, że było to zwyczajne marnotrawstwo materiału, dodatkowo zdążyła w wielu miejscach naokoło wytworzyć nowych wojowników. Były to proste podobizny ludzi, jednak wystarczająco złożone, aby utrzymać

w ręku miecz i umieć się nim posłużyć. Martwe struktury Rzecz tworzyła niechętnie, ponieważ jej materia raz przemieniona w stal stałą już pozostawała. Tutaj jednak nie było to problemem, setka nie stanowiła dla niej znaczącej straty. Z nowymi wzorami, które podpatrzyła w trakcie walki, tworzenie wojowników szło jej o wiele łatwiej. Wystarczyło kilka minut i wokół niej zgromadziło się ponad pięćdziesiąt uzbrojonych postaci ożywionych magią. Napastnicy, jakby zdawali sobie z tego sprawę, szykowali się do kolejnego ataku. Zbyt późno. Zwykła przewaga liczebna zapewniała jej zwycięstwo. Rzecz pozostała na swoim miejscu, obserwując. Chciała zobaczyć, jak długo jej nieprzyjaciele zdołają się opierać, chciała się od nich nauczyć jak najwięcej. Mogło się zdarzyć, że kiedy ich wreszcie pochłonie, będą już martwi.



Valer wyczuł, jak sytuacja błyskawicznie się zmieniła. Ostry odór potwora i jego sług zagłuszył smród ścieków, kapitan miał wrażenie, że wokół nich porusza się wielu nieprzyjaciół. Byli otoczeni, głęboko w podziemnym labiryncie, zdani wyłącznie na własne siły. A tych ubywało. Rozejrzał się po bladych, zachmurzonych twarzach. Nabral powietrza, aby wydać rozkaz do ataku.

– Stańcie po bokach i dajcie mi chwilę – powiedziała cicho Zuzanna.

Oczy utkwione miała w miejsce, gdzie za lasem nieprzyjaciół wyczuwali ich twórcę i przywódcę. To nie była prośba, to był rozkaz.

Jest czarodziejką, przypomniał sobie Valer.

– Uważajcie na niespodziewane ataki i nie zasłaniajcie jej widoku – syknął na pozostałych, a sam stanął po lewicy Zuzanny z mieczem i sztyletem gotowymi do akcji.

Zuzanna nie zwracała już uwagi ani na niego, ani na nikogo innego, wpatrywała się jedynie gdzieś w przestrzeń. Miał wrażenie, że jej oczy pozbawione są białek.

Ściana ciał naprzeciwko nich nagle ruszyła. Valer instynktownie poczuł, że to samo dzieje się za ich plecami. Stali naprzeciw całym zastępom. Jak to się mogło stać? Jedna z pochodni zgasła, ciemność przybliżyła się o krok. Zuzanna zacisnęła wargi, wyciągnęła przed siebie rękę i znieruchomiła.

Coś się wydarzyło. Coś wielkiego, choć Valer nie wiedział dokładnie co. Na twarzy poczuł jedynie powiew wiatru i to było wszystko. Po chwili jednak podziemiami wstrząsnął huczący, nieludzki wrzask, zaczynający się w rejestrach tak niskich, że aż niesłyszalnych, i kończący na tak wysokich, że wdzierały się w mózg niczym piła. To krzyczał ich nieprzyjaciel. Wraży wojownicy wszędzie w zasięgu wzroku rozpadali się. Najpierw na ich skórze pojawiała się pleśń, po chwili pokrywali się głębokimi pęknięciami, z których wylewała się szarzielona, śluzowata materia, aż pozostawały z nich jedynie kupy czegoś, czego nie dawało się nawet opisać.



Rzecz z niedowierzaniem przyglądała się, jak skomplikowane zaklęcie wbija się we wzory wojowników, w których tchnęła życie, jak je rozbija, niszcząc przy tym i materię. To bolało, potwornie bolało. W jednej chwili dostrzegła jednak wyraźnie strukturę zaklęcia, potrafiła ją skopiować i sama jej użyć! Użyć, zanim jej wewnątrz defekt sprawi, że zacznie zapominać szczegóły magicznego diagramu. Skupiła na tym całą swoją świadomość, całą swą magiczną moc.

Z zadowoleniem dostrzegła, że zaklęcie nieprzyjaciół słabnie, dalej rozmieszczeni wojownicy już się nie rozpadali. Jej własny diagram zaklęcia był tak napompowany mocą, że niemalże przeciekał. Z rosnącym poczuciem triumfu uwolniła je.

Tym razem agonია nieomal ją zabiła, Rzecz na krótki moment straciła świadomość. Zaklęcie zniszczyło wszystkich jej wojowników,

nawet tych nieukończonych, dopiero tworzonych w najgłębszych zakamarkach, do których sięgało jej ciało.

Zrozumiała, co zrobiła źle, gdzie popełniła błąd. Zaklęcie działało na dokładnie wybrane, podobne do siebie cele, w tym wypadku jej wojowników, było to wkomponowane w jego strukturę. A ona bezmyślnie je skopiowała i w efekcie użyła przeciw samej sobie. Chciała to jak najszybciej naprawić, już wiedziała, co musi zmienić. Wyłowiła z pamięci diagram zaklęcia, jednak było za późno. Szczegóły zaczęły się zacierać, Rzecz dosięgło jej przekleństwo. Po raz drugi nie zdoła go użyć. O mały włos, a zniszczyłaby samą siebie.

Jej nieprzyjaciele ruszyli, jeśli chciała przeżyć, musiała uciekać! Wściekłość i strach pomogły jej się opamiętać. Rzuciła się do ucieczki kanałami, równocześnie rekompensując straty.



Valer nie tracił czasu na zastanawianie się nad tym, co się stało. Zuzanna była czarodziejką, użyła swych zdolności, aby im wszystkim pomóc.

– Za nim! Naprzód! – krzyknął do pozostałych.

Dopiero wtedy zauważył, że Zuzanna ledwie trzyma się na nogach.

– Włożyłam w to wszystko, co miałam – wyszeptała. – Potem to się wszystko wzmocniło, nasiliło poza jakiegokolwiek ludzkie zdolności. Ta rzecz chciała nas zaatakować, ale jedynie zaklęcie skopiowała i powtórzyła. Zaatakowała samą siebie.

Valer musiał ją podtrzymać, aby nie padła na ziemię.

– Idziemy! Będziemy pomagać baronównie, ja pierwszy, potem się zamienimy. Kyryzi na czoło!

– Będzie dobrze – powiedziała Zuzanna – zaraz dojdę do siebie.

Starła się trzymać prosto, aby móc jak najlepiej oświetlać swym kryształem drogę. Uszli dobrych pięćset metrów, zanim natrafili na kolejnego przeciwnika. Klinsman, spoglądając na coraz bardziej umorusaną mapę, twierdził, że pokonali ponad połowę drogi.



W wyniku walki Rzecz straciła ćwierć masy swego ciała i zaczynało to mieć wpływ na jej zdolności. Musiała nadrobić straty, musiała powrócić do poprzedniego rozmiaru. Przestała oszczędzać surowiec i zaczęła pochłaniać ludzi całymi dziesiątkami. Nie zwracała sobie głowy czytaniem wzorów, skupiła się zamiast tego na tworzeniu nowych wojowników, inteligentniejszych niż poprzednio, zdolnych się uczyć i rozwijać. Wyposażyła ich we wszystkie bojowe doświadczenia, jakimi dysponowała. Wiedziała, że później będzie musiała zmierzyć się z tymi, którzy przeżyją walkę. Jako samodzielne byty nie będą chcieli zostać wchłonięci, spróbują się jej opierać. Teraz jednak nie znajdą na to czasu, ponieważ będą walczyć o własne życie. I będą tego w pełni świadomi.



Valer przykląkł i przetoczył się w tył, przez plecy. Przed ciosem w brzuch obroniła go klinga Grumana. Zabójca zwyczajnie nad nim przeskoczył i kontynuował pojedynek. Dźwięczenie stali odezwało się i z tyłu. Valer przetoczył się w bok, aby usunąć się z drogi, i dopiero wtedy wstał. Zuzanna zdążyła już dojść do siebie i podtrzymywała teraz Humpry'ego, któremu w marszu opatrzyła poważną ranę brzucha. Ranny ich spowalniał, ale nie mogli go zostawić na pastwę potwora.

Kapitan miał wrażenie, że tkwią w podziemiach już całe wieki, a tymczasem nieprzyjaciół wciąż przybywało. Do tego stawali się lepsi, sprawniejsi. Wiedział, że z jego ludzi pozostała mniej niż połowa, ale stracił rachubę, ilu dokładnie zginęło. Rzucił okiem do tyłu. Spokój. Obrócił się więc do przodu, gotowy rzucić się do pomocy. Im więcej ich ubywało, tym częściej musieli się zmieniać.

Gruman był wyśmienitym szermierzem i to, czego w tej chwili dokonywał, granoczyło z nieprawdopodobieństwem i stanowiło dowód jego najwyższych umiejętności. Walka krótką bronią, wręcz, bez broni i w zwarciu, wszystko bez najdrobniejszej chwili zawahania. Słabości przeciwnika wykorzystywał bezbłędnie i bezwzględnie.

Zabójca przedarł się przez trzech przeciwników. Pierwszego rzucił za siebie na ziemię, gdzie wykończył go Kyryzi, drugiemu poderznął gardło i dla pewności ciął na odlew przez twarz, do trzeciego, niczym w tańcu, zbliżył się półobrotem i rozplątał płynnym ciosem od pachwin w górę. Zastąpił go szybko Kyryzi, który sam dostał czterech, jednak ostatni zdołał go posłać na kolana nieoczekiwanym uderzeniem łokcia w kark. Valer zareagował błyskawicznie, odbił się od ściany i skoczył na nieprzyjaciela, który chciał wykończyć Kyryziego. Wpadając na przeciwnika, wbił mu miecz w miejsce, gdzie ludzie mają lędźwie, i bezlitośnie nim obrócił.

Dalej nie pamiętał już nic. Ocknął się na kolanach z obiema klingami wbitymi w korpus ciała, które właśnie zaczynało rozplątywać się w śliski śluz. Nie był pewien, ilu nieprzyjaciół zabił. Czterech? Pięciu? Więcej? Zlewali mu się w szaloną mozaikę zacieklej walki o przeżycie.

Bój na chwilę zelżał, zyskali nieco przestrzeni. Valer słyszał swój ciężki, nierówny oddech.

Pochylała się nad nim Zuzanna, która wciąż podtrzymywała Humpry'ego. Ten chyba tylko cudem stał jeszcze na nogach. Valer zdusił myśl, że dla ciężko rannego byłoby lepiej, gdyby po prostu umarł. Zuzannie byłoby wiele lżej.

Tylną partię tworzyli już tylko Cuvinan, Herbert i Klinsman ze swoją mapą. To oznaczało, że naprawdę pozostało ich zaledwie kilkoro. Podniósł się, aby pomóc Zuzannie z rannym i aby razem mogli pokonać choć kilka kolejnych metrów.

Jego oczy napotkały wzrok Klinsmana.

– Jeszcze tylko kilkaset metrów i będziemy u celu – czarodziej odpowiedział na niezadane pytanie.

W ich sytuacji kilkaset metrów stanowiło niewyobrażalną odległość. I co zrobią, jeśli zdołają się tam dostać? Valer natychmiast odgonił tę myśl. Teraz nie było sensu się nad tym zastanawiać.

Skądś z przodu dobiegały ich odgłosy ogłuszającego mlaskania. Kapitan nawet nie próbował sobie wyobrazić, co się za tym kryło. Ostrożnie pokonywali metr za metrem i byli wdzięczni za choćby najkrótszą chwilę bez walki. Po krótkiej przerwie z pewnością musiał nadejść kolejny atak.

– Stało się coś? – spytał, kiedy zorientował się, że Zuzanna obserwuje go z niepokojem.

– Myślałam, że oszalałeś, że opętał cię jakiś demon. Walczyłeś...

Ciszę przerwał brzęk stali. Napadli na nich z ciemności bocznego tunelu, jednak zamiast poczekać, wyskoczyli natychmiast na idącego na przedzie Kyryziego. Valer przecisnął się obok Zuzanny za plecy Grumana, nie spuszczając wzroku z sytuacji przed sobą. Za plecami słyszał Cuvinana i Herberta.

Jeden z przeciwników wciąż jeszcze osuwał się z ostrza Kyryziego, kiedy ten już przyskoczył do kolejnego w zwarciu i zaatakował go z bliskiego dystansu, wcześniej odbijając wrogie ostrze i pozwalając mu niegroźnie osunąć się po zbroi. Przeciwnik, o którego się jedynie otarł, padał właśnie na ziemię, z rany w kroku wylewał się śluz. Gruman bez zwłoki dobił rannego. A Kyryzi znów był o jednego przeciwnika dalej. Valer zrozumiał, co Zuzanna miała na myśli, mówiąc o opętaniu. Kyryzi, Gruman i on sam walczyli tym samym sposobem, tak jak wtedy, gdy przebijali się przez pałac markiza Parleura ramię w ramię z Bakłym.

Herbert zachrypiał i się zachwiał. Valer dostrzegł fontannę krwi tryskającą z jego rozerwanego gardła. Nieprzyjaciele zintensyfikowali atak, z tyłu napierała na nich wielka grupa.

– Kyryzi, Gruman, jesteście sami! – krzyknął i rzucił się do pomocy Cuvinanowi.

Nie dostaną ich, pomyślał. Jeszcze nie.

– Musimy znaleźć miejsce, gdzie mogą nas podejść tylko z jednej strony – krzyknął Klinsman. – Musimy przedostać się jeszcze kawałek dalej!

Dać się zagnać w kozi róg oznacza koniec, pomyślał Valer, ale na więcej nie miał czasu, bo Cuvinan, cofając się przed morderczym atakiem, został przyparty do ściany kanału. Valer przyskoczył do niego, rozplątał odsłonięty bok i kopniakiem posłał przeciwnika na klingę stojącego za nim. Nie zatrzymując się, ciął go jeszcze w szyję, niemalże odrąbując tamtemu głowę.

Umrą tu wszyscy. Włącznie z Zuzanną. To było oczywiste, ale jeszcze nie teraz. Jeszcze nie w tej chwili. Z oddali dobiegały okrzyki Klinsmana, który próbował poprowadzić ich dalej tunelami. Potem nie było już nic poza tańcem światła, cieni, morderczych ostrzy broni i umierających nieprzyjaciół.



Rzecz pokonała strach przed kolejnym niespodziewanym atakiem i trzymała się najbliżej, jak się tylko odważyła, aby móc obserwować nowe wzory. Musiała, bo wręcz przerażało ją to, z jaką łatwością napastnicy pokonywali jej najzdolniejszych wojowników. Jakby sami przeszli transcendencję, dostali się na wyższy, doskonalszy poziom. Było to zresztą możliwe, zaczynała odnosić wrażenie, że sama jej skoncentrowana obecność może mieć wpływ na ich wzory. Wyostrzać je, cyzelować.

Obserwowała ich, studiowała, chwytła nowe fragmenty informacji i błyskawicznie je wykorzystywała. Równocześnie jej bardziej oddalone części tworzyły nowych wojowników. Ta taktyka wydawała się sprawdzać w praktyce. Napastnicy wprawdzie zadawali jej olbrzymie straty, ale ubywało ich, podczas gdy swoich padłych obrońców będzie w stanie uzupełnić w ciągu kilku godzin. A kiedy wyczerpie swych przeciwników do reszty, pochłonie ich i zdobędzie wszystko. To było warte poświęceń. Musiała jedynie uważać, aby nie zabić wszystkich.

Przybyła nowa fala wojowników. W samą porę, ponieważ liczba jej aktywnych obrońców zaczynała spadać poniżej poziomu, jaki Rzecz uważała za bezpieczny. Posiłki ją uspokoiły, swymi

przedłużonymi zmysłami skupiła się na czarodziejce. Napastnicy bronili jej za wszelką cenę, jakby wciąż na niej polegali. Rzeczy wydawała się jednak wyczerpana, niezdolna do manipulacji mocą na poziomie mogącym jej zagrozić. Czemu się tak o nią troszczyli? Może nie wiedzieli, że jest pozbawiona mocy, bezużyteczna. Nagle Rzecz poczuła utratę dwóch, czterech, sześciu wojowników. Napastnicy nie poddawali się. Zgadywała, że to ich ostatni zryw, jednak pozostawała ostrożna. Poczekaj, aż będzie miała gotową kolejną partię wojowników.



– Tutaj!

Valer kopnięciem w podbrzusze posłał na ziemię przeciwnika wyglądającego jak wierna kopia Grumana, po czym pchnięciem z góry wbił mu miecz w potylicę. Wystarczyło. Zanim tamten zmienił się w śluz, potężnym kopnięciem posłał go pod nogi następnego. Ten dla odmiany wyglądał jak on sam. Wykorzystał moment, kiedy nieprzyjaciel stracił równowagę, i nieopatrznie opuścił ostrze. Zaatakował swoją ulubioną kombinacją dwóch fint i pchnięcia, która była jedynie zasłoną dla ataku krótszą bronią. Nieprzyjaciel zareagował, jakby doskonale wiedział, czego ma oczekiwać, jednak Valer przeprowadził sekwencję tak szybko i precyzyjnie, że tamten nie miał szans. Skończył z raną pod żebrami i cięciem przez twarz.

– Tutaj! – Czyjaś ręka wciągnęła kapitana w boczny korytarz.

Uświadomił sobie, że w trakcie ostatniego starcia walczył praktycznie po ciemku.

– To ślepy zaułek, dwadzieścia metrów stąd jest zawał, którego od pięćdziesięciu lat nikt nie naprawił. Przynajmniej według mapy – wyjaśnił Klinsman.

Czarodziej, jak do tej pory, prowadził ich podziemiami niemalże bezbłędnie, choć za jedną znaczącą różnicę między planami a rzeczywistością zapłacili krwawą ofiarę. Valer oparł się o ścianę

i osunął do śmierdzącej kałuży. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Pozostali on, Zuzanna, Gruman, Klinsman, Kyryzi i Cuvinan.

Zagnani w ślepią uliczkę, bez możliwości ratunku. Valer nie miał pojęcia, przeciw czemu wyruszyli w bój, nie potrafił sobie wyobrazić, że coś tak potężnego, coś tak potwornego mogło w ogóle istnieć. Posłał swych ludzi na śmierć. Nie było sensu żałować i obarczać się winą. Już nie.

– Jak daleko jesteśmy od centrum, od miejsca, w którym to ma siedzieć? – zdołał z siebie wydusić po chwili. – I czemu nie kontynuuje ataku?

– Jest blisko – padła równoczesna odpowiedź z ust Klinsmana i Zuzanny. – Jest ciekawe – powiedzieli znów równocześnie, aż spojrzeli na siebie z zaskoczeniem.

– I dlatego nas nie zabiło? – Klinsman popatrzył na Zuzannę.

A zatem to nie była odpowiedź na jego pytanie, zrozumiał Valer. Ani Zuzanna, ani Klinsman nie mieli pojęcia, dlaczego nieprzyjaciel nie atakuje. Zuzanna w trakcie rozmowy wpatrywała się w ciemny wylot tunelu, w którym się schronili. Starła się przy tym nie poruszać kryształem, aby nikogo nieopatrzenie nie oślepić. Było to w tej chwili ich jedyne źródło światła. Wszystkie pozostałe stracili po drodze.

– Nie, to nie jest właściwy powód – nie zgodził się Kyryzi.

Valer zauważył, że tamten widzi tylko na jedno oko, drugie tonęło w ciemnym skrzepie krwi, którego Kyryzi nawet nie próbował oczyścić. Valer domyślał się dlaczego.

– Zabiliśmy dziesiątki wojowników, może setki, bo ja sam pokonałem kilkudziesięciu. To chce nas zniszczyć, ale jak do tej pory nie zdołało, więc się boi. Przygotowuje się.

Valer nabrał głęboko powietrza, czując przy tym, jak bardzo boli go klatka piersiowa. Otrzymał masę ciosów, cięć i uderzeń, które bez jego bezcennej zbroi zabiłyby go po wielokroć. A przynajmniej poraniły, zamroczyły, pozbawiły zdolności walki, co też równałoby się śmierci. Kyryzi miał jednak rację. On, jak i każdy z jego ludzi, zabił kilkudziesięciu przeciwników. Każdy oprócz Klinsmana. Z kolei Zuzanna zniszczyła ich tyłu, co oni wszyscy razem wzięci, może

nawet więcej. Czy to jednak robiło jakąkolwiek różnicę? Teraz, kiedy siedzieli w pułapce bez wyjścia, wyczerpani, poranieni, pozbawieni całkowicie sił?

W tej chwili nie zdołałby się nawet podnieść. Beznamiętnie obserwował ściek przelewający mu się nad kostkami, nie czuł nic poza wyczerpaniem.

– Trzysta metrów, ostatnie skrzyżowanie, tylko małe boczne ścieki i byśmy tam byli – powiedział Klinsman, nie spoglądając na swoją mapę.

– To bez znaczenia, nasz nieprzyjaciel jest blisko, o kawałeczek od nas – wyszeptała naraz Zuzanna.

Wszyscy się ku niej obrócili. Mimo iż była uwięziona głęboko pod ziemią, otoczona przez nieprzyjaciół, o krok od śmierci lub czegoś jeszcze gorszego, nie widzieli w jej twarzy ani śladu strachu. Jedynie skupienie. Valer uświadomił sobie nagle, że doskonale może sobie wyobrazić, jak Zuzanna samotnie wędruje przez terytorium wroga, ucieka przed żołnierzami, walczy z zabójcami i wyprowadza z terenów imperium ludzi obdarzonych magicznym talentem.

– Muszę się dostać z powrotem do głównego kanału. I niech mnie tam przez jakiś czas nic nie zabije. Wystarczy mi chwila.

Cienie na jej twarzy na moment się pogłębiły i Valer zgadywał, że Zuzanna się uśmiecha, ale nie mógł mieć pewności, kiedy jedynym źródłem światła był kamień osadzony w jej diademie.

– I dopóki nie powiem, muszę mieć niezakłócony widok aż do celu, nikt nie może mi przeszkodzić.

Zuzanna sięgnęła do pasa i wydobyła rubinowy kolczyk. Ten, który kupiła na targu, uświadomił sobie Valer.

– Co chcesz zrobić? – spytał ją. – Czy to jest bezpieczne?

– Nie jest.

Tym razem widział wyraźnie, że się zaśmiała. Krąg światła zatrzęsł się.

– Damy baronównie chwilkę? Co na to powiecie? – rzucił.

Popatrzyli wszyscy po sobie. Nie tyle się uśmiechali, co szczerzyli zęby. Wiedzieli, że główny tunel jest pełen nieprzyjaciół, którzy z jakiegoś powodu wciąż nie przystąpili do ostatecznego ataku.

Zawsze było lepiej wybrać samemu, kiedy umrzeć, zamiast siedzieć i czekać na decyzję kogoś innego.



Rzecz z zaskoczeniem przyglądała się, jak napastnicy opuszczają miejsce, w którym się schronili, aby mogła ich zaatakować tylko z jednego kierunku, i ruszają z powrotem do głównego kanału, gdzie zgromadzone były jej siły. Logika podpowiadała jej, że powinni zostać tam, gdzie byli, gdzie mogliby się bronić jak najdłużej i próbować przeżyć. Oszaleli? To była jedna możliwość. Lub może chcieli umrzeć w boju? Jej wspomnienia sprzed czterystu lat podpowiadały jej, że coś takiego jest możliwe.

Znów ją zaskoczyło, jakim zapalem i jaką skutecznością wykazywali się wrogowie. Wyglądało na to, że są wręcz jeszcze bardziej niebezpieczni i śmiercionośni niż wcześniej. Wzory, które w tej chwili obserwowała, były fascynujące. Jej kolejni wojownicy będą niepokonani. Mimo wszystkich strat, jakie ucierpiała, czuła, że ta walka, choć bolesna, przyniesie jej pożytek.

Właśnie przybyła kolejna setka nowo wytworzonych wojowników. Los jej wrogów został przypieczętowany.



Zuzanna odizolowała się od dźwięków uderzającej o siebie stali, sapania ludzi i mrozącego krew w żyłach mlaskania dochodzącego z otaczającego ich mroku. Skupiła się jedynie na klejnocie w swojej ręce. Wiedziała, że kryje się w nim ogromna ilość mocy. Wiedziała też, że jeśli zdoła ją uwolnić, będzie musiała ją przetworzyć i ukierunkować, inaczej zwyczajnie rozproszy się ona w okolicy. Możliwe, że bez żadnego efektu, możliwe, że będzie z niej mógł skorzystać ich wróg, możliwe, że to ją zwyczajnie zabije. Kiedy

chodziło o nieokiełznaną magię, niczego nie można było być pewnym.

Ogniste zaklęcie należało do tych prostszych, jego diagram nauczyła się jako pierwszego. Wiedziała jednak, że im bardziej moc jest skoncentrowana, tym mniej pozwala na błędy. Każda niedokładność, najdrobniejsza nieprecyzyjność sprawi, że przepływ mocy uszkodzi diagram i jego twórcę. A w rubinie skumulowana była nieprawdopodobna ilość mocy. Tak wielka, że było oczywiste, iż nikt nigdy nie zamierzał uwolnić jej całej jednorazowo. A właśnie to planowała uczynić Zuzanna.

Popatrzyła przed siebie, gdzie z niekończącymi się zastępami wrogów walczył Roland. Czasu nie zostało im wiele, o ile w ogóle jeszcze jakiś mieli. Zabił kolejnego przeciwnika, swoją dokładną kopię. Wykorzystała chwilę przerwy w walce i stanęła obok Valera. Błyskawicznie naprzeciw nich pojawił się kolejny nieprzyjaciel, ale Zuzanna go nie dostrzegła. Wyobraziła sobie ten właściwy diagram, uformowała go przed sobą wewnętrznym wzrokiem, który posiadali jedynie ludzie z talentem magicznym. Nie przyglądała mu się, nie analizowała, nie starała się studiować detali. Wytworzyła go jednym impulsem woli, prosto, nieomal podświadomie, tak jak nauczył ją rozwiązywać problemy ojciec. Poczekała, dopóki struktura się nie wyostrzyła, po czym bez dalszego wahania uwolniła moc zgromadzoną w rubinie. Nie było odwrotu.



Czoło fali mocy podpaliło powietrze, spaliło kamień i wszystko inne, co stanęło mu na przeszkodzie. Podmuch zaklęcia jednak wszelkie źródła ognia, który zdolny byłby podpalić cały świat, ugasił.



Rzecz krzyczała, wrzeszczała, jęczała i zawodziła. To był poziom mocy ze starych czasów! Jak mogła przypuszczać, że którykolwiek z jej nieprzyjaciół potrafi nią władać? Wszystko, co stało na drodze niszczycielskiego ognistego tarana, zniknęło. W jednej chwili straciła jedną trzecią swej centralnej, wysoce zorganizowanej materii, setkę wojowników stojących między nią a jej wrogami i kolejną setkę tych, którzy pozbawieni na moment jej żelaznej kontroli, postanowili uzyskać samodzielność. Nie dali się łatwo owładnąć z powrotem, musiała się ich pozbyć walką, nasyłając na nich wojowników, których zdołała utrzymać pod kontrolą. W jednej chwili została z niej jedynie połowa. Wystarczyło mgnienie oka!



Fala uderzeniowa powaliła wszystkich oprócz Zuzanny, która jeszcze chwilę zdołała utrzymać się na nogach, zanim padła na ziemię wyczerpana. Valer, leżąc na plecach, widział, jak upada z pluskiem w ściek i leży nieruchomo twarzą do dołu. Błede, przygaszone brudną wodą światło krzemienia oświetlało jej włosy falujące w wodzie. Rzucił się ku niej na kolanach, podźwignął ją i zaczął jej czyścić nos i usta, zanurzone chwilę wcześniej w śmierdzącej brei. Z zaskoczeniem zorientował się, że cała jest rozpalona, bez namysłu więc zanurzył znów jej głowę w cieczy, ale tym razem tak, by mogła oddychać.

– Ma ktoś wodę? Muszę jej obmyć twarz! – zawołał.

Klinsman przybiegł ze swoją manierką, Kyryzi i Gruman pilnowali okolicy. Valer chłodził Zuzannę tak długo, aż jej temperatura zaczęła opadać, jednak w dalszym ciągu pozostawała nieprzytomna. Zakrył krzemień dłonią, aby go tak nie oślepił, i spojrział z nadzieją na Klinsmana, czy ten nie będzie umiał jakoś pomóc, coś poradzić. Wszak też był przecież czarodziejem.

– Magia potrafi tego, kto jej użyje, spalić na popiół. Widziałem to na własne oczy – odpowiedział tamten na jego niewypowiedziane pytanie.

Valer spojrział w dół, na Zuzannę, i napotkał jej wzrok. Ocknęła się.

– To prawda – potwierdziła cicho.

– Z nas nie powinien być zostać nawet popiół – wtrącił się do rozmowy Gruman. – Popatrzcie na te cegły, są spieczone, jakby tu wybuchł wulkan. Tyle że się nie żarzą. – Wskazał ręką. – Powinny być rozgrzane do czerwoności, jak lawa, ale wszystko jest nagle chłodne.

– Było to zaklęcie – wyjaśniła cicho Zuzanna – zaprojektowane tak, aby nie zabiło rzucającego.

– Jesteś cała? Co ci się stało? – spytał Valer, który wciąż trzymał w dłoniach jej głowę i bezmyślnie chlapał jej na twarz zimnym błotem. – Ciebie jedynej nie powaliła fala uderzeniowa, tylko omdlałaś.

– Myślałam, że mnie to zabije, spali. Była to nieprawdopodobna ilość mocy, a każda niedokładność w strukturze diagramu sprawia, że część mocy obraca się przeciwko twórcy, jak kiedy klinga nie wyskoczy płynnie z pochwy. Ale zrobiłam to perfekcyjnie. Praktycznie tak perfekcyjnie, jak tylko się da – wyjaśniała z bladym uśmiechem na ustach.

– To dlatego jesteś taka gorąca – zrozumiał Valer.

– Ale żywa i wygląda na to, że nie wypaliło mi mózgu i wciąż mogę myśleć – dodała. – Tylko nie mogę wstać. Musimy iść dalej, musimy to coś zniszczyć. Zostawcie mnie tutaj i ruszajcie dalej.

Valer znów usłyszał w jej głosie żelazną wolę, ton niedopuszczający sprzeciwu. Uniósł wzrok ku pozostałym.

– Weźcie ze sobą światło – powiedziała Zuzanna, sięgając do diademu.

Nie pozwolił, aby go zdjęła.

– Musimy to zniszczyć – powtórzyła.

Była gotowa zostać sama i umrzeć w ciemnościach. Poświęcić się.

– Albo pójdziemy razem, albo wcale – powiedział.

Nie myślał o ratowaniu mieszkańców miasta, nie myślał o ratowaniu świata. Zależało mu jedynie na niej. Niestety,

uświadomił to sobie zbyt późno. Czy może wcześniej nie miał możliwości wyboru, dopiero teraz?

– Albo pójdziesz z nami, albo z tobą zostanę – powiedział.

Zuzanna pokręciła głową, tańczące światło zwielokrotniło jej gest. Gruman, Kyryzi, Klinsman i Cuvinan w milczeniu czekali na wynik ich rozmowy. Valer widział, że Zuzanna próbuje coś powiedzieć, ale nie pozwolił jej na to, schylił się i ją pocałował.

– Albo pójdziemy RAZEM, albo zostaniemy tu RAZEM.

– Nie daruję ci tego, nie wyobrażasz sobie nawet, jak bardzo to boli. Pomóż mi wstać – powiedziała i podała mu rękę. – Musimy to zniszczyć – dodała jeszcze. – Wiem, gdzie to się znajduje. Czuję to tak samo, jak to wyczuwa mnie.



Rzecz obserwowała, jak jej przetrzebieni nieprzyjaciele znów ruszają przed siebie. Zostało ich jedynie sześcioro, nie mieli najmniejszych szans, a mimo to uparcie kontynuowali marsz w jej kierunku. Ich bezmyślny, głupi upór niemalże jej urągał. Przecież nie mieli przeciw niej szans. A równocześnie ta niezłomność ją przerażała. Czuła się osłabiona, była osłabiona, jej zdolności ograniczone. Rzuciła im na spotkanie dziesiątki wojowników, którzy jej jeszcze pozostali, i zaczęła tworzyć nowych. Nie mogła tworzyć tych najsilniejszych, najbardziej samodzielnych, jednak w tej chwili nie stanowiło to zbyt wielkiego problemu. Wciąż jeszcze miała wystarczająco dużo sił, aby pokonać intruzów, zmusić ich do kapitulacji i wchłonąć.

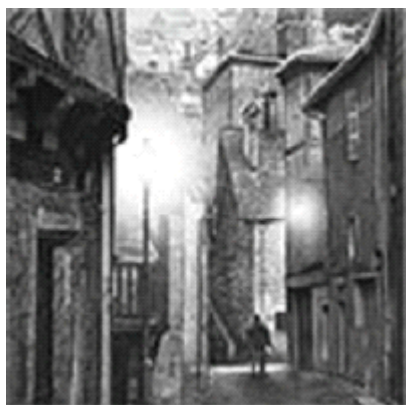
Potrzebowała jednak masy, musiała znów móc kumulować moc z większą szybkością i transformować swą materię i swoje struktury z taką łatwością i doskonałością, do jakiej przywykła, jakiej wymagała sytuacja.

Wystarczył jej jeden rozkaz, jeden impuls woli i w mieście o kilka metrów powyżej tysiące ludzi wpadły w trans. Spieszyli do niej, aby mogła odbudować straty. To jednak nie starczało, nie w tej chwili.

Potrzebowała materiału teraz, natychmiast. Jej szczurzy zwiadowcy rozbiegli się po labiryncie w poszukiwaniu zagubionych, ułomnych, umierających czy choćby ciał, które umarły niedawno.

Rozdział 42

Ucieleśnienie koszmarów



Rutyna miejskiego życia ustąpiła miejsca kompletnemu chaosowi, aż w końcu zmieniła się w absolutny koszmar. Z domów na ulice wychodzili w transie ludzie niczym lunatycy, którzy wyruszają nie wiadomo dokąd. Ich bliscy, którzy zachowali wolną wolę, próbowali ich budzić. Czasem się to udawało, czasem jednak nie. Tych, których snu nie udało się przerwać, za wszelką cenę próbowano zatrzymać siłą, powalając ich na ziemię, obezwładniając, nawet pętając, by odnieść ich z powrotem do domu i tam czekać, aż dziwna choroba minie. Powodowało to zażarte potyczki, w których dochodziło do poważnych zranień, i Monika starała się ich unikać za wszelką cenę. Ona wiedziała, że to nie choroba, zasłyszawszy wystarczająco z rozmowy w pałacu baronówny, aby dodać dwa do dwóch.

Przez ostatnie trzy dni na życzenie swej pani szukała mężczyzny imieniem Bakły. Miała za zadanie jedynie wypytywać i w nic się nie wplątać. Monika, jak i mnóstwo innych ludzi, zdawała sobie sprawę z tego, że w Grafzaty coś się dzieje. Ginęli ludzie. Najpierw bezdomni, żebracy, potem pijacy, liczba znikających wciąż rosła. Dziś wcześnie rano, kiedy baronówna w przebraniu opuszczała posiadłość, Monika upewniła się jeszcze raz, czy ma kontynuować poszukiwania. Według baronówny pan Bakły mógł im pomóc w sprawie zniknięć.

Monika miała nadzieję, że to prawda, bo to, co się obecnie wokół wyprawiało, niezmiernie ją przerażało. I z pewnością miało to coś wspólnego ze znikającymi ludźmi. Ci omamieni próbowali dokądś odejść albo coś ich do tego zmuszało.

Obeszła łukiem mężczyznę próbującego zatrzymać swoją żonę. Kobieta kroczyła przed siebie w domowej sukni, z rozpuszczonymi włosami. Jakby wpadła w trans przed wieczorną toaletą. Jej mąż przemawiał do niej, dotykał, starał się ją zatrzymać, ale ona na nic nie zwracała uwagi. Wreszcie nie wytrzymał i wymierzył jej siarczysty policzek, wciąż bez powodzenia. Złapał ją więc w ramiona, podniósł i gdzieś z nią odszedł. Na jego szczęście nie bronila się tak zaciekle jak wiele innych osób.

Gdzie indziej dwóch młodzieńców próbowało zatrzymać trzeciego, który im się opierał z nożem w ręce. Byli podobni do siebie, zgadywała, że są braćmi. Obeszła ich jeszcze szerszym łukiem.

Potem minęła płonący dom. Jeśli podobne szarpaniny odbywały się i wewnątrz domostw, nie było się czemu dziwić.

Zaczynała mieć wrażenie, że nie zdoła wypełnić swojego zadania, ponieważ nikt nawet nie odpowiadał na jej pytania. Pochłonięci swoimi problemami ludzie zwyczajnie ją ignorowali. W pensjonacie, którego adres otrzymała od baronówny, pamiętali pana Bakły'ego i odesłali ją właśnie do tej dzielnicy. Wczoraj udało jej się ustalić nazwę gospody, do której czasem zachodził. Jednak nie odważyła się tam wstąpić. Już podejście bliżej wydawało się niebezpieczne. Dalszą wskazówkę dostała na straganie, gdzie sprzedawano jedzenie z różna. Wprawdzie imienia Bakły nie znali, ale chmurnego, krótko ostrzyżonego grubasa w kożuchu pamiętali dobrze. Prawdopodobnie mieszkał gdzieś przy ulicy, którą właśnie przyszła. W każdym razie stamtąd zawsze przychodził do straganu.

Otworzyły się poobijane drzwi w fasadzie domu, która od dawna prosiła się o remont. Wszedł z nich mężczyzna w roboczym odzieniu. Monika instynktownie ustąpiła mu drogi i stanęła za kolumną arkady. Już na pierwszy rzut oka rozpoznała nieobecny wyraz twarzy. Niepewnym krokiem, jakby sam jeszcze nie wiedział,

czy dobrze wybrał kierunek, ruszył przed siebie. Tuż za nim pojawiła się kobieta przepasana kuchennym fartuchem, potem dziesięcioletni chłopiec i może o dwa lata młodsza dziewczynka, wszyscy w transie. Za nimi w drzwiach pojawiło się może trzyletnie dziecko w czepku na głowie. Jako jedyne nie było otumanione. Trzymało się framugi, płakało i próbowało przyciągnąć uwagę przechodzących obok rodziców i rodzeństwa, ale na próżno.

Monika stanęła jak rażona piorunem. To przecież nie było możliwe, to się nie mogło dziać! Wyszła ze swego ukrycia i stanęła obojgu dorosłym na drodze.

– Panie! Pani! – Potrząsnęła nimi. – Musicie się obudzić! Zostawiliście własne dziecko!

Nic to nie pomagało. Odtrącili ją na bok i kroczyli dalej przed siebie. Błyskawicznie się obróciła, podbiegła do drzwi i złapała na rękę wrzeszczące dziecko. Podbiegła do matki i przycisnęła dziecko tak, aby samo mogło objąć ją za szyję. Kobieta początkowo nie zwracała na nie uwagi i gdyby się samo kurczowo nie trzymało, spadłoby na ziemię. Po chwili jednak ramiona matki uniosły się i objęły malca, do oczu powróciły przebłyski przytomności. Zatrzymała się niepewnie.

– Nie wolno wam nigdzie odejść! Umrzecie, a z wami wasze dzieci! – krzyczała Monika.

Ludzie wokoło obchodzili ich łukiem. Takie sytuacje rozgrywały się na każdym rogu. Wszyscy spieszyli do domów, martwiąc się o własnych bliskich, nikt nie miał zamiaru wtrącać się do cudzych spraw. Mąż kobiety szedł dalej, z nim córka i syn.

– Tak przecież nie można! – krzyknęła Monika z rozpaczą, bo nic innego nie przychodziło jej do głowy.

Kobieta z dzieckiem w ramionach rozejrzała się zdezorientowana.

– Co się stało? – zapytała.

Monika ją zostawiła i pobiegła za odchodzącą trójką. Mężczyzna nie reagował, kroczył coraz pewniej i szybciej, wraz z nim jego dzieci. Wybiegła przed niego i bez namysłu kopnęła go sążnięcie między nogi. Padł jak ścięty i przez chwilę bała się, że go zabiła. Po chwili jednak się poruszył.

– Co się dzieje? – wycedził przez zaciśnięte zęby, zwinięty na ziemi w kłębek.

Chłopiec i dziewczynka szli dalej, jakby nic się nie stało.

– Wasze dzieci są zauroczone, musimy je zatrzymać! – krzyknęła do zbierającego się z ziemi ojca i pobiegła za dziećmi, które zniknęły właśnie za rogiem.

Zdołała je dogonić. Chwyciła dziewczynkę w ramiona i próbowała ją przebudzić. Chwilę później pojawił się ojciec i zrobił to samo z chłopcem. Monika zaczęła dziewczynce uspokajająco nucić i wyglądało na to, że to pomaga. Mężczyzna poszedł w jej ślady i chłopiec też zaczął się budzić z transu.

– Nie rozumiem, co się z nami stało. – Mężczyzna kręcił głową. – Musimy wrócić do domu, zamknąć drzwi i poczekać, aż to minie.

Monika rozejrzała się dokoła. Dostrzegiła w okolicy więcej omamionych, również podobne sceny, w jakiej dopiero co sama brała udział. Nie była pewna, czy jest szansa, że to po prostu minie, ale nie sprzeczała się z nim. Może to było właśnie jedyne rozsądne rozwiązanie.

– Nie widzieliście tu gdzieś może takiego wielkiego chłopca w skórzanym płaszczu? Zawsze chodzi chmurny, małomówny. Często jadał przy straganie, o tam, na rogu – powiedziała, odprowadzając ich do domu.

Mimo iż byli przytomni, wyglądali niczym ktoś dochodzący do siebie po ciężkim uderzeniu w głowę.

– Widzieliśmy – odparł mężczyzna po krótkim wahaniu już na progu, wpychając swoją córkę do środka. – Wyglądał na niebezpiecznego człowieka i dziwaka.

– Muszę go odnaleźć – wyrzuciła z siebie szybko Monika.

Mężczyzna spojrział na nią, walcząc z chęcią, by jak najszybciej zatrzaskać drzwi.

– Ma wynajęty pokój w tamtym budynku. – Wskazał na drugą stronę ulicy. – Ale chyba głównie przesiaduje w piwnicy. Jak mówiłem, dziwak.

Bez pożegnania czy podziękowania zamknął drzwi, zostawiając Monikę samą. Rozejrzała się. Wydawało się, że miasto popada

w coraz większy chaos, który w każdej chwili może przemienić się w całkowitą zagładę. Dostrzegła kolejny dom w płomieniach i kilka słupów ciemnego dymu w oddali. Czy jej zadanie w ogóle jeszcze miało jakiś sens? Nie miała pojęcia, jednak zdecydowała się je wypełnić ze względu na baronównę, która zawsze była dla niej dobra i łaskawa. Nie wierzyła, aby przed tym, co się działo w tej chwili w mieście, mógł ich uchronić jeden człowiek, niechby i szlachcic czy wojownik. A jeśli mimo swych starań pana Bakly'ego nie znajdzie, wróci do pałacu. Bez żołnierzy, którzy odeszli, było jedynie kwestią czasu, kiedy zajmą się nim szabrownicy. Gdzie panuje chaos, tam zawsze są szabrownicy. To Monika dobrze wiedziała. Ale przynajmniej będą z Katrin we dwie.

Ostrożnie zajrzała przez półotwarte wrota wiodące na wewnętrzny dziedziniec domu, który wskazał mężczyzna. Wyglądało na to, że chaos wdarł się i tutaj, inaczej czemu ktoś by zostawił niedomkniętą bramę? Wjazd i dziedziniec były puste, jedynie pod przeciwległą ścianą stał na wpół załadowany wóz. Bała się, ale z doświadczenia wiedziała, że lepiej było nie dać tego po sobie poznać. Zamknęła za sobą wrota, pewnym krokiem przeszła przez podwórzec i zaczęła sprawdzać wejścia do wszystkich czterech domów mieszkalnych okalających dziedziniec. Spotkała jedynie marudną starą kobietę, która na jej pytanie odparsknęła, aby Monika pilnowała własnych spraw i że ona ma dużo do roboty.

Za drugim obchodem odważyła się wejść do środka. Za każdym razem znalazła w tym samym miejscu zejście do piwnicy. W pierwszych dwóch nie było nic ciekawego, były ciemne i chłodne, pachnące składowanymi w nich zapasami. Trzecia jednak promieniowała ciepłem, Monika miała wrażenie, jakby stała przed wygasającym piecem garncarskim. Dodatkowo coś śmierdziało.

Sięgnęła do kieszeni i wydobyła z niej świeczkę i pięć starannie owiniętych zapalek. Kosztowały więcej, niż tak naprawdę mogła sobie pozwolić, i człowiek musiał być rzeczywiście ostrożny. Wystarczyło potrząsnąć nimi o cokolwiek i natychmiast się zapalały. Czasem jednak warto było mieć przy sobie natychmiastowy ogień. Zapaliła zapalną o drzwi, świeczka zapłonęła. Na podłodze coś

leżało, poza tym piwnica była całkiem pusta. Monika musiała zejść po schodach, zanim mogła rozpoznać kształt na podłodze. Był to człowiek w zbroi i chwilę jej zajęło, zanim się zorientowała, że to pan Bakly.

Był martwy. Nie pomoże im.

Jakby tego było mało, przeciwległa ściana rozsypała się, a zza niej wyjrzały nie do końca ludzkie postaci z czerwono świecącymi oczami. Monika krzyknęła. Przybyła za późno, a to, co przywoływało do siebie ludzi, ją znalazło.

Rozdział 43

Droga ku śmierci



O budziłem się, pomimo iż mi na tym nie zależało. Dziewczyna, którą zapamiętałem z domu Zuzanny, krzyczała i z nożem w ręce cofała się przed czymś, co wyglądało jak chłop. O ile chłop mógłby być zbudowany z szarozielonego śluzu i mieć łapska jak małpa. A w nich przyzwoity miecz. Dziewczyna z kozikiem nie miała

najmniejszych szans.

– Kolego! – powiedziałem, wstając.

Podnosząc się, poczułem ruch powietrza i nagle zrobiło mi się zimno, jakbym opuścił wygrzane łóżko. A leżałem przecież na ziemi, w piwnicy, w której skryłem się po wygranej walce z Gookiem Nerzeezim. Aby tu... umrzeć. Co mi się z jakiegoś powodu ciągle nie udawało.

– Panie Bakly! – zrozumiałem wreszcie, co krzyczała dziewczyna.

Pewnie chciała mi coś powiedzieć. Może to było coś ważnego. Może nie. Było jednak pewne, że jeśli pozwolę temu śluzowatemu typkowi dokończyć, co sobie zamierzył, nigdy się tego nie dowiem.

– Kolego – powtórzyłem.

Jakbym dla niego nie istniał. Niektórych ludzi złościło, kiedy byli ignorowani. Mnie nie. Pasowało mi to. Zrobiłem jeszcze jeden krok i potężnie kopnąłem go z boku, prosto w biodro. Drugi cios zadała mu ściana, na której wylądował. Świeczka, którą trzymała dziewczyna, zgasła, ale ja i tak wiedziałem, gdzie go znaleźć.

Skoczyłem na niego obiema nogami. Nie poczułem, jakbym łamał kości w ludzkim ciele, bardziej jakbym naskoczył na worek napełniony czymś, co najpierw stawia opór, ale po krótkiej chwili zmienia się w coś miękkiego i mokrego.

Zasycała zapalka, płomień oświetlił twarz młodej kobiety. Możliwe, że była przerażona, ale nie panikowała.

Szybko rozejrzała się dokoła, spoglądając przez chwilę na trupa rozpływającego się pod moimi nogami.

– Co to jest? – Wskazała rzecz na podłodze.

Trupa to już nie przypominało nawet z grubsza, raczej coś, co człowiek wolałby ostrożnie obejść szerokim łukiem, uważając przy tym, aby pod żadnym pozorem w to nie wdepnąć. Wzruszyłem ramionami.

– Możliwe, że wiesz więcej niż ja. Czemu za mną przyszedłeś? – zapytałem, równocześnie wyobrażając sobie, jak znów kładę się na ziemi, zamykam oczy i zanurzam się w swój ostatni sen. Nie pamiętałem już, co mi się śniło, ale to nie miało znaczenia, istotne było jedynie słowo OSTATNI. Nie potrafiłem sobie wyobrazić powodu, który by mnie od tej myśli mógł odwieść. W zapomnieniu czułem się tak dobrze jak już dawno nie. Ciekawe było to, że zagoiły mi się wszystkie rany. A jeszcze ciekawsze – że nawet moja zbroja wyglądała jak nowa, nie było na niej żadnych śladów walki. Ale jak już sam sobie powiedziałem – to nie miało znaczenia.

– Coś zabija ludzi. Zmusza ich, żeby się udali do podziemi, i tam ich pożera – powiedziała.

Wystarczył moment i wiedziałem, że ma rację. Jedynie co do tego pożerania nie byłem zbyt przekonany. Było to o wiele bardziej skomplikowane. Pod miastem skrywało się coś głodnego, coś spragnionego ludzi. Uświadomiłem sobie, że już się z tym zetknąłem, ale wycofało się, jakby to, o co się otarło, nie przypadło mu do gustu. Popatrzyłem na miejsce, na którym wcześniej leżałem. Śluz z potwora, którego pokonałem, nie zbrukał go, na całe szczęście. Nie musiałem sobie szukać nowego. Na ludziach mi nie zależało.

– Baronówna gdzieś rano odeszła, myślę, że do podziemi. Według mnie walczyć z tym czymś. Słyszałam ją, jak mówiła, że nie pozwoli,

aby wszyscy zginęli.

Stężałem. Wiedziałem, że nie kłamię, wiedziałem, że było to dokładnie coś, co Zuzanna by uczyniła.

– Mówiła, że wyjedzie do księstwa – powiedziałem na pół do siebie.

Jeśli czuła, że musi pomóc ludziom, nic nie mogło jej od tego odwieść. W tym była zupełnie inna niż ja.

– Powiedziała, że możecie jej pomóc.

Wszystko może się odmienić w jednej chwili, już mi się to przytrafiło wielokrotnie. Ale jeszcze nigdy nie była to odmiana tak całkowita jak właśnie teraz. Obróciłem się do dziury w ścianie, którą się tu przedostał ten oślizg ły bydlak.

– Będzie mi potrzebny ogień. Możesz załatwić kilka pochodni? – Spojrzałem na dziewczynę.

– Oczywiście, oczywiście! Zaraz będę z powrotem! – Wybiegła po schodach na górę.

Chwilę rozważałem, czy nie zapuścić się do podziemi bez światła. Może i obszedłbym się bez niego, ale postanowiłem jednak poczekać.

Monika – przypomniało mi się, że miała na imię Monika – wróciła rzeczywiście bardzo szybko, w ręku trzymając pęk łuczyw, które zapewne gdzieś zwędziła.

– Pójdę z wami – powiedziała szybko, kiedy wyciągnąłem po nie rękę. – Będę wam przyświecać, sama tutaj nie zostanę.

To była jej decyzja, nie próbowałem jej przekonywać. Na zewnątrz musiało to wyglądać naprawdę paskudnie, jeśli wołała zejść ze mną do podziemi.

Rozdział 44

Zabijać aż do końca



Zuzanna walczyła z dużym szty letem z zamkniętej gardzie i z zębami do chwytania broni nieprzyjaciela w jednej ręce i długim, cienkim ostrzem w drugiej. Mechanicznie odbiła pchnięcie, zbliżyła się do przeciwnika, pchnęła go w słabiznę i natychmiast cięła przez pierś, jakby to był jeden nieprzerwany ruch.

Valer nigdy nie przypuszczał, że kobieta może zabijać z taką łatwością. Przeszywał go od tego strach. Potem przyszła jego kolej i na dalsze rozmyślenia nie było już czasu. Nie wiedział, z którym przeciwnikiem walczy, ale następny mógł go zabić. Czas nieporadnych szermierzy minął, każdy kolejny był teraz lepszy od poprzednika. Zasłoną i odskokiem kapitan uniknął zdradzieckiego pchnięcia w krocze. Gdyby nie zaobserwował tego triku przed chwilą u Zuzanny, nie obroniłby się. Atak, uderzenie, użyć siły. Nieprzyjaciel na mgnienie oka się zawahał, Valerowi to wystarczyło. Wytrącił go z równowagi, podciął, sieknął przez twarz, pchnął w pierś. Wystarczyło. Do przodu przeskoczył teraz Kyryzi.

Valer pozwolił sobie na kilka szybkich oddechów i spróbował pozbierać myśli. W młynie walki nie było na to czasu. Klinsman został gdzieś z tyłu z poderżniętym gardłem, Valer nawet nie wiedział, kiedy i jak się to stało. Dostrzegł jedynie jego twarz z niewidzącymi oczami, na wpół zanurzoną w ścieku. Gruman miał przedramię lewej ręki owinięte prowizorycznym bandażem, przez

który przesiąkała krew. Rana doszła aż do kości, ale na szczęście szła wzdłuż włókien mięśniowych i nie uszkodziła żadnych ścięgien. Teraz Gruman wysunął się przed Valera, aby po krótkiej przerwie znów rzucić się do walki. Cuvinan poległ, kiedy wyskoczyli na nich od tyłu z bocznego tunelu, o którym nie mieli pojęcia. Bez Klinsmana stracili zdolność orientacji. Dużo dalej się nie dostaną, to było dla Valera oczywiste. Z całej grupy pozostało ich już tylko czworo.

Tunel głównego kanału przed nimi wydawał się uchodzić do większego pomieszczenia. Kyryzi padł na kolana, ale Gruman był w pogotowiu, natychmiast przejął atak przeciwnika na siebie. Gra cieni na ścianach groteskowo odzwierciedlała toczący się bój. Valer uświadamiał sobie, jak bardzo są wyczerpani. Śmiertelnie wyczerpani.

Gruman zabił swojego przeciwnika, po nim następnego. Posunęli się o kawałek do przodu. Światło kryształu zaczęło wydobywać z ciemności szczegóły pomieszczenia przed nimi. Klinsman mówił im, że częścią systemu jest kilka starannie rozmieszczonych większych sal, gdzie mogła się gromadzić wezbrana woda lub można było składować materiały budowlane w trakcie napraw kanałów. Ta centralna miała być największa, ale Valer i tak był mocno zaskoczony jej rozmiarem.

– Jesteśmy prawie na miejscu – wyszeptał Kyryzi – damy radę!

Valer sam w to nie wierzył, ale zmienił wyczerpanego Grumana na przodzie, zanim zdążyła to zrobić Zuzanna. Agresywnie ruszył na przeciwnika, odbił jego klingę na bok, kopnął go z półobrotu w brzuch i dokończył roboty błyskawicznym cięciem od ramienia aż po biodro. Bez chwili zawahania przetoczył się w przód poprzez rozplywające się ciało pokonanego i znów wykorzystał swą szybkość.

– Za nim! Przebijemy się! – krzyknęła Zuzanna.

Tunel stopniowo się tutaj rozszerzał, co wcześniej mogłoby być przeszkodą, jednak teraz oznaczało, że dwie osoby mogły stanąć do walki ramię w ramię. Doświadczeni wojownicy, potrafiący ze sobą współpracować, naprzeciwko pojedynczym przeciwnikom. Kyryzi z Grumanem, jakby czytali w jego myślach, precyzyjnie się po obu

stronach i razem ruszyli do ataku. Posunęli się dalej, niż to się wydawało możliwe.

Uda nam się, może się nam udać, rezonowało Valerowi w głowie. Nieprzyjaciele migali mu przed oczami w mieszaninie światła i cieni, rozbijał ich obronę, zastawy i krycia, a Zuzanna, o pół kroku za nim, wykorzystywała to, likwidując ich z przerażającą łatwością.

Przedarli się aż do wejścia do centralnego pomieszczenia, gdzie stanęli oszołomieni.

Kopulaste sklepienie wznosiło się w najwyższym miejscu kilkadziesiąt metrów nad nimi i podtrzymywane było przez biegnące od posadzki ożebrowanie wykonane z czegoś, co wyglądało na jednolity granit. W samym środku pod kopułą wznosił się żyjący słup pokryty czymś na kształt falujących łagodnie łusek. Słup rozgałęział się u góry i na dole, swymi korzeniogałęziami oplatając zarówno strop, jak i podłogę nieprzejrzaną gęstwą. Wyrastały z niej cienkie łodyżki zakończone jarzącymi się czerwono oczami, a ich powierzchnia pokryta była nieustannie pojawiającymi się i znikającymi zębatymi paszczami najróżniejszych form i rozmiarów.

To wszystko wzbudzało grozę, przerażało, ale Valer tym żywym koszmarom nie poświęcił więcej niż jedno spojrzenie. Główną przeszkodę wciąż stanowili wojownicy. Valer rozpoznawał w nich siebie, Kyryziego, Grumana i pozostałych, martwych już towarzyszy, w niektórych mógł się wręcz dopatrzeć rysów Zuzanny. A wnioskując z ich doświadczeń do tej pory, przypuszczał, że zdolnościami będą odpowiadać im wszystkim razem wziętym. Ta rzecz się uczyła, rosła w siłę z każdym odbytym pojedynkiem. Valer znów się rozejrzał w poszukiwaniu czegokolwiek, co mogłoby im zapewnić choćby najmniejszą przewagę. Nie znalazł nic. Dostrzegł jedynie, że wojownicy znajdujący się najbliżej żywej kolumny, która była ich właściwym przeciwnikiem, są z nią połączeni siecią cienkich niczym pajęczyna włókien.

– Dużo ich – skomentował Gruman.

Valer się z nim zgadzał, ale nic nie powiedział.

– Spróbujemy i tak – dodał wysoki zabójca.

I z tym Valer się zgadzał.

– Dokładnie tak.

– Zacznę ja – przerwała im Zuzanna, zanim zdołali ruszyć do ostatniego ataku. Wtedy dostrzegli ruch na przeciwległym końcu sali.



Rzecz obserwowała okolicę i dzięki swym niezliczonym oczom, nosom i wszystkim innym organom miała doskonały ogląd sytuacji. Czowała się zadowolona. Masa jej ciała ciągle rosła z coraz to większą prędkością, brakowało tylko kilku chwil, zanim znów pokona granicę krytyczną, zanim odbuduje wszystkie wcześniejsze straty i zacznie zakrzywiać wokół siebie i wchłaniać moc z całej okolicy.

Jej świadomość znów była cała, skoncentrowana. Dzięki szokowi i traumie po atakach, które udało jej się przeżyć, dowiedziała się o sobie wielu nowych rzeczy i wiedziała, że potrafi teraz o wiele więcej. Mimo iż wciąż groziło jej niebezpieczeństwo, czytała i kopiowała wzory z szybkością i dokładnością, jakie jeszcze niedawno były całkowicie poza jej zasięgiem. Atak nieprzyjaciół pozwolił jej dostać się na nowy, wyższy poziom.

Po chwili refleksji nad sobą ponownie skoncentrowała się na przybyszach. W ostatnich kilku minutach znów dostali się zaskakująco daleko. Jednak nie było to tak zupełnie nie po jej myśli, mogła im się przyjrzeć sama, a nie tylko poprzez swoje przedłużone zmysły.

Byli śmiertelnie wyczerpani, na nogach trzymali się jedynie dzięki żelaznej woli. Wyczuwała to w ich pocie, w powietrzu, które wydychali, widziała to w tym, jak się trzymali. Wyczuwała żar przepracowanych mięśni. Już kilkakrotnie przekroczyli granice swoich możliwości, a mimo to parli do przodu. Nie rozumiała, jak to możliwe, ale gotowa była spróbować to wykorzystać. Pilnie ich obserwowała i analizowała wzory najdokładniej, jak się tylko z zewnątrz dało. Miała tę przewagę, że mogła sobie pozwolić na to,

aby ich nie zabijać. Nie od razu. Aby mogła przeczytać wzory jak najdokładniej, musiały pochodzić z żyjących nosicieli i właśnie na tym najbardziej jej zależało.

Czarodziejka szykowała się, aby spróbować zaatakować. Była tak wyczerpana, że ledwie trzymała się na nogach. Rzecz wyczuwała, jak kobieta formuje diagram zaklęcia, przygotowuje się, by je ożywić, po czym ze swojego zamiaru rezygnuje i pozwala, aby moc zwyczajnie się rozproszyła. Rzecz zgadywała, że to zaklęcie rozkładu zdołałoby najwyżej zniszczyć kilku pobliskich wojowników. O ile w ogóle nie zabiłoby samej czarodziejki. Ze strony tej kobiety żadne niebezpieczeństwo już Rzeczy nie groziło. Również i z tego powodu, że zaklęcie nie było wycelowane w nią, ale w podrzędnych wojowników, jej sługi zbudowane z prymitywniejszej materii niż ta, z której składała się sama. Zaklęcie rozprzestrzeniało się po strukturach związanych pokrewieństwem, ale nie było w stanie wspinać się w górę hierarchii, jedynie schodzić w dół. Gdyby czarodziejka była silniejsza i zdawała sobie sprawę z tego, jak to zaklęcie funkcjonuje, mogłaby zniszczyć całą jej armię. Ale już nie teraz. Rzecz widziała wyraźnie, gdzie przebiegają granice jej ludzkiej wytrzymałości.

Przez moment rozważała, czy nie zniszczyć przeciwników zmienioną wersją zaklęcia, ale detale magicznego diagramu zaczęły się błyskawicznie rozplýwać przed jej magicznym wzrokiem i straciła tę możliwość. Nie przeszkadzało jej to, miała co do nich inne plany.

Nagle uświadomiła sobie, że aż nadto skupiła się na czarodziejce. W podziemiach już jakiś czas wcześniej pojawił się kolejny nieproszony gość. Był sam, dlatego go przeoczyła. Mimo iż na jego drodze stali jedynie obrońcy obdarzeni ograniczoną samodzielną inteligencją, dzięki swej liczebnej przewadze powinni go byli zniszczyć. Albo przynajmniej poważnie spowolnić. Tak się jednak nie stało. Intruz parł przed siebie, jakby nic w ogóle nie stało mu na drodze. Rzecz wzmocniła siły otaczające wyczerpaną grupkę napastników i poświęciła całą uwagę nowemu zagrożeniu, aby zorientować się, co tam się właściwie dzieje.



Sieknąłem wprost do dołu, zgarnąłem przeciwnika ramieniem i rzuciłem go na następnego w kolejce. Wdepnąłem w coś miękkiego, ostrze skramsaksa świsnęło i wycięło głęboką bruzdę w twarzy pod moimi nogami. To wystarczyło, oba chłopaki zaczęli rozplýwać się w śliski śluz. Przed kolejnym ustąpiłem pod ścianę. Tego się nie spodziewałem, noga ugrzęzła mu w lepkiem świństwie i chcąc nie chcąc, odsłonił plecy. Po lewej stronie kręgosłupa ani jeden krąg nie pozostał cały. Rzuciłem spojrzeniem na prawo, blada, pokryta od stóp do głów szaro zielonymi glutami Monika właśnie rozpalala kolejną pochodnię. Ostatnią miała schowaną pod bluzką. Fajna dziewczyna. W ciemnościach byłoby mi trudniej.

Sam wyglądałem, jakbym się przez ostatnich kilkaset metrów przedzierał kanałami wypełnionymi tą śliską mazią. Jakby jej było choć trochę więcej, pewnie byśmy się potopili.

Znów chciałem się rzucić do przodu, ale uświadomiłem sobie, że otwiera się przed nami większa przestrzeń wypełniona wijącym się, nieprzyjemnym paskudztwem, które wyglądało niczym dżungla ze złego snu szaleńca. W tej dżungli kryły się całe zastępy wojowników. W rzeczywistości to wszystko był i tak śluz, widziałem to aż nazbyt wyraźnie.

Z przeciwległego krańca podziemnego pomieszczenia poprzez chaos oślizgłej dżungli dojrzałem blady blask białego światła. To była Zuzanna, wiedziałem teraz dokładnie, gdzie się znajduje. Widziałem to równie dobrze jak linie mocy przecinające śluzowate kłębowisko i ich centralne ognisko – gigantyczną i wciąż rozrastającą się świadomość nieprzyjaciela, który tym wszystkim władał. Widziałem też, że Zuzannę dzieli od śmierci już jedynie ostatni krok. Mnie może też, ale ja się na to cieszyłem. I nie bałem się śmierci.

– Zostań tutaj – poradziłem Monice i bez pośpiechu wkroczyłem do wielkiej sali.

Pierwszy z nieprzyjaciół wyskoczył mi na spotkanie, z niewielkim opóźnieniem ruszyło w jego ślady jeszcze dwóch. To mi się podobało, już miałem dość tego przeciskania się tunelami. Odbiłem jego pchnięcie i zanim zdążył zareagować, szybkim cięciem rozplatałem mu gardło. Kopnąłem pod nogi jednego z jego kompanów i skupiłem się na tym drugim. Przy tym zauważyłem, że nie mam już w rękach skramsaksów, idealnych do walki na bliski dystans, ale długi i krótki miecz, oba z zakrzywionymi klingami. Do walki w otwartej przestrzeni nadawały się lepiej.

Nawet nie wiem, jak i kiedy, nagle tego śliskiego śluzu miałem aż po kostki, kiedy rozpuściło się kolejnych dwóch przeciwników. Drzewiasty twór pośrodku sali zdecydował, że jestem bardziej niebezpieczny niż grupka po drugiej stronie, okoliczna dżungla zaczynała mi poświęcać coraz więcej uwagi i większość wojowników ściągała w moją stronę.

No i świetnie, przynajmniej nie będę musiał daleko łązić. A Zuzanna będzie mogła uciec. Tyle że ona przecież nie ucieknie, wiedziałem o tym doskonale. Zostanie tutaj, w podziemiach, dopóki tego czegoś nie zniszczy. Dopóki tego czegoś nie zniszczymy.

Kolejni nieprzyjaciele byli w zasięgu. Za nimi następna fala. Nie było sensu ich oszczędzać. Nie było sensu oszczędzać siebie.

Nagle było już po nich, przyglądałem się tylko rozplywającym się kupom śluzu. Około tuzina, nawet nie pamiętałem, jak się rozprawiłem z drugą szóstką. Białe światło świeciło teraz wyraźniej. Bardzo dobrze, to znaczyło, że Zuzanna wciąż żyła.

Nowa trójka przede mną zakuta była w płytowe zbroje i uzbrojona w długie dwuręczne miecze. Temu czemuś musiało się nie spodobać, jak szybko rozprawiłem się z poprzednimi.

Krótkim mieczem zamarkowałem atak jedynie na tyle, aby wprawić ciało w ruch, po czym młotem mocno uderzyłem w pancerz na piersi. Stal nie wytrzymała, wgięła się, gruchocząc tym samym żebra. To przyhamowało napastnika, cios w słabiznę zatrzymał go już kompletnie. Nie zatrzymywałem się, zamiast tego rzuciłem się do przodu, z półobrotu prasnąłem kolejnego z nich

młotem w hełm. Zielone świństwo trysnęło spod niego na wszystkie strony.



Rzecz całkowicie już skoncentrowała się na nowym atakującym. Ten przeciwnik należał do odmiennej kategorii. Był szybszy i silniejszy, niż wydawało się to u ludzi możliwe, bronie w jego rękach przemieniały się wedle potrzeb. Czarodziej zabójca. Zdecydowanie musiał być czarodziejem, nie było innego wytłumaczenia. Wszystko rozgrywało się tak szybko, że nie zdołała niczego podpatrzeć, niczego się nauczyć. Tak samo błyskawicznie rozprawił się z kolejną grupą.

Zrozumiała, że przeciwko niemu będzie musiała wystawić o wiele bardziej złożonych wojowników, niż odważyła się do tej pory wytworzyć. Z całych sił zaczęła pompować w siebie materię z odległych rubieży ciała. Jednocześnie transformowała siebie samą, asymilowała wszelkie poznane do tej pory wzory, rekombinowała je. Tę nową, złożoną, silnie skoncentrowaną materię obdarzoną częściami własnej świadomości rozdzieliła pomiędzy potężnych wojowników, połączonych z nią komunikacyjnymi włóknami, i wysłała ich przeciwko wrogowi. To jednak było wciąż za mało. Szybko stworzyła linię jeszcze bardziej złożonych wojowników, których samodzielne świadomości dawały się kontrolować jedynie dzięki stałemu fizycznemu połączeniu. Ich również pchnęła do walki i natychmiast zaczęła tworzyć nowych.



Goście przede mną nagle byli więksi i silniejsi. Niektórzy wyposażeni w tarcze i topory, inni w zwykłe miecze, jeszcze inni w egzotyczne bronie gladiatorów. Pozwoliłem, aby nabijana ćwiekami kula na łańcuchu omotała rękojeść mojego młota, wtedy

wyszarpnąłem broń z ręki przeciwnika i osłupiałego pchnąłem w szyję, tuż ponad krawędzią zbroi. Przed ciosem z boku zdołałem odskoczyć jedynie częściowo, naramiennik zbroi zagrzechotał, stal zagięła się, wbiła w ciało przez przeszywanicę. Trzasnąłem go grotem bojowego młota w łeb. Za drugim ciosem stal sięgnęła mózgu. O ile go w ogóle posiadał. Tymczasem napierali na mnie kolejni dwaj. Padłem na ziemię i zanim wymierzili ciosy, jednemu z nich zdołałem podciąć nogi. Od swojego kompana zainkasowałem uderzenie przeznaczone dla mnie. Gówna, śluz i wszystko inne w ścieku śmierdziało niemiłosiernie.

I to, co najgorsze, dla mnie jest wystarczająco dobre.

Podniosłem się, przeciw mnie gnali już następni, ściana tarcz i mieczy. Na swoje nieszczęście ustawili się zbyt ciasno. Wpadłem najbliższemu prosto na tarczę, rozbiłem w ten sposób formację i gościa po lewej załatwiłem szybko krótkimi mieczami. Właściwie tego po prawej też. Zaczynało mi się wszystko zlewać. Kolejnemu urwałem łeb uderzeniem młota. Bronie w moich rękach zmieniały się błyskawicznie, wedle moich potrzeb.



Rzecz widziała, że podjęła właściwą decyzję. Z porażek swych najlepszych wojowników zdołała się wiele nauczyć. Było jedynie kwestią czasu, kiedy berserkera zniszczy.



Kolejna fala obrońców była twardsza niż ta poprzednia. Klinga uderzyła w rękojeść mojego topora, nieomal wytrącając mi go z ręki. Ktoś zacharczał. To ja charczałem, błyskawicznie rzucając się w bok, aby uniknąć ataku przeciwnika po lewej.

Współpracowali, walczyli przeciw mnie razem.

Kontynuowałem obrót, dzięki dodatkowemu pędowi potężnym cięciem topora wbiłem się pod napierśnik, wykorzystałem to jako zakotwiczenie do nieoczekiwanej zmiany kierunku, czym kompletnie zaskoczyłem dalszych dwóch. Celowałem w kark, nie trafiłem, mój cios złapał naramiennik, ale ten na szczęście nie wytrzymał. Przesunąłem się umierającemu za plecy, aby się nim zasłonić, ale zanim padł, obrócił się, ostrze połaskotało mnie po piersi. Ciąłem go raz jeszcze w bok i więcej nie poświęcałem mu już uwagi. Czekali na mnie następni.

Odniosłem wrażenie, że pod presją reagowali słabiej.

Jednym młotem zasłoniłem cięcie w bok, obuch drugiego udało mi się wbić pod krawędź hełmu. Instynktownie parłem przed siebie, ponieważ chwilę wcześniej kątem oka dostrzegłem za plecami poruszające się cienie. Nie zdążyłem. Cios między łopatki wytrącił mnie z równo wagi. Błyskawicznie rzuciłem się w przód w przewrotce przez ramię. Obróciłem się dokładnie w chwili, kiedy dobiegał do mnie potężny drab w pancerzu z uniesionym mieczem. Na swoje nieszczęście, za wysoko. Strzaskalem mu lewą nogę. Zanim padł, ja zdążyłem się podnieść i rozplatałem go w kroku.

Wciąż zbliżali się kolejni. Wciąż szybsi, silniejsi, lepsi. Zewsząd próbowały mnie obłapić cienkie włókna wyglądające jak długie, wygłodniałe pijawki. Odbiłem celujące we mnie ostrze miecza i wskoczyłem między nowych wojowników. Wokół tryskała gorąca krew zmieniająca się natychmiast w zimną szarozieloną maź.



Sieć włókien, węzowatych czułek i węzłowatych korzeni pokrywająca cały strop pulsowała gwałtownie, w miarę jak Rzecz zasysała z peryferii coraz więcej materii. Wciąż jej potrzebowała, ponieważ szalony berserker rozkręcał spiralę przerażającej, brutalnej, niszczącej siły coraz bardziej. Na większą siłę odpowiadał jeszcze większą, na większą szybkość błyskawicznymi reakcjami przekraczającymi możliwości ludzkiego ciała. Na każdą fintę

odpowiadał w sposób, z jakim nigdy wcześniej się nie spotkała, jakby jego instynkty stworzone były właśnie do takich sytuacji.

Wciąż go jednak obserwowała i studiowała, teraz już sama bezpośrednio, z niewielkiej odległości. Starła się również wniknąć do środka, w niego. Jak do tej pory to się jej nie udało, ale i tak uzyskała wystarczająco dużo informacji.



Kątem oka dostrzegłem kolejnych dwóch chłopaków oddzielających się od centralnego pnia. Obaj z długimi mieczami, obaj wyżsi ode mnie i ani grama lżejsi. Grot jednego młota zaklinowałem w szczelinie między naramiennikiem i napierśnikiem i uzyskaną w ten sposób dźwignią obróciłem tego, z którym właśnie się rozprawiałem. Bez dalszych przeszkód drugim młotem łupnąłem go w potylicę. To wystarczyło. Tamci dwaj już się do mnie zbliżali. Czymkolwiek było to, z czym tu walczyłem, nie podobało mu się zbyt, kiedy kroilem śluz na plasterki. Pewnie stąd te ciężkie zbroje.

Zakręciłem oboma młotami, żeby je dobrze poczuć w rękach. W trakcie młynka zmieniło się rozłożenie ich wagi, rzuciłem im krótkie spojrzenie. Wyglądały teraz, jakby się nadawały do rozbijania ciężkich zbroi dużo lepiej niż przed chwilą.

Ci dwaj znaleźli się w zasięgu. Cios pierwszego był tak szybki i mocny, że pod zasłoną o mało nie padłem na kolana, drugiemu umknąłem przewrotką. Na moje szczęście, w tym swoim żelastwie nie byli znowu tacy zwinni. Poderwałem się gotowy do ataku, schyliłem pod mieczem, uderzeniem barkiem powaliłem pierwszego na ziemię, naskoczyłem na kark, drugiego mocarnie pchnąłem w pierś. Jak się chce, da się i młotem. Przez pancerz się nie przebiłem, ale go spowolniłem i dostałem się do niego na krótki dystans. Uderzeniem jelca od spodu o mało mnie nie znokautował. Puściłem młot i lewą ręką chwyciłem za jego naramiennik, prawą wepchnąłem pod pachę i przerzuciłem go przez ramię. Jego nogi

zatoczyły w górze łuk, przy upadku zadźwięczał jak worek złomu i odsłonił kark.

Zdażyłem podnieść młot i już byli przy mnie kolejni trzej, ustawieni w formacji. Tego na czele pchnąłem w wizjer hełmu, drugą bronią się zasłoniłem. Pierwszym młotem zawinałem od dołu i zdołałem go zahaczyć pod łydkę. Kiedy padł, wykończyłem go ciosem w słabiznę. Tam żadnej zbroi nie miał. Pozostali dwaj rzucili się na mnie ze wzmożonym zapalem, jakby los kompana dodatkowo ich zmobilizował.



Rzecz była w ekstazie. Berserker nie mógł być człowiekiem, to, do czego był zdolny, dalece przekraczało wszystko, z czym się do tej pory zetknęła. Zniszczył kolejną falę jej wojowników, był już w pół drogi do niej samej. Nie niepokoiło jej to, dysponowała wielokrotnie większymi zasobami niż na początku bitwy. Wciąż go uważnie obserwowała, uczyła się.

Teraz odpoczywał, przyklęknięty na jedno kolano, oparty na rękojeściach swych przerażających broni. Materiał, z którego były wykonane, przewyższał wszystko, co sama potrafiła wytworzyć. Nie raz jej wojownicy polegli zwyczajnie dlatego, że ich stal nie wytrzymała zetknięcia z jego stalą.

Dała mu czas na złapanie oddechu, bo sama go potrzebowała. W wyniku wielu bezpośrednich kontaktów, wielu małych śmierci, które w boju z nim musiała uciepieć, udało jej się wytworzyć mentalne połączenie podobne do tego, jakiego używała do czytania pochłanianych ofiar. Na razie jednak nie było ono odpowiednio skalibrowane, jakby nie zostało jeszcze ustalone, kto kogo ma wchłonać. Głównie przez to, że części jej świadomości bezustannie przegrywały w pojedynkach z nim, jednak nie przejmowała się tym. Była pewna, że zwycięży, na nic więcej jego nędznej, ludzkiej powłoki nie było stać. Ważne, że dzięki połączeniu odczuwała jego wyczerpanie, gorącą krew w żyłach, zranienie na twarzy, cięcie na

udzie, pogruchotane zebra. Wiedziała, że jeszcze da radę się podnieść, że jeszcze przez jakiś czas będzie się jej opierał. To nie było problemem, czas grał na jej korzyść. Co ją dezorientowało, to były jego najsilniejsze uczucia, te, które mogła odczuć. Jej zacięty wróg wydawał się szczęśliwy, zadowolony. Musiała błędnie go odczytać, inaczej nie było to przecież możliwe. Ten człowiek miał za kilka chwil umrzeć, a był szczęśliwy. Nonsens.

Na to, aby sama miała wdać się z nim w bój, nie czuła się jeszcze gotowa. Ale chciała tego, potrzebowała, to był dla niej sposób na to, aby dostać się na wyższy poziom, pokonać ograniczenia.



Zuzanny nigdzie nie dostrzegalem, jedynie blask jej kryształu. Mogła go gdzieś zawiesić, aby zapewnić mi trochę światła, ale ja wiedziałem, że ona wciąż tam jest, że czeka na okazję. Łapałem oddech, a z nosa skapywała mi krew. Kap, kap, rozpryskiwała się o wiodącą nie wiadomo dokąd zieloną szypułkę. Wiedziałem, że to nie korzeń, ale co to za różnica. Poprzednie starcie pozbawiło mnie sił, wykorzystałem wszelkie rezerwy i raz czy dwa zwyczajnie pomogło mi szczęście. Ważne jednak było, że wciąż żyłem. Obserwowałem pulsujące bulwy na powierzchni monstrualnego pnia owego śluzowatego niby-drzewa. Ta rzecz obserwowała mnie niezliczoną ilością oczu rozmieszczonych po ścianach, sklepieniu i na wyrastających zewsząd wokół szypułkach. Obserwowała mnie i oceniała, wiedziała, że jestem wyczerpany, że brakuje mi sił, że jestem bliski końca.

Tylko to najgorsze jest dla mnie wystarczająco dobre.

Usłyszałem, że coś się poruszyło, obróciłem się. Z tyłu nadchodził tuzin wojowników, którzy dotarli tu gdzieś z oddalonych tuneli. Mieli mnie spowolnić? Uniosłem się, pewnie chwyciłem bojowe młoty i ruszyłem im naprzeciw. Nie wahali się, ich władca najwyraźniej nie zdradził im, jak wygląda sytuacja.

Zmiotłem na bok miecz, strzaskalem rękę, która go trzymała, zablokowałem pchnięcie, odrzuciłem napastnika kopniakiem i ciosem z góry roztrzaskalem hełm razem z głową. Kolejnemu rozłupałem pierś. To nie byli przeciwnicy, z którymi potykałem się tu, w wielkiej sali. To przypominało zabijanie bydła w rzeźni.

Chwilę potem żaden z nich nie stał już na nogach, wszyscy zamienili się w śluz. Rozległo się przeciągłe, głośnie młaśnięcie. Centralny pień się rozstąpił, z jego wnętrza wybrzuszył się olbrzymi pęcherz, który pękł, uwalniając czterech wojowników. Ci byli bez zbroi, mieli jedynie miecze. Jeden z nich był naprawdę wielki, wyglądał jak jakiś golem.

Aktywność drzewa zmaląła, wyraźnie widziałem, jak linie mocy koncentrują się w tej czwórce, a najbardziej w tym największym. To coś postanowiło zawalczyć ze mną osobiście. Widziałem tylko na jedno oko i nie miałem pojęcia, czy dlatego, że drugie straciłem, czy byłem tak brudny. Nie miałem nic do stracenia, nie było się nad czym zastanawiać. Ruszyłem na nich.



Rzecz po raz pierwszy ruszyła do walki samą sobą, bez pomocy jakichkolwiek pośredników. Swą pełną, niczym nieograniczoną świadomość wtłoczyła do ciała dwuipółmetrowego mężczyzny, który oddzielił się z jej masy jako ostatni. Pozostałe trzy formy zawierały jej kopie, jednak na granicy samoświadomości. W głównym ciele pozostawiła jedynie załączek, zabezpieczenie na wszelki wypadek. Zostawiła tę część zanurzoną w półśnie, ograniczoną, o wiele mniej rozwiniętą niż ona sama. Wiedziała jednak, że nie potrwa to długo. Każde jej oddzielne ja zacznie się błyskawicznie rozwijać. Wiedziała, że późniejszy bój o panowanie nad samą sobą będzie ciężki, ale już raz sobie z tym poradziła.

Mężczyzna zaatakował błyskawicznie, jakby naprawdę nie mógł się doczekać śmierci. Pierwsza z jej kopii skończyła z rozprutym brzuchem i poderżniętym gardłem, drugi wojownik zepchnął jej

nieprzyjaciela do defensywy, obaj znaleźli się nagle w węźle, w który bezlitośnie uderzyło jej trzecie ja. Płatanina ciał się rozłączyła, berserker znów był na nogach, druga kopia zaatakowana przez trzecią rozpływała się w podstawową materię. Jej trzecie ja zamarkowało atak, ale Rzecz widziała, że coś jest nie tak. Przesunęła się za nie w samą porę, aby powalić je ciosem w plecy, zanim zdążyło się obrócić do ucieczki. Musiała wytworzyć wadliwą kopię, inaczej nie potrafiła tego wyjaśnić.

Stała twarzą w twarz z przeciwnikiem. Już nie miał bojowych młotów, trzymał dwa krótkie miecze o szerokich klingach zwężających się w ostre groty.

Skrzyżowali ostrza po raz pierwszy. Czowała, że te jego nie są zwyczajne, że integrują się z mocą skumulowaną masą jej monstrualnego ciała. Teraz wreszcie mogła użyć wszystkiego, czego się nauczyła, czego jej pojedyncze, podrzędne części nie wiedziały albo nie potrafiły wykorzystać.

Gradem błyskawicznych ciosów zepchnęła go do defensywy, odcinała z niego kawałeczki po kawałeczku, części jego zbroi padały z brzękiem na posadzkę. Czowała jego rosnące wyczerpanie, ból od poniesionych ran, a równocześnie przepełniające go poczucie szczęścia. Nie mogła tego pojąć. Powinien się bać nadchodzącego końca, a on go z jakiegoś niezrozumiałego powodu oczekiwał, cieszył się nań, choć równocześnie ze wszystkich sił starał się go jak najbardziej oddalić.

W jakiś niepojęty sposób udało mu się przejść do kontrataku, jego ostrze sięgnęło jej piersi. Rzecz wygięła się w biodrach, zanim rana była zbyt poważna, łokciem odbiła jego ramię i uderzeniem jelca trafiła go w twarz. Uderzenie zainkasował, ale na ziemię nie padł. Zbił jej ostrze i sam zaatakował niskim pchnięciem. Rzecz poczuła, jak jego ostrze ześlizguje się po kolczudze i wbija w udo.

Myśl o tym, że walcząc z nim, mogłaby naprawdę umrzeć, zepchnęła do najgłębszego kąta swej świadomości. Zawsze mogła ustąpić i wystawić przeciw niemu zastępy swych podporządkowanych sług, którzy zwyczajnie zaleją go masą ciał.

O ile zdoła ustąpić, przemknęło jej przez głowę. I tę myśl zapuszkowała jak najgłębiej.

Wpadła na niego, by nie dać mu przestrzeni do kolejnego pchnięcia, i wykorzystując przewagę wysokości, rąbnęła go łokciem w miejsce, gdzie szyja przechodzi w bark. Otrząsnął się, poprawiła raz jeszcze, ale kości wytrzymały. Czują, jak miesza się ich krew, ich więź wzmocniła się, zaczęła rozpoznawać bardziej szczegółowe wzory niż na odległość. Palcami namacała jego oczy, skulił się pod nią i przerzucił ją przez ramię. Upadła, ale nie puściła, padła na plecy, on na nią, uderzeniem czoła złamał jej nos.

Kolejne rany, zacieśniający się, aż niemalże intymny kontakt. Miała w niego coraz lepszy wgląd, dostrzegala coraz więcej drobiazgów i zaczynała je kopiować. Jego rany i wyczerpanie już dawno powinny go były posłać na drugą stronę, on jednak stawiał coraz większy opór.

Siłując się, przetoczyli się kilkukrotnie w lewo i w prawo. Czują, jak wyszukuje słabe punkty, przeciw którym mógłby użyć swej nadzwyczajnej siły. Dostał się pod nią, wygiął ku górze w mostku i pozbawił ją oparcia. Wykorzystał to i założył jej chwyt na ramiona. Czują, jak stopniowo zwiększa nacisk. Odpowiedziała mu, zwiększając masę i objętość swego ciała.

Wzmocnił ucisk.

Sczytywała jego wzory najszybciej, jak tylko zdołała, poszukiwała tych właściwych, odpowiadających za jego graniczącą z niezniszczalnością odporność. Miała go. Głównymi składnikami były złość, nienawiść, wściekłość, agresja. Skopiowała go, ale efekty nie były zadowalające. Musiała skupić się na zmianie własnego ciała, żeby nie zaczął łamać jej kości. Jakby tego się po niej spodziewał, zaczął instynktownie szukać nowych słabych miejsc, nowych punktów zaczepienia.

Wnikała głębiej we wzory, odkryła ich głębsze struktury i dodała je do obrazu. To jej umożliwiło zwiększenie sił poza kolejną granicę, wreszcie zaczął się poddawać, kapitulować przed jej stale rosnącym i wzmacniającym się ciałem. Dodała po dwa dalsze stawy do swych ramion i dzięki temu wyswobodziła je z jego blokady, dziobem na

czole zadała mu ranę w skroń. Kości nie udało jej się przebić. Jeszcze.

Coś wychrypiał, ale zamiast się poddać i wreszcie umrzeć, na chwilę uwolnił swój uścisk, przemieścił punkt oparcia i z dziecinną łatwością złamał jej nadgarstek. Potem dostał się za jej plecy, zdołał wepchnąć jej rękę pod pachę i chwycił za kark, próbując go złamać.

Oszołomiona bólem Rzecz nie zdołała zareagować, krzyczała jedynie w agonii. Po chwili zdołała ją jednak opanować, zdławić. Nie lubiła bólu, tak jak i nikt inny. No, może z wyjątkiem tego wybryku natury, z którym walczyła. Z jej pleców zaczęły wyrastać ostre groty z keratyny.

„Dopiero to najgorsze jest dla mnie dość dobre” – zrozumiała wreszcie jego charczenie. Dostanie to, obiecała mu, wszystko, co najgorsze.

Zrozumiała jednak, że nie zdoła wyswobodzić się z jego chwytu. Groty oparły się o jego zbroję, kiedy swymi wywiniętymi do tyłu ramionami zaczęła go przyciągać do siebie. Równocześnie pozwoliła grotom rosnąć dalej i wciąż analizowała wzory. On odpowiedział mocniejszym naciskiem na jej kark.

Gdyby od pierwszej chwili zagrożenia instynktownie go nie pogrubiała, już dawno byłaby martwa. Miałaby się przemienić w coś zupełnie innego, niebezpieczniejszego, groźniejszego? Dającego więcej możliwości niż pseudoludzka forma? Nie przećwiczyła tego, odrzuciła tę myśl. Zanimby tego dokonała, zabiłby ją.

Zamiast tego znalazła kolejne wzory wewnątrz jego ja, skopiowała je i zyskała dodatkową siłę, kolejne zdolności. Ale i on jakimś zagadkowym sposobem zwiększył swój nacisk.

Uściskiem miażdżyła jego korpus i równocześnie dociskała go do swych kolców. Stal zaczęła ustępować, po niej ochronna koszula, wreszcie przyszła kolej i na jego ciało. Zwyciężyła.

Zamiast umrzeć, zwiększył ucisk w stopniu przekraczającym jej możliwości. Poczula strach. Co przegapiła? Znów skupiła się na jego wzorach. Główne struktury i ich detale przeanalizowała właściwie, ale każdy z drobnych szczegółów skrywał w sobie jeszcze mniejsze, jeszcze drobniejsze substruktury, których wcześniej nie dostrzegała,

które zaniedbała. Wróciła do nich, czytała je, analizowała i kopiowała, ale wciąż nie potrafiła znaleźć końca, elementarnej pierwiastka jego ja. Gniew, nienawiść, wściekłość, agresja, ale i dalsze ludzkie uczucia i emocje, więzi, których u tak przerażającego wojownika zwyczajnie nie oczekiwała. Wszystkie były ze sobą tak splątane, splecione, przenikające się, że zwyczajnie nie mogła ich odczytać, a już tym bardziej skopiować. Bez znaczenia, czuła, że jej kolce wbijają się w ciało przeciwnika głębiej i głębiej, zbliżają do jego serca i innych życiowych organów. Krwawił obficie, musiał wreszcie omdleć i umrzeć. Potem ich więź zacieśniła się jeszcze bardziej, przyszedł moment, by go pochłonąć.



– I to, co najgorsze, jest dla mnie dość dobre – wychrypiałem i skręciłem tej kurewskiej pokraccie kark.

Ogarnęła mnie fala czegoś, czego nie rozumiałem, co próbowałem zignorować, wypchnąć z siebie. W oddali dostrzegłem, jak z półmroku wyłoniło się kilka postaci, wśród nich Zuzanna. Ostatnich obrońców głównego wroga pokonali niczym kukielki, niemalże nie zwalniając kroku. Skupili swoją uwagę na pniu niby-drzewa, zdając sobie sprawę z tego, że monstrum wciąż tam przebywa. Zamknąłem oczy. Nie, nie zamknąłem, na chwilę utraciłem zdolność widzenia. To już jednak było bez znaczenia. Coś we mnie pękło.



Zachowane na później ja, ukryte w głównym ciele Rzeczy i przeznaczone na późniejsze pochłonięcie, uświadomiło sobie swoją szansę na stanie się samodzielnym, głównym ja. Bez wahania przejęło władzę nad setkami ton materii, która natychmiast stała się jego ciałem. W jednym mgnieniu oka podporządkowało sobie

wszystkie wytworzone i dopiero tworzone byty. Narodziła się nowa Rzecz.

Przyszedł czas na zajęcie się zagrożeniami, z którymi musiała się rozprawić w pierwszej kolejności. Berserker umierał, z jego strony nic jej już nie groziło, jednak pozostała czwórka wciąż była niebezpieczna.

Centralny słup potężniał z każdą sekundą dzięki setkom kilogramów nowej materii, jaką Rzecz zaczęła w niego pompować. W kilka chwil powiększył się na tyle, że potrzebowaliby długich minut, aby zagrozić mu zwykłą bronią. Równocześnie ukończyła tworzenie dziesiątek nowych wojowników i dała im jeden rozkaz – bronić swego twórcy.

Kilka tuzinów wojowników o różnym poziomie zdolności spieszyło ku centralnej sali, kolejni rodzili się w niezliczonych łonach jej wielotonowego ciała. Może i nie byli tak dobrzy jak obdarzeni własną inteligencją poprzednicy, ale nadrabiali ilością. Ich zastępy z łatwością zdołają roznieść na strzępy mizerną garstkę nieprzyjaciół. I wciąż rodzili się kolejni i kolejni. Rzecz wiedziała, że za kilka chwil będzie miała do dyspozycji setki.

Trzej wyczerpani mężczyźni z mieczami w rękach kroczyli naprzeciw zastępom wojowników o czerwono żarzących się oczach. Między nimi kobieta o zapadłych policzkach, ledwie trzymająca się na nogach. Ta kobieta była czarodziejką, Rzecz przypomniała sobie ze wspomnień swojej poprzedniczki. Czarodziejką, która o mało jej nie zabiła i która zadała jej tyle cierpienia. Na szczęście nie miała już sił, nie była zdolna do dalszego użycia magii. Rzecz jednak nie myślała o zemście, nie chciała jedynie popełnić błędu poprzedniczki, która za wszelką cenę pragnęła przeciwników pochwycić i wykorzystać. Ona chciała ich po prostu zabić. Pierwszy z jej wojowników wbiegał właśnie do sali. W mgnieniu oka miała przewagę dziesięciu, dwudziestu do jednego. Zadusi ich samą ilością ciała, jakie miała do dyspozycji.



Zuzanna skoncentrowała się na gigantycznym, stale powiększającym się pniu pulsującym obsceniczną imitacją życia. Wyczerpana i poraniona, nie powinna nawet kontemplować manipulowania mocą. Najmniejszy błąd oznaczał śmierć.

Zakłęcia rozkładu tym razem jednak nie wymierzyła w wojowników, których pierwsza fala rzucała się właśnie na jej towarzyszy, ale bezpośrednio w Rzec przed sobą. I we wszystko do niej podobne, wszystko z nią powiązane, wszystko, co się z niej wywodziło.

Zmaterializowała diagram przed swym wewnętrznym wzrokiem i ożywiła go wszystkimi rezerwami mocy, jakie jeszcze posiadała, jakie tylko udało jej się zmobilizować. Blisko Rzeczy, która moc przyciągała i koncentrowała samą swoją obecnością, było to łatwiejsze, niż się spodziewała. Zuzanna stłamsiła w sobie odruch samo zachowawczy, włożyła w zakłęcie więcej, niż mogła sobie pozwolić, nie zostawiła sobie nic, nawet najmniejszej drobin, by uchronić się przed napływem energii z jej pozbawionego mocy ciała. Odczuła to, jakby z pełnego rozbiegu uderzyła prosto w ścianę. Padła bez świadomości w na wpół ożywiony śluz przelewający się pomiędzy niby-korzeniami, z jej niewidzących oczu ciekła krew.

Gruman, Kyryzi i Valer, rozstawieni w trójkąt, stawiali czoła istniej lawinie tłoczących się na nich przeciwników. Ci z tyłu wpychali się na tych z przodu, szli na nich bez broni, ale i bez strachu. Pod nieustającymi ciosami przemieniali się w ciekący śluz, który nawarstwiał się, spiętrzał, zaczynał powoli spychać ludzi do tyłu. Z każdą sekundą pozostawało im coraz mniej przestrzeni.

Zuzanna zorientowała się, że znów widzi i nadal wpatruje się w pulsującą powierzchnię monstrualnego pnia. Nic się na niej nie zmieniło.

Gruman upadł, Valer zbił cios, który miał mu rozłupać czaszkę, i sam w ostatniej chwili uniknął pchnięcia, które rozcięło mu skórę na skroni. Z zalaną krwią twarzą stracił orientację, dwa ostrza wbiły mu się w brzuch. Pozostał już tylko Kyryzi.

Zawiodła.

Kyryzi w ostatnim zrywie posłał na ziemię jeszcze dwóch nieprzyjaciół, po czym sam znalazł się szczelnie otoczony przez krąg ostrzy... które w następnej chwili zaczęły wypadać z bezwładnych rąk.

Powierzchnia centralnego pnia zzieleniała, zaczęły się nią przelewać wzburzone fale. Ze stropu spadł deszcz śluzu o najróżniejszej konsystencji. Zaczął się rozkład. Nagle na nogach nie pozostał już ani jeden z nieprzyjacielskich wojowników, wszyscy równocześnie zaczęli się rozpląwać w nieokreśloną, wydzielającą ostry zapach ciecz.

Valer usiadł ze stęknieniem, rękę trzymał na brzuchu, gdzie trafiły ostatnie ciosy. Ani jeden z nich nie przebił zbroi. Gruman stanął o własnych siłach, Zuzannie pomógł Kyryzi. Zdołała zrobić kilka kroków ku swemu ojcu, siedła obok niego, położyła mu rękę na ramieniu i siedziała tak bez ruchu. Wciąż jeszcze nie była pewna, czy sama przeżyje. Miała wrażenie, że gdzieś wewnątrz niej coś się przełamało. I bała się, że straciła dziecko. Czegoś takiego nie mogłoby przecież przeżyć. Ale może były to tylko skutki magicznego wyczerpania. Może.

– Chybaśmy zwyciężyli – powiedział Valer, ale nie zabrzmiało to zbyt pewnie.

– Chyba tak – przytaknęła.

Nie czuła triumfu. W ogóle nic nie czuła, jedynie pustkę.

– Zrobisz, jak powiedziałaś? – zapytał ktoś i ciało ojca drgnęło pod jej dłonią.

Obróciła się ku niemu, zamiast twarzy miał wielką plamę zielonego śluzu, jego oddech przebijał się przezeń, tworząc bąble. Wiedziała, o co pytał. Zaczęła mu czyścić twarz. Jego skóra była zimna, nieomal mroziła.

– Tak – odpowiedziała. – Kończę z tą robotą. Znajdę sobie miejsce z daleka od cesarskich i tam będę żyć w spokoju. W spokoju.

Widziała, jak ojciec się uśmiechnął. Uścisnęła jego dłoń.

Rozdział 45

Epilogi

Vuki



Vuki uświadomił sobie, że oprócz pragnienia i głodu nic innego nie zmusza go do tego, aby uwolnić się z łańcucha. I smrodu. Spędził w pokoju ładnych kilka dni bez możliwości wybrania się do toalety.

W pierwszej chwili chciał zawołać o pomoc, ale szybko się rozmyślił. Nawet gdyby ktoś przyszedł, nie mógł liczyć na to, że by mu pomógł. Bo i niby czemu? Popatrzył na swoje zakrwawione palce. Nie wyglądały najlepiej, ale wciąż mógł nimi poruszać, choć sprawiało to ból. Palec wskazujący prawej ręki od ostatniego stawu całkowicie poczerniał, ale ten problem rozwiąże później. Choćby nożem, jeśli taka zajdzie potrzeba.

Przez chwilę sprawdzał, czy rzeczywiście żaden głos nie nawołuje go do zejścia do podziemi miasta. Niczego takiego nie słyszał i jedyne, co go interesowało, to czy jak się już uwolni, wciąż znajdzie wszystkie swoje pieniądze ukryte pod deską w podłodze, w rogu pokoju. Minione dni zlewały się w ciąg niewyraźnych obrazów, w których jedynym dającym się wyodrębnić elementem był narastający ból pokaleczonych palców. Gdyby przyszedł tu ktoś, aby go okraść, z pewnością nawet by tego nie zauważył.

Vuki jeszcze raz skontrolował swoje zmysły, ale wciąż nic obcego go nigdzie nie ciągnęło, nie wołało. Popatrzył na belkę, do której był

przykuty. Zdołał dotąd odszczypać dobre dwie trzecie jej grubości. Jeden dzień ciężkiej pracy i może się uwolnić, szacował. Albo, uświadomił sobie nagle, może zwyczajnie skorzystać z zapasowego klucza, ukrytego za pasem. Kosztował go całe trzy miedziaki i jakimś niezwykle szczęśliwym trafem Vukiemu udało się o nim zapomnieć. Aż do teraz. Znów szczęśliwy zbieg okoliczności. Miał wrażenie, że szczęśliwym zbiegom okoliczności zawdzięcza swoje życie.

Uwolnił się z łańcucha i niepewnie stanął na nogach. Kiedy upewnił się, że zdołają go utrzymać, podszedł do stołu, na którym stał gliniany dzbanek przykryty woskowanym papierem, ściśle przewiązany sznurkiem wokół szyjki. Było w nim piwo. W trakcie swoich przygotowań postawił go za daleko i zorientował się, dopiero kiedy było już za późno, aby naprawić ten błąd.

Piwo było ciepłe i częściowo zwietrzałe, a mimo to było to najlepsze piwo, jakie w życiu miał w ustach. Pił, dopóki wystarczyło mu oddechu, aż opróżnił dzban. Siadł ciężko na krześle i przez długą chwilę wpatrywał się w swój pokój, który w ostatnich dniach stał się zarówno jego więzieniem, jak i ratunkiem przed... no właśnie, przed czym? Cokolwiek to było, oznaczało śmierć, tego był pewien.

Uświadomił sobie, że szumi mu w głowie, czemu nie należało się dziwić. Wychylił właśnie wielki dzban piwa na pusty żołądek. Alkohol i głód, który piwo w nim wzmogło, pomogły mu się otrząsnąć z myśli o tym, co właśnie przeszedł. Zaczął planować kolejne kroki.

Zajrzał do dzbana. Był pusty. Gdyby miał sobie zaserwować jeszcze jeden taki, wątpił, czy udałoby mu się zrobić wszystko to, co zrobić powinien. Posprząta pokój, wyczyści podłogę, doprowadzi się do porządku i przyniesie coś do jedzenia. Dopiero potem pozwoli sobie na kolejny dzban piwa.



Kilka dni później Vuki zbliżał się do bramy miejskiej Grafzaty. Na ramionach miał plecak, w nim kilogram suszonego mięsa, trochę

wędzonki, dwa kilogramy mąki i poobijaną patelnię. Pozwoli mu to przez kilka dni unikać wyszynków, będzie mógł posilać się sam, w lesie wzdłuż drogi, tak aby jak najmniej rzucać się ludziom w oczy, aby zostawić za sobą jak najmniej śladów. O ile, po pierwsze, zdoła się z miasta wydostać.

Szedł ostrożnie, stawiając niepewny krok za krokiem, czekał, kiedy znów dopadnie go złe samopoczucie, ból i słabość.

Miejska brama zbliżała się, serce Vukiego zaczęło bić coraz szybciej, przyspieszył mu oddech i kręciło się w głowie. Nie zdoła odejść, to się nie skończyło. Rzecz w podziemiach wciąż tu jest i wciąż ma go w swojej mocy. Strażnik rzucił mu obojętne spojrzenie. Sytuacja w mieście jeszcze nie wróciła do normy, w zgliszczach wciąż znajdowano ciała i nowe teorie o tym, co się stało w Grafzaty, pojawiały się co pięć minut. Niepozorny piechur był ostatnim, co by go zainteresowało.

Vuki uświadomił sobie, że bez problemów przekroczył bramę, ma za sobą kawałek drogi i definitywnie opuścił miasto. W jednej chwili wszystko z niego opadło. Czuł się po prostu wspaniale, wszelkie oznaki fizycznej słabości zniknęły. Wszystko zaistniało jedynie w jego głowie, tylko i wyłącznie. Czuł się wolny, czuł się dobrze jak jeszcze nigdy w życiu.



Kiedy już dostatecznie oddali się od tego przekłętego miasta, zastanowi się, co zrobić z zarobionymi pieniędzmi. Miał wrażenie, że nauczył się czegoś nowego. Przy zachowaniu ostrożności z kartami i kośćmi mogło mu się darzyć jeszcze lepiej niż poprzednio. Przekroczył linię wykonaną z białych krzemienych bloków osadzonych w bruku drogi. Zwrócił na nią uwagę, już kiedy przybył do Grafzaty. Teraz jeden z wielkich kamieni został wydłubany z drogi i leżał odrzucony na bok, omywany morskimi falami. Wyglądało, jakby ktoś zrobił to umyślnie, ale Vuki wiedział, że morskie prądy czasem tak dziwnie działają. Po co ktoś miałby się

trudzić z wydłubywaniem kamiennego bloku, by raptem porzucić go o kilka metrów dalej? Vuki kontynuował swą wędrówkę. Tutaj już wracać nie zamierzał. Nigdy.

Kyryzi

Kyryzi obserwował, jak Katrin płaci sukiennikowi. Suknia z kwiecistym wzorem bardzo jej pasowała i wielu mężczyzn posyłało jej pożądliwe spojrzenia. Kyryzi stał na tyle blisko, aby było widać, iż są na targu razem, a równocześnie na tyle daleko, aby mogła swobodnie się targować. Wóz z towarem był już niemal pełen, potrzebowali jeszcze tylko świeżych owoców. Z podziemi wróciła ich jedynie garstka, ale potrzebowali nowych ubrań, sprzętu i składników, których baronówna używała do leczenia, i zapasów, w miarę jak zaczynali przygotowywać się do opuszczenia miasta.

Dostrzegł mężczyznę, który spoglądał na Katrin inaczej, bardziej jak na łup niż obiekt męskich chuci. Byli z nim i inni i cała grupa zaczęła się powoli zbliżać do Katrin i wozu. Asysta jednego człowieka najwyraźniej ich nie deprymowała. Kyryzi przesunął się nieco bliżej Katrin i tak, aby wejść w drogę pierwszemu z grupy. Nie wiedział, czy chcą ją tylko okraść, czy może okraść i uprowadzić, by zdobyć również okup. Było mu wszystko jedno. Nawiązał kontakt wzrokowy z przywódcą bandy, instynktownie wyczuwał, kto nim był. Nie włożył do swego spojrzenia żadnej groźby, jedynie dał tamtemu do zrozumienia, że o nim wie.

Mężczyzna zawahał się, zwolnił, po czym nagle obrócił się i rozpłynął w tłumie. Pozostali za nim. Kyryzi poczuł ukłucie niezadowolenia. Dokonał, czego chciał, ale...

Zauważył, że Katrin mu się przygląda.

– Bali się ciebie – oceniła sytuację. – Mężczyźni się ciebie teraz boją.

– Nie spierał się.

– Bali się i wcześniej. – Wzruszył ramionami.

– To prawda, ale teraz bardziej.

Miała rację.

– A ty?

– Ja nie – zaśmiała się. – Ja nie jestem mężczyzną.

Kyryzi ruszył spokojnym krokiem ku wyjściu z targowiska. Ludzie rozstępowali się przed nim i nikt nie odważył się spojrzeć na niego dwukrotnie. Katrin z wozem trzymała się z tyłu. Pomyślała, że ludzie reagują teraz na niego jak na wiecznie chmurnego ojca baronówny. Zmienił się, oni wszyscy się zmienili, ale on najbardziej. Życie jednak toczyło się dalej i cieszyła się na każdy nadchodzący dzień.

Gruman

Gruman ostrożnie usiadł w fotelu, nieznacznie się przy tym przechylając na lewo, aby nie urazić wciąż gojącego się prawego boku. Życie nadal smakowało mu wyjątkowo. Po tym, kiedy zdecydował się wejść jeszcze raz do kanałów z Valerem i jego ludźmi, stracił wszelką nadzieję, zakładał, że nigdy nie wróci na powierzchnię. Tak się nie stało, jednak powrócił bardziej martwy niż żywy, poraniony, oblepiony brudem i przytruty rozkładającym się śluzem. Uratowała go troska i opieka baronówny. Za pomocą zaklęć i magicznych artefaktów uleczyła jego i pozostałych, jednak ludzi Valera zostało zbyt niewiele, aby... To już nie był problem Grumana. On żył.

Kelner pojawił się po raz drugi. Bez pośpiechu, bez nalegania, dawał jedynie do zrozumienia, że jest gotów zareagować na jakiegokolwiek życzenie szanownego gościa. W równie luksusowych restauracjach Gruman siedział jedynie kilkakrotnie, za każdym razem w związku z pracą, jego własna kieszeń nie była na tyle głęboka. Tym jednak razem nie myślał o pieniądzach. Corinne by się tutaj podobało, wszystko miałoby właściwą oprawę. Może do rozmyślań powinien zamówić dzbanek piwa, przyszło mu do głowy.

– Cóż wam mogę zaproponować, panie? – kelner właściwie zinterpretował wyraz jego twarzy.

Gruman dostrzegł znajomą sylwetkę.

– Dwa piwa i dwa rummy. Dobre rummy – uściślił. – Czekam na przyjaciela.

– Rozumiem, panie – odpowiedział kelner z ukłonem.

Ze względu na zmarszczki i białe włosy wiele osób z pewnością uznałoby go za starca, jednak on sam sprawiał wrażenie, że obsługa gości to dla niego niewysłowiona przyjemność, że jest niemalże sensem jego żywota. Może przeczuwał, że ten żywot niedawno o mało co się nie skończył, przyszło Grumanowi do głowy.

Keshua usadził się za stołem z kocią gracją, która boleśnie przypomniawsza Grumanowi, w jak mizernym stanie jest on sam. Cieszył się, że w ogóle może chodzić.

– Widzę, że dobrze ci się powodzi – powiedział jego były partner zamiast powitania.

Kelner postawił przed każdym z nich piwo i rum serwowany według miejscowej tradycji, ze szklanką wody i w szlifowanym kieliszku.

– Widzisz. – Gruman wskazał na drinki na stole, uniósł swój kieliszek, ale za chwilę z powrotem go odstawił. – Ale cieszę się, że i ty wyglądasz wcale dobrze – dodał, nawet nie próbując silić się na przyjacielski ton.

– Fakt. Sporo rzeczy mi ostatnio wyszło – przytaknął Keshua i powąchał rum. – Dobry napitek – ocenił. – Za to ty nie wyglądasz najlepiej. Z drugiej strony zaczynasz nowe życie.

Grumanowi przebiegł mróz po plecach. Na całym ciele wystąpiła mu gęsia skórka, a serce na dwa uderzenia się zatrzymało. Na zewnątrz jednak nie dał niczego po sobie poznać.

– Czemu tak myślisz? – odparł i popróbowował zaserwowanej wody.

Zrobił minę, jakby coś mu się w jej smaku nie spodobało. W głowie miał gonitwę myśli. Jedno było pewne, w ciągu ostatnich dni Keshua zdołał go wysledzić aż do Corinne i Haaka. To wystawiało ich na niebezpieczeństwo. Ta świadomość mroziła Grumana. Z drugiej strony nie powinien być zaskoczony. W ostatnich dniach myślał jedynie o tym, by utrzymać się przy życiu, inne zagrożenia zeszły na dalszy plan. Powinien był być ostrożniejszy.

– Ta wdowa ma swoje lata, ale coś w sobie jeszcze ma. W łóżku musi być naprawdę niezła, co?

Keshua wychylił rum i przybrał zaskoczony wyraz twarzy.

– Wyśmienity – ocenił.

– Przykrywka. Wtapiam się w miejscową społeczność – odparł sucho Gruman i też wypił.

– Świetna wypitka. Żyjesz sobie całkiem niezłe, jako rybak na pewno na to nie zarabiasz.

– Pewnie, że nie – zgodził się Gruman. – Dorabiam na boku. Jeszcze raz poproszę – zwrócił się do kelnera. – Podwójny. Dla nas obu.

Kelner wyglądał, jakby wychylenie podwójnych rumów jeszcze przed obiadem było najlepszym pomysłem, o jakim kiedykolwiek usłyszał. Gruman wyszedł do toalety, starając się iść jak najostrożniej, by nie pokazywać, jak bardzo jest pokiereszowany, jednak wiedział doskonale, że Keshua ma zbyt duże doświadczenie, aby tego nie dostrzec. Wysikał się, po czym stał jeszcze chwilę, patrząc na swoje ręce. Trzęsły się. Patrzył na nie dopóty, dopóki nie stały się równie nieruchome i zimne jak on sam w środku. Wrócił do sali. Keshua wciąż siedział na swoim miejscu.

– Długo tam siedziałeś – skostatował młodszy zabójca.

Gruman skinął głową.

– Nie jestem całkiem zdrowy, ale potrzebuję jedynie kilku tygodni spokoju. Wezmę się w garść i złożę raport o wszystkim, co ustaliłem. Mam to już spisane. Posada rezydenta mnie nie minie.

– Znakomita wiadomość. – Keshua uniósł kieliszek z rumem, ale zaraz znów go odstawił, widząc, że Gruman przywołuje kelnera.

– Poproszę wasze sławetne menu dla dwóch, to z homarami – zamówił. – Albo nie, dla mojego przyjaciela coś według jego własnego gustu, niech sobie wybierze.

Oparł się o stół i przyglądał, jak Keshua studiuje menu i omawia je z kelnerem. Rwało go trochę w boku, przypomniał sobie, że baronówna ostrzegła go przed silnymi emocjami i napięciem. Powinien uważać, żeby nie porozrywać wewnętrznych szwów, które mu pozakładała. Nie ma sensu się denerwować, pomyślał. Jednak

w pojedynku z Keshuą nie miałyby w tej chwili najmniejszych szans. Tego był absolutnie pewien.

– To będzie właściwie wszystko – zakończył dyskusję z kelnerem młodszy zabójca.

– Z tego, co wiem, zabicie dowódcy oddziału baronówny nie za bardzo ci się powiodło. Wydaje się całkiem żywy – rzucił z lekkim uśmiechem Gruman.

Tamtemu jego uwaga nie spodobała się, ale starał się nie dać po sobie nic poznać.

– To nie jest Koniasz – przyznał. – Nie odpowiada rysopisowi, zrezygnowałem z tego planu. Nie do każdego szczęście się uśmiecha jak do ciebie. Może innym razem. Napijemy się?

– Jasne. Już mnie to ganiecie po całym świecie zaczynało męczyć. Za przyszłość. – Gruman uniósł kieliszek z rumem.

Wychylili je równocześnie.

– Tutaj wiedzą, jak żyć – ocenił Keshua.

– Co prawda, to prawda – zgodził się Gruman.

Obaj mężczyźni siedzieli chwilę w milczeniu, Keshua wyglądał na o wiele bardziej zadowolonego niż na początku rozmowy.

– Nie jest ci w tym upale zimno? – zaciekawiał się.

– Jest – zgodził się Gruman.

Odkąd wrócili z podziemi, nie mógł się nasycić słońcem i ciepłem.

– Myślałem, że mnie ten rum rozgrzeje – wzruszył ramionami – ale wciąż mi trochę zimno.

I nadal nie mógł się nacieszyć Corinne. Kiedy z nią był, w pełni sobie uświadamiał, że naprawdę żyje i jak życie może być cudowne. Jak wspaniale było czuć ciepło jej skóry, jej zapach, słyszeć szelest jej włosów. W podziemiach, w kanałach, sam siebie uznał za martwego. Nie pozwolił sobie na najmniejszy cień nadziei na powrót na powierzchnię. Gdyby tak zrobił, oszalałby, nie poradziłby sobie. To wszystko jednak zachował dla siebie.

– Najbardziej w koniuszkach palców u rąk i nóg, nie wydaje ci się?

Gruman popatrzył na swoje dłonie i na próbę poruszył palcami.

– Możliwe – odparł. – Wciąż jeszcze nie wróciłem do formy, ledwie się poruszam. Miałem trochę problemów.

– Zauważyłem – uśmiechnął się Keshua. – To poczucie zimna będzie postępować, ale pomalutku. Po nim przyjdzie utrata czucia i paraliż. Mózg jednak wciąż będzie funkcjonować. Słyszysz mnie, możesz odpowiedzieć, prawda?

– Myślę, że tak – odparł Gruman. – Słyszę dobrze, czemu bym nie miał?

– Doskonale – ocenił Keshua. – Dochodzi w końcu do tego, że człowieka ogarnia kompletny paraliż, choć pozostaje świadomy. Słyszy, myśli, ale nie może się poruszyć. Przypuszczam, że z czasem musi oślepnąć, bo nie jest w stanie mrugać oczami, więc będą musiały wyschnąć. Na koniec się udusi, kiedy przestaną reagować mięśnie klatki piersiowej. Ale to dopiero za dwa, trzy dni. Tak myślę, bo nigdy nie miałem okazji obserwować ofiary aż tak długo. Dwa razy nieboraka pogrzebali żywcem, bo myśleli, że jest martwy. Mój własny przepis. Co o nim myślisz?

Gruman nawet nie drgnął.

– To brzmi dość... okrutnie – odpowiedział wreszcie.

Keshua uśmiechnął się krzywo.

– W naszej branży okrucieństwo jest narzędziem – rzucił, wzruszając ramionami.

Gruman się nie spierał.

– Jeszcze dwa te znakomite rumy – poprosił kelnera.

– Twardy do samego końca. To mi się w tobie zawsze podobało – ocenił Keshua. – Nigdy nie dawałeś po sobie poznać, jak paskudnie się czuleś, jak bardzo ci się nie podobało to czy tamto.

Zamówienie zostało zrealizowane niemalże w mgnieniu oka, znów w towarzystwie szklaneczek wody. Gruman uniósł kieliszek, Keshua poszedł w jego ślady.

– Za rychłe końce – wzniósł toast Gruman, obaj wypili. Kieliszek wypadł Keshui z palców, nim zdążył go odstawić na stół.

Nierozumiejącym wzrokiem spojrział najpierw na kieliszek, potem na swoją dłoń. Oparł ją na stole i dalej się w nią wpatrywał, jakby była dla niego czymś nowym, jakby do niego nie należała.

– Czujesz już chłód? – spytał go Gruman. – Tak jak mówiłeś, to powinno się zacząć od koniuszków palców, a brak czucia powinien

pojawić się nieco później, potem paraliż. Jednak możliwe, że pierwsze oznaki zamaskował ten wyśmienity rum.

– Podmienileś kieliszki – z paniką w oczach powiedział Keshua.

– Kiedy przeglądałeś menu – potwierdził Gruman. – Znam cię – wzruszył ramionami – wiedziałem, że nie przyszedłeś ot tak. Zamierzałeś mnie zabić, żeby móc złożyć taki raport, jaki by tobie pasował, jaki pomógłby ci w dalszej karierze. A trucizny to przecież twoja pasja.

– Zabiję cię stają – warknął Keshua i sięgnął po krótki miecz schowany pod płaszczem. Położył dłoń na rękojeści, ale palców zewrzeć już nie zdołał.

– Nie wydaje mi się – powiedział Gruman spokojnie. – Nie trzeba było mnie szukać. Powinieneś być zostawić mnie w spokoju.

– I ty myślisz, że z tą starą raszplą będziesz szczęśliwy? I z tym jej bachorem? – warknął Keshua.

– Nie jest stara – sprostował Gruman. – Ani nie jest raszplą. To ja jestem stary. A Haak... – Zamyślił się. – Sam ojca nie miałem, on też nie. To wspaniały chłopak, zawsze takiego chciałem.

Keshua chciał coś powiedzieć, ale za bardzo się wzburzył i jedynie sapał ze złością.

– Struny głosowe to też mięśnie. Spróbuj się bardziej skupić, może jeszcze dasz radę – poradził mu Gruman.

Keshua nabrał powietrza, by zaprotestować, ale tylko przełknął ślinę. Było widać, jak ze wszelkich sił stara się opierać postępującemu paraliżowi.

– To dla mojego przyjaciela. – Gruman wskazał kelnerowi, jak ma rozłożyć talerze. – I butelkę sherry, tej najlepszej. – Pokazał gestem, jak dużą butelkę chciałby zamówić. – Co zostanie, jest wasze. – Podał kelnerowi złociaka.

Ten nisko się uklonił i pobiegł zrealizować zamówienie.

– Czeka cię wspaniała kariera, przecież nie porzucisz jej dla jakiejś dupy.

Keshua mówił z trudem, jak ktoś z niesprawną krtanią. Było słyhać, jak wiele wysiłku go to kosztuje.

– Mam przy sobie surowicę – kontynuował z trudem.

Przybyła butelka sherry.

– Zostawcie nas teraz w spokoju, musimy coś omówić – zażądał Gruman. – Kariera. – Wzruszył ramionami. – Zrozumiałem, że nie jestem niezastąpiony. Również dzięki tobie.

– Tak ci się tylko wydaje, miałem informować o twoich poczynaniach, ponieważ czeka cię awans. Wielki awans – zareagował natychmiast Keshua. – Tę surowicę trzeba podać w ciągu godziny, później też może uratować człowiekowi życie, ale już wszystkich funkcji nerwów nie da się przywrócić. Człowiek zostaje inwalidą.

Gruman skinął głową i się napił.

– Powiedz mi o tym coś więcej. – Zignorował uwagę o surowicy. – Powiedz mi coś więcej o tym awansie.

Keshua posłuchał i mówił, dopóki był w stanie wydobyć z siebie głos. Brzmiało to całkiem przekonująco.

– Surowicę mam w ampułce, w kieszeni na piersi – zakończył.

Tę uwagę Gruman również zignorował.

– Jesteś doskonałym łgarzem, dużo lepszym niż ja – ocenił go. – Życzę ci wiele szczęścia, głównie w tym, żeby cię nie pogrzebali za życia – powiedział na pożegnanie i wstał od stołu.

Młodszy zabójca zmarszczył twarz, przewrócił oczami, ale nic więcej już nie zdołał uczynić. Gruman napełnił mu jeszcze kieliszek winem i odszedł.

Valer i Zuzanna

Valer obserwował, jak Zuzanna odkłada na stos papierów ostatni podpisany kwit. Nowy księgowy, Grabiński, jeden z rezydentów księcia na wybrzeżu, z którym udało im się w końcu skontaktować, dostał pełnomocnictwa, aby podczas nieobecności baronówny mógł ją zastępować w kwestiach związanych z handlem i opieką nad rezydencją.

– Jak długo zajmą przygotowania tobie i twoim ludziom? – Zuzanna obróciła się do Valera. – Ja już prawie skończyłam.

– Moglibyśmy wyruszyć choćby jutro, ale dobrze by było kogoś tu Grabińskiemu zostawić. Równocześnie chciałbym jak najwięcej ludzi zabrać z nami, a zostało nas raptem kilku. Zakładam, że pierwsze posiłki mogą tu dotrzeć za jakiś tydzień, dwa. Tych dziesięciu najszybszych i najlepszych.

– Tyle mogę poczekać – zgodziła się Zuzanna.

– Aż tak bardzo się nie spieszysz?

– Poniekąd, ale dwa tygodnie poczekać mogę – odpowiedziała bez dalszych wyjaśnień.

– Wydaje mi się, jakby to wszystko był sen, jakby nic z tego się naprawdę nie wydarzyło – Valer zmienił temat, stając przy oknie. – Jednego dnia walczymy w podziemiach, dziesiątki, setki, może tysiące ludzi dają się dobrowolnie – przerwał, szukając właściwego słowa – pochłonąć przez potwora. A za tydzień wszystko wraca na swoje miejsce, jakby nigdy nic się nie stało. Ludzie chodzą po ulicach, handlują, kłócą się, wszystko po staremu.

Zuzanna przyglądała mu się przez chwilę. Jak wszystkich, którzy przeżyli, i jego spotkanie z ISTOTĄ zmieniło. Ją również, ale ona była przygotowana na to, że coś tak NIENATURALNEGO może istnieć. Ona to, w odróżnieniu od pozostałych, POJMOWAŁA.

– O walce w podziemiach nikt nic nie wie – zaczęła miękko – a co do reszty, było to tak potworne, że ludzie chcą jak najszybciej zapomnieć. Zupełnie jak nocny koszmar. Żeby nie musieć sobie z tym radzić.

Może ty też powinieneś, pomyślała, ale na głos nie powiedziała nic. Valer odstąpił od okna, podszedł do stolika, nalał sobie kawy i z dzbankiem w ręce spojrzał na Zuzannę.

– Chcesz?

Zwalczyła falę nudności, która ją ogarnęła na samą myśl o smaku kawy w ustach.

– Nie. W ostatnich dniach jakoś przestała mi smakować. Zadzwoń, proszę, po Monikę, niech mi przyniesie herbaty.

Zadzwiećwał dzwonek, Monika zjawiała się niemalże natychmiast. Valera zignorowała, całą swą uwagę skupiała na Zuzannie.

– Życzycie sobie, pani?

– Dzbanek herbaty poproszę.

Sięgnęła do miski z owocami. Poranne nudności były bardziej męczące, niż oczekiwała, wciąż jeszcze nie mogła nawet myśleć o jedzeniu, a do południa było już całkiem niedaleko.

– Troszczy się o siebie, jakbyś była chora – zauważył Valer. – Wszystko z tobą w porządku? Nie zakaziłaś się czymś w podziemiach? Wszystkim nam poświęcałaś tyle uwagi, a samą siebie zaniedbałaś. Nie powinnaś się może położyć? – zalewał ją potokiem własnego niepokoju.

– Przestań – zatrzymała go. – Chora nie jestem na pewno.

Energia w jej głosie uspokoiła go. Jedynie najwyższym wysiłkiem powstrzymała się od uśmiechu. Chora nie była. Co to, to nie.

– To dobrze. – Napił się kawy, wpatrując się w Zuzannę.

Poważny, zamyślony...

Właściwie to nie spotkała przystojniejszego faceta, uświadomiła sobie. A dokładniej, nie spotkała faceta, który by się jej bardziej podobał. Od stóp do głów. Dopiero teraz zauważyła, że miał odrobinę wygięty na bok nos. Mogło to być wrodzone, a mógł to być efekt jakiejś bijatyki. Piękny z pewnością nie był. Ale właśnie dlatego tym bardziej się jej podobał. A dokładniej – Zuzanna była w nim bez pamięci zakochana. W jej wieku. W jej wieku z takich rzeczy można wyjść. Zapewne. Miała taką nadzieję.

– Mamy jeszcze jakiś problem? – spytała, kiedy dalej tylko stał i milcząco ją obserwował.

Ochoty na seks w jego wzroku w tej chwili nie było z pewnością, to już potrafiła dostrzec bez pudła, nawet kiedy starał się ją maskować. Do pewnego momentu. To też jej się w nim podobało.

– Nie, dlaczego? – zdziwił się.

Zuzanna wróciła do pracy. Układała sterty papierów w posegregowane pliki, każdy z nich uzupełniony o dokładny opis zawartości. Sama będzie potrzebowała trochę czasu, aby wszystko jeszcze raz dokładnie omówić z księgowym. Nie miała wątpliwości co do tego, że z kwestiami handlowymi i administracyjnymi będzie sobie radził lepiej niż ona. Równocześnie przez cały czas wciąż spod

oka obserwowała Valera. Wyglądał naprawdę zaskakująco poważnie.

Zuzanna uświadomiła sobie, że zaczyna się niepokoić. Powody jego złego humoru wydawały się nie mieć nic wspólnego z ich wcześniejszą przeprawą, tu chodziło o coś innego.

– Kwestie bezpieczeństwa? Problem z Janickiem?

Pytała, choć były to kwestie, które w najmniejszym stopniu jej nie martwiły. To były rzeczy, którymi zajmował się Valer, a był w tym zwyczajnie najlepszy.

– Nie. – Pokręcił głową. – Janick był między pierwszy mi, którzy uciekli z miasta. Praktycznie natychmiast, jak tylko przerwaliśmy linię diagramu zaklęcia wiążącego.

To jej nie uspokoiło.

– Z czasem i tak przestałoby funkcjonować, zgaduję, że po paru tygodniach, może miesiącach. Aktywowała je sama obecność tej rzeczy i wywołane nią zmiany w polu mocy – wyjaśniła z pozoru beznamiętnie.

– Zrobiliśmy to i zadziałało. – Wzruszył ramionami. – Umknął w ostatniej chwili, wiedział, że byśmy go bez problemu znaleźli. Pracuje dla cesarza i wie, że jesteś czarodziejką, stanowi dla nas zagrożenie.

Pochmurny wyraz nie zniknął z jego twarzy. Czas ich współpracy w Grafzaty dobiegał końca, doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Przyszłość otwierała się we wszystkich możliwych kierunkach.

Rozległo się pukanie do drzwi i zjawiała się Monika z herbatą. Valer z podziękowaniem przejął od niej tacę i dał jej znać, że może odejść. Zuzanna widziała, jak zbiera się w sobie, żeby coś powiedzieć, ale po chwili się rozmyślił.

Niepokoiło ją, co ma nadejść. Nieco sztywno wstała z krzeselka przy biurku i przeniosła się na fotel przy stole konferencyjnym, gdzie mogła usiąść znacznie wygodniej. Zanim zdążyła się usiąść, objął ją i pocałował w szyję. Nie był to ten delikatny dotyk, jak kiedy wdychał zapach jej włosów. Cały był spięty, zeszywniały, czuła, jak nabiera głęboko powietrza.

– Przeżyliśmy, skończyło się – odezwał się poważnym, niemalże ponurym głosem. Popadał w ten ton za każdym razem, kiedy wracał do wydarzeń z podziemi.

Nie wiedziała, czy ma się rozluźnić, czy pozostać spięta. Nigdy wcześniej taki nie bywał. Zmienił się, tak samo jak i wszyscy ci, którzy przeżyli. Nie mogła mu mieć tego za złe. Było cudem, że pozostali normalni. Pozornie normalni. Dalej stała spięta, opierała się o niego i czekała. I przygotowywała się na rozczarowanie, na rzeczywistość.

– Czegoś takiego nie możesz przeżyć ponownie, i raz to za wiele.

Przemilczała, że przecież zarówno on, jak i jego ludzie byli z nią w kanałach, pozwoliła, by mówił dalej.

– Poszliśmy tam, ponieważ przekonałaś nas, że jest to konieczne. Że inaczej się nie da. Sami nigdy byśmy tam nie poszli – kontynuował.

Na to nie mogła nic odpowiedzieć. Była to całkowita prawda. Ponoсила odpowiedzialność za wszystkich, którzy nie wrócili. I gdyby jeszcze raz miała podjąć tę decyzję, zdecydowałaby tak samo.

– Czegoś takiego nie da się przeżyć dwa razy – powtórzył. – Nie powinnaś się więcej tułać po terytorium wroga i walczyć z jego agentami – dodał miękko.

– A co innego mogłabym robić?

Pytanie zadała bez zastanowienia, nieomal bezwiednie. Potem poczuła, jak w jej objęciach jego napięcie powoli ustępuje, jak Valer próbuje się w nią wtulić jak najmocniej. Sama zaczęła się rozluźniać i uśmiechać.

– Powinnaś żyć bezpiecznie w jakiś pięknym miejscu z kimś, kto cię będzie kochał, i między ludźmi, którym możesz ufać – wyrzucił z siebie na jednym oddechu.

– To była oferta? – Obróciła się, aby zobaczyć wyraz jego twarzy.

Jeszcze nigdy nie widziała go tak zmieszanego.

– Owszem, oferta – potwierdził. – A na ofertę należy odpowiedzieć.

Widziała, jak znów cały stęzał.

– No więc... tak – odparła.

Roland nabrał głęboko powietrza, czuła, jak się odprężył, przyciągnął ją bliżej, niż się to wydawało możliwe, i zanurzył twarz w jej włosach.

– Wiedziałaś, że próbuję cię poprosić o rękę – zgadł.

– Dopiero pod sam koniec. Równie dobrze mogłeś mi oznajmić, że wszystko między nami skończone. Wyglądałeś, jakbyś rozgryzł kilo cytryn.

– Bałem się, jak zareagujesz. I nie pomagałaś! – poskarżył się i znów ją pocałował.

– Nie pomogłam, bo to coś, z czym sam sobie powinienes poradzić. Całkiem duży z ciebie chłopiec – przyznała po dłuższej chwili, nieco zdyszana. Ten wyraz jego twarzy znała naprawdę dobrze.

Jakiś czas później, w objęciach Rolanda i przykryta jedynie obrusem, uświadomiła sobie, że jest wreszcie potwornie głodna i że same owoce ze stołu z pewnością jej nie wystarczą.

– Myślisz, że dostałabym się nago niezauważona do kuchni po coś większego do zjedzenia? – spytała, przyglądając się częściom swojej garderoby porozrzucanym po całym pomieszczeniu.

Niechętnie uniósł głowę i zamrugał, spoglądając w górę, ku jej twarzy, pomiędzy wzgórkami jej piersi.

– Naga i niezauważona? Z pewnością nie. Jeszcze jakieś pytania?

Złapała go za dłoń, zanim całkiem oddał się dalszym nieprzyzwoitościom.

– A ty?

Przyglądała się, jak powoli świta mu znaczenie jej słów.

– Eee... też raczej nie. Ale pójdę po jedzenie.

Z uwagą, nieomal z nabożeństwem ucałował każdą z jej piersi, wymusnął się spod prowizorycznego przykrycia i zaczął ubierać.

– Doskonale. Rozwiązałeś zatem pierwszy z moich dwóch problemów.

– A ten drugi?

Przyglądała się, jak zapina koszulę i wciąga spodnie.

– Jesteś ubrany nieco bardziej nieformalnie niż zazwyczaj – stwierdziła. – Myślisz, że nikt tego nie zauważy? – dodała niewinnie.

– Nikt nie będzie komentować – zapewnił ją z surowym wyrazem twarzy.

– Tyle mi wystarczy.

– A ten drugi problem? – wrócił do jej wcześniejszej uwagi.

– No więc skoro seks jest jedynym sposobem na to, aby pozbyć się porannych mdłości i braku apetytu, ciekawa jestem, jak sobie z tym poradzisz w drodze, ponieważ ja potrzebuję do tego przynajmniej minimum prywatności.

Miała wielkie problemy z zachowaniem powagi. Widziała, jak się zastanawia nad jej słowami, jak w myślach powtarza: poranne nudności, brak apetytu...

– Jesteś w ciąży? – Jego twarz rozpromieniła się szczęściem, rozlał się po niej szeroki uśmiech. – Jak to?

– Mądrzejszych pytań nie miałaś? – roześmiała się.

W przeszłości wielokrotnie, kiedy usypiała sama, otoczona niebezpieczeństwem, pełna obaw, lęku, strachu, tuż przed zapadnięciem w sen wyobrażała sobie, jak ta chwila będzie wyglądać, jeśli się kiedykolwiek wydarzy.

To było lepsze niż wszystkie jej wyobrażenia razem wzięte.

Bakly

Stałem na ulicy i obserwowałem przelewający się wokół mnie uliczny ruch. W nowym kożuchu, który został uszyty na miarę i kosztował majątek, nie rzucałem się w oczy. Płaszcz pasował równie dobrze, co ten stary, który w podziemiach przesiąkł śluzem i potwornie przez to cuchnął.

Spaliłem go.

Później kuśnierz patrzył na mnie jak na wariata, kiedy nowiuteńki, dopiero co uszyty i opłacony złotem płaszcz rzuciłem na ziemię tuż przed jego zakładem, po czym czekałem tam do wieczora, aż koła wozów, buty ludzi i kopyta zwierząt pozbawią go dalece niepożądaną nowości. Trochę to pomogło.

Drugim powodem, dla którego tyle tam przesiedziałem, było to, iż musiałem zebrać się w sobie, żeby móc wstać i ująć choć kilka kroków. Szybko opadałem z sił, których w ogóle wydawałem się mieć niewiele. Było dla mnie oczywiste, że chodzi o skutki walki w podziemiach, ale Zuzannie nic o tym nie mówiłem. To była moja sprawa.

Przeszedłem do następnego skrzyżowania. Zataczałem się jedynie odrobinę, a kiedy się dobrze skoncentrowałem, to wcale. Wmieszałem się w ludzki nurt na zatłoczonej ulicy. Tłum opływał mnie niczym rzeka wystająca z fal skałę. Pod tym względem nic się nie zmieniło. Miałem tylko nadzieję, że nikt na mnie nie wpadnie. Nie byłem przekonany, czybym się utrzymał na nogach.

Na rogu zatrzymałem się przy straganie. Po części po to, aby się posilić, ale głównie dlatego, że znów musiałem odsapnąć. Wtrząchnąłem dwa solidne szaszłyki z owocami morza i splukałem je dzbankiem piwa. Musiałem go trzymać obiema rękoma, żeby się nie zalać, ale nikt nie zwracał na to uwagi. Jedzenie i picie smakowały wspaniale, jak już nic mi nie smakowało od lat. Uświadomiłem sobie, że te dni, kiedy na jakiś czas wydawało mi się, iż wraca do mnie węch i smak, były niczym w porównaniu z tym, co czują normalni ludzie. Teraz naprawdę warto było najeść się i napić. I oddychać.

Nad tym, co robić dalej, miałem czas zastanowić się dokładnie w trakcie dwóch tygodni spędzonych w łóżku. W podziemiach otrzymałem wiele ran, na szczęście żadna nie okazała się śmiertelna i wszystkie goiły się z szybkością graniczącą z cudem. Tylko ta słabość... Początkowo wszyscy zrzucali to na karb wyczerpania po walce i odniesionych ran, ale ja wiedziałem, że jest w tym coś więcej, że to skutek pojedynku z tą rzeczą. Później zacząłem to ukrywać. W porządku. Mała cena za to, że zdołałem to świństwo pokonać i Zuzanna mogła żyć. Teraz chciałem jeszcze doprowadzić do końca ostatnią sprawę.

Uważnym krokiem szedłem po tej stronie ulicy, którą oświetlały jeszcze promienie słońca. W tym, że lubiłem ciepło, nie zmieniło się nic. Wystarczyło tylko przejść przez szeroki plac oddzielający

gwarną dzielnicę rzemieślników od części należącej do bogatych mieszkańców i chaos został zastąpiony lektykami, luksusowymi powozami i jedynie od czasu do czasu pieszymi posłańcami ubranymi od stóp do głów w barwy swoich panów. Strażnik na skrzyżowaniu rzucił mi niepewne spojrzenie. Odwzajemniłem je. Postanowił zachowywać się, jakby mnie tam w ogóle nie było. Gdyby mnie pchnął palcem, miałbym problem, żeby utrzymać się na nogach, na szczęście on nie miał o tym pojęcia.

Bez problemów dostałem się aż do bramy broniącej wstępu do rezydencji Tralgerów. Właśnie zmieniały się strażę.

– Nie zamykać jeszcze bramy. – Oficer powstrzymał swoich ludzi.
– Jego Wysokość planuje jeszcze dziś opuścić rezydencję – wyjaśnił im, choć wcale nie musiał.

Był miękki, to mi odpowiadało. Stałem przed bramą. Nie przestąpiłem magicznej, niewidzialnej linii, nie chciałem ich niepotrzebnie prowokować. Wystarczyło, że mnie zauważyli.

– Czego tu chcesz? – naskoczył na mnie oficer, sądząc po dystynkcjach: porucznik.

– Mam wiadomość dla pana Tralgera – powiedziałem spokojnie, umyślnie nie używając jego szlacheckiego tytułu.

– A czemu miałyby go interesować wiadomość od jakiegoś łachudry? – przybrał jeszcze bardziej wyniosły ton i dał znak dwóm swoim ludziom, aby się zbliżyli i stanęli po obu moich stronach.

– To nie jest wiadomość ode mnie – powiedziałem wciąż tym samym tonem. – Ja jestem tylko posłańcem.

– A od kogo? – warknął.

– Naprawdę chcesz to wiedzieć? – zapytałem i uśmiechnąłem się krzywo.

Porucznik zawahał się.

– A nie chciałbyś tej wiadomości przekazać za mnie? – zaproponowałem.

Dalej się wahał. Albo był głupkiem, albo był nowy.

– Spokojnie ci ją przekażę, tylko podejdź bliżej. Tego byś przecież swoim ludziom nie chciał zrobić.

– Czego? – nie zrozumiał, co mam na myśli.

– Żeby też mieli ją usłyszeć. Wiesz, jak kończą ci, co wiedzą zbyt wiele.

Widziałem, jak się zastanawia, jak dodaje dwa do dwóch. W zestawieniu z tym, co sam widział, albo może słyszał, jego arogancja zaczęła topnieć w oczach. Wreszcie się zdecydował.

– Zamknijcie bramę – rozkazał. – Wy trzej, zostańcie na straży. Mario przejmuje komendę. Ja z pozostałymi doprowadzę tego tu posła – rzucił mi urażone spojrzenie – do pałacu. Dalej moje kompetencje nie sięgają, jestem odpowiedzialny za to, co na zewnątrz. Ciekawe, jak sobie poradzisz. – Rzucił mi krzywy uśmiech.

Miał poczucie, że właśnie pozbył się problemu. Może miał rację. Poprowadził mnie starannie zaaranżowanym parkiem, który miał wyglądać jak dziko rosnący las. Był jak szczotka przebrana za czternastoletnią pannicę. Pałac z marmuru przypominał mi raczej mauzoleum niż miejsce, w którym ktokolwiek mieszkał. Jednak podobało mi się, jak od najwyższych wież odbijały się promienie słońca. Od razu było widać, jak znacznie Tralger był bogatszy od Parleura. Tamten miał z marmuru jedynie schody i trochę wystroju wewnątrz. Tutaj, ze śnieżnobiałego, wypolerowanego do połysku marmuru było wykonane absolutnie wszystko.

– Prowadzę posła z wiadomością dla Jego Wysokości. Odmawia wyjawienia od kogo – obwieścił porucznik straży przy wejściu.

Przewodził im kapitan, chyba dwukrotnie starszy niż pozostali. Na jednym oku miał opaskę.

– Wiadomość od kogo? – Spojrzał na mnie.

– Wiadomość dla Neala – odpowiedziałem spokojnie.

Popatrzył na mnie tym swoim jedynym okiem, jakby zastanawiał się, co to może oznaczać.

– Zostańcie tutaj, dopóki nie wrócę – przykazał porucznikowi. – Wy, pilnować. – Spojrzał ostro na swoich ludzi. – Idziemy – zwrócił się wreszcie do mnie i ruszył przed siebie.

Już w hallu było znacznie chłodniej, a w korytarzu za nim zrobiło się po prostu zimno. Nie wchodziliśmy nigdzie po schodach, zwyczajnie kroczyliśmy dalej, w głąb pałacu, który swoim właścicielom zapewniał wystarczającą wygodę już na parterze.

Zastanawiałem się, co znajduje się na piętrze nad nami i gdzie są kuchnie i wszystkie pomieszczenia gospodarcze. Może pod ziemią.

– Poczekaj tutaj – nakazał mi jednooki kapitan, zatrzymując się przed dwuskrzydłowymi wrotami z czarnego drewna. Po obu stronach stali służcy w liberiach. Sam poszedł dalej. Aby drzwi w ogóle się ruszyły, musiał dobrze naprzeć.

Otworzył się widok na salon, na którego przeciwległym krańcu dostrzegłem podwyższenie. Światło do wnętrza wpuszczały wysokie do sufitu okna, za nimi widać było ogród i białe ściany. Wewnętrzny dziedziniec, oceniłem. Na więcej obserwacji nie miałem czasu, drzwi się zamknęły.

– Nie znalazłoby się coś do picia? – Obróciłem się do służących.

Ten po lewej skrzywił się pogardliwie, ale ten po prawej sięgnął za pazuchę i wydobyl połyskującą piersiówkę.

– Jakie wieści niesiesz? – spytał, przyglądając się, jak pociągam solidny łyk.

Zwróciłem mu piersiówkę. Dobry miał trunek, zgadywałem, że zapewne wprost z zasobów swojego pryncypała. Nie żeby mi to przeszkadzało.

– Powiedziałbym, że niecałkowicie pomysłne – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– Dzięki – zareagował. – Przynoszący złe wieści czasem sami za to płacą.

– Masz rację, kolego, całkowitą rację. I służba powinna się mieć na baczności.

– A teraz rację masz ty. – Wyszczerył do mnie zęby w uśmiechu.

Drzwi znów się otworzyły. Nawet nie skrzypnęły pomimo swej niebagatelnej wagi. Zawiasy z brązu, zgadywałem. Na progu pojawił się kapitan.

– Wchodź – powiedział, ustępując mi z drogi.

Bardzo się cieszyłem, że nie musiałem wspinać się po schodach gdzieś na piętro, nie byłem pewien, czy w ogóle dałbym radę. Chłód mnie tłamsił, brakowało mi żaru słońca. I wielu innych rzeczy. Do tego przywykłem.

Usłyszałem, jak zamykają się za mną drzwi. Salon nie był już pusty.

W drewnianym fotelu siedziała kobieta około czterdziestki. Gdyby nie twarda twarz, miecz na kolanach i sztylet u pasa, powiedziałbym, że piękna. A tak – piekielnie niebezpieczna. Po jej lewej stronie stał wysoki facet w doskonale dopasowanym ubraniu, które nie było w stanie ukryć jego kościstej, żylastej sylwetki. A starannie ułożone, falujące czarne włosy z nieznacznym odcieniem szarości ani odrobinę nie zmiękczały wyrazu jego bezlitosnej twarzy. Gdyby ktoś wydlubał mu oczy i osadził zamiast nich dwa kawałki granitu, może nabrałaby bardziej ludzkiego wyrazu. U pasa miał scimitar i nosił go według wschodniej mody, z rękojeścią celującą ku ziemi. Trzecim obecnym był młody mężczyzna około dwudziestki. Nie zdołałby się wyprzeć podobieństwa do swoich rodziców, jedyne, czego mu brakowało, to bagażu ich doświadczeń i blizn. Tych widocznych i tych ukrytych. On również był uzbrojony.

– Jaką masz wiadomość o Nealu? – spytał sucho Tralger.

– Wiadomość mam do Neala – spojrzałem na niego – do ciebie.

Nadal nad sobą panował, jednak widać było, że kosztuje go to sporo wysiłku.

– Jaką? – zapytał.

Nawet nie próbował mnie przekonywać, że to nie on. Aż trochę żałowałem.

– Że cię znaleźliśmy. Że wisisz komuś ogromną przysługę, złoto, stertę magicznych artefaktów i wszystko, co tylko możesz sobie wyobrazić za to, że nie dotrzymałeś umowy. Nazwij to, jak chcesz, haracz, wykupne, kara...

– Czemu miałbym być komuś cokolwiek dłużny? – zadał kolejne pytanie.

Przemawiał wciąż chłodnym, opanowanym tonem, bez cienia emocji. Umiał nad sobą panować, to musiałem mu przyznać. Skoro chciał, żeby tę historyjkę usłyszała jego żona, jego syn i, być może, tamci dwaj za drzwiami, jego sprawa.

– Wiele lat temu ktoś wyciągnął Neala z tarapatów, a że się Neal temu komuś podobał, dodatkowo pomógł mu rozkręcić biznes. Niezwykle lukratywny biznes. Za to miał się Neal z czasem zrewanżować. Nic wymagającego, ot tak, na boku swojej głównej działalności. Zbierać i przekazywać informacje o artefaktach magicznych, czasem je zakupuć. Nic, na czym sam miałby cokolwiek stracić.

Przerwałem na chwilę, ale nikt nie miał nic do dodania. Widać historia im się podobała.

– Wiodło mu się dobrze, zorientował się, że handel magicznymi artefaktami przynosi dobre zyski. Im bardziej się bogacił, tym bardziej rozszerzał zakres swojego handlu, a wraz z nim sieć kupców i agentów. Aż nagle znikł.

Pozwoliłem sobie na dramatyczną pauzę, ale dalej nikt mi nie przerywał.

– Neal przestał odpowiadać na instrukcje swojego dobroczyńcy, przestał odbierać wiadomości z czarnych skrzynek, zwyczajnie zniknął.

Tralger słuchał mnie uważnie, tak jak i jego żona. Ona jednak uwagę dzieliła pomiędzy mnie a swego syna. On tu był słabym ogniwiem.

– Zdarza się. – Wzruszyłem ramionami. – Handel magią to niebezpieczny biznes, ktoś w nim czasem utonie. Nawet jeśli, w mojej ocenie, na to był Neal zbyt wielką i zbyt przebiegłą rybą. Taką, co to potrafi przeżyć i w bagnie. Wiecie, że są takie ryby, co potrafią żyć w bagnie?

Nie odpowiedzieli. Kiepski ze mnie gawędziarz. Marmurowa ściana za oknem powoli szarzała. Zastanawiałem się, czy w wewnętrznym ogrodzie, gdzie na długo przed zachodem ocieniały ją mury pałacu, pozostaje jeszcze nagrzana. Pewnie nie.

– I co było dalej? – zachęciła mnie do kontynuowania żona Tralgera.

Zorientowałem się, że zamilkłem na dłuższą chwilę. Mówiła szeleszczącym głosem, jakby miała problem ze strunami głosowymi. Znałem jednego gościa, który mówił podobnie, ale u niej żadnej

blizny na gardle nie widziałem. Może ją ukrywała pod grubą warstwą pudru.

– Ten, od którego przynoszę wiadomość, myślał, że może Neal miał po prostu pecha. Że umarł. Nikt nie młodnieje – kontynuowałem. – Ale po początkowym chaosie, który jest naturalną konsekwencją rozpadnięcia się każdej siatki agentów, przemytników czy kupców, sytuacja wróciła do normy.

Zastanawiałem się chwilę.

– Z czasem więc ten, komu Neal był dłużny, zorientował się, że sieć działa nadal, tyle że już nie dla niego, ale dla kogoś innego.

Zaschło mi w ustach. Nie pamiętałem, kiedy po raz ostatni przemawiałem tak długo. Może nigdy. Panowała cisza.

– I dlatego tu jestem – dodałem.

– Aby wymusić haracz, wykupne, karę? – zasugerował Tralger.

– Nie – pokręciłem głową – aby cię zabić.

Usłyszałem za sobą ruch, to poderwał się ich syn. Ojciec powstrzymał go kiwnięciem głowy. Niebezpieczna, gorączkowa młodość. Zaczynałem się dobrze bawić. Koniec się zbliżał.

– A czemu myślisz, że to ja jestem Nealem? – tym razem to hrabia postanowił mnie zachęcić do kontynuowania.

– Pozrywać wszystkie więzi z półświatkiem nie jest łatwo – odpowiedziałem. – To prawie niemożliwe. To jak narkotyk. Nigdzie indziej nie da się zarobić tak łatwo i tak szybko, kto raz tego powącha, już się nie oprze. I tak przyjemnie się później wydaje zarobione pieniądze.

– I ty odgadłeś, że ja mam coś wspólnego z miejskim półświatkiem? – zapytał mnie hrabia i po raz pierwszy zabrzmiał, jakby był lekko rozbawiony. – Jak?

Był taki pewny siebie.

– Nie, nie odgadłem – przyznałem zgodnie z prawdą. – Ale się starałem. Wywołałem w Grafzaty chaos, pozabijałem zastępy przestępców, gangsterów, innych napuściłem na siebie nawzajem, zniszczyłem istniejącą równowagę i tym samym zadałem wam ogromne finansowe straty. Ale tropu wiodącego do szefa, który

miałby to wszystko potem ogarnąć, nie udało mi się znaleźć. – Wzruszyłem ramionami.

Sam plan był genialny, musiałem sobie przyznać. Szkoda, że nie zadziałał.

– Takich tropów zwyczajnie nie było. Bez względu na to, jak bardzo wzburzałem powierzchnię, wygładzała się sama, bez ingerencji z zewnątrz. Ci bardziej doświadczeni pacyfikowali nowicjuszy i poprzednia równowaga jakoś tak wracała sama z siebie.

Małpy, które nie pozwolą żadnej z nich wspiąć się na tyczkę, mimo że już nie wiedzą dlaczego. Tralger nadal przysłuchiwał mi się w milczeniu. Wyglądało na to, że był równie chętnym mówcą jak ja.

– Teraz już wiem dlaczego. – Popatrzyłem na niego. – Ty ich kiedyś zabijałeś. Sam ich wytresowałeś, wieszaleś gości na latarniach na ich własnych trzewiach, karmiłeś własnymi jajami. Stałeś się ich nocnym koszmarem, potworem, którego wszyscy się bali. Na koniec, nawet mimo że nikt już nie pamiętał dlaczego, wszyscy zachowywali się według ustalonego przez ciebie schematu, byle tylko nie wrócił krwawy terror.

Tralger nadal nie odpowiadał, stał tylko zamyślony.

– Czemu miałbym być Nealem? – wrócił do poprzedniego pytania po dłuższej przerwie.

Na plecach czułem nienawistny wzrok jego syna. Wystarczyło się obrócić i najdrobniejszy gest sprowokowałby go do ataku. Uświadomiłem sobie, że muszę usiąść. Trochę mi się od tego wysiłku zaczynało kręcić w głowie.

– Areny należą do szarej strefy przychodów. Ich działalność jest legalna, ale klei się do nich masa innych ciemnych interesów. Pranie brudnych pieniędzy, nielegalne zakłady, zabójstwa na zlecenie – wyliczałem. – A równo cześnie dla gangstera, któremu się powiedzie, są drogą do świata legalnie bogatych.

W tym kiedyś orientowałem się doskonale i wiedziałem, że przez dziesięciolecia nic się w tej materii nie zmieniło.

– Miałem więc nadzieję, że kiedy arena znajdzie się na skraju bankructwa, kiedy stawką będą dziesiątki tysięcy, jej właściciel

przyjdzie popatrzeć osobiście. Nikt ot tak nie pozbędzie się kury znoszącej złote jaja. Siedziałeś w głównej loży. Normalnie udostępniasz ją swoim najlepszym klientom, bogatym kupcom, dobrze postawionym szlachcicom, wysokim urzędnikom cesarskim. Ale kiedy ważył się los interesu, który zbudowałeś własnymi rękoma, za cenę własnego potu i krwi, chciałeś mieć najlepszy widok, z najlepszego miejsca. Każdy gracz by tak postąpił, a ty w głębi serca jesteś przecież graczem.

– To jest bardzo wątpła poszlaka – wzruszył ramionami hrabia.

– Owszem, ale nie jest błędna. – Uśmiechnąłem się. – A do tego mam jeszcze jedną rzecz, która niezbitnie potwierdziła, że się nie mylę.

– A jest nią?

– To, że się dostałem właśnie tutaj, aż do ciebie. Wystarczyło znać twój stary pseudonim.

Zrobiło się cicho. Już naprawdę musiałem sobie usiąść.

– Mówiłeś, że przyszedłeś mnie zabić – przypomniał mi, co wcześniej powiedziałem.

– Owszem. Aby cię ukarać. Zabić ciebie, twoją żonę i twego syna. To twoje jedyne dziecko, tak?

Jego żona położyła dłoń na rękojeści miecza, kciuk drugiej oparła na brzegu pochwy. Jedną nogę wsunęła nieznacznie pod fotel.

– Niekoniecznie w tej kolejności – dodałem.

– Powiedziałeś też, że coś komuś jestem winien. Haracz, wykupne, karę...

– To prawda – zgodziłem się. – Ale to ja decyduję, jak sprawę załatwić. Ten, dla którego kiedyś pracowałeś, nie rozkazuje mi, poprosił jedynie o przysługę. Zaakceptuje, co w tej sprawie zdecyduję.

Widziałem, jak hrabia, a właściwie Neal, zastanawia się.

– I naprawdę myślisz, że mnie zabijesz? Tutaj? Mnie, ze stałą w rękę?

Nie powoływał się na żołnierzy, na żonę gotową zabić mnie przy najbliższej sposobności, na syna chowającego sztylet za plecami.

Jedynie na to, że sam był uzbrojony. Poczułem, jak usta mimowolnie wykrzywiają mi się w uśmiechu.

– Owszem – skłamałem. – Przypomnij sobie arenę, przypomnij sobie, czego tam dokonałem. Ciebie, swoją żonę i twojego syna.

Powoli sięgnąłem po moje archaiczne skramsaksy i wydobyłem je na światło dzienne. Mimo wszystkiego, przez co w ostatnich tygodniach przeszły, nie pozostał na nich najmniejszy ślad, na perfekcyjnie naostrzonych klingach tańczyły promienie zachodzącego słońca, odbijające się od białego marmuru ścian za oknem. Równocześnie rozległ się szelest, kiedy i oni obnażyli swoje ostrza.

Nie byłem już w stanie ukryć pełnego szczęścia uśmiechu.

– A temu chłopakowi rozpruję brzuch, żebyś widział, jak umiera – dodałem i spojrzałem w bok, na młodzika.

Jakbym puścił smycz ogara wężącego posokę.

– Stój! – zatrzymał go krzyk ojca. – Stój, do cholery! Jemu nie dasz rady, wykorzystuje cię przeciwko mnie!

Młodzieniec posłuchał. Jak na jego wiek, było to zaskakująco roztropne postanowienie.

– A jaką gwarancję ma nasz wspólny znajomy, że spełnię, co ci tu obiecuję?

Tralger, a właściwie Neal, oceniał sytuację ze wszystkich możliwych kątów widzenia.

– Żadnej i dowolną. – Wzruszyłem ramionami. – Jeśli nie spełnisz, przyjdą kolejni tacy jak ja. Jedynym sposobem, żeby się uratować, będzie ucieczka. Ale przy twojej pozycji i w twoim wieku już ci się nie będzie chciało zaczynać wszystkiego od nowa. Przebijać się do brzegu na małej łódeczce, spać na niewygodnych łózkach, albo i w ogóle bez... Już łatwiej będzie po prostu dotrzymać słowa.

Dałem mu czas, żeby się nad tym zastanowił.



Z pałacu wyprowadził mnie jednooki kapitan. Wyglądał na zaniepokojonego, czoło miał chmurne. Widać znał swego szefa aż za dobrze. Całą drogę próbowałem przeanalizować, gdzie popełniłem błąd. Wszystko mogło przebiec dokładnie tak, jak to sobie wyobraziłem – rzuciliby się na mnie i byłbym już martwy. Olśniło mnie w momencie, kiedy zamknęła się za mną brama. To przez ten idiotyczny uśmiech. Wszystko posrało się przez to, jak szczęśliwie szczyrzyła mi się gęba. Z drugiej jednak strony odbudowałem księciu jego starą sieć agenturalną. Będzie dysponował lepszymi informacjami, których w rezultacie nie będzie musiała poszukiwać Zuzanna. Nie miałem złudzeń co do jej decyzji o tym, aby osiąść gdzieś na stałe. Nawet gdyby dziecko, którego się spodziewała, mogło to zmienić. W trakcie naszej walki w podziemiach zarejestrowałem je jako odrębne ognisko życia, tyle że wtedy nie miałem czasu zastanawiać się nad tym, co to oznacza. Każde zło może wieść ku czemuś dobremu.

Doczłapałem do pierwszej lepszej mordowni, takiej, w której każdy, kto nie szuka kłopotów, pilnuje własnego nosa. Przedarłem się przez kłęby dymu i wcisnąłem w kąt. Na pytanie karczmarki, co chcę zamówić, jedynie skinąłem głową, bo i tak było mi wszystko jedno. Ledwie się mogłem utrzymać na nogach z wyczerpania. Postawiła przede mną kufel piwa, lufkę, talerz z zupą i miskę kiełbas z chrzanem. Pierwszy łyk był ciężki, o mało się nie zakrztusiłem, ale potem szło już lżej i nagle kufel zrobił się pusty. Z jedzeniem było podobnie. Lufkę strzeliłem sobie zamiast deseru. Oparłem głowę o ścianę i rozmyślałem nad tym, czy poradzę sobie z dokładką.

– Ej, kolego, chodź się spróbować na rękę – szturchnął mnie chudy typek o oczach jaszczurki.

Musiałem chyba kimnąć, bo nawet nie zauważyłem, jak podszedł.

– Nie ze mną. – Zarechotał. – Tam jest taki jeden, co to chętnie postawi parę miedziaków. – Wskazał w odległy kąt. – Może nawet srebrnego. Mogę przyjąć na ciebie zakłady, jak mi odpalisz prowizję.

– Nie jestem zainteresowany – zbyłem go.

– Ej, wiara! Ten tu myśli, że jesteśmy gównem warci. – Wskazał na mnie paluchem, równocześnie odsuwając się na bezpieczną

odległość. – Pewnie ma nas za kmiotów!

Zrozumiałem, że to ukartowali. Płacąc za jedzenie, nie zachowałem ostrożności i pokazałem, że mam przy sobie pieniądze. Jeszcze przed chwilą żadnego siłowania nikt tu nie uprawiał.

– Ale tylko raz – warknąłem na niego. – Miałem ciężki dzień.

Nie byłem w najlepszym humorze. Najpierw fiasko z Tralgerem, a teraz jeszcze wyprowadził mnie z równowagi ten bydlak. Nastrój pogarszał mi się z każdą chwilą.

– Czym zarabiasz na życie? – zapytał Jaszczurcze Oczy.

– Jeden pojedynek – zignorowałem jego pytanie.

– Ej, Franc, tu masz jednego zawodnika! – Jaszczurcze Oczy wrócił do sedna.

Jedzenie i picie dobrze mi zrobiły, zdołałem wstać i się nie przewrócić. Usłużne ręce wskazały mi kierunek, w gęstym dymie byłem im za to wdzięczny. Siadłem do stołu, przy którym siedział Franc. Wielgachny chłop, szerszy niż dłuższy. Łapę miał jak dwie szynki wieprzowe związane razem. Jednak kiedy poruszył palcami, pod warstwą tłuszczu poruszyły się masywne mięśnie. Tacy są najgorsi, w sadle nierzadko ugrzęźnię i najostrzejsza klinga, nie zadając żadnych znaczniejszych obrażeń. Teraz jednak chodziło o coś innego. Teraz musiałem jedynie umiejętnie przegrać, żeby mnie zostawili w spokoju.

– Takich jak ty to łykam na śniadanie – powiedziałem i sprawdziłem krzesło, zanim się na nim rozsiadłem.

Wyglądało, że powinno wytrzymać. Na życiu mi nie zależało, ale nie chciałem, żeby mnie zaciukała pijana hołota z podrzędnej knajpy.

Franc się uśmiechnął albo skrzywił. W jego prosiakowatej mordzie trudno było poznać różnicę.

– To o ile? Na ile byś Franca ocenił, siłaczu? – Jaszczurcze Oczy klepnął mnie w ramię.

Ta mała gnida naprawdę grała mi na nerwach. Sięgnąłem za pas i wyciągnąłem dwa srebrniaki. Widownia westchnęła z zadowoleniem. Sięgnąłem do kieszeni płaszcza i znalazłem jeszcze dwa, które mi zostały po zapłaceniu kuśnierzowi. Kozuch kosztował

mnie trzy złote i osiem srebrnych, został uszyty z trzech różnych rodzajów skóry. Towarzyszył temu wybuch entuzjazmu wokół nas. Franc musiał być miejscowym mistrzem. Dorzuciłem jeszcze trzy miedziaki.

– Więcej nie mam i wierz mi, jakbym miał, tobym dorzucił, bo przeciwko mnie nie masz najmniejszych szans – wycedziłem Francowi w twarz.

Jego luźne ogrodniczki miały pokąźną kieszeń na piersi, z której z wielką wprawą wydobył pięć srebrnych.

– Wystarczy przeciwko twoim drobniakom? – spytał i splunął na podłogę.

Udawałem, że mnie jego zniewaga uraziła.

– Tak – odparłem.

Jaszczurcze Oczy zebrał wszystkie monety w jedną kupkę.

– Zwycięzca zgarnia wszystko – oznajmił.

Ogólny nastrój wyraźnie się polepszył. Kmiotka wszędzie chętnie oskubią. Z drugiego końca sali przyszli popatrzeć jacyś goście, którzy wyraźnie nie należeli do tutejszych stałych bywalców, ale nie miałem czasu dokładnie im się przyjrzeć.

Franc podał mi swoją masywną prawicę, teraz węzły mięśni było widać pod warstwą tłuszczu jeszcze lepiej. Przypominał mi na swój sposób wielkiego tura z puszczy. Te wyglądają podobnie przed zimą. Odkarmione, agresywne. No i dobra, przynajmniej pójdzie łatwo. Skupiłem się, aby zdołać mu się oprzeć choć przez parę chwil.

– Start! – krzyknął Jaszczurcze Oczy.

Franc zareagował błyskawicznie, był doświadczony. Grzbiet mojej dłoni znalazł się nagle o palec nad deskami stołu. Byłem w zdecydowanie niedogodnej pozycji, pozostawało mi jedynie przegrać.

Jakby wszystko nagle wróciło, jakby wróciło moje stare ja, jakbym to ja sam nagle powrócił. Nie mogłem się poddać. Nigdy się nie poddam. Czekalem, aż zawiedzie mnie ciało, aż zaczną pękać mięśnie, ścięgna, przestanie bić serce, pozrywają się żyły. Ale na przekór temu stawiałem opór i zacząłem cisnąć sam. Moja dłoń drgnęła, posunęła się o włos do góry. I jeszcze jeden. I jeszcze jeden.

Jak to robiłem całe swoje życie. Obserwowałem, jak stopniowo zmienia się sytuacja, jak moje przedramię odkleja się od poplamionej powierzchni stołu i zaczyna mozolną wędrówkę ku górze. Jak Franc zaczyna głośno łapać oddech, a na czoło występują mu nabrzmiące żyły. Walczył, to prawda, ale przeciw mnie zwyczajnie nie był dość dobry. Nad deskami unosiła się już tylko jego dłoń, oddychał ciężko i czerwieniał na twarzy, ale czułem, że lada moment opadnie z sił. Docisnąłem jego rękę do dołu, aż cała dotknęła drewna.

– Oszust! Wygrał oszustwem! – wrzasnął Jaszczurcze Oczy.

Byłem już na nogach. Lewą rękę wykręciłem mu za plecy, aż musiał stanąć na palcach, żeby ulżyć bólowi.

– Kto wygrał? Powiedz wszystkim, kto uczciwie wygrał – poradziłem mu.

Pytanie zadałem spokojnym, opanowanym tonem, co mu podpowiedziało, jak głęboko wdepnął.

– Ty... ty – wystękał.

Podciągnąłem mu rękę jeszcze wyżej, aż nie był więcej zdolny nawet się odezwać.

– To był dobry pojedynek! – krzyknąłem na cały głos. – Wyszynk, nalewajcie wszystkim, dopóki będzie za co. – Wskazałem na kupkę pieniędzy na stole.

Coś podobnego zrobiłem już wiele razy i za każdym zadziałało. Wszyscy natychmiast zapomnieli o mnie i Jaszczurczych Oczach.

– Już wiesz, czym zarabiam na życie? – zapytałem i odrobinę rozluźniłem uścisk.

Pokiwał głową.

– Tak, tak... już wiem doskonale – potakiwał z zapalem.

– Więc jeśli ci teraz tylko złamię rękę, będę dla ciebie właściwie całkiem łaskawy, tak?

– Tak, tak... nie!

Za późno. Jak będzie miał szczęście, zrośnie mu się prosto.



Ruszyłem już przed siebie, kiedy podszedł do mnie jeden z tych gości, których uznałem za obcych, przypadkowych klientów. Było z nim jeszcze dwóch.

– Obserwowaliśmy cię – powiedział.

Na zewnątrz panowały ciemności, w zasięgu wzroku nie było żadnych ulicznych lamp, a niebo zaciągnęła warstwa chmur. Księżyc jawił się jedynie jako blada plama.

Po raz pierwszy, odkąd przybyłem do Grafzaty, się zachmurzyło. Czas monsunów, którymi miejscowi ciągle straszili, nadchodził.

– I coś wam się nie spodobało? – Obróciłem się twarzą do niego, robiąc mały krok wstecz, aby dać sobie więcej przestrzeni.

Właściwie wyczytał z mojego tonu groźbę.

– Nie, nie. Wręcz przeciwnie – uspokoił mnie. – Właśnie szukam takich jak ty. O ile chciałbyś zarobić słuszną sumkę i nie wadziłoby ci przy tym połamanie paru kości.

– Albo podezrzenie paru gardeł? – zasugerowałem.

– Nie chciałem wyjawiać wszystkiego od razu – potwierdził spokojnie.

– Zamieniam się w słuch – powiedziałem z udawanym zainteresowaniem.

Nieznacznie skinął na swoich kompanów na znak, że wszystko idzie zgodnie z planem.

– Niedługo z miasta wyjeżdżać będzie młoda szlachcianka z jakiegoś zadupia. Z południa. Bedzie miała ze sobą furę pieniędzy i niewielką obstawę. Droga jest długa, z pewnością nadarzy się okazja, żeby uwolnić ją od tego ciężaru – nakreślił mi założenia swojego planu.

Plotki rozchodzą się szybko i czasem trafiają do właściwych uszu.

– To brzmi zachęcająco. O ile tego złota będzie dość.

Blask księżyca zanikł prawie całkowicie, miałem wrażenie, że w powietrzu czuć wilgoć, mgłę.

– Spokojna głowa – potwierdził tamten.

Jego dwaj towarzysze wciąż czekali na schodkach wiodących w dół, do gospody. Mógłbym ich wszystkich zabić tu i teraz,

przynajmniej bym się rozgrzał.

– Pójdę z wami za uczciwą dolę – powiedziałem – ale żadnego zabijania tutaj, w mieście.

– Dobre postanowienie – pochwalił mnie.

– Tylko nas czterech? – Wskazałem na ludzi za jego plecami.

– Nie. Z tobą ośmiu. Zapoznam cię z resztą, im wcześniej, tym lepiej. Ta dzikuska jest już prawie gotowa do odjazdu, musimy się uwinąć, żeby nam nie prysnęła.

– Skoro złota będzie dość dla wszystkich, chodźmy – zgodziłem się.

Tak jak dzień zaczął się nędznie i jeszcze mizerniej rozwijał, tak końcówka dla odmiany zapowiadała się znakomicie. A uśmiechać się mogłem bez obaw, bo było ciemno.

– Daleko to? – spytałem.

– Nie, kawałeczek.

Fantastycznie. Jak idzie, to idzie.

Jego Ekscelencja Varatchi

Varatchi w milczeniu obserwował szklanę soku pomarańczowego oświetloną trójramiennym świecznikiem ze zwierciadłem z polerowanego srebra. Szkło było przejrzyste, jasnożółty napój kontrastował z panującym w kątach pracowni półmrokiem. Oprócz szklanki na biurku znajdowała się teczka z raportami agentów. Pierwszym w kolejności była relacja wielkiego mistrza Janicka. A może małego mistrza, biorąc pod uwagę, co pozostało z jego klanu. Varatchi przeczytał ją kilka razy i poświęcił jej znacznie więcej czasu, niż tych parę stron rękopisu wydawało się na to zasługiwać.

Relacja Janicka stała w zgodzie z tym, co zawierały dokumenty jego pozostałych agentów. To Varatchiego zaskakiwało. Jego instynkt, doświadczenie podpowiadały mu, że wydarzenia w Grafzaty musiały się rozegrać inaczej, niż Janick je opisywał. I to pomimo iż to właśnie on podawał najwięcej szczegółów.

Wspominał o broni zdolnej zniszczyć całe miasto. Na pierwszy rzut oka – kompletny nonsens, który Varatchi powinien był zwyczajnie zignorować. Jednak pozostałe, niezależne raporty potwierdzały słowa Janicka przynajmniej na tyle, że w Grafzaty rzeczywiście wydarzyło się coś osobliwego. Zniknęły, najprawdopodobniej zginęły tysiące ludzi. A kolejne dziesiątki tysięcy popadły w bezwolny stan, z którego się następnie przebudziły i w pełni otrząsnęły.

Zdolność, by wprowadzić w trans i rozkazywać równo cześnie tysiącom ludzi, to było coś, co stało na granicy ludzkich wyobrażeń, ale coś, co mogłoby być niezwykle użyteczne.

Ciąg dalszy raportu Janicka był jeszcze bardziej dziwaczny. Według niego coś podobnego już się w Grafza tzy wydarzyło w odległej przeszłości. Całe miasto było ponoć na owo testowanie ekstremalnie niebezpiecznej broni przygotowane i do tego dostosowane, a mimo to nikt nie uszedł z życiem.

W to akurat Varatchi, zakładając, iż taka broń rzeczywiście istniała, skłonny był uwierzyć. Zgadzało się to z jego – co prawda ograniczoną – wiedzą na temat świata sprzed Wielkiej Wojny. To by jednak oznaczało, że dawni czarodzieje byli jeszcze potężniejsi, niż do tej pory przypuszczał. A równocześnie o wiele bardziej bezwzględni, gotowi poświęcić życie ćwierć miliona ludzi, aby tylko przetestować jakąś swoją zabawkę. Dla niego wniosek był taki, iż w kontaktach z ludźmi zdolnymi manipulować mocą musi zachować jak najwyższą ostrożność. Możliwe, że byli jeszcze bardziej pragmatyczni i bezwzględni niż on sam. Niepokojąca myśl. Jednakże moc, którą za ich pośrednictwem mógł zyskać, była wprost nieograniczona, niewyobrażalna. Powrócił z rozmyślań nad przyszłością do terażniejszości.

Co wzbudzało największe wątpliwości, to opisane przez Janicka rozwiązanie sytuacji. Według własnych słów wielki mistrz zszedł do podziemi na czele swych najlepszych ludzi i wyeliminował broń za pomocą magicznych artefaktów, które zdobył sam na miejscu, w Grafzaty. W swoim raporcie jak ognia unikał jakiegokolwiek opisu przeciwnika, określał go jedynie jako „istotę”. Jedyne, co

dodatkowo zdradził w trakcie rozmowy, jaką wcześniej przeprowadzili, to że przypominała zmiennokształtny śluz. To zgadzało się z raportami innych agentów. Kilku z nich odwiedziło podziemia wbrew swojej woli, niektórzy zdołali powrócić. Zapewne dzięki temu, iż nie zaszli zbyt głęboko, kiedy ta rzecz przestała działać, zgadywał Varatchi. Ci twierdzili, że wnętrza kanałów pełne były rozkładającej się, śmierdzącej mazi, nieprzypominającej niczego, co dotychczas widzieli.

Varatchiemu jednak nie chciało się wierzyć, że wielki mistrz, o którym myślał, że zna go na wskroś, poszedł w bój na czele swych ludzi. Zmienił się? Hrabia nie mógł tego wykluczyć, podczas rozmowy Janick wydawał się spokojny, aż nieobecny, Varatchi nie znajdował w nim ani cienia strachu, który wzbudzał u innych swoich podwładnych. Może to przez tę walkę w podziemiach. Stanięcie twarzą w twarz z pewną śmiercią potrafiło człowieka odmienić, doskonale o tym wiedział. Było, jak było, Janick był przydatny, a cała ta eskapada potwierdziła, iż warto dalej poszukiwać magicznych artefaktów, warto poszukiwać ludzi z magicznym talentem i odkrywać dawno zapomniane zdolności. Zwycięstwo w przyszłej wojnie będzie zależeć od nich wszystkich.

Varatchi otworzył teczkę, wyciągnął z niej ostatni arkusz papieru i bez czytania go podpisał. Pokrył w ten sposób bez najmniejszej korekty koszty wszystkich wydatków klanu. Janick, jak do tej pory, okazał się dla niego wielce użyteczny. A jeśli to się zmieni – Varatchi tego typu kwestie rozwiązywał łatwiej niż pokrywanie wydatków. I to bez podpisu.



Teraz przychodził czas na następną sprawę, spotkanie z cesarskim kuzynem. Na nie służba przygotowała znacznie wystawniejsze pomieszczenie niż ulubiona pracownia hrabiego. Dopił sok, z rozmyślań wyrwał go szelest materiału. Powabna służąca stała przy drzwiach, z głową schyloną ku ziemi. W chwili kiedy na nią

spojrzał, dygnęła usłużnie, co dało mu na chwilę wgląd za jej dekolt. Varatchi równocześnie zwrócił uwagę na obnażone ramiona, krzywiznę talii i poczuł chuć.

– Wszystko jest przygotowane, Ekscelencjo. Jego Cesarska Wysokość właśnie podjeżdża przez ogród.

Może później, jeśli wciąż będzie się czuł tak samo, teraz nie było na to czasu. Przypomniało mu się, iż rano obudził się z erekcją, po raz pierwszy od lat. Oczywiście, o ile nie liczyć tego nieprzyjemnego epizodu z pięcioma dziewczycami. Od narkotyków, którymi był wtedy napompowany, korzeń mu sterczał przez dwa bite dni, a potem jeszcze przez dwa tygodnie robiło mu się niedobrze. Teraz jednak, kiedy spoglądał na dziewczynę, odczuwał to zupełnie inaczej, jako przyjemność. Możliwe, że mimo jego sceptycyzmu to jednak zadziałało. Może. Spojrzał na grzbiet dłoni. Ręce najmocniej zdradzały starczy wiek. Miał wrażenie, że skóra jest jakby bardziej napięta, a brązowych plam zrobiło się mniej.

– Poczekaj na mnie w salonie herbacianym – przykazał. Dalej nie poświęcał jej już uwagi i wyszedł na spotkanie swemu zacnemu bratankowi.



Formalny protokół spotkania zakończył się w chwili, kiedy cała świta towarzyszącej im szlachty i służby opuściła pomieszczenie i Varatchi pozostał ze swym kuzynem, cesarzem imperium, sam na sam. Pomieszczenie było rozległe, widne, siedzieli na podwyższeniu w jego centrum, w wygodnych fotelach, ze wszystkim, czego mogliby potrzebować, w zasięgu ręki.

Varatchi wstał i ze stolika wybrał jedną z karafek, z ciemnoczerwoną zawartością.

– Kroczyjskie, dobry rocznik, chcesz?

– Przed obiadem?

Varatchi wzruszył ramionami i nalał sobie.

– Rzadko się widzimy.

– Dobrze wyglądasz. Nie masz worków pod oczami, wydajesz się wypoczęty, w dużo lepszym stanie niż przy naszym ostatnim spotkaniu – zauważył cesarz.

– Dobrze się wyspałem – odpowiedział Varatchi i się napił.

W duchu oceniał przy tym wygląd swego bratanka. On też wyglądał dobrze, jakby odmłodził o dwa lata. Czy to było możliwe? Może też się dobrze wyspał. U starszych ludzi nie było to takie proste, a oni obaj należeli przecież do starszych.

– Nalej i mnie. Masz rację, nie widujemy się często.

Varatchi podsunął drugi kielich i napełnił go w jednej trzeciej mocnym winem. Wznieśli toast. Kiedy widział się ze swym kuzynem po raz ostatni, trzęsły mu się ręce. Dzisiaj trzymał kielich pewnie, ręka nawet nie drgnęła. Varatchi przez chwilę zastanawiał się, jak by to zmieniło stosunek cesarza do jego własnych potomków, gdyby rzeczywiście znalazł sposób na to, jak oddalić śmierć. I do niego samego, kiedy już się zorientuje, że udało mu się osiągnąć to samo. O ile to była prawda, w co Varatchi zaczynał właściwie wierzyć. Właśnie zaczął dodawać do siebie wszystkie drobne oznaki z kilku minionych tygodni. Czuł się przecież lepiej niż przed rokiem, dwoma, nawet pięć lat temu.

– A czemu zawdzięczam twoją nieoczekiwaną, ale jakże przyjemną wizytę? – powrócił z rozmyślań.

– Nasza siatka handlarzy – odpowiedział cesarz po krótkiej przerwie.

Ach, teraz jest nasza, pomyślał Varatchi. Od kilku miesięcy wyraźnie wyczuwał, że jego kuzyn stara się nad ich wspólnie budowaną siecią agentów, przemytników i handlarzy zdobyć większą kontrolę.

– Spadła wydajność, straciliśmy paru ludzi, jakieś magazyny. Konkurencja. Zdarza się – wzruszył ramionami Varatchi.

Sam tymczasem zaczął tworzyć nową strukturę, mniej niezależną i droższą w utrzymaniu, ale zbudowaną na ludziach, którzy mieli wiele do stracenia, gdyby sprzeciwili się jego woli.

– Owszem, zdarza się – zgodził się cesarz. – Wysłałem paru ludzi, aby spróbowali sprawę wyjaśnić. Zniknęli.

– To dość niebezpieczny biznes. – Twarz Varatchiego miała nieprzenikniony wyraz. – Zdarza się i tak.

– Wczoraj jednak zdobyłem informację, że artefakt, w którego pozyskanie zainwestowałem masę czasu i pieniędzy, pojawił się gdzie indziej.

To Varatchiego zaciekało. Chwilowo nie skupił się na tym, że o owym artefakcie i próbach jego pozyskania do tej pory kuzyn nie wspomniał. Z pewnością było to spowodowane tym, jak wiele miał pracy i innych obowiązków.

– Gdzie? – zapytał ostrożnie.

– Po drugiej stronie pustyni – przeszedł do sedna cesarz.

– Naszą sieć kontroluje ktoś inny – ocenił Varatchi.

Obaj wiedzieli kto.

– I nie da się jej tak po prostu przejąć z powrotem, wielu naszych kluczowych agentów jest martwych – dodał chmurnie cesarz. – Nigdy tak do końca nie wiedzieliśmy, jaka jest jej dokładna struktura, kto nią zawiaduje.

Obaj chwilę milczeli.

– Idzie wojna – podsumował Varatchi.



Trylogia BRAMY ZE ZŁOTA





STEELHOG.PL



**NAJLEPSZE DODATKI
DO FABRYCZNYCH LEKTUR**

COPYRIGHT © BY Miroslav Žamboch
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2020

WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-525-1

TYTUŁ ORYGINAŁU: V OBJETÍ SMRTI

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA
Eryk Górski, Robert Łakuta

ILUSTRACJA NA OKŁADCE
Vladimir Nenov

PROJEKT GRAFICZNY SERII I OPRACOWANIE OKŁADKI
SZYMON WÓJCIAK

ILUSTRACJE
Paweł Zaręba

TŁUMACZENIE
Konrad Bańkowski

REDAKCJA
Agnieszka Pawlikowska

KOREKTA
Magdalena Byrska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ
pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



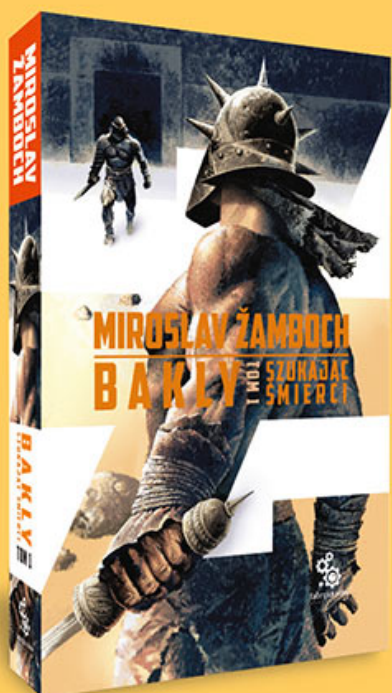
Zamówienia hurtowe
Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91
05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32
www.dressler.com.pl
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl



fabryka słów

WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka
instagram.com/fabrykaslow



Przeczytaj pierwszy tom historii pod tytułem ***Szukając śmierci.***

Chcesz więcej?



Polecamy dwie wcześniejsze historie o Bakłym, dostępne w nowej odsłonie graficznej.





TO NIEPRAWDA, ŻE NADZIEJA UMIERA OSTATNIA. NIE WTEDY, GDY MARZYSZ O ŚMIERCI.


Bakly, o dziwo, wciąż żyje. Rozpętana przez niego wojna gangów zmienia całe miasto w krwawą arenę, na której wciąż pozostaje niezwyciężony.

Baronówna Münchauen, przyjęta do miejscowej śmietanki towarzyskiej, desperacko próbuje zyskać to, co interesuje ją najbardziej – informacje o magii i mocy.

W podziemiach Grafzaty nabiera mocy coś, na co nie ma nazwy ani w ludzkiej pamięci, ani w ludzkim języku. Rośnie, potężnieje, przemienia swoje otoczenie i poszukuje sensu swego istnienia. Z każdym dniem mocniej łaknie zemsty i krwi. Ci, którzy Rzec w podziemiach przebudzili z nieistnienia, zaczynają się bać...



 /fabryka

 /fabrykaslow